

# ARTHUR PHILLIPS

## EGIPTOLOG

### SPIS TREŚCI

Reprodukcja: Kartusz króla Atum-hadu | 9 Reprodukcja:

Pierwsza strona dziennika

Ralpa Trilipusha | 11 Mapa Egiptu | 13 Dokumenty

zebrane przez Laurencea Macy'ego III,

1955 | 15

- Korespondencja:

Ralph Trilipush i Margaret Finneran, 1922

- Korespondencja:

Harold Ferrell do Laurence'a Macy'ego III, 1954-1955

- Dzienniki Ralpa Trilipusha, 1922

- Korespondencja:

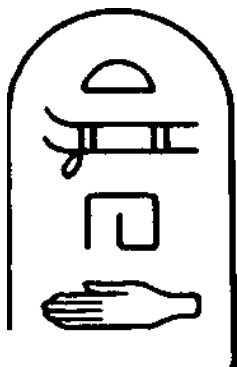
Ralph Trilipush i Chester Crawford Finneran, 1922

- Korespondencja:

Beverly Quint do Ralpa Trilipusha, 1922

- Korespondencja:

Hugo Marlowe do Beverly ego Quinta, 1918



r0^^

Kartusz króla Aturn-hadu

(„Atum Jest Pobudzony”), ostatniego (?) króla (?)

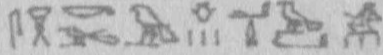
egipskiego XIII dynastii,

1660 (?) - 1630 (?) r. p.n.e.



## HOTEL SFINKSA

TELEGRAF: hotsphinxcairo



Wtorek, 10 października 1922 r.

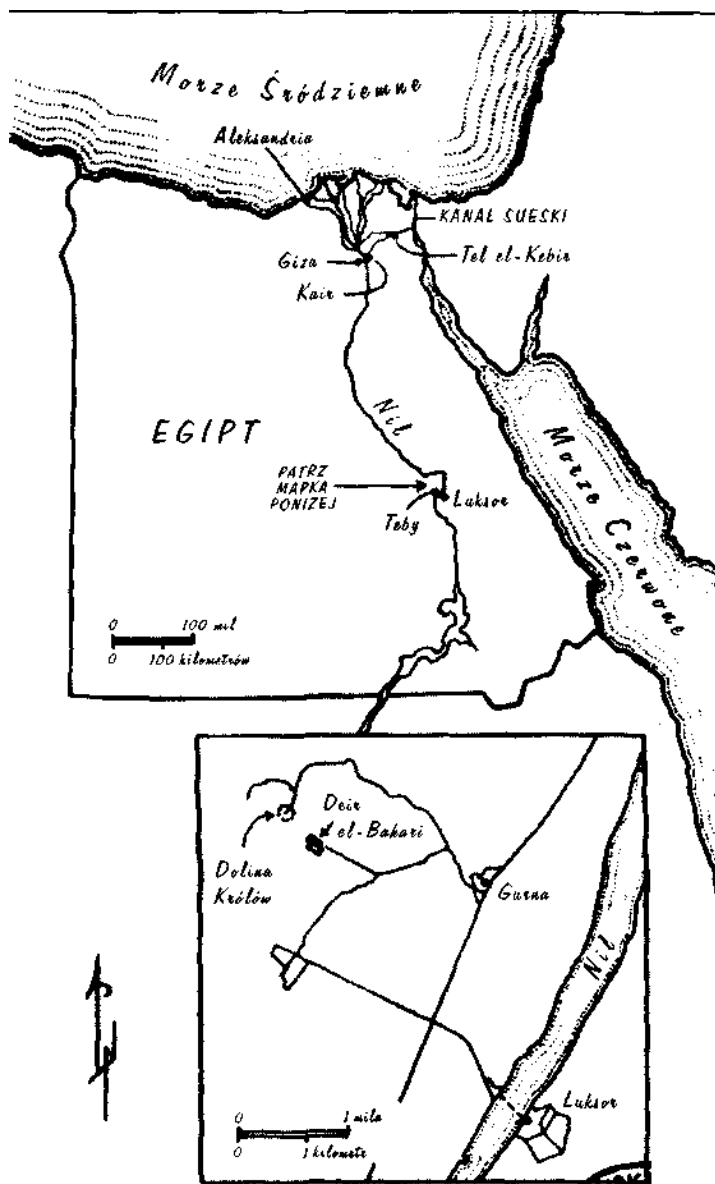
*Hotel Sfinksa, Kair.*

Dziennik: Przejazd do Kairu koleją z Aleksandrii. Natychmiast zabrałem się do pracy. Przeznaczyłem pięć dni w Kairze na logistykę i ogólne zapiski przed udaniem się na południe, na stanowisko.

Notatki do książki: Zaczynając od właściwego początku — ukończona książka musi mieć frontysepis, zabezpieczony przezroczystą pelurową nakładką.

Frontysepis: „Kartusz króla Atum-hadu, ostatniego króla egipskiego z czasów Średniego Państwa, XIII dynastii, 1660–1630 r. p.n.e.” Założyć, że czytelnikami będą tylko uczeni? Nie — wyjaśnić przeciętnemu czytelnikowi, że kartusz to pieczęć królewska, z jednym z pięciu imion króla (Syn Ra, imię), zapisanym hieroglifami w owalnej ramce.

Epigraf po frontysepisie: „To inteligencja i zdecydowanie człowieka przy pokonywaniu trudności fizycznych są źródłem naszej przyjemności i przedmiotem



31 grudnia. O zachodzie słońca. Przy grobowcu Atum-hadu. Na wictroli 50: *Siedzę na huśtawce na werandzie (może usiądziesz przy mnie, ukochana?)*.

Moja droga Margaret, moja wieczna królowo, której uroda zdumiewa słońce.

Twój ojciec i ja wyruszamy jutro do domu, z powrotem do ciebie — luksusowym statkiem rzeczonym na północ, do Kairu, gdzie przenocujemy w Hotelu Sfinksa, potem pociągiem do Aleksandrii, a stamtąd rozpoczniemy zwycięską podróż włoskim parowcem *Crutoforo Colombo*,

zawijającym do portów na Malcie, w Londynie i Nowym Jorku, skąd złapiemy pierwszy pociąg do ciebie, do Bostonu. 20 stycznia obejmiesz swojego narzeczonego i swojego ojca.

Po moim powrocie najpilniejszą sprawą będzie oczywiście nasz ślub. Potem, po świeżych przygotowaniach, poprowadzę tutaj, do Deir el-Bahari, drugą ekspedycję, by sporządzić zdjęcia pomiarowe malowideł ściennych i oczyścić artefakty i skarby z grobowca. Dzisiejszego wieczoru pozostaje mi już tylko zabezpieczyć wejście do grobowca, zostawiając moje znalezisko w takim samym stanie, w jakim je odkryłem. A potem nadam tę paczuszkę dla ciebie. Mój posłaniec ma tu niebawem być.

Teraz nic nie stoi nam na drodze, moja ukochana. Mój odniesiony tutaj sukces, błogosławieństwo, którego ponownie udzielił twój ojciec — wszystko jest tak, jak obiecałem. Poczujesz ulgę, gdy się dowiesz, że twój ojciec i ja znowu jesteśmy przyjaciółmi.

(Dziękuję za twoją „ostrzegawczą” depeszę, ale nieuzasadniony gniew twojego ojca w Bostonie nie mógłby się nigdy utrzymać tutaj, w moim towarzystwie!) O nie, ojciec gratuluje mi mojego znaleziska („n a s z e g o znaleziska, Trilipush!” — poprawia mnie), przesyła ci sennie wyrazy miłości i z zakłopotaniem prosi cię, byś zapomniała o tych wszystkich bzdurach, których ci o mnie nawygadywał. Był pod straszną presją, otoczony zazdrością i intrygami, a teraz jest po prostu uszczęśliwiony, że wybaczyłem mu, iż dał, choćby na chwilę, wiarę takim zjadliwym oszustwom. I teraz wracamy do ciebie, tak jak ty powrócisz do mnie.

Oczywiście jeśli czytasz ten list, oznacza to, że nie udało mi się, z powodów, których mogę się tylko domyślać, wrócić bezpiecznie do

Bostonu i w twoje ramiona. Nie przybyłem otoczony aureolą nieśmiertelnej chwały, nie zawiesiłem na twojej szyi tego sznura najbielszego złota, który przywożę ci z grobowca Atum-hadu. I nie otarłem, wzięwszy cię łagodnie na bok, pod wysokie, łukowate okna salonu twojego ojca, twoich łez radości z powodu mojego bezpiecznego powrotu, i nie poprosiłem cię cicho, byś dała mi, od razu po odbiorze, paczuszkę (tę paczuszkę), którą wkrótce ode mnie otrzymasz, ze stemplem kuszącej poczty odległego Egiptu, przesłanej na moje nazwisko pod twój adres, i którą miałabyś otworzyć tylko w przypadku mojej długiej i niewyjaśnionej nieobecności.

Ale tak się nie stanie, wydarzenia będą następowały tak, jak przepowiedziałem, - więc nie przeczytasz tego listu. Przybędę przed nim, wezmę go delikatnie z twoich rąk, zanim go otworzysz, i wszystko to pozostanie nieprzeczytanym, niepotrzebnym zabezpieczeniem, o którym nie będzie wiedział nikt oprócz mnie.

Ale. Ale, Margaret. Ale. Widziałaś tak wyraźnie jak każdy wrogość tych, którzy chcą, żeby nam się nie udało, i nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydarzyć śmiertelny wypadek albo coś jeszcze gorszego. A zatem pozwalałam sobie przesłać ci w załączeniu te dzienniki. Dobry Boże, oby to wszystko dotarło bezpiecznie.

Margaret, trzymasz teraz, jeśli macki moich wrogów nie wśliznęły się jeszcze do egipskiego systemu pocztowego, trzy paczki, ułożone chronologicznie według kolejności ich powstawania. Zaczynają się 10 października, kiedy to przybyłem do Hotelu Sfinksa w Kairze z pulsującymi nadal w głowie myślami

o tobie i o naszym przyjęciu zaręczynowym. Nie przeznaczone

do publikacji zapiski w dzienniku przemieszane są z tymi, które były do tego przeznaczone, i z elementami ukończonej pracy. Duża część dziennika jest listem do ciebie, listem, na którego wysłanie nie znalazłem aż do tej pory odpowiedniego momentu. Mam zamiar uporządkować to wszystko w Bostonie. Drugi pakiet zaczyna się w chwili, kiedy zużyłem cały mój zapas hotelowej papeterii i musiałem polegać na hojności kolegów z Urzędu Zabytków egipskiego rządu; kilkadziesiąt stron ma nagłówek dyrektora generalnego tej służby. Na koniec niemal zapełniłem cały bardzo okazały diariusz indyjski i kolonialny Letta numer 46, ulubiony dziennik brytyjskich badaczy pracujących w spiekocie i kurzu odległych krajów, poszerzających wiedzę mimo wysokiego ryzyka. Nie martw się — kartki wyrwane z końca diariusza są stronami tego listu. Te trzy dokumenty łącznie tworzą brudnopis mojego niepodważalnego arcydzieła, *Ralph M. Trilipush i odkrycie grobowca Atum-hadu*.

Załączam też listy, które mi tu przysłałaś, twoje słowa, tak miłe, jak i okrutne. Siedem listów, dwie depesze i depeszę wysłaną przeze mnie do ciebie, którą wczoraj rzucono mi w twarz.

1 depesze wysłane mi przez twojego ojca.

Właśnie wymieniłem igłę na przedostatnią. To urocza piosenka.

Zdaję się na pewnego chłopca i liczę na to, że dostarczy przesyłkę na pocztę.

Z czasem, Margaret, dochodzi do erozji. Piasek zaciera, gruz zakrywa, papirusy kruszą się, farba złuszcza. Część z tego ma oczywiście niszczycielskie działanie. Ale niekiedy erozja bywa oczyszczająca, bo

usuwa fałszywe podobieństwa, nietypowe odstępstwa, mylące i nieistotne szczegóły. Jeśli, podczas sporządzania notatek, obrałem tu czy tam niewłaściwy kierunek, błędnie zrozumiałem albo źle opisałem coś, co widziałem albo co wydawało mi się, że widzę, to, cóż, 'wtedy człowiek myśli: Nie szkodzi, poprawię to, kiedy wrócę do domu. I zrobię to. Ale, oczywiście, gdyby mnie pobito na śmierć i upchnięto w kufrze podróżnym jakiegoś tyczkowatego hrabiego, a potem posiekano na kawałki i leniwie wyrzucono moje szczątki za burtę żarłocznym rekinom, to wtedy rzeczywiście można by żałować, że nie zredagowałem mojego dzieła, kiedy miałem ku temu okazję. Wtedy będę potrzebował znakomitego i odważnego redaktora, który potrafi zdmuchnąć zakurzone spekulacje i ukazać nagą, zimną, obsydianową i alabastrową prawdę. Ty dopilnujesz tej oczyszczającej erozji.

Dochodzimy do najważniejszego zadania, które ci powierzam, moja muzo i wykonawczyni mojej woli. Jesteś teraz boginią-strażniczką wszystkiego, czego dokonałem. Zapiski te są historią mojego odkrycia, chłostą, którą wymierzam tym, co we mnie wątpili, i własnemu zwątpieniu w siebie. Powierzam ci, ni mniej, ni więcej, tylko moją nieśmiertelność. Mimo wszystko polegam na tobie, bo komu innemu mogę zaufać? Gdyby coś przydarzyło się mojemu ciału, ty przejmujesz teraz odpowiedzialność — przez sam fakt otworzenia tej paczki, przez fakt przeczytania tych słów — za przyszłość i musisz dopilnować, żeby moje imię i imię Atum-hadu nigdy nie przepadło bez śladu. Tyle przynajmniej możesz dla mnie zrobić, Margaret.

Dopilnujesz wydania tego dzieła, mojego ostatniego dzieła. Nalegaj na duży nakład w prestiżowym wydawnictwie uniwersyteckim. Tupnij swoją



śliczną nóżką i domagaj się miejsca na półkach w bibliotekach wszystkich ważniejszych uniwersytetów, w ważniejszych muzeach sztuki egipskiej w USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, Włoszech i w Kairze. No i ogół społeczeństwa! Zatkaj uszy, Maggie, bo kiedy rozejdą się wieści o tym dziele, podniesie się wrzawa, jakiej nigdy nie słyszano! Ale trzymaj ich wszystkich na dystans, dopóki nie będziesz gotowa. Rób tak, jak ci mówię, nalegaj, by książkę tę wydano dokładnie tak, jak mówię, i nie daj sępom nic innego.

Nie mam czasu, by zrobić redakcję dzieła w (ej chwili; wypadki toczą się tutaj zbyt szybko. A jutro wyjeżdżamy. A zatem zrobię to sam, kiedy wrócę bezpiecznie do domu, ale pozwól, ze dostarczę ci spójnych wskazówek, bo wydarzeń la mogą się ułożyć inaczej.

Na przykład teraz widzę, że niektóre z pierwszych szkiców z pewnością nie wydają się kompletne. W słabym świetle oko płata figle, kiedy się spieszysz, ale końcowe szkice są bez wątpienia precyzyjne, a więc mogą się ukazać w takiej postaci.

1 usuniesz ten list do siebie, wtrącone tu i ówdzie moje prywatne lub nazbyt szczere zapiski w dzienniku. To, co jest przeznaczone tylko dla ciebie, i to, co jest przeznaczone dla całego świata, odstaje od siebie, różnicę tę łatwo jest wychwycić, jeśli przyjrzy się temu uważniej. Na początku byłem nadgorliwy jako pamiętnikarz i twój korespondent. Nie ma potrzeby publikować uwag o tobie i o mnie, o zainteresowanych moją pracą stronach i spółkach. Byłem podekscytowany i, jak historia zaświadczy, Margaret, nie bez powodu. Widzę też teraz pewne oderwane rozważania, dawanie upustu tu i ówdzie pasji uczonego, moje prognozy stwarzały

niecو miejsca dla błędzenia po omacku, po to tylko, żeby się dusić na otwartym powietrzu. Uważna lektura, błagam cię, uważna lektura przy drzwiach zamkniętych, uważna redakcja, a potem znajdź maszynistkę (zadzwoń do Vernona Collinsa), wykorzystaj moje ilustracje z notesu, tylko ich ostatnią grupę, kiedy paradoksy Atum-hadu stają się jasne i kiedy w końcu zrozumiałem, co widziałem.

Skoro musisz zostać wdową po mnie, M., to będziesz też moim wiatrem. Delikatnie wywiejesz to, co nieistotne. Już teraz zacząłem wykreślać drobne fragmenty, ale nie mam czasu i mógłbym wyciąć zdrową tkankę, więc posłuchaj: uprosczę, jak mogę, twoją pracę: oto istotne materiały w odpowiedniej kolejności: Kent, Oxford, odkrycie wspólnie z przyjacielem fragmentu C, jego tragiczny koniec, ty i ja zakochujemy się w sobie, inwestycja twojego ojca, grobowiec Atum-hadu w całej okazałości, wnikliwe rozwiązanie jego paradoksu grobowca, zapieczętowanie naszego odkrycia w celu przeprowadzenia dalszych badań, twój ojciec i ja wracamy do domu, zamordowanie nas. Albo nie, oczywiście. Nie mogę wyrazić tego jaśniej. Resztę spal jako marginalia pierwszych wersji pracy naukowej.

Zachód słońca tutaj nie przypomina niczego, co wcześniej widziałem. Ten kolor, kiedy słońce roztapia się w zmieniających się pustynnych urwiskach — takich kolorów nie ma ani w Bostonie, ani w Kent. Na tych wzgórzach i urwiskach została nieusuwalnie wyryta historia mojego życia.

Ostatnia igła. Uwielbiam tę piosenkę.

Jeśli, Margaret, czytasz ten list, szlochając, przerażona podwójną stratą, ale jednocześnie przygotowujesz siebie i swoje pióro do podjęcia stojących przed tobą ważnych zadań, to nie

zawaham się oskarżyć z tego miejsca, przed popełnieniem tej przerażającej zbrodni, maniakalnego Howarda Cartera, którego nazwisko usłyszałaś może w ostatnich tygodniach, tego na poły szalonego, ale urodzonego w czepku patałacha, który potknął się na schodach i wpadł do podejrzanie dobrze zachowanego grobowca jakiegoś podrzędnego królewiatka z XVIII dynastii o imieniu Truteńgamoń i który w swej obezwładniającej zawiści wypowiadał kilkakrotnie w minionych miesiącach groźby pod moim adresem, zarówno wtedy, gdy był trzeźwy, jak i wtedy, kiedy był pod wpływem różnych miejscowych narkotyków. Jeśli zaniedbałem odnotowania w moich zawodowych dziennikach nieustającej wrogości Cartera wobec mnie i jego ledwie skrywanej agresji, to delikatność ta jest jedynie wyświadczoną, aczkolwiek z bolesnym sercem, wielkiemu niegdyś odkrywcy grzecznością, a poza tym przykładem owej brawury, którą się zawsze wykazywałem i którą tak podziwiałaś. Tak więc ignorowałem go, kiedy nieustannie groził, że postara się, byśmy i ja, i mój „szlachetny mecenas, pan Chester Crawlord Finne-ran, zniknęli w niewyjaśnionych okolicznościach". Oczywiście, gdybyśmy, twój ojciec i ja, nie zeszli w porcie w Nowym Jorku z pokładu *Cristoforo Colombo*, to możesz być zupełnie pewna, że stało się tak za sprawą Cartera i jednego z jego zbójów, takich jak jego sponsor, tyczkowaty angielski hrabia, którego łagodne maniery z trudem przysłaniają bezwzględny charakter, choć stara się go skrywać, albo za sprawą ich ohydneho, rudowłosego sprzymierzeńca, którego znasz aż nazbyt dobrze.

Moja najśliczniejsza Margaret, w tych miesiącach nie zabrakło między nami nieporozumień, ale mimo wszystkich tych okrutnych listów, które od ciebie otrzymałem, i jeszcze okrutniejszego milczenia, którym mi

odpowiadałaś, wiem, że twoja miłość do mnie pozostaje tak samo niezmienna jak moja do ciebie; niczego w życiu nie cenię bardziej niż twoich objęć. Płyta gramofonowa znowu dobiegła końca i teraz świszczy tylko z wyczerpania.

To była ostatnia igła z kilkuset, które ze sobą przywiozłem. Myśl o tym, że widziałem cię po raz ostatni, że nigdy już nie będę cię trzymał drżącej w powiewach, które wirują w twojej sali balowej, gdy otworzy się szeroko okna do ogrodu, że nigdy już nie ukaże mi się bladość twojej szyi i kolor twoich członków, tak mnie obezwładnia, że z trudem mogę pisać. Nie mogę znieść myśli, że już cię nie zobaczę. Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść, że będziesz mnie uważała za takiego człowieka, jakim przedstawił mnie twój ojciec, a nie takiego, jakim rzeczywiście jestem, za jakiego brałaś mnie na początku. Proszę, przypomnij sobie, jaki byłem w naszych najszcześniejszych czasach, kiedy byłaś ze mnie dumna, kiedy znalazłaś bohatera, którego tak długo szukałaś, jedynego mężczyznę, którego mogłaś sobie wyobrazić, kiedy rozmawialiśmy o świecie leżącym u naszych stóp. Proszę, myśl tak o mnie, moja ukochana ukochana. Kocham cię, bardziej niż sądzisz, w sposób, którego nigdy sobie nie wyobrazisz.

Wkrótce znowu cię zobaczę, moja miłości,

Twój Ralph

Dom Opieki Zachód Słońca nad Zatoką Sydney,

Australia 3 grudnia 1954 r.

Szanowny panie Macy,

Otrzymałem pański list z 13 listopada i cieszę się, że mogę pana poznać, chociaż tylko korespondencyjnie. Z przykrością usłyszałem o odejściu pańskiej uroczej ciotki Margaret. Mam gorącą nadzieję, że wspominała mnie czule od czasu do czasu. Poznaliśmy się w czasach kryzysu, bardzo dramatycznych. Nigdy się o takich dniach nie zapomina, zapewniam pana. Była piękną, tryskającą energią kobietą, kiedy ocaliłem ją w 1922 roku. Po doprowadzeniu przed oblicze sprawiedliwości człowieka, który przysporzył jej cierpień, nigdy już jej nie zobaczyłem.

Jestem z pewnością bardzo zaintrygowany pana „drobną prośbą, by sięgnąć w głąb [mojej] niewątpliwie wspaniałej pamięci". To prawda, jest nadal wspaniała i dołożę starań, by panu tego dowieść. W swoim czasie byłem znany z doskonałej pamięci.

Mógłbym również dodać, że pan sam jest nie byle jakim detektywem, skoro odnalazł mnie pan w tym zapadłym domu dla emerytów, tym ludzkim wysypisku śmieci, trzydzieści lat po interesujących pana wydarzeniach, panie Macy. Gdyby kiedykolwiek zainteresował się pan zawodowo działalnością detektywistyczną, to uważam, że dobrze się pan do tego nadaje, a to najwyższa pochwała, to znaczy w moich ustach. Oczywiście może pan należeć do tych facetów, którzy wcale nie muszą pracować, co?

Jeśli chodzi o pańskie pierwsze pytanie, które być może wynikało tylko z uprzejmości wskazującej na pańskie dobre wychowanie, przejawianej nawet w liście do nieznanego, ale jednak, to odpowiedź brzmi: nuda. Śmiertelna nuda, wielkie dzięki, co, jak podejrzewam, jest ideą przyświecającą tworzeniu i utrzymywaniu takich miejsc. Wyciągnąć od nas ostatnie oszczędności, a potem zanudzić nas na śmierć, żeby zwolniło się wąskie,

zapadnięte łóżko i tych parę śmierdzących nocników, bo następny stary gość nie może się doczekać, żeby się tu dostać.

Brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo się cieszę z pańskiej prośby o zrelacjonowanie mojej największej sprawy, o pomoc w wypełnieniu luk w pańskiej „prywatnej historii rodziny Macych”. I ma pan szczęście: widzi pan, wziąłem ze sobą bardzo niewiele rzeczy w to przekłete miejsce, nieodpowiednie do pokazywania się w wykwintnych strojach czy chwalenia się dobytkiem, ja, prosty człowiek, zawsze gotów szybko się przenieść, jeśli okoliczności tego wymagały, ale kiedy wiedziałem już na pewno, że zmierzam tutaj, powiedziałem sobie: „Ferrell, będziesz skończonym idiotą, jeśli nie zabierzesz ze sobą swojego archiwum i nie spiszesz w wielu wolnych godzinach przypadków, którymi się zajmowałeś. Będzie to jasne, oczywiste ostrzeżenie dla przestępców, doskonałe narzędzie nauki dla innych detektywów i przykuwająca uwagę opowieść dla przeciętnych czytelników”. I właśnie dlatego pański list tak bardzo mnie raduje.

Chce pan wyraźnych wspomnień? Otóż jestem chodzącą prawdą historyczną, owszem, ale potrzebuję takiego faceta jak pan, jeśli mam zamiar przestać przetrzymywać te pełne dynamitu opowieści i przedstawić je ogółowi. Dobrze myślę, że zna pan w Nowym Jorku ludzi zajmujących się działalnością wydawniczą, prawda? Może prowadzących czasopisma opisujące prawdziwe przestępstwa? Zastanówmy się trochę nad tym. Wiem, napisał pan, że prosi tylko o „historię swojej rodziny”, ale jestem zbyt blisko mety, żeby bawić się w ciuciubabkę, panie Macy. Widzę, dokąd możemy z tym zejść, i sądzę, że mamy coś, co zapewni nam olbrzymi sukces. Widzi pan, prowadziłem notatki, zapisywałem wszystko, jak to się mówi, słowo w słowo, najszybciej jak mogłem po przeprowadzeniu wy-

wiadu. Nie mieliśmy takich maszynek jak teraz do robienia nagrań, więc rekompensowaliśmy to sobie w inny sposób. Dzisiejsi młodzi detektywi ze swoimi magnetofonami nawet nie wiedzą, czego nie wiedzą, jak robić, ale w moich czasach mieliśmy dobrą pamięć i szybko pisaliśmy. Jeśli nie mam tutaj przed sobą każdego słowa, to doskonale pamiętam, co ludzie mówili albo co chcieli powiedzieć, mogę więc wszystko dobrze zrekonstruować. Trzeba to tylko ubarwić, dodać kreski dialogowe, literackie ozdobniki, przepisać na maszynie. Ja dostarczę akcji, pan zadba o resztę, co?

Nawet jeśli na końcu nie wszystko było dla mnie kryształowo jasne, to nadal uważam, że była to moja najlepsza sprawa, a więc jeśli gotów jest pan zostać moim Watsonem, to zacznijmy od tego, a po tej sprawie będę miał z tuzin innych, które możemy poskładać do kupy.

Powiada pan, że ma pewne dokumenty, które „mogą rzucić światło” na moje ewentualne „powracające pytania”, a to niezła przynęta dla takiego faceta jak ja. Jestem, kim jestem, i nawet po trzydziestu latach z ciekawością wysłucham wszystkiego, co zechciałby pan ujawnić. Kiedy pisze pan o znalezieniu prywatnych papierów Margaret po jej śmierci, zastanawiam się, co zawierają. Co mówiła o mnie? Nie była osobą, która nie zniżyłaby się do naciągania prawdy, żeby stworzyć zgrabną historyjkę.

Kiedy poznałem pańską rodzinę w dwudziestym drugim, pana nie było jeszcze na świecie, jak przypuszczam. Kiedy pańska ciotka poznała pańskiego wuja? Wie pan, pana ciotka trochę się we mnie podkochiwała. Powiedziała panu kiedyś o tym? Nie przypuszczam i jestem pewien, że pański wuj był świetnym facetem. Ale kiedy ją poznałem, była zaręczona z tym gogusiem z piekła rodem, tym badaczem, i myślę, że wydawałem się jej prawdziwym mężczyzną - człowiekiem nieskazitelnego honoru, który

zawsze opowiada się za prawdą i zawsze stawia prawdę na pierwszym miejscu.

Jak nazwać tę sprawę? Niech pan pomyśli: zaczęło się od poszukiwania dziwnego spadkobiercy, potem zrobiła się z tego sprawa zaginionej osoby, za którą płaciło mi dziesięciu różnych klientów, potem wyniknęła sprawa podwójnego morderstwa, badania przeszłości przyszłego małżonka, potem sprawa odbioru długu i nagle zupełnie innego podwójnego morderstwa. Wraz z uwięzieniem tego przeklętego Araba (dziwne, ale nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska), rozwiązaliśmy przynajmniej zagadkę tej ostatniej zbrodni, ale wiele wątków nie daje się rozsypać nawet teraz. Powinien pan odszukać tego Araba; pewnie nadal gnije w jakimś egipskim więzieniu. Może w końcu gotów jest wyjawić, gdzie ukrył ciała i skarb.

W porządku, zaczynamy. Według notatek w moich aktach, sprawa ta zaczyna się w Mayfair w Londynie w maju 1922 roku. Tam to bardzo bogaty człowiek nazwiskiem Barnabas Davies, właściciel Browaru Daviesa, dowiedział się od swojego lekarza, że zostało mu tylko kilka tygodni lub miesięcy życia. Ten Davies to starszy facet, ale ma uroczą, młodą żonę i parę małych dzieci. Ponieważ zbliża się śmierć, Davies załatwia swoje sprawy z prawnikami. Rach-ciach i przyszła wdowa oraz dzieci stają się obrzydliwie bogaci, a jakiś młody wspólnik ma prowadzić ten interes z browarem. Ale mniej więcej tydzień później Davies, wciąż żywy, wzywa z powrotem swoich notariuszy i mówi, że postanowił zrobić jeszcze parę rzeczy, o których przedtem nie pomyślał.

Mamy teraz 7 czerwca. Notariusze wracają do domu Daviesa, popijają znowu jego brandy i robią notatki, kiedy staruch wali ich po uszach: rodzina i interes to jedna sprawa, ale teraz uświadomił sobie, że powinien zrobić coś



więcej. Chce, żeby świat znał nazwisko Davies z jego stałego czynienia dobra. Chce, żeby z jego pieniędzy ufundowano katedrę jego imienia na uniwersytecie, chce, żeby za jego pieniądze zbudowano szpital, chce, żeby jego nazwisko widniało na skrzydle muzeum wypełnionym obrazami artystów, którzy uzyskali stypendium Fundacji Sztuki Nowoczesnej Daviesa, ma zamiar ufundować pomnik jakiemuś pułkowi, który stracił na wojnie prawie wszystkich przeklętych żołnierzy, i chce, żeby stanął on w nowo otwartych Ogrodach Daviesa, a klub piłkarski w jakimś małym mieście ma się nazywać Davies FC, i poleca wezwać jakiegoś architekta, by zaczął rysować plany zoo w kształcie dużego D, i to mimo że zaraz położą go do łóżka, być może po raz ostatni. Davies, Davies, wszędzie Davies.

A potem wydaje notariuszom naprawdę bardzo dziwne instrukcje. Najwidoczniej pan Davies zaszedł bardzo daleko na tym świecie. Był, jako młody facet, w marynarce handlowej, zanim mu się poszczęściło w tym i w owym i zbudował imperium, które nurzało Angoli w całkiem niezłym bursztynowym płynie. Pewnie nie słyszałeś, synu, o Davies ale. Zdaje mi się, że jego browar został po II wojnie światowej wykupiony przez inny i zmieniono nazwę tego piwa. Przypominam sobie butelkę z wizerunkiem statku, może pirackiego. W każdym razie stary, umierający Davies wręcza notariuszom listę - dosyć długą listę - kobiet na całym świecie. Kobiet z Kanady, USA, Ekwadoru i Peru, Australii, nawet Rosji, i dat, kiedy, jak mu się wydaj e, był ostatni raz w tych miejscach, kiedy ostatni raz widział te kobiety. Daty te sięgają początków jego służby w marynarce handlowej, dobrych czterdzieści lat wstecz w pewnych przypadkach, piętnastu w najnowszych. I - uwaga! - pan Davies mówi notariuszom, że niektóre, może wiele, a może wszystkie z tych kobiet mogą mieć z nim dzieci.

Znajdźcie te panienki, mówi, i ustalcie, czy mają moje bachory. Jeśli mają, nic więcej nie mówcie, tylko podziękujcie matkom i znajdźcie te dzieci. Porozmawiajcie z nimi i przedstawcie taką propozycję: Davies zostawi każdemu z nich trochę pieniędzy - całkiem niezłą sumkę, jeśli zważyć, że aby ją otrzymać, musiały jedynie urodzić się w związkach pozamążeńskich, co me jest znowu taką trudną sztuką - pod warunkiem, że zgodzą się na dwie rzeczy; (a) nie będą zdręczać rodziny Daviesa w Anglii prośbami o choćby jednego pensa więcej, bo własna rodzina, nawet dla tego maniaka, jest nadal najważniejsza, oraz (b) przyjmą nazwisko Davies. Zgadza się, panie Macy, muszą zmienić nazwisko. Najstarsze będzie miało czterdzieści lat, prawda? Ale jeśli jakiś bękart chce jego pieniędzy, musi zmienić nazwisko. Ile dostanie? Suma jest do uzgodnienia, mówi Davies notariuszom, pokazując im zrobiony przez siebie wykres - najlepiej jeśli dzieci zadowolą się najniższą sumą, ale prawnicy mogą przystać na wyższe sumy, w zależności od narodowości i dokonań czy potencjału dziecka. Powiedziano mi, że na tym wykresie są równania. Na przykład Francuzik w wolnym zawodzie jest wart trzy i pół raza tyle, co argentyński marynarz.

Nic dziwnego, że notariusze zaczynają trochę kręcić nosami. Wykazują, że skoro nikt dotąd nie zgłosił się do starego Daviesa, a ma on - nie owijajmy tego w bawełnę - i tak niedługo pójść do świętego Piotrka, to nie ma potrzeby odgrzebywać starych problemów. Poza tym, zauważa jeden przytomny notariusz, jeśli te nieślubne dzieci przyjmą nagle jego dobre nazwisko, postawi to Daviesa w niekorzystnej sytuacji.

- Ależ skąd - mówi Davies - zupełnie nie rozumiecie, o co mi chodzi. Te dzieci są moje i wszystko, co osiągną na tym świecie, jest też moje, i powinni nosić moje nazwisko, bo jestem z nich dumny. Chcę, żeby

nazwisko Davies żyło w nich i w tym, co robią. Wszyscy jesteśmy Daviesami - mówi stary, nielecho się przy tym denerwując - to moja dynastia.

- No cóż, jesteśmy tylko notariuszami - mówią notariusze - i szukanie pańskich porzuconych bachorów w czterech stronach świata to nie nasza sprawa - chociaż nie ujmują tego tak ostro w rozmowie ze swoim majątnym klientem, jak sędzę.

Ale on nie chce ich słuchać:

- Wynajmijcie do tego detektywów. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, po prostu to zróbcie, zalegalizujcie to, zawrzyjcie w jakimś dokumencie, aja to podpiszę, ale zróbcie to szybko, bo czas nagli, prawda? Jeśli będę musiał, podpiszę in blanco i później możecie tam wstawić imiona dzieci. - Tak mniej więcej ujął to Davies.

Już słyszę, jak pan pyta: - Ile mogło być tych matek? - No cóż, pierwsza lista Daviesa okazała się listą wstępną. Ostateczny rejestr puchł przez następnych kilka dni, w miarę jak gruby piwowar wzywał z powrotem notariuszy, by dodawać nazwiska, które mu się przypomniały, albo kiedy znalazł podpis jeszcze jednej damy u dołu jakiegoś starego liściku miłosnego, który palił przed udaniem się na randkę z Wszechmogącym. Kiedy 21 czerwca 1922 roku skontaktowała się ze mną w oddziale w Sydney kwatery główna, rejestr potencjalnego potomstwa Daviesa liczył trzydzieści osiem nazwisk i nadal rósł.

„Teraz co do oddziału w Sydney" i „kwatery głównej" - powinienem to wyjaśnić. Prowadziłem własną firmę, Biuro Detektywistyczne Ferrella, do marca 1922 roku, a więc zamknąłem ją zaledwie na parę miesięcy przed tą sprawą, *Sprawą rozwiązłego piwowara i morderstw na pustyni*, co? Bierze

pana? Nie było to szczególnie lukratywne przedsięwzięcie, to biuro, ale miałem smykałkę do przebierania się i nakłaniania ludzi, by mówili prawdę albo przynajmniej okazywali, kiedy kłamią. Nie da się ukryć, że byłem odważnym skurczybykiem. Znałem moje Sydney na wylot i nie miałem czasu dla przestępców, którzy myśleli, że są geniuszami, bo żaden z nich nigdy nim nie jest, panie Macy. Po latach zajmowania się nimi mogę panu powiedzieć, że na tym świecie nie ma więcej niż trzy typy ludzi, a może nawet nie trzy.

Potem, w marcu 1922 roku, otrzymałem ofertę przyłączenia się do Ogólnoświatowej Agencji Śledczej Tailora, rozwijającej się firmy londyńskiej, która chciała tchnąć trochę prawdy w tę „ogólnoświatowość”. Trochę się wywiedziałem o tym ich interesie. Firmę prowadził Nicholas Tailor, który naprawdę był Węgrem o nazwisku Miklos Szabo i któremu nieźle powiodło się w Anglii, bo został kimś w rodzaju poufnego detektywa dżentelmenów, z nieokreślonym kontynentalnym akcentem i aurą światowego obycia. Całkiem mi to odpowiadało, nie powiem, więc po wymianie jednostek pieniężnych i dyskusji z ich przedstawicielem o tym, kto komu i kiedy płaci, zjadłem szyld Biura Detektywistycznego Ferrella i poleciłem gościowi, którego znałem, żeby zawiesił inny, z napisem: Ogólnoświatowa Agencja Śledcza Tailora, Oddział w Sydney.

No i niedługo po naszej transakcji dostałem polecenie w sprawie Daviesa. Otrzymałem taki sam list jak pracownicy Tailora na całym świecie, z opisem zadania zleconego nam przez tych londyńskich notariuszy, którzy wynajęli agencję Tailora. Bo oczywiście jednym z portów, do których zawijał zacny pan Davies, było Sydney, tak więc miałem odnaleźć pewną damę nazwiskiem Eulalie Caldwell, która w roku 1890 albo 91, a może w 1892

albo 93 (na ile pamiętał Davies) była atrakcyjną młodą kobietą bez zobowiązań, mieszkającą na Kent Street (w bardzo niebezpiecznej części Sydney), utrzymującą się z dorywczej pracy w charakterze pomywaczki. Koniec informacji.

Panie Macy, nie codziennie detektyw zaczyna szukać zaginionego spadkobiercy, a zamiast tego rozwiązuje zagadkę dwóch podwójnych morderstw, z których jedno popełniono cztery lata wcześniej. A tego właśnie dokonałem. Jeśli delektuję się szczegółami tego triumfu, tak niezwykłego w mojej długiej i trudnej karierze, to ufam, że pan to zrozumie.

W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku Kent Street była ponurą dziurą i do roku 1922 nie zmieniła się na lepsze. Ale znałem podobne slumsy, bo w dziedzinie, którą wybrałem, trudno było uniknąć takich miejsc. Z tą wiedzą z pewnością nie podzielałem złudzeń pana Daviesa, że jego śliczna młoda panna zatrzymała się tam tymczasowo w drodze do lepszej przyszłości. Jeśli jeszcze żyła, nie powinna mieszkać daleko od Kent Street. Nie zajęłoby to mi dużo czasu, więc ciekaw byłem tylko tego, w jaki sposób wystawić londyńskiej kwaterze głównej rachunki za maksimum godzin i wydatków, bo ostatecznie i tak za wszystko mieli zapłacić ci notariusze i pan Davies.

Rejestry publiczne, rozpytywanie się wkoło, niezbyt trudno jest znaleźć informacje o czymś takim. Dwa dni później, 24 czerwca, jestem już w brzydkiej kamienicy czynszowej, nie na samej Kent Street, ale dwie przecznice dalej. Co za widok, jak ci biedaczyska żyją. Czuję się prawie jak święty - ci ludzie potrzebowali pieniędzy Daviesa, a ja przybyłem tam po to, żeby pomóc przynajmniej jednej z tych osób wypowiedzieć właściwe słowa i ich trochę dostać. Wie pan, czego chcą tacy ludzie? Trochę miejsca,

żeby być samemu, spokojnie pospać, utrzymać czystość. Trochę prywatności. Nie ma pan o tym pojęcia, panie Macy, żyjąc w swojej wielkiej posiadłości w Nowym Jorku. Współczucia, widzi pan, mi nie brakuje.

No wiec jestem tam w zatłoczonym pokoju i staram się jak cholera wydusić coś sensownego z kobiety, która wygląda na jakieś sześćdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt lat, jest bezzębna i okropna, z nosem jak gnijąca kapusta, resztą ciała zupełnie bezkształtną. Pan Davies musiał być bardzo samotnym marynarzem, nawet trzydzieści lat wcześniej, bo baba mówi, że nazywa się Eulalie Caldwell. (Chociaż podaje mi datę urodzin, z której wynikałoby, że ma czterdzieści dziewięć lat. Takie są kobiety.)

Kamienica wygląda tak, jakby gryzonie kursowały tam, kiedy tylko miały na to ochotę, a od hałasu wywoływanego przez inne rodziny na górze i na podwórku cierpną człowiekowi zęby. Jeśli jest w tym tłumie bachor Daviesa, to ma około trzydziestki, a niektórzy mogliby pasować do tego rachunku, ale kto to wie, bo wszędzie kręcą się tam ludzie, wpadając i wypadając, wrzeszcząc, wnosząc albo wyciągając jakieś rupiecie i śmieci. Są tam dzieciaki, które nie mają więcej niż trzynaście lat, oraz młode, gniewne byczki, które twierdzą, że są jakimś stróżami czy dozorcami, ale instynkt mi mówi, że robią ciemne interesy. Parę młodych, niechlujnych kobiet, w których rozpoznałem przedstawicielki dyskretnej profesji. Nie można się zorientować, kto jest z kim spokrewniony, a nawet kto tam mieszka. W moich notatkach z tamtego dnia jest napisane: „Brudne zwierzaki”, ale nie wiem, czy odnosiło się to do szkodników, zwierząt domowych czy tych ludzi.

Stoję tam, starając się nakłonić Eulalie, żeby mnie wysłuchała. Widać, że

nie nadaje się już do żadnej pracy, jeśli w ogóle kiedyś się nadawała. Jest bezużyteczna i modlę się, żeby udało mi się wycisnąć z niej jakieś resztki aktywności mózgu, kiedy wchodzi niski, chudy, czarnowłosy facet o chorobowitym wyglądzie, z podkasanymi rękawami koszuli, który wyjmując ze swojej torby kawałek chleba, odrywa z niego skórkę i kładzie mięsz na kolanach starej. Ona spogląda na chleb i kiwa głową, jak do starego znajomego. Facet stoi za nią i przygląda się mi. Wydaje się prawdopodobnym kandydatem na spadkobiercę. Zadaję pytanie:

- Czy ktoś z was zna niejakiego Barnabasa Daviesa?

Eulalie wybałusza na mnie oczy, ale potem gryzie tylko ten swój chleb i patrzy na swoje stopy. Ten gość zaczyna negocjacje od: - A jeśli znamy, to co? - co ja kontruję standardowym w moim zawodzie: - No to wtedy mam do was kolejne pytanie. - Facet musi jeszcze trochę poudawać, słyszę więc: - A w ogóle to kim pan jest? - na co zawsze pada odpowiedź: - To zależy, nie? -W końcu dochodzimy do: - Ona może zna Daviesa. Ale jeśli on chce ją teraz, to trochę za późno, prawda?

- Nigdy nie wiadomo, synu. Pracuję dla bardzo wpływowych ludzi - i on trawi to przez chwilę, po czym jedziemy dalej: tak, tak, Davies to nazwisko znane temu młodemu, ale Eulalie wciąż nie mówi ani słowa, tylko bierze od niego butelkę piwa.

Facet zaczyna wyduszać z siebie strzępy opowieści, to o tym, to o tamtym, które muszą pozbierać do kupy i dopasować. On sam, Tommy, jest jednym z bachorów Eulalie Caldwell, jednym z jedenaściorga, które ujrzały światło dzienne i nie zmarły w pierwszym roku życia. Tommy zna nazwisko Barnabas Davies tylko stąd, że Eulalie „stale paplała” o Barnabasiu, kiedy Tommy był chłopcem. - Barnabas - jedyna prawdziwa

miłość jej życia, mężczyzna, który uczyniłby z niej szczęśliwą kobietę w Londynie, ale los chciał inaczej. Chryste, co za śpiewka. Myślę. - To była łatwa sprawa, mam chłopaka i teraz przejdziemy do zmiany jego nazwiska, zadanie wykonane. Ale nie: ojcem Tommy'ego był jej następny chłop, który został dłużej niż Davies i mieszkał z nią i z dziećmi przez parę miesięcy życia Tommy'ego, a nawet wrócił jeszcze później, by zostać ojcem dziecka numer cztery, ale nigdy nie „umywał się” do tajemniczego Daviesa, który pojawił się i zniknął jak wiatr, ale kiedy wypływał w morze, obiecał, że wróci po śliczną dziesięcioletnią, z którą (na której) spędził weekend. Nie, okazuje się, że Tommy jest dzieckiem numer dwa. Ma siostrę z tych samych rodziców (dziecko numer cztery), a poza tym jest trzódka przyrodniego rodzeństwa, tragiczne historie, którymi chce się teraz ze mną podzielić, ponieważ tam jestem i myślę, że o to pytałem, a których słucham bez zainteresowania, bo nie mają związku z moim zadaniem: długa i nużąca litania martwych noworodków, głodu, złamanych przyrzeczeń wsparcia, składanych przez tego czy tamtego łgarza, tutaj prostytutka wbrew swojej woli, ale osiągająca niejaki zyski, tam okropne małżeństwo, jeden chłopiec zabity pod Gallipoli, inny pracujący na jakiejś stacji na północy, i tak aż do trzynastoletniej dziewczynki stojącej przede mną (brak imienia w moich notatkach).

Oczywiście było to wszystko piekielnie nudne, jak zawsze nudna jest bieda, a kiedy Tommy wyśpiewał to wszystko, wróciliśmy do głównego pytania. Gdzie jest starszy brat przyrodni Tommy'ego, spłodzony przez Daviesa, dziecko Eulalie numer jeden? I dopiero wtedy Eulalie podnosi na mnie wzrok i zaczyna wydawać dziwne dźwięki, potem płacze, przez co chcę powiedzieć, że kapie jej z nosa jak z kranu, a jej usta drżą, ale nie płyną



żadne ły.

- Och, Paul - mówi i nie może pan sobie nawet wyobrazić, jaki zły robi się Tommy, nie na mnie, ale na tę siedzącą przed nim, pijaną wiedźmę, której dopiero teraz udaje się sklecić dwa słowa.
- Zamknij gębę, dobrze? Rusz dupę i posprzątaj trochę, ty cholerna suko.

I płaczącej udaje się wyjść z pokoju, a najmłodsza dziewczucha wlecze się za nią i obrzuca Tommy'ego wyzwiskami.

Wracając do opowieści owego wściekającego się, oddychającego chrapliwie człowieczka: Paul Barnabas Caldwell był „o rok czy dwa starszy” od Tommy'ego, co znaczyło, że urodził się w 1892 czy 1893 roku, co zgadzało się z moimi wytycznymi. Tommy nienawidził Paula. Oczywiście kiedy był mały, kochał go - jest twoim starszym bratem, kochasz go i żałujesz, kiedy dostanie w ucho od mamy albo od pana domu (najwyraźniej tytuł przechodni) czy od Bowleksa (Dowleksa? myślę, że odczytuję to właściwie) - ale Paul szybko podrósł i też zaczął się rządzić: zaczął oddawać Eulalie, zanim uciekł na dobre. No i był dobrym uczniem, zaskakująca rzecz, nawet kiedy był małym chłopcem. Tommy'emu się to jednak nie podoba - Paul jako jedyny miał szansę uczęszczać do szkoły, prawdziwą szansę, bo Eulalie wtedy jeszcze trochę pracowała, więc Paul chodził do szkoły „regularnie, a nie tylko od czasu do czasu”, podczas gdy pozostałe rodzeństwo to chodziło, to przestawało chodzić, pomagając matce w pracy, rzucając książki, jak tylko państwo orzekło, że skończyli naukę. Co gorsza, Eulalie stale powtarzała Tommy'emu i pozostałym dzieciom, że Paul jest wyjątkowy, bo jego ojciec był kimś wyjątkowym, i rzucała to też w twarz ojcu Tommy'ego: „Ty nie jesteś Barnabas Davies”. Tommy wyjawiał mi z cichym, pełnym złości zdumieniem, że Paul „nie był nawet za to wdzięczny”,

nazywał Eulalie kurwą i źródłem hańby, mówił, że nie jest jego matką, że właściwie nie jest nawet kobietą, wychodził, żeby odwiedzić swoich kolegów, i „nigdy mnie ze sobą nic wziął - ciągnie Tommy - ani razu mnie nie wziął, nie pokazał swoich książek i obrazków, patrzył na mnie, jakbym był głównem, bo moim ojcem nie był ten pański Davies, a tylko biedny, stary Tom z baru. Ale raz mu się odpląciłem - śmieje się Tommy, pokazując nieliczne zęby - dobrze mu odpląciłem. Ściągnąłem jedną z jego książek z biblioteki, naprawdę brzydka, wziąłem ją i pokazałem Rowlerowi (Bowleksowi?). Paul dostał manto tego dnia. Było na co popatrzeć”.

No cóż, panie Macy, może pan sobie wyobrazić, że był to nużący spektakl - mściwe kłamstwa, pełne uzalania się nad sobą, opaczne wspomnienia - ale przynajmniej mogłem to zrozumieć i znosić, dopóki wypełniałem moje zadanie. Musiałem sporo tego wysłuchać, zanim udało mi się uspokoić Toma na tyle, by odpowiedział mi: gdzie jest teraz Paul Davies? Moja pomyłka wywołała następną burzę:

- To nie jest Paul D a v i e s, to jest Paul C a l d w e l l, słyszy pan? Nazwisko Caldwell jest dla niego wystarczająco dobre, ma szczęście, że je nosi.

- Dobrze, Tom, a zatem Paul Caldwell. Gdzie on jest?

Okazuje się, że Paul zniknął, kiedy Tommy miał trzynaście czy czternaście lat. Nic nie powiedział, kiedy się wyniósł.

- To załamało Eulalie - mówi Tommy. - Potrzebowała go. Miał być panem tego domu, a teraz muszę wysłuchiwać tego przekłętą gadania, że nie jestem synem Barnabasa Daviesa.

- A potem, powiedzmy, po roku 1907?

- Tak, ta bolszewiczka, jak ona się nazywa, ta zwariowana bibliotekarka, przychodzi do nas któregoś dnia, w osiemnastym albo w dziewiętnastym,

wymuskana, układna i zniesmaczona naszym widokiem, i pokazuje nam list z wojska, w którym piszą, że Paul zaginął, był kapralem, i nie ma o nim „żadnych dalszych informacji”. Nawet nie wiedzieliśmy, że poszedł na wojnę. On zaginął, a Mick poległ na tej tureckiej plaży, niech to szlag, Eulalie płakała przez miesiąc. A teraz, czego, na Chrystusa, pan od nas chce?

Moje notatki mówią: „Dwie i pół godziny z tymi zwierzakami. Wystawić Londynowi rachunek za dziesięć godzin”. To żadne przestępstwo, panie Macy, ponieważ Londyn ze swej strony wystawia notariuszom rachunek za dwadzieścia, a oni Daviesowi za czterdzieści godzin, i dobrze tak temu łajdakowi, skoro zostawiał kobiety w rozpaczach. Potrafi pan to sobie wyobrazić, Macy? Na całym świecie tacy detektywi jak ja grzebią w otwartych ranach nieszczęśliwych rodzin i porzuconych kobiet. Właśnie wtedy, akurat w tamtym momencie, musiało się rozgrywać na całym świecie tyle żalonych, pełnych płaczu scen, że ich uczestnicy zapełniliby duże miasto, tylko dlatego, że pan Davies był za miodu pożeraczem kobiecych serc i chciał, żeby go za to kochano, kiedy został starcem.

Moje notatki mówią też: „Zlecenie od Tommyego Caldwell, żeby dostarczyć jakichkolwiek wiadomości o adresie albo grobie Paula Caldwell, pokrycie wydatków w miarę potrzeb”. Miałem drugiego klienta w sprawie, która zyskała teraz miano sprawy Paula Daviesa/Paula Caldwell, chociaż bardzo wątpiłem, czy ma zamiar mi za to zapłacić.

Panie Macy, ostatniej nocy spałem jak niemowlę - żadnych koszmarnych snów, przewracania się czy choćby przekręcania na łóżku. Już za samo to dziękuję panu. Za to tylko, że pan i ja pracujemy razem nad tym pamiętnikiem, wracając do starej sprawy, wyjaśniając jej logikę i strukturę,

pozwalając, by świat dowiedział się, co osiągnąłem. Czuję się jak nowo narodzony. Zjadłem nawet dzisiaj rano całe śniadanie, przełknąłem całą tę truciznę i muszę przyznać, że mi smakowała. Wczoraj wieczorem, zanim zasnąłem, wyciągnąłem spod mojego żelaznego łóżka inne pudła z kartotekami i przeczytałem parę najlepszych z nich, chociaż ten pierdziel, który śpi obok mnie, marudził, że mu przeszkadza światło i nawet zawołał jednego z tych twardzieli, żeby zmusili mnie do jego zgaszenia, ale to nieważne. Jak skończymy z tą sprawą, to myślę, że inna, którą nazywam *Śmiercią pięknej dziewczyny*, znajdzie uznanie naszych czytelników. („Nie przegap kolejnej opowieści przygodowej pióra Ferrella i Macy'ego, która ukaże się w przyszłym miesiącu!”)

A zatem sprawa Barnabasa Daviesa była zamknięta, co? Mieliśmy nazwisko sydneyjskiego dziecka Daviesa: Paul Caldwell, urodzony w 1893 roku. Mieliśmy też zarys jego osobowości do czternastego roku życia: inteligencja prawdopodobnie powyżej średniej, ale zabarwiona złością porzuconego dziecka, tkwiącego w nędzy jak w pułapce. Oprócz tego nie wiemy nic o synu, którego zostawił pan Davies, kiedy wsiadł na swój statek i zapiął rozporek. Wiemy, że chłopak poszedł walczyć na wojnie i że nie wrócił do domu. „Zaginiony”, panie Macy, znaczy, że nie zdołali rozpoznać zmasakrowanych ciał leżących we francuskim błocie, na tureckiej plaży czy w Kanale Sueskim. A Melbourne nazywało poległym każdego, kto był przez pewien czas zaginiony. Zdaje mi się, że to w dziewiętnastym albo w dwudziestym oświadczyli, że nie ma już żadnych zaginionych - akta wszystkich „zaginionych” zostały przemianowane na akta „poległych”. A zatem, według oficjalnych danych, Paul nie żył, chociaż z jakiegoś powodu nikt nie zadał sobie trudu, żeby powiadomić o tym Eulalie i Tommy'ego.

Tak czy inaczej, myślałem, że sprawa jest zamknięta.

Ale potem pomyślałem o tym jeszcze raz, panie Macy, i była to, jak przekonają się nasi czytelnicy, przełomowa i dramatyczna chwila. A niby dlaczego mam zamknąć tę sprawę? Mogłem przecież nakręcić mnóstwo godzin, starając się odkryć szczegóły życia i służby wojskowej Paula Caldwell, żeby przesłać je jego dumnemu tacie. To prawda, nie ma spadkobiercy, któremu można by dać pieniądze, ale „zaginiony” to niezupełnie to samo co „zmarły”, a więc dlaczego nie sprawdzić, co da się znaleźć? A jeśli nie żył, to może został bohaterem wojennym i dałoby mu się pośmiertnie zmienić nazwisko, zrobić z niego odważnego Paula D a v i e s a, mężnego męczennika Ardenów, żeby stary, konający piwowar mógł sobie kupić sympatycznego, poległego syna-bohatera, a ile było to warte według jego wykresu i kto miał za to zgarnąć pieniądze ze spadku? Mój umysł szybko pracował, zaczynała się stara gra, a londyńska kasa miała mi zapłacić za miłe wakacje.

Musiałem teraz pociągnąć za odpowiednie sznurki, żeby uzyskać dostęp do wojskowej kartoteki Caldwell. Dokumenty były zamknięte w Melbourne i nawet rodziny nie mogły ich przejrzeć. I nadal nie mogą. Nawet Daviesowi z Londynu, najbliższemu krewnemu, przesłano by tylko krótki list z informacją o śmierci i stopniu, który miał, kiedy zginął. Ale jeśli interesuje pana, panie Macy, praca detektywa, to potrzebna jest panu siatka chętnych do pomocy osób. A jak pan ją ma, to nic prostszego na świecie - pewien facet winien mi jest przysługę, zna innego faceta, który opiekuje się paroma dziewczynami w Melbourne, a jedna z nich pracowała u gościa, który znał faceta pracującego w biurze historyka w Obronie Narodowej, i ten facet winien jest pierwszemu przysługę, albo ten pierwszy mógłby

napomknąć w Obronie, że ten drugi zabawiał się z niewłaściwą dziewczyną (nie mówiąc wprost: aborygenką) i wpuścił się trochę grosza (oczywiście zaliczonego do wydatków w sprawie Barnabasa Davicsa) w ten długi łańcuch bezimiennych, ale pomocnych osób, a uzyskał się tą drogą parę nabazgranych notatek, i teraz, kiedy ładnie przepisuję te notatki do mojej kartoteki, mamy 7 lipca, i dodaję moje pierwsze pytania, a to wszystko brzmi dokładnie tak:

Paul Caldwell. Urodzony w 1890 (Tommy powiedział, że w 1893). Zgłosił się na ochotnika do piechoty (dlaczego?) w październiku 1916 z postanowieniem (przez kogo wydanym?), że do czasu powrotu Australijskich Sił Imperialnych do domu będzie pełnił służbę wyłącznie w Egipcie, z powodu wiedzy specjalistycznej i okoliczności (jakich?). Zaciągnął się jako szeregowiec (jeśli posiadał wiedzę specjalistyczną, to dlaczego jako szeregowiec?). Przydzielony do piechoty w Tel el-Kebir w Egipcie. Dwukrotnie awansowany i odznaczony za wzorową służbę, z listem pochwalnym, dołączonym do akt, podpisanym przez kapitana armii brytyjskiej H.S. Marlowe'a. (Dlaczego angielski kapitan zwracał sobie głowę Australijczykiem?) Zaginiony na przepustce 12 listopada 1918. Później tubylcy na dalekim południu w Deir el-Bahari (500 mil od jego obozu) odnajdują karabin Caldwell'a, blaszki identyfikacyjne Caldwell'a i H.S. Marlowe'a. (Oficer angielski razem z Australcem na przepustce?) Stopień na koniec służby: kapral. Przy ostatecznym zamknięciu akt, 29 czerwca 1919 roku, kategoria „zaginiony” zmieniona na „poległy”.

Ponieważ kapitan Marlowe był brytyjskim oficerem, jego kartoteka znajdowała się w Londynie, a więc musimy się na razie zadowolić tym, co już

mamy, mój dobry Watsonie. A co do pytań, które zapisałem w moich notatkach tego dnia, to tylko nieliczne z tych, które powinny nasunąć się bystremu detektywowi po zapoznaniu się z przytoczonym wyżej streszczeniem. Pozostawiam panu policzenie zagadek kryjących się w tych stu paru słowach, ponieważ mnożą się one szybko jak króliki. Mimo to daję panu w prezencie pewną wskazówkę, na wypadek gdyby nie był pan zbyt mocny w historii: wojna zakończyła się 11 listopada 1918 roku, dzień przed zniknięciem Paula.

Jeszcze jeden fragment z akt tego chłopca: „Najbliżsi krewni: pani Emma Hoyt, adres Cyrku Latających Braci Hoytów, Sp. z o.o., Sydney”. To tyle, jeśli chodzi o Eulalie Caldwell i brata Tommy'ego; nic dziwnego, że chcieli otrzymać wieści od trzeciej strony - nie powiadomiono ich, że Paul zaciągnął się do wojska. Wydaje się, że pokrewieństwo było skomplikowaną sprawą dla naszego chłopca. Musiałbym zapytać tych notariuszy, czy spadek po Davicsie może przypaść tej nowej krewnej, jeśli Paul Caldwell nie żyje i jakoś wstecznie może zostać przechrzczony na Paula Daviesa?

Dzień dobry, panie Macy! Mamy kontynuować? Dobrze.

Oczywiście pamiętałem Cyrk Latających Braci Hoytów- ale najpierw słyszę biadolenie niecierpliwego pana Macy'ego: „Co ta cała rozwlekła opowieść ma wspólnego z moją biedną zawiedzioną ciotką i zaginionym ciotecznym dziadkiem?” Wszystko, panie Macy, wszystko. Cierpliwości. Miej pan trochę wiary w gawędziarzy, co?

No więc oczywiście pamiętałem Cyrk Latających Braci Hoytów, ale bardzo się zdziwiłem, że nadal istnieje, kiedy 8 lipca 1922 roku poszedłem do kasy biletowej tego cyrku, żeby zapytać o Emmę Hoyt.

- Zaraz ma wystąpić - powiedział łysy, wąsaty mężczyzna bez koszuli,

który siedział w budce. - Wielbiciele mogą się z nią spotkać po występie, ale dam ci radę, koleś - będzie bardziej skłonna pogadać z tobą, jeśli obejrzysz jej występ.

- Już trwa? - zapytałem, rozglądając się po polu wokół nas, patrząc na zapadnięty żółty namiot i troje czy czworo ludzi kręcących się między wozami cyrkowymi.
- Zaczyna się za pięć minut. Szczęściarz z pana.

Zapłaciłem za miejsce w pierwszym rzędzie i łysol podniósł się, żeby przedrzeć bilet, który mi właśnie sprzedał, a potem zaprowadził mnie na miejsce, zaciągając za nami brezent. Policzyłem osoby na widowni; byłem jednym z ośmiorga widzów, chociaż na ławkach, stopniach schodów i w rzędzie dużych sof ze stołami było ze trzysta wolnych miejsc. Mój przewodnik posadził mnie, a potem poszedł dalej pustym przejściem, przekroczył drewniany płotek ze złuszczającą się czerwoną farbą, otworzył furtkę w wysokim metalowym ogrodzeniu wokół piaszczystej areny, zamknął ją za sobą i podniósł megafon.

- Panie i panowie - krzyknął, chodząc wkoło i patrząc nad moją głową na niegdysiejsze tłumy.

Zakończywszy uwagi wstępne, wziął bicz i podniósł haczyk z tyłu klatki. Weszły chyłkiem trzy ogromne tygrysy. Nasz łysol leniwie asystował im, kiedy dawały susa przez siebie nawzajem, przekręcały się na grzbiet i skakały przez metalową obręcz, wykonując to wszystko ospale, ale z nagłymi wybuchami sprzeciwu, których bicz nie poskramiał zbyt szybko. W finale kazał tygrysom, nie bez oporu z ich strony, położyć się, a potem znowu podniósł haczyk z tyłu klatki. Tam, dramatycznie oświetlona z tyłu, ukazała się dziwna, mała postać, po czym do klatki wszedł pingwin. Ptak okrążył



rozciągnięte tygrysy, przespacerował się w tę i z powrotem po ich grzbietach, a potem „obrócił” je, drepcząc w miejscu na ich brzuchach, kiedy się pod nim przekręcały. Wreszcie zlął, okrążył arenę, żeby zebrać oklaski, i ponownie podszedł do tygrysów, żeby pocałować każdego z nich w nos (upřednio bez wątpienia spryskany czymś o zapachu śledzia). Dzieci zaniemówiły z wrażenia, a potem zaczęły się śmiać. Był to, jak sądzę, świetny numer. Dopóki wszystko szło zgodnie z planem.

Ale trzeci kot miał już dosyć jak na ten dzień - kiedy śmierdzący rybą pocałunek musnął jego wąsaty, drgający nos, machnął nagle pomarańczowo-czarną łapą i pingwin spojrzał na trzy czerwone pręgi na swojej piersi z takim zdumieniem, jak bogacz, który rozlał bordo na swoją smokingową koszulę. Oszołomiony, podniósł głowę. Spojrzał na leniwego pogromcę tygrysów, który go wytresował, nauczył, jak ma, dwa razy dziennie, odbywać swoją eskapadę i sam był zaskoczony wyłamaniem się tego tygrysa z dyscypliny, a teraz podnosił bicz i krzyknął na kota, ale było już za późno. Znowu mignęła łapa i bezgłowyjuż pingwin zachwiał się, ale nie przewrócił, ponieważ druga łapa tygrysa przyszpiliła jego ple-twiaste stopy do piasku. Tygrys miał już spróbować trunku, który przed chwilą odkorkował, kiedy poczuł smagnięcie bicza na grzbiecie i odwrócił się z rykiem ku człowiekowi, który zarówno chłostał go, jak i żywił od kocięcych lat.

- Nie będziesz na mnie warczał, chłopcze, ooo nie! - krzyknął mój bileciarz, okładając wściekle zwierzę.

Dopiero teraz, kiedy malutka głowa ze zdumionymi oczami w kształcie paciorków legła na czerwonej, drewnianej balustradzie, dwoje dzieci na widowni, siedzących parę rzędów wyżej, zdało sobie sprawę, że nie było

dobrze z pingwinem, którego wygłupy podziwiała.

Z powodów, które -jak wyjaśniła mi później pani Hoyt- miały istotne znaczenie dla utrzymania tych bestii w dyscyplinie i zapewnienia bezpieczeństwa ich panu, musiały one wykonać bezbłędnie cały numer od nowa, zanim pozwolono im wyjść z klatki i dostać mięso w nagrodę. Podczas kiedy tych dwoje dzieci szlochało, a ich rodzice mówili: „Spokojnie, spokojnie, to tylko taka sztuczka”, zdenerwowane tygrysy, warcząc groźne na swojego pana, wykonały ponownie swoje zadanie. Znowu dają susa, przekraczają się przez grzbiet, skaczą przez obręcze. Znowu kładą się wszystkie, patrząc przed siebie. Znowu podnosi się haczyk z tyłu klatki. Znowu pojawia się dramatyczna sylwetka pulchnego niskiego kolesia o nosie jak banan. I znowu wchodzi pingwin, spodziewając się oklasków i świeżej ryby. Nie mam pojęcia, o czym myślał ten pingwin, kiedy przechodził koło swojego bezgłowego kolegi, który wyglądał jak brudna piłka.

- Nie! Nie! Uciekaj! - krzyknął chłopiec z mojej lewej strony.

Wspominam tę scenę, panie Macy, tylko po to, żeby przedstawić stan, w jakim znajdował się ten cyrk w 1922 roku, bo potem oglądałem parę chińskich akrobatów w średnim wieku, ku zaniepokojeniu widowni wyginających się w najbardziej niezwykle kształty. Oglądałem mężczyznę w wysadzonym cekinami kostiumie, który huśtał się ospale na trapezie, zanim spadł na siatkę, a z niej na ziemię i zaczął zdejmować kostium, zanim zniknął za zasłoną. Przez cały czas grał na rozstrojonym pianinie jakiś wyraźnie zniechęcony do wszystkiego sześćdziesięciolatek. Od czasu do czasu mamrotał z bolesną powagą do wystraszonych dzieci:

- Ach, cyrk! To magia, czysta magia!

- Wie pan, to człowiek po konserwatorium - powiedziała mi później,

pochylając głowę, wybrana przez Paula Caldwell na najbliższego członka rodziny Emma Hoyt. Oczywiście jej interes był na krawędzi upadku. Myślę, że podtrzymała go jeszcze z tydzień, ale byłem świadkiem przed śmiertnych skurczów Cyrku Latających Braci Hoytów. Większość zdań zaczynała od słów: „W lepszych czasach”, albo: „Kiedy żył mój mąż, Boyd”, albo, co najbardziej interesujące: „Paul bardzo by się zdenerwował, gdyby zobaczył, że wszystko tak się kończy”.

Kobieta w wieku czterdziestu pięciu lat albo coś koło tego, i nie pozbawiona uroku, nadal ubrana była jak major w jakiejś noszącej jaskrawe mundury armii, włosy blond wcisnęła pod czerwony cylinder. Pałała jednego papierosa za drugim, ale się nimi nie zaciągała. Jej wóz pachniał perfumami, psami, z którymi występowała, i odchodami dzikich zwierząt.

Miała ochotę porozmawiać o Paulu Caldwellu. Powiedziałem jej, że być może odziedziczyła po nim pewną sumkę, ale zbeształa mnie:

- To niemożliwe. On jest tylko zaginiony.

Opracowałem moje notatki tak, żeby się panu łatwiej czytało, oddając mniej więcej to, co na pewno powiedziano. (Uważa pan, że powinniśmy przedstawiać wygładzone opowieści z długimi dialogami, czy tylko fragmenty moich notatek? Mniemam, że ta druga wersja jest bardziej „rzeczywista”, ale czytelnik woli czuć, że to jemu się to przydarza, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.)

- Pańska wizyta, panie Ferrell, przywołuje tak wiele wspomnień. Paul był najcudowniejszą rzeczą, jaka przydarzyła się temu cyrkowi, jego miłość do tego, co robiliśmy. Myślałam o nim codziennie, kiedy walczył na wojnie właśnie o to, o magię naszego cyrku. Och, proszę mnie źle nie zrozumieć, wiem, że Niemcy też mają dobre cyrki, ale jestem pewna, że kajzer nie był

ich wielbicielem. My, wolni ludzie, cenimy rzeczy, których tacy jak on nigdy by nie tolerowali.

Napisałam do Paula, kiedy Boyd został wezwany, by odebrać swoją wieczną nagrodę, oznajmiłam mu, że zrobię wszystko, żeby zatrzymać dla niego ten cyrk. Mógł go wziąć, gdyby zechciał, po wojnie. Mógłby przywrócić mu świetność. Takie oddanie.

Oczywiście chce pan usłyszeć, jak to się zaczęło. Paul dołączył do nas, kiedy miał dziewiętnaście czy dwadzieścia lat. Odkrył go Boyd, powiedział, że ma niezwykły, wrodzony talent. Zobaczył Paula na rynku i trochę za nim pochodził, obserwując go w działaniu. Potem udał, że przed nim idzie, niczego nie świadom, że się pochyla i zawiązuje but, a kiedy się wyprostował, po prostu chwycił Paula za rękę i odebrał mu swój portfel. Oczywiście przez chwilę Boyd udawał, że jest gliniarzem, rozumie pan, żeby przestraszyć Paula. Ale potem usiadł z boku i wskazywał ludzi, żeby sprawdzić, czy Paul potrafi to robić na żądanie. Kiedy Boyd wrócił tego dnia do naszego cyrku, był podekscytowany. I co to był za śliczny chłopiec, i inteligentny jak nikt, kogo znałam. Wcześniej był bibliotekarzem, jak pan na pewno wie.

I ta chwila, kiedy Boyd go do nas przyprowadził! Czasami w takim otoczeniu jak nasze widzi się jak rozjaśnia się czyjaś twarz, panie Ferrell. Pewnym ludziom uderza coś do głowy. Paul był jak mały chłopiec. Chciał dotykać wszystkie zwierzęta, nawet tygrysy. Widzi pan, to było w nim takie ujmujące. Wiedział tak dużo o paru rzeczach, był niezwykle bystry, a jednocześnie nie znał najprostszych spraw. Włóczył się po naszym cyrkowym obozowisku. Wszedł do namiotu, a ja za nim. Popatrzył na podwiązane trapezy, na te wszystkie miejsca dla widzów. „Nigdy nie byłeś

w cyrku, Paulu Caldwell? Chciałbyś dostać u nas pracę?" Nigdy nie widział pan takiej szczęśliwej twarzy, i takiej pięknej. „W cyrku?” Zapytał mnie, czy znam pewnego włoskiego siłacza, artystę cyrkowego, o którym kiedyś słyszał. „W cyrku” - powtarzał szeptem, jakby wylądował na księżycu. Wiedziałam, jak się czuł.

- A kiedy został pani kochankiem, pani Hoyt?
- Byłam żoną Boyda, panie Ferrell.
- Ale odniosłem wrażenie, że pan Hoyt był dużo starszy od pani.
- Wie pan, Boyd był klaunem. To znaczy z zawodu. Mógł pana rozśmieszyć do rozpuku. Robił swoją „zawstydzoną minę”, kiedy na przykład przyłapano go na próbie kradzieży krawatajakiemuś mężczyźnie, zamykał wolniutko oczy i garbił się, jakby był bardzo, bardzo niegrzecznym klaunem, a ludzie to uwielbiali. Kochali go. Poza areną był raczej chłodny.

Boyd kazał Paulowi czyścić klatki, sprzedawać bilety, usadzać widzów. To było oczywiście konieczne, to usadzanie widzów. Pozwalało mu to sadzić tych, którzy mieli portfele w kieszeniach spodni, na podwyższonych miejscach, żeby podczas przedstawienia mógł im je wyciągnąć spod ławek. Parę razy sam wystąpił, w szokującym magicznym i dramatycznym pokazie na wieczornym seansie. Boyd uważał, że powinniśmy spróbować czegoś bardziej wyrafinowanego, więc po antrakcie Paul pojawiał się w stroju badacza dżungli i wykonywał coś w rodzaju pantomimy - udawał, że broni się przed napastnikami, pięcioma większymi od niego facetami, zrobionymi na Murzynów z dżungli. Pokonywali go, wiązali, a potem jeden z nich przynosił węża. Niegroźnego, jednego z większych pytonów. Otaczali go, trochę tańczyli, kołysali wężem i pochylali się nad Paulem, żeby publiczność

nie widziała, co się dzieje, ale wysiliła wyobraźnię! Potem ci czarni złoczyńcy odbiegali, jeden z nich z wężem ukrytym w swojej tunice, żeby publiczność go nie zauważyła i widziała tylko związanego Paula, skręcającego się w mękach, rozumie pan, on się szamocze i uwalnia jedną rękę, a potem szarpie się za pierś, rozrywa koszulę i... i otwiera się jego klatka piersiowa i wyłania się z niej głowa węża! Och, to był straszny

widok, kobiety mdlały i gasły światła, a kiedy się ponownie zapalały, Paul składał ukłon. Musiał to zrobić zaraz, przed wywołaniem artystów na koniec spektaklu, żeby ludzie widzieli, że jest cały i zdrow. Graliśmy dla takich tłumów, zanim Boyd zgłupiał. A Paul dostarczał tyle pieniędzy. Wkładał z powrotem portfele po opróżnieniu ich do połowy, rozumie pan, tak że rzadko mieliśmy skargi.

Jednak Boyd myślał podobnie jak pan. Był pewien, że ten chłopiec jest moim kochankiem. No więc spędzał czas ze swoimi tygrysami, rzucając im z chmurną miną mięso. Ale czego oczekiwał? Ze policja odbierze mi Paula po jego donosie, ale nie ogłosi, że w cyrku Hoytów pod ławkami kręcą się złodzieje?

Aresztowali go podczas przedstawienia, bez hałasu, nie wiedziałam nawet, że do tego doszło. Pierwsza oznaka wskazująca, że *coś* jest nie tak, pojawiła się, kiedy ci tubylcy z wężem musieli wykonać jakiś taniec bez ofiary, a potem po prostu odeszli z tym wężem, a widzowie mieli zmieszane miny i spoglądali na zegarki, a później Wang i Songchuk pojawili się na trapezie, okręcając się jeden nad drugim. „Jak myślisz, co się stało z Paulem?” - zapytałam Boyda po przedstawieniu, a on nic nie mówił, tylko palił i dziwnie na mnie patrzył. I wtedy już wiedziałam. „Co mu zrobiłeś?” Bałam się, że zrobił coś strasznego z tymi tygrysami. „Ty stary

niegodziwcze, co mu zrobiłeś?" Nie odzywał się do mnie i minęło parę dni, zanim odnalazłam Paula, ale policja nie pozwoliła mi się z nim zobaczyć. Nachodziłam ich przez wiele tygodni, pukając codziennie do drzwi tego brutalnego inspektora. Ale nie pozwolili mi się z nimi zobaczyć. A potem, pewnego dnia, parę tygodni później, powiedzieli mi, że poszedł na wojnę, żeby uniknąć więzienia.

- Napisała pani do niego, kiedy umarł mąż.
- To było w 1917. Także chciałam mu wyjaśnić, że to nie ja go zdradziłam, że to nie ja go wsypałam. Tak się bałam, że mnie za to obwinia. Nie wiedziałam, gdzie wysłać ten list. Posłałam go po prostu do Ministerstwa Obrony Narodowej. Nie miałam o nim żadnych wiadomości, dopóki nie dostałam zawiadomienia, że zaginął. Widzi pan, podał mnie jako najbliższą

krewną. No i dzięki temu dowiedziałam się w końcu, że nie był na mnie zły, że nadal mnie kochał. I jednocześnie oznajmiono mi, że go straciłam.

Mimo to pomyślałam, że powinnam odnaleźć jego prawdziwą rodzinę. Poszłam do tej okropnej bibliotekarki, Paul mi o niej powiedział. Byli ze sobą w intymnych stosunkach, rozumie pan, nie żeby to była jego pierwsza miłość, bardziej przypadek starszej kobiety wykorzystującej biednego chłopaka w potrzebie. Ale ona przynajmniej wiedziała, gdzie znaleźć jego krewnych. Później dostałam z Obrony Narodowej drugi list, informujący, że zmieniono jego status z zaginionego na poległego, ale nie odnaleziono jego ciała ani niczego, więc wydawało się, że zrobiono to tylko dla uporządkowania dokumentów. Tak chcę, żeby wrócił do takiego samego cyrku, jaki zostawił... ten biedny pingwin...

Nasza opowieść, panie Macy, kończy się dzisiaj sceną, w której dama z

cyrku oplakuje martwego kochanka, martwy cyrk i martwego ptaka. Odczekałem trochę, żeby się upewnić, że dojdzie do siebie, ale po paru minutach nie było widać końca, więc ruszyłem swoją drogą.

Dwa albo trzy dni później otrzymałem list:

Panie Ferrell. Pana wczorajsza wizyta była balsamem na serce znużonej kobiety. Uspokoiłby pan mój umysł jakąkolwiek pewną informacją o losie Paula, jaką uda się panu wydobyć. Chciałabym pana zaangażować, jeśli tak załatwia się te sprawy. Gdyby odnalazł go pan żywego i gdyby z jakichś osobistych powodów pozostawał z dala od nas, wśród zaginionych, to proszę zapewnić go, że go nic zdradziłam, że nigdy bym tego nie zrobiła i że go kocham. Jeśli odszedł na zawsze, proszę mnie powiadomić o jego losach. Niewiele tutaj dla mnie zostało. Pojadę za nim wszędzie - proszę mu to powiedzieć. Wkrótce zostanę sprzedawczynią tygrysów, przynajmniej tymczasowo, a co będzie potem, nie potrafię powiedzieć.

I tak oto, panie Macy, miałem trzeciego klienta w tej samej sprawie!

Ale co mogłem przekazać Londynowi o Paulu (Caldwellu) Daviesie?

Niestety, wiadomość o przestępstwie. Prawdopodobnie wpłynęłoby to negatywnie na ostateczny zapis dla Daviesa. A entuzjazm, z jakim zgłosił się na ochotnika do wojska, mógł być, jak się teraz wydawało, wynikiem okoliczności, bo Australijskie Siły Imperialne były lepszym wyjściem niż praca w obozie karnym.

Ale miałem też dwa nowe tropy: inspektora Dahlquist, który aresztował Paula Caldwell i wysłał go, żeby zginął w Egipcie zamiast gnić w więzieniu, i pannę Catherine Barry, tę bibliotekarkę, która pojawiła się



dotąd dwukrotnie w naszej historii, pierwszą kochankę Paula. Sprawa Daviesa szybko się stawała intratnym sposobem spędzania czasu.

To mi o czymś przypomina. Prześlę panu to, co dotąd napisałem, żeby nie opóźniać pańskich postępów w rozmowach z wydawcą. Oczekując pańskiej odpowiedzi pocztą lotniczą, będę nadal przepisywał moje notatki i listy.

Pana uniżony korespondent,  
Harold Ferrell,  
prywatny detektyw (na emeryturze)

*Wtorek, 10 października 1922r. Hotel Sfinksa, Kair*

Dziennik: Przyjazd do Kairu koleją z Aleksandrii. Natychmiast zabrałem się do pracy. Przeznaczyłem pięć dni w Kairze na logistykę i ogólne zapiski przed udaniem się na południe, na stanowisko.

Notatki do książki: Zaczynając od właściwego początku — ukończona książka musi mieć fronty spis, zabezpieczony przezroczystą pelurową nakładką. Fronty spis: „Kartusz króla Atum-hadu, ostatniego króla egipskiego z czasów Średniego Państwa, XIII dynastii, 1660—1630 p.n.e.” Założyć, że czytelnikami będą tylko uczeni? Nie — wyjaśnić przeciętnemu czytelnikowi, że kartusz to pieczęć królewska, z jednym z pięciu imion króla (Syn Ra, imię), zapisanym hieroglifami w owalnej ramce.

Epigraf po fronty spisie:

„To inteligencja i zdecydowanie człowieka przy pokonywaniu trudności fizycznych są źródłem naszej przyjemności i przedmiotem naszych pochwał”. John Ruskin, *The Stones of Venice*

Albo: „Chociaż nie odkryliśmy jeszcze grobowca Atum--hadu, możemy być zupełnie pewni, że jest w naszym zasięgu". Ralph M. Trilipush, *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie* (Literatura Miłosna Collinsa, 1920; nowe wydanie: Harvard University Press, planowane na rok 1923).

Albo: „Ralph Trilipush nigdy nie przekona nikogo przy zdrowych zmysłach, że kiedykolwiek istniał król Atum-hadu, a co dopiero napisał tak zwane Nauki Atum-hadu". Prof. Lars-Philip Thurm w *Journal of Egiptological Studies*, 1921. Ten epigraf wyglądałby zabawnie obok zdjęcia, na którym stoję przed grobowcem króla Atum-hadu, trzymając kompletny papirus z jego Naukami.

Albo: może ustęp Nauk, dzieła przenikliwego umysłu i pikantnego trzciniowego pędzelka samego króla Atum-hadu. Na przykład pierwszy wiersz kwarty 30 (znalezione; tylko we fragmentach B i C): „Atum-hadu uśmiecha się do swojego brata". W rzeczywistości wiersz ten wprowadza nieco w błąd, ponieważ cała kwarty na 30 opisuje odkrycie oszusta, który utrzymuje, że jest spokrewniony z królem:

*Atum-hadu uśmiecha się do swojego brata, Zachwycony  
spotkaniem innego z tej samej matki! Dopóki nie dowiaduje  
się, że to kłamstwo,  
I teraz kłamca zginie od ognia i żmij.*

(za: *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie*, Literatura Miłosna Collinsa, 1920; nowe wydanie: Harvard University Press, planowane na rok 1923).

Nie, jeszcze lepiej będzie, zaczynając tę opowieść od właściwego początku, pozwolić czytelnikowi zerknąć po otwarciu książki na nęcącą

zapowiedź odkrycia grobowca i przedstawić jako epigraf ekscytujący epizod z niezbyt odległej przyszłości, fragment wydarzeń opisanych w samej książce. Wybierzemy chwilę tryumfu i umieścimy ją na początku jako niesamowity klejnot w koronie, smakowitą przekąskę pobudzającą apetyt czytelnika przed czekającą go wystawną ucztą, przygotowującą jego żołądek do strawienia bogactwa jada, do którego nie przygotowały go spożywane codziennie potrawy. Wykorzystamy wstępnie wydarzenia — szacując to ostrożnie i sprawiając sobie ładny urodzinowy prezent — z 24 listopada, za sześć i pół tygodnia od chwili obecnej, ani zbyt optymistycznie, ani zbyt prozaicznie, coś w rodzaju: „strona II: *24listopada 1922. Na stanowisku w Deir el-Bahari. Usunąłem luźne kamienie i ukląknęłam, i zacząłem powoli—skrupulatnie, choć serce waliło mi jak młotem — poszerzać dziurę w liczącym tysiące lat rumowisku. Lampa drżała w rękach irracjonalnie przerażonego Abdullaha.*

- *W porządku, człowieku. Daj mi tylko latarkę — szepnąłem i przyłożyłem oko do wąskiej szpary. — Tak, tak...*

- *Co widzi wasza lordowska mość?*

- *Nieśmiertelność, Abdullah, widzę nieśmiertelność.*

Szata graficzna okładki: zdjęcie RMT stojącego obok złotego (można to bezpiecznie założyć) sarkofagu Atum-hadu. Dalej z boku stoją miejscowi robotnicy w odzieży roboczej. Autor: *Ralph M. Trilipush*. Tytuł: *Ralph M. Trilipush i odkrycie grobowca króla Atum-hadu*. Podtytuł: *Z prywatnym dziennikiem archeologa, notatkami i szkicami*. Harvard University Press, 1923. Dedykacja: Tak wielkiego odkrycia nie można dokonać bez nieustrudzonej pomocy i inspiracji wielu innych osób. Składam najszczerze wyrazy wdzięczności mojemu zespołowi prawie 500

egipskich robotni-

ków, których pracowitości dorównywało jedynie ich oddanie mnie i naszemu wspólnemu dziełu, którzy powstrzymywali się od straszliwej bez wątpienia niewiary i pokładali wiarę w to, że przedmioty wydobyte przeze mnie spod ziemi mają znaczenie przewyższające ich połysk. A w szczególności przekazuję serdeczne *dataam* ich wodzowi, Abdullahowi, który wiedział, jak stosować w odpowiednich proporcjach dyscyplinę i bakszysze, i którego ogromna lojalność wobec mnie i urocze wysiłki w zmaganiach z zawiłościami języka angielskiego zarówno wzruszały mnie, jak i bawiły podczas tygodni wielkiej i niebezpiecznej harówki. Pan Chester Crawford Finneran z Finneran's Finer Finery jest dżentelmenem o wnikliwym umyśle i rozlicznych zaletach, wytrawnym kolekcjonerem sztuki starożytnej, człowiekiem silnym, ale jednocześnie pełnym finezji, zupełnie innym od osób, które ktoś spodziewałby się spotkać w Ameryce, a zwłaszcza wśród osławionych „rekinów biznesu”. Nasz CCF dowiódł, że w pełni zasługuje na szlachetny, starożytny egipski tytuł Pana Szczodrości, owego hojnego i zaufanego dawcę mądrości i bogactwa w czasach potrzeby, tytuł, który sam Atum-hadu w swoich poetyckich Naukach odnosił do swojego zaulanego wezyra. Grobowiec Atum-hadu jest nam znany dzięki CCF, mojemu Panu Szczodrości, oraz innym moim wspólnikom z Hand-of-Atum Explorations, Limited. Brakuje mi słów, by wyrazić miłość, podziw, wdzięczność moje; ukochanej narzeczonej, Margaret Finneran. Moim kolegom badaczom, którzy pracują w gorących piaskach naszej ukochanej przybranej matki, składam podziękowania za niestrudzone i często nie przynoszące rezultatów poświęcenie. W szczególności pragnę wymienić ów -wzór badań egiptologicznych, mojego

drogiego przyjaciela, pana Howarda Cartera, który teraz, kiedy piszę te słowa, prowadzi przez szósty już sezon najwyraźniej bezowocne poszukiwania urojonego grobowca pomniejszego króla z XVIII dynastii o imieniu Tutencha-mon. Stwierdzam publicznie na tych stronach, że — bez względu na ostateczny sukces lub porażkę — niemal bezsensowne (sześć lat!) poświęcenie pana Cartera jest wzorem dla nas wszystkich i że go za to podziwiałem, zanim jeszcze go poznałem i nazwałem przyjacielem. Pozdrawiam mojego starszego towarzysza mordęgi w piachu, mojego mentora i dominującą postać starszej generacji, niechętnie przekazującego nam pochodnię. I wreszcie tę książkę należy z pewnością zadedykować wielkiemu królowi Atum-hadu i jego bóstwu opiekuńczemu, pierwszemu Stwórcy, Atumowi. Wielu długo wątpiło w istnienie grobowca Atum-hadu (i samego Atum-hadu), ale ja, który nigdy w niego nie wątpiłem, składam cześć geniuszowi Atum-hadu, jego rządóm, jego poezji, kiedy witam go po ponad 3500 latach. Wasza wysokość, świat patrzy teraz na ciebie w twoim złotym sarkofagu, wśród twoich ogromnych bogactw, w twoich popękanych, brązowych zwojach mumii. Świat podziwia twoje życie, twoje słowa, twoją świetność. Świat patrzy z uszanowaniem i podziwem na twoje szlachetne narządy w kanopach. To jest właśnie ta nieśmiertelność, której poszukiwałeś i na którą zasłużyłeś, wieczna sława i chwała.

O autorze: Profesor Ralph M. Trilipush urodził się 24 listopada 1892 roku jako jedyne dziecko sławnego żołnierza i badacza Ecgberta Trilipusha i wychowywał się jako uwielbiane, jeśli nie wręcz rozpieszczane, dziecko w zielonym, idyllicznym otoczeniu Trilipush Hall w hrabstwie Kent w Anglii. Kształcony w domu przez guwernerów, już w

młodym wieku wykazywał oszałamiające zdolności do nauki języków i niezwykle zaabsorbowanie starożytnym Egipcem. W wieku dziesięciu lat opanował trzy pisane formy języka staroegipskiego i zaczął tłumaczyć starożytne dokumenty na angielski. Kiedy miał dwanaście lat, na nowo obliczył przyjęte podówczas w nauce daty panowania egipskich dynastii i królów, wskazując z większą precyzją niż którykolwiek ze znanych badaczy luki we współczesnym pojmowaniu historii Egiptu. Podziwiany przez rówieśników, chwalony przez starszych, poszedł wcześniej na studia w kolegium Balliol w Oxfordzie, gdzie obok swego dobrego przyjaciela, Hugona St. Johna Marlowea, był ogólnie uważany za największą nadzieję egiptologii. W Oxfordzie obaj pracowali pod kierunkiem zmarłego już profesora Clementa Wexlera, uczestnicząc w jego próbach definitywnego potwierdzenia albo obalenia teorii o istnieniu apokryficznego podówczas króla z XIII dynastii i autora erotyków, Atumhadu. Studia doktoranckie Trihpusha po ukończeniu przezeń pracy magisterskiej przerwała Wielka Wojna, podczas której obaj z Marlowe'em stacjonowali w Egipcie jako oficerowie kontrwywiadu. Tam, pod ogniem nieprzyjaciela, udało się im odgrzebać spod ścieżki na zboczu urwiska koło Deir el-Bahari fragment C *Nauk* Atum--hadu, co było wielkim krokiem ku udowodnieniu istnienia tego króla i zidentyfikowaniu go jako autora wcześniej przełożonych fragmentów A i B. Krótco po tym odkryciu Trilipush został odkomenderowany do sił australijskich atakujących Gallipoli, w której to bitwie został ranny, i przez pewien czas był uznawany za zaginionego, chociaż uważano, że poległ. W pojedynkę przywędrował z powrotem do Egiptu, przybywając tam po zawieszeniu broni, po to tylko, by się dowiedzieć, że jego wspaniały przyjaciel

Marlowe został zabity podczas wyprawy na niebezpieczną część pustyni. Po demobilizacji Trilipush zabezpieczył fragment C i przywiózł go do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie rozpoczął świetną karierę naukową. Dokonał pełnego, aczkolwiek kontrowersyjnego, przekładu i analizy wszystkich trzech fragmentów poezji Atum-hadu, które opublikował pod tytułem *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie* (Literatura Miłosna Collinsa, 1920). Niezwykle wysoka sprzedaż tego krótkiego arcydzieła potwierdziła wyjątkową pozycję Trilipusha jako znakomitego uczonego i autora popularnych interpretacji literatury staroegipskiej.

Po odkryciu grobowca samego Atum-hadu, dokonany w trzydzieste urodziny, 24 listopada 1922 roku, i opublikowaniu swojego porywającego, ale nienagannego pod względem naukowym dzieła, które trzymasz teraz w swoich spoconych dłoniach, Trilipush otrzymał tytuł profesora zwyczajnego, a następnie katedrę na Wydziale Egypтологии Uniwersytetu Harvarda. Odkrycie grobowca Atum-hadu szybko obwołano bezprecedensowym, najbardziej opłacalnym i wartościowym naukowo odkryciem w historii egipskich wykopalisk.

W 1923 roku profesor Trilipush został uhonorowany tytułem szlacheckim oraz odznaczeniami i godnościami rządów i uniwersytetów w całym cywilizowanym świecie.

Jest żonaty z Margaret z domu Finncran z Bostonu w stanie Massachusetts w USA, fantastycznie bogatą spadkobierczynią właściciela sieci domów handlowych.

*Środa, 11 października 1922 r.*

Dziennik: Wstałem późno. Lunch w mieście. Odświeżanie ciepłych wspomnień o wspaniałym Kairze. Badanie targowisk. Zakup map Kairu, Luksoru, Doliny Tebańskiej. Zakup dodatkowych masek na oczy. Niewiarygodne stragany z owocami, okrągłe owoce ułożone w idealnych wielobarwnych rzędach jak ogromne liczydło. Świeże żółte daktyle. Prawie czarne śliwki, których skórka przypomina mapy nocnego nieba, lekkie obłoczki i migoczące gwiazdy. Odkryłem sklep sprzedający igły gra-  
mofonowe, które —jak zapewniał dziwaczny przekupień— miały pasować do mojej walizkowej victrolki 50, ale które po moim powrocie do hotelu zniszczyły tylko pierwszych parę sekund *Jesteś tylko snem (i przebudzę się z płaczem)*. Powrót do pisania; dalsze przygotowywanie dokumentacji i planów, redagowanie wczorajszej pracy.

List do czytelnika: Książka, którą trzymasz, nie przypomina żadnej innej pozycji w dziejach egiptologii, bo żeby dostarczyć kontekstu dla dokonanego przez nasz zespół odkrycia, niniejszy tom zawiera zarówno historyczne wprowadzenie w rządy króla Atum-hadu, jak i dziennik, który prowadziłem przez cały czas trwania ekspedycji, codziennie — niemal co godzina — od chwili mojego przybycia do Kairu, aż do oczyszczenia i skatalogowania każdego zapierającego dech skarbu z grobowca Atum-hadu.

Czytelniku, kiedy siedzę dzisiaj, podczas gwarnego zakończenia tej przygody, z moim drogim przyjacielem i kolegą, badaczem Howardem Carterem, w domu goszczącego nas drogiego przyjaciela, Pierrea Lacau, eleganckiego dyrektora generalnego egipskiego Urzędu Zabytków, około trzech mil od Hotelu Sfinksa, gdzie trzy miesiące temu rozpocząłem moją



podróż, patrzę na wieczór nad Nilem i zapraszam cię do przyłączenia się do mnie w największej przygodzie życia, podczas której cofniemy się o 3500 lat.

Profesor Ralph M. Trilipush

18 stycznia 1923 r.

Rezydencja dyrektora generalnego

Urzędu Zabytków

Kair, Egipt

[RMT — Zweryfikować 24 listopada i 18 stycznia przed zrobieniem składu.]

Dziennik: 11 października i właśnie skończyłem przygotowywać pewne niezbędne, podstawowe części tego dzieła, które później należy ułożyć we właściwym porządku. Teraz mogę zacząć mój dziennik od początku, witając cię, czytelniku, w Egipcie.

Dotarłem wczoraj do Kairu, to moja pierwsza wizyta w tym cudownym mieście od 1918 roku. Przyjechałem pociągiem z Aleksandrii, zszedłszy z pokładu *Cristoforo Colombo*, który to statek przywiózł mnie tutaj (po podróży pociągiem z Bostonu) z Nowego Jorku, zawijając po drodze do Londynu i na Malte, gdzie spędziłem bardzo odprężający tydzień, przygotowując się do czekającej mnie pracy. Założyłem tymczasową kwaterę główną w złoto-różowym apartamencie farańskim kairskiego Hotelu Sfinksa, zbudowanego z żyłkowanego marmuru. Chociaż nie gustuję w luksusie, potrzebuję trochę przestrzeni dla wykonania niezliczonych bieżących zadań i milionów innych spraw, które się pojawiają, a konsorcjum składające się z najmądrzejszych i najzamożniejszych

bostońskich kolekcjonerów i ekspertów z dziedziny egiptologii, które finansuje tę ekspedycję, nie chciałoby, zęby jej szef osłabł — zanim jeszcze przeniósł się na południe, na stanowisko archeologiczne — z powodu zakwaterowania w nędznych warunkach.

Bo też i zakres zadań archeologa czasami zdumiewa laika. Dla przykładu, już na stanowisku stanę się kierownikiem ogromnego przedsięwzięcia, dowodzącym armią robotników, odpowiedzialnym za ich zarobki, zachowanie, uczciwość, wydajność i zdrowie. Będę mierzył, rysował, katalogował i często konserwował w niejakiem pośpiechu setki przedmiotów o różnej wielkości, od kolczyka po kunsztownie rzeźbione i malowane ściany ogromnego grobowca. Będę negocjował z biurem rządu egipskiego, które dla własnego bezpieczeństwa jest nadal podporządkowane, kiedy trzeba, przewodniej mądrości i finansowej uczciwości rządów francuskiego i angielskiego. Jednocześnie będę pisał pracę naukową, kreśląc ze szczegółami wydarzenia sprzed trzech i pół tysiąca lat i prawdopodobnie tłumacząc świeżo znalezione, zgryźliwie dowcipne teksty erotyczne i polityczne, napisane przez geniusza w języku, który nie jest -w powszechnym użyciu od ponad dwóch tysięcy lat. I będę przygotowywał drobiazgowo sprawozdania dla mądrej spółki, która finansuje całą tę gorączkową harówkę. Tak więc jeśli zacząłem moją podróż w pewnym zbytku, podyktowane to jest naukową koniecznością.

Powiedziawszy to, trzeba dodać, że — mimo jego okrzyczanego luksusu — Hotel Sfinksa wykazuje oznaki postępującej dekadencji Egiptu. Jest to hotel turystyczny (w kraju, który był dla mnie zawsze granicą badacza albo wysuniętą placówką żołnierza) i oddaje wiernie najwyraźniej

niemożliwą do przewyciężenia przez współczesnych Egipcjan chęć sprzedania szlachetnej ojcowizny za szylinga. Godło hotelu — przymocowane do każdej powierzchni, jaką można sobie wyobrazić — przedstawia nonsensowną grupę złożoną z sępa, sfinksa i kobry, umieszczoną nad dewizą — fragmentem tekstu hieroglificznego, który ostrzega (kogo, nie jestem sobie w stanie wyobrazić, kto bowiem spośród hotelowych gości będzie potrafił odczytać hieroglify?): HORUS POŻERA SERCA NIEGODZIWYCH.

Horus, w starożytnym Egipcie bóg nieba o głowie sokoła, którego ziemskim wcieleniem był każdy król egipski, zawahałby się prawdopodobnie, czy polecić ten hotel, a jednak, nawet tutaj, pośród pseudofaraońskich oznak o rzekomo starożytnym pochodzeniu, przez okno otwarte na patio, znad Nilu, napływa zapach prawdziwego Egiptu — mojego Egiptu — i cały ten współczesny luksus apartamentu złuszcza się i rozpada pod wpływem gorącego oddechu tego królestwa, jakim niegdyś był, wzdychając do mnie sprzed tysiący lat. Atum-hadu, w swej potędze i glorii, wzywa mnie nawet tutaj, kiedy sączę (bez obawy, którą się odczuwało nawet w prywatnym barze Finnerana, przed amerykańskimi przedstawicielami prawa) dżin z lemoniadą ze rżniętego kryształu na balkonie z widokiem na mój Nil, a na cudownej, szafkowej victroli XVII, którą zainstalowałem obok drzwi balkonowych, kręci się z szybkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę *Ten gość zawsze dostaje, czego chce (Lecz czyż można go za to winić?)*.

W tej chwili wytchnienia od pracy pieszczę z niekłamaną radością wspomnienia mojego niedawnego pożegnalnego przyjęcia w Bostonie,

choć wydaje się, jakby od tamtej pory minęły wieki, przyjęcia, do którego gości należeli finansowi mecenasi tej ekspedycji i ich panie, świętujący zarówno niedaleki uśmiech fortuny w Egipcie, jak i moje zaręczyny z córką pana domu. Obrazy łączą się w wyraźne wspomnienie: szeleszczące wieczorowe stroje i nowe lekkie suknie, jarzące się papierowe latarnie i murzyńska orkiestra jazzowa, umieszczona w ogrodzie, muzyka wpływająca i wypływająca przez otwarte drzwi i okna rezydencji Chestera Crawforda Finnerana przy Commonwealth Avenue w niebywałym jak na tę porę roku upale początku września:

*Pies i człowiek to*

*Wspaniałe połączenie.*

*O rany, mój pies jest świetny!*

Już i tak bogaty egipski wystrój domu Finnerana powiększył się na przyjęcie — CCF zainstalował z przodu sali balowej dwa złote trony na podium z imitacji cegły. W kulminacyjnym momencie wydarzeń tego wieczoru poprowadził Margaret i mnie po trzech stopniach na nasze miejsca, zanim założył nam szkaradne (i niedokładnie odwzorowane) korony faraonские, po czym wrzasnął na szefa zespołu, powiedział mu, żeby „uciszył ten hałas z dżungli”, i wznosił swój kielich, wyciskając z niejednej pary oczu alkoholową łzę słowami:

— Mniejsza o pustyńne piaski, nie ma na całym szerokim świecie skarbu, który więcej dla mnie znaczy niż ta dziewczyna na tronie, gdzie jest jej właściwe miejsce.

W powietrze wzbił się tuman komentarzy, „ach”, „och” i „CC jest taki słodki”, po czym osiadł, kiedy stary uśmiechnięty od ucha do ucha

niedźwiedź machnął parę razy łapami.

— Ale to nie znaczy, że wracasz z pustymi rękami, Pushy! — Wielkie rozbawienie. — Nie, moi drodzy, teraz poważnie. Który ojciec nie skorzystałby skwapliwie z okazji podłapania takiego zięcia jak ten, he? Angielski dżentelmen, dobrze wykształcony, badacz. Uczciwie mówię, że Margaret i ja jesteśmy w tej sprawie jednej myśli — oboje czujemy się jak najszczęśliwsza dziewczucha na świecie! A więc jedź po swoje złoto, Pushy, mój chłopcze, a jeśli wrócisz z kupą tego, sztabami, klejnotami i koronami, to — chytre zerknięcie przez wirujące kłęby dymu cygarowego — prawie spłaci to posag Margaret!

Jego wspaniała oracja wymusiła na zebranych należny hołd, podczas gdy moja narzeczona i ja machaliśmy do nich spod naszych ostro zakończonych nakryć głowy i ścisnąłem dłoń Margaret, żeby nie zasnęła, bo podniecenie wyczerpało ją, co nie było dla mnie zaskoczeniem przy jej wątłym zdrowiu. Uśmiechnęła się spod ciężkich powiek i wymruczała:

— To jest naprawdę fajne, prawda, kochanie? Cała ta fiesta.

Przydałaby mi się sjesta.

Nawet w swym zmęczeniu była niebiańska, wdzięczna ojcu i mnie. Tłum wiwatował z okazji naszych zaręczyn i gromkimi okrzykami życzył powodzenia mojej misji, być może nie dokładnie w tej kolejności, ponieważ CCF skłonił parę osób z tego towarzystwa do przystąpienia do spółki Hand-of-Atum Explorations, której jest prezesem, a ja posiadającym jej akcje konsultantem technicznym. Zespół zaczął grać osobliwy fokstrot, przypuszczalnie uznany za odpowiedni dla wyprawy badawczej do Egiptu, ze starym jak świat, banalnym zoologicznym

kawałkiem:

*Jeśli wolisz nie podskakiwać na jednym wyboju, To tępiej  
wystrzegaj się dromadera, Ale jeśli chciałby 'podskakiwać  
i podrygiwać Pomiędzy dwiema dużymi brylami...*

— Nie tak szybko, chłopcy — przerywa CCF i muzyka zacina się, a instrumenty milkną jeden po drugim, skwierczący czynel jako ostatni łapie, o co chodzi — bo mamy tu małą niespodziankę — i przywołuje Kendalla i Hilly Mitchellów, wesołków z Beacon Hill, których poznałem na pewnym spotkaniu inwestorów, a potem ponownie, kiedy na prośbę CCF poszedłem na parę bardzo dyskretnych koktajli z Kendallem w jego niezwykle dyskretnym klubie, gdzie wypytywał mnie o moje pochodzenie i Egipt z niepokojącą uporczywością i tajemniczością, czego po prostu nie mogłem zrozumieć aż do tej chwili, kiedy to Hilly ze śmiechem rzuciła swoimi ledwie odzianymi biodrami i strąciła Murzyna ze stołka przed pianinem, a Kendall poluźnił krawat i przybrał pozę bogatego bywalca modnych przyjęć. Kiedy Margaret usiłowała podeprzeć ciężące jej powieki, słuchałem składanego nam muzycznego hołdu, skomponowanego przez te dwie salonowe osobistości, szalejące z nadmiaru gotówki i odziedziczonych nieruchomości, tych niezrażonych dostarczycieli przystosowanych do indywidualnych potrzeb tekstów piosenek na galowe przyjęcia w Beacon Hill i w Back Bay. Przepisuję tutaj tekst poświęconego nam utworu z poplamionej odciskami kieliszków kopii, którą mi następnie sprezentowano z odpowiednią dedykacją („Dla Ralphiego! Mam nadzieję, że wykopiesz jakąś «mumię» dla swojego nowego «taty». Dużo powodzenia życzą twoi jankescy kumple, H. i K. Mitchellowie!"). Kendall

zawodził, natomiast Hilly pobrzękiwała na pianinie, waląc w klawiaturę niezdarnymi pięściami:

*Wypchnięty wcześniej z Oxfordu,  
Ze spodniami wokół kostek,  
Co pamięta boleśnie,  
Przybył tu Triiipush jako niedorostek.*

*Pojechał do Egiptu, Gdzie miał walczyć z Niemcami.  
Ale po paru latach na wojnie  
Nie przestali być ciapkami.*

*Pocił się na Wschodzie,  
Cały czas na czworakach.  
(Nie próbuj być lubieżny,  
To znaczy, że kopał w piachach/)*

*Kopał z drugim Angołem, Wznosząc do nieba  
modły, I choć dręczyły ich szkopy, Szpadle ich  
nie zawiodły.*

[— Zupełnie odwrotnie niż nasze! — ryknął w tym momencie CCF, mając na myśli, jak sędzę, czarnych kelnerów, którzy niezbyt spieszyli się z podaniem mu następnego kielicha.

— Och, tato, doprawdy — zbeształa go łagodnie Margaret, siedząc z kolanami podciągniętymi pod brodę.]

*To, co tam wtedy znaleźli,  
Jak wszyscy dobrze wiemy,*

*Spać naszym żonom nie daje,  
A nam wyobraźnię tak rozpala, że (oko!) staje.*

*Znaleźli hieroglify pisma jakiegoś faraona,  
A Pushy Lak doskonałego przekładu ich dokonał,  
Że rynek się ekscytował i wyrażał uznanie,  
Wykupując na pniu ich angielskie wydanie.*

[Poprawiałem Mitchella parę razy w tym jego klubie, wyjaśniając mu z rosnącą irytacją, że „hieroglif” jest rzeczownikiem, a przymiotnik brzmi „hieroglificzny”, oraz że używanie terminu „faraon” na określenie egipskiego władcy sprzed XVIII czy XIX dynastii jest zupełnym anachronizmem i naprawdę rani moje ucho. Atum-hadu z XIII dynastii powinien być określany mianem „króla”, a nic za pomocą zhebraizowanego nietonicz-*nego per-o*. Powtarzałem to na pewno z dziesięć razy, kiedy na naszym stoliku pojawiał się jeden srebrny shaker za drugim, napełniony (jak donośnie oznajmiał za każdym razem kelner, nie wiem z myślą o kim) „pańską mrożoną herbatą, panie Mitchell!” Powiedziawszy to, przyznaję teraz niechętnie, że użycie przez niego słowa „hieroglify” zamiast „hieroglificzne” podyktowane było troską o zachowanie liczby sylab.]

*R. M. Trilipudh zyskał trochę forsy i nazwisko,  
I znalazł miejsce, by zdobyć sławę, bo forsa to nie wszystko.  
W Harwardzie uczył młodzieńców, a potem poznał pannę,  
I teraz reszta z nad dobrze wie, że jest Chestera kompanem.  
I wraca nad Nil nasz Pushy z sercem Margaret w plecaku  
I gotówką Chestera w chlebaku,*



[Muzyka cichnie, a Kendall wykrzykuje te słowa]

*I moją też! I moją też!*

*I moją też! I moją też!*

[wskazując na gości, którzy, **podobnie jak on, zainwestowali** w Hand-of-Atum Explorations]

*Bo tak nad błagał i przez godzinę nad nudził,*

*Że pieniądze wyłudził.*

*Ale teraz, na Izyde, Horuda i Ra w wielkiej łodzi, Stary*

*Pudhy wszystko to nam wynagrodzi!*

[Powiniennem omówić słowo „błagał”, bo, skoro nie zostało przez Mitchella użyte po prostu po to, żeby ułatwić mu rymowanie, wymaga wyjaśnienia. Oględnie mówiąc. Później wrócę do tej sprawy, to znaczy do tego, kto kogo błagał.]

*Na Izyde, Horuda i Ra w wielkiej łodzi, Pudhy*

*wszystko to nam wynagrodzi!*

Tłum wkrótce nauczył się tego dwuwiersza i wyśpiewywał go przez kilka rozkosznych minut, podczas których, ku mojej nieskończonej większej radości, Margaret pałała i błyszczała w świetle księżyca w pełni, wlewającym się przez szklany dach sali balowej, a srebrna poświata liziała jej niebieskie, mieniające się powieki (efekt jak z popiersia Kleopatry, który -wspólnie z Ingę wymyśliła na ten wieczór), i bez względu na to, czy zasnęła, czy tylko rozkoszowała się z zamkniętymi powiekami tą przyjemnością, jej uroda była, jak zawsze, olśniewająca. Czułem się w tamtej chwili, jakbym osiągnął

wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłem. Oczywiście było to paradoksalne, bo jeszcze nie wyruszyłem na tę eskapadę. Tuliłem jej delikatną, miękką dłoń w mojej, każdy z długich, szczupłych palców wygięty w pełen gracji łuk nadrzecznych narcyzów i była wtedy, w swym sennym rozmarzeniu, uosobieniem tak wielu starożytnych rysunków, pólających piękności wykutych w piaskowcu i wapieniu na obrzeżach sal pałaców, długopalcych służebnic i bogiń namalowanych na ścianach grobowców, by wabić, podniecać i nie odstępować tęskniących za domem zmarłych, zmierzających na tamten świat.

Zaniósłszy moją śpiącą piękność na górę, pocałowałwszy ją na dobranoc i podciągnąwszy kołdrę do jak wyrzeźbionej z kości słoniowej brody, wróciłem do sali balowej i tańczyłem z Ingę i żonami współników, choć niektórym z nich bliski kontakt z prawdziwym badaczem egipskich starożytności tak uderzył do głowy, że przełamał ich wrodzoną bostońską skromność, i parokrotnie poczułem stanowczą, troskliwą potrzebę przypomnienia tym paniom o właściwym położeniu rąk w pewnych popularnych tańcach.

Po północy goście wylali się z sali balowej Finnerana na Arlington Street. (Obrazek, który zachowam w pamięci na zawsze: mój przyszły teść, wedle własnego określenia „łagodny jak baranek”, kopie z postękiwaniem i z chłopięcą radością leżącego na ziemi mężczyznę, który po przejściu gości do Ogrodu Publicznego spróbował capnąć w biegu zegarek kieszonkowy Finnerana. Żałujący swego czynu rabuś zaczął wzywać na pomoc policję. „Jesteśmy tu, synu, nie martw się” — natychmiast odkrzyknęło czterech członków policji bostońskiej, których Finneran

zaprosił na przyjęcie, by ochronić się przed ewentualną inspekcją antyalkoholową. Finneran cofnął się ze spokojnym „Dziękuję wam, panowie oficerowie” i pozwolił im sprawić rzezimieszkowi bardziej profesjonalne manto, przerywając im tylko raz, by wyjąć z kieszeni jęczącego napastnika tyle pieniędzy, zęby pokryły „koszty wyczyszczenia moich poplamionych krwią butów, ty chuliganie”.)

CCF kazał ustawić w Ogrodzie Publicznym namioty i rożny; -widoczny aromat pieczonych prosiąt wzniósł się ku małym niebieskoszarym obłoczkom, a goście otoczyli kelnerki w kusych kostiumach egipskich służących, chwytając — w zależności od tego, na co mieli większy apetyt — za tace kelnerek lub za ich pośladki, podczas gdy inni, mniej pijani zabawowicze poszli nad staw, gdzie zarekwirowali publiczne rowery wodne w kształcie ogromnych łabędzi albo — z podwiniętymi nogawkami czy w samych halkach — brodzili w zimnej wodzie, padając sobie nawzajem w śliskie, pokryte gęsią skórą ramiona.

Stałem z boku, zadowolając się moją naturalną rolą uważnego badacza, uwolniony na chwilę od obowiązków spoczywających na mnie jako na gościu honorowym, i byłem szczęśliwy, tak bardzo szczęśliwy, kiedy z lewej strony, z cienia pomiędzy płaczącymi wierzbami, które falowały jak gigantyczne, zielone meduzy, ktoś zawołał mnie szorstko po imieniu. Pod kopułą gałęzi wierzbowych, tak całkowicie pod nimi skryci, jakbyśmy byli cyrkowymi karłami gotowymi do wynurzenia się spod pachnącej stęchlizną krynoliny kobiety z brodą, zostałem z przyjemnością zahipnotyzowany idealnym, pulsującym, pomarańczowym kręgiem końca cygara Finnerana, oświetlającym, w chwilach gdy najjaśniej się rozjarzało, parę smużek dymu (i przypuszczalnie moją twarz), ale nic więcej.

— Chciałem życzyć ci powodzenia — powiedział mój niewi-  
dzialny sponsor i pomarańczowy krąg przygasł, zamieniając  
się w skręconą sprężynę ledwo żarzącej się szarości. — Wszyscy  
wyrobiliśmy sobie zdanie o tobie. Nie zawieź nas.

Pomarańczowy krąg rozszerza się i zmniejsza, rozszerza się i zmniejsza.

- Nigdy was nie zawiodę, CC.
- Zawsze zrobię dla Margaret to, co jest dla niej najlepsze, bo jestem,  
wiesz, ojcem i matką dla tej małej.
- Oczywiście, CC, oczywiście.
- Cieszę się, że będziesz należał do rodziny.
- Serdeczne dzięki.
- Ona cię wybrała, a ja zaaprobowałem. Ja cię wybrałem, a ona  
zaaprobowała. Nieważne, które z nas, wiesz.
- Oczywiście, CC.

Pomarańczowy krąg rozjarza się i przygasa.

— Nie wiem, jak to jest u was, angielskiej szlachty, **ale** w na-  
szym kraju rodzina to poważna sprawa.

- Oczywiście, CC. Pomarańczowy krąg. Cisza.
- Pamiętaj o tym, to wszystko.
- Oczywiście, CC.

— Ludzie liczą na ciebie, Ralph. Kupa ludzi. Dużo stawiają  
na ciebie. Mają do ciebie dużo zaufania.

Wszystko to było nieśmiałą preambułą CCF do sprezentowania mi  
dużego, drewnianego pudełka, intarsjowanego obfitującym w zawijasy  
ornamentem, pełnego cygar, z których każde zostało specjalnie wybrane  
przez właściciela najlepszego sklepu tytoniowego w Bostonie i opatrzone

czarną opaską ze srebrnym monogramem „CCF”. A pomarańczowy krąg końca jego cygara przygasa i rozżarza się, przygasa i rozżarza się...

...tak jak dzisiejszego ranka, świtem 12 października, ukazuje się właśnie pomarańczowe światło na wschodnim brzegu Nilu. Spędziłem noc na moim balkonie, pracując, wzmacniając się dżinem z lemoniadą i słodkawą miętową herbatą ze szklanych, pomalowanych na żółty kolor dzbanków, wodząc palcami po hebanowych zwojach intarsji pudełka na cygara, zawierającego teraz zestaw cienkich pędzelków i tuszy do kopiowania malowideł ściennych, które mam nadzieję znaleźć w grobowcu Atum-hadu. (Nie palę cygar, ale powinny stanowić świetny bakszysz, a pudełko jest śliczne.) Siedzę na wciąż ciepłym balkonie, patrzę, jak wschodzi słońce, i przyglądam się kostce cukru na pół rozpuszczonej w herbacie, do złudzenia przypominającej kruszejący kamień węgielny ruin świątyni.

Za sześć tygodni skończę trzydzieści lat, dojdę do wieku, którego osiągnięcie miałem od dawna nadzieję obchodzić tutaj, w kraju moich marzeń, odniósłszy przed dotarciem do tego kamienia milowego niezrównane zwycięstwo, niezbędne dla usprawiedliwienia trzydziestu lat życia. I kiedy myślę o moim przyjęciu pożegnalnym w Bostonie, kiedy myślę o królu, który spoczywał nieodkryty przez jakieś 3500 lat, niemal pragnę, by ta chwila— tutaj, na szybko rozjaśniającym się balkonie mojego hotelu w Kairze — nigdy się nie skończyła.

Chodzi mi o coś więcej niż tylko wypaplanie, że nie chcę się starzeć, że wolałbym zostać zwolniony z konieczności wejścia w korpulentny wiek średni i spuchniętą starość, kiedy okres świetności ma się dawno za sobą. Chodzi mi raczej o to, że tutaj, wczesnym latem życia, kiedy za

człowiekiem wciąż jeszcze pobrzmiewają łagodne echa początkowej sławy, a być może tylko tygodnie dzielą go od sejsmicznego tryumfu, pragnie się w i e c z n i e słyszeć sopran tego konkretnego moskita śpiewającego mu do ucha, widzieć, jak te akurat ćmy trzepoczą w nerwowym niezdecydowaniu, zahipnotyzowane przez to samo słońce, które wkrótce je spali, czuć ukłucia gorąca tej właśnie szklanki herbaty miętowej, -wiecznie ogrzewającego każde wgłębienie koniuszków trzech palców, widzieć, jak zatrzymuje się na z a w s z e rozkład tego cukru. Krew dudni w żyłach, przepelniona pragnieniem, by dało się jakoś pochwycić i przytrzymać tę chwilę możliwości i perspektyw, wibrującą i żarzącą się pomarańczowym światłem w lekko zaciśniętej dłoni. Zęby można było gładzić i analizować ów schwyty moment, czuć w dłoni jego aksamitne uderzenia, żebym mógł pozostać tu, trzepocząc na brzegu, zamiast rzucić się głową naprzód w przyszłość, dopóki nie poczuję w pełni chwili obecnej. Albo pomyśl o tym tak, czytelniku: człowiek wspina się na wysokie, strome wzgórze. Po wielu latach wspinaczki dostrzega jego grzbiet w zasięgu ręki i uświadamia sobie, że po osiągnięciu tego szczytu zostają mu tylko dwie możliwości: iść dalej, przekroczyć grzbiet i zacząć schodzić z coraz większą prędkością, albo... kontynuować poruszanie się w tym s a m y m kierunku, do którego się przyzwyczał i który polubił, iść drogą, którą się tu doszło, w górę i w górę, ignorując zawodną ziemię, która przestaje się wznosić, ale mimo to wznosić się samemu.

A jeśli wyprostujesz się na chwilę w swoim miękkim, wygodnym fotelu i zaczniesz się dziwić: „Dlaczego Egipt? Dlaczego? Skąd to pragnienie grzebania w piasku?”, to mogę jedynie wskazać na to, że królowie Egiptu kontynuowali wspinaczkę. Zapanowali nad tymi ulotnymi chwilami,

uwięzili je w miękkich klatkach. Najlepsi Egipcjanie żyli w swoich owiniętych bandażami ciałach, z narządami zamkniętymi w kanopach, i w swoim piśmie obrazkowym, i w swoich bóstwach z głowami zwierząt, pewni, że mają zagwarantowaną wieczność, że żyli i będą zawsze żyli w teraźniejszości, którą sami wybrali, nie prześladowani przez obrazy z przeszłości, nie obawiając się przyszłości, luksusowo podejmowani w teraźniejszości, którą mogą przedłużać do woli, uwalniając te rozkoszne chwile na swoich własnych warunkach, a nie pod władcze dyktando dni, nocy, słońc, księżyców.

Margaret, czy mogę się podzielić z tobą ciemniejszym wspomnieniem z mojej świetlanej młodości? Nie jest ono z rodzaju tych, które lubisz, ale dobrze ilustruje pewną tezę. Otóż pamiętam, że kiedy byłem małym chłopcem, miejscowy pastor ganił mnie za obsesyjne zainteresowanie Egipcjanami. (Zdarzało się to oczywiście tylko wtedy, kiedy mój ojciec był za granicą na ekspedycji i nie mógł mnie bronić przed tym niegodziwym duchownym, a ja włóczyłem się z dala od dworu, po wsi w pobliżu naszej posiadłości, gdzie pastor, widząc mnie tak daleko od rodzinnych pieleszy, nie zdawał sobie sprawy, kim jestem.) W każdym razie co pewien czas pojawiał się bez uprzedzenia. Było mnie łatwo zaskoczyć, ponieważ od wczesnych lat chłopięcych siedziałem na ogół pochylony nad moimi lekturami, nie mając pojęcia, co się wokół mnie dzieje. Wrywał mi książkę, nad którą ślęczałem, i gniótł z trudem zdobyte kartki z hieroglifami. Dawał wtedy, z pijacką, hałaśliwą złowrogością, upust swojej hipokryzji:

— Chłopcze, jak możesz myśleć, że mądrze jest zadawać się z tą kulturą śmierci?

Chociaż miałem dopiero dziesięć lat, znałem właściwą odpowiedź na ten wykład katastroficznego katechizmu:

— Masz rację, ojcze. Dużo lepiej jest trwać przy gloryfikujących życie obrazach kultu skrwawionych zwłok przybitych do kawałków drewna.

Oczywiście musiałem się nastawić na pobicie albo coś jeszcze gorszego, jeśli wybrałem tę drogę.

Ale przejdźmy do tezy, którą rozumiałem nawet w tym młodym wieku: Egipt nie był — muszę to powtórzyć czytelnikom, którzy nadal o tym nie wiedzą — kulturą śmierci, mimo wszystkich tych mumii, zamkniętych w dzbanach płuc, mężczyzn szakali i królowych kobr. Egipcjanie byli wynalazcami nieśmiertelności, pierwszymi ludźmi, którzy dostrzegli, że mogą żyć wiecznie. Atum-hadu napisał:

*Bogowie i ja spacerujemy wolno ramię w ramię,  
A czadami w ogóle nie spacerujemy,  
Ale siedzimy na skale i patrzymy na urok  
Kozia pieprzącego się z kozą za murem wieśniaka.*

(kwartyna 13, tylko we Iragmencie C, za: Ralph M. Tri-lipush, *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie*, Literatura Miłosna Collinsa, 1920)

Dom Opieki Zachód Słońca nad Zatoką Sydney,  
Australia 6 grudnia 1954 r.

Panie Macy,



Jeśli chodzi o ludzkie zachowania, to na podstawie mojego doświadczenia (a widziałem wszystko, co można zobaczyć, mówię to uczciwie) doszedłem do wniosku, że istnieje tylko pięć motywów, które skłaniają człowieka do zrobienia czegokolwiek. Nie są one tajemnicze, wie pan: pieniądze, głód, żądza, władza, przeżycie. To wszystko. Słyszysz pan na salach sądowych i w kinie różnego rodzaju śmieszne wyjaśnienia, dlaczego ktoś zostaje premierem albo zabija sąsiadów. Ale jeśli pan się dobrze wsłucha, to okazuje się, że to zawsze żonglerka tylko pięcioma tymi samymi piłeczkami, ozdobionymi odwracającymi uwagę słowami. Nikt nie zrobił nigdy niczego z innego niż któryś z tych pięciu powodów.

I to nas doprowadza do opowieści o Paulu Caldwellu i Catherine Barry, bolszewiczce i byłej bibliotekarce, opowieści o żadnej władzy zdrajczynie, manipulatorce grającej na emocjach wrażliwego młodego człowieka i prowadzącej ludzi słabych na manowce zepsucia. Historia tragicznej śmierci Paula w Egipcie zaczyna się właśnie tutaj, w Sydney, kiedy ma on osiem czy dziewięć lat i popychany jest ku swojemu nieszczęsnemu przeznaczeniu przez Catherine Barry, zimną, niebezpieczną, strasznie piękną kobietę.

Jestem otoczony rekonstrukcjami słów panny Barry (z 10 lipca 1922 roku), typowym, pełnym samousprawiedliwień listem od niej, wywiadem, który przeprowadziłem z jej bratem (z 11 lipca 1922 roku), i streszczeniem, które przedstawiłem w moim ostatecznym raporcie przesłanym do Londynu. Mam też list od Ronalda Barry'ego (tego brata), który wynajął mnie i polecił znaleźć jakiegokolwiek dowody świadczące o tym, że Paul Caldwell przeżył, a jeśli był żywy, dyskretnie zdobyć jego adres. Jestem pewien, że Ronald zamierzał zabić Caldwell. Oczywiście nigdy do tego nic doszło i dobrze będzie zaznaczyć, że nikt nigdy nie wynajął mnie po to, bym chronił

Paula Caldwell.

Tak więc moja pamięć jest dobrze przygotowana, pomimo krzyków kilku z moich współmieszkańców, niezdarnie walczących o władzę nad zdekompletowaną talią wystrzępionych kart do gry. Jeśli weźmie pan pod uwagę, że robiłem notatki, rozwijałem je po powrocie do domu w pełne rozmowy, potem jeszcze raz je przepisywałem przed wysłaniem raportu do Londynu, a teraz rozszerzam je tutaj jeszcze bardziej dla pana, to nasi czytelnicy powinni dostać przekonujące przedstawienie tej historii, ale oczywiście powinien pan dodać wszystko, czego pana zdaniem jeszcze im brakuje.

No więc zaczynamy. Paul ma osiem, dziewięć albo dziesięć lat. Dzieje się to jeszcze przed zdobyciem przez niego serca pani Hoyt, przed występami z wężem w cyrku, przed opróżnianiem kieszeni przechodniów na rynku. To mały chłopiec, który chodzi do państwowej szkoły. Jest cichy, ponury, nie zaskakującego. Dostaje swoją porcję razów od Eulalie i mężczyzn, których ona trzyma. Ale nie żywi żadnych uczuć do współtowarzyszy niedoli, przyrodniego rodzeństwa, bo kiedy Eulalie go nie pierze, bierze go na kolana i mówi mu, że te pozostałe brudne dzieciaki nie dorównują mu poziomem, ponieważ jest synem wielkiego dżentelmena, zaginionego na morzu Barnabasa Daviesa, który utonął w drodze do Australii, skąd miał zabrać Eulalie i Paula do Londynu.

- Matka Paula była tak zaślepiona szacunkiem dla bogaczy, że wpajała temu chłopcu poczucie wyższości klasowej, chociaż żyli w przeraźliwej nędzy i ucisku - powiedziało mi jedno z Barrych, nie zanotowałem które.

Widzi pan, Macy, oboje byli zajadłymi czerwonymi, nie chcę pana szokować, ale w naszym kraju też ich mamy. Ponurą i zaraźliwą filozofię

wchłonęła ta bolszewicka dwójka i upajała się nią nawet wtedy, kiedy ich pogrążyła.

Według Ronalda Barry'ego, jego nauczyciela, Paul - oprócz jednego dziwactwa - nie wyróżniał się w szkole niczym szczególnym. Był spokojny. Oczywiście brudny, jak większość najbiedniejszych dzieci, ale wystarczająco zdyscyplinowany, żeby siedzieć cicho i robić, co mu kazano.

- Głównie staraliśmy się tylko pilnować tych małych nieszczęśników, żeby nie wpadli w kłopoty - powiedział Ronald. - Nie pozwalano nam ich w ogóle kształcić, naprawdę. Po prostu ucisk za pomocą innych środków, udawanie, że uczy się ich czegoś, żeby ich tak ogłupić, by zaakceptowali warunki, jakie obmyśliła dla nich klasa posiadaczy.

Potem pewnego dnia mieli krótką lekcję o Egipcie. Egipt to taki kraj na pustyni, z bardzo starymi, spiczastymi budowlami i poganami w dawnych czasach, którzy nie wiedzieli jeszcze nic o Panu, więc kiedy umierali ich królowie, zawijali ich w prześcieradła i mówili, że żyją wiecznie.

- Prawdopodobnie dodałem coś w stylu: „Te piramidy budowała klasa pracująca, zmuszona do ciężkiej harówki dla swoich okrutnych królów” - mówi Czerwony Ron.

A potem puścił wkoło małą książeczkę z obrazkami i zabrali się do arytmetyki.

Nadchodzi koniec lekcji, te obdartusy ruszają do wyjścia, Ronald Barry zbiera się do domu i nie może znaleźć tej książeczki z obrazkami o Egipcie. Niedobrze, bo pożyczył ją od siostry z biblioteki publicznej. Najwyraźniej zwędził ją któryś z tych małych drani, więc następnego ranka Ronald zastanawia się, jak przeprowadzić swoje śledztwo, kiedy, wcześniej niż inni, przychodzi mały Paul Caldwell. Chłopak wygląda

gorzej niż zwykle, ale wręcza mu zaginioną książkę. Okazuje się, że poprzedniego dnia nie wrócił do domu, tylko przez całą noc przeglądał tę książkę, w rzeczywistości spał na dworze. Nie mówi, dlaczego była to taka porywająca lektura, w ogóle niewiele mówi, „nawet nie przepasza, mały złodziej” - mówi pan Precz z Prywatną Własnością. Potem chłopak pyta cicho i niewyraźnie, czy są inne takie książki.

- Panie Ferrell, kilka razy w mojej karierze czułem prawdziwą dumę z tego, co robię. Ale pamiętam wyraźnie, co czułem w tamtej chwili. To dziecko chciało się uczyć. Natychmiast zapomniałem o kradzieży: moglibyśmy przecież uratować tego chłopca. Oczywiście gdybym wtedy wiedział to, co wiem teraz, to udusiłbym tę żmiję, kiedy jeszcze mogłem ścisnąć jego szyję własnymi rękami.

Tego popołudnia Ronald Barry zabiera swojego cennego ucznia do jednej z mniejszych filii biblioteki publicznej. I któraż to bibliotekarka wita go tego dnia, jak nie Catherine Barry, śliczna siostra nauczyciela.

„Siostrzyczko, oto młody, naprawdę obiecujący człowiek, który chce się dowiedzieć, ni mniej, ni więcej, jak może dostać więcej książek o starożytnym Egipcie”.

„Witaj, Paulu Caldwell” - mówi słodko panna Barry, a lekki błysk w jej oku dodaje: „Nie bierz mnie zbyt poważnie, będę dobrym kumplem, jeśli zechcesz” - sama wprowadzająca w błąd uprzejmość, stosownie czerwone, kręcone włosy i miła twarz. (Nawet w dwudziestym drugim, nawet po tym, co przeszła, była uroczą istotą, co sam muszę wyznać. Zdradliwe pozory.)

Chłopak nie ma żadnego towarzyskiego wyrobienia, ledwie potrafi coś wydukać, patrzy w ziemię, pewnie nigdy jeszcze nie był w tak czystym i

urzędowym budynku jak nasza mała biblioteka, pewnie nigdy jeszcze nikt do niego tak uprzejmie się nie zwracał, pewnie nigdy jeszcze n i e widział nikogo tak pięknego i przyjaznego jak panna Barry. A wszystko dlatego, że urzekło go coś w książce z obrazkami.

- No więc, panie Ferrell, postanowiliśmy wziąć tego małego pod nasze skrzydła - powiedziała mi Catherine Barry z zalotną dumą.

„Zobaczmy, czy da się zrobić z ciebie członka naszej biblioteki” - powiedziała agentka czerwonych do chłopca. Tego pierwszego dnia panna Barry oprowadzała go po bibliotece i chociaż prawie się nie odzywał, nabrała otuchy, kiedy zobaczyła, jak jego oczy rozszerzają się na widok tych wszystkich książek, zgrabnych stołów, lamp i krzeseł. „To wszystko jest do twojego użytku jako obywatela, równego każdemu bogaczowi” - słyszę, jak mówi małemu uczonemu.

- Serce się krajało, kiedy na niego patrzyłam - powiedziała, a ja to zapi sałem i podkreśliłem, z uwagą: „Dlaczego nie ma własnych dzieci?” - Ten chłopiec został zdradzony przez wszystkich: rodzinę, państwo, Kościół. Tylko tyle mogłam zrobić, żeby skłonić tego biedaka do rozmowy ze mną, i trudno się temu dziwić. Ale nawet wtedy jedyną rzeczą, o której naprawdę mówił, był Egipt. Spodobało mu się coś w tej książce, którą pokazał mu Ronnic. No cóż, wszystko po kolei: znalazłam mu inną. *Czego chłopiec może się dowiedzieć o Egipcie*, pamiętam okładkę. Natychmiast usiadł na jednym z krzeseł w kącie i nie podniósł głowy, dopóki nie podeszłam do niego, żeby mu powiedzieć, że zamykamy bibliotekę, ale może przyjść jutro po szkole i czytać dalej, jeśli chce. „Nikt nie czeka na ciebie w domu?” - zapytałam. Biedak. Widać było, że dom nie miał dla niego żadnego znaczenia, i to w takim młodym wieku.

Nie chciał iść do domu ani powiedzieć, dlaczego nie chce iść. Zapytałam go więc: „Wobec tego może zjadłbyś cynaderki zapiekane w cieście?”, a ten biedak omal nie wyskoczył ze skóry.

Mogę sobie wyobrazić tego chłopca, Macy. Ona stoi za nim, kładzie łagodnie ręce na jego ramionach, patrzy na jego książkę, uśmiecha się tak miło - same fałszywe obietnice.

- Panie Ferrell, to była zbrodnia klasowa - bystry, młody chłopiec głodzony przez diabelski Kościół i zdeprawowane państwo. Pokazałam mu, jak odstawić tę książkę na półkę, a potem zaprowadziłam go do biura. Nie był takim głupcem, żeby odmówić jedzenia, którego prawdopodobnie było więcej, niż widział przez tydzień, więcej, niż mógł ukraść w tamtych czasach. Och, tak, niech pan nie ma złudzeń, w tym wieku już kradł. Bogaci potrzebują złodziei, panie Ferrell, i dbają o to, żeby wyhodować ich za młodu. „Przyjęte jest dziękować ludziom” - powiedziałam mu. Zdołał wymamrotać „dziękuję pani”, kiedy napychał usta.

Następnego dnia przedyskutowałam to z Ronnie'em i byliśmy jednej myśli. Jako ludzie miłosierni zrobilibyśmy, co w naszej mocy, dla tego małego, którego Bóg postawił na naszej drodze. Jako osoby, które interesują się i zajmują polityką, mieliśmy wobec niego i przyszłości powinność udowodnienia, że klasa robotnicza ma takie same mózgi i jest tyle samo warta co ci, którzy mają pieniądze. Ajako pedagodzy nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że ten dzieciak potrzebuje nauki tak samo jak jedzenia. Postanowiliśmy, że będziemy go żywić, Ronnie i ja, a wydatki dzielić po połowie.

(Ronald powiedział o tej sprawie: „Cassie zdecydowała, Cassie ustaliła. Pigmalionizm, jeśli chce pan znać moje zdanie, ale ona nie chciała go znać.

Partia ostrzega przed tym".)

Moim zdaniem Paul Caldwell nie miał najmniejszych szans oprzeć się jej powabom. Poznał Catherine Barry, kiedy ona miała prawdopodobnie dwadzieścia sześć lat, a on był małym chłopcem. Ja poznałem ją w 1922 roku i nawet w wieku jakichś czterdziestu pięciu lat potrafiła człowieka oczarować - ładnie pachniała, słodko się uśmiechała. Byłem człowiekiem światowym, miałem mnóstwo przyjaciółek, do wyboru, do koloru, rozumie pan, i wiedziałem, jak kobiety jej pokroju używają swoich sztuczek dla nikczemnych celów, ale nawet ja stwierdziłem, że jest w niej coś silnie pociągającego, co wyzwala pragnienie, żeby usiąść obok niej, omal nie zacząłem jej błagać, żeby łaskawie zgodziła się odpowiedzieć na moje pytania przy kolacji. Jej uśmiech - oczywiście ja mogłem się mu oprzeć, ale mały chłopiec? Nic z tego. To uśmiech bardzo pewnej siebie osoby, uśmiech kogoś, kto myśli, że jest dużo inteligentniejszy od ciebie, a więc może przeniknąć nawet twoje myśli i sterować nimi. Bawią się z tobą, skłaniają cię, żebyś skakał dla ich zabawy. Kobiety tak mają. Czerwoni tak mają. Najgorsze są czerwone kobiety.

- Nie ciągnie cię do domu? To dlatego przesiadujesz tutaj, czytając o piramidach? - zapytałam go parę dni później, kiedy wrócił, nadał nieśmiały. Podbiegł do mnie i poprosił o tę samą książkę, nie patrząc mi w oczy, jakby mnie nigdy wcześniej nie spotkał. Dałam mu ją, a kiedy skończył czytać, znowu go nakarmiłam. I zaproponowałam, że go odprowadzę do domu, bo było późno, ale się nie zgodził i poszedł sobie.

Przez trzy czy cztery tygodnie przyszedł z dziesięć razy i przeczytał prawie wszystko o starożytnym Egipcie, co mieliśmy, a nic było tego zbyt wiele. Siedział do pory zamknięcia biblioteki, potem dawałam mu jeść, i

za każdym razem odmawiał, kiedy chciałam go odprowadzić. Robił się przyjaźniejszy, ale niezbyt szybko. To, co mu zrobiono, wystarczyło, żeby przez pewien czas był podejrzliwy wobec ludzi. Poprosiłam Ronalda, żeby znalazł jego adres w dokumentach szkolnych, i sama poszłam zobaczyć jego dom. Och, był pan tam niedawno, panie Ferrell? Jestem ciekawa, czy dużo się tam zmieniło. Kiedy ja to zobaczyłam, była to sceneria zbrodni, gwałtu dokonanego na robotniku przez kapitalistę, ni mniej, ni więcej. Ze też można tak traktować ludzi, a zwłaszcza małego chłopca o takich przymiotach i zadatkach na przyszłość. No cóż, najbliższa wybaczenia mu jestem wtedy, kiedy pomyślę, w jakich warunkach był wychowywany. Takie doświadczenia czynią człowieka albo bardzo silnym, albo bardzo słabym, a w przypadku Paula osłabiło to jego kręgosłup moralny w takim stopniu, że nic można było już nic zrobić, żeby to naprawić. Wierzę, że każdy może się sam poprawić, ale kiedy ostatni raz słyszałam o nim, nadal był samolubnym sentymentalistą.

Podniósł głowę i zobaczył, że stoję w drzwiach jego okropnego mieszkania, i jestem pewna, że moja twarz pokazywała, co myślę o tej scenerii. *i* Wtedy chyba po raz pierwszy spojrział mi w oczy. Podskoczył, nie zwracając uwagi na chaos i hałas wokół siebie, i wziął mnie za rękę. „Dlaczego i pani tu przyszła?” - zapytał, wyciągając mnie za drzwi i odprowadzając *i* tak szybko, jak mógł, ulicą, podczas gdy jego rodzina wysuwała głowy, *j* gapiąc się na mnie. „Zęby sprawdzić, czy nic ci nie jest - odparłam - bo martwię się o osoby, które lubię”. „Nic mi nie jest - powiedział - ale pani > nie powinna tu więcej przychodzić. To nie jest moja rodzina, moja prawdziwa rodzina”. Mówił więcej niż przez cały czas, odkąd go znałam. „Mój ojciec zaginął na morzu, a ta kobieta nie jest moją prawdziwą matką”. Nie



wiedziałam, czy to prawda, ale wątpiłam w to.

Kiedyś zapytał, dlaczego Ronnie nie jest żunaty, a potem, bardzo cicho, tak, że myślałam, że mi serce pęknie, spytał mnie, „jako jego siostrę”, czy przypadkiem Ronnie nie chce mieć syna.

Następnego dnia, Macy, zapytałem RONALDA Barry'ego, czy przypomina sobie, by Paul Caldwell kiedykolwiek chciał zostać jego synem.

- To nie trwało długo. Kiedy miał trzynaście lat czy coś koło tego, wściekał się na wszystko i na wszystkich oprócz Cassie i Egiptu. Zrobiłem coś, co go uraziło. Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, ale poszło tylko o to: mówiłem mu, że kiedyś chciałem zostać profesorem uniwersytetu, ale oczywiście to zaszczytne stanowisko zarezerwowane było dla gości z wyższych sfer. Mówiłem mu, że nie liczy się umysł, tylko pochodzenie i układy rodzinne, a bogacze dbają o siebie nawzajem. Paul podnosi wzrok znad swojej lektury-oczywiście książki o Egipcie - i mówi: „Pana wrogowie uniemożliwiają panu awans? Dlaczego pan ich nie zabije?” Po myślałem, że żartuje, panie Ferrell, ale prawda jest taka, że on nie żartował. Oto jak rozwijał się pieszczonek Cassie. Powinienem być go tam od razu udusić, oszczędziłbym nam wszystkich późniejszych kłopotów. Mówi do mnie: „Jeśli nie jest pan na tyle silny, żeby pokonać swoich wrogów, to czym pan jest?” Trzynastoletni chłopiec, Ferrell.

A teraz panna Barry:

- Kiedy przeczytał wszystko, co mieliśmy o Egipcie, próbowałam zainteresować go innymi dziedzinami, nawet innymi dziedzinami archeologii czy historii, albo po prostu dobrymi zbiorami opowiadań, i próbował tego, jak mały chłopiec warzyw, a potem nie chciał więcej. Ale powinien pan zobaczyć jego twarz w dniu, w którym się dowiedział,

że mogę zamówić dla niego książki, prawie wszystkie na świecie. Poprosił o tytuły, które widział w bibliografiach albo przypisach do innych książek o Egipcie.

Był zabawny - mały, jedenasto-, dwunasto-, trzynastoletni badacz. Dyszał, wchodząc do biblioteki, więc wiedziałam, że biegł tam przez całą drogę ze szkoły. Droczyłam się z nim: „I cóż pana sprowadza dzisiaj w nasze skromne progi, panie Caldwell? Coś konkretnie chciałby pan przeczytać? Może jakieś opowieści o rycerzach? Mam znakomite wydanie *Ivanhoe*. Nie? Może historia dzielnych australijskich pionierów, tych okropnych gwałcicieli? A co pan powie o przewodniku dla hodowców owiec?” Mówiłam tak i mówiłam, żeby zobaczyć, jak jego mała twarz się wykrzywia, a on stara się przypomnieć sobie, czego go uczyłam o uprzejmości. W końcu wybuchął: „Proszę, panno Barry. Czy ta książka już przyszła?” „Cóż to, panie Caldwell? Musimy zachowywać się jak dżentelmen, panować nad zachowaniem”. „Proszę, panno Barry. Przepraszam, że pani przerywam, ale mam nadzieję, że przyszły już *Kulty Ra* profesorów Knutsona i Andersona”. Albo jakieś inne dzieło, na przykład Champolliona o przetłumaczeniu napisu na kamieniu z Rosetty. Te prośby, z którymi wyskakiwał! Te zamówienia, które dla niego składałam! Czas, który spędziłam z dyrektorem biblioteki, usprawiedliwiając się, że te mało znane książki częściowo zaspokajają niepohamowany apetyt miejscowej ludności na wiedzę o Egipcie.

Powiedziała mi, żebym zaczekał chwilę, a potem podeszła do szafki obok łóżka, otworzyła szufladę i wróciła z kartką papieru.

- Prowadziłam listę - podjęła. - Niech pan posłucha: praca Pasinta o aktach sądu nekropolii. Wyczyny byłego cyrkowca Belzoniego z angielskim

konsulem Henrym Saltem. Mattison o wykorzystywaniu muzyki w rytuałach pogrzebowych. Broszura Oskara Denningera, *Chemia i funkcja mumifikacji kotów w świątyni Bastet*. Bez względu na to, jak dziwny zamówił ostatnio tytuł, błagał: „Czy już przyszedł, panno Barry? Przyszedł?” „Na pewno nic mogę powiedzieć od razu” - odpowiadałam, zagryzając usta, żeby się nie rozeźmiać. „Musiałabym sprawdzić w dziale zamówień, a potem tę stertę paczek z poczty, a to zabrałoby mi trochę czasu. Jestem bardzo zajęta, wiesz”. „Proszę, panno Barry”. Prawie płakał. „No dobrze, usiądź przy tym stole w rogu, a ja rzucę okiem”. „Dziękuję pani”. A kiedy skręcał za róg, żeby usiąść przy tym stole, znajdował książkę, której tak niecierpliwie wyczekiwał, leżącą już tam, w kręgu światła rzucanego przez lampę, obok papieru i ołówka, krzesło z paroma poduszkami na siedzisku, żeby siedział wystarczająco wysoko, i talerz herbatników. Kochałam tego chłopca.

- Kochała go pani?
  - Jak ciotka, panie Ferrell. Albo jak towarzyszka. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.
- A jak pani przypuszcza, dlaczego akurat Egipt?
  - Sama zadawałam sobie często to pytanie i często go pytałam. Nie chciał albo nie potrafił odpowiedzieć. Kiedyś wyjawiał mi, że w starożytnym Egipcie w pewnych przypadkach faraonami mogli zostać ludzie z gminu, więc prawdopodobnie przemawiało to do niego silniej niż świat, w którym żyjemy, gdzie król jest daleko, w Londynie, a mały Paul ma takie same szanse na dojście do władzy jak pan czyja. Mogłabym dodać, że starożytny Egipt był tak odległy od jego nędznego życia jak to tylko możliwe. Kiedy miał osiem czy dziewięć lat, niedługo przedtem, zanim do nas trafił, przyszedł do domu ze zbłąkanym psem. Nie posiadając się

z podniecenia, pokazuje psa matce, która nie może się zdecydować, czy pozwolić mu go zatrzymać ze względu na wydatki, bo ledwie starcza pieniędzy, żeby wyżywić dzieci, a jak tu jeszcze wyżywić tego kundla, i tak dalej. No i sprawę wziął w swoje ręce mężczyzna, który wówczas tam mieszkał. Pogratulował Paulowi zapobiegliwości, po czym wyciągnął psa na podwórko, zabił i kazał jego matce upiec go dla przymierającej głodem trzódki. W Australii. W dwudziestym wieku. I dziwi się pan, że Paul rzadko wracał do domu, że zaprzeczał, że ci ludzie są jego rodzicami, i że pragnął być starożytnym Egipcjaninem? W dniu, w którym opowiedział mi tę historię, był w moim gabinecie i płakał jak mały chłopiec, którym był, kiedy się to zdarzyło. Wtedy też spróbował mnie pocałować. Ale wybiegam za bardzo naprzód.

Kiedy miał jakieś czternaście lat, dałam mu pracę, jego pierwsze, i zapewne ostatnie, uczciwe zajęcie. Mała pensyjka za posprzątanie, ułożenie książek, zamówienie nowych tytułów. Nadal starałam się zainteresować go innymi rzeczami niż Egipt, ale były to bezowocne próby, postanowiłam więc skupić się na jego politycznej świadomości i dać sobie spokój z resztą. Miałby przynajmniej dwa wymiary: Egipt i świadomość klasową. Był niezwykle skupiony na nauce. Sam się uczył pisać hieroglify, po prostu przez studiowanie książek i zamawianie nowych, kiedy się ukazywały. Rozumie mnie pan, panie Ferrell, chwyta pan każde słowo? W wieku piętnastu lat ten chłopak umiał pisać hieroglify. Ale w studiowaniu materializmu dialektycznego, w co starałam się wprowadzać go powoli, odnosząc to do oczywistych faktów z jego życia, był beznadziejny. Mówiłam mu, żeby patrzył na swój dom i zrozumiał prawdę - dostrzegł zbrodnię popełnianą przeciwko niemu przez ludzi, którzy powinni za to zapłacić. Spoglądał na

mnie pustym wzrokiem. „Kapitaliści i monarchiści”. Żadnej reakcji. „Kościół instytucjonalny”. Tylko poprosił o więcej papieru, żeby ćwiczyć się w kopiowaniu tego głupiego alfabetu.

Ronald Barry tak wspomina jego zachowanie w szkole:

- Dzieje się to zaraz, kiedy Paul ma około trzynastu lat. Najwidoczniej nauczył się czegoś o stanowczej taktyce politycznej od Cassie, ponieważ pisze anonim do kierownika szkoły, denuncjując jednego z nauczycieli jako karygodnego nieuka, zniewagę dla proletariatu Australii, pasożyta społecznego, kapitalistycznego deprawatora młodzieży. Oczywiście list ten nie może pozostać anonimowy, skoro autor wylicza sześć konkretnych potknięć nauczyciela, z których wszystkie polegają na pomyleniu okresów Średniego i Nowego Państwa w dziejach Egiptu. Paul został tak wychłostany, że był trzy ćwierci od śmierci.

Catherine:

- Pastor z jego parafii... Bóg jeden wie, co ten człowiek robił dla swoich parafian. Nic, krótko mówiąc. Ale na pewno strasznie przeraził Paula. Ten ojciec Rowlcy dowiaduje się skądś o Paulu, bibliotece i Egipcie. I dopiero teraz zaczyna się interesować jego rodziną. Jedna owieczka z jego trzódki, ten pilny chłopiec, nie oddaje się pijaństwu albo grzechowi, czyli powinno to być raczej uważane za sukces, nic sądzi pan? Nic z tych rzeczy - pastor powiadamia matkę Paula, że jej syn uczy się w bibliotece o szatanie i pogaństwie, a więc trzeba go trzymać z dala od tego miejsca i tych książek. Trudno mi uwierzyć, że wiedziała, co ma na myśli ten człowiek, a nawet rozróżniała swoich pochlipujących, chorowitych synów. Ale przed pastorem zabrania, jak się należy, Paulowi dalszego zadawania się z książkami i z bibliotekami. Miał chyba czternaście lat, kiedy przyszedł

do mnie tamtego dnia z torbą ze swoim dobytkiem i opowiedział mi o pastorze i o psie, płacząc jak dziecko. Był chłopcem i współczułam mu. Ale potem próbował mnie objąć, tak jak mężczyzna obejmuje kobietę.

Miałam trudne zadanie, panie Ferrell, i powinien mnie pan sprawiedliwie osądzić. Oczywiście byłam wstrząśnięta. W sercu bardzo zdezorientowanego, bardzo samotnego chłopca wszystko zostało strasznie opacznie zrozumiane. Wyznał mi miłość i oddanie słowami, z których większości używano po raz ostatni podczas zalotów w starożytnym Egipcie. Proszę sobie wyobrazić młodzieńca, który stara się zdobyć serce kobiety o dwanaście lat starszej od niego, mówiąc jej, że ma szyję jak gęś. Powiedział mi, że jego lędźwie pękną, że jestem rogatą tarczą słoneczną, jego turkusową krową, że kolor mojego ciała został skradziony Horusowi i namalowany nie pamiętam już przez kogo. Wiem, to śmieszne. Śmiało, panie Ferrell, niech się pan śmieje, to j e s t zabawne, zdaję sobie z tego sprawę. Ale wtedy, o, to była dziwna chwila i jestem z siebie dumna, że nie roześmiałam mu się w twarz. Może powinnam, ale było to zaledwie w parę minut po tym, jak ryczał po swoim zamordowanym psie, pamięta pan. Zrobiłam więc, co należało. Powiedziałabym tak nawet teraz.

(Ronald: „Zabiła nas oboje, w tamtej właśnie chwili. Gdybym tam był, stłukłbym tego małego Romea na kwaśne jabłko i odesłał do pastora".)

Powiedziałam mu, że jeśli mnie naprawdę kocha, to powinien służyć mnie i sprawom, które są dla mnie ważne. Powiedziałam, że może zatrzymać pracę w bibliotece, wszystkie przywileje, które tam ma, swoje książki, kalki kreślarskie i notatki. Nikt nie będzie mógł mu tego zabrać. Powiedziałam, że pewien nasz przyjaciel da mu miejsce do spania, dopóki będzie tego potrzebował, i że dopilnujemy, żeby kontynuował naukę w szkole. A w

zamian Paul będzie mi służył, służąc sprawie. Będzie studiował to, co mu dam, przychodził na nasze zebrania, robił, co mu każą jego przełożeni, a jego wrodzone talenty - których miał mnóstwo - poprowadzą go, gdzie trzeba, zrobią z niego przywódcę, udzielającego pomocy ludziom, którzy będą jej potrzebować, tutaj w Australii. A co do tego, co nazywał „miłością” do mnie, no cóż, przyznaję, że powiedziałam po prostu, że zobaczymy, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat. Przecież to było bez wątpienia chwilowe uczucie małego chłopca do zastępczej matki, które minie, kiedy pozna on lepiej świat. Wykorzystywałam narzędzia, które miałam, dla jego własnego dobra.

Macy, staram się przedstawić przestępstwa tej kobiety jej własnymi słowami, rekonstruując je najlepiej, jak potrafię. Przyznała otwarcie, że wykorzystwała swoją niepospolitą urodę i naturalne uczucia tego chłopca, by zmusić go do pracy dla bolszewizmu, a poza tym nigdy nie powiedziała jego rodzinie, gdzie on jest. I była dumna z tego, co robiła, wierzyła, że los, który stał się później jej udziałem, był „przestępstwem klasowym”, a nie dokładnie tym, na co zasłużyła, popychając chłopca swoimi manipulacjami ku zdradzie wolnej Australii na rzecz krwiożerczych tyranów sowieckiej Rosji. I nawet kiedy miała czterdzieści pięć lat i była skompromitowana, kręciła nosem na zwykłe zaproszenie na kolację.

Już słyszę, jak pan pyta, wcale nic nierozsądnie, dlaczego w ogóle miałaby ze mną o tym rozmawiać. Otóż jej cierpki stosunek do mnie to bynajmniej nie wszystko - mimo swoich zapatrywań politycznych była zadziwiająco podobna do wielu dam z wyższych sfer, zajmujących się działalnością charytatywną. Była Damą, która ratowała biednych nie przed nimi samymi, lecz przed potwornymi kapitalistami, kimkolwiek oni są, ale

mimo to śliczną Damą zbawienia, którą biedni mogą podziwiać, ale której nie wolno im dotknąć. Nie wątpię też, że miała własne poglądy na romans, że uważała się za cnotliwą królową, przyjmującą biednego sierotę i pozwalającą mu posługiwać w kuchni, dopóki nic wyrośnie z niego Lancelot, dzięki światłu przewodniemu jej czystego przykładu. I na pewno chciała, żebym trochę oczyścił jej imię, karmiła mnie więc tymi samymi przeciwionymi historiami co każdego innego, rzucając mi te same wstydlive spojrzenia i przybierając pozę dziewicy, po to tylko, by oznajmić, że nie zrobiła żadnej z tych poważniejszych rzeczy, o które oskarżały ją brukowce. Ale, Macy, z najdziwniejszej rzeczy zdaję sobie sprawę dopiero teraz, kiedy przepisuję moje stenogramy, uzupełniając je o szczegóły, które zapamiętałem: otóż opowiadała mi o tym wszystkim jak dumna matka. Mówiła o Paulu nauczycielskim tonem, ale najsurowsze słowa zachowała dla Eulalie Caldwell, którą widziała zaledwie dwa razy, i to tylko przelotnie. Nasza panna Barry prowadziła też pamiętniki, a jakże, i przeczytała mi relacje z niektórych scen. I niech pan pamięta, że przechowywała też i otaczała czułą opieką tę listę książek, o które jej mały mężczyzna prosił ją w pierwszych miesiącach. Jestem zdumiony, że nie miała portretu swojego drogiego Paula, przed którym mogłaby teraz płakać, kiedy on leżał martwy gdzieś na pustyni, a ona żyła w tym małym mieszkanku, podejmując się wszelkich możliwych zajęć. Na pewno można powiedzieć, że Paul Caldwell zniszczył jej życie (czy też, dla ścisłości, pomógł jej samej je zniszczyć), tak to widział Ronald, ale pomimo to z jej słów przebijała przede wszystkim duma - z jej dzieła, z jej chłopca.

No więc przez parę lat Paul mieszka w gościnnym, pustym pokoju jakiegoś czerwonego agitatora, sypiając na pryczy. Kończy szkołę. Jego



rodzina nigdy go nie szuka, wydaje się nic przejmować tym, że uciekł do bibliotkarki-bolszewiczki. Chodzi na zebrania bolszewików do portu, rozstawia składane krzesła, rozprawdza broszury, trzyma torby przywódców, kiedy okłamują dokerów albo robotników. Kończy szesnaście, potem siedemnaście lat, ubóstwa Catherinc Barry, ale - tak przynajmniej twierdzi ona - bez żadnych słów czy gestów zachęty z jej strony. Czyta o Egipcie, a nawet pisze listy do różnych egiptologów na świecie, prosząc o zatrudnienie przy wykopaliskach. Nie otrzymuje od nich odpowiedzi, a Catherine mówi mu („choć pękało mi serce, kiedy ukazywałam mu prawdę”), że zawsze będzie odrzucany przez bogate klasy, które oddają się tej rozrywce, przez szlachtę, kapitalistów i „krytokolonialistów”, ponieważ jest chłopcem z klasy robotniczej i kapitaliści nigdy nie dopuszczą go do swoich elitarnych zabaw. Niezrażony tym Paul czytał i czytał, poszedł obejrzeć tych parę zabytków, które mieli w muzeum w Sydney, i pojechał aż do Melbourne, żeby zobaczyć tamtejszą małą kolekcję. Tymczasem panna Barry miała już serdecznie dość Egiptu, jak miałyby go dość każda inna rozsądna osoba. Nie pytała już Paula, dlaczego tak go to interesuje, a on coraz rzadziej z nią rozmawiał o swojej pasji. Przemieniwszy się z nieśmiałego ośmiolatka w niemal przyjaznego jedenastolatka, a następnie pożądlivego czternastolatka, Paul był teraz, w wieku siedemnastu lat, znowu milczącym, pracowitym chłopcem. Przeważnie był pod jej okiem, albo pracując i studiując w bibliotece, albo na komunistycznych zebraniach.

Nadchodzi w końcu dzień, kiedy nasz zdrowy młodzieniec stwierdza, że dość już zrobił, by zdobyć serce swojej wybranki. To, że wprowadzała go ona w błąd, jest oczywiste dla ludzi światowych, takich jak pan i ja. Ale niech pan spojrzy na to z jego punktu widzenia: ma siedemnaście,

osiemnaście lat, jest dorosłym mężczyzną. Ona jest samotną kobietą, która go zna, była dla niego miła, prosiła, by jej służył. Paul osiąga ten wiek - znamy to, Macy, co? ja to pamiętam, naprawdę - kiedy widzi, czego chce, i wyciąga rękę, by to wziąć. Absolutnie nie winię tego chłopca.

Wyciąga po nią rękę i (co mnie nie dziwi, bo spędziłem z nią trochę czasu) otrzymuje lodowatą odpowiedź.

- Och, był taki głupi. Zaoszczędził dość pieniędzy, żeby zabrać mnie do restauracji. Nigdy nie powinnam była przyjąć tego zaproszenia, ale powiedział, że chce porozmawiać o socjalizmie, ma pytania, na które tylko ja mogę odpowiedzieć.

Paul zamówił muzyka, który przygrywał przy stole, zamówił kwiaty.

- Robił widowisko, ludzie patrzyli na nas, to było śmieszne. Byłam taka zła, że chciało mi się wrzeszczeć. Myślałam, że wszystko się skończyło, że przeniósł uczucia na partię. „Myślałam, że chcesz porozmawiać o poważnych sprawach, Paul”. „Dla mnie najpoważniejszą rzeczą na świecie jesteś ty, Cassie”. Chyba po raz pierwszy nazwał mnie inaczej niż panną Barry albo towarzyszką.

Powstrzymała go, oświadczyła, że ma teraz obowiązki, zobowiązania wobec czegoś większego od siebie.

- Powiedziałam to, żeby ocalić jego godność. Ale on nalegał: „Bez ciebie w ogóle mnie to nie interesuje”. „Paul, musisz działać na rzecz sprawiedliwości dla niej samej, nie dla mnie. Twoje cudowne, dobre serce znajdzie w tym spełnienie”. „Jestem mężczyzną, a ty jesteś kobietą, Cassie”. O rany. „Jesteśmy oboje ludźmi, Paul. Mamy dług do spłacenia. Wszystko zawdzięczasz sprawie, rozumiesz to? Ronald i ja zrobiliśmy to, co zrobiliśmy, z powodu naszych przekonań”. Niech pan zwróci

uwagę, że była to prawdziwa odpowiedź. Ale on... Niektórzy ludzie nie zachowują się zgodnie z logiką i tym, co leży w ich najlepszym interesie. Pamiętam, jak zapytał: „Pomogłaś mi tylko przez wzgląd na swoją sprawę?” A jego mina - wyglądał jak ten mały chłopiec, który prosił o książkę albo płakał po swoim psie. „Nie kochasz mnie ani trochę?” No i co, panie Ferrell, mogłam na to powiedzieć? Jeśli chce pan znać moje zdanie, to w tym momencie tak naprawdę dałam mu prezent: mogłam przecież zwodzić go jakimiś bzdurami. Wiedziałam o tym. Ten smutny młody człowiek, który marzy o romansie, ma zaszczyt pracować na rzecz najbardziej romantycznego ruchu w historii ludzkości. Pragnęłam tylko, żeby dalej działał na rzecz sprawiedliwości, i okłamując go, mogłabym to uzyskać. Ale nie zrobiłam tego, panie Ferrell, i chciałabym, żeby zaznaczył to pan w swoim notesie. Poczekam, żeby zapisał pan to słowo w słowo. Odegra pan swoją rolę w wyprostowaniu wszystkich wypaczeń, nawet dwanaście lat po tych wydarzeniach. Powiedziałam: „Paul, masz dług wobec sprawy. Jako człowiek honoru, jako zdolna do współczucia istota ludzka, nie masz wyboru i musisz kontynuować swoją pracę, dopóki na świecie nie zapanuje demokracja i równość. Na pewno nie zamierzam brać pod uwagę twoich myśli o innych rzeczach. Jesteś moim towarzyszem. Będę szła z tobą ramię w ramię, a nie pod rękę”. I wtedy wstał i wyszedł, zostawił mnie przy stoliku, obok jakiegoś szczerzącego zęby szympansa, który grał na skrzypcach.

Była pewna, że niebawem znowu go zobaczy, że Paul po jakimś tygodniu odzyska równowagę.

- Przypuszczałam, że robi trudny, ale ważny krok w swoim rozwoju, przenosi miłość na inny obiekt. Czy popełniłam błąd? Najwidoczniej.

Powinnam była powiedzieć mu, że jego miłość nie jest beznadziejna, albo że go kocham, i być może powinnam była go kochać, na jego warunkach, tylko trochę, aż by z tego wyrósł, stał się dobrym człowiekiem i dobrym komunistą, którzy na pewno w nim tkwili i których nasz świat rozpaczliwie potrzebuje, panie Ferrell.

Oczywiście nie zobaczyłam go już nigdy, z wyjątkiem jednego razu. Kilka lat potem Ronnie powiedział mi, że Paul występuje w cyrku, poszliśmy więc i obejrzelśmy jakieś infantylne wygłupy, usiedliśmy daleko od areny, gdzie nas nie widział. Później, w 1916, zrobił oczywiście to, co zrobił, niszcząc życie paru dziesiątków oddanych sprawie bohaterów.

A w 1917, kiedy mógłby być po naszej stronie, świętując największe wydarzenie w historii ludzkości, walczył na wojnie niemieckiej szlachty z angielskimi bankierami, i w 1918 zginął za to, czyniąc świat bezpiecznym dla kapitału. I to jest cała ta wstrętna historia, panie Ferrell. Niech pan ją opowie każdemu, kto będzie jej chciał wysłuchać. W tej naszej słabej demokracji nigdy nie miałam szansy opowiedzieć jej komukolwiek, a policja i gazety wołały opowiadać swoje bajki.

Może mi pan wierzyć, Macy, że to nic wszystko. Ronald wyjaśnił mi wydarzenia, które rozegrały się w 1916 roku, na tyle, na ile sam o nich wiedział, a które dobrze opisują załączone wycinki z gazet, chociaż Czerwony Ron nazwał oczywiście te relacje nieuczciwymi.

- Nastąpiła noc aresztowań - powiedział mi, gasząc papierosa. -Wzra stała temperatura wydarzeń na świecie - wojna, Rosjanie - a my byliśmy w samym środku, więc władze były trochę podenerwowane. Przerwano jedno z naszych zebrań i zabrano nas do aresztu, trochę poturbowano. Martwiłem się o Cass, bo straciłem ją z oczu na samym początku i zabrano

ją gdzie indziej. Mówienie o komunizmie nie było przestępstwem - Australia nie posunęła się tak daleko jak USA - ale konspirowanie w celu obalenia władzy to była zupełnie inna sprawa. Oczywiście niczego takiego nie robiliśmy. Ale policja oznajmiła, że znalazła materiały wybuchowe oraz adresy polityków i policjantów, których planowaliśmy zabić, i że p s u j e m y młodzież, a Cass i mnie łączy zakazany między bratem i siostrą stosunek.

Ronald spokojnie temu zaprzecza:

- Otóż, Ferrell, nie byliśmy, proszę cię, szaleńcami. Organizowanie strajków, zachęcanie do oporu, walka przeciwko propozycji obowiązkowego poboru mężczyzn na wojnę, ukazywanie zepsucia państwa - to była nasza linia. Ale ten inspektor policji, Dahlquist, mówi prasie, że rozbił siatkę komunistycznych porywaczy dzieci i zabójców. Nasze zdjęcia z naszymi nazwiskami i zdjęcia tych bardzo starych materiałów wybuchowych, które znalazł pod podłogą pod łóżkiem w pokoju, w którym wie pan, kto mieszkał przez wiele lat. Wtedy zrozumiałem, kto nam to zrobił, chociaż nie miałem od niego wieści od wieków, chociaż Cassie próbowała temu zaprzeczać, mówiąc mi, że dałem się ponieść emocjom. Akurat: ten zgnilek wymyślił historyjkę dla policji i jeśli chce pan znać moje zdanie, był to list miłosny do Cassie, jego sposób wyznania, że nadal uważa, że jest najlepszą dziewczyną na świecie, sześć lat po tym, jak złamała mu domniemane serce.

Dziesiątka bolszewików spędziła miesiąc w więzieniu, a jeden z nich nadal tam siedzi, ten, który zdobył i przechowywał materiały wybuchowe.

- Bóg wie dlaczego - stwierdził Ron. - Oczywiście nigdy nie użyto tego świństwa, leżało tam pod podłogą przez pół tuzina lat. Wie pan, Cassie i ja

nawet nie należeliśmy do przywódców tego ruchu. Byliśmy po prostu idealistami. Cassie nadal jest. Ja miałem dosyć.

Tak mówił ten nauczyciel, który został barmanem. Rozmawiał ze mną w dwudziestym drugim w barze, w którym pracował, jednym z niewielu miejsc, gdzie chciano go zatrudnić.

Policja miała swojego zamachowca z bombą, ale przesadziła, aresztując masę takich ludzi jak rodzeństwo Barrych, którzy schowali się za prawami głoszącymi, że mogą myśleć i mówić, co im się podoba, i ostatecznie niewiele dało się udowodnić przed ławą przysięgłych, a zarzuty o porwanie dzieci były zbyt grubymi nićmi szyte, by wyciągać je przed sądem, zwłaszcza że głównym świadkiem oskarżenia miała być Eulalie Caldwell, a złotousta, nieznośna Catherine Barry przygotowała się, żeby bronić się sama gadką o chrześcijańskim miłosierdziu. Tak czy inaczej, społeczeństwo z zadowoleniem patrzyło, jak zwolniono Barrych ze stanowisk w instytucjach publicznych. Trochę prawdziwej proletariackiej pracy dobrze robi takim ludziom. W 1922, w swoim ciasnym pokoiku, Catherine Barry nadal ciągnęła swoją śpiewkę o nieśmiertelnych dokonaniach towarzysza Lenina, które zapiszą się w historii na wieczne czasy, i z tego, Macy, co obaj wiemy, trudno powiedzieć, by nie popierała zwycięzcy, nawet jeśli był diabłem.

Tak więc 10 i 11 lipca 1922 roku żegnamy się z Barrymi. Ronald wraca do ścierania baru. Catherine ściska mi rękę tak, jakbym był trucizną, i wychodzi na dwór przyciąć róże klientów. Przeklinają Paula Caldwellella i prawego inspektora Dahlquist, choć powinni przeklinać własną arogancję. (Oczywiście nie wspominam im o tym, skoro Ronald wynajął mnie, bym znalazł Paula, jeśli jeszcze żyje. Przyznam, że szukanie adresu człowieka, który nie żyje, jest nie wymagającym wysiłku sposobem za-

rabiania pieniędzy.)

Następnego dnia zdobyłem posłuchanie u inspektora S. George'a Dahląuista, by zrozumieć związek pomiędzy aresztowaniem Caldwell'a w cyrku i aresztowaniem Barrych, których ten policjant dokonał.

Macy, dziwnie spałem ostatniej nocy, zapewniam pana. Pracowałem nad moją opowieścią dla pana wczoraj od rana do późna w nocy i nawet kiedy nie pisałem, czytałem ponownie rozmowy, które odtwarzałem, moje stare notatki i wycinki z gazet z 1916 roku, które dostałem od Ronalda. Część z nich jest być może zbyt mocna (na przykład: *Czerwone rodzeństwo więziło nasze dzieci* i *Biblioteka publiczna siedliskiem bolszewickich zamachowców*). Szczerze mówiąc, jeden z nich, z „Heralda”, gdzie kierownik biblioteki oznajmia, że ten system jest wiernym obrońcą Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, i twierdzi, że został już całkowicie oczyszczony ze zdradzieckich elementów, a Catherine Barry, niedawno zwolniona, nazwana jest przez gazetę złośliwym wirusem, wgryzającym się w najbardziej niespodziewanych miejscach w podstawy demokratycznego społeczeństwa, wydał mi się dziwnie poruszający. Z pewnością mówił prawdę. W porywający sposób bronił naszych wspólnych zasad, a jednak teraz, kiedy go czytam, mam wrażenie, że czegoś w nim brakuje.

W nocy śniła mi się Catherine Barry, czułem nawet jej zapach, o wiele przyjemniejszy niż zapach tego miejsca w nocy, panie Macy w Swojej Posiadłości w Nowym Jorku. Nic do mnie nie powiedziała, nie była zła, nie uciekła ani nie przekazywała przesłań z tamtego świata. Po prostu usiadła spokojnie naprzeciw mnie, wygładziła spódnicę, uśmiechnęła się, odchrząknęła i patrzyła na mnie ze swojego fotela, a ja wiedziałem, że czeka, żebym coś powiedział, chociaż niech mnie szlag, jeśli się domyślam, co to

miało być. Podnosi brwi, śmieje się lekko z powodu mojego zdumionego milczenia, wzrusza ramionami, siada wygodniej w fotelu, składa ręce na brzuchu i tylko na mnie patrzy z tym złośliwym półuśmieszkiem, zdaje się mówić, że ma aż nadto czasu, żeby poczekać i zobaczyć, czy powiem to, co trzeba. Siedziała tam wiecznie - w i e c z n i e, bo wiedziałem w tym śnie, że nigdy nie wstanie.

A zatem wysyłam to do pana i zabieram się do pracy nad Dahlquistem i moją podróżą do Anglii.

Pański Ferrell

*Czwartek, 12 października 1922 r.*

Do Margaret: Jest dopiero świt. Jesteś tu ze mną zawsze. Przywiozę ci mnóstwo darów z tej wyprawy. Będziesz oczywiście nurzała się w starożytnym złocie, będziesz oczywiście dzieliła ze mną sławę, wyjdiesz oczywiście za mnie w takich okolicznościach, że twoje wrzeszczące, zawistne przyjaciółki wydrapią sobie oczy zaraz po ceremonii. Ale myślę też, że zasługujesz na to, by mieć przy sobie własny dziennik naszej długiej rozłąki, dziennik mojej miłości, spleciony z dziennikiem mojej pracy; oba są zbyt ściśle ze sobą związane, by można je było teraz, w ferworze działania, rozdzielić. Ten długi dziennik-list do ciebie będzie gotowy za parę miesięcy i wtedy będzie można go dodać do listów, które otrzymasz (niestety, w wiele tygodni po ich wysłaniu przeze mnie), i porównać z listem, który będą mieli wszyscy, książką *Ralph M. Triipiub i odkrycie grobowca Atum-ha-du* autorstwa *Ralph M. Trilipusha*. Część moich wczorajszych zapisków przeznaczona jest, widzę to teraz, dla ciebie, nie dla nich. Widzę też, że w opublikowanej wersji tych



dzienników twój ojciec zasługuje na odrobinę poluru i możesz mi zaulać, ze wyświadcę ci tę przysługę.

Omówienie finansowania współczesnych ekspedycji egip-  
tologicznych: Jeśli chodzi o słowo „błagał”, użyte w dowcipnym tekście Kendalla Mitchella, to uważam, że warto byłoby, ku pożytkowi przeciętnego czytelnika, opisać, jak finansowane są ekspedycje archeologiczne. „Błagania”, mam nadzieję, że jest to oczywiste, nie mają z tym nic wspólnego. I chociaż, drogi czytelniku, pragnę tak samo jak ty przejść jak najszybciej do samych naszych poszukiwań, to nie chcę cię zabrać ze sobą, dopóki nie zdołasz zrozumieć kontekstu wydarzeń, które czekają nas tam, na pustyni.

Przyłącz się zatem do mnie podczas pierwszego z cyklu spotkań z inwestorami, bostońskimi koneserami sztuki i ludźmi finansów. Odbyło się ono w czerwcu bieżącego roku w salonie Chestera Crawforda Finnerana, który zaprosił mnie do swojej luksusowej (i luksorowej) rezydencji, gdzie zebrał paru przyjaciół, by mogli mnie wypytać. I chociaż ożeniłbym się z jego córką bez tych pieniędzy i mógłbym znaleźć źródło sfinansowania tej ekspedycji gdzie indziej, oferował mi mimo to swoje pieniądze, i choćby tylko jako gest dla kobiety, którą kocham, dałem i jemu, i jego przyjaciołom szansę zostania sponsorami tej bezprecedensowej ekspedycji.

Salon CCF ozdobiony jest — zgodnie z obecną amerykańską modą — taką liczbą przedmiotów egipskich i pseudoegipskich, że Kendall Mitchell twierdzi, iż zaczyna się czuć „jak w grobowcu”. Żart ten normalnie drażniłby uszy, ale CCF mądrze zadbał o tyle „mrożonej herbaty”, że wszyscy zaczynają się czuć bardzo swobodnie. Zwracam się do CCF,

Mitchella, Rogera Lathorpa, Juliusa Padraiga O'Toole'a i Heinza Kovacsa. La-thorp jest właścicielem jakiejś firmy budowlanej, przynoszącej ogromne zyski. Ostatnich dwóch gości przedstawiono mi bardzo ogólnikowo, jako finansowych wspólników CCF w innych jego przedsięwzięciach. Mówią bardzo mało, chociaż Kovacsa dręczy ostry kaszel, tak głośny, że zagłusza wszelkie rozmowy w salonie, gdy go dopada. Kiedy natomiast Kovacs mówi, jego głos jest tak cichy, że wszyscy (nawet O'Toole, który siedzi bezpośrednio przy nim, po jego lewej stronie) muszą się ku niemu nachylać. Kovacs ma zażawione oczy, co jest skutkiem jakiejś infekcji, i podczas naszego spotkania używa wielu chusteczek, wrzucając każdą przemoczoną, ozdobioną monogramem jedwabną szmatkę w ziejącą czarną paszczę śmietniczki CCF w kształcie posągu Ramzesa. O'Toole, Irlandczyk o nieokreślonym zajęciu, dużą część wieczoru poświęca piłowaniu paznokci, od czasu do czasu robiąc małym złotym ołówkiem notatki w małym zeszyciku w skórzanych okładkach. Wszyscy bez wyjątku mają ubrania i buty, które mówią wszem i wobec o ich fortunach. Wprawdzie nie są naukowcami, ale ich namiętność do sztuki nie ulega wątpliwości. Umowy z takimi instytucjami jak pewne czołowe muzea mają swoje minusy i często prywatni inwestorzy oferują badaczowi wyjątkowe korzyści.

- Panowie — zaczynam — odłożmy na chwilę kwestię pieniędzy, by...
- Nigdy tego nie robię! — rzuca figlarnie Kendall Mitchell, co wywołuje wybuch wesołości nie tylko u niego, ale i u Lathorpa. Kovacs kaszle.
- Ma pan o sobie niskie mniemanie, panie Mitchell. Odłożmy na chwilę kwestię pieniędzy i zastanówmy się, co ta ekspedycja może wam

przynieść oprócz zysków finansowych. Historia Egiptu przenosi nas do samego zarania znanej z zapisków ludzkiej historii, prawie 5000 lat wstecz.

- Dobrze pan mówisz. Do samego Jezusa Chrystusa.

- To z pewnością dostarcza pewnego kontekstu, panie Lathorp, i świadczy o pańskiej predyspozycji do metody historycznej, ponieważ mądrze jest podchodzić do przeszłości przez

znane kamienie milowe. Ale jeśli zważymy, że Jezus urodził się 1922 lata temu, Atum-hadu panował 1640 lat wcześniej, a Egipt w pełni swojej chwały istniał już *-wtedy* 1500 lat, to zaczniemy czuć, o jak ogromnych odcinkach czasu mówimy.

- Oczywiście — zgadza się Lathorp. — Znane kamienie milowe.

- Posłuchaj, Pushy — wtrąca Kendall, przerywając niemal natychmiast staranny wykład, który sobie przygotowałem. — Doszły mnie słuchy, że stary Egipt jest już przeczesany. Pod piaskami nic nie zostało.

Wszystkie dobre rzeczy przechwycili już inni faceci. Co masz na to do powiedzenia?

Proszę ich, żeby otworzyli broszury na stronie zatytułowanej „Szanse na sukces”.

— Uważam, że to niezwykle nieprawdopodobne. Znamy imiona kilkuset starożytnych królów, a znaleźliśmy grobowce tylko kilkudziesięciu. Nawet teraz, kiedy o tym rozmawiamy, różne ekspedycje odkrywają niezwykle skarby, chociaż sezon kopania w zasadzie się kończy, gdy zaczyna się egipskie lato.

W przypadku Atum-hadu znaleziono mniej więcej w tym samym rejonie trzy fragmenty jego pism, ale na żadnym rynku nie

pojawiły się nigdy żadne przedmioty z jego pochówku. Z czego wynika, że jego grobowiec jest nietknięty, luksusowo wyposażony i znajduje się w pokazanym na tej mapie rejonie Deir el-Bahari.

Pomogłem im otworzyć broszury na mapie, której większa wersja balansowała na sztaludze, przed dużym olejnym obrazem Margaret trzymającej królika albo mufkę z króliczego futerka.

Przyglądali się badawczo mapie, dzięki czemu, chwycony w szpony powracającej co pewien czas dolegliwości, mojego przekleństwa, mogłem odwiedzić iście farańską ubikację CCF, gdzie wyteżyłem się pod wpływem dopadającego mnie w nie-dogodnym momencie napadu skurczów żołądka, które dręczą mnie od czasu wojny, dyzenterii, przykrego towarzysza obozowego z Egiptu.

W chwili mojego powrotu CCF nadal zezował na mapę, która była dla niego zbiorem niemożliwych do odszyfrowania linu i opisów, ale pozostali rozbili się na dwie wyraźne grupki. Mitchell i Lathorp chichotali między sobą nad egzemplarzem (otwartym, jak mogłem się spodziewać, na kwartyńie 42, „Atum-hadu okazuje szczególne względy czterem siostronakrobatkom”) *Pożądania i podstęp w starożytnym Egipcie* (Literatura Miłosna Collinsa, 1920; nowe wydanie: Harvard University Press, planowane na rok 1923), a OToole i Kovacs siedzieli w milczeniu z boku.

— Jezu gorejący, dlaczego Harvard nie opłaci tej twojej podróży, Pushy? — zapytał sam CCF. Wiedziałem, że tak na prawdę nie niepokoi go ta kwestia; po prostu nie chce w oczach współników wyjść na osobę zbyt łatwo dającą się przekonać. — Przyłapano cię, jak pieprzyłeś żonę dziekana, co?

Odesłałem ich do zindywidualizowanych szkiców, które umieściłem na stronie pod tytułem „Zbiory osobiste” w przygotowanych dla nich broszurach.

— Słuchajcie, panowie, chcecie, żeby to, co znajdę, stało się własnością Harvardu? Chcecie, żeby stało się to harwardzkimi zbiorami z grobowca Atum-hadu, kiedy zbiory Lathorpa, zbiory OToolea, zbiory Kovacsa mogłyby zapełnić wasze własne domy złotem egipskiego króla i kiedy was już nie będzie, nosić zawsze wasze imię w prywatnym skrzydle wybranego przez was muzeum? Wiedźcie o tym, że każdemu muzeum w tym kraju będzie ciekła ślinka na myśl o tym, że mogłoby umieścić na zawsze wasze zbiory pod waszym nazwiskiem, jak pozwoliłem to sobie wyobrazić w tych szkicach. I tutaj dochodzimy do kluczowej sprawy, panowie — upamiętnienia waszych nazwisk. To coś, co doskonale rozumiał nasz przyjaciel Atum-hadu. Jeśli będą wymawiali wasze nazwisko po waszej śmierci, to nie będziecie martwi. Dobrze o tym pomyślcie. Wasze pieniądze mogą wam zapewnić to, co pieniądze Atum-hadu zapewniły jemu, to, co — jak wiedział każdy król Egiptu — było najcenniejszą rzeczą, jaką można osiąść: nieśmiertelność. Co zamierzacie pozostawić po sobie, kiedy nadejdzie ten dzień? Dom handlowy? Firmę budowlaną? Fundusz powierniczy? Litanię marnych oskarżeń wniesionych przez zawistnego prokuratora generalnego? Czy też chcecie, by wasze nazwisko żyło wiecznie, co jest najwyższą nagrodą, jaką może zdobyć człowiek?

— Niech no pan przerwie na chwilę, profesorze. — Mozę posunąłem się za daleko; wszyscy nachylają się, by usłyszeć szept Heinza Kovacsa. —

Za pozwoleniem. Widzisz pan, ja trochę pogrzebałem, pobawiłem się sam w archeologa. Chcę wiedzieć, co jest co, zanim zacznę podpisywać ogromne czeki dla angielskich zbzikowanych badaczy i pornografów. — (Niebawem wyjaśnię to błędne przekonanie.) — Otóż mój chłopak chodzi do Harvar-du i jego profesor mówi, że pański faraon nawet nie istniał. No więc jak to jest?

Przyznam, że doznałem wtedy ukłucia zazdrości, nic więcej, tylko lekkiego ukłucia, ponieważ kiedy stałem tam pośród bostońskich nuworyszy i odpowiadałem na ich świadczące o ignorancji pytania, pomyślałem o Howardzie Carterze, sprawdzającym bez pośpiechu stan swojego rachunku bankowego w Kairze, a potem telegrafującym po prostu do swojego łagodnego mecenasa w Anglii z żądaniem jakiejś zgrabnej sumy i czekającym, aż odpowiednio spuchnie jego kairskie konto. Pomyślałem o Oskarze Denningerze, nieźle wyposażonym przez dzielną Republikę Weimarską, i o Giancarlu Buoncanem, topiącym w piaskach Sudanu kwartalne zyski Cassini Distillatori, pragnącym naciskać tę pompę tak długo, jak będzie to konieczne, aż wytryśnie z tej jałowej sudańskiej ziemi parujący złoty gejzer. I pomyślałem o moich „kolegach” z Harvardu, robiących sobie przerwy w pracowitym niedokształcamu studentów, dyskredytujących moją pracę i wtrącających się do wsparcia finansowego po to, by przepuścić nieśmiertelne dotacje harwardzkie na plugawienie grobów jakichś podrzędnych kapłanów.

— Jak każdy, kto ma wizję, ambicję i poczucie podejmowania ryzyka, rozumie pan, panie Kovacs, co to znaczy być otoczonym przez małostkowych wrogów, którzy cię nienawidzą nie dlatego, że ty ich nienawidzisz albo coś im zrobiłeś, ale dlatego, że ich lekceważysz,

ponieważ są zbyt mizerni, żeby cię zainteresować. Profesorzy ter Breuggen i Fleuriman, bo to oni, jak przypuszczam, w karygodny sposób mącą w głowie pańskiemu synowi, robią na mnie takie wrażenie, jakie na panu musi robić urząd skarbowy albo prokurator generalny. Panowie, studiowałem w Oxfordzie języki orientalne i egiptologię. Pisma tego króla — tego „wymagowanego” króla, jak chce Claes ter Breuggen — wydobyłem własnymi rękami z egipskiej ziemi. Wierzę tylko w to, co jest rzeczywiste, podobnie jak wy, panowie. Otóż gdybym wyłożył przed wami nici nauki, pracowicie zbierane przez dziesiątki lat i splecione do granic wytrzymałości w moim własnym dziele, gdybyście ślęczeli nad ogromem tej wiedzy, tak jak ja ślęczałem, to kierując się zdrowym rozsądkiem, śmialibyście się z tego dzielenia włosa na czworo, z tej bezpłodnej paplaniny, i powiedzielibyście „brawo”, tak jak ja, kiedy przeczytałem niedawno w „Boston Mercury”, co powiedział pan o prokuratorze generalnym: „Dlaczego ten nudny człowieczek nie zajmie się swoimi sprawami i nie zostawi Heinziemu Kovacsa Heinziemu Kovacsowi?”

— Faktycznie, brawo — wtrącił CCF. OToole polerował sobie paznokcie. — Wiesz, co sobie myślę, JP? — CCF zwrócił się do OToolea. — Wydaje mi się, że takich odpowiedzi nam trzeba. Pushy, powiedz im, jak prawdopodobnie wygląda ten grobowiec.

Kiedy prosisz bogaczy o pieniądze, zachowuj się z lekką rezerwą. Chcą wiedzieć, że pieniądze zwrócą się im z procentem, ale chcą też wiedzieć, że rozumiesz, iż nie ma gwarancji, że tak się stanie. Nawet kiedy gwarantujesz, że je dostaną. Chcą, żebyś był bystrzejszy od nich, ale nie

we wszystkim, i uznawał ich wyższość w sprawach finansów i „zdrowego rozsądku”. Chcieliby wykazać się jednym czy dwoma spostrzeżeniami dotyczącymi twoje] dziedziny, które nie przysły ci wcześniej do głowy. Jeśli więcej niż jednym czy dwoma, wezmą cię za głupka; jeśli mniej, za aroganta. Nie chcą, żebyś prosił ich o pieniądze; chcą, żebyś przedstawił im jakąś okazję do zainwestowania i przyjął mniej, niż są skłonni zainwestować. Nie bądź pewien ich pieniędzy, podkreślaj ryzyko, minimalny zysk. Tego rodzaju lekcje musi niestety przerobić każdy egiptolog. A oto przykład:

— Panowie! Grobowiec Atum-hadu jest prawdopodobnie zwykłym otworem w ścianie pustynnego urwiska. Po drodze do tego krytego pasażu towarzyszą wam malowidła ukazujące wydarzenia z czasów panowania Atum-hadu i hieroglify opisujące jego tryumfy i niepowodzenia, inwokacje do bogów. Malowidła te układają się w pewną opowieść, jakbyście byli w kinie: po waszej lewej, powiedzmy, Atum-hadu prowadzi wojska przeciwko najeźdźczej armii Hyksosów, secesjonistycznych przywódców ze wschodniej Delt, albo czarnym zastępom z południa Afryki. Po prawej widzicie, jak walczy z konspiratorami na własnym dworze, zabiegającymi o tron, niecierpliwymi możnowładcami, spokojnie przyciągając do siebie swoich zaufanych doradców (jakimi, panowie, jesteście dla mnie) i swoją małżonkę imieniem Jej Uroda Zdumiewa Słońce. Tyle widzimy, kiedy idziemy korytarzem wejściowym. Teraz musimy się przeczołgać przez mały otwór i dociera do nas zapach niepodobny do żadnego innego, jaki czuliśmy wcześniej. Nie powiem, że od razu wyda się miły czy



przyjemny, ponieważ jest nie znany... nie, bardziej niż nie znany (bo obiecuje to rychłe zaznajomienie się z nim): jest jedyny w swoim rodzaju. Nigdy nie poczuliście i już nigdy nie poczujecie tego zapachu: to pierwszy powiew powietrza, które było tam zamknięte przez 3500 lat. Nie wiem, czy zapach ten wywoła u was uśmiech (jak wywołuje u mnie), wymioty czy podniecenie. Ledwie widzimy z powodu pieczenia oczu, gorąca i... oślepiającego blasku. Tak, panowie, oślepiającego blasku — słabe światło naszych elektrycznych latarek wraca do nas spotęgowanym, oślepiającym odbiciem od złota, szkła, kości słoniowej, paciorków, lazurytu i złota, złota, złota. Wchodzimy?

- Ja się na to piszę — mówi Finneran.

- I powinieneś. Dużo wiemy o naszym gospodarzu, Atum-hadu. Z jego pism znamy siły zewnętrzne, które go ukształtowały, maskę, którą sobie stworzył dla potrzeb swej kariery. Wiemy o jego przemożnych żądzach, które mógł zaspokajać tylko na krótko i z wielkim trudem. Wiemy o rodzinie, która go zawiodła, o żonach i konkubinach, które dodawały mu siłę,

o zaufanym Panu Szczodrości, który był jego najlepszym doradcą, i tam widzimy to wszystko. Na ścianie obok złotego sarkofagu naszego króla widzimy najmisterniejsze, najdelikatniejsze rysunki erotyczne, przedstawiające miłosne podboje Atum-hadu, i figurki, które po zapieczętowaniu grobowca ożyły, by rozgrzewać króla podczas jego podróży w zaświaty. A tam, na wysokim, ozdobnym stole, pomiędzy olbrzymimi posągami bogów

Atuma i Anubisa, leży kompletny egzemplarz *Nauk Atum-hadu*, pism króla, w końcu już nie anonimowych, a na ścianach jeszcze pełniejszy opis

zycia króla, o którym trzeba przyznać — chociaż wyznanie to oznacza, że wyciąga się nas teraz, opornie wierzgających nogami, z tego pasażu wejściowego, obok zamazanych hieroglifów, z powrotem tutaj, do salonu CCF — bardzo mało wiemy na pewno, i zęby zaspokoić moich zgłodniałych krytyków i oddać, co się im należy: niektórzy twierdzą, że Atum--hadu i jego grobowiec są nie tylko nie znani, ale niepoznawalni, ponieważ ów król faktycznie nie istniał. To oczywiście nieprawda, choć zniechęcająca nerwowego inwestora czy nerwowego badacza. I właśnie dlatego nie zaproszono tutaj dzisiaj nikogo, kto należy do jednego z tych dwóch typów ludzi.

Potem nastąpiło dokładne przeglądanie, strona po stronie, broszur informacyjnych: „Szanse na sukces”. „Kim był Atum--hadu?” „Paradoks grobowca. Zarys ogólny”. „Paradoks grobowca. Przypadek Atum-Hadu”. „Rola poezji erotycznej na dworze Atum-hadu”. „Dowody na położenie i zawartość grobowca”. „Szacunkowa wartość rynkowa wybranych potencjalnych przedmiotów”. „Mapy Egiptu i Deir el-Bahari”. „Zbiory osobiste”. Nie wszyscy współnicy nie spali podczas omawiania wszystkich tych rozdziałów (złoty ołówek drzemiącego J. P. OToolea, pozostawiony własnej przemyślności, narysował w notatniku ciąg malutkich wodospadów), ale przynajmniej jeden z nich słuchał uważnie każdego tematu.

— Porozmawiajmy później prywatnie, CC, ty, ja i Hein-zie — mówi OToole ze swoim irlandzkim akcentem, wstając i wyprostowując się. Kovacs z trudem się podnosi, natomiast Lathorp i Mitchell sięgają, jak jeden mąż, w kierunku podnóżka podtrzymującego egzemplarz *Pożądania i podstęp w starożytnym Egipcie* (Literatura Miłosna Collinsa, 1920).

— Nie musicie się o nią bić, chłopcy. — Sięgam do swojej teczki. — Mam dla każdego bezpłatny egzemplarz.

Dom Opieki Zachód Słońca nad Zatoką Sydney,  
Australia 8 grudnia 1954 r.

Panie Macy,

Pracuję teraz tak szybko, jak mogę. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro, jeśli w ogóle coś przyniesie. To lekcja numer 1 w tym przybytku. Dziś rano zabrali gościa z mojego pokoju, ładnie przykrytego od stóp do głowy, z jakimś najwyraźniej znudzonym siostrzeńcem, który poświęcił kilka cennych minut, by pokwitować odbiór ciała.

Lipiec 1922. Inspektor S. George Dahlquist, ambitny oficer, nie posiadał się wprost ze szczęścia, że może się ze mną podzielić miłymi wspomnieniami, opowieściami o czerwonych zamachowcach i złodziejskich cyrkach. Odpowiedział na kilka z moich pozostałych pytań o australijskie życie Paula Caldwell, ale nie na wszystkie: nie wiedziałem, co działo się z chłopcem od momentu, w którym wyszedł z restauracji z sercem złamanym przez jego lodowatą, czerwoną, umiłowaną damę, do chwili kiedy Boyd Hoyt odkrył jego talent, widząc, jak opróżnia kieszenie przechodniów na rynku - dwa do trzech lat, na które zniknął mi z widoku. A potem, w 1916 roku, idzie na paluszkach po trocinach, sięgając w ciemności po rząd kuszących portfeli nad swoją głową, kiedy z mroku wyskakuje inspektor Dahlquist, łapie go za rękę i omal jej nie łamie.

Paul Caldwell ma co najmniej dwadzieścia trzy lata, tkwi w słoniowym gównie, trocinach i objęciach Emmy Hoyt, kiedy zostaje aresztowany za

wyciąganie skąpo wypełnionych portfeli widzów, którzy siedzą w półmroku z tyłkami wystającymi za drewniane ławki, wiwatując na cześć albo na pohybel występującego tego wieczoru pingwina. Wiem wystarczająco dużo o tym, jak policja zajmuje się takimi sprawami, by mieć pewność, że Paula przykuwają prawdopodobnie do krzesła przed biurkiem i spuszczają mu lekkie manto, potem dają mu do wypicia dużo wody i zostawiają na pewien czas, dopóki krew nie zaschnie, a potem, kiedy bardzo chce pójść do ubikacji, wchodzi muskularny inspektor Dahlquist, który mówi, że nikt nie poręczy za Paula, że Boyd Hoyt powiedział policji, że los Paula go nie interesuje i że mogą go sobie powiesić, jeśli o niego chodzi.

- Chuchro ten pański Caldwell, ale niełatwo było go przestraszyć - powiedział Dahlquist. - Oczywiście w końcu wszyscy, oprócz naprawdę zbrodniczych potworów, zaczynają się bać, ale ten mały drań dobrze się trzymał, nie puszczał pary z ust. Początkowo chciałem tylko usłyszeć, co może mi powiedzieć o Hoycie, potwierdzić, że opróżniał te kieszenie na polecenie Hoyta, żeby tamten miał za co utrzymać cyrk. Straszylem go długimi wyrokami, które może mógłbym mu załatwić, w zależności od tego, ile osób przyszłoby ze skargami na kradzież. Ale pański Caldwell nadal milczał. Czy Hoyt kazał mu kraść? Cisza. Opisałem mu życie w więzieniu. Cisza. Powiedziałem, że sędzia może skazać go za udział w przestępstwie na wcielenie do armii i że może walczyć z kajzerem na odległych polach Francji, gdzie mu za te trudy rozwalą głowę na pół, i jak mu się to uśmiecha? Cisza. „No dobra, robiłeś to z żoną Hoyta? Bo pan Hoyt jest bardzo zły na ciebie. Nie znosi cię. Mówi, że jesteś złodziejem i że zgwałciłeś jego żonę”. Ale nasz Paul nie reaguje, nawet nie mrugnie okiem, aż w końcu powoli odwraca się do mnie i mówi: „Może mnie pan posłać do wojska, jeśli wam

pomogę?" I muszę powiedzieć, że nie rozumiałem, o co mu chodzi, ale było jasne jak słońce, że czegoś chce. No więc teraz, jestem pewien, że potrafi pan to zrozumieć, panie Ferrell, nasze negocjacje zaczynają się na poważnie. Zaczynamy rozmawiać w trybie bardzo hipotetycznym. Co mógłbym mu załatwić, gdyby powiedział mi o czymś niezwykłym? A co mógłby mi powiedzieć, gdybym znał człowieka, który mógłby zapewnić takie rozwiązanie? „No więc zobaczmy pana towar, młody panie Caldwell, i zrobmy z tego atut" - mówię. Najpierw Paul wyznaje, że tak, Hoyt nauczył go kraść, zmuszał go do kradzieży, Paul zatrzymywał tylko mały procent łupów, a resztę dawał na cyrk, na karmę dla tygrysów. „Hoyt kazał mi to robić, Hoyt zabierał wszystkie pieniądze, Hoyt zrobił ze mnie kieszonkowca, Hoyt Hoyt Hoyt". To ciekawe, mówię, ale nie wystarczy, żeby ubić ten interes, o który ci chodzi. W porządku, odpowiada i myśli przez chwilę. A może to: czy pamiętam Latających Zivkoviców? Dwoje występujących gościnnie akrobatów, którzy w ubiegłym roku zginęli w strasznym wypadku podczas występu w cyrku Hoyta? A gdyby tak Paul mógł udowodnić, że zostali zamordowani przez Hoyta, żeby przyciągnąć rzesze publiczności do cyrku, bo zawsze walą tłumy, kiedy pojawia się szansa zobaczenia czyjejs przypadkowej śmierci? To bardziej interesujące, przyznałem, ale nadal za mało, żeby załatwić mu ten specjalny pakiet, o który prosił. Przez długi czas siedział w milczeniu i patrzył na swoje stopy. Zastanawiałem się, czy nie zasnął, skoro siedział tak ze zwieszoną głową, czy się nie zniechęcił, czy wymyśla jakieś łgarstwo. Ale czekałem i czekałem. Pięć minut, dziesięć minut, wiedziałem, że z każdą minutą zwiększa się szansa, że dostanę coś dobrego, jeśli nie były to tylko bajki. Widziałem, jak poruszają się jego usta, jak nad czymś myślał. A potem podnosi głowę, patrzy

mi prosto w oczy i mówi, zupełnie chłodno: „Załatwiłby mi to pan za zdradzenie spisku brutalnych komunistów w sercu Sydney?” No, panie Ferrell, teraz przykuł moją uwagę.

Zajęło trochę czasu zagwarantowanie układu, który chciał zawrzeć. Była to ciężka sprawa, ale jeśli mówił prawdę, to było tego warte. Powiedziałem, że zawsze dotrzymuję słowa, ale zbadanie tego trochę potrwa, a on odrzekł na to, dobrze to pamiętam, odrzekł: „Niech się pan nie spieszy. Rewolucja światowa i zniszczenie całej policji nie jest na pewno sprawą, która wymaga pośpiechu”. I roześmiał mi się w twarz.

Układ, Macy, był w zasadzie prosty, chociaż wprowadzenie go w życie było trochę skomplikowane. Paul chciał, żeby włączono go do Australijskich Sił Imperialnych w Egipcie i zagwarantowano, że pozostanie tam, dopóki siły te będą tam stacjonować. Gallipoli - nie, dzięki, Luksemburg - nie, dzięki. Chciał odsłużyć swoje w ASI w Egipcie i nigdzie indziej. Powiedział Dahlquistowi, że potrafi czytać po egipsku i zna geografię tego kraju jak żaden Australijczyk, a poza tym w cyrku Hoyta nauczył się jeździć konno. W zamian dawał Barrych i ich przyjaciół. Oczywiście nazwiska te trzymał trochę dłużej w tajemnicy. Mówił bardzo ogólnie o tym, co znajdzie Dahlquist, aż w końcu inspektor, przekonany, wystąpił do władz z informacją, że trafił na ślad spisku zagrażającego bezpieczeństwu kraju, pociągnął za odpowiednie sznurki w Ministerstwie Obrony Narodowej i załatwił to, czego się domagał jego główny informator, podczas gdy Paul siedział w więzieniu w Sydney, pozbawiony prawa odwiedzin. Dopiero kiedy załatwiono całą robotę papierkową, Paul podał szczegóły. Bomby pod podłogą. Lista osób, które miały się stać celami zamachów. Nazwiska konspiratorów. Opowieści o porywaniu dzieci. Psujące młodzież biblio-

tekarki o kazirodczych skłonnościach.

- Oczywiście nie wszystko z tego udowodniliśmy, ale nie narzekam - powiedział mi inspektor. - Caldwell dotrzymał słowa i ja też. Po tygodniu od aresztowań był na statku. To było latem, powiedzmy w grudniu 1916 roku.

Jeśli niektóre gazety zrobiły z Dahlquista bohatera w 1916, a głupca w 1917, to i tak go nie pohamowało. Zatrzymał anarchistycznego zamachowca, a jeśli ceną za to było odwołanie części oskarżeń, wypowiedziane półgębkiem oficjalne przeprosiny i unieważnienie procesów, to za bardzo się tym nie przejmował.

Był pan żołnierzem, Macy, bohaterem z Korci albo czegoś takiego? Ja byłem trochę za stary, żeby pluć ogniem i zaciągnąć się na tę naszą Wielką Wojnę. Większość z naszych chłopców wyruszyła za ocean, żeby pokazać Turkom, co potrafią, i przynieść nam, Australijczykom, chwałę pod Gallipoli. Oglądanie, jak twoje wnętrzności plamią turkusową turecką plażę dla dobra Serbii -jeśli to dobrze rozumiem - to nie było dla mnie, dzięki, ani dla Paula Caldwell, jak zaraz się przekonamy. Jeśli nie wzięło się udziału w walkach o Kanał Sueski, Jerozolimę i Gallipoli, tak jak on, to w siedemnastym, kiedy tam przybył, Egipt był całkiem bezpiecznym miejscem, ale Paul oczywiście płynął tam z miłości, a nie z patriotyzmu. Udało mu się dokonać tego, co dla chłopca ze slumsów Sydney było niewyobrażalne: popłynął do kraju swoich marzeń. Co chciał tam znaleźć, nie potrafię powiedzieć, i na pewno nie warte to było tego, żeby za to umierać, jeśli chce pan znać moje zdanie. Z perspektywy czasu poradziłbym mu, żeby lepiej odsiedział swój wyrok, przynajmniej żyłby dzisiaj.

Do tego czasu, to jest do lipca dwudziestego drugiego, poświęciłem parę

tygodni na poszukiwanie dawno zaginionego sydneyjskiego dziedzica Barnabasa Daviesa i naprawdę nie miałem wielkich nadziei na to, że mogę posunąć tę sprawę choć trochę dalej. Miałbym ładną, dużą zapłatę za łatwą, bezpieczną robotę. Prztelegrafowałem do Londynu mój długi raport, podając dobre i złe informacje o Paulu Caldwellu. Dzięki temu ostatniemu wywiadowi, jeśli przymrużyło się oko, mieliśmy czarno na białym, że pracował na rzecz Korony, by powstrzymać śmiertelną falę komunizmu zalewającą Wspólnotę Narodów. Wspomniałem (choć co prawda bez przekonania), że prawdopodobnie zginął. Można jednak, napisałem, dowiedzieć się od jego kolegów z pułku i od oficerów czegoś o ewentualnych zasługach wojennych Paula. Jeśli był bohaterem, radziłem, to może prawnicy Daviesa mogliby pośmiertnie zmienić nazwisko chłopaka, być może zdobyć dla niego medal albo pochwałę, jeśli Barnabas Davies miałby ochotę na przekupienie właściwych ludzi. I, cokolwiek to znaczyło, raczej żartem stwierdziłem, że moje śledztwo w sprawie bohaterstwa Caldwellella powinno mnie w naturalny sposób zawieść do Anglii, gdzie porozmawiałbym z rodziną i kolegami kapitana Marlowe'a, z którym nasz chłopiec zniknął i który przedstawiał go do awansu.

Spodziewałem się, że kwatera główna w Londynie podziękuje mi, zapłaci i na tym się skończy. Sądziłem, że być może zapłacą mi za napisanie jakichś wskazówek dla innego detektywa Tailora w Anglii, przygotowujących go do przeprowadzenia wywiadów, które zalecałem. Ale cztery dni później otrzymałem telegraficznie bardzo zaskakującą odpowiedź:

ZEZWALAMY NA NATYCHMIASTOWĄ PODRÓŻ DO ANGLII,  
WYDATKI W RAMACH

SPRAWY DAVIESA. To było co najmniej dziwne. Oczywiście wiadomość ta



niezmiernie mnie ucieszyła - zobaczę kawałek świata, zarobię trochę więcej pieniędzy za bezpieczną i ciekawą robotę. Ale dlaczego zdecydowali się na coś takiego? Agencji Tailora nie brakowało detektywów w Anglii. Przede wszystkim koszta ściągnięcia mnie z końca świata były dużo wyższe od jakiegokolwiek zapłaty, którą wyasygnowałby Barnabas, żeby skłonić Paula Caldwell'a do zostania Daviesem.

Łamałem sobie nad tym głowę przez dwa tygodnie, czekając na statek do Anglii, rozmyślałem usilnie, kiedy byłem chory, potem śmiertelnie znudzony, a potem znowu chory w drodze z Sydney do Melbourne i dalej, do Adelajdy, Fremantle, Adenu, Aleksandrii, na Maltę i do Liverpoolu, chory i skołowany przez całą tę podróż (choć, żeby oddać staremu Daviesowi, co mu należy, aż do końca tej opowieści zawsze podróżowałem w najlepszych dostępnych warunkach). Nie rozumiałem tego, dopóki 12 września 1922 roku, kiedy nie miało to już znaczenia, nie znalazłem się w Anglii. Okazało się, że to najprostsza rzecz na świecie - Barnabas Davics chciał się spotkać ze wszystkimi pracującymi dla niego detektywami, z każdym, kto spotkał się z jego dziećmi albo widział się z jego kobietami. Przypląnąłem do Anglii prowadzić dalej tę sprawę, opłacany cały czas przez Browar Daviesa, ponieważ stary chciał wiedzieć, czy Eulalie ma się dobrze i jest zgrabna, chciał widzieć moją twarz, kiedy opowiadam mu o Paulu Caldwellu. Oczywiście kiedy przybyłem do Londynu, Davics leżał już w ziemi, a stary Miklos Tailor uśmiechał się od ucha do ucha, bo notariusze właśnie poinformowali go, że spadkobiercy Barnabasa Daviesa mają zamiar zapłacić za doprowadzenie poszukiwań do końca. Aż do dnia, w którym wszedłem do jego biura, nie znałem osobiście Miklosa Tailora, ale objął mnie, uszczypnął w policzek, powitał kolejnego ze swoich „braci”. Wie pan, odszedł na

emeryturę pod koniec sprawy Davicsa i przez resztę swoich dni żył wygodnie z ogromnych sum, które wyciągnął z kufrów zmarłego.

No i oczywiście nie szczędzono wydatków na detektywów, którzy zajmowali się tą sprawą. Davies miał pierwszeństwo przed innymi i dostawaliśmy w dwójnasób wszystko, o co poprosiliśmy. Zwykli przyszli rozwodnicy, cudzołóżnicy i ludzie podejrzani o malwersacje musieli cierpliwie czekać, bo Tailor chciał mieć pewność, że zostały zbadane, zebrane, splecione i zanurzone w złotej farbie wszystkie szczegóły tej sprawy. Końcowy raport, który przedstawił notariuszom, przekazany z odpowiednią marżą wykonawcom testamentu, liczył 2500 stron, ze zdjęciami, życiorysami wielonarodowych bękartów, kopiami wywiadów z nimi, mapami ukazującymi miejsca ich pobytu, listami akceptującymi propozycję Daviesa i certyfikatami zmiany nazwiska, i tak dalej, i tak dalej. Może pan sobie wyobrazić, jaka część tego raportu poświęcona była nieżyjącemu Paulowi Caldwellowi.

Później więcej o tym. Najpierw nasz następny wywiad. Hej! Co pan sądzi o tym pomysśle? Nasz wywiad, pański i mój, Macy! Mógłby pan to spisać ze sobą w roli współuczestnika. Mógłby pan być moim Watsonem w miejscu akcji, nie tylko za pomocą pióra. Oczywiście, nie każdej akcji, nie w każdym miejscu, to byłoby nierealistyczne, no i nie możemy zapominać, bez urazy, kto jest tutaj główną atrakcją. Ale mimo to, pomocnik, ktoś, kto zadaje mi pytania, komu mogę wyjaśnić moje rozumowanie i dedukowanie, żeby czytelnik mógł nadążyć za bardziej zawiłymi obrotami akcji - to brzmi nieźle. Zobaczmy, jak się to sprawdzi.

Londyn zdobył niewiele nowych informacji o kapitanie Marlowie, więc załatwili mi wizytę u rodziców zmarłego kapitana. Najpierw jednak przejrzymy informacje, do których się dokopali, streszczenie różnych

wojskowych akt, pracę, którą wykonało dwóch miejscowych pracowników Tailora, żeby zaoszczędzić mi czasu:

Kapitan Hugo St. John Marlowe opuścił obóz w Kairze 12 listopada 1918 roku, udając się na czterodniową przepustkę. Nie powrócił 16 listopada. Poszukiwania wszczęte 18 listopada nie dały rezultatów. Rozmowy z oficerami, szeregowcami nie ujawniły niczego istotnego. W marcu 1919 pojawili się tubylcy, prosząc o nagrodę za odnalezienie blaszek identyfikacyjnych kapitana Marlowe'a i kaprała RB. Caldwell (ASI) oraz karabinu Lee-Enfielda kaliber 303, będącego na uzbrojeniu ASI. Tubylcy powiedzieli, że znaleźli te przedmioty koło Deir el-Bahari. Ponowne wywiady wykazały, że nikt nic nie wiedział o jakichkolwiek związkach między kapitanem Marlowe'em i kapralem Caldwellem, chociaż archiwa ASI pokazują, że kapitan Marlowe wykonał dwukrotnie niezwykle krok, zalecając kapitanowi T. J. Leahy'emu (ASI), dowódcy kompanii Caldwell, awansowanie go.

- I co pan o tym sądzi, Macy? - spytałem, kiedy zasiedliśmy w pluszowych fotelach Ogólnoświatowej Agencji Śledczej Tailora. (I witam w akcji, Macy!)

- Nie potrafię tego rozgryźć, panie Ferrell, nic z tego nie rozumiem -powiedział mój młody amerykański pomocnik. - Bardzo dziwne.
- I takie pozostanie, dopóki nagle nie ukaże się nam prawda w kryształicznej czystości, Macy, i nie stopi się ohydne oszustwo.

Oto wszystko, co wiedzieliśmy na pewno: nasz Caldwell miał jakieś konszachty z angielskim kapitanem, który do tego stopnia wtykał nos w australijskie sprawy, że dwukrotnie doprowadził do awansowania Caldwell.

I razem udali się na przepustkę. I zniknęli razem. I prawdopodobnie razem zginęli.

Pojechałem do Kentu i ponurej rezydencji skrzepowanych ziemian, rodziców kapitana Marlowe'a. Przysłali kogoś po mnie na stację, podwieszono mnie pod wejście dla służby i wprowadzono tylnymi schodami do małej biblioteki, gdzie w milczeniu siedzieli Marlowebwie. Ojciec, facet z bujnym wąsem, ale niezwykle niski, w ogóle się nie odzywał. Podawszy mi niedbale dłoń bez słowa powitania, usiadł przed biurkiem i trzymał ręce złożone na brzuchu. Patrzył tylko na podłogę, ale od czasu do czasu, kiedy wyjaśniłem, że prowadzę prywatne śledztwo w celu ustalenia przebiegu wydarzeń włącznie z okolicznościami zniknięcia ich syna, podnosił wzrok, jakby był w końcu przygotowany, by spojrzeć prosto na mnie, jednak jego oczy nadal się wznosiły i zamiast na mnie spoglądał na sufit. Kiedy zadawałem im jakieś pytanie, jego żona najpierw patrzyła na niego, a kiedy nie przerywał milczenia, odwracała się do mnie i odpowiadała tak szybko jak mogła, zwracając się do moich łydek. Uczyłem się szybko, że pewne typy Anglików postępują tak z Australijczykami.

Marlowebwie otrzymali oczywiście oficjalne zawiadomienie z brytyjskiej armii, ale ponieważ nie mieli ani kogo pochować, ani co opowiadać, starali się dowiedzieć więcej; ich drugi syn nadal był w armii, a córka była żoną wojskowego, ale nie znaleźli nic więcej niż ja. W zasadzie nawet dużo mniej. Czy kapitan Marlowe korespondował z nimi podczas służby w Egipcie? Tak. Czy wspomniał o przyjaźni z australijskim żołnierzem, kapralem Caldwellem? Matka zrobiła zdumioną minę, a ojciec się nawet krótko roześmiał, jakby szczechnął, zanim spojrzał na sufit, przypominając mi o moim akcencie i nieprawdopodobnym towarzyskim uroku Australij-

czyków Niższych Szarż. Czy wiedzieli, że wraz z blaszkami identyfikacyjnymi kapitana Marlowe'a znaleziono blaszki identyfikacyjne i broń kaprala Caldwell'a? Osłupiałe milczenie i potrząsanie głowami. Czy mówi im coś nazwa Deir el-Bahari? Nie. Czy domyślają się, dlaczego kapitan Marlowe wziął czterodniowy urlop i udał się tak daleko od bazy po zawieszeniu broni? Ależ oczywiście - z powodu zamiłowania do archeologii.

To intrygujące, nieprawdaż, Macy? Dowiedziałem się, że kapitan Marlowe studiował archeologię i egiptologię w Oxfordzie. Był całkiem zaawansowanym studentem i zamierzał powrócić do studiów po wojnie. Bardzo się cieszył, że wysłano go do Egiptu. Czy kapitan Marlowe miał w Oxfordzie przyjaciół, z którymi mógłbym porozmawiać? Tak, osobę o nazwisku Beverly Quint, z którą mieszkał przez semestr czy dwa.

- No i był też ten dość dziwny...

Matka urwała i spojrzała na ojca. Starszy Marlowe wzruszył ramionami, obrócił się na siedzeniu i z górnej szuflady biurka wyciągnął dużą, brązową, otwartą kopertę. Podał mi ją ze wstrętem. Była zaadresowana do Marlowe'ów, z adresem nadawcy w Uniwersytecie Harvarda w Ameryce, a w środku była mała książeczka: *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie*. Był to egzemplarz z dedykacją i na stronie tytułowej znalazłem ten oto wpis niebieskim atramentem, piórem wiecznym pochodzącym ze wschodniego wybrzeża Ameryki, jeśli nie myli mnie zbierana przez całe życie wiedza o atramentach i stalówkach: „13 sierpnia 1920 r. Priapowi i Safonie Marlowe'om, którzy dobrze wiedzą, jak ważny był dla mnie Hugo, mój wspaniały przyjaciel na uniwersytecie i na wojnie, inspiracja w życiu i w śmierci. Z miłymi wspomnieniami szczęśliwszych czasów w waszym ciepłym i gościnnym domu, wasz »drugi syn«, Ralph M. Trilipush”.

(Gratulacje i podziękowania, panie Macy, za cierpliwość. Mój rozwiązy piwowar doprowadził nas, jak obiecałem, do pierwszego narzeczonego pańskiej ciotki.)

- Jestem pewien, że to bardzo miło z jego strony - powiedziałem poważnie do niemych Marlowe'ów. - A czy rozmawiali państwo z waszym przyjacielem Trilipushem po zniknięciu kapitana Marlowe'a?

Ojciec spojrział na swoje ręce, matka potrząsnęła głową. Brnąłem dalej:

- Być może mógłby on rzucić trochę światła na życie i odejście z tego świata państwa syna?
- Nie znamy go - powiedziała matka.
- Wolelibyście państwo, żebym ja z nim porozmawiał zamiast was?
  - Źle mnie pan zrozumiał, panie Ferrell. Chcę powiedzieć, że nigdy go nie spotkaliśmy, chociaż Hugo często mówił o nim na Oxfordzie.
  - Jestem zdezorientowany, proszę pani. Co wobec tego Trilipush ma na myśli, używając określenia „drugi syn“?
- Nie mamy pojęcia - odparła.
- Hugo nigdy nie przedstawił go państwu?
- Nigdy.
  - Nie spędził szczęśliwych chwil w „waszym ciepłym i gościnnym domu“?
- Na pewno nie.
- A ta książka?

Zapanowało długie milczenie, po czym pani Marlowe powiedziała bardzo przytłumionym głosem:

- Plugastwo. - Przełknęła ślinę. - A w słowie wstępnym utrzymuje on, że Hugo mu pomagał.

- A poza tym... - odezwał się nie znany mi głos, bo tym razem przemówił po raz pierwszy Priap Marlowe. - A poza tym to nic są nasze imiona. - Zona kiwnęła głową, zgadzając się z nim milcząco.
- Skłonny jestem pomyśleć, że być może mogę się państwu przydać - powiedziałem, a ojciec zaczął lekko żuć spiczasty koniec swojego wąsa.

Tajemnica za tajemnicą, Macy. Sprawa Daviesa zaczyna rozprzestrzeniać się po całym globie i w takich chwilach, kiedy mądry detektyw próbuje ustalić i ograniczyć pole swojego widzenia, musimy sobie zadać kluczowe pytanie: czy nie wchodzimy na terytorium nie związane ze sprawą, nad którą pracujemy? Czy mądrze byłoby zachować otwarty umysł, bo może to wszystko doprowadzi nas do uzyskania jaśniejszego obrazu nieżyjącego Paula Caldwell'a? I musimy też znaleźć odpowiedzi dla naszych nowych i potencjalnie bardzo lukratywnych, chociaż okropnie zakłopotanych, klientów - pogrążonych w żałobie rodziców Hugona Marlowe'a, którzy chcą zrozumieć, co się stało z ich ukochanym chłopcem. Mamy dużo roboty, Macy, oderwij się więc od swoich przyjemnych wygłupów w Londynie, odstaw koktajl, powiedz ślicznotkom do widzenia i przybądź mi na pomoc; gra się zaczęła! (Ile lat powinien pan mieć w tej kronice, skoro nie było pana wówczas jeszcze na świecie? Podoba mi się pomysł, żeby był pan jeszcze dwudziestoletnim młokosem, bez szczególnego doświadczenia zawodowego, ale podziwiającym moje zdolności dedukcyjne i mającym słabość do niejakiego splendoru i murzyńskiego jazzu.)

Otrzeźwiam więc cię i jedziesz z mojego polecenia do Oxfordu, podczas gdy ja odnajduję i wypytyuję paru londyńczyków, którzy służyli w wojsku z kapitanem Marlowem. Co mówią ci faceci, kiedy raczymy się naszym davies

ale w ich lokalach? Nigdy nie słyszeli o Trilipushu, nigdy nie słyszeli o Caldwellu, Marlowe był urzędnikiem przepytującym z za biurka więźniów.

Nadal czekając na twój powrót z czymś smakowitym z Oxfordu, Macy, składam wizytę Beverly'emu Quintowi - o tak, wbrew imieniu, jest to pan Beverly Quint. Na kogo rodzice chcieli go wychować?

Odnajduję Beverly'ego Quinta, oksfordzkiego przyjaciela naszego kapitana Marlowe'a, mieszkającego teraz w Londynie, bynajmniej nie mającego intratnego zajęcia, ale mimo to żyjącego całkiem dobrze jako dżentelmen całą gębą. Oto moja sugestia, Macy: przepisując to, może dodałbyś nieco dramaturgii, gdybyś przeprowadzał swoje ważne rozpoznanie w Oxfbrdzie (zastępując swoją bardziej literacką obecnością tam moją historycznie prawdziwą obecność) dokładnie w chwili, kiedy ja siedzę w dziwnym, orientalnym salonie mieszkania Beverly'ego Quinta w Al-bany. Pytasz starego archiwistę o owłosionych uszach w Balliol: -Jest pan pewien? -wdokładnie tym samym momencie, gdy j a pytam lubieżnego i wyniosłego pana Quinta: -Jest pan zupełnie pewien, że zna) go pan?

- Całkowicie pewien, proszę pana, bo jest niemożliwe, żeby akta zaginęły albo zostały usunięte - mówi archiwista pod zbierającymi się nad Oxfbrdem czarnymi chmurami, a twoje podniecenie rośnie. - Nie ma żadnej wzmianki o Ralphie Trilipushu, studencie Balliol College w jakimkolwiek semestrze pomiędzy rokiem 1909 i 1916.

- Pewien? Czyjestem pewien? Oczywiście, że jestem pewien, panie Ferrell - mówi w tej samej chwili pedziowaty pan Quint, łypiąc na mnie w krwawym świetle słońca i kurzu przenikającym do jego mieszkania i smętnie oglądając dedykowaną Marlowebm książkę, którą mu pokazałem. - Ralph Trilipush, Hugo Marlowe i ja byliśmy w Balliol nierozłącz-



ni - *wspomina, patrząc na mnie* spod przymrużonych powiek. - Chociaż oni dwaj byli egiptologami, a ja oczywiście studiowałem grekę, złotko. My trzej byliśmy najbliższymi przyjaciółmi, dzieliliśmy się absolutnie wszystkim, zupełnie jak trzej muszkietierowie albo trzy panienki ze szkoły, w zależności od pańskiego gustu. - Nic było najmniejszej wątpliwości, co daje do zrozumienia pan Quint w tym pokoju, chociaż nie ośmiela się nazwać tego po imieniu. - Czy wprawiam pana w zażenowanie, mój uroczy przybyszu z kolonii? - zapytał, kartkując książkę Trilipusha.

- Dzięki Bogu, widziałem dosyć świata, panie Quint, żeby nic mnie nie zaskoczyło.
- Oczywiście, złotko, prawdziwy człowiek czynu z pana. Nie ma pan przypadkiem adresu drogiego starego Ralpa, sprytny człek? Po wojnie straciłem go zupełnie z oczu, a mam mu tyle do powiedzenia. Zobacz pan go wkrótce? Musi mu pan powiedzieć, że Bewy przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia.

Na moją prośbę, by pokazał mi zdjęcia swoich przyjaciół, Quint wyciągnął obraz przedstawiający Hugona Marlowe'a, duży portret bardzo brzydkiego młodzieńca, chociaż ktoś zużył mnóstwo pigmentu, by ująć go na płótnie. Na moje, przyznaję, niewyrobite oko było w nim coś z gada. Od nasady szyi po coś, co musiało być czubkiem jego brody, była prawie prosta linia, a jego kręcone czarne włosy były na chybił trafił przyklejone do głowy, tutaj jako niesforny pęk, tam zaledwie na tyle grubo, by przykryć czaszkę. Jego przezroczyte i słoniowate uszy łączyły się *tt* skroniami pod kątem prostym. Pod oczami miał wory i kręgi, a jego cera była równie ziemista jak język pana Quinta kwiecisty.

- Diabelnie przystojny - wykrztusiłem.
- Całkiem, ale potrafią to dostrzec tylko najbardziej wyrafinowani - powiedział miękko mój gospodarz z ewidentną dumą posiadacza.

Dziwne, Macy, jest to, że sam Quint byt niezaprzeczalnie przystojny, taki, jacy wszyscy chcielibyśmy być, i dokładnie taki, jakim wyobraża siebie każdy Angol: kwadratowa szczęka, szczere oczy, uniesione brwi i ten uśmiech, na którego widok omdlewają kobiety. Jeśli Hugo Marlowe był gachem Quinta, to była to niedopasowana para, piękność i bestia.

A czy Quint miał zdjęcie Trilipusha?

- Tak myślę, powinienem mieć.

Ale udało mu się znaleźć tylko zdjęcie z jakichś teatralnych wygłupów z Oxfordu, Quint w środku, na pierwszym planie, w peruce i upudrowany jako Maria Antonina, bardzo wyraźny (i jeszcze brzydszy) Marlowe jako posepny rewolucjonista, i na samym tyle, w tłumie identycznych zamazanych plam, pod wymanikiurowanym paznokciem Quinta, niewyraźny, trzeci od lewej wieśniak.

- Oto nasz Ralph. Niech pan tylko popatrzy na tę zadowoloną z siebie minę! - cieszył się Quint. - Kto inny mógłby być takim nieznośnie pewnym siebie francuskim wieśniakiem-rewolucjonistą? To po prostu p o e z j a. To cały Ralph.
- Czy Trilipush kiedykolwiek poznał pańskich rodziców? Albo rodziców Marlowe'a?
- Ależ oczywiście, drogi chłopcze! Przedstawiało się przecież starym najlepszym kumpli. Święta, obiady, to, co zwykle wypada. Jak wy, tam, na drugim końcu ziemi, przejawiacie przyjaźń?

Tymczasem, Macy, ty czytasz wszystkie dokumenty, które możesz dostać

od starego archiwisty z Oxfordu i chociaż nie ma w nich absolutnie żadnego śladu Ralpa Trilipusha, jest wyraźny sznur tropów, które zostawili Marlowe i Quint. Marlowe studiował egiptologię pod kierunkiem nieżyjącego już profesora o nazwisku Clement Wexler. Quint studiował literaturę francuską, a zatem jego wzmianka o grece wydaje się łągarstwem, co powinno ukazać całe jego zeznanie w odpowiednim świetle. Dalsze wywiady, przeprowadzone tego dnia w bibliotekach Bodleian i Ashmolean, gdzie trzymają prace o Egipcie, ujawniają regularne wizyty Marlowe'a, ale nikt nie wspomina ani słowem o Trilipushu, dopóki, rozmawiając z bibliotekarzem w jednej z tych spowitych ciszą świątyni zbędnej edukacji, nabierając już coraz większego przekonania, że Trilipush nigdy nie był w Oxfordzie, nie słyszysz, jak stojący za tobą niezwykle delikatny młodzieniec mówi:

- Przepraszam, że się wtrącam. Usłyszałem niechcący, czy powiedział pan „Trilipush”? Jest pan znajomym Trilipusha? Nie pomyślałbym...
- Zna go pan? - pytasz z o wiele za dużym przejęciem, bo brak ci doświadczenia, Macy.
- Ależ oczywiście. Ale pan? Na pewno nie...
- Nie, nie miałem tej przyjemności. - Kolejny błąd, Macy. Powinieneś być skłamać i powiedzieć, że jesteście starymi znajomymi. - Czy pan z nim studiował?
- O tak, Egipt z jego wszystkimi egzotycznymi rozkoszami, ale naprawdę nie powinienem nic opowiadać, skoro pan go nie zna.

I ów młodzieniec odchodzi, nie chcąc powiedzieć ani słowa więcej, ale potwierdzając przynajmniej nieoficjalny pobyt Trilipusha w Oxfordzie, a więc nie jest tak źle, młody Macy. Dziwne jest jednak to, że ten student w

1922 roku, chłopak osiemnasto- albo dziewiętnastoletni, mógłby uczęszczać na zajęcia z Marlowe'em, Quintem i Trilipushem w roku 1914. Tajemnica za tajemnicą. Kiedy wychodzisz na oksfordzki deszcz, głowiąc się nad swoimi odkryciami, ja nadal siedzę w gorejącym, zakurzonej salonie, odmawiając następnego talerzyka rachatlukum i popijając gęstą, dziwną kawę podaną przez pana Quinta, który pali długiego, osobliwego papierosa w cygarnicze i stara się utrudnić mi wywiad, chociaż widzę więcej, niż chciałby, bym zobaczył.

- Dlaczego nie służył pan w wojsku, panie Quint?
- Z powodu różnych słabości - twierdzi ów kawał chłopca.
- Został pan powołany?
- Mmm, myślę, że bym to pamiętał - to brzmi tak smacznie.
- Korespondował pan z kapitanem Marlowe'em, kiedy był on na wojnie?
- *Bień sur*: Strasznie się o niego bałem, ale wiedziałem, że troszczy się o niego Trilipush. Ralph i Hugo stacjonowali w bazie koło tych strasznie ponurych piramid, które tak uwielbiali, walcząc ze szkopami, czarnuchami

czy kimś innym, kto zasługiwał na solidne lanie od Anglików, szczęściarze, dopóki biednego Ralpa nie przeniesiono do Turcji. Wie pan, myśleliśmy, że go straciliśmy, ale należy do tych, którzy zawsze dadzą sobie radę.

Wszystko dobrze w tej opowieści, ale siedzisz sobie, Macy, z powrotem w kwaterze głównej agencji Tailora i łamiesz sobie głowę nad dopiero co dostarczonym oficjalnym listem, w którym Ministerstwo Wojny Jego Królewskiej Mości informuje, podobnie jak stary Oxford, że nie ma absolutnie żadnych danych o kimś nazwiskiem Ralph Trilipush.

- Ajak pan przypuszcza, co stało się z kapitanem Marlowe'em, panie

Quint?

- Co przypuszczam? Wy, Australijczycy, jesteście strasznymi cynikami. Tym, co przypuszczam, jest to, co powiedziało wojsko. Nie należę do tych, którzy wątpią w oficjalną wersję czegokolwiek. Odjechał na przepustkę, żeby obejrzeć grobowiec jakiejś zakurzonej królowej, i prawdopodobnie napadli go śniadzi, brodaci bandyci albo rozpaczliwie nieustępliwi Niemcy z bokobrodami, którzy zdradziecko, ale mężnie, odmówili podporządkowania się zawieszeniu broni. Pożarli go, bekając z zadowolenia, że dopisało im szczęście. A pan przypuszcza, że co się z nim stało?
- Nie zachował pan przypadkiem jakichś listów od kapitana Mar-lowe'a?
- Oczywiście, że zachowałem, i sprawiłoby mi ciepłą i wilgotną przyjemność wręczenie ich panu w tej chwili, gdyby nic uległy zniszczeniu parę miesięcy temu, kiedy miałem awarię instalacji wodnej.
- Czy Marlowe wspomniał kiedykolwiek w swojej korespondencji o niejakim Paulu Caldwellu?
- Nie, nie przypominam sobie tego nazwiska.
  - O Australijczyku? Prawdopodobnie związanym z kapitanem Mar-lowe'em sprawami natury archeologicznej? Albo sprawami natury osobistej?
  - Jako osoba, która znała upodobania Hugona - odpowiada ten okaz angielskiej męskości - byłbym bardzo zdziwiony, gdyby był zbyt osobiście związany z jakimś Australijczykiem. Typy pionierów były absolutnie nie w jego guście.

Wracam szybko do ciebie, Macy, i spotykamy się w kwaterze głównej Tailora, żeby wymienić się notatkami.

- Co to wszystko znaczy? - pytasz mnie, nie bez irytacji.
- Za wcześnie, żeby odpowiedzieć na to pytanie, Macy. Cierpliwości, stary, miej otwarty umysł.

I wysyłam cię, żebyś zarezerwował nam bilety na statek do Stanów Zjednoczonych Ameryki, za które zapłacą nasi klienci, Hector i Regina Marlowebwie oraz Barnabas Davies. O tak, do Ameryki, gdzie na pewno musimy porozmawiać z naszym panem Trilipushem, profesorem na Uniwersytecie Harvarda.

A co to wszystko znaczy? Trilipush, człowiek, który najwyraźniej nie studiował na Oxfordzie i nie był na wojnie, najwyraźniej studiował na Oxfordzie i był na wojnie. Człowiek, który nie znał rodziców Marlowe'a, udawał albo wierzył, że ich znał, i to z taką pewnością siebie, że udawał to p r z e d nimi. Albo naprawdę ich znał, a oni okłamali mnie, żeby ukryć swoje wstydlive przydomki i skandaliczne zachowanie, którym musieli sobie na nic zasłużyć. Co więcej, Quint, który wiedziałby o tym, zdawał się sugerować, że Marlowe'a i Trilipusha łączył karygodny związek intymny. Tymczasem ani Quint, ani ludzie, którzy służyli pod komendą Marlowe'a, nie słyszeli nigdy o Caldwellu, a z kolei Ministerstwo Wojny i żołnierze Marlowe'a nie słyszeli nigdy o Trilipushu. Czy mogłoby to być jaśniejsze?

I tymi słowami kończąc, wysyłam ci, Macy, najnowszy rozdział naszych przygód.

Twój Ferrell

*(Czwartek, 12 października 1922 r., ciąg dalszy)*

Notatki do książki: Umieścić po wstępie autora, a przed zapiskami z

dziennika: *Egipt w czasach Atum-hadu*: Król Atum-hadu, któremu zawdzięczam moją reputację akademicką i względnie skromną fortunę (kurcząca się, a do czasu otrzymania pierwszych zastrzyków finansowych pozostało jeszcze dziesięć dni), panował w

Dziennik: Odwiedziłem bank w celu przedstawienia się dyrektorowi, potwierdzenia założenia konta, przygotowania do otrzymania kredytu z zagranicy. Powiadomiłem o moim adresie, aby natychmiast mnie poinformowano, kiedy nadejdzie pierwsza wpłata z Hand-of-Atum, Ltd., zaplanowana na 22 października. Wyjaśniłem potrzebę przekazania pieniędzy do filii w Luksorze bez poślizgów, jak tylko przeniosę się na południe, na stanowisko. Współczesny badacz, czytelniku, musi sobie zapewnić solidną linię ratowniczą.

Zostawszy dobrze przyjęty w banku, spędziłem resztę 12 października na zmaganiach nie z ciężkimi drzwiami grobowca, niesfornymi ekipami robotników czy blaknącymi hieroglifami wystawionymi nagle i ze strachem na wybielające światło słoneczne, lecz z francusko-egipską biurokracją. Czemu oni poddają w dzisiejszych czasach badacza! Nie zawsze tak było; był niegdyś wspaniały, złoty wiek, kiedy ludzie szli na pustynię bez niczyjego pozwolenia i niczyjej pomocy. Potrzebne były tylko rozum i ciekawość. Niegdyś nie wymagano nawet tytułów akademickich: Bełzom był występującym w cyrku włoskim siłaczem, Howard Vyse specjalistą od rozbiórki domów, ale Egipt pociągnął ich w swoje objęcia i szczerze wynagrodził ich męską miłością. Bełzom wynosił po prostu sarkofagi na własnych, muskularnych barkach; Ferlini zwał szczyty dziewiczych piramid niczym niedźwiedź rozbijający ul i opuszczał się na zgromadzone wewnątrz nich skarby. Zawodowy tenisista F.P.

Mayer, w zapewne chybionej próbie zrozumienia konstrukcji piramid, wynajął ekipę miejscowych robotników i dokładnie śledził ich zwyczaje pracy, wyczerpanie i wyniszczenie, kiedy rozbierali, kamień po kamieniu, małą piramidę z czasów VI dynastii, przewozili ciężkie bloki przez pustynię na prymitywnych rolkach, przycinali idealne bloki do nierównych, przypadkowych, „naturalnych” kształtów i zakopywali je w kamieniołomie odległym o parę mil. Całe to doświadczenie niewiele udowodniło, ale pozwoliło odkryć w prawie pustej głównej komorze piramidy niezwykle mały, wyrzeźbiony w płatku złota posążek Anubisa, który, jak mi się zdaje, stopiły dzieci Mayera, kiedy badacz ten zmarł w o błąd zie, wierząc, że w imieniu króla Szepsekaare z V dynastii kryje się jakiś ważny anagram. W każdym razie badacze ci byli mężczyznami. Przybywali tu, kopali, podejmowali ryzyko, potem odchodzili ze swoimi znaleziskami, a ich nazwiska dostawały się do panteonu. I chociaż nie zawsze mogę wyrazić aprobatę dla naukowej wartości ich metod czy rezultatów, to nie czekali, aż ich prośbę o „koncesję archeologiczną” rozważą senni Francuzi w jakimś kairskim urzędzie, którzy w zamian za zmumifikowanie badaczy w stosach biurokratycznych papierków wydzierają 50 procent ich odkryć, by wrzucić je w nienasyconą paszczę egipskich muzeów państwowych.

Krótko mówiąc, moja wizyta w biurze dyrektora generalnego egipskiego Urzędu Zabytków była wielkim rozczarowaniem. Zamiast zapewnień o gotowości do pomocy, których mogłem zasadnie oczekiwać, usłyszałem, że list z prośbą o zgodę na prowadzenie wykopalisk, który wysłałem parę tygodni wcześniej z Bostonu, „gdzieś zbłądził, czy tak można powiedzieć? ”



— Nie — poinstruowałem sekretarza, bladego Francuza, który twierdził, że nigdy nie słyszał o mnie ani moim podaniu — nie można powiedzieć, że moje podanie zbłądziło.

Siedział przez parę minut za ewidentnie dźwiękoszczelnymi drzwiami gabinetu swojego szefa, a potem wyłonił się z wiadomością, że moje podanie jest ponownie rozpatrywane, i zapytał, czy byłbym uprzejmy -wrócić za jedenaście dni. **J e d e n a ś c i e d n i !** Teraz najwcześniej udam się na stanowisko 24 października. Zamierzałem ruszyć w drogę za dwa dni i zgodnie z tym zaplanowałem sobie budżet. Oczywiście to mój błąd, błąd polegający na przecenieniu sprawności innych, i teraz, pod tym infantylnym reżimem, jestem zmuszony odłożyć wyjazd. Zgłaszam się do agencji turystycznej i rezerwuję podróż pierwszą klasą do Luksoru na *Księżniczce Lukdoru* na 24 października, wracam do hotelu i przedłużam pobyt w apartamencie fara-ońskim, co wiąże się z wydatkiem, którego nie przewidziałem podczas posiedzeń ze współnikami. Wygląda na to, że telegraficzny przekaz zaplanowany na 22 października będzie pilniejszy, niż ktokolwiek z nas przypuszczał.

Moje podanie o koncesję jest sprytnie skromne. W odróżnieniu od tych, którzy przekopywaliby duże połacie na podstawie chimerycznych podejrzeń, ubiegam się o wyłączone pozwolenie na zbadanie tylko bardzo wąskiego pasa urwiska na zachodnim brzegu Nilu, ustronnego kawałka Deir el-Bahari. Choć profesor Win lock topi pieniądze nowojorskiego Metropolitan Museum of Art, rozrzucając piach i ziemię na ogromnych przestrzeniach Deir el-Bahari, przez ponad rok nie znalazł niczego ważnego i jak można było przewidzieć, nie wykazał żadnego zainteresowania odległym o parę wzgórz miejscem, które ja zamierzam

zbadać. Byłbym absolutnie oszołomiony, gdyby on albo Urząd Zabytków wahał się, czy przydzielić mi moją część tej ziemi. W końcu rząd zbiera połowę wyników.

Odwiedziłem pocztę, by sprawdzić, czy są dla mnie na *poste restante* jakieś wiadomości od współników lub Margaret. Upewniłem się, czy pracownicy poczty nie zapisali błędnie mojego nazwiska.

Zadepeszo wałem do CCF, by upewnić się, że informacje o stanie mojego konta są dokładnie przekazywane do banku -wspólników w Bostonie i poinformować go o zwłoce w rozpoczęciu 'wykopalisk.

Zacząłem szukać agentów obrotu nieruchomościami w celu wy najęcia jakiejś -willi w pobliżu stanowiska archeologicznego na południu, obejrzenia zdjęć pięknych i odpowiednich posiadłości. Z usług jednego z tych agentów, jak mnie agent poinformował, korzystał sam Howard Carter. Referencje robią wrażenie — człowiek ten będzie wiedział, czego będę potrzebował. Odwiedziłem bazar — znalazłem lekką chustę dla Margaret oraz sięgającą do mojej kieszeni rękę małego chłopca. Niemal rozerwałem małego łotra na dwoje, zanim pojawiła się egzaltowana aktorka odgrywająca jego łkającą matkę, by błagać o jego życie.

Usiadłem w *ahwa* i wypilem kawę dla uspokojenia nerwów. Zapisałem irytujące -wydarzenia tego dnia w dzienniku. Wróciłem do hotelu, żeby się wykąpać.

*Piątek, 13 października 1922 r.*

Dowody wskazujące na umiejscowienie grobowca Atum--hadu:

Marudzenie Urzędu Zabytków pozwala mi zająć się nasuwającym się

nieuchronnie pytaniem: skąd wiadomo, gdzie szukać grobowca? Zęby na nie odpowiedzieć, muszę cofnąć się parę lat, do czasów, kiedy zdobywałem doświadczenie jako egiptolog u boku i pod silnym wpływem Hugona St. Johna Marlowea, który byłby teraz jednym z najbardziej poważanych członków naszego zakurzonego bractwa, gdyby nie poległ w szalonych jatkach wojny.

Przed owym tragicznym dniem byliśmy obaj młodymi kapitanami, pracującymi ramię w ramię dla naszej wielkiej sprawy tutaj, w Egipcie (zanim wyjechałem w piętnastym, by wziąć udział w kampanii bosforskiej). Studiowaliśmy razem, Hugo Marlowe i ja, na Oxfordzie i obaj mówiliśmy płynnie po arab-sku oraz dobrze orientowaliśmy się w sprawach starożytnych Egipcjan. Nasze talenty językowe zostały należycie dostrzeżone przez armię Jego Królewskiej Mości, więc wysłanie nas na Bliski Wschód było tego logiczną konsekwencją. Z naszą wiedzą o języku i kulturze umieszczono nas na placówce na przedmieściu Kairu, powierzając nam obowiązek przesłuchiwania więźniów (zatrzymywanych od czasu do czasu podejrzanych Arabów z niemiecką lub turecką bronią albo dokumentem) oraz prowadzenia operacji kontrwywiadowczych (prób nakłonienia Arabów do noszenia broni tureckiej bez rzeczywistych wrogich zamiarów).

Wiem, że nie jest modne mówić o wojnie w ten sposób, ale był to dla mnie cudowny okres, dopóki nie nakłoniono mnie do doradzania Korpusowi Wojskowemu Australii i Nowej Zelandii w tej wesołej podróży w celu szarpania się z Turkiem i złapania paru kul pod Gallipoli. Bowiem w miesiącach poprzedzających te smutne wyczyny Marlowe i ja

wykorzystywaliśmy radosny fakt, że stacjonujemy w naszym ukochanym Egipcie, przeczesywaliśmy piaski, kiedy tylko mogliśmy uzyskać przepustki, i gdy nadarzyła się okazja, zawieraliśmy znajomości z niektórymi ze starych archeologów, którzy nadal starali się wykonywać swoją pracę i odkrywać przeszłość, podczas gdy waliła się w gruzy otaczająca ich teraźniejszość.

Wraz z moim najdroższym przyjacielem spędzaliśmy wolne chwile (od udziału w tym, co było dla mnie w stopniu o wiele większym, niż możesz się domyślać, teatrem wojny z bardzo lekkim repertuarem) na motocyklach, oficjalnie uzasadniając nasze podróże do piramid czy Sfinksa, a nawet odbywając parodniowe wyprawy na południe w celu zobaczenia Doliny Królów i świątyni Hatszepsut w Deir el-Bahari, fantastycznych miejsc, -o których marzyłem w dzieciństwie i czasach uniwersyteckich, a które ujrzałem nagle przed sobą w ich nadzwyczajnej rzeczywistości. Tęsknić do czegoś od wieku, w którym kładzione są i spajane pierwsze kamienie węgielne twojej osobowości, tęsknić do czegoś z głębi duszy, najlepszą częścią swojego serca po prostu dlatego, że jest to piękniejsze niż cokolwiek innego w całym twoim życiu, studiować to, pragnąc uchwycić to i opanować, spędzić lata na poszukiwaniu tego, a potem, nagle, dzięki cudownemu wstawiennictwu współczesnej, nonsensownej wojny, stwierdzić, że samo wpada ci to do rąk... a potem uświadomić sobie ze wstrząsem i zachwytem, że wszystko, czego się nauczyłeś podczas lat miłosnych studiów, jest jedynie warstwą wierzchnią, że świetlisty obiekt twojej adoracji jest tak ogromny, że mógłbyś poświęcić całe życie i każde ewentualne następne życie, wyężdżając wszystkie siły, by przeniknąć jego

głębie i zjednoczyć się z nim, sprawić, by przyjęło twoją miłość i obecność, wiedząc cały czas, że nigdy nie posmakujesz nawet ułamka tego, co skrywa — wszystko to czułem w pierwszych tygodniach i miesiącach służby królowi i ojczyźnie w mojej ziemi obiecanej.

Kiedy obowiązki służbowe nie pozwalały Marloweowi i mnie opuszczać obozu, by włóczyć się wśród piramid, kolosów i skalnych grobowców, badaliśmy w naszych namiotach — podobnie jak czyniliśmy to w Oxfordzie — ciemne dziury historii Egiptu, te podniecające momenty, kiedy — mimo całej światowej nauki i spekulacji — zerkamy w przeszłość i po prostu nic nie wiemy. Zagląając w te mroki, gdzie każdą datę i wzmiankę ścigają okrągłe nawiasy ze znakami zapytania niczym mściwe kobry, które rozwinęły swe zwoje, by pożreć każdą pojedynczą, beztrąsko przyjętą za pewnik hipotezę — jak w „Atum-hadu (?) panował (?) około 1650 r. p.n.e. (?), u zmierzchu XIII dynastii (?), z której był (?) ostatnim -władcą (?)” — uczonego musi wysilać wzrok, by dojrzeć sylwetki królów i królowych, których samo istnienie jest wątpliwe. Tych niegdyś -wielkich władców i władczynie trzymają przy ciężko zdobytej nieśmiertelności najcieńsze włókna (połowa imienia na kruszącym się papirusie, spisany tysiąc lat po ich hipotetycznej śmierci), podczas gdy, oddzieleni przepaścią czasu od nich, historycy i archeolodzy próbują z trudem przetrząsnąć przez tę otchłań chwiejny most hipotez, przez który mogliby przejść ci prawie zaginieni w mrokach przeszłości bohaterowie.

W Oxfordzie, mimo że obaj z Marlowe'em sztydzieliśmy z tych niedbałych historyków, którzy nazbyt swobodnie zasadzają starożytny papirus w swojej płodnej wyobraźni i zapisują z miłosną troską rezultaty

hodowania tych fantazji, przyciągała nas aura niepewności otaczająca domniemanego króla i poetę z XIII dynastii, Atum-hadu. Spędzaliśmy z Marloweem długie noce w pokoju studentów Balliol College, mozoląc się z fotograficznymi albo rysunkowymi reprodukcjami dwóch pierwszych fragmentów pism Atum-hadu. Debatowaliśmy o możliwych odczytaniach, robiliśmy wykresy chronologicznych implikacji, interpretowaliśmy ukryte znaczenia wersetów i oczywiście śmialiśmy się z dwóch pierwszych prób przetłumaczenia ich na języki współczesne: kapryśnych uników pruderyjnego Harn-mana i wyperfumowanych, uwodzicielskich trawestacji Vassala.

Czytelniku, czy chciałbyś mnie poznać i zrozumieć jako człowieka i odkrywcę? Wobec tego nie zwracaj uwagi na moje dzieciństwo; mimo wpływów mojego ojca i dostatku, w którym żyła moja rodzina, nie ma ono znaczenia. Jeśli chciałbyś poznać moje pasje i zrozumieć, jak doszło do tego, że zacząłem poszukiwać grobowca Atum-hadu, skup się raczej uważnie na Oxfordzie; wydaje się teraz, że uformowały mnie, niemal dosłownie stworzyły, te żarliwe sesje namiętnych posiedzeń naukowych. Dały mi wiedzę historyczną, trzeci i najważniejszy wymiar, kiedy słabe światło oksfordzkiego zimowego poranka wkradało się niezauważenie przez szybki w ołowianych ramkach, a my ślęczeliśmy nad Lepsiusem, Mariettem i innymi klasycznymi tekstami egiptologii. Marlowe i ja — w wieku dziewiętnastu, dwudziestu, dwudziestu jeden lat — zażarcie dyskutowaliśmy o tajemnicach starożytnego Egiptu, zwłaszcza o możliwości istnienia Atum-ha-du. Nasze diabelskie poparcie dla tezy o jego istnieniu rozwijało się zgodnie z rygorami nauki, ale bez sztywnych

zasad; podważaliśmy te tezę na zmianę, przekazując sobie chętnie pałeczkę wątpliwości w wyścigu do oświelenia jakiejś ukrytej szczeliny dowodów, niezauważonej wnęki możliwości. Jeśli Atum-hadu istniał, to gdzie pasował do chronologii, skoro jego imię nie pojawia się d e f i n i t y w n i e w (drażniąco niekompletnych) listach królów odkrytych w poprzednich dziesięcioleciach?

W owych dniach i nocach byłbyś świadkiem czegoś więcej: pojawienia się pewnego głosu, oślepiająco czerwonego świtu powołania, łatwości — Marlowe miał to bez wątpienia. Było to coś więcej niz tylko zapamiętana wiedza, zdolności językowe czy talent do rysowania hieroglifów — Marlowe posiadał mistrzostwo, które dostrzega się u elity archeologów pracujących w terenie, w głębi grobowców, istniejące poza ich kontrolą, a nawet świadomością. Nawet jeśli zwrócisz uwagę tych ludzi na ich talent, nie wierzą w to, nie rozumieją, o co ci chodzi, wydają się nie dbać o to. Innym — bez względu na to, ile uda im się połączyć drobiazgów czy techniki — czegoś brakuje. Nie posiadają i nigdy nie zdobędą, choćby nie wiadomo, jak się starali, pewnej zdolności do wycucia prawdopodobieństwa, pewnej nieświadomej lekkości, braku zwątpienia czy zmartwienia, całkowitego, podjętego bez namysłu spełnienia tej roli. Widzisz ludzi

mniejszego kalibru, nawet uznanych, znakomitych czeladników, jak trzęsą z podziwem i frustracją głowami, kiedy prawdziwi mistrzowie zabierają się do pracy.

Podczas pobytu w Oxfordzie Marlowe i ja byliśmy nadal (pod wpływem firmowego sceptycyzmu Clementa „Wątpię w to” Wexlera) agnostykami, jeśli chodzi o istnienie Atum--hadu. Nie ulegało wątpliwości, że oba

fragmenty pism Atum--hadu — fragment A, przetłumaczony i opublikowany przez F. Wrighta Harrimana pod tytułem *Ateny nad Nilem*, i fragment B, przetłumaczony i opublikowany przez Jeana-Michela Vassala pod tytułem *Le Roi Amant* — zostały odkryte osobno, ale pokrywały się w treści i były kopiami tego samego oryginalnego tekstu. Kusiło też, by zgodzić się z Harrimanem i Vassalem, że „król” wspomniany w kilku wersach, narrator, poeta i bohater „Atum-hadu”, był tak naprawdę postacią historyczną, a nie literacką fikcją. Ale Marlowe i ja nie byliśmy jeszcze wówczas fanatycznymi zwolennikami Atum-hadu. Byliśmy otwarci na inną możliwość — że Atum-hadu był albo postacią rzeczywistą, albo mściwym wytworem fantazji ludzi wywłaszczonych z Drugiego Okresu Przejściowego, ludowym bohaterem wygnańców, niewolników, dysydentów albo nostalgików, którzy śnili, że żył kiedyś, jeśli nie zdobywca, to przynajmniej znamienity mąż, który walczył i zginął za Utraconą Świątynię, jak Thomas Mal-lory wyobraził sobie króla Artura. I miał ów Atum-hadu swój urok, zniewalający urok — był oddany autokreacji, seksualnie nienasycony, przeklęty, śmiały, gwałtowny, uwielbiany, przejmujący strachem i dumny przede wszystkim ze swojej zdolności stworzenia świata na swój obraz i podobieństwo i panowania nad nim wedle swej boskiej woli. Niezwykłe, zadziwiające imię (Atum-hadu!) i sugestywny, ostatecznie go określający hieroglif potrzebny dla wyrażenia tego imienia (zobacz fronty-  
spis) z pewnością porwały moją i Marlowea wyobraźnię, ale żaden z nas nie był (jak podniecał się później nieudolny krytyk *Pożądania i podstępny w starożytnym Egipcie*) „żywiącym pobożne życzenia marzycielem, śniącym o niewyobrażalnych dramatach, pośmiewiskiem uczonych i



deprawatorem amatorów".

Biały i rozsypujący się strzęp papirusu, zwany teraz *Naukami Atum-badu, fragmentem A*, został wydobyty na światło dzienne liliowobiałymi rękami F. Wrighta Harrimana w 1856 roku. Harrimana, Szkota, kawalera o niepełnym wykształceniu w seminarium duchownym, który badał Egipt z towarzyszącą mu wszędzie matką, przedstawia się zawsze na portretach od pasa w górę, co jest delikatnym podejściem do jego karłowatej postury i niesamowicie wydatnego zadka, dzięki któremu zdobył sobie wiele niepochlebnych przydomków w języku arabskim.

Harriman —jak wielu ludzi, którzy starają się zdobyć nieśmiertelność — przeszedł do historii za zrobienie czegoś innego, niż zamierzał. Poświęcił życie na poszukiwanie dowodów ucieczki Marii, Józefa i Jezusa do Egiptu. A kiedy przebywał w swoim domu w Glasgow, sam napisał wierszyk, surowy samorodek żarliwej szkockiej religii, zabarwiony ciemną ironią:

*Przypuszczam, że ateizm też jest aktem wiary,  
A żądania jego wyznawców rodzajem dewocji,  
Bo snują się po świecie bladzi niczym mary,  
I idą do piekła bez wielkich emocji!*

Ale Harriman zyskał nieśmiertelność przez czysty przypadek: szukając śladów pobytu dzieciątka Jezus w Egipcie, natrafił zamiast nich na zapomnianego sadystę, erotomana o wszechstronnych zainteresowaniach seksualnych, okrutnego wojownika, symbol straty i nieśmiertelności, króla Atum-hadu.

Na stanowisku archeologicznym Harriman zmuszał wszystkich

pracujących dla niego tubylców do brania udziału w lekcjach religii chrześcijańskiej. Pewnego popołudnia, kiedy irytował swoich przysypiających muzułmanów opowieścią o cudownym rozmnożeniu ryb i chleba, jeden z jego ludzi — widocznie uważając, że lepiej wykorzysta ten czas, jeśli będzie pracował — przybiegł z pustyni, ściskając miłośnie w stwardniałych dłoniach osobliwy przedmiot. Harriman przerwał wykład i uwolnił go od zwoju, który tamten ofiarował mu z takim przejęciem, a potem natychmiast wyrzucił nieszczęśnika za to, że kopał zamiast się modlić (zaoszczędzając w ten sposób niebagatelną sumkę, bakszysz, który należał się owemu robotnikowi za znaleźne). Położywszy nietknięty zabytek obok filiżanki z herbatą, Harriman zakończył godzinny wykład, podczas gdy jego ekipa, składająca się z muzułmańskich mężczyzn i chłopców, drzemała albo ukradkiem patrzyła na wschód i biła pokłony. W końcu odesłano ich z powrotem do wykopalisk, odpowiednio zniechęconych do ciężkiej pracy przykładem zwolnionego kolegi.

Harriman nie był wielkim uczonym i nie znał się zupełnie na hieroglifach, więc przez całą noc starał się skopiować symbole, które znalazł w swoim szybko rozpadającym się łupie, przepisując to, czego nie rozumiał i co niszczył przez nieznamość technik konserwacji.

(Wystarczyłby kawałek wilgotnej tkaniny.)

Można sobie wyczarować wspaniały obraz — powrót w środku nocy króla Atum-hadu do naszego świata. Harriman przyznaje wstydliwie w swoich pamiętnikach, *Siedmiu chudych latach*, że za sprawą dominujących w tekście wzmianek o pewnych aktach musiał robić częste przerwy na ziemną kąpiel i modlitwę, kiedy jego ręka musiała nieustannie przepisywać moje najbardziej ulubione hieroglify. A kiedy rozpalony

archeomisjonarz skończył, miał dwadzieścia sześć wersetów lub fragmentów wersetów i imię Atum-hadu w kartuszu (owalu otaczającym imię każdego króla, zobacz frontyspis). Obecność tego całkowicie nowego i dziwnego imienia królewskiego, chociaż fascynująca, niczego jednak nie rozstrzygała, ponieważ nie było jasne, czy autor i podmiot tekstu są jedną i tą samą osobą. Nie było też żadnego innego dokumentu w egiptologii, w którym znajdowałaby się jakakolwiek wzmianka o tym królu. Ale trzeba oddać idiotcie Harrimanowi to, co należy, przetłumaczył bowiem (źle) te wersety i opublikował je wraz z esejem, w którym nieco pochopnie, ale prawidłowo zidentyfikował ich autora i króla jako jednego i tego samego Atum-hadu, oświadczając, że jest on postacią historyczną, co w 1858 roku było bezczelnym twierdzeniem, opartym jedynie na szczątku zapisanego papirusu. Bezpodstawnie słusznym, ale słusznym.

Na arenę wkracza Jean-Michel Vassal, francuski egiptolog amator, tracący rodzinną fortunę w piaskach pustyni i kazbach, który w 1898 roku ułożył parę kawałków wapienia w spójną, większą tablicę. Znalezisko to, fragment B, wykopano dość blisko miejsca, gdzie odkryto fragment A, a zawierało ono czternaście tych samych wersetów oraz osiemnaście „nowych”, ale żadnej wyraźnej wzmianki o Atum-hadu jako autorze, ani o żadnym innym autorze.

Na koniec legendarny już fragment C, pełnych czterdzieści osiem wersetów, z których szesnaście nie pojawia się w żadnym z poprzednich fragmentów, dziesięć występuje w A, ale nie w B, dwanaście w B, ale nie w A, a dziesięć we wszystkich trzech. (Dowody wewnętrzne, tekstowe, zdają się świadczyć, że istniało co najmniej osiemdziesiąt wersetów.)

Fragment C bardziej stanowczo stwierdzał, że wersety te zostały napisane przez „króla Atum-hadu”, ale nadal kryła się w nich zagadka historyczna, bo chociaż wskazywały na to, że w chaosie gmatwającymi kres średniego Państwa panował jakiś król, to żadna z ogólnie uznanych kronik nie zawiera żadnej wzmianki o „Atum-hadu”, chociaż dwa pierwsze znaki z pięciu składających się na jego zapisane hieroglifami imię — symbole tworzące imię boga „Atum” albo pierwszą połowę imienia „Atum-hadu” — pojawiają się kusząco na jednej z list królów, na samym końcu ustępu, bezpośrednio przed skruszałym brzegiem papirusa, za którym mógł popaść w zapomnienie jeszcze cał, ale równie dobrze stopa nazwisk.

Historia odkrycia fragmentu C ma dla mnie ogromnie osobiste znaczenie.

Na początku 1915 roku Marlowe i ja wystąpiliśmy o jednoczesne, sześciodniowe przepustki, żeby wybrać się na południe, i dostaliśmy je. Naszym prawdziwym celem było zbadanie pełnego reliktyw zachodniego brzegu tebańskiego. Oficjalnie jednak usprawiedliwialiśmy tak długi urlop zamiarem przeprowadzenia negocjacji wywiadowczych z pewnymi plemionami koczowniczymi. Nigdy nie udało się nam ich znaleźć, ale za to mieliśmy raj: kilka dni poświęconych w całości na badania archeologiczne, jak gdyby nie było wojny.

Rankiem trzeciego dnia zgasilem silnik motocykla i Marlowe wyskoczył z przyczepy, by wylądować sprzęt. Pamiętam, że skarżył się, iż jedna z jego wiciu kobiet stawia mu jakieś żądania. W owym czasie, jeśli mnie pamięć nie myli, balansował między francuską śpiewaczką w Kairze i rosyjską hrabiną w Aleksandrii oraz miejscowymi, miedzianoskórymi

pięknościami, których było więcej, niż można by zliczyć, i jedna z tych powabnych, jakby odlanych ze złota kobiet domagała się, by Marlowe zaczął czytać Koran, przeszedł na islam i został jej mężem, co wywołało u niego taki wybuch śmiechu, że ugryzł się w język, potem zaklął i przyłożył chusteczkę do krwawiących ust. Zdaje mi się, że opowiadałem mu o moich planach odnowienia po wojnie Trilipush Hall.

Wkrótce zabraliśmy się do pracy, przeszukując Deir el-Ba-hari, dokładnie (jeśli dobrze odczytałem mapę) naprzeciwko potężnej skalnej ściany legendarnej Doliny Królów, zaledwie 0parę -wzgórz i dolin w głąb pustyni od świątyni Hatszepsut, całkowicie niewidoczni z obu tych stanowisk. Prawie nie kopaliśmy, po prostu badaliśmy ziemię i zbocze urwiska, poszukując śladów pozostawionych ręką człowieka. Czy szukaliśmy Atum-hadu? Tak, owszem, przybyliśmy w ten rejon (po wcześniejszym, bezowocnym penetrowaniu łatwo dostępnych jaskiń i nor) w nadziei znalezienia czegoś, co potwierdziłoby hipotezy Harrimana i Vassala, ale jednocześnie ~~z a p r z e ć z y-~~  
1 i by ś my, że szukamy Atum-hadu; nadal nie byliśmy przekonani, że kiedykolwiek istniał. Przyznawaliśmy tylko, że — jeśli istniał — należało zasadnie oczekiwać, że jego grobowiec był ukryty i znajdował się w pobliżu jego stolicy (?) w Tebach (?)• Ponieważ Dolinę Królów, nekropolis zarządzane przez państwo, utworzono dużo później, za Totmesa I, i ponieważ Harriman i Vassal dokonali swoich odkryć niedaleko od siebie, całkiem blisko miejsca, gdzie się zatrzymaliśmy, Deir el-Bahari wydawało się najbardziej obiecującym

stanowiskiem.

Po paru godzinach wolnego chodzenia starannie obmyślonym szlakiem zauważyłem coś, co początkowo wydawało się gładkim pasem piasku z lewej strony ścieżki, jak gdyby najdrobniejsze jego ziarenka zebrały się razem, otoczone przez swoich grubszych braci. Pas ten okazał się wkrótce gładkim kamieniem i w miarę jak oczyszczaliśmy go z Marloweem pędzelkami, jego rozmiary rosły, jakby był czubkiem wyłaniającej się głowy, a ziemia była naszą kochającą, rodzącą zoną. Oczyszczaliśmy go, dopóki nie ukazał się nam idealny kamienny krąg, mający około dwóch stóp średnicy. Upał był nieznośny, więc Marlowe, z którym pracowałem na zmianę, schronił się w cieniu, popijając wodę i osłaniając dłonią oczy, by lepiej widzieć otoczenie, taka jest już bowiem ludzka natura, że w podobnych do tej chwilach człowiek robi się podejrzliwy. Zacząłem delikatnie sondować ziemię wokół kamienia, z powolnością, która jest dewizą naszej sztuki, oczywiście nużącą dla kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy z potencjalnie katastrofalnych skutków pośpiechu. To właśnie ten hipnotyzujący rytm sprawia, że odkrycie jest takim rozładowaniem emocji, porównywalnym z jednym zaledwie czy dwoma innymi doświadczeniami w życiu człowieka.

Jakiś czas później, po kilku zmianach, znowu przyszła moja kolej na kopanie i wydobyłem na powierzchnię cylindryczny dzban, którego zaślepiony otwór dostrzegłem parę godzin wcześniej. Postawiłem go na ziemi przed nami i tylko patrzyliśmy na niego, zanim Marlowe ośmielił się zdjąć jego pokrywkę. Właśnie wtedy usłyszeliśmy tętent kopyt końskich i w chwilę potem huk wystrzału. Marlowe upuścił pokrywkę, która potłukła się na nie nadające się do naprawy kawałki, i sięgnął po swojego webleya.

Ja natomiast sięgnąłem do dzbana i wydobyłem okazałych rozmiarów papirus, klnąc, że nie można go od razu w żaden sposób zabezpieczyć. Włożyłem go, najdelikatniej jak mogłem (teraz strzały padały już gęściej), za koszulę, pomiędzy brzuch a pasek spodni.

— Zabierz go stąd, drogi przyjacielu. Jest cenniejszy od naszej skóry — powiedział Marlowe z eleganckim spokojem i zanim zdołałem go powstrzymać, posuwał się już w górę ścieżki, o d c h o d z ą c od motocykla, strzelając na chybił trafił, pokazując się od czasu do czasu, odciągając czterech jeźdźców (bandytów, niemieckich agentów — nie wiedzieliśmy) na zachód i otwierając mi drogę na wschód.

— Idź! Wydostanę się stąd, stary. Możesz na to liczyć. — Pobiegłem w stronę motocykla. Pod koszulą, na brzuchu, miałem bezpiecznie ukryte *Nauki Atum-hadu, fragment C*.

Zatoczyłem motocyklem koło na północny zachód, kiedy zobaczyłem, że Marlowe odrywa się od skał. Popędziłem ku niemu i kiedy kule świszczały nad nami, wskoczył do przyczepy, głową naprzód. Szybko zawróciłem, piasek bryzgał spod kół i odjechaliśmy. Śmialiśmy się obaj do łez, a Marlowe śpiewał starą piosenkę z Balliol.

Zatrzymaliśmy się w Luksorze. Pragnienie jak najszybszego zbadania naszego znaleziska było silne, ale nie tak silne jak nasza dyscyplina. Owinęliśmy papirus mokrą tkaniną i rozmawialiśmy przez całą nieznośną, bezsenną noc. Kiedy zgodziliśmy się, że możemy to już zrobić bezpiecznie, zbadaliśmy pierwszy płat papirusu i już po przeczytaniu pierwszej linijki wiedzieliśmy, co mamy: znaleźliśmy w Deir el-Bahari trzeci fragment Nauk Atum-hadu. Dzień później wróciliśmy do bazy, po to tylko, by się dowiedzieć, że otrzymałem rozkaz przygotowania się do

wyjazdu z Egiptu (do Gallipoli, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem). A zatem postanowiliśmy z konieczności zostawić nasz skarb pod opieką Marlowea, nikomu nic o tym nie mówić i czekać.

Przypuszczam, że w głębi duszy obaj myśleliśmy, że czekamy na moją śmierć na polu bitwy.

Następnym razem zobaczyłem fragment C po ponad trzech latach, w grudniu 1918 roku, po moim nieoczekiwanym, szczęśliwym powrocie z Turcji, samotnym, praktycznie pieszo. Dotarłem do naszej zmniejszonej bazy w Egipcie miesiąc po zawieszeniu broni i dowiedziałem się, że mój wspaniały przyjaciel zniknął przed moim powrotem i prawdopodobnie już nie żył. Przysiągłem ze złamanym sercem, że poświęcę całe życie naszej wspólnej pracy i odkryciu. Wszedłem do jego namiotu, zabezpieczyłem fragment C i zabrałem ze sobą, kiedy niedługo potem zostałem zdemobilizowany.

To, że Marlowe zginął, podczas gdy ja przeżyłem bitwę pod Gallipoli, trudno przypisać mądrym aniołowi stróżowi. Nie można się z tym w ogóle pogodzić, chyba że uznamy to za bełkot niefrasobliwego Losu, który wybrał mnie do wykonania ważnego zadania, zadania, do którego kwalifikacji nie miał może nawet Marlowe. To jedyna pociecha, jaką czerpię z jego tragicznego końca.

Z tą mieszaniną smutku i ambicji postanowiłem przenieść się w jakieś nowe miejsce, wszystko zmienić, odciąć się od tej wszelkiej łatwej do uzyskania pomocy, która czekała na mnie w Anglii. Znając reputację Uniwersytetu Harvarda, pojechałem do Stanów Zjednoczonych, bo miałem nadzieję, że w obcym kraju zostawię za sobą bolesne wspomnienia wojny. Ze zbuduję sobie nowe życie. Ze uczczę poległego przyjaciela. Ze



będę kontynuował nasze wspólne dzieło, polegając jedynie na swoich zdolnościach.

*Sobota, 14 października 1922 r.*

Wstęp do Nauk Atum-hadu: Autor Nauk mógł być królem, mógł udawać króla, mógł też tylko wyobrażać sobie, że jest królem. Bohater, oszust czy artysta? Stwierdziłem, że odpowiedź na to pytanie dyktują każdemu jego własne skłonności.

Inne pytanie: jak powinno się tłumaczyć poezję pisaną w starożytnym egipskim, którego nie używa się od ponad 2000 lat i w którym wymowy zupełnie nie znamy, ponieważ — podobnie jak w hebrajskim i arabskim — nie zapisywano w nim samogłosek? Czy ta poezja miała rymy? Czy pulsowała rytmem? Żadna odpowiedź nie jest możliwa do zweryfikowania.

A teraz uważaj: oto porównanie przekładów kwartyny 73, tego samego ciągu hieroglifów, rzekomo napisanych przez Atum-hadu (rzekomo króla Egiptu), dokonanych przez trzech różnych ludzi z Zachodu, z których dwóch rzekomo wie, co robi:

1. (Przekład F. Wrighta Harrimana, 1858): „Niebezpieczeństwa miłości”

*Spojrzenie i dotknięcie piękności Może w równej mierze obdarzyć Radością i smutkiem.*

2. (Przekład francuski Jeana-Michela Vassala, 1899, z francuskiego przełożony na angielski przez Marie-Claude Wilson,

1903): „Jej dwoista natura”

*Kiedy przygląda mi się królowa,  
Jej spojrzenie jest równie mocne jak dotknięcie,  
Wzbudzając tutaj najcudowniejszy dreszcz,  
Tam najpotworniejsze cierpienia.*

3. (I wreszcie poprawny przekład, wydany pod tytułem

*Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie*, Literatura Miłosna  
Collinsa, 1920): „Przyjemność poprzez ból”

*Słodka kochanka Atum-hadu  
Pieści królewskiego członka najpierw wzrokiem,  
Potem swoimi szponami, aż rozdzierają  
Sztwyne berło jego władzy do krwi, i król wzdycha.*

Zauważ: jak powinien zupełnie jasno pokazać powyżej cytowany fragment, Harriman ocenzurował utwór Atum-hadu. W typowy dla wiktoriańskiego moralisty sposób uważał, że to, co nie pachnie lawendową wonią uwznioślenia, nie jest warte odkrycia. Stanąwszy wobec czegoś zdecydowanie ani przedchrześcijańskiego, ani przedchrześcijańskiego, ani nawet antychrześcijańskiego, ale po prostu w ogóle nie związanego z chrześcijaństwem ani nim nie zainteresowanego, zmuszony był znaleźć w Atum-hadu kogoś zupełnie innego niż Atum--hadu. Świadczy o tym chociażby poniższy akapit z jego wstępu do *Aten nad Nilem*, 1858:

*Kiedy dołoży się wysiłków, by zrozumieć lud starożytnego Egiptu i konsternacje, jaką wyrażali w zetknięciu z przyrodą i Wdzechświatem przed chrześcijańskim objawieniem, pisma Atuum-Hadu stają się*

*cudownym odkryciem. Albowiem w wierszach tego króla znajdujemy przemożne pragnienie wiedzy i władnie ono przede wszystkim uczyniło zeń godnego króla jego ery, a teraz czyni z niego przedmiot warty badań. Z tej odległości, „jakby w zwierciadle, niejasno”, jak pisał Paweł do Koryntian, widzimy w tym starożytnym, śniadym księciu człowieka walczącego w swym pragnieniu o to, co w naszej erze nazwalibyśmy chrześcijańskim oświeceniem i boską mądrością. Choć jego tematy mogą nas czasami szokować (i nie mogę zalecać, by zapoznały się z nimi damy), spójrzmy na nie śmiało, ponieważ zawierają się w nich zasadnicze kwestie życia samego w sobie.*

Jean-Michel Vassal, francuski odkrywca fragmentu B, nie miał wysokiego mniemania o Harrimanie i chociaż nie potrafił dostrzec swoich błędów równie łatwo jak błędów Harrimana, pozwolę mu wyrazić opinię o poprzedniku w badaniach nad Atum-hadu. We wstępie do *Le Roi Amant* (1899, zanglizowanym w 1903 przez Marie-Claude Wilson jako *Król kochanek*) czytamy:

*Co do udowadniania powątpiewającym umysłom wątpliwego kalibru istnienia Atoumadou, wyznać też trzeba, że nasza strona wyrządziła nam nieoszacowane szkody w postaci owych pozbawionych ikry dyletantów, których nazwisk nie wymienię, a którzy — dławiąc się na widok nagiej kobiety, rumieniąc się jak dziewica na samą wzmiankę o ciemniejszych żądzach człowieka, niegodziwości bezwzględного bóstwa, pokusach władzy albo nikczemniejszych motywach tego zwierzęcego Człowieka — przedstawili światu słabego Atoumadou, zlagodniałego jak kanapowy piesek jakiejś staruszki, wykastrowanego, wykąpanego i uczesanego, z*

*czerwonymi i niebieskimi wstążeczkami w sierści, utuczonego migdałowymi marcepanami i odrętwiałego od laudanum i braku ruchu na świeżym powietrzu, wskutek czego przypada mi (i nauce Francji, kraju najściślej związanego przez Los z ochroną i rozpowszechnianiem myśli i pism tego wielkiego faraona) obowiązek [...]*

(Nawiasem mówiąc, w moim wydaniu Vassala zdanie to ciągnie się przez ponad trzy strony. Pani Wilson należą się wyrazy uznania za wytrzymałość.)

Niezależnie od zapewnień Vassala o nieustraszonej uczciwości, stwierdzić trzeba, że również i on nic dokonał dokładnego przekładu, woląc swoje łagodnie podniecające słowa, odpowiednie do szeptania do ucha damom w zaciszu paryskich buduarów, ale nie na tyle bezpośrednie, żeby narazić się na prześladowania ze strony drażliwych władz francuskich.

Tak jak Harriman miał nadzieję znaleźć królową Wiktorię w złotej tunice i koronie z kobrą, tak Vassal chętnie widział w Atum-hadu starożytnego Casanovę, praktycznego Machia-vellego, prototyp Napoleona. Obaj w miarę potrzeb robili błędy w tłumaczeniu, by uzyskać te portrety, wyciągając nie poparte dostępnymi dowodami wnioski, których pragnęli.

Jest rzeczą niezmierniej wagi, by nie dać się ponieść swoim pragnieniom i nie przeistoczyć się z obserwatora w twórcę. Obaj tłumacze wzięli to, co znaleźli, za to, co chcieli znaleźć (które to zaburzenie należy być może przypisać wpływowi boga-stwórcy, samego Atuma). Tworzyli. Sami zapładniali swoje odkrycia. „Zapładniali” jest tutaj kluczowym słowem, bo przypomnijmy tym, którzy przez swój upór nie przeczytali jeszcze

*Pożądania i podstępu w starożytnym Egipcie*, gdzie kwestie te zostały najpełniej zbadane, że imię Atum-hadu znaczy Atum Jest Pobudzony. I jak szybko zauważy, zapamięta, a następnie będzie cytował w swojej obronie każdy uczeń badający egipski panteon i przyłapany przez wścibskiego rodzica na samotnej twórczości, Atum Stwórcy, pierwsza istota (a zatem zupełnie samotna), stworzył wszystkich pozostałych bogów i świat, używając własnej, niebiańskiej ręki do rozlania swojego niebiańskiego nasienia na żyzną glebę.

Atum Jest Pobudzony —jesteśmy na progu aktu stworzenia. Nasz król otrzymał to imię na pamiątkę owego pulsującego momentu poprzedzającego stworzenie wszechświata. I w zapładniającym akcie hołdu złożonego Atumowi, nie tak od siebie różni, drżący mężczyźni z zaciśniętymi zębami, tacy jak Harriman i Vassal, nie mogą się powstrzymać przed wylewaniem opartych na rzetelnej i mniej rzetelnej wiedzy hipotez na jałowe, skromne dowody, tworząc wielkie, ciężarne spekulacje, z których rodzą się książki podobne do swoich ojców. (Nacieszmy się przez chwilę widokiem Vassala, oskarżającego z galijskim bezwstydem Harrimana o te same pretensje do ojcostwa, które i jemu samemu można zarzucić.)

Na pewnej reprodukcji starożytnego rysunku, którą znalazłem jako chłopiec i nad którą spędziłem zdumiony i zamyślony parę godzin (dopóki, ponad moim ramieniem, nie dojrzał go ze zduszonym krzykiem wiejski bibliotekarz, a potem skonfiskował książkę i zabezpieczył ją w zapieczętowanym niczym grobowiec prywatnym dziale zarezerwowanym dla mecenasów), samotny, niezmordowanie twórczy i bosko giętki Atum obsługuje sam siebie w pozycji, której nie pozwoliłyby

przybrać większości śmiertelników ich kręgosłupy, chociaż wszyscy oni wiedzą, że byłaby to cudownie dogodna sztuczka. (Niemniej w swoim czasie widziałem chińskich bliźniaków, akrobatów w wędrownym cyrku podróżującym przez Kent, którzy dorównali wyczynowi boga, kiedy wisieli zupełnie nadzy i bladozółci na trapezach, w akcie rozluźnienia po występie, któremu oddawali się do góry nogami, obok siebie, jak dwie ósemki, późnym wieczorem, w zaciemnionym namiocie po każdym pokazie, podczas gdy z zewnątrz dobiegały odgłosy mycia otumanionego narkotykami słonia, a jeden niewidoczny widz przyglądał się sekretnie temu medytacyjnemu pokazowi i prawdopodobnie jako jedyna osoba w Kent wiedział, że owi dwaj Azjaci w bliźniaczym pochłonięciu sobą oddawali nieświadomie cześć bogu Atumowi.)

Do Margaret: Moja droga królowo, spędziwszy wczoraj i dzisiaj rano wiele godzin na pracy nad esejami naukowymi, tak bardzo posmutniałem na myśl o śmierci Marlowea i moim oddaleniu od ciebie, że postanowiłem tego popołudnia odłożyć pracę i wybrałem się na przechadzkę po moim Kairze.

Mój Kair nadal dziwnie na mnie wpływa. Dzień dzisiejszy nie był wyjątkiem — czy to z powodu tkwiących w słabszej części mojego umysłu resztek błędnej, wpojonej mi wiedzy religijnej, czy też tylko głupich przesądów zawartych w naszych systemach, chodziłem po południu po Kairze, rozdając jedzenie i część pozostałych mi jeszcze pieniędzy tym, którzy wyglądali na najrozpaczliwiej tego potrzebujących — przekonująco beznogim, wielkookim dzieciom nieświadomym opilstwa. Mam nadzieję, że pochwalibyś to, moja słodka królowo. Być może robiłem to dla ciebie.

Przyglądałem się kobietom, tym karmel i zwanym cukierkom o ciemnych źrenicach za długimi rzęsami. Niektóre są zawoalowane i nie widać nic oprócz poruszających się oczu, zawsze spuszczonej albo spoglądających w bok. Inne nie są zakryte i w zniekształcającym rysy upale i przeszkadzającym w dobrym widzeniu cieniu rzucanym przez liście palm migają ich twarze. Jedna z tych kobiet przesuwała się szybko z cienia na słońce i w tej pierwszej chwili wzrok splątał mi figła — myślałem, że od czoła do obojczyka pokrywają zawiły tatuaż albo malunek wykonany henną, kobra mrugająca do mnie przy każdym ruchu jej policzka. Ale nie, była to tylko gra światła; kiedy wyszła na słońce, dostrzegłem wściekłość i rozmiar jej znamienia— nie kobrę, nie cień, lecz purpurową plamę na jej twarzy, zbyt złożoną, by nie nasuwała myśli o szczególnej wiedzy i nie pozwalała jej rościć pretensji do jedynej w swoim rodzaju urody. Spojrzała na mnie wyniośle, pewna wrażenia, jakie wywarła.

A na lewo od mej bawiło się jedno z tych dzieci, które Atum, Jehowa, Jezus, Allah, Wielki Scenograf zesłali po to, by na jego widok pękło ci serce, bo jego nędza zaciera jego możliwości, jego mała twarzyczka składa się tylko z ogromnych oczu. Przywołałem go i prawie do cna opróżniłem kieszenie, wkładając w jego spokojne ręce banknot za banknotem i patrząc, jak patrzy na mnie. Wydawał się na tyle młody, by nadal wierzyć, że ktoś zupełnie naturalnie zatroszczy się o niego. Pragnąłem usprawiedliwić tę wiarę, skłonić go, by nigdy jej nie stracił.

Chodziłem po miejscach, których nie odwiedzają turyści, gdzie czają się spektakularnie wynaturzeni ludzie, przechodzący od nędzarza, przez człowieka o zdeformowanym ciele, po ulicznego

kuglarza z taką szybkością, że trudno jest ich zaklasyfikować; oczywiście dają pieniądze niewidomym matkom niańczącym niewidome niemowlęta obok zezujących, nie panujących nad czynnościami fizjologicznymi pokrak, oraz dzieciom o palcach połączonych błoną, ale co powiesz o mężczyźnie, który miał wytatuowaną na całym ciele pajęczą sieć, jakby sam był uwięzioną w niej muchą? Co powiesz o człowieku zdającym się składać tylko z powykręcanych stawów i śliskich jak węgorze kończyn, którego kolana spoczywają wygodnie na jego ramionach?

A wszędzie młodzi ludzie łypią na każdego i na wszystko z taką wściekłością, że zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle potrafię zrozumieć wyraz twarzy; musi to być coś, czego me rozumiem, bo przecież nikt nie może się wściekać na drzewo, obłok, patrzącego spode łba przyjaciela, którego obejmuje.

Na węższych uliczkach, przypominających kanały przecinające wysokie żółte budynki, przyciskam się do ścian, by przepuścić bosonogich roznosicieli z tacami na głowach. Przeplacam im, by spróbować chleba, owoców i kurzych udek poruszających się na wysokości mojego nosa. Na targu owoców widzę przed sobą starego ojca i jego dorosłego syna. Chudy, brodaty ojciec wybiera jakieś artykuły spożywcze z drewnianego straganu, rozmawiając ze sprzedawcą, najwyraźniej dobrym znajomym. Ale stojący za nim syn ma jakąś drżączkę —jego ręce trzęsą się i starają odfrunąć od ciała, podczas gdy głowa miota się w przód i w tył na niewygodnej osi. Całe jego ciało kołysze się jak metronom nastawiony na largo. Podczas gdy ojciec wybiera figi, stan syna się pogarsza i muszę cofnąć się o krok, by nie uderzyły mnie jego młóćące powietrze ręce. Jego nogi zaczynają drzeć, a potem stopy na przemian podnoszą się



z ziemi, za każdym razem na cal wysoko. Ojciec, nie spiesząc się bynajmniej z powodu tego, co — jak na pewno wie — dzieje się za nim, płaci i wreszcie się odwraca — łagodnie kładzie dłoń na przedramieniu syna. Tym lekkim dotknięciem wchłania skurcze i dreszcze, zmusza chłopca, by znowu znieruchomiał, by zapanował nad sobą z pomocą cierpliwości i obecności ojca. Chłopiec uspokaja się, zwraca do słońca wykrzywioną w uśmiechu twarz i chrupie twardego, żółtego daktyla. Ojciec trzyma na nim jeszcze przez chwilę dłoń, uśmiecha się, marszcząc twarz, a potem odwraca z powrotem, by skierować jeszcze parę słów do nie przejmującego się całą sceną sprzedawcy, który bez wątpienia ogląda to codziennie od wielu lat. Kiedy przechodzą obok mnie, wrzucam im do torby pieniądze.

Same pieniądze nie są problemem, ponieważ niebawem otrzymam pierwszy telegraficzny przekaz od współników. Przypuszczam, że wokół naprawdę potrzebujących, a przynajmniej dostarczających rozrywkę wki biedaków unosi się obłoczek powodzenia — jakby jedyną rekompensatą za ich los była możliwość decydowania o twojej przyszłości albo jakby podsuwali ci łatwy sposób wywarcia wrażenia na bogach, którzy później będą cię sądzili lub wcześniej oczyszczali twoją drogę. A może dawanie biedakom pieniędzy jest najlepszym sposobem na udo-wodnienie sobie, że nie jesteś jednym z nich.

A potem na pocztę, moja Margaret, by znaleźć ciebie czekającą na mnie na *poste restante*. Powąchałem kopertę od razu tam, na kairskiej poczcie. Nadal wyczuwalny był twój drogocenny zapach, mimo całej odległości, jaką przebył list, a każda zazdrosna mila chwytała atom twojej woni. Z dojmującą tęsknotą do ciebie rozdarłem kopertę i znalazłem twój

list (?) z 19—21 września.

Przyznaję, że spędziłem parę niespokojnych godzin na rozmyślaniach o tym urywku korespondencji, M., ale najwyraźniej nastąpił jakiś błąd w dawkowaniu albo wysłaniu; albo twoja mikstura nasenna źle działa, albo zgubiłaś pozostałe strony. Niemniej jednak, chociaż stale odczuwam niedosyt, kiedy kończę czytać twoje listy, tym razem moje cierpienie było nieznośne. Wróciłem bardzo wolnym krokiem do Hotelu Sfinksa, nie cierpiąc Kairu za to, że jest miejscem, w którym nie ma ciebie, miejscem, gdzie nie mogę się tobą zaopiekować tak, jak ten ojciec opiekuje się swoim synem.

19 września. Wieczór

*Najdroższy Ralphie,  
Cóż, zdaje się, że dzisiaj wypłynąłeś.*

20 września. Wieczór

*R., brakuje mi ciebie.*

21 września. Zmierzch

*Mój Ralphie,  
Teraz jesteś na statku, jak sądzę, albo na czymś takim jak statek.  
Na czymś, co płynie.*

Dom Opieki Zachód Słońca nad Zatoką Sydney,  
Australia 16 grudnia! 954 r.

Macy,

Przepraszam za stracone dni. Byłem chory. Nie chcę cię zanudzać szczegółami, ale dziś po raz pierwszy od tygodnia wstałem z łóżka. Na

twarzach moich opiekunów widzę lekkie rozczarowanie, bo jeszcze nie umarłem, ale pewnego dnia znajdą się na moim miejscu, a to dla mnie wystarczająca pociecha.

Czuję niechęć do pisania o mojej podróży do Bostonu. Przypuszczam, że jestem po prostu wyczerpany po chorobie. Ale nawet gdy wspomynam, jak wszedłem na pokład *Aniola Azorów*, przygotowując się do przepłynięcia przez Atlantyk, dziękując niebiosom za to, że taki facet jak ja będzie miał możliwość zobaczenia Ameryki ze względu na swoje umiejętności zawodowe, siedzę tutaj, w okropnym upale panującym w pokoju gier (dwa niekompletne zestawy warcabów i jeden szachów, trochę kart do gry i kupa śliniących się staruchów) i muszę zwalczyć coś, co opiera się powrotowi do naszej pracy. Nie sprawia mi przyjemności odtwarzanie tej części mojej przygody. Nazbyt dobrze pamiętam cenę, którą zapłaciłem za ciężką pracę i otwarte serce w Bostonie. Ale leży przede mną stosik pustej papeterii. (Straszne jest to godło naszego domu, prawda? Czyżby uważali, że rysunek morza wszystko to uprawdopodobni? Wierz mi, z tego budynku nic zobaczysz zatoki, nawet jeśli skoczysz z dachu. Co jest kuszące.)

Podczas trwającej tydzień przeprawy przez Atlantyk sporządzałem liczne notatki, katalogując moje podejrzenia i niewyjaśnione szczegóły tej sprawy: Trilipush, Marlowe i Quint są kumplami z uniwersytetu, tyle że na tym uniwersytecie nie słyszano o Trilipushu, aczkolwiek wiele lat później słyszeli o nim przypadkowo spotkani studenci. Trilipush i Marlowe są przyjaciółmi, kumplami z wojny, możliwe, że i kimś więcej, czego nie da się opisać, a Trilipush pisze do rodziców Marlowe'a, wspominając z przyjemnością chwile spędzone ze starymi, których imion nie zna i którzy nigdy go nie spotkali, chociaż ich syn często mówił o nim podczas nauki na

Oxfordzie. Gdzie, jak wynika z rejestru, Trilipush nigdy nie studiował. A rząd brytyjski twierdzi, że nie ma żadnych wzmianek o jego udziale w wojnie, mimo że niewiarygodny Quint utrzymuje, że Trilipush był u boku Marlowe'a aż do Gallipoli. Ale przypomnij sobie, że nikt nie pamięta Caldwell, który ze swej strony nie miał żadnego powodu, żeby znać Marlowe'a, brytyjskiego oficera, a mimo to Marlowe rekomenduje go do awansu i znikają razem podczas misji bez nazwy, p o zakończeniu wojny, podczas gdy Trilipush nadal przebywa w odległej Turcji. Moje diagramy dotyczące tej sprawy zawierają więcej znaków zapytania niż wniosków.

Powiedziałem dziewczynie z kwatery głównej Tailora, żeby się zawczasu upewniła, czy Trilipush przebywa na Harvardzie. Miała to zrobić, występując pod fałszywym nazwiskiem, bo nie chciałem go jeszcze wystraszyć, dać mu czasu na zatarcie śladów. O nie, chciałem, żeby się zdenerwował i bełkotał, kiedy się z nim zmierzę. Jednak ta dziewczyna, jak dowiedziałem się później, depeszując do Londynu po wyjaśnienie, zamiast zapytać, czy „jest” na Harvardzie, zapytała głupio, czy tam „wykłada”.

Tak więc 13 października 1922 roku przybyłem na pokryty kobiercem bluszczu Uniwersytet Hararda i włóczyłem się od budynku do budynku, szukając egiptologii, gdzie zapytałem o pana Trilipusha, po to tylko, by się dowiedzieć, że przed niecałym miesiącem wyjechał na ekspedycję do Egiptu i będzie za granicą jeszcze przez znaczną część 1923 roku. Trudno, pomyślałem, znajdę tutaj, co mi się uda, a potem pojedę na wakacje do słonecznego Egiptu za szylingi Marlowe'ów i Daviesa. Zapytałem więc o szefa Trilipusha i zaprowadzono mnie do gabinetu małego, okrągłego Holendra o nazwisku Terbroogan, kierownika harwardzkich egiptologów. Kiedy powiedziałem mu, że poszukuję informacji o jego panu Trilipushu,

odpowiedział z jakąś powodującą ślinienie się wadą wymowy i szkopskim akcentem:

- Mój drogi panie, on mosze zobici bycz, kim cze, ale szadna miara on nie jest mój Czilipucz.

Terbroogan miał niewiele łagodnych (albo nieemocjonalnych) słów na określenie swojego podwładnego i rozmowa przybrała wkrótce miły, szczerzy ton, który bardzo mi odpowiadał, zwłaszcza w porównaniu z nieśmiałym snobizmem Marlowe'ów i mętными półprawdami Quinta.

- Nicsubordynowany, arogancki, a do tego nie ma racji - recytuje mój rozmówca. - Niesubordynowany, arogancki, a do tego nie ma racji. Jeśli ktoś jest arogancki, to powinien przynajmniej mieć rację. Ale jego książka jest stekiem bzdur. Mam nadzieję, że zjedzą go tam krokodyle.

Przez chwilę ten agresywny język wydawał mi się podejrzany, zastanawiałem się więc, jak dopasować profesora Terbroogana i jego cierpkie fantazje do wyłaniającego się przed naszymi oczami obrazu. Wcale bym się nie dziwił, gdybym się dowiedział, że był w tym samym groźnym pułku na pustyni albo miał inne złowrogie powiązania, ale nie, to było przejściowe zachmurzenie: zrozumiałem, Macy, że przeważnie takimjczykiem posługują się te typy z uniwersytetu, i przyznaję, że chociaż miałem zamiar dokładnie zanotować narzekania Terbroogana na Trilipusha, szybko straciłem zainteresowanie i teraz mam pewne trudności z odtworzeniem tego, o co mi chodziło, kiedy zapisywałem takie uwagi jak: „Książka RT jest o Atuumadu, który był albo nie był królem, był albo nie był poetą i jest albo nie jest pochowany tam, gdzie jedzie RT, a egipskie wiersze rymowały się albo nie. To tym zajmują się przez cały dzień ci ludzie? To ich praca?” Może sprawił to klimat, miejscowe żarcie albo ta rozmowa, ale miałem już

dość Ameryki i czułem się bardziej niż lekko chory. To, co mówił Terbroogan, wpadało mi jednym i wypadało zaraz drugim uchem, dopóki nie zapytałem go, dokąd dokładnie wybrał się Trilipush.

- Do Deir el-Bahari - odparł Terbroogan i poprosiłem go dla pewności, żeby to przeliterował. (- Rozumiesz to, Macy? - pytam później w hotelu mojego cennego, ale tępego pomocnika, kiedy ślęczymy nad mapami, ale on potrząsa głową i przygryza wargę. Nie masz chyba nic przeciwko temu, Macy? Dlatego tak cię teraz przedstawiam, żeby trochę rozładować napięcie.)
- I z powodu kłopotów z profesorem Trilipusem - zapytałem jego pucołowatego szefa, który ocierał chusteczką usta - wysłał go pan na te wykopaliska? Kosztowny sposób pozbycia się go, nie?

Nie wysłał go. To nie był wybór Terbroogana, bo ten odmówił Trilipusowi pieniędzy na tę wyprawę właśnie z powodu zastrzeżeń do jakości jego wiedzy naukowej. (Słowo daję, Macy, tym ludziom brakowało piątej klepki.)

- I przypadkiem wiem, że spotkał się z odmową ze strony MFA, Met i Carnegie.
- A zatem podróżuje za własne pieniądze?
- Nic podobnego. Sprzedał udziały w tym nieszczęsnym przedsięwzięciu miejscowym biznesmenom.

Teraz, mój drogi Macy, dochodzimy do czegoś, co może ci się nie spodobać. Zastanawiałem się, czy nie złagodzić pewnych trudnych faktów, które odkryłem w tamtych dniach, i nie przedstawić ich w bardziej pochlebnym dla twojej rodziny świetle, ale nie zrobię tego. Jestem na to za stary, a ty prosiłeś mnie o uczciwe przedstawienie tej historii i szczerze

mówiąc, inne przedstawienie nie leży w moim zwyczaju. To najprostsza droga. Jestem prawdomównym człowiekiem i myślę, że właśnie dlatego czułem dzisiaj rano taką niechęć do rozpoczęcia opowieści o bostońskim etapie mojego śledztwa. No dobrze - przepraszę tutaj, ten jeden raz i na tym koniec; przykro mi, jeśli wyczyta pan w tej kronice, panie Laurensie Macy III, rzeczy, które będą dla pana bolesne albo zepsują pański obraz własnej rodziny czy pańskiej biednej, zmarłej ciotki Margaret.

- Nic podobnego. Sprzedał udziały w tym nieszczęsnym przedsięwzięciu miejscowym biznesmenom, podejrzanym typom, jeśli wolno mi tak powiedzieć, o godnej pożałowania reputacji.

Wymienił pańskiego ciotecznego dziadka, Chestera Finnerana, oraz Heinza Kovacsa.

Dlaczego po prostu nie zwolnił Trilipusha, skoro ten był mu solą w oku? Gość wyjaśnił pewnym tonem, że „uniwersytet na ogół woli tego nie robić” (słowo daję, co za ludzie). Ale „kiedy wróci z Egiptu z pustymi rękami, a na pewno tak będzie, to wystarczy, żeby go zawstydzić”, dodał jadownicie. Zauważywszy, jak to zabrzmiało, profesor zdobył się na wyraźnie widoczny wysiłek oddania swojemu pracownikowi sprawiedliwości:

- Trilipush jest dobrym nauczycielem, był bohaterskim żołnierzem w Turcji i zdobył wykształcenie w Oxfordzie, co umacnia pozycję naszego wydziału, a Atuumadu nie jest nieinteresujący, tylko nie stwierdzono de finitywnie, czy istniał, a więc kiedy się ma problemy, to woli się po prostu umieszczać ludzi tam, gdzie będą spokojnie robili, co do nich należy, ale ten, mój Boże. - To prawie wyczerpało dobrą wolę starego. - Kiedy był tu nowy, w zeszłym roku, przymilał się do mnie, ale to nie trwało długo.

Myślę, Macy, że musiałem powiedzieć coś takiego, chociaż oczywiście nie

zanotowałem słów, których dokładnie wtedy użyłem:

- Czy nie byłoby dobrze, gdyby pan i uniwersytet dyskretnie zatrudnili kogoś, kto mógłby dostarczyć panu dodatkowych materiałów dla „zawstydzenia” pana Trilipusha, jak pan to ujął? Gdyby, na przykład, odkryto rozbieżności w jego aktach oksfordzkich...
- Ale ja widziałem dokumenty potwierdzające jego kwalifikacje, wszystkie ze znaczkami, pieczętkami i podpisami, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Dokumenty, profesorze Terbroogan, to tylko kawałki papieru, które rzekomo przedstawiają prawdę. Nie są prawdą samą w sobie. Na pewno w swojej dziedzinie badań widział pan wprowadzające w błąd, nawet nikczemne dokumenty.

Nigdy nie widziałeś bardziej uszczęśliwionego holenderskiego profesora, Macy, i tak oto zdobyliśmy nowego klienta w sprawie Daviesa--Caldwella-Barry'ego-Hoyt-Marlowe'a-Trilipusha.

Terbroogan odprowadził mnie korytarzem ozdobionym posągami sfinksów i zdjęciami przedstawiającymi go w dołach w piasku. Zapytałem, czy mogę zobaczyć gabinet Trilipusha. Było to małe pomieszczenie bez okien, w piwnicy, z półkami pełnymi książek i zdjęciami archeologów oraz zabytków. Biurko Trilipusha było puste, ale od czasu jego wyjazdu do Egiptu uzbierał się dla niego stosik poczty. A na samej jego górze? Dużego formatu koperta ze znajomym adresem nadawcy i z angielskim znaczkiem. Tak, tak, Macy, list od naszego Beverly'ego Quinta: poprosił mnie o adres Trilipusha i musiał usiąść do pisania w tej samej chwili, kiedy od niego wyszedłem: ostrzeżenie albo wymowna reminiscencja, z pewnością jakiś dowód spisku, który, jak zacząłem podejrzewać, doprowadził do zamordowania Marlowe'a



i Caldwell'a przez Trilipusha za wiedzą Quinta. Koperta ta musiała nadejść tym samym statkiem, na którym ja tam przybyłem. Quint i ja przepłynęliśmy Atlantyk, jeden nad drugim, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, i teraz przybyliśmy do naszego wspólnego miejsca przeznaczenia, zaledwie o parę cali od siebie. Mogło tam być tyle odpowiedzi na nasze pytania, ale, niech go szlag, mój najnowszy klient stał nade mną, pytając, czy potrzebuję jeszcze czegoś, i przybierając jedną z tych min, które widuje się od czasu do czasu w naszym zawodzie, Macy, ten wyraz podejrzliwej wyższości kogoś, kto jest tak daleki od przykrych realiów życia, że nie potrafi odróżnić brudu pokrywającego przestępcę od plamki na facecie, który musi zmagać się z kryminalistami, by ratować niewinnych. Mógłbym udusić tam tego profesorka, odstawiającego arystokratyczne ceremonie, wypychającego mnie za drzwi, kiedy mogliśmy przeskoczyć przez tak wiele stopni pośrednich, może nawet uratować życie dwóch osób i zaoszczędzić wiele cierpień twojej uroczej ciotce Margaret. Ale nie, już byliśmy na korytarzu, drzwi były zamknięte na klucz, a przesyłka od Quinta leżała sobie spokojnie na biurku Trilipusha, czekając na jego powrót. Profesor Terbroogan znacząco poruszył klamką zamkniętych drzwi i spojrzał na mnie, patrzącego przez szybę w drzwiach na list Quinta. Tak to jest, Macy -jakiś angielski pedzio po drugiej stronie ziemi może po prostu zaadresować podejrzany list i liczyć na to, że jego tajemnicy będzie strzegł jakiś holenderski snob z uniwersytetu, którego nawet nigdy nie spotkał! Cokolwiek przydarzyło się biednemu Paulowi Caldwellowi - a miałem poważne podejrzenia - miało być diabelnie trudne do rozwikłania, ponieważ jak tylko coś rozwikłałem, osoby z wyższych sfer, Angole, zboczeńcy i profesory zaraz wikłali to na nowo, może po to, żeby ukryć coś

niegodziwego, a może po prostu dlatego, że lubili, żeby wszystko było schludne, a to znaczyło, że nie pozwolą prostemu australijskiemu człowiekowi pracy wykonać jego zadania.

- Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś, panie Ferrell? - zapytał Terbroogan nie pozostawiającym żadnych wątpliwości tonem, który znaczył „Dżentelmen nie czyta korespondencji drugiego dżentelmena”. Oczywiście, że nie czyta, nawet jeśli jest mordercą.

Miałem od Terbroogana adres Chestera Finnerana. Pamiętam, jak stałem przed bramą Uniwersytetu Harvarda, przywołując taksówkę. Zapewne pojechałem do tego domu po drugiej stronie rzeki, ponieważ nie mam żadnych notatek między tymi, które zrobiłem podczas rozmowy z Terbrooganem, i tymi, które prowadziłem, rozmawiając z Finneranem, opatrzonymi tą samą datą. Ale nic przypominam sobie jazdy taksówką. Czuję się teraz tak źle, że nie wiem, czy będę mógł pisać dalej. Zaraz to wyślę.

HF

*Niedziela, 15 października 1922 r.*

Do Margaret: Jest tuż po północy, moja ukochana. Siedzę na moim balkonie, poddaję kelnerów próbie, odpoczywam z twoim zdjęciem przede mną na stole.

Zaniepokoił mnie twój gwałtownie skrócony list, moja droga, nie dlatego, że jest dowodem błędnej kuracji farmakologicznej, lecz dlatego, że wiem, iż usiłowałaś ukryć przede mną objawy choroby, a kiedy uświadomiłaś sobie, co mi wysłałaś, na pewno zmartwiłaś się i niepotrzebnie jeszcze bardziej rozstroiłaś sobie nerwy. No i oczywiście,

ponieważ był to twój pierwszy list po moim wyjeździe do Egiptu, twój smutny stan emocjonalny odbił się już niekorzystnie na twoim wciąż jeszcze dochodzącym do zdrowia organizmie.

Jesteś cudowna, Margaret. Zawsze bagatelizowałaś swoje złe dni, bym nie dostrzegł różnicy między chwilami, kiedy jesteś zdrowa, a tymi, kiedy jesteś chora. Gdy w końcu, dzień po tym przyjęciu, wyznałaś mi, jaki jest twój stan, powinienem był sprawiać wrażenie bardziej zaskoczonego. Moja ukochana, przykro mi, jeśli byłem nieprzekonujący, ale pewnego dnia ostatniego lata twój ojciec powiedział mi już wszystko. Nie możesz być na niego zła. Teraz CCF jest ojcem nas obojga. Kiedy poprosiłem go o twoją rękę, czuł się zobowiązany, jako człowiek honoru, opowiedzieć twojemu przyszłemu mężowi całą tę historię. Chciał powiedzieć mi o najgorszym i przekonać się, że moja miłość do ciebie jest niezachwiana. CCF mówił otwarcie i na długo przed twoim nieśmiałym wyznaniem usłyszałem wszystko o specjalistach od chorób nerwowych, wyczerpaniu spowodowanym lekami, rzadkości twojej choroby. Dowiedziałem się również o wspaniałym rokowaniu, twoim rychłym i pewnym wyleczeniu. Daję ci słowo, Margaret, że absolutnie nie niepokoi mnie stan twojego zdrowia. Wiem, że z każdym dniem jesteś silniejsza, a Inge jest tylko zatrudnioną tymczasowo pielęgniarką, która podaje ci twoje ostatnie leki i nic więcej. Czas pokaże, czy będzie z nami w pierwszych dniach naszego małżeństwa, czy też zostanie ci już wtedy w pełni przywrócone zdrowie. Tymczasem nie wolno ci się martwić, a już z pewnością o siłę mojej miłości do ciebie, mój aniele.

Twój ojciec jest człowiekiem, który niejedno potrafi. Prezentuje światu szorstką i brutalną powierzchowność i oczywiście jego biznesowe

otoczenie nie pozwala na inną, ale widziałem, jak się zmienia, kiedy opowiada o tobie. Widziałem, jak opuszcza gardę i okazuje głęboką troskę i czułość. Widziałem, jak jego oczy zasnuły się mgłą, gdy mówił o zmartwieniu, jakim napełnia go twoja choroba, i widziałem jego determinację, kiedy powiedział mi:

— Ralph, ona to zwalczy. Nie masz się o co martwić — będziesz miał krzepką i zdrową, nietkniętą żonę.

To dopiero ojciec, niech mu niebo błogosławi.

Codziennie oplakuję stratę mojego ojca, powinnaś więc myśleć, tak jak ja, o CCF z czułością, bo ojcowska miłość jest jednym z najcenniejszych darów.

Pamiętam, jak niecierpliwie wyczekiwałem ojca w Trilipush Hall jako chłopiec, kiedy wiedziałem, że wkrótce ma -wrócić z ekspedycji. Wyjeżdżał na wiele tygodni, a nawet miesięcy, i niczego nie pragnąłem bardziej niż tego, by znaleźć się w jego silnych ramionach i huśtać się przed wielkim, płonącym kominkiem na jego kolanie, słuchając opowieści o jego przygodach. Czy dzień dzisiejszy będzie dniem jego powrotu? Jak niespokojnie przemierzałbym ogromne sale dworu, pobrzmiwające echem moich kroków.

Ach, Trilipush Hall! Jakie znajdowały się tam cuda! Ściany obwieszane portretami uśmiechających się przodków w perukach. Nieskończone szeregi zbroi i las halabard, lanc i pik, na ścianach rzędy kusz bez cięciw. Arrasy ze scenami średniowiecznych polowań i bali. Szuflada, do której ojciec wrzucał na chybił trafił swoje odznaczenia wojskowe i medale, a także orderzy naszych przodków. Zabytki, które przywiózł z Afryki, Malakki i Chin. Buzujący ogień w wysokim na

dziesięć stóp kominku — kawał kłody w kształcie wieprzowego udźca, ale w szare i czarne pasy, z którego unoszą się długie, pomarańczowe płomienie — przed którym kładłem się w samotności na brzuchu i ćwiczyłem w pisaniu hieroglifów. W niektóre dni przez wychodzące na wschód okno głównego salonu widać było smugi deszczu, a w tym samym czasie przez okno wychodzące na zachód słońce przebijające się przez chmury, biegałem więc tam i z powrotem, od okna do okna, wyobrażając sobie, że jestem u boku ojca w różnych krajach i walczę z bandytami, podczas gdy on wydobywa z ziemi zapierające dech w piersiach przedmioty. Wyglądałem przez okno (zalane deszczem albo iskrzące się w promieniach słońca) i przypatrywałem się ptakom na szmaragdowej ziemi — wszechobecne bażanty i nie skarżące się kuropatwy bardziej roiły się i naprzykrzały podczas nieobecności ojca, ponieważ nikt na nie nie polował. I nie mogłem się doczekać turkotu kół na podjeździe — czy dzień dzisiejszy będzie dniem jego powrotu? We wspaniałej sali robiło się coraz ciemniej, aż w końcu tylko pomarańczowe węgle oświetlały moją twarz i ciemną drewnianą boazerię z wyrzeźbionymi w niej scenami zwycięstw Trilipushów, datującymi się od czasów podboju Anglii przez Normanów, i zasypiałem tam, przykryty dywanikami, ignorując głosy służących chodzących od pokoju do pokoju, w górę i w dół po dębowych schodach.

A kiedy n a d c h o d z i ł ten dzień! Jak pędziłem do wielkich drzwi frontowych i na zwirowy podjazd, jak wskakiwałem na stopień powozu, kiedy jeszcze się poruszał, jak otwierały się szeroko jego drzwi, a ojciec wciągał mnie do środka, na kolana, i jego łaskoczące wąsy pachniały tytoniem i odległymi krajami, i jak cieszyłem się na widok radosnego zdumienia w jego oczach, kiedy wykrzykiwał:

- Zaraz, zaraz! Co to jest? Kim jesteś, młodzieńcze? Zostawiłem tu małego chłopca! Gdzie jest mój syn? Co zrobiłeś z Ralphem, łotrze?
- To ja, tato, to ja!
- Co? Ralph? To naprawdę ty? Wziąłem cię za jednego z parobków!
- To ja, tato, to ja!

*Poniedziałek, 16 października 1922r.*

Dziennik: Poczta. Obiad w mieście. Poczta. Urząd Zabytków, by sprawdzić, czy szybko załatwiono moje podanie. Poczta. Wizyta u fotografa portrecisty, by przesłać narzeczonej właściwą pamiątkę. Dobrze spędziłem dzisiejsze popołudnie — mam dla niej z tuzin ładnych możliwości.

Wieczorem powrót do hotelu, by kontynuować nakreślanie tła historycznego, ściśle przylegające opakowanie tego dzieła, w którym zostaną wyniesione z grobowca i przedstawione światu drogocenne skarby.

O nieśmiertelności i „paradoksie grobowca”: Atum-hadu panował w  
*Wtorek, 17 października 1922r.*

Dziennik: Wczorajszą pracę przedwcześnie zakończył kipiący, mściwy atak „żołądka badacza”, straszne, kwasowe pozostałości po dyzenterii. Straciłem pół dnia na leczenie, na przespanie tego, na wypalenie za pomocą dziesiątków igieł na gramofonie walizkowym HMV, który umieściłem w klozecie, bym mógł jakoś znieść takie właśnie popołudnia. Zanim wezmę się ponownie do przerwanej wczoraj pracy, wybiorę się do miasta, żeby zjeść śniadanie, a także wpaść do Urzędu Zabytków i na

pocztę.

22 września

*Witaj, kochanie!*

*Kto jest twoją dobrą dziewczynką? Ja, mój książę. Postawiłam sobie za cel pisać do ciebie codziennie, kiedy będziesz „w terenie”, i dotrzymuję mojego solennego przyrzeczenia. Dzisiaj rano wysłałam do ciebie list, który napisałam i zakleiłam wczoraj wieczorem, chociaż - przysięgam na moje życie - nie pamiętam, że go pisałam, ponieważ Inge dała mi jakieś bardzo silne prochy, które miały pomóc mi zasnąć, bo po twoim wyjeździe byłam bardzo przygnębiona, choć wiem, że powiesz, iż było to „po prostu idiotyczne”, ale jesteś absolutnie moim Bohaterem, a kiedy Bohater dziewczyny wyjeżdża z miasta, wszystko wydaje się trochę szare, prawda? I oto znówu piszę do ciebie, bo chciałam rano coś jeszcze dodać, ale wczorajszy list był już zaklejony i gotowy do wysłania, więc właśnie dałam go Inge, żeby pobiegła z nim na Arlington Street, podczas gdy ja piszę do ciebie drugi, a palem dam go jej, jak tylko wróci, żeby znówu pobiegła na Arlington Street, bo jest gruba i potrzebuje ruchu na świeżym powietrzu.*

*Dzisiejszej nocy miałam straszny sen. Prawda jest taka, że wczoraj wieczorem Inge dała mi środki przeciwbólowe i nasenne, a ja zapomniałam jej powiedzieć, że wypilałam wcześniej parę drinków. Widzisz, wczoraj wieczorem, prawdę mówiąc, prysnęłam Inge, zupełnie wyprowadziłam ją w pole. Tak mnie pilnowała przez tyle dni, że trudno mi było wymknąć się z domu i czułam się strasznie znudzona, a nie ma niczego gorszego. Więc wczoraj*

wieczorem wykradłam się i pojechałam do lokalu J.P. O'Toole'a. Kiedy wróciłam, czekała na mnie, zła jak diabli, jak zawsze, kiedy jej pokażę, że jestem od niej dużo sprytniejsza, więc dostałam od niej te proszki przeciwbólowe i nasenne (po paru drinkach), a kiedy się to tak pomiesza, człowiek może długo spać głębokim snem. Kiedy będziemy już tylko we dwoje, tylko my, „mąż i żona”, to z radością zobaczę, jak Inge dostaje odchodne. Wiesz, że miała czelność powiedzieć mi któregoś dnia, że zakochałeś się we mnie dla pieniędzy taty? O mało jej nie spoliczkowałam, tej szwedzkiej latawicy, ale miała nade mną przewagę.

Oczywiście, nawet kiedy z nią skończę, nie bądź zaskoczony, jeśli zostanie, żeby „pracować” u taty. Wiem, gdzie idzie, kiedy zasypiam. Nie jestem w końcu kompletną idiotką. Nie chciałbyś miecza żonę k o m p l e t n e j idiotki, prawda, mój Angolu?

Jesteś zadowolony ze swojej ekspedycji? Zastanawiam się, gdzie teraz jesteś. Pewnie nadal na morzu, gdzie konsultujesz się z kapitanem statku, pokazując mu swoje mapy i wiersze swojego niegodziwego faraona. Pewnie znowu jesteś otoczony pięknymi dziewczynami, jak wtedy, kiedy cię poznałam. Ale wiesz, Ralphie, że one nie są dla ciebie. Dla ciebie jest tylko twoja oddana królowa, a ty jesteś dla niej.

Tata pytał mnie, co myślimy o naszych rezydencjach po tej ekspedycji i po ślubie, czy będziemy mieszkać tylko w Bostonie, czy też przeniesiemy się do Trilipush Hall. Patrzył na mnie tak sentymentalnie, jak mu się to często zdarza, i powiedział, że zawsze chciał mnie widzieć w dużym angielskim dworze. Co o tym myślisz? Rozważyłbyś powrót do Anglii czy nadal byłoby to dla ciebie zbyt bolesne? Czy będzie dosyć pieniędzy, by znowu otworzyć dwór? Tata jest często idiotą, ale myślę, że w



*tym względzie ma zupełną rację - myślę, że byłabym bardzo szczęśliwa jako angielska dama.*

*To mi coś przypomina - ten sen minionej nocy, w mgle po zażyciu leku. Było to w niedalekiej przyszłości. Byliśmy małżeństwem. Czulałam się taka silna i zdrowa. Byliśmy tacy szczęśliwi i nigdy nie sprawiłam ci żadnego kłopotu swoimi humorami czy czymkolwiek. Dzięki twoim wykopaliskom byliśmy cudownie bogaci, a ty byłeś sławny i wszędzie wszyscy miło nas przyjmowali, a ty zabrałaś mnie do Anglii, żebym poznała parę królewską. A potem wróciliśmy do domu i urodziłam nasze pierwsze dziecko. Ralph Chester Crawford Trilipush był kochanym maleństwem i zaczął mówić zaraz po urodzeniu! Najpierw wszyscy byliśmy bardzo dumni, ale potem posłuchaliśmy, co mówi, i były to same najstraszniejsze przekleństwa, po prostu nie chciał przestać - najbardziej plugawy język, jaki możesz sobie wyobrazić, i doktorzy trzęśli głowami, a pielęgniarki płakały, i nie wiedziałam, co myśleć, bo dawali mi coraz silniejsze środki i zapadałam z powrotem w ten szczególny sen, ale zanim zdołałam się w nim odprężyć, podniosłam głowę i ty, Ralph, stałaś lam, śmiejąc się i mówiąc: „O tak, to mój chłopak, to mój syn”.*

*Muszę ci szczerze powiedzieć, że to pisanie listów jest absolutnie wyczerpujące. Jest tu nadal niemiłosiernie gorąco i zawsze jestem senna. Wkrótce wróci Inge, i dobrze, bo chcę ci to wysłać, ale potrzebuję też czegoś na ból, który jest dzisiaj okropny. Nie możesz sobie tego wyobrazić. Jest jak swędzenie, ale takie silne, że rozszarpałbyś sobie głowę, żeby poczuć, że się dobrze podrapałaś. To, co mi daje Inge, drapie mnie przez chwilę, a kiedy śpię, nie swędzi już tak bardzo. Gdyby tylko przestało tak swędzieć i gdybym nie czuła się tak potwornie zmęczona (przepraszam, że mówię to wprost), to bawiłabym się na mieście z przyjaciółkami albo z facetami. O tak, Ralpie,*

*lepiej wróć wkrótce do domu z wieńcami wawrzynu, bo znajdę kogoś innego,  
żeby mnie stąd zabrał!*

*Nie myśl, że tego nie zrobię, Angliku. Dobry Amerykanin, dzielny i silny,  
mógłby mieć mnie w sekundę.*

*Ale jestem taka zmęczona.*

*Całuję cię, tak samo Antoniusz i Kleopatra. Przesyłają ci liźnięcia.  
Nie machają już tak bardzo ogonami, odkąd wyjechałeś. Naprawdę.  
Myślę, że brakuje im ciebie tak samo jak mnie.*

*Twoja Margaret*

*{Wtorek, 17 października 1922 r., ciąg dalszy}*

Do Margaret: Moja droga. Twój drugi list przyszedł dzisiaj, depcząc po piętach pierwszemu, i moje serce przepelnia wdzięczność. Twój czarujący sen w stylu Atum-hadu był rozkoszny i przypomniiał mi nasze pierwsze spotkanie. Nigdy nie powiedziałem ci, co myślałem tego kwietniowego dnia, ale w moim odosobnieniu tutaj z rozkoszą go wspominam.

Mój udział w serii wykładów oświatowych, organizowanych przez Bostońskie Towarzystwo Historyczne, zapowiadano jako omówienie kultury starożytnego Egiptu, ale chociaż obiecałem organizatorom, że tego nie zrobię, od początku zamierzałem przeczytać parę fragmentów *Pożądania i podstępu*. Osoba występująca przed publicznością musi uświadomić sobie (akty: tłum na widowni nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do głównej atrakcji tego wieczoru, wymienionej na afiszach reklamowych. Chociaż kocham moją pracę, nie byłem na tyle głupi, by wierzyć, że setki bostońskich dam zebrały się po to, by posłuchać ogólnego omówienia Egiptu. Skoro prelegentem będzie ni mniej, ni więcej

tylko śmiały i dosyć znany tłumacz tego skandalizującego króla, to byłoby nie w porządku wobec naszych adoratorów odmówić im zacytowania jakiejś zwrotki

to tu, to tam i uchylić się od pytań, które musiały w naturalny sposób pojawić się podczas omawiania postaci naszego króla. Czy wiesz, moja królowo, jak szybko cię zauważyłem tego wieczoru? Wyjaśniałem chroniczną skłonność starożytnych Egipcjan do niezdrowej nostalgii, cechę, która paradoksalnie pojawiła się już we wczesnym okresie rozwoju tego państwa, chorobę przejawiającą się w uporczywym, powtarzającym się stulecie po stuleciu naprawianiu „zdegenerowanych” praktyk religijnych, w idiotycznym trwaniu w pamięci ludu wspomnień o utraconym Zachodzie, który był niegdyś zielonym pastwiskiem, pełnym potężnych byków, i w powracającym wrażeniu Egipcjanina, że żyje w zepsutej epoce schyłkowej. Było to zazwyczaj wrażenie absurdalne — nostalgia za czymś, co nigdy nie istniało, przywrócenie czegoś, co już było w doskonałym stanie, paranoiczne przekonanie, że koniec jest bliski albo że nastąpił niebezpieczny upadek wszelkich zasad. Jednak w pewnych dramatycznych, przejściowych momentach, takich jak schyłek panowania Atum-hadu, obawy te stawały się nagle uzasadnione. — Pod koniec życia Atum-hadu zapewne wierzył, że sam Egipt ma niebawem zniknąć na zawsze — mówiłem, kiedy dostrzegłem cię w pierwszym rządzie: przysypiałaś, moja śliczna, a to się nigdy nie mogło zdarzyć na moim wykładzie czy odczycie, zapamiętałem więc miejsce, gdzie siedziałaś, i parę minut później spojrzałem ci manifestacyjnie w oczy, kiedy recytowałem jego kwartynę 35 (znajdującą się tylko we fragmencie C):

*Bedziedz do mnie należała, do mnie należała. Bedziedz do mnie*

*należała, do mnie należała. I twoja matka, i twoich dziewięć diódr, i kóz trzoda cala. Bedziedz moja, dopóki mi dię nie znudzisz, mała.*

Był to zawsze rozkoszny moment w moich wykładach i zwykle wybierałem sobie na chybił trafił jakąś młodą kobietę, by poczuć tę dziką namiętność, która targła Atum-hadu. Jednak w tym przypadku, najmilsza, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co wyzwoliłem.

Rozpoznałem cię później, kiedy byłaś jedną z wielu osób, przepychających się do podnóża podium, by zadać pytanie, które wstydziły się zadać przed całą publicznością, albo po prostu uścisnąć dłoń angielskiego badacza. Odpowiadałem na te pytania i podpisywałem egzemplarze *Pożądania i podstępu*, nie poświęciłem ci więc uwagi, ale ty nie odeszłaś od podium, prawda? Kiedy ponownie spojrzałem w twoją stronę, nadal tam stałaś. Widziałem już tę twarz, pomyślałem, to kobieta, która usłyszała pieśń starożytnego króla.

- Profesor Trilipush? — szepnął cichy, lecz dźwięczny głos. — Profesorze Trilipush, bardzo zainteresowała mnie pana pogadanka.
- Ściśle rzecz biorąc — powiedziałem, schodząc z podium — nie jestem jeszcze pełnym profesorem. Różnice techniczne w Harvardzie, jak w każdej prymitywnej społeczności, są sprawami najwyższej wagi.
- No cóż — odparłaś ze zmrużonymi oczami i zwróconymi w górę ustami. — Nie mogę twierdzić, że byłam -w pełni zainteresowana pańskim wykładem. Niektóre bardziej techniczne aspekty trochę rozproszyły moją uwagę.
- Ależ panienko — zachnęła się nordycka piękność u twojego boku, składająca się z samych krągłości.

- Opanuj się, Inge — powiedziała moja przyszła ukochana. — Może byś poszła do sauny albo gdzieś indziej?

Śmiało mi się przedstawiłaś i nie mogłem się oprzeć chęci zacytowania reklam, które widać było w całym Bostonie: „Zycie jest miłsze, kiedy masz modne i finezyjne produkty Finnerana”. Ale muszę ci przypomnieć — żebyś nie dała kiedyś wiary norweskim złośliwościom Inge — że nie wiedziałem, iż sklep należy do twojej rodziny. I pamiętasz: roześmiałaś się, ale nie przyznałaś się do związku z właścicielem firmy, uznałem więc, że jest to przypadkowa zbieżność nazwisk. Atum-hadu pociągał już za sznurki, moja najdroższa, a nigdy nie zależało mu najbardziej na mamonie.

Kiedy tłum wylał się w końcu z sali, ty i ja usiedliśmy u podnóża podium i rozmawialiśmy, i postanowiłem zaufać ci, sprawdzić cię, i zademonstrowałem, jak pisze się imię Atum--hadu hieroglifami. Przez cały ten czas twoja lodowata duenna rozmawiała z pracownikami Towarzystwa Historycznego (zachwyconymi tłumem, który przyciągnęli, i oddychającymi z ulgą, że policja nie przerwała wykładu pod zarzutem obrazy moralności). Jakie zrobiłaś na mnie wtedy wrażenie? Hmm, moja panna Finneran była pełną życia młodą kobietą, lekko, ale nie nieodwołalnie zepsutą i wyraźnie nieco odurzoną pierwszym zetknięciem się z Atum-hadu. Nie byłem strasznie zaskoczony, kiedy powiedziała, że byłaby zaszczycona, gdybym w jakimś późniejszym terminie towarzyszył jej podczas zwiedzania Muzeum Sztuk Pięknych, gdzie miałyby przyjemność wysłuchać moich opinii o jakichś wystawionych tam zabytkach egipskich. O tak, ukochana, nie pozwól podejrzliwej Inge pisać na nowo historii. To ty zaproponowałaś ponowne spotkanie, moja

bezczelna flirciario. Od tamtej pory jestem marionetką w twoich rękach.

Oczywiście nie łudziłem się, że to ja cię tak ująłem. Przeciwnie, widziałem, że jeszcze jedna dwudziestowieczna kobieta nie może się oprzeć oddziałującym na nią niczym zmysłowo pachnąca woda kolońska słowom króla z XIII dynastii.

Najdroższa, utknąłem w Kairze, czekając na pozwolenie z Urzędu Zabytków, i ciekaw jestem, co robisz w tej chwili. Mamy tutaj godzinę 11.36, 17 października. Jakże żałuję, że nie mam jakiegoś urządzenia, które pozwoliłoby mi teraz popatrzeć na ciebie, teleskopu o największej mocy. Przyglądałbym ci się bez przerwy, moja ukochana.

*Środa, 18 października 1922 r.*

Dziennik: Żadnych wiadomości na poczcie. Na cztery dni przed ponownym telegraficznym napełnieniem moich kufrów przez Pana Szczodrości i mecenasów wybrałem się na rynek i do sklepów dla ludzi o mojej pozycji, żeby uzupełnić zaopatrzenie. Zajęło mi to cały dzień i trochę zmniejszyło znużenie, które czułem z powodu przymusowej zwłoki. Farby, pędzle, ołówki, dłuta, noże, latarka elektryczna, łóżko polowe — powoli wypełnia się lista zakupów, kiedy w bocznej, cichej uliczce dostrzegam okno wystawowe krawca. Będę potrzebował jeszcze kilku ubrań, do pracy i na spotkania towarzyskie, a także jakiegoś stroju galowego na oficjalne otwarcie grobowca (wydarzenie, w którym biorą zazwyczaj udział wysocy urzędnicy francuscy, angielscy i egipscy, może generał Allenby, i tak dalej).

Przeszedłem przez zasłonę ze zwisających sznurów paciorków i znalazłem się w małym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu, gdzie

siedział wysoki Egipcjanin, przedwcześnie zgarbiony od przebywania latami pod tym niskim sufitem. Zostałem zaraz posadzony na wyłożonym poduszkami wiklinowym fotelu i popijałem z właścicielem kawę kardamonową, a dwaj młodzi chłopcy wwozili wózek za wózkiem tkanin. Dotykałem z krawcem to tę, to tamtą, omawiając zalety pewnych z nich, odporność na upał przy jednoczesnym przyciąganiu wzroku. Dziesięć próbek spodobało mi się na tyle, że zamówiłem uszycie z nich garniturów (CCF zapłaciłby w Bostonie dziesięć razy więcej), i wstałem, żeby krawiec wziął ze mnie miarę. Trzydziestocentymetrowe lustro ukazywało mi dla zabawy mój widok z prawej i z lewej strony, profile mojego ciała odzianego tylko w kalesonki z bosymi stopami ustawionymi równo, pięta w pięcie, podczas gdy służący mierzył moje nogi i podawał liczby pisarzowi, siedzącemu po turecku na poduszce, z podwiniętymi rękawami, ukazującymi bezwłose ręce z nabrzmiałymi żyłami niczym mapy plastyczne delt rzek, a za jakąś niewidoczną kotarą słyszałem kobiece szepty i chichoty.

Mały zadatek i garnitury będą gotowe za tydzień, dwudziestego piątego. Poszedłem do agencji turystycznej, żeby przełożyć wyjazd na późniejszy termin, i zarezerwowałem kabinę na *Cheopdic*.

A potem, kiedy szedłem spacerowym krokiem, zadowolony z zakupów, myśląc o mojej narzeczonej, natknąłem się na rogu ulicy na inspirujący widok: drewniane sztalugi i dwa składane krzeselka, gdzie turyści mogli zamówić za drobną zapłatą swoją podobiznę w stroju faraona na przekonująco odłupanym kawałku glinianego dzbana, otoczoną bezładną składanką hieroglifów. Gruby Egipcjanin malował profil amerykańskiego chłopca, a jego rodzice przyglądali się, śmiali i wymieniali głośne uwagi

pod adresem artysty.

Z pewnością nie będę pozował do turystycznego bibelotu, ale oficjalny portret, zaczęty przed otwarciem grobowca Atum-hadu i ukończony po tym wydarzeniu, podziwiany na ścianie w Bostonie, Londynie czy Kairze, doskonale upamiętniłby ten przełomowy moment w mojej karierze. Skoro muszę czekać jeszcze tydzień, mam czas. Po powrocie do hotelu poproszę portiera, by skierował do mnie najlepszego portrecistę, jakiego uda mu się znaleźć. Jutro zacznę pozować.

Wieczór w kinie. W zaciemnionej sali, żując daktyle i figi, oglądałem z równym osłupieniem jak krajowcy poruszający film: pewien Anglik walczy z lwem, a potem wchodzi do namiotu, gdzie czeka na niego piękna kobieta o migdałowych oczach. Później pokonuje bandytów i wkracza do grobowca faraona, gdzie zanurza ręce w górach złota i klejnotów. Z sarkofagu powstaje mumia jak żywa i atakuje Anglika, ale on pozbywa się upiora strzałem z pistoletu.

*Czwartek, 19 października 1922r.*

Dziennik: Dzisiejsze zajęcia obejmowały dwie godziny medytacji, gdy artysta robił na płótnie szkic mojego portretu. Znalazłem też świetnego rzemieślnika wykonującego walizy — czysta rozkosz, którą, wiem o tym, delectowałby się też mój brat Atum-hadu, przygotowując się do podróży — miękka skóra krokodyla, lśniący mosiądz zamków, matowa czerń monogramu („A” kosztuje oczywiście tylko 1/3 tego co „RMT”, ale to jedna z dodatkowych zalet bycia królem). Żadnej wiadomości w banku, chociaż oczywiście przekaz ma, zgodnie z harmonogramem, nadejść dopiero za trzy dni.



Dzisiaj wieczorem trudzę się w zgiełku małego kabaretu, gdzie dym z chichy przybiera kształty dżinów, obejmujących pucołowatych panów masującymi palcami. Przyglądam się palaczowi obok drzwi: wokół jego głowy z wolna wije się gniazdo, odległe echo zwojów mumii przodka, ale za każdym razem gdy otwierają się drzwi po jego prawej stronie, dym nagle się rozwiewa i ulatuje w usiane gwiazdami niebo koloru śliwki. Drzwi się zamykają i palacz zaczyna od nowa, spowijając się od stóp do głowy całunem dymu; drzwi się otwierają i niewidzialni rabusie znowu niszczą jego dzieło.

O nieśmiertelności i „paradoksie grobowca”: Główną kwestią pod piaskami przykrywającymi grobowce jest oczywiście nieśmiertelność. Starożytni królowie, przypominam tym z moich czytelników, którzy są laikami w tych sprawach, żywili zdrowe pragnienie wiecznego życia w odpowiednich dla swojej pozycji warunkach. Dla osiągnięcia tego wiecznego trwania niezbędne były dwa elementy:

- Zachowanie ich zabezpieczonych na wieczność fizycznych szczątków.
- Zachowanie ich imion, które zawsze powinny być na ustach żyjących.

Margaret: M., wspomnienie ogarnia mnie jak dym zbierający się wokół mojej głowy: ten wiejski pastor, który pojawiał się, kiedy oddaliłem się od ojca i od dworu.

— Powiedz mi, dziecko, wierzysz w nieśmiertelność duszy?

Nie pamiętam, żebym w dzieciństwie bał się czegokolwiek lub kogokolwiek oprócz niego, ale w przypadku tego pastora mogę jeszcze dzisiaj odtworzyć różne odmiany i intensywność przerażenia, które

ogarniało mnie na sam dźwięk jego nazwiska, na widok jego twarzy po drugiej stronie ulicy (skalibrowanej przed i po ujrzeniu mnie), na dźwięk jego głosu, na dotyk ciężkiej, pokrytej plamkami ręki na moim ramieniu, na zmienną pogodę jego nastrojów, i ten paraliżujący strach, najsilniejszy wtedy, kiedy dawał mi jakiś prezent.

- Tak — wymamrotałem, omal nie zadławiwszy się podarowanym mi cukierkiem.
- A jakie trzeba spełnić wymogi, by dusza cieszyła się nieśmiertelnością w wiecznym raju? — Nachylił się blisko, przysuwając ucho do moich ust, gdzie musiał słyszeć, jak chrupię

i ssę cukierka, i zajrzałem w głąb tej najeżonej szczeciną konchy, czerwonej i złuszczonej się pod wpływem zimowego chłodu.

N i e próbowałem kpić z niego, Margaret, nie w tym wieku. Przeciwnie, odczułem ulgę, bo znałem odpowiedź na to pytanie! Tak się złożyło, że przeczytałem ją tego właśnie dnia, pochłonięty aż do zupełnego zmroku lekturą *Królowi Nilu* Bendiksa (dzieła, którego nie mogę już polecać uczonym). Poczułem ulgę, prawdziwą ulgę, i zacząłem mówić, zanim usłyszałem w mózgu słaby, jękający się głos, który radził mi, bym przestał:

— Te wymogi to przetrwanie twoich szczątków i twojego imienia.

Imienia w kronikach, ciała w postaci okręconej zwojami mumii, a serca, płuc, jelit i wątroby w kanopach. Figurki służebnic, które pobudzą cię do aktu odtworzenia... — Mój głos cichł z tą samą szybkością, z którą cofnęło się jego upiorne ucho i zastąpiła je jego gładko wygolona twarz (z czerwono-brązową plamką zaschniętej krwi), niebieskie oczy i nastroszone brwi.

A mimo to dzisiaj wydaje mi się, że lanie, które potem nastąpiło, nie mnie spuszczone; widzę natomiast (w tej orientalnej muzyce rozbrzmiewającej tutaj, która być może prawie się nie różni od tej sprzed trzech i pół tysiąca lat), że lanie to spuszczone chłopcu imieniem Atumhadu, plebejuszowi w narastającym zamęcie jego czasów, który uświadamiał sobie powoli, ale z zadowoleniem, że obdarzony jest talentami, jakich nie posiada nikt spośród tych, co go otaczają, że jego wspinaczka na sam szczyt jego świata (choć świat ten rozpadał się podczas marszu w górę) wydaje się nieunikniona. Jeśli podczas tej wspinaczki uraził albo był zmuszony porzucić tych, co go otaczali, okrutnych pastorów swojego świata, to należało się tego spodziewać, a nawet radować się tym, radować się samym otrzymywanym biciem (przypominam sobie, jak ów pastor, ów były bokser przemieniony w duchownego, zapytał, zadając jeszcze cięższe razy małemu chłopcu, już w jakiś sposób silniejszemu z nich dwóch: „Z czego się śmiejesz, łobuzie?”).

Ale nieśmiertelność to sprawa zasadnicza, sedno tak zwanego „paradoksu grobowca”, co, jak teraz zauważyłem, jest równie dobrym tytułem dla tej książki jak jakikolwiek inny. *Paradoks grobowca. Atumhadu, Ralph Trilipudh i rozwiązanie zagadki liczącej trzy tysiące lat.*

O nieśmiertelności i paradoksie grobowca: Starożytni królowie potrzebowali sporo bagażu, by odbyć udaną podróż w zaświaty, a ponieważ w mniemaniu przeciętnego mieszkańca krainy nad Nilem znaczna część tego bagażu składała się ze złota, klejnotów i luksusowych sprzętów, było pewne, że chwilowo nieżywy król przyciągnie do swojego prywatnego grobu nieproszonych gości, kiedy będzie w niewygodnym,

pośrednim stanie między śmiercią i powtórными narodzinami. Miód jego wyposażenia przyciągnąłby dosyć mrówek, żeby zniszczyły jego wieczny piknik, a być może również zwłoki. (A potencjalni rabusie grobów znacznie przewyższali liczebnie potencjalnych rezydentów grobowców, gdyż nawet starożytny Egipt nie obiecywał nieśmiertelności każdemu rolnikowi czy pomy waczce.) Tak więc królowie byli rozdarci między chęcią budowania, z jednej strony, imponujących, ale niemożliwych do splądrowania grobowców, a z drugiej, całkowicie ukryt<sup>ych</sup> miejsc pochówku.

Problem z pierwszym rozwiązaniem: niedostępność przez wieczność jest niemożliwa. Nawet gdyby architekci królewskich grobowców przechytrzyli najsprytniejszych rabusiów na pięćset lat... to jest to tylko pięćset lat, kropla w morzu. Problem z drugim rozwiązaniem: nawet jeśli król to przełknie i zgodzi się na poniżenie, jakim jest pogrzebanie w nieoznaczonym grobie, z dala od świątyń wzniesionych dla odprawiania rytuałów, które mają przyspieszyć jego podróż w zaświaty, nawet jeśli zrezygnuje z tego, by postrzegano go jako króla, który wie, jak zorganizować wystawny pogrzeb i wyposażyć ładny grobowiec, a wszystko po to, by utrzymać miejsce swojego pochówku w tajemnicy (i zrezygnować z nieśmiertelności jednego rodzaju na rzecz nieśmiertelności innego rodzaju), to staje wobec nienawistnego pytania: jaka tajemnica jest tajemnicą wystarczającą?

Bo zauważ: architekt twojego grobowca na pewno wie, gdzie znajduje się twoje bogato urządzone miejsce tymczasowego spoczynku i jak można tam wejść. On z kolei musi zatrudnić przy budowie, ozdabianiu i wyposażaniu grobowca co najmniej kilkuset robotników i niewolników.

Ten problem możemy rozwiązać — wykorzystać jeńców wojennych, a potem, kiedy grobowiec będzie gotowy do „zamieszkania”, po prostu ich wyrznąć. Oczywiście teraz musiałby pogrzebać ich gdzieś z dala od niego — jak ich tam przetransportować, żywych lub umarłych? A teraz — kto jeszcze o tym wie, kto powiedział swoim kuzynom, że dziś wieczorem wróci późno z pracy, z pracy w Deir el-Bahari? A ci ludzie, którzy na twój rozkaz zabili jeńców -wojennych — czy podejrzewają, dlaczego kazałeś im to zrobić? Czy któryś z nich nie szepnął o tym szwagrowi, który potrzebuje pieniędzy? Zagrożenia się mnożą. Jeśli chodzi o architekta, człowieka, który zna wszystkie twoje sekrety — wynagrodź go! Zamknij mu usta bogactwami, przyjemnościami i zapewnieniem nieśmiertelności! Ofiaruj mu pałace, złoto i okazały grobowiec, by zniechęcić go do ogłoszenia twojego w dniu, w którym tam spocznie. Przez chwilę oddychasz z ulgą, a później przypominasz sobie splądrowane grobowce swoich przodków, z których każdy myślał, że zamydlił oczy wieczności. Ich opróżnione ze wszystkiego cmentarne budowle wznoszą się przed tobą i dają ci do myślenia, kiedy masz ochotę wyjść ze swojej stolicy w Tebach na przechadzkę po skąpanych w świetle księżyca wzgórzach i dolinach, bo wiesz, że zostały złupione i ogarnięte paniką władze umieściły szczątki ciał i resztki bogactw w pośpiesznie zbudowanych składach, miejscach zbiorowego pochówku, gdzie potężni ongiś mężczyźni i kobiety leżą teraz jeden na drugim w stłoczonych, bezładnych stosach, mając nadzieję, że gdy nadejdzie właściwy dzień, Ozyrys zorientuje się, które wnętrzości należą do kogo.

A zatem obnoszenie się ze swoją świetnością i bogactwem zawodzi. Praca w tajemnicy zawodzi. Pomysłem, który w takiej sytuacji przychodzi

naturalnie do głowy, jest ufundowanie prowadzonej przez państwo i strzeżonej nekropolii, Doliny Królów, w której nikt nie próbuje niczego ukrywać, a mumie polegają na dobrze opłacanych żyjących, mających strzec zatłoczonego, zamkniętego miasta umarłych. „Będziemy razem — powiadają królowie w optymistycznym okresie. — Będziemy budować otwarcie, pysznić się naszym bogactwem i potęgą i leżeć zmumifikowani głowa przy głowie, bo utworzymy instytucję, ministerstwo opieki nad grobowcami i ich ochrony. Królowie, którzy przyjdą po nas, przekonają się, że utrzymywanie bezpiecznej nekropolii leży w ich własnym interesie; każdy z nich będzie ufał swojemu następcy, bo każdy będzie wiedział, że jego z kolei następcą będzie wierzył, że jego następcą wyrządzi mu taką przysługę”. Złota reguła dla ochrony całego tego zgromadzonego pod ziemią złota. „Ty też pewnego dnia będziesz potrzebował zawodnych żyjących, o tak, będziesz ich potrzebował, zrób więc to dzisiaj dla mnie, a przyszłość ochroni nas obu”. Tyle że... Tyle że nie trzeba dużo czasu, by terażniejszość uznała pobożne życzenia przeszłości i hipotetyczne wymogi przyszłości za mało ważne w obliczu pilnych obecnych potrzeb. Zauważ: dla władz potrzebujących pieniędzy na wojnę lub pomniki lśniące pod piaskami polisa nieśmiertelności zaczyna wyglądać jak dobrze ulokowany skarb, a przeszłość wydaje się proponować sfinansowanie terażniejszości, natomiast problemy z przyszłą nieśmiertelnością wydają się obecnie panującemu i rozrzutnemu królowi dogodnie odległe.

I nagle, kiedy z każdym dniem stajesz się coraz starszy i zbliżają się twoi wrogowie, twoja nieśmiertelność, która znaczy dla ciebie więcej niż cokolwiek innego w całym wszechświecie, wydaje się straszliwie

niepewna. Jak zgromadzić wszystko, co będzie ci potrzebne na niepewną przyszłość, bez utracenia czegokolwiek albo zwrócenia na siebie niepożądaney uwagi? Dylemat każdego podróżnika — mój, kiedy zmierzam na południe, króla, kiedy zmierza w zaświaty — co spakować?

Trzy dni do przekazu.

Tancerki na wąskiej scenie przywodzą na myśl wiersz Atum-hadu:

*Atum-hachi dwie siostry podziwia szczerze.*

*Do swoich komnat je bierze.*

*Zbyt późno zdają dobie sprawę,*

*Jaki ból sprawiają jego miłosne zabawy.*

(kwartyna 9, fragmenty A i C, za: Ralph M. Trilipush,  
*Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie*)

Te mozolne akrobacje, które wyczyniał biedny Harriman, by przyzwoicie oddać ten względnie łagodny ustęp! „Niefortunne zachowanie dwóch sióstr zwraca uwagę króla”, „komnata sprawiedliwości Atuum-Hadu”, „piekący gniew króla” i tak dalej, zraniony świętoszek szukający schronienia w jurysprudencji.

19 października

Kair, kabaret, późnym wieczorem

Moja najdroższa przyszła królowo,

Właśnie przeczytałem po raz kolejny twój list z 22 września, co wciąż robię od trzech dni, i wszędzie, gdzie spojrzę, widzę twoją twarz, nawet na tym orientalnym występie scenicznym. Kobiety na scenie zdejmują swoje

jedwabne woale przy dźwiękach tamburynów i zawodzących skrzypiec.

Woale opadają powoli jak perfumy. Kiedy wychodzą na scenę, wydają się praktycznie nagie, ale nawet po zdejmowaniu przez parę minut zasłony po zasłonie, które zaścielają stertami scenę i mój stolik, schodzą niewiele bardziej nagie niż na początku, chociaż jedwabne skóry, które zrzuciły, tworzą stos duży jak pustynny wzgórek skrywający królewski grobowiec.

W Kairze wciąż coś mi Ciebie przypomina. Palmy nocą przypominają dość dokładnie gigantyczny zmarniały bukiet, podobny do tego, który wręczyłem ci ostatniej wiosny, kiedy wysiadłaś z taksówki z nieobecny wzrokiem, zaledwie mnie rozpoznając, ponieważ stałem dwie godziny na deszczu, czekając na Ciebie. Wspominałem właśnie ten majowy wieczór, kiedy pływaliśmy rowerami wodnymi w Ogrodzie Publicznym, ja recytowałem ci wiersz Atum-hadu, a ty śmiałaś się z nas:

*Atum-hadu widzi po raz pierwszy swoją nową żonę.*

*Jego serce i ciało z dumy i pożądania płoną.*

*Oszaleje, robi coś strasznego,*

*Jeśli natychmiast nie przy prowadzą jej nagiej do niego.*

Uśmiechałaś się do mnie z takim spokojnym rozbawieniem. Widziałaś mnie, za tą szokującą poezją i żądzami tego króla widziałaś prawdziwego mnie, takiego, jakim jestem. Uświadomiłem sobie w tym momencie, jakiego nadzwyczajnego dokonałem znaleziska, czułem się, jakbym otworzył grobowiec pełen klejnotów i błyszczącego złota. Patrzyłaś na mnie i widziałaś, co jest we mnie cennego i wartego twojej miłości. Pod żadnymi piaskami na świecie nie pogrzebano niczego, co dorównywałoby ostatniej wiosnie, którą spędziłem z tobą, znalezieniu Ciebie, zakochaniu się w Tobie, zdobyciu Ciebie. Jesteś taką cudowną dziewczyną, Margaret.



Jesteś wszystkim, co pragnąłem widzieć w żonie.

Wkrótce nic nie będzie stało na przeszkodzie, byśmy mogli wziąć ślub. Proszę cię, byś czekała, była cierpliwa, silna i zdrowa, i czekała, czekała na mnie, czekała. Będę z powrotem w domu, zanim się spostrzeżesz — porwę cię, obsypię cię skarbami, dam ci dom, który przejdzie twoje najbardziej fantastyczne marzenia, wypełnię twoje dni rozrywkami i wypoczynkiem w takich proporcjach, jakich zapragniesz. Pytasz w swoim liście, gdzie będziemy mieszkali. No jakże, w pałacu, ty i ja będziemy mieszkali w pałacu, nad rzeką, pod palmami, i nie będzie nam niczego brakowało.

Twój król, RMT

P.S. Mam nadzieję, że właściwie odczytasz ten wyraz mojej troski: wydaje mi się, że twój ojciec za bardzo liczy na to, że Ingę cię wyleczy. Bez względu na diagnozę, twoje napady zmęczenia powinny być uleczalne, jeśli tylko zajmie się tym odpowiedni lekarz i przepisze ci lek, który doda ci energii, ale, sądząc po fragmencie listu, który wysłałaś do mnie w wywołanej przez leki malignie, wygląda na to, że Ingę podaje ci środki, które nasilają objawy choroby. Pozwól sobie powiedzieć, że nikt nie zna cię lepiej niż ja, zwłaszcza kiedy jesteś w pełni zdrowa i tryskasz energią, i kiedy zostaniesz moją żoną, nie będziemy szczydzili kosztów, by zbadali cię najlepsi specjaliści w tych sprawach. Daję się całą moją miłość. Jesteś moją królową.

Dom Opieki Zachód Słońca nad Zatoką Sydney,

Australia 24 grudnia 1954 r.

Jeszcze jestem tutaj, Macy, jeszcze jestem. Chociaż po moim ostatnim liście musiałeś się zastanawiać. Kolejny tydzień za mną. Przed nami Boże Narodzenie. Radosna pora, jak mi mówią.

Zastanawiam się, Macy, czy jesteś człowiekiem religijnym. Ja nie, w najmniejszym stopniu, bo to patentowana głupota. Ale jest tu pewna staruszka, zupełna sklerotyczka, jak większość z nich, nie odzywała się od wieków, tylko stale gapi się w telewizor, aż tu dzisiaj rano powiedziała mi - po raz pierwszy w ogóle do mnie przemówiła - że na tamtym świecie ludzi sądzą wszystkie zwierzęta, które widziały ich tutaj. Nie krowy, które zjadłeś, ani ryby, które złapałeś - ona nie jest „wegetarianką”, nie sądzę - tylko te miłe zwierzaki, które ci się przyglądają, kiedy zajmujesz się swoimi sprawami, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Koty, które cię obserwowały, kiedy byłeś sam. Psy leżące w upale po drugiej stronie ulicy. Ptaki za twoim oknem. Złote rybki w akwarium. One wszystkie donoszą o tym, co robiłeś, kiedy cię widziały, mówi ta staruszka, wszystkie się zbierają i decydują, czy się będziesz smażył czy nie. Co o tym myślisz? Ja myślę o tych wszystkich zwierzętach o smutnych oczach, z którymi byłem sam, sądzę, że drzemały, nic nie rozumiejąc, nawet kiedy nie spały. Bardzo dziwny pogląd, bardzo niepokojący. To nie może być prawda, ale słyszałeś kiedykolwiek przedtem, żeby ktoś mówił coś takiego?

Twoja ciotka Margaret miała wtedy, w dwudziestym drugim, małe pieski. Nie przypuszczam, żebyś o tym wiedział, chociaż może widziałeś zdjęcia. Tybetańskie spaniele, pamiętam, jak powiedziała mi to, kiedy 13 października 1922 r. stanąłem w drzwiach domu twojego ciotecznego dziadka. Drzwi otworzyła twoja ciotka, a te pieski ujadły na mnie, kiedy wszedłem. Pierwsze, co powiedziała, zanim zdążyłem otworzyć usta, to:

- To tybetańskie spaniele, niezwykle rzadkie, bardzo drogie. - Kiedy mówiła „drogie”, to jakby warczała i wykrzywiała na mnie usta. Oho, oto ktoś z krwi i kości, pomyślałem. Cudownie wyglądała, ta twoja ciotka, oczywiście elektryzująca, nowoczesna dziewczyna. Zastanawiam się, czy ci w ogóle o mnie wspomniała, czy o czymś mógłbyś mi powiedzieć, co nie znaczy, że miałyby o czym mówić. Nie łudzę się, że wywarłem na niej duże wrażenie i że nie zniżyłaby się do naciągnięcia prawdy tu i ówdzie, żeby opowieść dobrze brzmiała, jeśli w tych jej papierach jest coś, czemu trudno dać wiarę.

Twój cioteczny dziadek był rzeczowym człowiekiem, człowiekiem godnym podziwu. Twardy jak skała, potężny facet, z włosami gładko zaczesanymi do tyłu, poczęstował mnie świetnym cygarem. Siedział w swoim wspaniałym, wielkim gabinecie, za dużym, lśniącym biurkiem, i pokazał mi reklamę, którą oceniał.

- Na okres świąteczny - powiedział. - Staram się zdecydować, czy ją zaaprobować czy nie.

Rysunek kobiety podającej jakiegoś ogromnego pieczonego ptaka na wielkiej tacy i słowa: „Nie podawaj znakomitego ptaka na marnej zastawie! Zaufaj firmie Finneran's Finer Finery, która zaspokoi wszystkie twoje świąteczne potrzeby! (Nasze wyroby są wiecznie trwałe - gwarantujemy!)” Kobieta na rysunku była twoja ciotka, pozowała do niego, rozumiesz.

- To trwało tak długo. - Westchnęła. - Przynajmniej nie musiałam trzymać tego indyka, artysta dorysował go później. Moim zdaniem był trochę zniewieściały.
- Nie gadaj takich rzeczy - mruknął Finneran. - Mamy towarzystwo. Co możemy dla pana zrobić, panie Haroldzie Ferrell z Ogólnoświatowej

Agencji Śledczej Tailora, aż z Australii? - Przyglądał się mojej wizytówce i obracał w palcach w tę i z powrotem niezapalone cygaro. - Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał jakieś interesy w Australii.

Powiedziałem mu, że pracuję nad sprawą spadku dla pewnego Australijczyka i myślę, że jego wspólnik w interesach, profesor Trilipush, mógłby mi pomóc odnaleźć tego zaginionego spadkobiercę, ponieważ mogli się poznać na wojnie.

- Ralphie? - przerywa mi twoja ciotka. - On jest kimś więcej niż wspólnikiem w interesach, Harry!

Spodobało mi się, że nazwała mnie od razu Harrym i nigdy już nie odezwała się do mnie inaczej.

- Ten dżentelmen ma do mnie sprawę, Maggie, więc zmywaj się.

Uniosła brwi, sarkastycznie złożyła głęboki ukłon, zabrała swoje psy i wyszła, trzasnąwszy za sobą drzwiami. Pomyślałem, że dowiedziałem się już wszystkiego o twojej ciotce: jest rozpuszczona, czarująca, kiedy chce, nieco snobistyczna, ale młoda, i nie ma nikogo, kto by jej pokazał, jak powinna się zachowywać. Nie obraź się, Macy, ale pachniało tam nuworyszostwem. Drzwi nie otwierał lokaj, w domu nadal mieszkali prawdziwi ludzie. Zrozum - ja to wolę. Podobał mi się sposób, w jaki mówił Finneran, i od razu polubiłem jego dom. Był bogaty (myślałem), ale nadal rozumiał, co kieruje prawdziwymi ludźmi, rozumiał, że pieniądze to nie wszystko. Mam nadzieję, że ten opis pasuje również do ciebie w twojej nowojorskiej posiadłości, Macy.

- Narowista klacz - mówi ojciec, kiedy zamiera echo trzaśnięcia drzwiami. - Ale chciała przez to powiedzieć, że jest zaręczona z profesorem Trilipusem. - Była to dla mnie intrygująca wiadomość, Macy. - To

fajny facet - kontynuuje Finneran pewnym siebie tonem. - Zna go pan? Nie? Cholernie fajny facet. Ze starego angielskiego rodu, dzielny jak cholera żołnierz, ekspert w swojej dziedzinie. Nie byle kto. Nie widuje się wielu mężczyzn takich jak on, nawet w Anglii, jak myślę, a co dopiero złapać takiego faceta w Bostonie i zdobyć jego serce, jak się udało Margaret. Jesteśmy szczęśliwi, panie Ferrell.

Może nie przytaczam tych słów dokładnie, ale taki był ich sens. Jak przed chwilą starałem się wyjaśnić, pański cioteczny dziadek nie był cały pokryty gładkim lakierem jak Marlowebwie, ale, za przeproszeniem, wiedziałem, że właśnie dlatego jest taki dumny, że Trilipush zostanie jego zięciem. Bez wątpienia - dzięki temu ślubowi podskoczyłby o parę szczebli na bostońskiej drabinie towarzyskiej.

Zacząłem powoli, wyjaśniłem tylko sprawę spadku po Daviesie i zapytałem pana Finnerana, czy może mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć profesora Trilipusha.

- Oczywiście, oczywiście.

A kiedy wyjmuję z szuflady biurka notes z adresami, pytam:

- Tak z czystej ciekawości, jak doszło do tego, że poznał pan profesora Trilipusha tutaj, w Bostonie?

On wyjaśnia, że przedstawiła go Margaret, przywiozła go pewnego dnia do domu jak dziewczyna, która kupiła piękny naszyjnik. Zobaczyła go na publicznym wykładzie, porozmawiała z nim, zaprzyjaźniła się, a potem naprawdę „poczuła miętę do tego Angola”. Czy byli już zakochani, kiedy przedstawiła Trilipusha ojcu?

- Nie, nie - mówi Finneran - przyprowadziła go po to, żeby mnie zrobić przysługę. Żeby opisał ekspedycję, którą planował, ponieważ

wiedziała, że paru moich wspólników i ja zawsze szukamy możliwości inwestowania, a Margaret uważała, że projekt Ralpa zapowiada się obiecująco. Popisała się dziewczyna.

Nie ulegało wątpliwości, że „klub pieniężny” Finnerana zbadał tę sprawę i postanowił wesprzeć wyprawę do Egiptu. (Zauważ, Macy, że Finneran postawił swoje pieniądze, pieniądze swoich przyjaciół, serce córki i swoją pozycję towarzyską na Trilipusha.)

- Cały czas mówiłem Margaret: „To świetny facet i jeśli się nie mylę, patrzy na ciebie w znaczący sposób”. Nie wierzyła mi. W rzeczywistości, panie Ferrell, ona jest nieśmiała, aleja się znam na tych rzeczach. Nie długo po tym, jak powiedzieliśmy Trilipushowi, że chcemy wejść w jego wyprawę, poprosił mnie o rękę Margaret, bardzo po dżentelmeńsku, w starym angielskim stylu.

Ucieszyłem się z tej szansy pod względem finansowym. Akurat coś takiego, co lubi mój klub, świetna okazja, nie bez ryzyka, ale jesteśmy zabezpieczeni, zabezpieczenia stanowią integralną część przedsięwzięcia. Dzięki mojej małej dostaliśmy szansę zainwestowania przed muzeami, bankami i innymi takimi. Każda z tych instytucji rzuciłaby się na taką szansę, to pewne, ale my pierwsi dostaliśmy cynk. No i oczywiście widziałem, że Maggie się w nim zakochuje, chociaż może sama jeszcze o tym nie wiedziała, a kim ja jestem, żebym miał się spierać z miłością? Kiedy będzie pan miał córkę, panie Ferrell, i pojawi się taki facet, to pan to zrozumie.

Ślub miał się odbyć jak najwcześniej po powrocie Trilipusha z wykopalisk.

Czy Finneran uważał, że inwestycja w wykopaliska w Egipcie jest

bezpieczna? Nie, cha, cha, oczywiście, że nie, normalnie tak nie uważał, ale w tym przypadku były pewne wyjątkowe okoliczności, atuty:

- Trilipush znalazł coś ze swoim przyjacielem podczas wojny i to wskazuje na miejsce, gdzie prawdopodobnie jest grobowiec. Szczegóły są skomplikowane. Nie powiem, żebym rozumiał całą tę naukową gadkę. Oczywiście nie jest to coś podobnego do mapy pokazującej, gdzie ukryto skarb, trzeba wiedzieć, jak odczytywać dowody historyczne. Ja nie roszczę sobie pretensji do bycia naukowcem, ale Trilipush wyjaśnił to wszystko i całkowicie przekonał naszą grupę, że w tym stanie rzeczy, chociaż nigdy nie ma gwarancji, wszystko wskazuje na szybkie i lukratywne odkrycie.

Jeśli przestaniesz na chwilę myśleć jak jego cioteczny wnuk i zaczniesz znowu myśleć jak mój asystent, Macy, to zorientujesz się, że te wszystkie nowe informacje postawiły mnie w trochę trudnej sytuacji. Widzisz, wiedziałem dosyć, żeby od razu nie dopuścić do tego ślubu: kłamstwa co do Oxfordu, kwestia archiwów wojskowych, kłopoty z jego szefem w Harvardzie. Ale co by się stało po zrzućeniu takiej bomby? Oto wskazówka, Macy: nigdy do końca nie wiadomo, kto wyleci w powietrze w takich sytuacjach. Pomyśl chwilę, bo powinieneś już wiedzieć, jak się działa w naszej branży. Po pierwsze, potrzebowałem odpowiedzi na moje pytania, a nie mogę uzyskać odpowiedzi od rozzłoszczonego, spanikowanego, niedoszłego teścia. Po drugie, obaj, ty i ja, działamy w interesie, w którym pracuje się na godziny - nie utrzymamy się ze sprzedaży i informacji, sprzedajemy czas. Tak więc w dalszym ciągu tej rozmowy, kiedy zaproponowaliśmy panu Finneranowi, by został naszym nowym klientem, przekonaliśmy go, że sprawdzenie przeszłości narzeczonego jego córki zajmie parę tygodni. Poza tym informacje (i czas potrzebny do ich zebrania)

mają wartość tylko wtedy, kiedy ten, kto je kupuje, płaci za nie. Gdybym już pierwszego dnia zaczął wykrzykiwać Finneranowi prawdę, wyprosiłby mnie, wściekły, z domu. Od początku wiedziałem, że Finneran nie chce usłyszeć prawdy o swoim Trilipushu, a późniejsze wydarzenia potwierdziły, że się nie myliłem. Widziałem wyraźnie, że Finneran zapłaci za otuchę. A wrażliwy detektyw dostarcza klientom tego, czego potrzebują i za co płacą. Lekcja od Ferrella: zadowoleni klienci płacą.

No i na koniec, tak między nami, mężczyznami, Macy - nie chciałem sprawiać bólu. Taka jest prawda. Było jasne, że będę musiał i tak pojechać do Egiptu, żeby dotrzeć do podłoża śmierci Caldwell'a i Marlowe'a i wypytać o nich Trilipusha. Chciałem więc tylko dostać adres i plan podróży Trilipusha, i to wszystko. Nic nie zyskałbym tego dnia, ujawniając informacje o angielskich sodomitach czy wspaniałych młodych Australijczykach, których ciała gniły na pustyni, podczas gdy angielscy kapitanowie, którzy opowiadali kłamstwa o swoim wykształceniu, krążyli zdrowi i bezpieczni po Bostonie, zdobywając serca niewiarygodnie pięknych młodych kobiet i przepuszczając pieniądze uczciwych ludzi. O nie, za sześć dni mogłem być z powrotem na statku, płynąć do Aleksandrii, i nie miałem żadnego interesu, żeby niepokoić twoją rodzinę bardziej, niż było to absolutnie konieczne dla uzyskania potrzebnych mi informacji i uśmierzenia za opłatą trosk twojego ciotecznego dziadka. Finneran dał mi kairski adres Trilipusha, pożyczył kopię inwestorskiego projektu, żebym to sobie przeczytał podczas pobytu w Parker House, i podaliśmy sobie ręce. Powiedziałem, że za parę dni, może trochę później, będę miał dla niego raport wstępny.

Czy pragnę, żeby historia twojej rodziny, Macy, skończyła się w tym miejscu? Owszem, w pewnej mierze, taka jest prawda. Ale trudno.



Gdybym nie wziął go jako klienta, gdybym po prostu stamtąd wyszedł, przeczytał w hotelu projekt, kazał bojowi go odnieść, następnego dnia wyjechał do Nowego Jorku, a pięć dni później do Egiptu, to co zakończyłoby się inaczej? Trudno wyrokować na pewno, bez względu na wspomnienia wszystkich zainteresowanych, i chciałbym przeczytać coś innego, co mogłeś znaleźć po śmierci twojej ciotki, jakieś listy czy dzienniki, które pomogłyby mi zorientować się, co jeszcze wiesz o tym wszystkim. Ale jedno jest pewne: gdyby twoja ciotka wyszła za Ralphi Trilipusha, życie wielu osób w tym domu zbudowane byłoby na kłamstwie, a to rzecz najgorsza. Zapobiegły temu moje działania. Jestem z tego dumny. Ten szczęściarz, który poślubił twoją ciotkę Margaret, bez wątpienia powinien być mi wdzięczny. I jestem pewien, że po jakimś czasie ona też miło wspominała moje usługi. Ocaliłem ją, za co drogo zapłaciłem.

Tak jak się sprawy miały, siedłem głównym holem, zabrawszy po drodze mój płaszcz, kiedy przy drzwiach powstrzymuje nas Margaret, te pieski płaczą się nam pod nogami, i mówi, że chce zaproponować mi lemoniadę, że to nieładnie ze strony taty, że wypycha mnie za drzwi, nie poczęstowawszy czymś do picia, więc ona teraz mnie ugości i potem odprowadzi do wyjścia. Jej ojciec śmieje się, pozwala jej zaspokoić zachciankę, potrząsa moją ręką i wraca do swojego gabinetu, ale drzwi zostawia otwarte.

Cóż, jeśli mogę być szczery, twoja ciotka miała na zmianę trzy różne nastroje. W ciągu prawie dwóch miesięcy, które spędziłem w Bostonie, prowadząc śledztwo, poznałem ją dość dobrze. Nie wiem, co mogła ci powiedzieć po latach. Nie pochlebiam sobie, że wywarłem na niej trwałe wrażenie, ale nic powiem, żeby wtedy była mi obojętna.

Trzy nastroje. Popołudniami, jak tego dnia, kiedy ją poznałem, była bystra i dowcipna. Potrafiła cię rozśmieszyć, oczarować, potraktować, jakbyś był kimś fascynującym, i oczywiście była bogatą młodą kobietą (tak się przynajmniej wydawało, bo nie widziałem jeszcze zagipsowanych pęknięć w świecie jej ojca), a przyjemnie jest być obiektem zainteresowania bogatych młodych kobiet; znam się na tyle na ludzkiej psychologii, by wiedzieć, że od tego prawa raczej nie ma wyjątków. Tego popołudnia usiadła ze swoimi pieskami przed kominkiem, cała trójka zwinięta na czymś w rodzaju długiej sofy naprzeciw mnie, i mówi:

- Teraz napijmy się lemoniady, a ty opowiesz mi o Australii, gdzie wszyscy jedzą kangury, dobrze?

I rzuciła mi takie spojrzenie, że, no, nikt nie oparłby się takiemu zaproszeniu. I chociaż nie potraktowałbyś poważnie jej udawanej niewiedzy, to potraktowałbyś ją bardzo poważnie jako kobietę, chociaż miała prawdopodobnie zaledwie dwadzieścia lat, a może trochę więcej. Co mogła wiedzieć o świecie w wieku dwudziestu lat? Pomyślałbyś, że nic. Ale wobec tego skąd miałyby taki urok? Bogaci, bogaci, bogaci, nawet nowobogacy. Mają swoje sposoby. Oczywiście śpiewam z chórem, nieprawdaż, Macy?

Tego popołudnia pytała mnie z chytrym wyrazem oczu o to, co mnie sprowadza do USA, a ja powiedziałem jej bardzo mało, spytałem tylko, czyjej ukochany wspomniał kiedykolwiek o australijskim żołnierzu Paulu Caldwellu. Nie, nigdy nie słyszała tego nazwiska. Opowiedziałem jej trochę o biednym, starym Paulu, miłośniku Egiptu, o tym, jakie jest życie, kiedy nic urodzisz się w czepku, jak ona i Trilipush.

- Och, panie Ferrell, strasznie mnie pan zawstydza - powiedziała, udając, że się wstydzi. - Ale wie pan, tata przyjechał tu prawie bez grosza

przy duszy, więc zupełnie nie jest tak, jak pan myśli. Jesteśmy naprawdę bardzo prostymi ludźmi. - Uśmiechnęła się, zupełnie nie jak prosta kobieta, nigdy tego nie zapomnę. Miała w sobie coś.

Zapytałem ją, jak poznała Trilipusha, jak doszło do ich zaręczyn i czy nie ma nic przeciwko temu, że będę robił notatki.

- Och, wspaniale! Chciałabym, żeby wszyscy robili notatki, kiedy mówię! Nie znasz Ralpa? Och, on jest f a n t a s t y c z n y. Ci faceci, których spotykam w Bostonie, oni nie są z tej samej gliny, mówię uczciwie. Paru szefów z firmy taty, chłopaków z kierownictwa sklepu, patrzyło na mnie w szczególny sposób, jest też paru takich jazzmenów w pewnych lokalach, do których chodzę od czasu do czasu, kiedy pozwolą mi tata i Inge, i paru wspólników taty, J.P. O'Toole i inni, ale Ralph to zupełnie inny ś w i a t, jak z opowiadań dla małych dziewczynek. Wszystkie przyjaciółki powtarzają mi, że muszę się chyba szczypać, żeby mieć pewność, że to mi się nie śni. On jest badaczem, wiesz, i pochodzi z rodziny badaczy, praktycznie z angielskiej arystokracji, ale nie z tej bogatej, a jego akcent...

To znaczy ty też masz śliczny akcent, Harry, ale inny. I jest zupełnie sam na świecie, jego rodzice nie żyją, był jedynakiem, ale miał tych wspaniałych przyjaciół na uniwersytecie w Anglii i jeden z nich, jego najlepszy przyjaciel, został zabity na wojnie, i Ralph był taki załamany, że chciał uciec od wszystkiego, nawet swojej wiejskiej posiadłości, której utrzymanie kosztuje więcej, niż on ma, chociaż zawsze może tam wrócić i znowu otworzyć dom, jeśli będzie chciał, i możemy wylądować tam po ślubie i trochę pomieszkać. Tak czy inaczej, przyjechał tutaj po wojnie, żeby skończyć swoją książkę, która była wielkim przebojem, jeśli wziąć pod uwagę, że to książka o historii, a potem zaczął uczyć w Harvardzie, który jest najlepszym

uniwersytetem w Ameryce, i teraz woli mieszkać w Ameryce, pisać i uczyć, a po tej ekspedycji będzie miał kupę pieniędzy, wierz mi, jeśli znasz się na tych egipskich rzeczach tak jak Ralph, musisz wiedzieć, gdzie szukać, ale złoto po prostu leży tam pod piaskiem.

Fascynujące w tej przemowie, Macy, było to, że chociaż nie wątpiłem, iż Margaret wierzy, że to wszystko prawda, mówiła o tym takim tonem, z takim uśmiechem, jakby chciała dać do zrozumienia, że nic to dla niej nie znaczy, dopóki z nią jestem - nie żebym robił na niej takie wrażenie, po prostu jej (popołudniowy) urok polegał po części na tym, że nigdy nie dała ci do zrozumienia, iż jej narzeczony znaczy dla niej więcej niż ty, kimkolwiek jesteś, kiedy siedziałeś tam z nią. Oczywiście możliwe, że robiła to tylko dla mnie, i jestem pewien, że spodobała mi się wtedy ta myśl. Twoja ciotunia potrafiła zawrócić człowiekowi w głowie.

Powtórzyłem pytanie: jak poznała tego bohatera naszych czasów? Według wersji, zaręczyli się, z a n i m w ogóle wypłynęła sprawa pieniędzy jej ojca, przed spotkaniem inwestorów, ale wiedziała, że Trilipush spodoba się ojcu, i ojciec gorąco popierał pomysł zaręczyn, chociaż ona sama miała początkowo pewne wątpliwości. Ona miała wątpliwości?

- No pewnie, on należy do zupełnie innego świata i może taka niepozorna bostońska dziewczyna jak ja...

I tutaj, myślę, w swej fałszywej skromności omijała pewną ukrytą prawdę. Podejrzewałem, że mogła się wahać z uzasadnionego powodu, że mogła coś wyczuć, ale nie potrafiła jeszcze powiedzieć, co to było. Nie łudzę się, że moja obecność pomogła jej dokonać porównań, ale było jasne, że gdyby wystarczająco często rozmawiała z kimś zupełnie niepodobnym do Trilipusha, mogłaby zacząć sobie uświadamiać, jak reagują na nią, i w

ogóle na kobiety, uczciwi mężczyźni. Dodała:

- I zrobiłam tacie przysługę, przyprowadzając Ralpa do jego klubu. To znaczy musiałam mu pokazać Ralpa, zanim jego wyprawę sfinansowałoby jedno z tych dużych muzeów.

Kim był ten biedny przyjaciel, który poległ na wojnie?

- Och, tak, inny archeolog, jego najlepszy przyjaciel z Oxfordu. Posłuchaj tylko, jak się nazywał: kapitan Hugo St. John Marlowe. Podczas wojny Stale brali przepustki, żeby prowadzić te swoje wykopaliska, i pewnego razu Znaleźli tę rzecz o bardzo tajemniczej nazwie - fragment C - i pojęli, że dzięki temu będą mogli odgadnąć, gdzie jest grobowiec, grobowiec po prostu p e ł c n złota i dzieł sztuki. Zamierzali poszukać razem tego grobowca przy następnej okazji, jaka się nadarzy, ale wtedy wysłano Ralpa na front turecki, co było po prostu o k r o p n e; natomiast Marlowe musiał zostać w Egipcie i czekać, co oczywiście zrobił, bo byli najlepszymi kumplami z Oxfordu, związanymi braterstwem krwi, ale w Turcji Ralph został oddzielony od swoich ludzi i w Egipcie myśleli, że nie ż y j e, i musiał wracać praktycznie sam, a kiedy w końcu dotarł z powrotem do Egiptu, to akurat parę dni przedtem biedny Marlowe zaginął, ale zostawił w swoim namiocie ten fragment C, i Ralph, nie wiedząc, czy Marlowe żyje, wziął go na przechowanie, a potem, kiedy musiał się pogodzić z tym, że Marlowe zginął, chciał uciec od tego całego bólu, który sprawiła wojna, więc przywiózł ze sobą fragment C do Bostonu i dzięki niemu zyskał reputację uczonego i dostał pracę na Harvardzie, i... Och, tylko posłuchaj, co powiem dalej. Możesz sobie wyobrazić, Harry, jakie wrażenie wywarły te wszystkie opowieści przygodowe na naiwnej dziewczynie z Bostonu.

Rzeczywiście mogłem, ale Margaret po prostu nie była naiwną dziewcz-

czyną, więc tak naprawdę trochę trudno było mi sobie wyobrazić, jakie wrażenie na niej wywarły. Czy zdawała sobie sprawę, że powtarza coś absolutnie absurdalnego? Czy nie przyszło jej do głowy, że w tej historii pełno jest kłamstw i nieprawdopodobieństw i że w jej zmyślonych meandrach mogą być ukryte dwa trupy? Ludzie zaginieni w odpowiednich momentach w Turcji i w Egipcie? Wierni przyjaciele czekający na siebie przed próbą odkopania grobowca, żeby podzielić się skrzyniami złota? Mapy miejsc ukrycia skarbów, leżące na wierzchu w namiotach zaginionych osób? Czy ona myślała, że ja w to uwierzę? No i muszę podkreślić, Macy, że nie powiedziałem jej nic o moich podejrzeniach. Byłem honorowy wobec moich klientów i osób niewinnych. Osądź mnie na podstawie tego, że mogłem tysiąc razy zdemaskować Trilipusha przed twoją ciotką, ale nie zrobiłem tego.

Ale, tak między nami, oto, co sobie myślałem, i to całkiem sprytnie, jeśli chcesz znać moje zdanie: jeśli rzeczywiście w jakiejś dziurze, którą znaleźli Marlowe i Trilipush, była ukryta fortuna, to coraz bardziej wyglądało na to, że Trilipush - zubożały ziemianin ze sfalszowanym dyplomem ukończenia uniwersytetu - zabił Marlowe'a, żeby wejść w posiadanie tego skarbu, i uciekł do Ameryki, dopóki sprawa nie przycichnie. Wyrobił sobie tam, wśród miejscowych łatwowiernych osób, na tyle profesjonalną reputację, żeby wyłudzić od nich pieniądze na powrót do Egiptu i wykopanie swojego skarbu. I teraz, w 1922 roku, po prostu nigdy już nie wróci do Bostonu ze swojej drugiej ekspedycji. Wykorzystał tę dziewczynę, wyciągnął od jej rodziny pieniądze, mając ją swoimi angielskimi manierami, i skończył z nią. Czego mógł od niej chcieć, oprócz pieniędzy? Na pewno był homoseksualistą, jak Marlowe i Quint,

wiedziałem o tym już wtedy, zanim go poznałem. Potem przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie był luksusowym gachem Marlowe'a przed wyjazdem do Egiptu; prawdopodobnie Trilipush był zabawką Marlowe'a, którą ten trzymał cały czas sekretnie w Oxfordzie, oczywiście nie studentem, tylko osobą żyjącą w świecie Marlowe'a, biorącą od niego pieniądze w zamian za zakazane uczucia. To by wyjaśniało, dlaczego świadkowie potwierdzali, że tam przebywał, ale nie było o nim najmniejszej wzmianki w archiwach uczelni. Później Trilipush, za dalsze zapłaty, idzie na wojnę z Marlowe'em i udaje się z nim do Egiptu, gdzie balują po angielsku. Ale potem zostaje wysłany do Turcji bez swojego bogatego protektora, straszna sprawa. Wraca (albo, co bardziej prawdopodobne, ucieka) z pól bitewnych Turcji i ku swojemu przerażeniu odkrywa, że podczas jego nieobecności niewinnym obiektem miłosnych obsesji Marlowe'a stał się biedny, młody, zakochany w Egipcie chłopak z antypodów („że też akurat Australijczyk” - myśli sobie zrujnowany, ale mimo to mający o sobie wysokie mniemanie angielski paniczyk). Pójdźmy o krok dalej: może Trilipush wcale nie znalazł mapy miejsca ukrycia skarbu razem z Marlowe'em, może znaleźli ją Marlowe i Caldwell, kiedy Trilipush był w Turcji. Trilipush po powrocie zaskakuje tę parę i z zazdrości o swoją Julię oraz z żądzy posiadania ich sekretnego znaleziska morduje zarówno Marlowe'a, jak i Caldwella, ukrywa ich ciała i jedzie do USA. Czekają mnie trochę pracy, żeby to wszystko udowodnić, i wciąż nie rozumiałem, dlaczego utajniono informacje o jego służbie wojskowej, ale pokazuje to, jak wcześniej zrozumiałem główne fakty tej sprawy, bo wyjaśniłem je tobie, Macy, tego wieczoru w Parker House, gdzie spotkałem się z tobą po powrocie od mojego najnowszego klienta.

Ofiarą tej tragedii, Macy - a było to dla mnie jasne jak słońce, jeszcze zanim skończyłem pierwszą lemoniadę - była twoja śliczna, hipnotyzująca ciotka. Urocza, niewinna dziewczyna, którą omamił zboczeniec i morderca, wykorzystując ją dla wyciągnięcia pieniędzy od jej rodziny. Chciałem jej pomóc i Bóg mi świadkiem, widziałem wyraźnie, że została wystrychnięta na dudka przez sodomitę, chociaż jeszcze o tym nie wiedziała. Gdybym jej powiedział, znienawidziłaby mnie na zawsze. Gdybym czekał z założonymi rękami na rozwój wydarzeń, stałoby się pośmiewiskiem całej bostońskiej śmietanki. Czułem już po tej pierwszej lemoniadzie, że mam związane ręce i że żadne wyjście nie jest dobre.

Drugi nastrój twojej ciotki Margaret, jak przekonałem się w następnych tygodniach, był specjalnością wczesnego wieczoru. Parę dni później, wróciwszy do hotelu po rozmowach z paroma profesorami z Harvardu i kilkoma studentami Triłipusha, zastałem w holu, ku mojemu wielkiemu zdumieniu i zadowoleniu, Margaret. Od kiedy ją poznałem, nieraz o niej myślałem. Było około siódmej wieczorem i nikt jej nie towarzyszył.

- No, dziś wieczorem odłożysz swój notes, Harry, i trochę się z a-bawimy.

O tej porze była w najlepszej formie. Nadal zachowywała się tak, jakbyś był najważniejszą osobą na świecie, ale nie przybierała póz bogatej gospodyni. Teraz była pełną werwy i naturalną, młodą dziewczyną o lśniących oczach, czekającą z podnieceniem na to, co jeszcze życie może jej przynieść. Żartowała sobie, robiła dowcipne uwagi na mój temat, ale podobało mi się to, wierz mi. Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła przez dzielnice Bostonu, których nigdy nie miałbym ochoty zwiedzać.

- Nie bój się, Harry, znam te miejsca, wszystko będzie dobrze.



Prowadziła mnie przez uliczki, na których widok żałowałem, że nie mam przy sobie broni, ale ona promieniowała radością w mdłym świetle latarni, uśmiechała się do czających się tu i ówdzie podejrzanych typów, wyraźnie bawiło ją, że szokuje swojego zagranicznego znajomego, chociaż starałem się zachować cały czas uśmiech na twarzy.

- Wiesz, nigdy nie zabrałam tu Ralphiego i nigdy nie zabiorę. Nie pasowałyby do tego miejsca tak jak ty, Harry. - Podobało mi się to porównanie. - Zachowajmy to w sekrecie, Harry. - Bardzo mi to odpowiadało, ja też nie chciałem, żeby wspomniała o mnie Trilipushowi.

Nacisnęła guzik w jakimś nie oznaczonym murze w ciemnej uliczce. Nic potrafiłbym nawet powiedzieć, gdzie to było. Odsunęła się mała zasuwka na poziomie oczu, przyjrzały się nam badawczo czarne oczy, zasuwka z powrotem się zamknęła i mur się rozstąpił, wpuszczając nas na hałaśliwe przyjęcie, gdzie był bar, stoły bilardowe i tańce przy muzyce jazzowej, a mężczyźni i kobiety siedzieli wygodnie na kanapach, rozłożonych na podłodze poduszkach, na kolanach partnerów.

- Witaj u JP, Harry - powiedziała Margaret, wprowadzając mnie.

Z tą twoją ciotką niespodzianka gonila niespodziankę. Tego wieczoru była czarująca, a ja wolałem myśleć, że to z mojego powodu, i pamiętam, że pomyślałem sobie, że nie wiadomo dlaczego, odkryła we mnie coś, co ją pociąga. Miałem wrażenie, że widzę, jak budzi się w niej naturalna skłonność do mnie, i nikt nie mógłby mnie za to winić. Oczywiście teraz powiedziałbym, że była flirciarą. Trochę igrała z ogniem ta twoja ciotka, oj, igrała, nie zdawała sobie sprawy, że czasami posuwa się za daleko, nie wiedziała, kiedy przekracza dopuszczalne granice. Takie dziewczyny zawsze robią zdumioną minę, kiedy okazuje się, że ludzie nie są zabawkami,

kiedy ludzie nie przestają robić tego, co robią na ich polecenie, w chwili gdy zmienia się ich kaprys.

Przyniosła dla nas koktajle i usiedliśmy na pokrytej czerwonym aksamitem kanapie. Może robiłem to dla dobrej sprawy, którą się zajmowałem, a może z przyczyn osobistych, nie potrafię powiedzieć po takim czasie, ale ponownie zapytałem ją o Trilipusha, nie będąc pewien, czego właściwie szukam.

- Och, on jest jak sen - wymamrotała z roztargnieniem, patrząc na sufit. - Angielski szlachcic, badacz. To dopiero mężczyzna... - Nie na sufit, wlepiała wzrok w ciemny balkon, który biegł wokół całej sali, zanim ponownie zwróciła uwagę na mnie. - Co ja mówiłam, Harry?

Pociągnęła mnie i tańczyliśmy przy murzyńskiej orkiestrze jazzowej. Piliśmy. Ściśle rzecz biorąc, ja wypilem jeden czy dwa kieliszki, ona trochę więcej. Klepała mnie po rękę i pozwalała, żebym zapalał dla niej papierosy.

- Ralph nigdy by na coś takiego nie poszedł - powiedziała. - On jest moim księżkowym, wiesz. Ale ty jesteś całkiem dobrym tancerzem, Harry!

Chociaż to niezupełnie prawda, nie spierałem się z nią. Obawiam się, Macy, że moje notatki są w tym miejscu trochę niejasne. Podczas pobytu w Bostonie często nie pamiętałem o tym, żeby dokładnie zapisać, co ktoś i kiedy mówił albo robił, i gdy tutaj siedzę, gapiąc się na zielone ściany pokoju gier, wracają do mnie strzępki wspomnień, niechronologiczne lawiny wydarzeń, przemieszane z tym, co chciałem, żeby się stało, ale co się nie stało. Zrobię, co będę mógł, żeby oddzielić jedne od drugich.

Siedzę z nią na kanapie u JP, w jej ulubionym klubie, a ona gładzi mnie po

policzku. To jest inny wieczór. Jest bardzo śpiąca i, jak widzę, ma minę winowajczyny. W tych okolicznościach, zgodzisz się ze mną, jest to trochę dziwne, ale nie biorę sobie do serca tego głaskania po policzku. Widzisz, zostawiła mnie na chwilę samego na tej kanapie i poszła na ten balkon -olbrzymi Murzyn, który pilnował wejścia na schody, przepuścił ją bez problemów, a ona, idąc na górę, uszczypnęła jego uśmiechniętą od ucha do ucha twarz. Widziałem, jak bez pukania otwiera jakieś drzwi i wchodzi do pokoju po drugiej stronie, który, jak się okazuje, jest gabinetem J.P. OToole'a, właściciela tego lokalu, jak mówi mi ten Murzyn. Wracam na kanapę. Mijają minuty. Kiedy Margaret wraca, zachowuje się dziwnie, śmieje się za głośno. Patrząc jej w oczy i od razu wiem, gdzie poszła. Przez parę godzin siedziała obok mnie, od czasu do czasu głaskała mnie po policzku, ale nie wypowiedziała nawet jednego słowa. Posłuchaj biadolenia starca, Macy- serce pękało mi i goiło się z każdym uderzeniem.

Ale innej nocy siedziałem na tej samej czerwonej sofie, a ona naprzeciwnieko mnie, tryskając jakąś nerwową, niezdrową energią, wyjaśniając mi, że wychodzi za Trilipusha tylko dlatego, że bardzo chce tego jej ojciec, ale ma ich obu w nosie i chce tylko, żeby:

- ...zostawili mnie w spokoju i dali się raz na jakiś czas zabawić. Priorytety, mówi tata, dobre nazwisko, dobry związek. Ale przecież Ralph potrafi zanudzić cię na śmierć, przez to nieustanne gadanie o Egipcie zasypiasz, taka jest prawda, wiesz. Nikt nie może słuchać tych historii o Egipcie tak długo, jak on chce je opowiadać. Albo mówić na jakikolwiek inny temat. To nudziarz, Harry, ale po pewnym czasie większość mężczyzn staje się taka. Czy ty zostaniesz nudziarzem, Harry?
- Nie chcesz wyjść za Trilipusha? - zapytałem, zdumiony obrotem

wydarzeń, sposobem, w jaki to czające się gdzieś podejrzenie wyszło wreszcie na jaw, i nagle gotów byłem powiedzieć jej wszystko, co wiedziałem o jej narzeczonym, zdetonować tę bombę i skorzystać z szansy.

- Och, sama nie wiem - powiedziała, zanim zdążyłem otworzyć usta. - Nie powiedziałam tego, prawda? Nie mówmy już o tym, dobrze? Nie bądź nudziarzem, Harry. Możesz to dla mnie zrobić? Czy nie byłoby wspaniale, gdyby okazało się, że nie jesteś nieznośnym nudziarzem? Czy nie byłoby to fajne? Zagrajmy w to, Harry, dobrze? Dobrze? Dobrze?

Kiedy już zaczęła mówić, nie mogła przestać, tylko cały czas trajkotała o tym, co przyszło jej do głowy, i powtarzała się, dopóki nie miała czegoś innego do powiedzenia czy zrobienia albo dopóki nie skierowała swojej energii na coś innego, a kiedy zabrakło jej słów, podrywała mnie do tańca. Może powiedziała to wszystko tydzień czy dwa później. Brakuje mi słów, Macy. Widzisz, chyba się w niej zakochałem, a przynajmniej tak to wygląda, kiedy sobie to teraz przypominam. A ona? Cóż, teraz wiem, że była smutną, chorą dziewczyną, która miała za dużo swobody. Niewiele dla niej znaczyłem, bez wątpienia trochę, ale niewiele. Kim mogłem dla niej być? Mężczyzną z innego świata, z innej klasy, ani bogatym, ani wytwornym, nikim. To nie tragedia, prawda?

Ale wtedy czułem coś innego. Może całkowicie innego. Może „jasność spojrzenia z perspektywy czasu” jest niczym w porównaniu z tym, co się zapomniało. Może wcale nie było to coś niewytłumaczalnego, jak zaczyna to teraz wyglądać, ale - wprost przeciwnie - było to logiczne i postępowałem z jasnością, której należy się szacunek, z jasnością co do moich uczuć, nawet jeśli nie potrafię odtworzyć tego tutaj, na papierze, taki kawał czasu, prawie

całe życie potem. W końcu to, co do ciebie piszę, opiera się na notatkach i wspomnieniach i kto wie, co z tego umknęło? Może po prostu nie mogę sobie przypomnieć tego, co wiedziałem wtedy, wszystkich powodów, dla których zadurzenie się w twojej ciotce było głupotą, tych jej sztuczek, przez które nabrałem przekonania, że jest to możliwe. Po prostu przyjmijmy, że chciała, żebym się w niej zakochał, myślała też o związaniu się ze mną, rzuceniu Trilipusha, ale mijały kolejne dni, a ja nie potrafiłem przerzucić mostu między nami.

Z tej perspektywy czasowej wydaje się to jak film. Pamiętam, jak pewnego zimnego dnia zdecydowałem się zostać i nie wsiadłem na statek do Aleksandrii, bo cały czas niepokoiła mnie myśl, że w Bostonie ma się zdarzyć potworna zbrodnia, którą tylko ja mogę udaremnić. Nie tylko te stare zbrodnie, które starałem się odkryć, ale coś, co działo się tam i wtedy, tuż pod moim nosem - zamordowanie duszy tej dziewczyny, zmuszonej do wyjścia za męża dla podniesienia towarzyskiej pozycji ojca, oszukanie ojca i córki przez angielskiego zboczeńca. Byłem rozdarty, starając się zrównoważyć to, co wiedziałem, z tym, co podejrzewałem, to, co powinienem wyjaśnić, z tym, co powinienem zachować w tajemnicy, próbując zorientować się, jak ją ochronić, jak ją zdobyć albo jak ochronić i zdobyć.

Tego chłodnego dnia idę do ich domu, by ją znaleźć, ale jest tam Finneran i kiedy otwiera drzwi, myśli oczywiście, że przyszedłem się z nim zobaczyć (nie wie, że kręcę się koło niej), a ponieważ nie wiem, jak wyjaśnić mu, że jest w błędzie, idziemy do jego gabinetu i rozmawiamy o Trilipushu. Mówię mu więcej, niż zamierzałem, ale okoliczności są inne, bo zanim mogę otworzyć usta, Finneran już opowiada mi o swoich podejrzeniach.

Mówi mi, że dwa dni wcześniej otrzymał wiadomość, iż Trilipush utknął w Kairze i jego wyprawa na stanowisko archeologiczne, gdzie spodziewa się znaleźć grobowiec, uległa zwłoce z powodu jakichś biurokratycznych przeszkód, które pojawiły się w ostatniej chwili, i że chce, by wspólnicy przesłali mu pieniądze do Kairu, zamiast do miasta leżącego bliżej wykopalisk. Dobrze, myśli Finneran, gotów się na to zgodzić, ale wtedy, tego samego zimnego dnia, składa mu wizytę profesor Terbroogan z Harvardu, przyjeżdża specjalnie do niego, żeby mu powiedzieć (z holenderską mściwością), że Oxford właśnie potwierdził telegraficznie, że nigdy nie studiował tam żaden Trilipush i że w opinii Terbroogana szanse znalezienia tego, co Trilipush obiecał swoim sponsorom, wynoszą „zero procent” i cała ta ekspedycja skazana jest na niepowodzenie.

- Powiedział to, Harry. Skazana na niepowodzenie. - Finneran stara się zachować dzielną minę, ale cały czas przesuwa w ustach w tę i z powrotem cygaro. Pyta, czy wiedziałem coś o tych oksfordzkich „plotkach”. Terbroogan nie wyjawiał, że to ja pomogłem mu znaleźć te informacje (ale przypomniałem sobie, że mógłbym mu teraz wysłać rachunek za oddane usługi), ale nie wstydzilem się prawdy.
- Owszem, podejrzewałem to - mówię Finneranowi.
- Jezu Chryste podskakujący na krzyżu! - krzyczy Finneran, a cygaro wypada mu z ust na biurko. - Co jeszcze, do diabła, podejrzewałeś? Po co cię nająłem? Zęby słuchać różnych rzeczy od profesorów?

Finneran martwił się, co rozumiałe, bo w grę wchodziły jego pieniądze, jego córka, pieniądze jego przyjaciół i realna możliwość, że poparł publicznie oszusta. Ucieszyłem się, że te złe wieści przyniósł ktoś inny, bo miałem za dużo do stracenia. Ale oczywiście oznaczało to, że moje „mające

wszystko wyjaśnić" śledztwo w sprawie przeszłości Trilipusha (z którego materiały leżały w komplecie w moim hotelowym pokoju od pierwszego mojego wieczoru w Bostonie) wymagać będzie jeszcze paru dni przemyśleń i obróbki. Moje położenie stawało się coraz trudniejsze.

- Zobaczymy, Finneran - powiedziałem. - Nie wyciągajmy zbyt pochopnie wniosków. Archiwum może się mylić.
- A jeśli się nie myli? Co z uczuciem biednej Margaret do tego człowieka? - zaczyna żałośnie biadolić Finneran, kiedy posiedział trochę w milczeniu i stłumił panikę. - Wiesz, Ferrell, ona go kocha. Nie mogę stawać jej na drodze, bez względu na to, czy był w tym Oxfordzie czy nie.

Innymi słowy, wciąż mogę wyciągnąć pieniądze z tego człowieka.

- A gdzie jest teraz twoja córka? - pytam.

I przysięgam ci, Macy, że ten potężny mężczyzna wygląda tak, jakby miał się rozplakać jak mała dziewczynka. Spogląda w bok, wstaje, odwraca się do mnie tyłem, poprawia zasłonkę w oknie.

- Czy chcesz mi coś powiedzieć? - mówię. - W końcu zajmuję się sprawami poufnymi.

No i twój cioteczny dziadek zrzuca przede mną ciężar z serca, co zawsze robili ludzie. Wyjaśnia, że rozpaczliwie stara się robić to, co jest dobre dla jego „małej”, ale ona pije i ma problemy z - rusza trochę ustami, zanim w końcu wydobywa się z nich to słowo - opium, i już dwukrotnie myślał, że została z tego wyleczona. Ostatnim razem zapłacił fortunę za umieszczenie jej w ośrodku odwykowym i wynajęcie pielęgniarki (tej cycatej Szwedki, którą widziałem od czasu do czasu w jego domu), żeby miała ją na oku w domu i dawała jej leki, które miały zmniejszyć pragnienie poczucia

„oddechu smoka”. Ale Margaret znowu zaczęła się wymykać, mówi Finneran, opadając z powrotem na fotel. Inge, ta pielęgniarka, mają pilnować, nie powinna wypuszczać jej samej z domu, ale Margaret udaje się wyswobodzić spod jej opieki i widać, że znowu jest z nią źle, i gdyby Trilipush to odkrył, zaręczyny zostałyby prawdopodobnie zerwane. Finneran ma przygnębioną minę i zapomina na chwilę, że ten błogosławiony narzeczony nakłamał im o swoim wykształceniu i może nie tylko o tym.

To było groteskowe, Macy. Ten silny, bogaty biznesmen o mało się nie rozpląkał, bo nie udało mu się uwięzić własnej córki, która - było to dla mnie oczywiste - cierpiała jedynie z powodu młodzieńczej werwy i przykrych zaręczyn z mordercą o sodomistycznych skłonnościach, na którym rodzina chciała rozpaczliwie wywrzeć wrażenie. Przecież oni okłamywali go, wmawiając mu, że Margaret cierpi na rzadką, ale uleczalną chorobę, która powoduje ataki senności, zmiany nastroju i tak dalej (jakby Trilipush, który interesował się tylko stanem konta jej ojca, dbał o to). Było to czyste szaleństwo. Finneran nie chciał znać mojej opinii, która byłaby bardzo prosta: pozwól córce być sobą i ocal ją. Zabijesz ją podczas tego pięcia się w górę drabiny społecznej. I każdy angolski idiota, który odmówiłby poślubienia jej z powodu tych młodzieńczych wyskoków, zasługiwał na to, żeby strzelić mu między oczy. Ale nie mogłem posunąć się tak daleko, żeby to powiedzieć, więc zamiast tego obiecałem, że jeśli Finneran tego chce, będę miał oko na Margaret i sprawdzę, czy nie ma jakichś poważnych kłopotów. Uścisnął mi dłoń.

- To dla mnie wielka ulga, Ferrell. Dziękuję ci, dziękuję. Nie wiedziałem, do kogo innego się zwrócić - mówi, jakby to był jego pomysł. - To moja mała, chcę dla niej wszystkiego, co najlepsze.



Pewnie, jasne, że chcesz. Ludzie, mój drogi Macy, są wyjątkowymi mistrzami w udawaniu, że martwią się o kogoś, podczas gdy niepokoją się tylko o siebie.

- Możesz na mnie liczyć, Chester. Przypilnuję ją dla ciebie.
- Ojciec martwi się o ciebie - powiedziałem jej wieczorem, siedząc na kanapie u JP, zanim poszła na górę. Myślałem, że będzie się z tego śmiała razem ze mną, uzna nową sytuację za zabawną, nie pozbawioną swoistego uroku, i może doprowadzi to do łagodnej dyskusji o wadach Trilipusha, a to z kolei doprowadzi do...
- Harry - powiedziała. - Bawimy się, prawda? Miło jest mieć kogoś, kto towarzyszy mi w mieście, kiedy wyjechał mój kawaler, prawda? No więc proszę, Harry, błagam cię na czworakach, nie bądź śmierdzącym nudziarzem. -Wstała, zrobiła pierwszy krok ku schodom na górę. - Może pogadasz z którąś z tych miłych dziewczyn, kiedy mnie nie będzie? -Wskazała na dziwki, które zatrudniał JP, by dogadzały jego klientom płci męskiej. - Czy ty w ogóle lubisz dziewczyny, Harry? Czy tam, na

anty-  
podach, nie uczą was, jak rozmawiać z dziewczynami? Tylko nie zanudzaj ich, Harry, nawet jeśli płaci się im za to, żeby słuchały.

*Piątek, 20 października 1922 r., Hotel Sfinksa*

Margaret: Moja ukochana. Pierwszą rzeczą dziś rano, kiedy siedziałem, pozując do portretu, było przyjscie boja, który przyniósł przedziwny telegram od twojego ojca. Absurdalnie przedziwny. Czytałem go bez przesady z dziesięć razy, czując na koniec, jak w żołądku rozprzestrzenia mi się niepokój, nie miałem więc innego wyjścia, jak odesłać malarza do

domu. Jest to składający się z dziewięciu słów tekst zza oceanu, ale najwyraźniej zza jeszcze szerszej zatoki nieporozumienia: WYJAŚNIJ NATYCHMIAST OXFORD. FERRELL KWESTIONUJE TWOJĄ RZETELNOŚĆ. DUŻO ZALEŻY.

Dziewięć słów wyciągniętych na chybił trał z kapelusza, jakaś nieznana zabawa salonowa bostońskich bogaczy? O co chodzi twojemu ojcu, kochana? Jest zdezorientowany w sprawie Cbcfordu i potrzebuje wyjaśnień. O jego istnieniu? Funkcjonowaniu? Co to jest ferrell i w jaki sposób może kwestionować moją rzetelność? Jedno jest bezsporne: rzeczywiście dużo zależy. W niedzielę dwudziestego drugiego pójdę do banku sprawdzić, czy stan mojego konta powiększył się o umówiony kredyt, którego raty mają być przekazywane z Bostonu dwudziestego drugiego każdego miesiąca do czasu zakończenia ekspedycji. O tak, istotnie dużo zależy. Nie ma czasu na salonowe gry.

Jestem uzależniony — tego ranka widzę to jaśniej niż kiedykolwiek przedtem — od ludzi dużo mniejszego kalibru, niż się spodziewałem. Nie mam oczywiście na myśli twojego ojca, moja droga, ale jego ewidentnie nerwowych wspólników, którzy doprowadzili do wysłania tego dziwnego telegramu. Przyjąłem jego pieniądze w geście dobrej woli, bo cię kocham, M. Nie twierdę, że nie zdawałem sobie sprawy z wrażenia, jakie na mm wywieram; CCF zdaje się tak samo ekscytować angielskimi snobami jak irlandzkimi gangsterami, ale mogłem znaleźć sponsorów w bardziej szacownych, tradycyjnie finansujących takie wyprawy kręgach. Wiedziałaś o tym i właśnie dlatego zasugerowałaś, żebym zrobił to dla twojego ojca. Mam szczerą nadzieję, że nie będę żałował przysługi, którą

mu wyświadczyliśmy — którą ja wyświadczyłem tobie.

Dość. Jeśli jestem teraz zatroskany, to dlatego, że kończą mi się fundusze, spodziewam się, że za czterdzieści osiem godzin dostanę wsparcie od twojego ojca, a on zamiast tego przysyła mi zagadki. Nie będę nic robił w tej sprawie. Sama się rozwiąże.

Ale pewnego dnia będę mógł cię objąć w naszym domu i przypomnieć ci chwilę, w której wiedziałem już, że się z tobą ożenię — maj, zaledwie trzy czy cztery tygodnie po moim wy-kładź ie w Towarzystwie Historycznym. Jesteś w doskonałym zdrowiu i śliczna jak marzenie. Spacerujemy brzegiem Charle-sa, z ogromną Ingę kolebiącą się w stałej odległości dziesięciu jardów za nami, jakby była łódką. Odpływasz ode mnie, kiedy się pochylam, by zawiązać sznurowadło (a Ingę zatrzymuje się, wciąż w tej samej pełnej szacunku odległości, udając, że wacha bukiet niebieskich kwiatów), i pojawia się promień słońca, i maluje kawałek rzeki i twoją białą sukienkę jednym pociągnięciem pędzla, i kiedy szarpię się ze sznurowadłem, widzę, jak pochylasz się, żeby poklepać po głowie małego płowo-białego pieska z cudownie pomarszczonym, uśmiechniętym pyszczkiem. Właśnie przebiegł przez grupkę ludzi urządzających sobie piknik, porywając sznur kiełbas bez zmieniania rytmu biegu, unikając goniących go mścicieli, zostawiając za sobą chaos, ale na widok JYlarget zatrzymuje się, upuszcza łup u twoich stóp i pozwala ci podrapać się pod brodą, odchylając do tyłu łepki i wyciągając szyję, żeby rozkoszować się tym czułym gestem. To stało się właśnie wtedy, moja ukochana — w jednej chwili postanowiłem uczynić cię moją towarzyszką na tym i na tamtym świecie (bo będziesz wspomniana w każdym moim napisanym dziele, co zapewni ci nieśmiertelność). I w tej

samej chwili wyobraziłem sobie ciebie wyrzeźbioną przez wielkiego artystę Totmesa, pochyloną nad brzegiem Nilu, trzymającą długopalcą dłoń na wielkiej głowie psa, wysłannika Anubisa.

- Muszę cię pilnie o coś zapytać! — krzyknąłem, a ty przystanęłaś.
- Co mówiłeś? — zawołałaś, a wiatr, który się akurat zerwał, przyniósł do mnie twoje słowa.
- Muszę cię pilnie o coś zapytać! — I zacząłem biec do ciebie. Moje podniecenie udzieliło się pieskowi, który zaczął biegać w kółko, wyszczekując najbardziej melodyjną piosenkę, zostawiwszy sznur kiełbas w trawie, jakby ukradł je nie z głodu, ale

z chęci splątania psikusa. — Musisz być moją królową, musisz, musisz.

— To ty mnie ocalisz? — zapytałaś, kiedy wziąłem cię w ramiona.

— Oczywiście, że ocale. Dlatego jestem tu z tobą.

Parę dni później zasugerowałaś, żebym zwrócił się do klubu inwestorów, do którego należy twój ojciec, rozwiałaś moje wątpliwości, a po kolejnych paru tygodniach poprosiłem go o twoją rękę. A mimo to dzisiaj muszę tutaj siedzieć, kiedy pyton zaciska swoje sploty wokół mojego brzucha, i zachodzę w głowę, co znaczy ta tajemnicza depesza, trwonię tuzin igieł zainstalowanego w WC gramofonu i, krótko mówiąc, tracę cały dzień na zamartwianie się. Przypuszczam, że cała ta udręka jest w jakimś sensie hołdem dla twojej urody i miłości, moja kłopotliwa ukochana, któraś nas do tego doprowadziła, ale ufam, że już wyjaśniasz wszystko ojcu.

Dziennik: Znalazłem z wielkim trudem otwarty urząd telegraficzny i

zadepeszo wałem do Bostonu, żeby potwierdzić pewne szczegóły potrzebne spółce do pierwszej telegraficznej przesyłki pieniężnej, ponieważ moje początkowe zasoby finansowe się kończą, a dopiero zaczynamy.

Banki zamknięte. Nikt nie odpowiada na pukanie.

Wezwać z powrotem portrecistę; w muzułmańskim mieście w piątek nie ma nic innego do roboty.

**TELEGRAM. KAIR DO CC. FINNERANA, BOSTON, 20 PAŹDZIERNIKA 1922, 15.18. UNIWERSYTET OKSFORDZKI JEST W ANGLII. NIEPOTRZEBNE DALSZE WYJAŚNIANIE MOJEJ RZETELNOŚCI. NIE ZNAM ŻADNEGO FERRELLA. ZBLIŻA SIĘ 22. WIELE ZALEŻY. K3: ATUM-HADU NIE MA BARDZIEJ ZAUFANEGO CZŁOWIEKA/NIŻ PAN SZCZODROŚCI, KTÓRY NA KAŻDE JEGO SKINIENIE CZEKA./ZAMIENI W ZŁOTO KAŻDĄ ZARDZEWIAŁĄ RZECZ W TEJ KRAINIE/ I JEŚLI MA TAKI KAPRYS, MOŻE SIĘ KĄPAĆ W WINIE. PIPWSE, LMC, 1920. RMT.**

*Sobota, 21 października 1922 r.*

Dziennik: Dzisiaj, skoro czas nagli i nadal nie mam żadnych wieści z Urzędu Zabytków, złożyłem im wizytę. W nocy bowiem, w chwili olśnienia przed zaśnięciem, przyszło mi do głowy, że dałem się wystrychnąć na dudka i czciłem bałwochwalczo świstek papieru. Archeolog powinien wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że takie kruche fetysze nie są wykute w kamieniu. Nie ma sensu, jak mawiał Marlowe o

podaniach o przepustki, czynić bóst-wa z pozwolenia przed faktem.

Rozmo-

wa w cztery oczy z dyrektorem generalnym, być może jakiś prezent i szczerze negocjacje na temat terminów, nawet wyrażenie gotowości udostępnienia mu z ramienia Hand-of-Atum, Ltd., udziałów w naszym odkryciu, i powinniśmy wreszcie zacząć.

Sprezentowałem sekretarzowi dyrektora generalnego podpisany egzemplarz pierwszego wydania *Pożądania i podstęp w starożytnym Egipcie*. Był zachwycony, wdzięczny, wymamrotał coś po francusku. Zażądałem pilnego widzenia się z samym dyrektorem generalnym, by podzielić się z nim moimi ostatnimi przemyśleniami na temat grobowca Atum-hadu.

- Chce pan coś zmienić w swoim podaniu? — pyta podejrzliwy DuBois.
- Nie, chcę p o p r a w i ć moje podanie, złotko. — Co jest prawdą: chcę zrobić ostatni gest dobrej woli i dostosować się do ich reguł.

Ponieważ DuBois najwyraźniej nie mógł nawet mrugnąć bez pozwolenia zwierzchnika, zniknął -w komnatach dyrektora generalnego, zostawiając mnie stojącego przy jego biurku. Te atrybuty, których potrzebują urzędnicy! „Z biurka dyrektora generalnego Urzędu Zabytków”. „Z biurka głównego sekretarza dyrektora generalnego Urzędu Zabytków”. Wosk i pieczęcie, podpisane in blanco, z góry opłacone formularze telegraficzne. Fidrygałki.

Czekałem na moją kolej w jednym z przesadnie wyściełanych skórzanych foteli, wyjąłem papiery z wypchanej teczki i uzupełniłem mój dziennik do chwili obecnej. I czekam, mając nadzieję, że moja widoczna gotowość do poddania się ich nieuczciwym regułom przeczyści ten

cierpiący na zaparcia system.

A teraz, później tego samego wieczoru, jestem z powrotem w moim pokoju hotelowym i piszę te słowa z dumą i podnieceniem, bo poznałem dzisiaj i zaprzyjaźniłem się z jednym z moich wielkich idoli, człowiekiem, którego profesjonalizm i poświęcenie poważam nade wszystko, chociaż teraz zmuszony jest on do ścigania ulotnych cieni w Dolinie Królów.

Siedząc i czekając na wiadomość od dyrektora generalnego, skończywszy uzupełnianie dziennika i nadal nie widząc podlizującego się szefowi żabojada, poczułem zapowiedź skurczu żołądka o średnim nasileniu, wycofałem się więc do wyposażonej w pozłacane urządzenia toalety dla panów. Chociaż może ci się to wydać niedelikatne, muszę cię zaprosić, byś się tam do mnie przyłączył, czytelniku, kiedy myję ręce i widzę w lustrze, jak na moją mokrą, wyczerpaną twarz powracają z wolna kolory.

Po dobiegających z sąsiedniej kabiny, harmonizujących z wydawanymi przeze mnie odgłosach niedoli rozpoznałem towarzysza spod znaku skazanych na piekło niestrawności, oliarę bestialskich kiszek. A potem, przy umywalce i lustrze, kiedy podniosłem się znad kranu z twarzą ociekającą letnią wodą i przeklinałem posługacza, który nie spieszył się z ręcznikiem, zanim nasiąknie kołnierzyk mojej koszuli, dostrzegłem obok mojego mrugającego odbicia obraz starszego, wąsatego dżentelmena mydlącego starannie ręce. Rozpoznałem go od razu — moim cierpiącym na niestrawność kolegą był nie kto inny jak sam wielki Howard Carter, były inspektor Urzędu Zabytków, odkrywca niezliczonych grobowców i skarbów, w tym Totme-sa IV i Amenhotepa I, obecnie hojnie zaopatrzoney

beneficjent arystokratycznych zainteresowań Egiptem hrabiego Carnarvona, malarz, autorytet i geniusz archeologiczny, rozpoczynający właśnie (aż trudno mi w to uwierzyć, kiedy o tym piszę) swój szósty, długi sezon bezowocnych poszukiwań, na podstawie bardzo skąpych dowodów, grobowca jakiegoś pomniejszego króla z XVIII dynastii. Sześć lat tracenia pieniędzy milorda! Trudno się dziwić, że żołądek biedaka otwarcie się buntował.

Przyglądałem mu się w lustrze, gracji, z jaką się poruszał, sposobowi bycia, aurze pewnej siebie obojętności. Był w garniturze z lekkiego diagonalu. Patrzyłem z fascynacją na widoczny nawet w tym jego bziku na punkcie owego grobowca związek między manierami i fachową wiedzą. Podobnie jak Marlowe, jest on jednym z tych, dla których ta praca jest powołaniem, co widać nawet w sposobie, w jaki myje ręce, jak dźwiga banalne, ale wszechobecne brzemie swego ciała. Przedstawiłem się.

— Trilipush? — powtórzył. — Trilipush? — Umył ręce i spoziierał w odbicie moich oczu, a w jego pamięci tkwiła wygodnie cała wiedza egiptologiczna, zorganizowana i w każdej chwili dostępna. — Ten od pornografii?

W żartobliwym, „cytującym” tonie jego głosu usłyszałem współczucie z powodu bólu, który sprawiał mi ten idiotyczny epitet nadany mojemu dziełu przez małostkowych prostaków; obaj wiedzieliśmy, że nawet jedno słowo więcej na ten temat byłoby poświęcaniem ignorantom zbyt wiele naszego czasu. Jego ironiczne pytanie było powitalnym „miło mi” ze strony kolegi po fachu, który wie aż nazbyt dobrze, z jaką zawiścią i głupotą spotykamy się czasem na tym zdradliwym świecie.

— Ach tak, istotnie! I — przepraszam za śmiałość — tak samo



niewolnik niegodziwego Jelitusa Grubego. Nie służy ci miejskowe jedzenie, stary? Czy też jest to chroniczna dolegliwość, niezależna od diety? To nic jest strawny kraj dla cierpiących na niestrawność.

Kiedy posługacz wycierał mi dłonie, zauważyłem z zainteresowaniem, że Carter wolał sam wziąć ręcznik, jakby wiedział, że archeolog, przywykły do surowych warunków panujących na stanowisku, nie może sobie pozwolić na przyzwyczajanie się do wygody i luksusów miasta.

Usiedliśmy w poczekalni i zapaliliśmy (nawet wielki Carter musi czekać na swoją kolej przed biurkiem urzędniczyny).

Przyjął i włożył do teczki mój podarunek, *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie*, który zadedykowałem: „Mojemu drogiemu przyjacielowi, współtowarzyszowi cierpień zadawanych zarówno przez durniów, jak i przez drażliwe wnętrzości oraz wielkiemu archeologowi, naprawdę największemu z odchodzącego pokolenia egiptologów, z wyrazami sympatii — 21 października 1922 r., w poczekalni gabinetu dyrektora generalnego Urzędu Zabytków, Kair, Ralph M. Trilipush”.

Znany spokój Cartera, w połączeniu z — wyobraźmy to sobie — pewnym zmęczeniem spowodowanym perspektywą poszukiwania przez kolejny sezon pomniejszej, ale nieosiągalnej zdobyczy, skoro już obarczył się koncesją na wykopaliska w ewidentnie opróżnionej Dolinie Królów, był zadziwiająco stylowy. Wnikliwe monosylaby, wymowne uniesienie brwi, oddech, w którym można usłyszeć najsubtelniejsze niuanse znaczenia, kiedy tworzył wydmuchiwanym dymem papierosowym hieroglify, które po przetłumaczeniu na angielski zapełniłyby całe strony. Jego spokój (zwłaszcza po tych utarczkach z wnętrzościami, które ludzi

mniejszego formatu doprowadziłyby do szlochu) był wymowny.

Rozmawialiśmy przez parę minut o żołądku badacza, o moim odkryciu fragmentu C, o moich widokach na odkrycie grobowca Atum-hadu, jego perspektywach odniesienia sukcesu w Dolinie. Dyskutowaliśmy o Oxfordzie, moim dzieciństwie w Kent, mojej karierze wojskowej, o Atum-hadu.

- Gardiner wyraził się dość wytwornie o twoich rymowanych przekładach — rzekł kpiącym tonem Carter, potrząsając głową na myśl o elukubracjach nieuczciwego i tępego fdologa, który określił w swej recenzji *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie* jako „żenujące dla laików i bolesne dla uczonych”.

- Zabawne, prawda? Nawiasem mówiąc, Howard, muszę cię zapytać, co sądzisz o tych, którzy nadal żywią wątpliwości, czy Atum-hadu...

— Och! Pan Carter! Przepraszamy, że pan czeka, z naszymi najszczerzszymi sercami! — I z gabinetu dyrektora generalnego wytacza się niski sekretarz, bajdurząc usprawiedliwienia i słowa podziwu. — Wraca pan ze swojej willi w Gurnie? Nie spodziewaliśmy się pana, ale co za zupełne szczęście pana widzieć. — I tym podobne pochlebstwa, na dźwięk których Carter i ja tylko spojrzeliśmy na siebie, przewracając oczami.

— Co?! Jest tam też Carter? Zaraz go tu przyślij! — rozlega się dudniący głos z gabinetu dyrektora generalnego, dobrze ilustrując upodobania typowego biurokraty, który woli mieć do czynienia raczej z niegroźnym, przygasającym żarem minionych sukcesów niż z płonąącym ogniem obiecującej teraźniejszości.

Zachowanie Cartera, nawet podczas tych kilku kroków, które zrobił ze swojego fotela do gabinetu dyrektora generalnego, było imponujące. Gdybym był młody i podatny na zmiany, postarałbym się go naśladować, jego niewypowiedziane, ale wyraźne przekonanie, że wszystko, co ważne, jest jakoś bardziej złożone, niż potrafi zrozumieć laik, że jedyną niezbędną rzeczą jest czy sta intencja i że spokojna prostota zawsze przyniesie rezultaty. Choć może być nawet r e z u l t a t y nie są istotne (w końcu to jego szósty sezon) i zachowywanie się, jak gdyby chód z 1-ł o o rezultaty, jest usiłowaniem zrobienia czegoś bezprawnego lub brudnego. Jego postawa sugeruje raczej, że człowiek powinien się zachowywać tak, jakby przyznawał, że często nie ma wpływu na to, czy jego wysiłki zakończą się sukcesem, i sprawia — zdaje się, że trudno jest mi oddać dokładnie wrażenie, jakie wywiera Carter — sam słyszałem, jak mówili to inni, że czujesz się mały. Jakby wiedział więcej niż ty, ale nie czuł się z tego powodu lepszy od ciebie ani nie przeproszał za to, tylko chciał, dopóki jesteś w jego obecności, żebyś nie czuł się gorszy ani nie było ci przykro, ale żebyś dążył, tak jak on, nie do drobnostek, lecz do jakiejś nienazwanej wielkości i robił to z takim samym jak on, nie ulegającym ekscytacji, stylowym spokojem. I nigdy o tym głośno nie wspomniał.

Skinąwszy mi głowę na znak, że rozumie, jak niesprawiedliwie mnie potraktowano, prosząc go przede mną, ruszył do gabinetu dyrektora generalnego. Zanim jednak tam wszedł, ustaliliśmy, że będziemy później spotykali się często w Tebach podczas sezonu wykopaliskowego, by zjeść wspólnie kolację, i znowu pochwalił *Pożądanie i podstęp*.

DuBois poinformował mnie, że dyrektor generalny będzie przez resztę dnia zajęty, i powiedział, żebym wrócił „przy innej pogodzie”.

*Niedziela, 22 października 1922 r.*

Dziennik. Planowanie logistyczne: Wizyta w banku, ale niedziela jest oczywiście dniem wolnym w bankach w Ameryce, A więc jutro, jak tylko zostanie uruchomiony kredyt, pierwszym zadaniem będzie wynajęcie willi, najlepiej w pobliżu Gur-ny. Umówić się jutro na obiad z agentem. Przygotować harmonogramy, zacząć pakowanie. Nie wiem, które gramofony zabrać na południe — do willi i na stanowisko archeologiczne. Z jednej strony victrola XVII jest świetnym sprzętem salonowym i doskonale prezentuje się w pokoju. Edison audiogram 3 jest bardzo mały, doskonały do sypialni, by pomagać zasnąć. W zależności od tego, czy transport z willi do grobowca Atum-hadu będzie łatwy czy trudny, mógłbym zabrać columbia favorite, ale moc i głośność victrola XVII byłyby idealne do odtwarzania muzyki inspirującej moich ludzi i mnie. Popularnych piosenek. Ulubionych pieśni wojskowych.

Ale, jak przypomniał mi wczoraj Carter, największą przyjemność podczas wykopalisk sprawia słuchanie piosenek robotników, łatwych melodii, które śpiewają ci prości ludzie, zęby zająć czymś umysły, kiedy wybierają ziemię, nie interesując się samymi poszukiwaniami, a najśłodszym ze wszystkich dźwiękiem jest nagła cisza, która jak za dotknięciem magicznej różdżki zapada wszędzie, i od razu wiadomo, że jeden z nich coś odkopał. Carter mówił o tej ciszy z nostalgicznym zachwytem w oczach.

*Poniedziałek, 23 października 1922r.*

Dziennik: Najpierw bank, ale nastąpiła jakaś zwłoka. Kie równik banku pyta mnie, czy jestem „całkowicie pewien szczegółów moich umów finansowych”. Mam ochotę go uderzyć, kiedy zerka na mnie zza swoich groteskowych okularów, jeden z tych Anglików, którzy nie opalają się na brąz ani nie rozkwitają w upale tropików, nie pocą się obficie, lecz wysychają niczym spalone słońcem owoce, pozbawione ożywczego soku, trzymając się kurczowo swoich liczb i protokołów, jedynych rzeczy, które mogą uchronić ich przed całkowitym rozpadem.

Nieważne. Opóźnienia we współczesnym systemie finansowym należą do przeszkód stawianych na naszej drodze. Gdyby nasze zadanie było łatwe, każdy mógłby je wykonać, a nieśmiertelność byłaby tanim zaszczytem.

Obiad zjadłem w Klubie Badaczy w Kairze i muszę przyznać, że widok towarzystwa, w którym mam nadzieję pewnego dnia się znaleźć, wielce mnie poruszył. W czasie wojny w budynku tym mieścił się klub oficerski. Słyszałem o jego przekształceniu i spodziewałem się niejasno ujrzeć tam jakieś prostackie lub zabawne wyrazy hołdu dla ojców egiptologii i wykopalisk, być może coś, co może zwabić amerykańskich turystów, albo coś bardziej praktycznego, ładnie urządzonego dom spotkań, gdzie zubożali archeolodzy mogą dyskretnie dobierać się w pary z forsiastymi przyszłymi mecenasami, przedstawicielami mających skąpe zbiory, ale majątnych amerykańskich muzeów, albo znudzonymi i głupawymi angielskimi lordami, najlepiej cierpiącymi na nerwicę frontową i pogrążonymi w narkolepsji, wachlującymi się podpisanymi czekami.

Ale zobaczyłem coś zupełnie innego, być może świadectwo lekkiej próżności francuskich i angielskich konsulów generalnych, które wywarło na mnie duże wrażenie, jakby rozpostarła się przede mną olśniewająca panorama mojej przyszłości. W tym kolumnowym, zbudowanym z piaskowca budynku — który na pierwszy rzut oka wygląda na bank — wchodzi się do wyłożonego ciemnym drewnem holu, stąpając po czerwonych jak krew dywanach, a po bokach syczą niby kobry lampy gazowe w lazurytowych i kryształowych kulach. Napłynęła służba w fezach, która uwolniła mnie od ciężaru moich rzeczy, a potem stałem zupełnie sam, poprawiając mankiety koszuli i krawat, w mdłym świetle, pod baczными spojrzeniami galerii portretów ludzi, którzy byli tu przede mną, a z których każdy zostawił w piasku pustyni swoje znaczące, nieusuwalne ślady. Po lewej od lustra, w którym przyjrzałem się badawczo mojej twarzy, wisiał stary Henry Salt, którego pamiętniki pochłaniałem żarłocznie jako chłopiec. Następny był osiłek Salta, Belzoni, były atleta cyrkowy, który otworzył świątynię w Abu Simbel. Dalej półszalone, hipnotyzujące spojrzenie Fouerego, który rzekomo utrzymywał harem z pełnym błogosławieństwem rządu francuskiego, ponieważ dzięki temu pracował wydajnie w owym złotym wieku egiptologii, odwijając w poszukiwaniu złotych pierścieni mumie z krępujących je całunów. Następny był portret olejny Champol-liona, w białym kołnierzyku, ze sztywną szyją i lekko zezującego, jakby wysiłek włożony w odszyfrowanie kamienia z Rosetty sprawił, że wzrok i rozum zwinęły mu się niczym wąż. Wisiało tam jeszcze z tuzin innych, z których prawie wszyscy przeszli na emeryturę albo umarli, ostrzegłszy świat, że pod piaskami Egiptu nic już nie zostało, że sami znaleźli wszystko, do

ostatniego okrucha. I każdemu z nich dowiódł, że się mylił, jakiś śmiały facet, który poszedł w jego ślady i oznajmił z kolei, że on był ostatnim odkrywcą, któremu z kolei... i tak dalej.

Stałem pośród tych portretów, a moja widoczna w lustrze twarz wisiała między nimi jak z równymi sobie. Nad ramieniem widziałem odbicie oblicza Cartera. „Cześć, Trilipush” — powiedział obraz, tak wyraźnie, że gdybym nie był sam, zapytałbym towarzysza, czy też to usłyszał. Głupie urojenie, ale od razu zrozumiałem znaczenie tego szalonego przywidzenia, ten wybryk wyobraźni zbyt długo uwięzionej w mieście i wystawionej na demoralizujące pokusy hoteli i klubów. Słyszałem, jak ten panteon wita mnie w swoich szeregach.

W radosnym nastroju cofnąłem się do restauracji, by pośród stolików, wokół których siedzieli zwiędnięci, zatechli pracownicy konsulatów, poszukać osoby, z którą umówiłem się na obiad. Złośliwy *mattre d'hôtel* chciał odesłać mnie do biura po kartę członkowską, zanim mnie posadził, ale w porę zjawił się mój towarzysz i wkrótce siedzieliśmy, oglądając przyniesione przez niego zdjęcia stojących nad Nilem willi.

Parę minut później wszedł do restauracji Carter z krwi i kości i przeszedł blisko naszego stolika, ubrany, jak na portrecie, w lekką gabardynę, zerkając na mnie dziwnie i kiwając głową, jak to on.

- A, czujesz się lepiej, Trilipush, co?
- Na razie dobrze, stary. Unikam bardziej *recherche* mleczarskich wynalazków i wszystkiego, co pochodzi z naszego przyjaciela barana, ale poza tym nic nie powinno trzymać mnie z daleka od piasków pustyni.

Popatrzył na kilka zdjęć leżących na stole.

— Będziemy bliskimi sąsiadami — powiedziałem mojemu koledze, a on wyraził zadowolenie z tej wiadomości.

W końcu, pewien, że CCF i spółka wywiążą się z umowy, zdecydowałem się na dom na ustronnym przedmieściu Luksoru, na wschodnim brzegu Nilu, blisko promu na zachodni brzeg i drogi do Deir el-Bahan. Podpisałem umowę na pięciodniowy wynajem, z możliwością późniejszego przedłużania jej co miesiąc. Do tej pory bardziej logiczne może się okazać kupno domu, ale na razie jesteśmy ostrożni, podchodząc do naszego łupu. Zapłaciłem zadatek z własnych pieniędzy. Następne opłaty za wynajem będą musiały poczekać na rychły przekaz telegraficzny.

Nic w banku ani na poczcie.

Powrót do hotelu. Ze względu na Klub Badaczy długa sesja z portrecistą jest pilną koniecznością przed czwartkowym wyjazdem na południe.

*Wtorek, 24 października 1922 r.*

W banku żadnych wiadomości. Dlaczego M. nie zadbała o to, by właśnie do czegoś takiego nie doszło? Na pewno nie jest bezzasadne założenie, że powinna wziąć odpowiedzialność za to, co zaczęła, za bogactwo, którym mnie nęciła jak wieloma zwiewnymi zasłonami.

W Urzędzie Zabytków drzwi nadal nie do sforsowania.

Żadnych wiadomości na poczcie. Depesza do CCF, że czas nagli.

Nie zaprzeczę, że byłem trochę zdezorientowany, a nawet cierpiałem. Twoja ciotka bezlitośnie się ze mną drażniła. Czasami (kiedy mądrzej



myślałem, powiedziałbym teraz) dochodziłem do wniosku, że najlepiej będzie szybko wyjechać z Bostonu, ale kiedy informowałem ją, że zarezerwowałem bilet na statek, robiła nadąsaną minę i mówiła:

- No nie, jak możesz mnie zostawiać samą, bez nikogo, z kim mogłabym się rozerwać?

Zmieniałem plany, zostawałem, a kiedy widziałem ją następnym razem, trzymając bukiet kwiatów w trzęsących się rękach, pytała mnie z drwiną w głosie, dlaczego, na Boga, nie odpłynąłem jeszcze do Egiptu. Kiedy nie mogłem jej znaleźć, łapałem się na tym, że włóczę się po Bostonie (mieście bardzo odległym od domu), nie wiedząc, jak posunąć naprzód moje poszukiwania, które utknęły w miejscu, ani co napisać dla Finnerana, i szedłem zarezerwować bilet na kolejny rejs z Nowego Jorku do Aleksandrii, którego oczywiście nie wykorzystywałem. Wmawiałem sobie, że moi liczni klienci oraz zwroty w sprawie, którą prowadzę, wymagają mojej obecności w Bostonie. I może ona nie chciała Trilipusha, raz już prawie to powiedziała. Śmiejesz się ze mnie, Macy? Proszę bardzo, śmieję się.

Przychodziłem do Finnerana, mówiłem mu, że mam oko na Margarett (oczywiście nie mówiąc mu nigdy o tym, co się działo u JP, i dlatego nigdy nie wziąłem od niego ani centa za opiekę nad nią, to nie byłoby uczciwe). Starłem się, by zobaczyć tę sytuację wyraźnie, bez potrzeby szczegółowego mówienia o niej, ale sam nie mógł albo nie chciał widzieć, jak się sprawy mają. Prawdę mówiąc, szedłem do ich domu, mając nadzieję, że ją tam zastanę. Czasami była tam i jako czarująca gospodyni częstowała mnie w salonie lemoniadą i głaskała psy, i siedzieliśmy cicho, a ona szydziła ze mnie, bo nie wiedziałem, co jeszcze mogę powiedzieć, nie zdradzając jakiegoś sekretu -jej sekretu ojcu, sekretu Trilipusha jej, sekretu ojca jej albo

oczywiście mojego, którego utrzymanie było dla mnie najboleśniej, i patrzyła na mnie, jak zwijam się z bólu, i mówiła:

- Harry, stajesz się coraz cichszy. Postaraj się być zabawny, nie potrafisz? Nie obiecałeś mi kiedyś, że nie będziesz nudziarzem? Nie znoszę mężczyzn, którzy łamią obietnice.

Ale mimo to zjawiała się w moim hotelu (pewna, że znajdzie mnie tam czekającego z nadzieją w sercu) i prowadziła na wieczór do JP.

Potem, pewnego popołudnia, dzwoni do hotelu Finneran i zaprasza mnie do siebie, żebym udzielił mu „rady jako facet, który rozumie skomplikowane sytuacje”. Właśnie dostał telegram od Trilipusha - dzielny badacz przenosił się z Kairu na stanowisko archeologiczne na południu pustyni i potrzebował natychmiast pieniędzy inwestorów, które mieli przekazać telegraficznie do egipskiego banku. Wydaje się, że Finneran zwlekał z wysłaniem uzgodnionej sumy, kiedy zastanawiał się nad sprawą z Oxfordem, ale teraz widziałem, że wstrząs wywołany tamtymi wiadomościami już mija. Nie było wątpliwości, że Finneran mięknie. W ogóle nie chciał mojej rady. Było jasne jak słońce, że chce, żebym kłamał w żywe oczy.

- Margaret naprawdę kocha tego faceta - powiedział, jakby przemawiało to za czymś oprócz zmiany jej lekarstwa, nawet gdyby było prawdą. - I liczą na niego inwestorzy. I na mnie. - W jednej chwili zuje koniuszek cygara i skrywa twardość pod miękką powierzchownością jak prawdziwa, wydająca polecenia figura w świecie biznesu, w następnej prosi mnie (ani bliskiego kumpla, ani bezstronnego gracza) żałośnie o radę. W jednej chwili się wścieka, w następnej wygląda na zdezorientowanego i spiera się sam z sobą. - Dużo zależy od tej inwestycji - mruczy. - Nie jest to najlepsza pora, żeby źle ulokować pieniądze. Ale jeśli chcesz mieć zysk,

nie możesz się wahać i nie wywiązywać z umowy. Jeśli się zobowiązesz, nie możesz z powodu paru dolarów wiązać człowiekowi rąk.

Wtedy przemknęło mi przez myśl, że Trilipush ma w kieszeni całą tę rodzinę. Nie musi nawet być żadnego ukrytego skarbu!

Szaleństwo, które ogarniało tę rodzinę (nie obraż się, Macy), sprawiało, że czułem się jak stara, gderająca służąca: myślałem o jego córce siedzącej w salonie, o wstydzie, którego się naje, kiedy Trilipush nie wróci, kiedy całe bostońskie towarzystwo dowie się, że była zaręczona z naciągaczem i mordercą i że on ją porzucił. Im dłużej Finneran będzie płacił Trilipushowi, tym bardziej będzie oddalał się ten dzień sądu ostatecznego, aż w końcu Trilipush po prostu zniknie bez wieści, prawdopodobnie wyłudziwszy od Finnerana dość pieniędzy, by odnowić swoją posiadłość w Kencie, bo nowe pieniądze Finnerana będą tworzyły ze starym nazwiskiem Trilipusha ładny związek. A kiedy nadejdzie ten dzień, kto po czymś takim zechce Margaret? Ja bym zechciał, wiedziałem na pewno.

Rozmawiałem z Finneranem łagodnie. Powiedziałem, że uważam, iż Trilipush „może nie być mądrą inwestycją, że dowody na pewno każą podchodzić do niego z mieszanymi uczuciami”. Przyjął to dobrze. Posunąłem się więc ostrożnie dalej: jeśli Finneranowi naprawdę zależy na zdrowiu i szczęściu Margaret, to są inni mężczyźni, którzy zadbaliby o nią lepiej niż ten Anglik. Z wyborem mężczyzny, który już okazał się podejrzanym typem, w świetle wiadomości z Oxfordu, łączy się zbyt duże ryzyko. Powiedziałem, że moje śledztwo w sprawie jego przeszłości jeszcze trochę potrwa, ale może lepiej byłoby znaleźć dla niej kogoś o dowiedzionej uczciwości, nawet gdyby nie był zubożałym angielskim arystokratą. Finneran przyjrzał mi się uważnie, spokojniejszy teraz, i wydawało mi się, że mnie rozumie. Skinął

głową, podziękował za czas, który mu poświęciłem, i powiedział, że rozważy moje słowa. Ale ona?

Trochę niepokojące było to, że zażywa opium. Widziałem to. Nie byłem aż tak zaślepiiony uczuciem do niej i piszę do ciebie, Macy, tak jak obiecałem, bez usprawiedliwień i upiększania prawdy. Przypuszczam, że zanim wyszła za twojego wuja, uwolniła się od tych młodzieńczych słabości. Ale w październiku i listopadzie dwudziestego drugiego oddawała się im. Nie wiem, jak to zażywała, ale zdobywała to tam, na tej galerii, od tego podejrzanego J.P. O'Toole'a. A kiedy schodziła na dół, na kanapę, na której siedzieliśmy obok siebie, miała rozszerzone oczy i zwężone źrenice i wiedziałem, że odjechała daleko.

- Harry, kochany, jak dziwnie wyglądasz. Dlaczego nigdy ze mną nie pójdziesz? Poszedłbyś, kochany?

Nigdy nie poszedłem.

- Żyję milion lat, a ty tylko tę jedną noc - powiedziała mi raz, odpływając i cytując, jak myślę, to, co wyczytała w jakiejś książce. - Milion lat, Harry. Nie chcesz być interesujący i połączyć się ze mną na milion lat? Wyobrażasz sobie nas dwoje, jak razem idziemy w wieczność, mężczyzna i kobieta, dwa ciała złączone na milion lat?

Jestem dumny, Macy, z tego, co robiłem dla twojej ciotki, kiedy była w takim stanie. Chroniłem ją, tak jak chciał tego jej ojciec. Powinno to pokazać, kto był dżentelmenem - biedny australijski człowiek pracy czy ten Anglik z wyższych sfer. Zostawaliśmy w lokalu O'Toole'a tak długo, jak było trzeba, i czekałem, aż twoja ciotka powróci ze swoich trwających milion lat podróży, trzymałem ją za rękę, kiedy zasnęła, albo gładziłem po włosach i czole. Kiedy ponownie wracała do nas, zwykłych śmiertelników, dbałem o to,

żeby bezpiecznie i w tajemnicy dotarła do domu. Tak, powtarzam, martwiłem się tym opium, ale dla mnie była to tylko część jej, a kiedy mówiła mi, będąc w innym, dziennym, nastroju, że jest to tylko zabawka, którą bawi się, gdy ma taki kaprys, i z pewnością nie warto o tym wspominać jej przeciążonemu obowiązками ojcu, nic miałem siły, by w to wątpić. I jak widać z perspektywy czasu, miała widocznie rację. Jak inaczej mogłaby wyjść za twojego wuja i szczęśliwie z nim żyć?

*Środa, 25 października 1922 r.*

Dziennik: Dzisiaj boj hotelowy doręcza mi upominek, który zasługuje na parę cierpkich słów w moim dzienniku, drobną notę programową o biurokratycznej farsie naszej zdeprawowanej epoki, w której wszyscy musimy zaakceptować nasze role, chociaż obsadza się nas w nich na chybił trafił.

Panie Trihpush,

Pragnę wyjaśnić, że w obecnych okolicznościach należy uznać, iż na cały rejon Deir el-Bahan, jak zaznaczono na załączonej mapie, wyłączną koncesję mają profesor Winlock i Metropolitan Museum. Pańskie podanie zostało należycie rozpatrzone. Gdy tylko dojdzie do jakiegokolwiek zmiany w statusie Metropolitan, skontaktujemy się z panem. Gdyby wyprowadził się pan z Hotelu Sfinksa, proszę poinformować nas, pod jakim adresem w Stanach Zjednoczonych należy do pana pisać. Z przykrością muszę też powiadomić pana, że w ubiegłym tygodniu depeuszowałem do profesora ter Breuggenaz Uniwersytetu Harvarda, by uzyskać

potwierdzenie, że ubiega się wspólnie z panem o koncesję, a on — jestem pewien, że to nieporozumienie — odmówił umieszczenia zarówno swojego nazwiska, jak i nazwy Harvardu pod pana podaniem, chociaż prosi, bym przekazał panu od niego „życzenie wszystkiego najlepszego” [sic!].

Pański uniżony sługa, P. Lacau, dyrektor  
generalny Urzędu Zabytków

Jeśli chodzi o Claesa ter Breuggena, to moja droga katedra nie sprawiła mi żadnej niespodzianki. Zasługuje to *x\ a. Zjedz kolację z diabłem, ale używaj długiej łyżki* na victroli XVII.

Ter Breuggen. Claes ter Breuggen, waloński bufon, belgijski głęda, uprawiający to słowolejstwo po flamandzku, kieruje w katastrofalny sposób (na razie, jeszcze tylko przez parę miesięcy) harwardzkim wydziałem egiptologii, będąc kuratorem skromniutkich zbiorów uniwersytetu i opowiadając bzdury synom bostońskich bogaczy, którzy, biedni chłopcy, wychodzą, słaniając się na nogach, z jego mamrotanych pod nosem i często niesłyszalnych wykładów i przychodzą do mojego gabinetu po bardzo im potrzebne korepetycje.

— Słuchaj no, Pushy — zaczął pewien rumiany kretyn, zamroczony po wysłuchaniu typowego wykładu ter Breuggena, pełnego pochrząkiwań, oczyszczania gardła z flegmy i nosowego bełkotu, podczas którego pierwszy rząd słuchaczy może liczyć nie tyle na zaostrenie swojej ciekawości, ile na to, że wyjdzie z oplutymi twarzami — o co chodzi z tymi nosicielami

tranu dla faraona? Przecież tam było gorąco, wszędzie piasek i pustynia, mam rację? Pomyślałbyś, że to zupełnie nieodpowiednie warunki dla

wielorybów.

Ostatnim dniom ter Breuggena w roli najwyższego kapłana harwardzkiej egiptologn towarzyszy atmosfera nieuchronnie zbliżającego się końca interregnum, przeczucie, że niebawem pojawi się zwycięski bohater, który położy kres jego uzurpator-skim rządóm, chociaż knuje on intrygi, chcąc w okresie niestabilności pomieszać szyki swoim rywalóm za pomocą szkalujących ich pism. Na pewno powstanie przeciw niemu dzielny mąż z jego dworu, odniesie wielkie zwycięstwa za granicą i powróci do targanego niepokojami królestwa, by przywrócić porządek.

Ten uszminkowany diabeł obnażył kły na ostatnim zebraniu międzywydziałowej komisji do spraw stałego zatrudnienia, na którym rozpatrywano mój wniosek, stawiając mi obmierzłe zarzuty i zwierając po raz ostatni swoje wykruszające się szeregi. Kilku członków komisji — wstrząśniętych ohydnyimi oskarżeniami ter Breuggena kierowanymi pod moim adresem i jego gotowością do porzucenia wszelkich pozorów osobistej godności w trwożliwej kampanii przeciwko mnie — powiedziało mi po zebraniu, że komisja była mi przychylna, ale ter Breuggen straszył, nakłaniał, błagał i wręcz szlochał, byle tylko utrzymać mnie na moim podrzędnym stanowisku. Nawet dziekan Warren, który przewodniczył tym wrzaskliwym obradóm, wziął mnie później na stronę, by dodać mi ducha, życząc powodzenia ekspedycji i praktycznie gwarantując stały etat, jeśli dokonam znaleziska, przyczyniając się w ten sposób do wiecznej chwały Harvardu.

Wstrętne zachowanie ter Breuggena ma proste wyjaśnienie — czuje on do mnie urazę za to, że kiedy zacząłem pracować na wydziale, odmówiłem przekazania fragmentu C do jakich-

kolwiek zbiorów, których jest kuratorem, mimo że wybałuszał oczy i ślinił się na widok tego papirusa. Nieważne. Teraz, niedopuszczony przez tego zepsutego kapłana do szacownego grona, czekam na właściwy moment, walczę za królestwo za granicą, zdobędę sławę i powrócę.

Bank. Nic.

Poczta. Nic.

Bank. Nic.

*Czwartek, 26 października 1922' r.*

Dziennik: Południe, ostatni dzień pierwszej fazy. Kwatera główna ekspedycji zmierza w kierunku południowym. Nowy początek, więc znowu czuję przyływ sił i natchnienia. Wściekałem się, czekając w tym hotelu, bo miasto i luksusy gasiły z wolna mój entuzjizm. A teraz byłem bardzo zajęty przez cały dzień, bo konieczna była pewna improwizacja. Później wysłałem list do dyrektora Lacau z podziękowaniem za wiadomości i adresem willi, w której będę spędzał wakacje i czekał „na jakiegokolwiek szczęśliwe zmiany w statusie pana Winlocka odnośnie do Deir el-Bahari”. Wizyta w banku, żeby sprawdzić, czy coś się wreszcie ruszyło w sprawie pierwszej raty.

Tam jednak żadnych wieści, co jest przykre z punktu widzenia spraw zawodowych i osobistych, ale najwyraźniej jest jakiś kłopot z systemem i są to trudne przeszkody, przy których pokonywaniu nabijamy sobie sińców w każdej podróży. Uzyskałem potwierdzenie, że mają adres i telegraficzne namiary analogicznego banku na południu. Powiedziałem parę ostrych słów temu małemu urzędniczynie, który tak mnie irytował w minionych tygodniach. Niestety, pomiędzy moją zaciskającą się pięścią a jego



-wyrażającą zadowolenie z siebie twarzyczką  
znajdowały się pomalowane na czarno żelazne pręty (bez -wątpienia z  
tego właśnie powodu, bo angielscy bankowcy z klasy średniej nie są  
całkowicie nieświadomi wrażenia, jakie wywierają na innych).

Poszedłem odebrać moje nowe garnitury, ale okazało się, że ponieważ w  
międzynarodowym systemie przesyłania pieniędzy panuje taki bałagan,  
mogę, po diabelnie trudnej selekcji, zaakceptować tylko dwa z nich — z  
egipskiego diagonalu i lekkiej gabardyny. Zapewniłem biednego krawca,  
że dostanie zapłatę za pozostałe, kiedy po nie przyślę.

Portrecista nie skończył jeszcze swojej pracy. W jej obecnym stanie  
przedstawiony jestem w pełni barw od czubka głowy do górnej wargi, a  
niżej rozpląwam się w naszkicowanych brązowych liniach. Ujął mnie  
patrzącego na wprost, ale z głową zwróconą nieco w bok. Ładna robota.  
Wyobraził sobie jednak jakieś obciążenie pod moim prawym okiem,  
którego nie potwierdza żadne lustro i nie może tolerować żadna galeria.  
Poinformowałem więc malarza, że po poprawieniu i ukończeniu obrazu  
ma go dostarczyć do Klubu Badaczy, gdzie może odebrać zapłatę.

Powrót do hotelu, gdzie kierownik porannej zmiany, Egipcjanin, chciał  
się dowiedzieć, jak długo jeszcze będą mieć przyjemność mnie gościć,  
ponieważ przedłużyłem pierwotną rezerwację. Międzynarodowy system  
telegraficznego przekazywania pieniędzy doprowadza człowieka do furii  
— ci tubylcy starają się jak mogą, prowadząc całkiem niezły hotel w miarę  
swoich możliwości, i jest przygnębiające, że są tak zdani na łaskę i  
niełaskę banku. Ale będę oczywiście potrzebował głównej bazy w Kairze,  
nawet kiedy będę pracował na południu — adresu do przesyłania  
korespondencji, apartamentu do dyspozycji w razie potrzeby, miejsca na

przechowanie paru rzeczy, *pied-a-terre* dla mojej narzeczonej albo partnerów w interesach, kiedy będą przejeżdżali przez miasto, centralnego ośrodka podczas pewnych organizowanych przez rząd uroczystości planowanych na początek grudnia. A zatem znakomita wiadomość dla kierownika: najdroższy apartament będzie zajęty aż do połowy zimy. Zatrzymuję go na razie do 1 stycznia, a może trochę dłużej, zadeszczuję z Luksoru i podam ostateczną datę. Wpłacam pewną część mojego salda bankowego tytułem zadatku na wynajem apartamentu do tego czasu. Rozdaję egzemplarze *Pożądania i podstępu w starożytnym Egipcie* recepcjoniście, bojom, afrykańskim pokojówkom i tak dalej. Do pozostawienia w apartamencie: victrola XVII, największy z moich gramofonów. Do zabrania w podróż na południe: papier firmowy na zapiski w dzienniku, odpowiednie ręczniki i komplety pościelowe — absurdalny herb i dewiza hotelu rozbawią wszystkich na stanowisku. Każę zabrać moje bagaże do portu i rozkoszuję się ostatnim napitkiem na werandzie, uzupełniając jednocześnie dziennik. Będzie mi brakowało baru Setehmet, znajdującego się w holu hotelu, ozdobionego malowidłami przedstawiającymi starożytną boginię o głowie lwicy, która zniszczyłaby ludzkość, gdyby kiedykolwiek pozwolono jej wytrzeźwieć. Będzie mi też brakowało obsługi. Jestem starszy niż w czasach, kiedy służyłem w wojsku, i nie mogę powiedzieć, że wygody nic nie znaczą. Och, nie zrozum mnie źle, z rozkoszą położę się znowu na łóżku polowym pod rozgwieżdżonym niebem, strzegąc mojego znaleziska, zmagając się na przemian z upałem i chłodem, śpiewając i gawędząc z tubylcami, którzy traktują mnie i jak jednego ze swoich, i jak naturalnego przywódcę, ale nie jestem już tak twardy i gotów z takim poświęceniem

znosić wszelkie trudy. Szesnaście nocy spędzonych w przepychu Hotelu Sfinksa, w gładkiej pościeli drukowanej w sępy, sfinksy, kobry i napisy HORUS POŻERA SERCA NIEGODZIWYCH... Będę się rozgrzewał tymi obrazami (i wspomnieniami, które ze sobą niosą) w chłodne pustynne noce.

Ostatnia wizyta w banku: nic.

I w końcu, nareszcie, rozpoczęła się moja wielka wyprawa — piszę teraz na pokładzie parowca *Cheopd*. Przede mną 500-milowa podróż na południe, 500 mil w górę Nilu, do miejsca, gdzie Marlowe i ja znaleźliśmy fragment C i gdzie później mój towarzysz stracił życie.

Statek odpływa o zachodzie słońca i z białego pokładu pod przyoblekającym się w purpurę niebem, nad skłębionymi, czerniejącymi wodami Nilu, widzę, jak Kair zostaje z tyłu, tłum na nabrzeżu, światła placu, dym unoszący się z domów, kawiarni i sklepów, mieszający się z dymem buchającym z komina statku. Niemal widać z tej odległości uśmiechnięte twarze tragarzy, kiedy siadają na nabrzeżu, by rozpocząć bez zwłoki studiowanie *Pożądania i podstępu w starożytnym Egipcie* (Literatura Miłosna Collinsa, 1920). Mam na sobie garnitur z diagonalu, uszyty przez jednego z największych egipskich mistrzów igły. Opieram się o drewnianą balustradę od strony portu. Odprężony, patrzę, ciesząc się na myśl o tym, co mnie czeka, na przesuujące się powoli narcystyczne palmy na brzegu i prawie nagich chłopów, niemal nie różniących się od wizerunków na starożytnych papirusach. Podziwiam panic na pokładzie — prawie same Amerykanki, zauważam — i myślę o domu (tak odległym) i przeznaczeniu (tak bliskim), i uświadamiam sobie z irytacją zapowiedź

nadchodzącego, strasznego bólu żołądka. Schodzę do kabiny.

Później, spokojniej, niżej. Udało mi się wkrótce podnieść do poziomu baru, ponieważ bóg brzucha dał mi chwilę wytchnienia po zaledwie godzinie zmuszania mnie do oddawania mu hołdów. Łagodzące napitki na i pod pokładem. I tercet jazzowy w barze, Egipcjanie grający, trzeba im to oddać, całkiem umiejętnie. Kiedy tańczyłem z turystkami słuchającymi w nabożnym skupieniu opowieści o badaniach archeologicznych, lider zespołu, w czerwonym smokingu i fezie, brzdąkał na bandžo, drugi dął w powgniatany kornet, a trzeci śpiewał z zachwycającym akcentem piosenki, takie jak *Szcze/ciarz z ciebie, Uwielbiam Aziza i pozodlane przy nim i:*

*W starym Egipcie faraon Kazał się Żydom  
zgromadzić*

*I żyć tam, aż w końcu Mojżesz Zapragnął ich  
wyprowadzić.*

*„Pozwól nam odejść, panie”. „Nie”— mówi  
faraon stary,*

*A potem dzieciątku Jezus Składa bogate dary.*

Właśnie. Takie strofki i oleiste fale, które zostawia za sobą statek, wprawiają człowieka w osobliwą dezorientację, której dżin nie jest w stanie całkowicie przezwyciężyć.

Margaret: Dzisiaj wieczorem na statku do Luksoru, przy stoliku zastawionym dla trzech osób, towarzyszyło mi podczas kolacji starsze amerykańskie małżeństwo. Przypuszczałem, że są w swojej pierwszej

zagranicznej podróży, będącej słodką nagrodą za życie spędzone na oszczędzaniu, a na statek, którym mieli popłynąć ku podniecającej, przedostatniej przygodzie, odprowadziły ich dzieci i wnuki. Tymczasem okazało się, że są znacznie bardziej zasobni, co jest mi trudno wyjaśnić, kiedy leżę teraz w mojej kabinie, starając się pojąć, na czym polega ich urok, kiedy morzy mnie sen i wspomnienia tego, co mi dzisiaj pokazali, zasnuwają moje myśli mgłą. Są niepodobni do żadnej ze znanych mi osób. Promienieją taką łą g o d n o ś c i ą .

Pochodzą z Minneapolis czy jakiejś innej dziwacznej wioski z porośniętej kukurydzą głębi twojej Ameryki. Len i Sonia Nordaquistowie są filarami tamtejszej społeczności. On zajmuje kierownicze stanowisko w jakimś koncernie przetwórstwa zbożowego i jest zafascynowany tym, jak Egipcjanie zbierają i przerabiają len i proso. Ona jest członkinią rady ich małomiasteczkowego muzeum, teatru, szkoły dla głuchoniemych i różnych innych instytucji. Oczywiście wcale nie wyglądali na ważne osoby. W podróży ubraniach (on w lekkim, tweedowym, szkockim stroju myśliwskim, ona w stylizowanym kapeluszu tropikalnym z symboliczną siatką chroniącą przed komarami, zawiązaną pod brodą) te dwie szare gąski przejawiały szczególną amerykańską zyczliwość. Kiedy tylko mogli, siedzieli, trzymając się za ręce, ale ona często ujmowała moją dłoń swoimi starczymi palcami, a Len klepał mnie po ojcowsku po ramieniu. Kiedy jedno z nich zirytowało czymś drugie, burczeli, przewracając oczami i trzęsąc głowami, jakby nie mogli się nadziwić głupocie partnera, ale chwilę później znowu trzymali się za ręce albo gładzili po obwisłych policzkach. Len strasznie cierpi z powodu tutejszego klimatu albo kurzu; jest niemal ustawicznie zakatarzony, ale Sonia podaje mu

chusteczkę, nie spojrzawszy nawet na niego ani nie przerywając rozmowy. Wydaje się, że opiekowanie się nim stało się dla niej czymś równie naturalnym jak oddychanie. Był to naprawdę widok, M., zupełnie zniewalający, i patrząc na nich, myślałem o tym, jak my będziemy starzy.

Wypytywali mnie o Oxford i o ciebie, o moje badania i hipotezy. Tryskali entuzjazmem, słuchając opowieści o Atum-hadu, poprosili mnie nawet, żebym wy recytował jedną czy dwie kwarty ny.

— Och, musisz nam przedstawić najbardziej skandalicz ną — poprosiła Sonia, a Len zgodził się na to, kichając:

— Tak, proszę. Nie oszczędzaj naszej wrażliwości.

Zacząłem od czegoś łagodnego, twojej ulubionej kwarty ny 35 („Będziesz do mnie należała”), ale kiedy doszedłem do końca, Sonia miała skonsternowaną minę.

- I to wszystko? Naprawdę? Nie rozumiem, o co ten cały hałas. Na pewno są też bardziej pieprzne?
- Zdecydowanie skandynawska — zgodził się z nią Len. — Czy ten twój Atum-hadu był luteraninem?
- No dobrze — odparłem — spróbujmy kwarty ny 57: „Zbudzona ze snu kobra królewska”.

Po cichszej recytacji (jazzband odpoczywał i niektóre z młodszych pań w jadalni wydawały się spoglądać w naszą stronę i pochyłać, żeby mnie słyszeć) starsi państwo tylko wydęli usta i kręcili głowami, oboje w identyczny sposób.

- Taaak — powiedział Len z powątpiewaniem — przypuszczam, że ten obraz węża może niektórym wydać się pikantny, ale na podstawie twojego opisu tego człowieka spodziewałem się czegoś więcej.

- W porządku, weźmy kwartyne 48. — Nachyliłem się ku nim i recytowałem szeptem, ponieważ pozostałe osoby obecne w jadalni zupełnie przestały rozmawiać. Teraz Sonia wyglądała na przekonaną, zasłaniając dłonią usta, a Len kiwał w milczeniu głową.
- O rany, o tak — westchnęła Sonia. — Musisz znaleźć grobowiec tego faceta! Jest czarujący!
- Będę musiał to wyrecytować na następnym spotkaniu mojej loży — powiedział Len, a Sonia mu przytaknęła: — Zapisz mi to, proszę. Należę do klubu poetyckiego w Minneapolis i pozostałe panie uznają, że wykazałam się sprytem, znajdując coś takiego.

Obiecałem, że dam im egzemplarze *Pożądania i poddtepu*, zanim opuszczą statek, co przyjęli z ogromną radością i wdzięcznością. Zrewanżowali się ujmującym zaproszeniem do wspólnego zwiedzania Teb i Doliny Królów oraz do odwiedzenia ich w Minneapolis i spędzenia lata w ich domu nad jakimś jeziorem o niezwykłej indiańskiej nazwie.

Jedliśmy jagnięcinę i kuskus i piliśmy całkiem dobre bordo, a przy deserze (kleistym miejscowym cieście z miodu i sezamu oraz wodzie z kwiatami pomarańczy) Sonia podała Lenowi czystą chusteczkę, czekając, aż znowu wydmucha nos, po czym zapytała go:

— No i jak, proponujemy to naszemu nowemu znajomemu?

Na co Len odparł:

— Ależ tak. Myślę, że Ralph skwapliwie skorzysta z tej szansy. Poza tym chcę poznać tego starego rozpustnika.

Sonia obróciła się do mnie, pogłaskała grzbiet mojej dłoni, spojrzała mi w oczy z figlarnym uśmiechem i zapytała, czy chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o moim Atum-hadu lub swych szansach na odnalezienie go,

a może nawet gdzie jest w tej chwili.

Och, jaka szkoda, pomyślałem z prawdziwym smutkiem, że tak szybko straciłem coś cennego, ci starszycy są obłąkani.

- Macie dostęp do takich informacji? — spytałem, starając się usilnie ukryć przerażenie.
- Być może tak — odparła Sonia i uśmiechnęła się szeroko z radością i ekscytacją, podczas gdy Len kiwał poważnie głową i powtarzał:

— O tak, mamy, drogi przyjacielu.

Czyżby mieli jakieś naukowe przygotowanie? Może jeden z młodych Nordquistów był egiptologiem na akademii rolniczej w Minneapolis?

— Cierpliwości, Ralphie, cierpliwości — powiedziała Sonia z chytrym uśmieszkiem, kiedy poszedłem za nimi, dziarskimi jak na swój wiek, korytarzem biegnącym z jadalni, główny mi schodami w górę i chybotliwym przejściem pod drzwiami ich kajuty.

Mieli kajutę co najmniej sześciokrotnie większą od mojej, a ja też nie szczydziłem pieniędzy na tę podróż (nadal pokładając wiarę w twojego ojca i spółkę, co zresztą i teraz czynię). Obok pianina, na okrągłym stoliku, przykrytym sięgającym prawie podłogi zielonym sukniem, stał srebrny kandelabr o trzech splecionych ze sobą ramionach, a w każdym tkwiła cienka świeczka w pasy jak u zebry, i Len zapalił je przed zgaszeniem elektrycznego oświetlenia sufitowego i zasłonięciem iluminatora.

— Siadaj, drogi chłopcze — powiedziała Sonia, przysuwając do stołu trzy małe krzesła na kółkach.



Dołączył do nas Len i moi sąsiedzi ujęli mnie za ręce.

- Och, czuję, że dziś wieczorem jest cudowna atmosfera, prawda, misiu? — zapytała, a Len odparł:
- Tak, najdroższa, powietrze prawie wibruje.
- Powiedz, proszę, jak się nazywasz i o co ci chodzi, serce — powiedziała i ze zdumiewającą siłą ścisnęła moje palce. — Zęby wszyscy usłyszeli.
- Nazywam się Ralph M. Trilipush i jestem adiunktem na wydziale egiptologii Uniwersytetu Harvarda, autorem *Pożądania i podstępu w starożytnym Egipcie*, wydanego przez Literaturę Miłosną Collinsa w 1920 roku, którego nowe wydanie ukaże się w Harvardzie w przyszłym roku. Jestem czołowym badaczem zajmującym się królem Atum-hadu z XIII dynastii. Przybyłem...

W tym momencie zgasły świece. Nie zdmuchnął ich ani Len, ani Sonia. I, Margaret, nie zgasły tak, jakby je zdmuchnięto, pochylając płomień w stronę podmuchu. Nie, zgasły same z siebie, poczerniałe od czubków w dół, bez śladu czy zapachu dymu. Byłem oszołomiony, jak byłby każdy na moim miejscu, i podejrzewałem jakąś sztuczkę, chociaż nie potrafię powiedzieć jaką.

- Och, bardzo dobrze! — powiedziała Sonia, ściskając moje palce tak mocno, że przestała w nich krążyć krew. — Zostałeś naprawdę szybko wysłuchany!
- Czy to Jego Wysokość, wielki król Atuum-hadu? — zaintonował główny sprzedawca największego producenta żywności w Minnesocie. I, Margaret, w tym momencie stół lekko podskoczył. Trik, Margaret, oczywiście trik, a jednak efekt był wtedy naprawdę zdumiewający. A

poza tym byli oboje za starzy, zęby podnieść stół kolanami.

- Czy masz jakąś wiadomość dla naszego drogiego przyjaciela profesora? — zapytała Sonia i stolik znowu podskoczył.
- Czy chcesz, żeby profesor cię odnalazł? — Podskok.
- Chcesz mu powiedzieć, gdzie może cię znaleźć? — Podskok.
- Czy uda mu się ciebie odnaleźć? — Podskok.
- Czy ktoś mu pomoże? — Podskok.
- Ktoś z tego statku? — Podskok.
- Chcesz przemówić przez deskę? — Podskok.
- Twoje życzenie jest dla nas rozkazem, wielki królu — powiedział Len jak świetnie ułożony dworak.
- Poczekaj sekundę — powiedziała Sonia, prosząc Jego Wysokość króla Atum-hadu, żeby się nie rozłączał, podczas gdy ona przyniosła kartkę papieru, by zapisać wiadomość. Uwolniła swoją dłoń i odeszła od wibrującego stolika, szperając przez minutę czy dwie w ciemnościach spowijających kajutę. Zapaliła ponownie jedną ze świec i położyła na stoliku jakąś planszę. Trudno jest mi opisać ten osobliwy przyrząd.

Była to wygięta

deseczka z wymalowanymi, ozdobnymi literami i cyframi. Na planszy Sonia umieściła coś w rodzaju soczewki z krzyżem ze strzałką pośrodku, wystarczająco dużą, by mogła wskazać którąś z namalowanych liter. Soczewka została umieszczona na spoczywającym na małych kółeczkach krążku z kości słoniowej, z delikatnymi, wyłożonymi aksamitem wgłębieniami na czubki palców. Następnie Sonia położyła moje ręce na tym krążku. W mdłym świetle jednej świeczki w czarno-białe pasy ich cztery stare dłonie wydawały się na tym osobliwym przyrządzie bardzo

blade, jakby również zrobione z kości słoniowej.

— A więc pytaj, drogi chłopcze. On czeka na twoje pytania.

Nie zrozumiałem, co mam robić.

— Och, ja zacznę — mówi Len. — Wielki królu Atuum-hadu, kto najbardziej pomoże naszemu przyjacielowi Ralphowi w poszukiwaniu ciebie?

I wtedy szkło i kość słoniowa zaczynają smyrgać pod naszymi dłońmi po stole, zatrzymując się to tu, to tam, bardzo precyzyjnie kierując strzałkę na litery AHAHRTNW.

- Ach, to tak — obruszył się Len, besztając króla. — Jego Wysokość zdaje się dobrze bawić naszym kosztem.
- Wasza Wysokość, nie jesteśmy tu dla twojej rozrywki. Może nie wiesz, jak traktujemy królów w naszych czasach (bez obrazy dla ciebie, Ralphie, i dla twoich bliskich). Jeśli nie chcesz rozmawiać z nami, to trudno, ale nie będziemy tego tolerować — i Sonia wręcz zrugła ducha ostatniego króla z XIII dynastii za wyprawianie „dziecinnych figli”. Nastąpiła chwila ciszy i spokoju, po czym krążek znowu śmignął, omal nie odrzucając moich palców, i wskazał te same litery: AHAHRTNW.
- Może on po prostu chce poprzestać na „tak” i „nie” — zasugerował Len.
- Nie, nie — w końcu odzyskałem głos. — Pozwólcie mi spróbować. Panie Nilu, Panie Dwóch Królestw, gdzie mam cię szukać? RXKST.
- No, tego już naprawdę za wiele! — krzyknęła Sonia, zdejmując dłonie z krążka, który pod niezrównoważonym ciężarem palców Lena i

moich przechylił się na bok. — Naprawdę, muszę cię przeprosić, drogi Ralphie — powiedziała, kiedy włączyła światło elektryczne i wszyscy zmrużyliśmy oczy w jaskrawym blasku z lat dwudziestych. — Wiesz, miałam nadzieję.

- To wszystko było dla mnie fascynujące — odparłem. — Podchodzę do tych spraw w sposób naukowy, nie mogę więc powiedzieć, że zbytnio w to wierzyłem.

- Oczywiście, że nie, mój drogi, oczywiście — rzekła Sonia i uśmiechnęła się dokładnie tak, jak chcesz, żeby uśmiechała się twoja matka, kiedy pozwala, żeby kłamstwo uszło ci na sucho.

Życzyłem im dobrej nocy i zostawiłem ich w drzwiach kajuty, trzymających się za ręce i machających do mnie na pożegnanie, a teraz leżę w mojej kołyszącej się kajucie (irytująco spartańskiej teraz, kiedy zobaczyłem, co jest dostępne na tym statku — myślę na pół serio, żeby wrócić do Kairu i powiedzieć człowiekowi w agencji sprzedającej bilety, co o nim myślę).

Nie chcę sprzyjać szarlatanerii, Margaret, ale ci cudowni ludzie musieli być doświadczonymi, biegłymi w swojej sztuce, dobrze zgranymi iluzjonistami i uczynnymi egiptologami amatorami, życzącymi mi szczerze powodzenia, bo jak inaczej wyjaśnić, że AHAHRTNW plus parę odstępów między tymi literami, dają „aHA Hr Tnw”, co znaczy w standardowej transliteracji na alfabet łaciński „bojownik o honor”, a „rx-kst” przekłada się, co do litery, na bardzo zachęcające: „Znasz to miejsce?” Co mam o tym napisać, Margaret? Widziałem, co widziałem. Wierzę w to nie bardziej niż ty. To nie mogło się zdarzyć, ale się zdarzyło.

Właśnie się obudziłem, jest 4.15 według mojego zegarka. We śnie

brzęczenie drewnianych ścian mojej kajuty, wprawianych w wibracje przez maszyny na statku, stało się pomrukiem niecierplivej publiczności zebranej w sali wykładowej, podobnej do tej, w której cię poznałem, ale nieskończenie większej. Tysiące osób czekają na moje słowa. Siedzę przy stole na podium z tekstem wykładu przed sobą i paroma kartkami w ręku, w których rozpoznaję owoc moich chłopięcych wysiłków napisania czegoś pismem demotycznym. Jest mi trochę niewygodnie z powodu nakrycia głowy, uciskającego mi czoło pod ciężarem złotych figurek przedstawiających sępa, sfinksa, kobrę, ciebie, twojego ojca, Ingę i Nordąquistów. Obok mnie siedzi na podwyższeniu Carter, bardzo gadatliwy, chociaż w narastającym zawodzeniu, dobiegającym z dalekiego końca wypełnionej bostońską publicznością sali, jest mi niezwykle trudno skupić się na jego pochlebstwach: „Sprawą najwyższej wagi, co musimy zawsze podkreślać, jest sposób, w jaki przechodzimy z komory do komory grobowca... mój podziw wykracza daleko poza twoje odkrycia i obejmuje również twoje serce”. Zawodzenie staje się głośniejsze i ogarnia cały tłum, rząd za rzędem bostońskie damy podnoszą się nagle i wrzeszczą z wykrzywionymi twarzami, wyrzucając w moim kierunku ręce i programy z rozpaczliwym błaganiem. „Jak udaje ci się zachować spokój wobec takiej presji?” pyta wyraźnie zdenerwowany Carter. Teraz zawodzi już połowa tłumu, szarpiąc kołnierzyki i paski, gardłowe wycie, dźwięk stary jak Egipt, wydawane przez bostońskie damy, dziekana Warrena, profesora ter Breuggena, wszystkich służalczych, łamiących prawo wspólników Finnerana. Ingę zdarła ubranie ze swojego wspaniałego ciała i nawet ty wstajesz teraz, otrząsając się z mrocznego otępienia spowodowanego środkami przeciwbólowymi, i zaczynasz lamentować jak wszyscy, a ja

podnoszę

się zza stołu i kroczę zdecydowanie naprzód, nagi i potężnie trójnozny, trzymając w jednej ręce tekst mojego wykładu i wciąż bijące serce Cartera w drugiej.

Jestem zmęczony. Mam ciężkie powieki, ale czuję się silny, dziwnie silny.

*Piątek, 27 października 1922 r.*

Obudziłem się późnym rankiem i usłyszałem od jednego ze stewardów, że w nocy wybuchła awantura między dwoma pracownikami kuchni i że jeden z tych diablów ranił drugiego nożem kuchennym, zanim obezwładniło go dwóch kelnerów. Dowiedziałem się też, że powodem tej bójki stała się obelga rzucona przez jednego z tych czarnych pod adresem amerykańskiego turysty i że ten drugi Egipcjanin wszczął bójkę, bo nie mógł ścierpieć chamstwa wobec przybyszów z Zachodu. Bronił znieważonego Amerykanina przed własnym rodakiem. Bojownik o honor.

Udało mi się w końcu przekonać stewarda, zęby zaprowadził mnie do pomieszczenia, gdzie leżał ten nieszczęśnik w bandażach, powracając do zdrowia po cięciach zadanych mu w ręce i w plecy. Jego angielski nie był zły, ale rozmawialiśmy głównie po arabsku. Przedstawiłem się, wyjaśniłem ułamek moich planów, podarowałem egzemplarz *Pożądania i podstępu w Aarozylnym Egipcie* (zadedykowany „bojownikowi o honor”) i zdawkowo opisałem, co spodziewam się znaleźć w grobowcu króla. *Zadałem* mu parę pytań, a odpowiedzi były bardzo satysfakcjonujące — pochodzi z Luksoru, zna ścieżki i peryferie terenu leżącego na zachodnim brzegu Nilu jak własną kieszeń. Czy ma silnych przyjaciół, którym można

zaufać? Tak. Czy chce zarobić więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek dotąd widział? Tak. Czy chce wziąć udział w przedsięwzięciu ważniejszym od opróżniania popielniczek na statku rzeczonym? Niezbyt rozmowny i skory do uśmiechu, mimo zapału, z jakim stanął w obronie znieważonych ludzi z Zachodu, Ahmed zmierzył mnie badawczym spojrzeniem od góry do dołu i bezczelnie się zgodził (zupełnie jak starszy sierżant sztabowy, którego kiedyś znałem — krótko przystrzyżone włosy i warknięcia). Tak czy inaczej, moja ekspedycja ma teraz wodza, chociaż potrzeba było trochę negocjacji, by przekonać go, żeby pracował za pensję i bakszysze, a nie za „udział w skarbie”. I chociaż nie podskoczył z radości, nie skłonił się nisko, nie ślubował służyć mi do ostatniej kropli krwi, to nic, przecież zaledwie parę godzin wcześniej został ranny.

Dałem mu adres mojej willi i instrukcje dotyczące wstępnych zakupów i zatrudniania robotników. Podkreśliłem, że ważna jest dyskrecja. W odpowiedzi pokiwał głową. Poprosił o dwa dni na dojście do zdrowia i załatwienie spraw osobistych na łądzie. I na tym zakończyło się nasze spotkanie. Czekałem na wybuch wdzięczności albo dziecięcą radość, ale otrzymałem tylko nieruchome spojrzenie.

Śniadanie z Nordquistami, miłe pożegnanie. Dałem im adres mojej willi, zaprosiłem, żeby mnie często odwiedzali, zwiedzili moje stanowisko archeologiczne, kiedy rozkręcą się działania publiczne. Byli, co zrozumiałe, podekscytowani.

Dziennik: Wsiadam w Luksorze! Przedstawiciel agencji wynajmu czeka z wózkiem zaprzężonym w osły, by zabrać do willi mój bagaż, przyjmuje zapłatę do 30 listopada. Sprawy bankowe stają się teraz pilne.

Banki zamknięte aż do niedzieli.

Po rozpakowaniu się i otrzymaniu klucza przeprowiam się promem przez Nil, wynajmuję osła i wyprawiam się na spacer po świętej ziemi, której nie widziałem od siedmiu lat, od 1915 roku, świętej w równej mierze dla starożytnych i dla mnie.

Trudno mi opisać, co czuję, kiedy mijam niewyobrażalnie zmienione miejsca, turystów w okolicach, w których w 1915 roku nie było niczego prócz piaszczystych wydm, wciąż kryjących tajemnice; truchtam obok patrolujących teren funkcjonariuszy Urzędu Zabytków; obok świątyni Hatszepsut w Deir el-Bahan; obok odgrodzonego obszaru, gdzie za kilka dni znowu zaczną kopać Winlock z Metropolitan Museum. Przejechałem na osle obok tego wszystkiego, mijając stanowisko Winlocka, wspinając się na kolejne wzgórki, sunąc łagodnie wznoszącym się i opadającym wzdłuż urwiska terenem, aż w końcu rozpoznałem obiekty i znaki, które zostawiłem z Marloweem siedem lat temu, w dniu, w którym odkryliśmy fragment C i umknęliśmy z nim w tak niesłychanym pośpiechu.

Po takim rekonesansie doświadczony badacz może ocenić, co go czeka, ocenić skalę przedsięwzięcia: w ilu miejscach kopać, ilu ludzi zatrudnić, ile pracy nas czeka, jakiego specjalistycznego sprzętu potrzebujemy. Naszkicowałem piórkiem ścianę urwiska, zaznaczając każdą możliwą szczelinę, wyznaczając strategię, szeregując najbardziej obiecujące miejsca, ustalając priorytety, zależne od dostępnego czasu i pieniędzy.

O ile finanse dopiszą, to do początkowych badań wystarczy jakichś dziesięciu ludzi, ale w miarę postępu prac ich liczba szybko wzrośnie. Wraz z Marloweem oceniłem, że w tym wypadku nie będzie potrzeba kilkuset ludzi, którzy przesypywaliby ogromne ilości ziemi. O ile finanse



dopiszą. Sprawa rozwiąże się w niedzielę.

Dziś w nocy śpię w mojej willi na ustronnym brzegu Nilu, bliżej mojego króla i przeznaczenia.

*Sobota, 28 października 1922 r.*

O „zgadywaniu”, gdzie znaleźć grobowiec: Czytelnik pyta, całkiem rozsądnie, jak można stracić z pola widzenia grobowiec na trzy i pół tysiąca lat i skąd wiadomo, gdzie go znowu szukać.

Nawet gdyby wszyscy znali położenie grobowca, to przez 3500 lat rzeczy mogą się zawieruszyć. Nawet piramidy, które przecież nie są drobiazgami, znajduje się od czasu do czasu w miejscach, gdzie nikt by się ich nie spodziewał. Jedną z hipotez tłumaczących niewidzialność Atum-hadu: szukamy go za nisko, jego grobowiec (podobnie jak przy pierwszym podejściu do świątyni Hatszepsut) został wbudowany w ścianę urwiska, a potem przykryty rumowiskiem, o czym nader łatwo jest zapomnieć. Za sprawą pogody i erozji grobowiec może zniknąć pod zwałami kamieni i mułu. Niewolnicy budujący obok inny grobowiec mogą rzucać ziemię, którą wydobywają, na starszy grobowiec, zakrywając jego przód. Albo nad wejściem do starszego grobowca mogą zbudować swoje chaty. W czasach obecnych niezdarni archeolodzy mogą przysypywać grobowiec, którego nie zauważyli, wykopywaną przez siebie ziemią. Albo fronton grobowca może przypominać coś innego, a nijaka fasada stwarza wrażenie, że nie warto jest za nią zaglądać.

No i pamiętajmy, że być może lokator grobowca nie chciał, by był on widoczny, jak najwyraźniej było w przypadku Atum-hadu. Bo weźmy pod uwagę ostatnie dni jego życia: najazd Hyksosów na północy i ludów afrykańskich na południu. Zdrada możnowładców. Koronowanie się

rywali w innych miejscach nad Nilem. Krótko mówiąc, bez żadnej przesady koniec świata: koniec tradycji, kultury, życia codziennego, prawowitej władzy. Patrząc na to z perspektywy czasu, my, albo jakiś Jasio z XVIII dynastii, w czepku urodzone książętko, możemy powiedzieć: „Bzdury, to był tylko Okres Przejściowy, no i proszę, zaledwie dziewięćdziesiąt czy sto lat później książęta Ahmes i Kames wzięli się do dzieła, wygnali najeźdźców i przywrócili właściwe rządy”. Ale kiedy obserwujesz, jak twój świat upada, przyszłość ta jest jedynie wątłą nadzieją wśród bardziej; prawdopodobnych klęsk i widzisz jedynie rozciągającą się przed tobą wieczną rozpacz.

*Atum-badu patrzy z wściekłością,*

*Jak obcy gwałcą jego włości.*

*I zabierze ze sobą do piachu*

*Całe złoto, bogów, żony i [brak fragmentu].*

(kwartyna 17, tylko we fragmencie A, w: *Pożądanie i pofhLęp w starożytnym. Egipcie*, Literatura Miłosna Collinsa, 1920; Harvard University, 1923, jeśli nie zniechęci ich ter Breuggen)

Zauważ, że Atum-hadu najwyraźniej miał zamiar zachować miejsce swojego pochówku w sekrecie. W odróżnieniu od wcześniejszych i późniejszych królów, został do tego zmuszony, bo zabierał ze sobą do grobu nie tylko własną nieśmiertelność, ale cały Egipt, którego istnienie, jak sądził, dobiegło kresu. Musiał ochronić miejsce swojego spoczynku nie tylko przed rabusiami grobowców i rozrzutnymi następcami, ale przed

całym obcym ludem, tak zwanymi Hyksosami (nazwa, którą później nadali im Grecy), którzy szli w łupieżczym pochodzie przez ziemię Horusa, Izydy i Ra. Dlatego ukryje swój grobowiec i wypełni go po brzegi skarbami, dziełami sztuki i innymi przedmiotami.

*Maat mnie opuściła; rwę włosy z głowy:*

*Kiedy jej potrzebuję, muszę ją mieć, rozłożyć jej nogi,*

*Okazuje się kapryśną zdziwą,*

*Którą można brać tylko od tyłu.*

(kwartyna 72, fragmenty A, B i C, w: *Pożądanie i poddlep w starożytnym Egipcie*, Literatura Miłosna Collinsa, 1920; Harvard University, 1923)

Gorzkie słowa Atum-hadu skierowane pod adresem Maat, bogini prawdy i sprawiedliwości, kiedy rozpadał się cały jego świat, dają nam pewien wgląd w nastrój tych czasów i tego człowieka.

AJe być może poprawne jest mnie; *dosłowne odczytanie tych* prostolinijnych wersów (choć nie musimy posuwać się tak daleko jak Harriman: „Porządek upada i jestem zgubiony/Sprawiedliwość odwraca się ode mnie, niewierna i okrutna./Pokazu-jąc mi tylko swoje oddalające się plecy”. Vassal i Wilson: „Ach, ale ona jest przebiegła, taMaat,/Podstawia mi nogę, drwi ze mnie, *une vraie coquette*./Popisując się swoimi kształtami,/Kiedy pilne stają się sprawy państwa”).

Nigdzie nie widać wyraźniej mistrzostwa Atum-hadu niż w tym złożonym utworze — posłuchaj tego króla, jak się wścieka, krzyczy, nie po to jednak, by tchórzliwie uciec (oddając królestwo za konia, za konia), ale walczyć z samą fortuną; stawiając swoje wieczne życie przeciwko jej

niemoralnym machinacjom, nasz dzielny bohater daje wyraz swojemu oburzeniu na bezsens polegania na prawdzie i sprawiedliwości, jakby mówił: „Takie ideały zasługują tylko na to, żeby złożyć im wizytę od tyłu”.

*Umiera ze mną cały Egipt*

*I nie zostawię nic dla przeklętych. Ścigają mnie  
tchórze i najeźdźcy, Ale ugaszę moje pragnienie.*

(kwartyna 74, tylko we fragmencie C) **Mozemy**  
bezpiecznie założyć, co następuje:

- Atum-hadu został pogrzebany.
- Pochowany jest z taką obfitością skarbów i dzieł sztuki, jaka mogła się zmieścić w jego grobowcu, ponieważ akt pogrzebania tego ostatniego króla zbiegł się z potrzebą zachowania możliwie jak największej części upadającego królestwa. Prawdopodobnie znajdzie się przy nim pełny egzemplarz Nauk, co zakończy cały spór o jego autorstwo i moją rzetelność naukową.
- Jest pochowany w pobliżu miejsc, gdzie znaleziono Frag-  
menty A, B i C jego Nauk, a żaden z nich nie został znaleziony w odległości większej niż pół mili od pozostałych.
- Jest pochowany w pobliżu Teb, gdzie mieściła się stolica jego królestwa.
- Ponieważ zmarł przed wzniesieniem najwcześniejszego grobowca w Dolinie Królów, nie jest ona miejscem jego pochówku.
- Jego grobowiec jest nie oznaczony, dobrze ukryty i być może znajduje się wysoko ponad poziomem ziemi, podobnie jak pusty grobowiec w szczelinie skalnej, przygotowany dla Hatszepsut, na który natrafił Carter

w 1916 roku.

- Ponieważ nigdy nie zaproponowano sprzedaży żadnego związanego z jego imieniem zabytku (dzięki czemu w jego panowanie i istnienie nadal wątpi dyskusyjny klub idiotów), można wysnuć logiczny wniosek, że jego grobowca nigdy nie znaleźli rabusie. Pozostaje on wspaniale nienaruszony, otwarty dla jego drogiego przyjaciela Ralpa. • Zatem Atum-hadu jest w Deir el-Bahari, w ścianie lub obok urwiska, gdzie Marlowe i ja znaleźliśmy fragment C, gdzie Marlowe i ja domyślaliśmy się jego położenia i gdzie zamierzaliśmy wrócić, zanim wysłano mnie do Turcji.

*Będę leżał w łóżu Izydy,*

*Mój język będzie pływał w jej delcie.*

*Jak intruz znajdzie moją głowę, Spoczywającą na*

*Lwicy sierści płowej.*

(kwartyna 52, B i C)

Ale jak tego dokonał? To trudna do rozgryzienia zagadka. Jak mu się udało w chaosie dni ostatnich doprowadzić do tego, by zbudowano i wyposażono jego grobowiec, i skąd wiedział, że po jego śmierci (w boju? w łóżku? w boju w łóżku?) jego ciało zostanie tam przetransportowane, zmumifikowane, zamknięte i zaraz zapomniane? Projektanci grobowca, dekoratorzy, robotnicy, Strażnicy Tajemnic (kapłani, którzy mieli wyjąć jego wnętrzności, zakonserwować je i owinąć go) i siłacze, którzy mieli zamknąć grobowiec: skąd miał pewność, że żaden z nich nie wyjawi żywej duszy tego, co wie? Skąd wiedział, że jego władza będzie trwała do tego

ostatniego decydującego momentu i ze chwilę potem jego świat zniknie, zanim komukolwiek, kto będzie wiedział odpowiednio dużo, przyjdzie do głowy,

by zakłócić jego spokój? A jednak jakoś tego dokonał, ustanawiając najświetniejszy paradoks grobowca w historii egipskiej nieśmiertelności i przygotowując, tylko dla najświetniejszych i najbardziej tego godnych, odkrycie niepodobne do innych.

*Niedziela, 29 października 1922 r.*

Dziennik: Wstałem wcześniej na wiele godzin przed otwarciem banków i odkryłem... koty! Dziś rano pojawiła się obok willi wspaniała rodzina kotów i gdy wschodzące słońce złociło wody Nilu, podzieliłem się z nimi z radością wodą i jedzeniem, które kupiłem wczoraj w mieście i które zjadły ze znajdujących się w willi talerzy ozdobionych romantycznymi malowidłami arabskich jeźdźców. Jest ich trzy — dwa samce i bardzo ujmująca pomarańczowa dziewczynka. Dałem obu kocurom imię Ramzes (II i VI oczywiście), ale stworzenie tak rzadkie jak ta pomarańczowa kotka może się zwać tylko Maggie. Ma wspaniały apetyt i po skończeniu śniadania melduje się natychmiast na moich kolanach na sesję głaskania i mruczenia. Starożytni słusznie widzieli w tych czarujących stworzeniach wcielenia bogini — wiedzą one więcej, niż się wydaje. Kiedy Maggie spogląda na mnie swoimi złotozielonymi oczami, obramowanymi wąskimi, ostrymi owalami antracytu, czuję, że znajduję się w obecności jakiejś wiecznej siły, zamieszkującej czasowo w tym ciele. I wiedzą, kto jest ich przyjacielem, bez wahania i pomyłek; od razu rozpoznały we mnie miłośnika kotów.

Oczywiście mój ojciec trzymał psy, miał pełne psiarnie, w których zawsze było od pięciuset do sześciuset angielskich i amerykańskich foxhoundów, wyżłów, beagle'ów, gończych, spanieli bretońskich. Psiarze (dwudziestu pięciu, ubranych w niekonwencjonalną liberię zaprojektowaną przez ojca dla służby) należeli do moich najlepszych przyjaciół w dzieciństwie, zwłaszcza kiedy ojciec był na ekspedycji. Oczywiście w takiej liczbie psy żyły w swego rodzaju społeczności, zamiast być zwierzętami domowymi, chociaż były wśród nich dwa wesołe beagle, które dobrałem sobie na towarzyszy we dworze. Spędziłem wiele lat u boku psiarzy, obserwując z największym szacunkiem i fascynacją ten tłoczny, dobrze rządzony psi świat. Płoszenie zwierzyny, do którego psiarze, w dzocejkach i kraciastych jak u arlekina spodniach z rozszerzonymi na dole nogawkami, potrafili, kiedy tylko chcieli, zmusić psy i któremu w każdej chwili mogli położyć kres, tak mnie fascynowało, że prosiłem ich, by kazali psom dać głos. Kiedy psiarze, z uśmiechniętymi oczami, postarali się, by wszystkie te zwierzęta zaczęły jednocześnie szczekać, echo wspaniałego chóru niosło się po całej okolicy, tak głośnie, że we wsi brzęczały szyby w oknach i dzwoniły dzwonki, a uszczęśliwione dzieci krzyczały: „Psy Trilipusha! Psy Trihpusha!” Oczywiście zwierzaki wydawały te same dźwięki bez komendy, kiedy ojciec wracał z wyprawy, nawet gdy od domu dzieliło go jeszcze kilka mil, odległość, z której, pomyślałbyś, nie mogły wyczuć jego zapachu, ale którą mogła pokonać jego miłość do nich i ich do niego.

*Nie ma spokoju w walczących mężczyzn świecie,*

*Którzy robią dobrze czującej się potem źle kobiecie.*

*Nie ma trwalej pociechy w [brak fragmentu]*

*Poznaniu bogów, tylko drapnięcie, które wydłuża szyję.*

Upatrywanie, jak to zrobił Harnman, w kwartynie 16 (tylko we fragmencie A), „wyrażonego przez prymitywa pożądaniami Bożej łaski (ów grzesznik-król-poeta wyciąga swoją szyję ku niebu, by podrapało ono jego swędzące pragnienie Bożej miłości)", jest co najmniej anachronizmem, jeśli nie szaleństwem. I chociaż przyznaję, że w *Pożądaniu i podstępie w starożytnym Egipcie* zinterpretowałem te zagadkowe wersety jako aluzję do aktu stworzenia świata przez Atuma („drapanie" w celu wydłużenia „szyi"), jestem teraz przekonany, że odnoszą się one do czegoś zupełnie innego, bo w tym przypadku wymowny hieroglif wyraża znaczenie o wiele lepiej niż enigmatyczny alfabet łaciński. Owa wyciągnięta szyja jest, ni mniej, ni więcej, szyją psa, którego drapie się pod brodą, albo kota, którego głaszczę się od głowy po ogon.

A zatem, gdyby któregoś dnia prasa, powodowana ulotnym jak u dziecka pragnieniem -wiedzy, zadała mi pytanie: „Panie Trilipush, dlaczego zainteresował się pan Atum-hadu? Dlaczego nie jakimś Ramzesem, Echnatonem czy tym dziwnym Tutencha-monem?", mógłbym odpowiedzieć, że obaj, mój król i ja, kochamy zwierzęta i widzimy w ich ciemnych oczach mądrość i sympatię, które nazbyt często nieobecne są w białkach oczu ludzi.

Margaret: Twoje spaniele, ci piknikowi piraci z dnia, w którym się zaręczyliśmy, psy i konie mojego ojca, menażeria Atum--hadu, przedstawienia tyłu salukich czy chartów, znajdowane na ścianach tak wielu grobowców — one wszystkie były z nami od samego początku. Moje trzy koty uciekły po porannych pieszczotach. Mam nadzieję, że jutro



wrócą i że będą mi towarzyszyły przez cały mój pobyt. Kiedy patrzyłem w złote oczy Maggie, wyobrażałem sobie ciebie, jak leżysz, obudziwszy się, w Bostonie, głaskając po brzuchach Antoniusza i Kleopatę, aż ich tylne lewe łapy zaczynają mimowolnie drgać, tak że w tym samym momencie ty i ja spotykamy się w pół drogi, dotykając się na miękkich brzuchach tych zwierzaków. Mam nadzieję, że prowadzisz dziennik podczas mojej nieobecności. Czy tuż po północy 29 października głaskałaś swoje psy i myślałaś o mnie?

Dziennik: Wybrałem się na zwiedzanie Luksoru. Nie jestem teraz w stanie dużo kupić, ale badam jego rynki i bazar, ukryte uliczki i place publiczne, żeby uzyskać orientację, bo chociaż jest dużo mniejszy niż Kair, nie twierdzą, że znam go dobrze. Znowu się staram, niestety na próżno, nie myślę o losie tej ekspedycji, jeśli zawiodą mnie teraz sponsorzy.

Skorzystałem z okazji, żeby odwiedzić bank, przedstawić się, zostawić swój adres i poprosić o informację, gdy tylko dostanę kredyt. Którego dnia rano jeszcze nie ma. Przypomniałem sobie, że banki w Bostonie są w niedzielę zamknięte.

Znowu przeprawa promem przez Nil i spacer do Deir el-Bahan, sprawdzenie, ile czasu zajmuje dostanie się pieszo do miejsca, gdzie znaleźliśmy fragment C, i wyznaczenie trasy nie przebiegającej obok odgrodzonego stanowiska Winlocka i ośrodków turystycznych wokół świątyni Hatszepsut. Nie bardzo wiem, jak mogę to zrobić. Przypominam sobie, jak Mar-lowe wytyczał drogę, wyczuwając, gdzie należy zacząć, mijając wzgórze za wzgórzem: „Jeszcze trochę dalej, powiedziałbym, stary, jeszcze kawałek dalej”.

Powrót do willi. Organizacja stołu kreślarskiego, biurek, notatników, dzienników. Umieszczenie na półkach tekstów naukowych, słowników, płyt gramofonowych. Przygotowanie codziennych zestawów do pracy, z manierkami i menażkami, dłutami, linami i tak dalej.

Po zachodzie słońca tutaj, na brzegu Nilu, tyłem do willi Trilipush, nie jest źle, niż było 3500 lat temu, i można sobie wyobrazić, jak ten wielki król chodzi po tej samej być może ziemi, patrząc, jak ja w tej chwili, w ciemność po drugiej stronie rzeki, zastanawiając się, kiedy nie będzie już można powstrzymać nieuchronnego końca, jak przeprowić się przez rzekę i pochować swoje ziemskie szczątki bez żadnych świadków.

*Poniedziałek, 30 października 1922 r.*

Dziennik: Zainstalowałem się w willi Trilipush, koty (wróciły!) są nakarmione i dobrze wygłaskane i przyznaję, że dziś rano obudziłem się zmartwiony czekającymi mnie wydatkami, ale przyrzekłem sobie nie tracić już ani minuty na powątpiewanie w intencje moich sponsorów. Zamiast tego zadepeszowałem do CCF i raz jeszcze zachęciłem go, przedstawiając obiecujący widok prac w nadchodzących tygodniach.

Pracowity dzień. Na parę godzin przed spotkaniem z Ahme-dem przygotowuję wygodne do zabrania i nie psujące się zasoby jedzenia, kuchenkę, zapaliki, baterie do latarki elektrycznej i tak dalej.

Kiedy wracam do mojej willi na obiad i spotkanie z Ahme-dem, zastaję tam tych poczciwych Nordquistów. Każę Ahmedo-wi poczekać i pokazuje im moje rzeczy, mapy, bibliotekę, oprowadzam ich z dumą po willi Trilipush, a oni są mili, prawią mi komplementy, prawdziwa przyjemność. Przy obiedzie pomagam im ustalić marszrutę, radzę, które grobowce warto zobaczyć, a które mogą sobie darować. Odjeżdżają, machając na pożegna-

nie mnie i mojemu milczącemu kierownikowi robót, prawdziwy obraz drogich, zramolałych rodziców.

Ahmed będzie świetnym brygadzystą i muszę sobie znowu pogratulować, że go znalazłem. Jest bardzo rzeczowy — żadnych uśmieszków ani czezej gadaniny. Wyjaśniam mu, że naszym tymczasowym, ale ważnym zadaniem będzie dyskretne wynajęcie i sprowadzenie na stanowisko odpowiedniej liczby ludzi, którzy będą równie dyskretnie usuwać ziemię, dopóki nie zostanie załatwiona sprawa koncesji. (Sukces na pewno doprowadzi do uzyskania koncesji, ale tymczasem trzeba udawać, że się respektuje decyzje urzędu.)

Winlock i Carter jeszcze nie zaczęli; Ahmed i ja pojawiliśmy się na scenie pierwsi, więc bez trudu znaleźliśmy biednych, silnych i niewścibskich mężczyzn szukających pracy. Zaangażowaliśmy paru, z wieloma umówiliśmy się na później. Na pewno wzmianki Ahmeda o klątwach, które spadną na każdego, kto będzie odkopywał króla Tutenchamona, jego uwagi o bankructwie Cartera i kryminalnej przeszłości Winlocka oraz rzucane mimochodem, ale słyszalne uwagi o tym, że zarówno Carter, jak i Winlock stosowali karę chłosty wobec tubylców, by utrzymać ich w ryzach, nastawiają rynek pracy przychylnie do nas w nadchodzącym sezonie. Nie popieram takich metod, ale nie chciałem ganić go już pierwszego dnia, a jego niewłaściwe zachowanie działa na moją korzyść. Tak jak się sprawy mają, zaczniemy wykopaliska z małym, mobilnym zespołem sześciu silnych ludzi, włącznie z Ahmedem i ze mną. Stawi się jutro o świcie z osłami i uprzężą, łopatami i oskardami, płóciennymi workami i wózkiem, i zaczniemy, chociaż ta trasa mnie niepokoi.

Margaret: Dzisiaj na bazarze znalazłem dwie rzeczy, które ci się spodobają. Pierwszą jest mała zabawka, znakomity prezent dla jakiegoś bystrego chłopczyka, moja słodka królowo, nieustępliwego facecika lubiącego Egipt i towarzystwo ojca (nieświadomie pobierającego nauki jako przyszły biograf!). Jest to coś w rodzaju diabełka z pudełka, pomalowanego jak ceglany grobowiec. Naciskasz korbkę i wydobywa się słaby, ale upiorny wrzask, jak przy otwieraniu butelki z 'wodą gazowaną. Dźwięk ten narasta, aż otwiera się pokrywa grobowca i wyłania się niby-kamienny sarkofag z wymalowaną na nim twarzą króla. Kręcisz korbką dalej i unosi się z trzaskiem wieko sarkofagu, a z niego wyłania się złota skrzynia z mumią. Jeszcze parę obrotów korbki i powoli otwiera się skrzynia, ukazując liliowo-białą mumię, która, siadając, uśmiecha się jak dziecko, a przez spowijającą ją zwoje spozierają urocze niebieskie oczka.

Jeszcze lepsza, moja droga, jest mała, malowana figurka z wyschniętego mułu, przedstawiająca kroczącego faceta w tunice, sandałach i koronie, dobrze zrobiona kopia jakiegoś anonimowego dzieła z okresu Średniego Państwa. Jednak najbardziej ujmującą cechą jest chytry uśmieszek na jego twarzy, zupełnie niedopuszczalny u takich posążków, nie zwykły, spokojny uśmiech, ale absolutnie niewłaściwy i czarujący wyraz świadomego szelmostwa. Jest to doskonałe uzupełnienie innej figurki, którą mam ze sobą, tej, którą dostałem na intymnym lunchu *a deux* w Locke-Ober (podczas gdy Inge siedziała przy stoliku kawiarnianym na zewnątrz).

Promieniałaś; rozświetliła cię miłość, chociaż ja nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy. Byłaś cudowna, cytowałaś książkę, którą ci

polecielem.

- Czy to prawda — zapytałaś, chytra kotko — że kiedy zamknięto i zapieczętowano grobowiec, wierzono, że wszystko w nim wraca do życia?
- Zgadza się — powiedziałem, dumny z twoich postępów.
- I malowidła uczt stają się ucztami, a posągi pięknych służebnic pięknymi służebnicami?
- Tak, moja droga, masz rację. — Podniosłem głowę, a ty wręczyłaś mi doskonałą figurkę, która przedstawiała ciebie, nagą, osłoniętą jedynie skromnym kocem.
- Tata dowiedział się, że ten Francuz przejeżdża przez Boston, więc mu zapłacił, zęby mnie wyrzeźbił. Pomyślałam sobie, że może gdybyś postawił ją w swoim pokoju, kiedy zamkniesz drzwi i zgasisz światło, to nigdy nie wiadomo, prawda?

Jutro idę na stanowisko, ale dziś w nocy jesteś tu ze mną w mojej willi, M., zupełnie ożywiona u mojego boku. Dobranoc, ukochana.

*Wtorek, 31 października 1922>., piermży dzień wykopalisk*

Nareszcie w boju! Jest wieczór, koniec naszego pierwszego dnia. Wróciłem do willi Trilipush. W końcu poruszamy się z dobrą prędkością.

Ahmed przybył dziś rano, kiedy było jeszcze ciemno, a na drugim brzegu miał już gotowy ciężki sprzęt i zwierzęta. Co ważniejsze, rozwiązał mój problem geograficzny. Poprzedniego wieczoru przeprowadził, zuch, rekonesans, który mu zleciłem, i tego ranka pochylił się nad wielką mapą leżącą na moim głównym stole do pracy i wytyczył ołówkiem lepszą trasę,

niz udało mi się znaleźć, prowadzącą znad rzeki do ścieżki, gdzie Marlowe i ja odkryliśmy fragment C, ale nie przechodzącą w zasięgu wzroku nikogo, kto mógłby uznać nasze działania za zagrożenie. (W przypadku udowodnionego znaleziska w grobowcu Atum-hadu Lacau z zadowoleniem zmniejszy teren, na który dostał koncesję Winlock, by wykroić miejsce dla mnie.)

Ahmed powiedział, że dzięki temu, iż wcześniej zaczęliśmy, mogliśmy wybrać sobie muły i sprzęt. Wyjaśnił, że to właśnie za ten luksus przedstawił mi rachunki na znacznie większą sumę, niż planowałem, ale taka jest cena porządnie wykonanej pracy. Tak naprawdę byłem w rozterce, kiedy patrzyłem na liczby w mojej oprawnej w skórę księdze rachunkowej i stertę zabaz-granych kartek, które położył na stole.

— Dlaczego pan tak patrzy? Mogę zaprowadzić pana do każdego z tych kupców, żeby to potwierdził. — Trochę dziecinny jest ten Ahmed. — Nieufność przekształca ludzi w figi — poinformował mnie z koraniczną żarliwością i podejrzewam, że mogłem go źle zrozumieć, ale nie mogę pozwolić na to, żeby pomyślał, iż nie znam za dobrze arabskiego, bo spróbuje jakichś szelmostw z robotnikami.

Po drugiej stronie rzeki czekało na nas czterech ludzi na osłach, członków mojego pierwszego zespołu. Na zachodnim brzegu Nilu pojawił się brzask i podążyliśmy za Ahmedem, zataczając szerokie koło, do ścieżki za Deir el-Bahari. Cała wędrówka zajęła nie więcej niż dziewięćdziesiąt czy sto minut po skalistych wzgórzach.

— Jest tu krótsza droga — mruknął jeden z anonimowej czwórki, ale Ahmed uciszył go ostrym spojrzeniem.

A potem znaleźliśmy się tam, gdzie Marlowe i ja odnieśliśmy nasze wielkie zwycięstwo i gdzie teraz powróciłem z moim własnym zespołem, by dokończyć dzieło, które rozpoczęliśmy przed siedmiu laty. Byliśmy tam! Zarządziłem postój, a Ahmed mi zawtórował pod wysokimi skałami, na piasku, który w blasku wschodzącego słońca wyglądał na pomarańczowordzawy. Kazałem dwóm ludziom rozpocząć wstępne badanie najniższej części ściany urwiska, wzdłuż biegnących tarasami ścieżek, które zakręcają w górę, i szukać w zboczu nie pasujących do niego nierówności albo nadmiernych gładzisz, symetrycznych plam lub znaków, w ogóle czegokolwiek, co wydaje się zrobione ludzką ręką. Pozostali trzej odeszli kilkaset jardów od urwiska i patrzyli w górę, kiedy słońce było jeszcze nisko, by zbadać szczyt urwiska w poszukiwaniu szczelin, zaznaczyć wszystko, co pominąłem w moim pierwszym szkicu. W tym czasie ja badałem teren dalej na północ i na zachód, zaczawszy od znaków, które pozostawiliśmy z Marlowe em, by pomogły nam odnaleźć drogę. Starąłem się po prostu zorientować, czy Winlock czegoś nie zdeptał. Kiedy moi ludzie maszerowali przed siebie w swoich długich szatach i zawojach, osłaniając oczy rękami i dotykając ściany urwiska, znalazłem dwa głązy opierające się o siebie, które zauważyliśmy z Marloweem, kiedy zaparkowaliśmy motocykl, i stertę mniejszych kamieni, które położyliśmy na jednym z nich, gdy uświadomiliśmy sobie, że coś odkryliśmy.

- To będzie gdzieś blisko — powiedziałem do Ahmeda po arabsku.
- Był bogatym królem? — zapytał rzeczowo Ahmed. Będę musiał mieć na niego oko i nie popełnić żadnego błędu.

Ahmed poprowadził mnie znaną sobie ścieżką na szczyt urwiska, jakież

300 stóp powyżej dna doliny. Wspinaczka zajęła nam godzinę i z tego wysokiego punktu moi czterej robotnicy na dole wyglądali jak myszy szukające na rozległym polu jakiejś szczególnej gałązki. Niestety, kiedy tam staliśmy, byliśmy widoczni z pewnych części Doliny Królów po jednej stronie ściany urwiska i stanowiska Winlocka w głównym basenie Deir el-Bahari po drugiej. A zatem jeśli mieliśmy dokonać jakichś odkryć, posuwając się z góry w dół, musieliśmy działać szybko. Te położone wysoko szczeliny będą musiały pójść na pierwszy ogień.

Kłopot z tymi rozpadlinami, a jednocześnie ich atrakcyjność jako miejsca na ukryte grobowce, polega na tym, że są niewidoczne z biegnącej górą ścieżki i niedostępne z dołu. Posłałem Ahmeda z powrotem do bazy na dole, a potem odpowiednio daleko w główną nieckę doliny, by dawał mi znaki, machając rękami, kiedy stałem bezpośrednio ponad szczelinami zaznaczonymi na moim rysunku. Powtarzaliśmy tę procedurę, dopóki nie umieściłem na biegnącej szczytem urwiska ścieżce z tuzina pozycji, z których można było spuścić liny, bym dokładnie zbadał jego ścianę. Kiedy to zrobiliśmy, dzień się prawie skończył. Wróciliśmy nad rzekę po tym samym, zapewniającym nam bezpieczeństwo szerokim łuku i życzyliśmy sobie *dataam* do pierwszego brzasku następnego dnia.

Na gramofonie *Nie dla mnie Ludzki /wiat, Otto*.

Domino: Szereg kostek w górę schodów i z powrotem, kończący się spiralnie pod głównym stołem do pracy. Stukanie kostek przywabia koty!

*Środa, 1 listopada 1922 r.*

Ahmed spierał się przez jakiś czas ze mną (z powściąganą groźbą w głosie) co do tego, jak najlepiej zabezpieczyć linę wiszącą 300 stóp ponad



skalistym dnem przepaści. Chociaż zapewniał, że zna się na węzłach (nie bez pewnej nadwrażliwej dumy), chwalił (słusznie) siłę górnej części mojego ciała i twierdził, że islam zabrania (z czym zetknąłem się po raz pierwszy, ale Ahmed był niewzruszony) podejmowania jakichkolwiek działań, które ujawniałyby wypływające z nieposkromionej pychy pragnienie wzniesienia się w powietrze w sposób, w jaki Prorok wstąpił do Raju. Doktryna to doktryna, więc z walącym sercem w gardle opuściłem się 100 stóp poniżej krawędzi urwiska, podczas gdy moi czterej robotnicy marnowali cenny czas i patrzyli, jak objając się i wrzeszcząc, opuszczam się do szczeliny 1. Wylądowałem na gładkiej półce, nadal zalanej światłem słonecznym, ale stwierdziłem, że jest to ganek, za którym nic nie ma; słońce z łatwością oświetlało tylną ścianę szczeliny o głębokości czterech lub pięciu stóp. Żadnych inskrypcji, szczątków ceramiki, zapieczętowanych czy ukrytych drzwi. Spędziłem tam godzinę, upewniając się co do tego, oczyszczając pędzlem każdą dostępną powierzchnię, dźgając skały długim, metalowym prętem, by sprawdzić, czy któraś ze ścian nie jest twardsza lub miększa od pozostałych, ale badałem tylko wydrążone przez wodę zagłębienie i nic więcej. Mógłbym być pierwszym człowiekiem, który postawił tam nogę, ale równie dobrze mogli się tam znaleźć przede mną średniowieczni pustelnicy (choć zrozumiałbym, gdyby półka ta wydała się im zbyt odizolowana od świata i przygnębiająca) albo starożytni architekci grobowców, sprawdzający możliwości, potrząsający z irytacją głowami nad nieodpowiednią szczeliną. Tak mija kolejny ranek.

Z wielkim trudem wciągnąłem się na szczyt, odpoczywając, kiedy tylko udało mi się znaleźć jakąś półkę dla oparcia stopy, i, kiedy wreszcie

wgramoliłem się na górę, drgały mi mięśnie rąk i plulem kurzem, a tam leżał Ahmed, paląc papierosa pod prowizoryczną osłoną przed słońcem — prześcieradłem z Hotelu Sfinksa (z tym zwariowanym godłem, składającym się z sępa, sfinksa i kobry) rozciągniętym na kołkach. Skląłem go za lenistwo i kazałem przygotować obiad, który zjedliśmy w jasno-żółtym cieniu. Słońce padało na prześcieradło i rzucało zarys ozdobnej pieczęci na nieco ciemniejszy cień między nami.

- Hotel Sfinksa — mówi po angielsku nieskory do uśmiechu Ahmed. — Pierwsza kategoria. Jesteś szczęśliwym kopaczem, a?
- Gdzie nauczyłeś się angielskiego?
- Nie mówię po angielsku — odparł po angielsku.
- Mianem „kopacza” określa się australijskich żołnierzy — wyjaśniłem. — Jestem Anglikiem, więc ten termin jest nieodpowiedni.
- Nienawidzę Australijczyków — odparł spokojnie po angielsku. — Byli tu najgorszymi ludźmi podczas wojny. Gorszymi od wszystkich innych, nawet od Turków. Z wszystkich robili kurwy. Wy, Anglicy, tak, sprawiacie kłopoty. I Francuzi, pfu... — Ahmed splunął. — Amerykanie, ich nie znam. Ale Australijczycy. Ci to zaraza.

Wszystko to powiedział dziwnie bezbarwnym głosem, pocierając ręką krótkie włosy wokół skroni. Dziwnie jest słuchać narzekań i pełnych pasji wyznań tubylców, nieporozumień i błahych trosk, które ich pobudzają, ale dla ludzi Zachodu są niewytłumaczalne. Lepiej rozumiem starożytnych przodków Ahmeda niż jego samego, ale w końcu byli oni panami swego losu, którzy nie żyli pod protektoratem obcych mocarstw. Aby go rozchmurzyć, opowiedziałem mu trochę o Atum-hadu i

jego czasach. Kiwnął głową, zdawał się rozumieć wagę tego, co mu mówię, czerpać pewną dumę, że był to jego naród, jego historia.

Po posiłku znowu przeskoczyłem przez krawędź urwiska, a ostatnią rzeczą, którą widziałem na szczycie, była gniewna twarz Ahmeda, gdy sprawdzał węzły lin zaciągnięte wokół głazów i słupków.

Tym razem opuściłem się około dziesięciu stóp dalej, na następną gładką półkę wystającą ze ściany, i znalazłem coś znacznie bardziej obiecującego. Półka ta była niewątpliwie gankiem prowadzącym do komory wykutej w ścianie urwiska, sięgającej około dwudziestu pięciu stóp w chłodną ciemność po lekkim skręceniu w prawo, tak że nawet ptak unoszący się bezpośrednio przed szczeliną nie widział jej głębi, i serce mocniej mi zabiło. Odwiązawszy się, spojrzałem poza krawędź półki i zauważyłem z dreszczykiem emocji, że jestem prawie bezpośrednio nad miejscem, gdzie siedem lat wcześniej znalazłem fragment C. Komora ta była bez wątpienia dziełem człowieka (albo przynajmniej została przez niego powiększona), jak niedokończony grobowiec Hatszepsut. Jednak w tym przypadku, mimo prawie czterogodzinnego masowania ścian od góry do dołu, szturchania prętem jak pijany szermierz, oświetlania latarką każdego cala ciemności, mogłem stwierdzić tylko tyle, że trafiłem na pustą dziurę — starożytny architekt zaczął od tego, pierwszego pomieszczenia, ale potem znalazł coś, co mu się nie spodobało, albo król się rozmyślił w ostatniej chwili i zdecydował na ładną, wystawną piramidę. Można tutaj nieraz **doznać takiego zawodu**, niweczącego nadzieje nadgorliwych.

Słońce, nadal okrutnie prażące, obniżało się szybko, kiedy znowu obwiązałem się liną i krzyknąłem do Ahmeda, żeby mi trochę pomógł.

Powtarzałem tę prośbę wielokrotnie, kiedy, oddychając chrapliwie, z poobcieraną skórą na rękach, wciągałem się na górę. Na szczycie nikogo nie zastałem. Zebrałem sprzęt i brudne naczynia kuchenne, zwinąłem prześcieradło i zszedłem sam na dół, gdzie czekały muły w założonej uprzęży, ale nie było ani jednego robotnika.

Teraz, pod koniec drugiego dnia, siedzę w świetle lampy w willi Trilipush, trzymając tę niezamierzenie komiczną depeszę od Finnerana (przypuszczalnie zdezorientowanego kalendarzem gregoriańskim: PIENIĄDZE? ZA WCZEŚNIE NA PRZESŁANIE PIENIĘDZY. CO ZROBIŁEŚ Z TYMI, KTÓRE MIAŁEŚ? POWODZENIA, CCF).

Wyobrażam sobie, jak Atum-hadu rozmyśla o paradoksie grobowca, przed którym z całą pewnością stanął. Wyobrażam sobie, jak wysłał zwiadowcę, by zbadał ścianę w Deir el-Bahari i doniósł mu o odpowiednich miejscach, zwiadowcę, który być może opuszczał się do badanych dzisiaj przeze mnie szczelin. Jednak kiedy dokładniej rozważam wyjątkową pozycję Alum-hadu, dochodzę do wniosku, że być może nie wysłał żadnego zwiadowcy, bo musimy pamiętać, że:

*Jestem władcą całego Egiptu, synem Ra, esencją Horusa, Panem Nilu, gospodarzem każdej uczyty.*

*Kochankiem każdej kobiety, panem każdego mężczyzny, Każdego wzgórza, każdego urwiska, każdego stworzenia.*

(kwartyna 23, tylko w A i B)

Czy przy takiej dumie i potrzebie zachowaniu miejsca położenia grobowca w tajemnicy zaufałyby choćby jednemu zwiadowcy? A może jego królewska mość wędrował po tych skałach we własnej osobie, sam

albo ze spisany na straty towarzyszem? Czy zadzierał głowę, spoglądając na te ustronne szczeliny, wysyłając pozbawionych języka niewolników jednorazowego użytku, by wczłógiwali się w nie i badali ich użyteczność?

Kontynuuję opis dzisiejszego dnia. Mój zespół wrócił, kiedy się spakowałem i czekałem przy osłach, gotów myśleć o nich jak najgorzej. Ale Ahmed, z charakterystyczną wylewnością, poinformował mnie po arabsku, że niczego nie znalazłszy podczas dalszego przeszukiwania ściany urwiska, zapuścili się dalej w teren i zauważyli poruszenie na stanowiskach Cartera i Winlocka, i dlatego Ahmed zszedł ze szczytu urwiska, zostawiając mnie wiszącego na linie.

— Zęby utrzymać w tajemnicy naruszenie prawa przez waszą lordowską mość — dodał po angielsku, z tym samym co zwykle nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nieznośny człowiek.

Wróciliśmy zwykłą trasą nad rzekę. Pożegnawszy się z robotnikami i zostawiwszy Ahmeda, żeby zwrócił muły i schował ciężki sprzęt, skierowałem się na przystań promu, kiedy na ścieżce natknąłem się na kogóżby, jak nie na Howarda Cartera. Wiódł ze sobą orszak wozów załadowanych po brzegi szuflami, łomami, sitami i innymi zabawkami, istną orgią zbytków za pieniądze Carnarvona, rzucając rozkazy paradyjącym dziesiątkom swoich ludzi, po arabsku z lekkim obcym akcentem, ale w ten sam pełen godności sposób, w jaki wyraża się po angielsku.

Chociaż pilno mi było oddalić się do moich wieczornych zajęć, wdałem się z Carterem w rozmowę, idąc obok niego, zmierzającego przed siebie szybkim krokiem. Był to jego ostatni kurs tego dnia; zwoził sprzęt do

doliny, by rozpocząć szósty sezon tych samych bezskutecznych poszukiwań, co było świadectwem uporu, niemal szaleństwa.

— Mimo wszystko, to świetnie — dodałem mu otuchy. — Nie trać nadziei, stary.

Nic go nie rusza, naprawdę, ale dowiedziałem się od jednego z pracujących dla niego tubylców, że w tym roku planuje rozkopać długi pas ziemi, zaczynając od grobowca Ramzesa VI. Dziwaczny plan, ale jeśli nic innego z tego nie wyjdzie, to Carter wykonywał dobrą robotę, przemieszczając piach, dając każdemu jego ziarenku szansę ujrzenia na chwilę słońca, wykopując niezliczone ilości *dębach*, służącego wieśniakom do użyźniania ziemi.

Egipt w czasie dojścia Atum-hadu do władzy: Atum-hadu doszedł do władzy w czasach ogromnych kłopotów. Królestwo chyliło się ku upadkowi, nie mogąc się doczekać dopływu świeżej krwi, nowego przywództwa. Długowieczni królowie zostawili po sobie niepewnych, dalekich spadkobierców, słabe wnuczki, których drżące dłonie dawały mężom klucze do słabego królestwa. Bogactwo zostało roztrwonione; zbyt często obciążano przyszłość hipoteką, by zapłacić za bieżące potrzeby czy rozrywki. Wrogowie zewnętrzni i krajowi pretendenci do korony podkopywali podwaliny dynastii. I oto pojawił się w tej niespokojnej epoce przywódca, jeden z ostatnich bohaterów. Ale co o nim wiemy na pewno?

Wiemy z bardziej autobiograficznych fragmentów Nauk, że był ostatnim królem i przeczuwał, że jego śmierć będzie śmiercią całego Egiptu.

Wiemy, że ufał tylko jednemu doradcy, którego nazywał Panem

Szczodrości. Wiemy, że zarówno jego żądza miłości, jak i upodobanie do przemocy były niepohamowane. Poza tym wiemy na pewno niewiele więcej.

A mimo to nie jest trudno domyślić się, co czuł ten śmiertelnik planujący dla siebie nieśmiertelność, ten król skazanego na zagładę państwa, dziedzic bez dziedzictwa, posiadacz bezwartościowej teraźniejszości, którą jego przodkowie postrzegali jedynie jako przyszłość bez końca dawaną w zastaw, stojąc tutaj, gdzie stał, patrząc na swój Nil, wyobrażając sobie zbliżający się koniec swojego królestwa, kiedy najeźdźcy, Hyksosi, otoczyli jego stolicę w Tebach. Ale ta przyszłość nie była nieskończona; pewnego dnia wyparowała w pustynnym upale i Atumhadu został sam, a znikąd pojawiło się nagle jedno, dwa, cztery, dziesięć, pięćdziesiąt, sto, tysiąc, dziesięć tysięcy ostrz włóczy kłujących drzące powietrze nad następnym urwiskiem.

*Czwartek, 2 II topada 1922 r.*

Dziennik: Ranek: sprawdziliśmy jeszcze trzy szczeliny z pięciu ogółem, chociaż proces ten uległ spowolnieniu, gdyż musimy się ukrywać, kiedy jesteśmy na szczycie urwiska. Moi ludzie jeszcze raz przeszli ścieżką po 200 stóp w każdą stronę od miejsca, gdzie znalazłem fragment C, poruszając się jeszcze wolniej, badając powierzchnię ściany urwiska. Dwukrotnie znaleźli gładkie, warte zainteresowania skrawki i zgodnie z moim nadal obowiązującym poleceniem odwołali mnie od pracy na górze, ale w obu przypadkach powolne oczyszczanie skały ujawniło tylko starą skałę, wygładzoną przez wiatr lub wodę. Obiad z Ahmedem, rozmawiałem z nim o Oxlordzie, który czarująco go ciekawi. Popołudnie: jeszcze dwie

szczeliny i jeszcze jeden fałszywy alarm o znalezieniu gładkiej skały.

Są to dni rosnącego podniecenia, fałszywych tropów, domysłów. Z perspektywy czasu będą się wydawały krokami we właściwym kierunku, nieuchronnymi i ostatecznymi, ale kiedy robi się te kroki, kiedy są one jeszcze terażniejszością, a nie uświęconą przeszłością, wszystkie zdają się złymi krokami stawianymi w łajnie, które rozbryzguje się kroplami zwątpienia, pewności siebie, rozpaczy.

Zegnam się z moimi ludźmi do jutra i zmierzam do miasta, aby sprawdzić, czy nie przyszło coś do mnie *napoóte rattante*, i znajduję ten oto wart przedstawienia sekret upadającej dynastii:

19 października, Cambridge Szanowny panie  
Trilipush,

Mam tutaj, w Cambridge, szczęśliwy dzień! Po ubiegłotygodniowej wizycie mojego wiernego pana Perrella skontaktowałem się z Oxfordem i dzisiaj, otrzymawszy od nich odpowiedź, spędziłem miło godzinę z ojcem pańskiej narzeczonej, świetnym, twardym facetem, który szybko się uczy i chwyta w lot, co ma mu do powiedzenia ekspert.

Jeśli będzie pan zaskoczony, dowiedziawszy się, że w Oifordzie twierdzą, iż nigdy pan tam nie był i nie studiował pan pod kierunkiem profesora Weilera, to pana zaskoczenie błędnie w porównaniu z moim, kiedy się o tym dowiedziałem. Podzieliłem się tym zaskoczeniem, jak również opinią, że pańska ekspedycja nie odkryje niczego wartościowego, z panem Pinneranem. Nie będzie pan zaskoczony, słysząc o tych moich wątpliwościach, jako że pańska spekulatywna specjalizacja w domniemanym Atum-hadu nie wywarła na mnie



szczególne wrażenia. I, kontynuując wątek pańskiego braku zaskoczenia, byłbym zaskoczony, gdyby pan był bardzo zaskoczony, dowiedziawszy się, iż pod wpływem tych otwierających oczy wieści wydział egiptologii, a w istocie Uniwersytet Harvarda, szacowny i nieśmiertelny, uznał, że będzie w stanie przetrwać bardzo dobrze bez pańskiej dalszej obecności tutaj nawet w najbardziej podrzędnej roli. Proszę, przyjąć wyrazy wdzięczności za rozrywkę, której nam pan dostarczył swoimi prostackimi przekładami apokryficznych erotyków i swoim zmyślnym wykształceniem. Życząc wszystkiego najlepszego, pozostaje od pana lepszy pod każdym względem,

Claes ter Breuggen

Bełkotliwy brak rozwagi szaleńca jest wstrząsem dla człowieka zdrowego na umyśle — czyżby ter Breuggen myślał, że nie opublikuję tego listu? Ależ, mój drogi profesorze, wykładowco kłamstw, uczący młodzież bredni, oczywiście, że go opublikuję. Opublikuję go na pierwszej stronie, zamieszczę jego reprodukcję nad twoim infantylnym, chwiejnym podpisem, a obok wydrukuję zdjęcie, na którym trzymam swój dyplom z Oxfordu przed mumią Atum-hadu.

Ter Breuggen jest dla nas wszystkich lekcją pogładową: człowiek, który aspiruje do miana uczonego, nauczony ostrożnego i starannego wyważania dowodów, najwyraźniej zakochał się łatwowiernie w spotkanym przypadkowo kłamcy, tym Ferrellu, mglistej postaci, która spadła z chmur jak zła pogoda. A to kłamstwo, które tak skwapliwie łyknął, jest absurdalne; to, że Ralph Trilipush nie studiował w Oxfordzie, jest zupełnie absurdalne. Brak kartoteki, błędnie zapisane nazwisko — bez względu na

to, jaka pomyłka wkradła się do jakiegoś tekstu w wilgotnych piwnicach Oxfordu, pozostaje tym, czym jest: pomyłką. Błędne teksty nie zmieniają rzeczywistości, jedynie wprowadzają w dezorientację ograniczonych umysłowo ludzi.

Ter Breuggen uchwycił się tego, by mnie wyrzucić, co nie jest dla mnie zaskoczeniem, budowałem moją karierę na Atum-hadu, niech więc spocznie to na mnie, a jeśli ten ignorant chce trzymać się łgarstw jakiegoś przestępcy, by usprawiedliwić swoją niewiedzę, to nie dbam o to. Ale, szczerze mówiąc, cóż to za argumenty! Zaginęła kartoteka, więc nie studiowałem w Oxfordzie? Wspaniale. A więc? A więc nie znam się na swojej dziedzinie? A więc nie przetłumaczyłem poezji Atum-hadu? A więc nie miałem fragmentu C w ręku? Ależ zrobiłem to wszystko i byłem w Oxfordzie, i żaden błąd w kartotekach nie może tego zmienić. Czy gdyby dzisiaj Oxford doszczętnie spłonął i nie został nawet ślad po niczyich papierach, oznaczałoby to, że nikt nigdy nie chodził po jego miłych gmachach o ścianach porośniętych bluszczem, nie jadał posiłków w jego restauracjach na dachach, pośród wież, nie żeglował po jego wzburzonych, słonowodnych jeziorach, nie chodził w niedzielne wieczory w towarzystwie doktorów i profesorów na walki byków, nie toczył nago walk zapaśniczych na jego zielonych trawnikach, podczas gdy młode kobiety z miasta wiwatowały i rzucały kartoflami? Czy jeden niszczycielski pożar zapełniłby naraz cały świat fałszywymi absolwentami Oxfordu?

Te szalone twierdzenia podstępnego, niewidzialnego Ferrel-la prowadzą do absurdałnego wypaczenia prawdy. Skoro nie byłem w Oxfordzie, to jak poznałem Marlowea? Jak doszłoby do tego, że razem wygrzebaliśmy spod

ziemi garnek zawierający fragment C? Gdybym nie był jego kumplem z uniwersytetu, to jak znaleźlibyśmy się w tej samej jednostce w Egipcie? Jeśli nie zaciągnęliśmy się razem, to jak trafiłbym do wojska? Ta historia, opowiedziana w ten sposób, nie trzyma się kupy. Ferrell jest wariatem.

Rekonstruowanie biegu wydarzeń wolno pisanymi literami jest nie do wytrzymania. Oczywiście, bez względu na to, jaką truciznę sączył ter Breuggen dziesiętnastego Finneranowi do ucha, wyjaśniałoby to zwłokę w przesłaniu pieniędzy przez Finnerana i jego zagadkowe depesze. Kimkolwiek jest „Ferrell”, chce mnie z niezrozumiałych powodów zdyskredytować. Udało mu się w gabinecie ter Breuggena, ale strach i niekompetencja stworzyły tam dla jego bredni żyzny grunt. CCF nie poddaje się tak łatwo. O Boże, M.

TELEGRAM. LUKSOR DO MARGARET FINNERAN,  
BOSTON, 2 LISTOPADA 1922, 17.47.

KOCHANA. DOWIEDZIAŁEM SIĘ, ŻE CZAI SIĘ KŁAMCA,  
NIEZNAJOMY NAZWISKIEM FERRELL. NIE ZNAM GO. NIE  
WIERZ MU. IGNORUJ ZA WSZELKĄ CENĘ. TWÓJ ZWYCIĘSKI  
UKOCHANY. RMT.

TELEGRAM. LUKSOR DO CC. FINNERANA,  
BOSTON, 2 LISTOPADA 1922, 17.49.

PANIE SZCZODROŚCI. DOWIEDZIAŁEM SIĘ WIĘCEJ O  
FERRELLU, KŁAMCY O TAJEMNICZYCH MOTYWACH. MOŻESZ  
GO SPOKOJNIE ZIGNOROWAĆ I SZYBKO POSTĘPOWAĆ  
ZGODNIE Z NASZYM PIERWOTNYM PLANEM. RMT.

Margaret: Właśnie pobiegłem do miasta i zadepeszowałem do ciebie, żebyś ignorowała tego Ferrella. Jestem pewien, że to zrobisz, jeśli już nie zrobiłaś. Ferrell jest mityczną nemezis, wysianą po to, by mnie dręczyć, przez nic znane mi moce z nie znanego mi powodu. Ale jest wątpliwość, błazeńską nemezis. Mimo to, nawet konieczną! Wielkim ludziom, moja droga, często przeszkadzają tacy łotrzykowie i anemiczni zawistnicy. Tymi smutnymi, szczerowatymi ludźmi kieruje potrzeba niszczenia, ponieważ nie potrafią tworzyć, pozbawieni są iskry Atuma, tej odrobiny boskości, które; pożądają ludzie wielcy — mocy twórczej. Rzucają się więc z zakrzywionymi szponami, popychani szatańską potrzebą destrukcji.

Jeśli słyszałaś już jego brednie — a przypuszczam, że musiałaś słyszeć, bo zdaje się, że był w waszym domu dwa tygodnie temu — to pęka mi serce, bo jego syczące słowa bez wątpienia nadwątlili twoje wyobrażenie o mnie. Co musiałaś sobie pomyśleć, słysząc tę szaloną, nieprawdopodobną bzdurę, że Ralph nie był w Oxfordzie? Jeśli uwierzyłaś mu choćby na jedną, wstrząsającą chwilę, to jest mi bardzo przykro.

Wiem, Margaret — nie jestem taki głupi — wiem, że tym, co ciebie początkowo pociągało, były moje maniery i moje dzieje: angielski badacz, wywodzący się ze starego ziemiaństwa, wykształcony w Oxfordzie, bohater wojenny. Wiem, że to stało się fundamentem twojego uczucia. Ale teraz, moja kochana, Ferrell daje nam możliwość, byśmy stali się silniejsi, by wzrosły nasza miłość i zrozumienie. Oboje wiemy, że mój życiorys nie jest tym, co we mnie najlepsze. A gdyby —jak chciałby Ferrell — moje studia w Oxfordzie nie były prawdą, to co by to zmieniło między nami? Nic. Moje osiągnięcia były tylko środkami, które nas zbliżyły do siebie, nie pożywką, z której nasza miłość będzie czerpać wiecznie. Jeśli pokrętny

Ferrell pomógł nam to dostrzec, to składamy mu ogromne dzięki!

Po koszmarnej wieczorze wreszcie zaczynam się znowu czuć sobą. Czy tak w istocie wyglądała „dworska intryga”, kiedy była codzienną rzeczywistością, a nie suchym stwierdzeniem historyka? Czy żołądek Atum-hadu wywracał się tak jak mój, kiedy król nie mógł ufać swoim dworzanom, kiedy wślizgiwali się do jego pałacu spiskowcy, pretendenci do tronu przekupywali kucharzy w żarze pałacowej kuchni, a kapłani szeptali mu w świetle pochodni ohydne kłamstwa i obietnice? Czy zmagał się z oślizłymi niszczycielami, kiedy powinien był tworzyć i uwieczniać swoje imię i boga-patrona?

*Piątek, 3 listopada 1922 r.*

Dziennik: Poleciałem moim ludziom zbadać jeszcze prawie pół mili ściany w głąb pustyni. Oczyszczałem jeszcze cztery szczeliny, z których najbardziej obiecująca zawiera pewne dowody obecności ludzi, ale niczego rozstrzygającego. Dwukrotnie robotnicy znajdują w ścianie coś wartego mojego szybkiego zejścia ze znajdującej się na górze ścieżki, ale za każdym razem jest to fałszywy alarm. Muszę wkrótce wziąć pod uwagę możliwość, że trzeba będzie oczyścić również grunt, usunąć ziemię. Jeśli wszystkie szczeliny okażą się bezwartościowe, a ściana urwiska niczego nie ukáže, pozostanie nieunikniony wniosek, że grobowiec Atum--hadu znajduje się na płaskim dnie doliny, co oznaczać będzie kopanie rowów, podobne do mrówczej pracy Cartera po drugiej stronie skał. Do sprawnego wykonania tych robót potrzebnych będzie kilkudziesięciu ludzi, jeśli nie więcej;. To niemożliwe bez całkowitej i jednoznacznej koncesji z Urzędu Zabytków.

*Sobota, 4 listopada 1922 r.*

Dziennik: Oczyszczam kolejne pięć szczelin. Muszę też kazać ludziom obdrapywać ścianę urwiska do wysokości siedmiu stóp, 250 jardów w każdą stronę od miejsca znalezienia fragmentu C. Jest to konieczny następny krok i mam nadzieję, że nasze wysiłki zostaną wynagrodzone, ale niestety, teraz bardziej prawdopodobną kryjówką Atum-hadu jest płaska pustynia. Znacznie przekracza to nasze możliwe zobowiązania czasowe. Czy współnicy utrzymają nerwy na wodzy jeszcze przez rok, jeśli okaże się to konieczne? Może powinienem się przedstawić profesorowi Winlockowi, porozmawiać z nim jak mężczyzna z mężczyzną o podziale terenu, na który dostało koncesję Metropolitan Museum? Nie interesuje się on Atum-hadu ani nie ma o nim odpowiedniej wiedzy i może przekopać w ciągu sezonu tylko ograniczony kawałek terenu, nawet przy nieprzyzwoitych zasobach finansowych muzeum. I ze względu na ograniczone sukcesy w ostatnich miesiącach może z radością powitać pewien bezpłatny udział w Hand-of-Atum, Ltd.

Późne popołudnie: Po zejściu na dół stwierdzam, że nie ma Ahmeda i jednego z pozostałych. Powracają godzinę później z tą oto opowieścią: kiedy byłem na górze, przyszli na nasze stanowisko krewni jednego z robotników i przynieśli ciekawe nowiny (roznoszący plotki krewni są głównym przemysłem w tym kraju). Otóż Carter coś znalazł i przyczyną popołudniowej nieobecności moich ludzi (wiele „salaamowania” i „tysiąc-krotne przeprosiny, lordzie Trilipush”) było ich przeniknięcie na stanowisko Cartera, gdzie okazało się, że Carter odkrył... stopień schodów. Dobry Boże, zaiste powód do radości dla tego weterana. Sześć lat pracy i

stopień schodów! No cóż, zasługiwał na to, żeby coś znaleźć, a hrabia Carnarvon może teraz uważać, że jego pieniądze nie zostały w całości zmarnowane.

Do domu, by się odprężyć z kotami, przy muzyce.

Zaglądają Nordquistowie z radosną wizytą i jemy wspólnie kolację. Opowiadam o mojej pracy, a oni szczegółowo o swoich turystycznych przygodach. Ich uprzejme pytania i zainteresowanie każdym moim słowem dodają mi otuchy, są miłą niespodzianką i balsamem na moje serce.

*Niedziela, 5 Listopada 1922 r.*

Dziennik: Wizyta na bazarze w miejscowym stroju (dzięki czemu mniej płacę). Kupuję parę upominków — skarabeuszy zrobionych przez znakomitego fałszerza, wspaniale postarzonych. Kupiec usilnie stara się mnie przekonać, że to autentyki z czasów Totmesa III. Bzdura, ale jako prezent od plującego piachem kolegi powinno to rozbawić Cartera.

Wyprawa na ośle do Doliny, żeby zobaczyć schodek Cartera. Czuję się dziwnie, jest mi na przemian zimno i gorąco. Oczywiście to wspaniale dla niego, jeśli dokonał jakiegoś odkrycia.

Jego obóz, groteskowo duże przedsięwzięcie, przysiadł właściwie na wierzchu grobowca Ramzesa VI. Znalezienie samego Cartera było dosyć trudne, ponieważ porusza się w środku tłumu robotników. Dopiero głośne wykrzykiwanie jego nazwiska zwróciło jego uwagę. Wyłonił się z ciżby, by mnie powitać, otrzepując z kurzu ręce, zachowując się jak zwykle lodowato, co jest pozą łatwą do utrzymania z gotówką Carnarvona i

setkami robotników do pomocy. Powinien spróbować przetrwać, mając do dyspozycji tylko osobisty urok.

- Tak, Trilipush — mówi, wkładając do kieszeni prezent ode mnie w postaci egzemplarza jednego z pierwszych, rzadkich wydań *Pożądania i podstęp w starożytnym Egipcie*. — Cóż cię tutaj sprowadza?
- Słyszałem, że natknąłeś się na stopień schodów, Howard. Nie masz nic przeciwko temu, żebym rzucił na to okiem, tak

z ciekawości zawodowej? Wyświadczysz mi tę koleżeńską uprzejmość?

- Już się o tym rozniosło, tak?
- Znasz zamiłowanie tubylców do dzielenia się sekretami.
- Tak, hmm, wolałbym me mieć gości na tym etapie.
- Oczywiście, stary, za wcześnie na bandę turystów i znakomitości, nie możesz pozwolić, żeby zmarnowali twoją pracę.

I ma rację, stary zawodowiec: myśl o cywilach zdeptujących nowe znalezisko jest okropna. Skierowałem się w miejsce, gdzie klęczeli jego robotnicy, rząd tuzina ludzi z sitami, przesiewających cały wybierany piasek, wysypujących sprawdzoną ziemię, wzywających nadzorcę, jeśli pojawił się jakiś kawałek czegokolwiek. Co za produkcja! Była to bardziej fabryka, kapitalistyczny zakład -wyzyskujący robotników niż ekspedycja naukowa. Ogromne marnotrawstwo archeologiczne. Nic dziwnego, że Carter stracił na to całe lata. W końcu udało mi się przeniknąć do środka tego zamieszania, gdzie stwierdziłem, że przy tym jednym stopniu nieźle się napracowano, a la Atum, i że pomnożono go z widowiskową płodnością, bo teraz tkwiły w ziemi odkopane całe schody, które kończyły się murem kamieni i



rumowiskiem. Mój Boże, co za widok, bez wątpienia niewiarygodne odkrycie, ale czego, nie potrafię powiedzieć.

- Tajny skład złupionych gratów? — zapytałem, gdy zrównał się ze mną. — Starożytny magazyn? Spichlerz?
- Prawdopodobnie — zgodził się ze mną. — Jeśli mi wybaczysz, drogi Ralphie, mamy przed sobą wiele dni, zanim uda się nam usunąć te śmieci i ostrożnie otworzyć drzwi, które może znajdziemy.

Kiedy odjeżdżałem, spojrzałem przez ramię, a on tryskał na wszystkie strony energią, co było naprawdę niezwykle u tak starego faceta, zwłaszcza jeśli jego jelita były w takim stanie jak moje. Wyraz twarzy jego robotników nie przypominał niczego, na co jest w stanie się zdobyć moja pozyskana ze zniżką ekipa. Oczywiście nawet w swoim dzieciństwie Carter potrafi sprawić, że czujesz się zupełnie niewidzialny, nieważki. Zdaje się o tym nie wiedzieć, zupełnie jakby od urodzenia emitował oślepiające światło, od którego każdy, z kim rozmawia, zasłania oczy — skąd miałby wiedzieć, że nie oślepią ludzi, skoro nie patrzy na nich? Prawdopodobnie nie uwierzyłby temu, nawet gdyby ktoś mu o tym powiedział. „Co? — rzekłby, patrząc z niedowierzaniem na jeszcze jedną twarz ze zmrużonymi oczami. — Co masz na myśli? Czym się różnię? ”

Muszę zaczerpnąć trochę powietrza, sprawdzić, czy nie ma do mnie czegoś na poczcie.

List od mojej narzeczonej, z 13 października, dwadzieścia trzy dni temu. Co się wydarzyło od tamtej pory?

Długie, mściwe posiedzenie w klozecie, do którego zostałem zmuszony. Gramofon nie pomaga. Gorączka.

13 października

*Mój Ralphie,*

*Dziwne przygody do zrelacjonowania, mój egipski panie.*

*Przyszedł dzisiaj do nas wścibski szpicel nazwiskiem Harold Ferrell. Szuka twojego przyjaciela. Postuchaj tylko, Ralphie: Ferrell mówi, że twoim przyjacielem jest biedny australijski chłopak o nazwisku Paul Caldwell, egiptolog amator, który miał, jak się zdaje, bardzo ponure i straszne życie. „Przyjaciel Ralpha?” - zapytałam bardzo znaczącym tonem, a potem, żeby się upewnić, że pojął, o co mi chodzi, powiedziałam, że chociaż na wojnie byłeś zmuszony zadawać się z różnymi dziwnymi typami, to zupełnie nie wygląda na to, żeby ten Paul Caldwell mógł być twoim przyjacielem. Zresztą on leżjesł Australijczykiem. To znaczy ten szpicel. Siedział leż przez jakiś czas za zamkniętymi drzwiami z lalą i starałam się podsłuchać, o czym rozmawiają, ale było to bardzo męczące.*

*Wydaje się, jakbyś wyjechał na zawsze. Trudno sobie wyobrazić, co robisz tam przez cały dzień w tym piasku. Trudno sobie przypomnieć, jak się czułam, kiedy tutaj byłeś. Zaczyna się tutaj robić zimno, a Inge ma mnie pod tak ścisłą obserwacją, że można umrzeć z nudów. Od czasu do czasu przychodzi J.P. O'Toole z zaproszeniem albo z prezentem. Przesyła ci życzenia wszystkiego najlepszego. Och, tak: o mało nie zapomniałam napisać ci, że poprosił mnie o przysługę. Powiedział, że powinnam cię poprosić, żebyś przysyłał mu „wszystkie wiadomości” o wykopaliskach, a nie tylko wysyłał sprawozdania do taty, bo JP nie chce czuć się wyłączony. Czy to nie miło? To bardzo miły człowiek, wiesz, i do*

*tego hojny.*

*To mi o czymś przypomina: mam nadzieję, że odniesiesz sukces, i to szybko. Uważam, że jesteś wspaniałym, bohaterskim mężczyzną, Ralphie, wiesz, że tak uważam, ale nie chcę, żeby cię tak długo nie było. W ogóle mi się to nie podoba i myślę, że jeśli będzie jeszcze więcej tych ekspedycji po naszym ślubie, to albo pojedę z tobą, albo będę czekała tylko w Trilipush Hall z tłumem przyjaciół i służby, albo w hotelu w Paryżu. Boston jest strasznie nudny. Jesteś paskudny, że zostawiłeś mnie na tak długo samą. Tata jest nudziarzem. Inge jest grubą nudziarą. Co ja mam tutaj robić, kiedy ty masz wspaniałe przygody? Wiem, że „to wszystko jest dla nas” i że kiedy wrócisz, przywieziesz ze sobą naszą przyszłość, wiem. Ale mimo to. Na pasku taty i Inge czuję się jak mała dziewczynka. Wiem, że chcą tylko tego, co dla mnie najlepsze, ale znaczy to leż, że nudzą mnie do łez.*

*m.*

*Poniedziałek, 6 listopada 1922 r.*

Zapłaciłem ludziom za tydzień i odesłałem ich do domu. Nie jestem w stanie pracować.

*środa, 8 listopada 1922 r.*

Wieczór. Trzy dni stracone przez febrę i tak dalej. Wieczorem udaje mi się -wstać. W chorobie pociechą były mi koty, zwłaszcza droga Maggie. Po raz pierwszy od niedzieli jem kolację. Po paru dniach niespokojnego, przerywanego mdłościami snu dzisiaj nie mogę oczywiście zasnąć.

Ciekaw jestem, **co**

Carter, ta stara, wyschnięta beczka po winie, znalazł u podnóża swoich schodów. Wsiądę na pokład nocnego osła, potruchtam do Doliny, spotkam się z moim załamany kolegą na szczycie schodów-w prowadzących do starożytnego śmietnika i pocieszę go w rozpacz wywołanej sześciolatnim marnowaniem dobrych, łatwych pieniędzy Carnarvona.

Później: Przebrałem się w miejscowy strój. Zapłaciłem pewnemu chłopcu za przewiezienie mnie łódką na drugi brzeg i po niedługim czasie dotarłem do zalanej światłem księżycą Doliny. Wspiąłem się boczną ścieżką za grobowiec Ramzesa VI, żeby znowu spojrzeć na drogocenne schody. Ale zamiast nich zobaczyłem kilku robotników Cartera, „trzymających straż” i śpiących. Ani śladu samego wielkiego odkrywcy. A tam, gdzie były schody, zobaczyłem kopiec kamieni. Nic więcej. Jeśli były tam kiedykolwiek schody, jeśli upał, samotność, rozczarowanie i febra nie wywołały u mnie bezsensownej halucynacji, to Carter najwyraźniej ponownie zagrzebał swoje znalezisko. Wymieniłem *pa.rejalaam* i pogadałem z robotnikami. Moje przebranie jest bezbłędne. Z tego, co mi powiedzieli, zrozumiałem, że Carter skierował swoją ekipę do pracy po przeciwnej stronie, do robienia wykopów wokół starożytnych chat robotników, którzy zbudowali grobowiec Ramzesa VI. Cóż to za człowiek, ten Carter. Co za styl! Wiedząc, że stoi w obliczu niespotykanej w dziejach egiptologii porażki (znalezienie po sześciu latach pracy schodów prowadzących do pustej dziury) i że będzie musiał stawić czoło finansującym go przez cały ten czas szlachetnie urodzonym krezusom z zielonej Anglii, Carter po prostu zasypał to, do czego doprowadziło go jego szaleństwo, i odwrócił się do tego tyłem. To się nigdy nie zdarzyło! Wygląda na to, że nasz pan Carter jest oszustem.

Człowiek się zastanawia, co jeszcze ukrył w swojej wspaniałej przeszłości.

Ruszyłem z powrotem w stronę rzeki, drogą obok jego willi w Gurnie. Okiennice nie były zamknięte, światło księżycy posrebrzało jedną stronę budynku. Mały kawałek Anglii przeniesiony do Egiptu, jego sztalugi i książki ustawione w ścisłym porządku w pomieszczeniu, które jest pewnie salonem i gabinetem. Sztalugi stały tyłem do okna, nie mogę się więc wypowiadać o jego malarskich umiejętnościach. Nie sprzątnął zastawy, niewątpliwie pił coś mocnego, by wymazać okropne wspomnienie o tym, że zakopywał, zamiast odkopywać, zakrywając swoje schody z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Kto oprócz mnie usłyszał, przedwcześnie, o jego „triumfie”? Ilu ludziom powiedzieli o tym jego robotnicy? „Ach, tak, lord Carter znalazł dziś grobowiec króla Tutenchamona! Dzisiaj odkrył schody, a jutro odkryje skarbiec! Powiedz wszystkim krewnym!” Biedny Carter. Nic dziwnego, że komplet do herbaty stoi nie umyty.

Tył domu ukazał interesującą scenę, obramowaną pomalowanymi na zielono ramami okna. Carter spał jak człowiek o spokojnym sumieniu, co jest dziwne, chyba że weźmie się pod uwagę miksturę nasenną, którą prawdopodobnie wypił duszkiem, zęby odegnać dręczące go zmartwienia. Jego cienkie okulary leżały *złożone na szafce nocnej, na książce*, którą czytał przed snem, a której okładka była tego samego koloru co *Pożądanie i podstęp w starożytnym Egipcie*, co by mnie nie zdziwiło, ale nie mogłem dojrzeć tytułu. Sam Carter leżał w białej pościeli, pod moskitierą. Trzymał swoje stare, pomarszczone ręce przy szyi, jak jakiś gryzoń, który zagrzebał się w norce na długą, ciężką zimę. Nie zazdroszczę temu biedakowi pytań, na które będ zie musiał odpowiedzieć.

*Czwartek, 9 listopada 1922 r.*

Dziennik: Po stracie trzech dni z powodu febry i wysublimowanych, niepotrzebnych zmartwień, obudziłem się dzisiaj wcześnie, świeży i gotów do pracy. Czuję się absolutnie doskonale. Wystawiłem jedzenie dla Maggie i Ramzesów.

Ahmed i robotnicy czekają wiernie i przyjmują z wielką ulgą wiadomość, że jestem w końcu zdrowy. Przychodzili każdego ranka i odchodzili dopiero po paru godzinach czekania. Dzisiaj ich zapał do pracy jest wręcz namacalny i zaraźliwy. Patrzą na mnie z entuzjazmem i szacunkiem.

Każę im kontynuować staranne odrapywanie ściany urwiska nad wznoszącą się ścieżką. Nasze postępy są pokrzepiające, chociaż postępy bez wieńczącego je odkrycia można też postrzegać jako kurczenie się szans, ale nie pozwalam sobie na takie myśli. Oczyszczam kolejne trzy szczeliny. Zostało ich niewiele i obawiam się, że te pozostałe będą wymagały trudniejszej pracy.

Maggie i dwa kocury spożywają ze mną w jadalni kolację i spędzają wieczór na ciekawskim zerkaniu na gramofon.

*Piątek, 10 Listopada 1922 r.*

Dziennik: Rozdaję swoim ludziom dwa tuziny cygar z monogramem CCF jako bakszysze. To dowody mojego zaufania. Powtarza się często i do znudzenia, że Carter „wzbudza lojalność w swoich ludziach”. Ale „wzbudzanie lojalności”, jak nauczyłem się w wojsku, jest sztuczką jaskiniowca. Każdy może tego dokonać prezentami albo zastraszeniem.

Dzisiaj uznałem, że muszę zacząć planować kolejne kroki. Wysyłam dwóch ludzi na płaskie dno tej części doliny, by

wymierzyli i oznaczyli palikami kwadrat, 100 jardów od ściany urwiska i na 100 jardów długi, którego środek wypada w miejscu odkrycia fragmentu C. Pytam Ahmeda, czy łatwo byłoby nająć jeszcze 100 ludzi i wyposażyć ich w narzędzia do kopania. Zrobienie tego w odpowiednim czasie jest na pewno możliwe, ale z powodu wysokich kosztów trzeba czekać, aż spółka przystąpi do działania. Wspólnicy będą musieli się przygotować na wydatki na pełną ekipę. Nie mam jeszcze nic do pokazania, więc nie chcę wracać do Lacau ani iść do Winlocka, ale praca z pełną ekipą wykopaliskową jest po prostu niemożliwa do ukrycia.

*Sobota, 11 listopada 1922 r.*

Notatki do książki: Zmienić datę w epigrafie na 11 listopada 1922! Wpisując datę 24 listopada, zbyt szczerze dysponowałem czasem — dałem sobie pełnych trzynaście dni za dużo!

Dziennik: I dzisiaj uśmiechnął się do nas los. Akurat kiedy miałem już zmienić strategię, świat ukazał się nam w nowym świetle i widzimy więcej, niż ktokolwiek dotąd widział. Jest teraz późna noc i piszę w łóżku pod gwiazdami, obok grobowca króla Atum-hadu. Wysłałem Ahmeda, by zadepeszował do CCF i nakarmił koty.

Moje serce wciąż rozsadza radość z naszego zwycięstwa, wytężonych i wyśmienitych wysiłków, które chce się stale smakować — od czego mam zacząć? Odrzucam księżyc, wciągam z powrotem na niebo słoneczny rydwan i odgrywam ten dzień od cudownego początku.

Ranek spędziłem na opuszczaniu się do dwóch z ostatnich szczelin i wyciąganiu się stamtąd. Musiałem niemalże się czołgać, kiedy znajdowałem się na szczycie urwiska, żeby

nie zauważono mnie z Doliny Królów, przypominającej teraz mrowisko pełne rozrzutnej, bezcelowej krzątaniny. Zostawiłem Ahmeda, żeby dbał o zabezpieczenie lin, a dwóch ludzi wysłałem na dno doliny, żeby sondowali miękką ziemię, zostawiając pozostałych dwóch przy dalszym szorowaniu ściany urwiska wzdłuż ścieżki. Mój instynkt okazał się niezawodny.

Po obiedzie byłem w połowie drogi w dół do trzeciej tego dnia szczeliny, odnosząc wrażenie, że moja prawie ukończona już inwentaryzacja zakończy się niczym. Co gorsza, źle oceniłem długość liny potrzebnej do dotarcia do podłogi rozpadliny, która była moim celem, i uświadomiłem sobie z irytacją, że będę musiał wdrapać się z powrotem na szczyt urwiska i kupić dłuższą linę na jutro, żeby dotrzeć do ostatniego szeregu niższych fałd skalnych. Byłem w połowie drogi powrotnej, przeklinając moje złe przygotowanie, kiedy usłyszałem z dołu krzyki tych idiotów, którym kazałem za wszelką cenę zachować ciszę. W tej samej chwili na moich dłoniach utworzyły się dwa pęcherze, przez co wspinaczka stała się straszliwie bolesna. Krzyknąłem do Ahmeda, żeby mi pomógł, z przewidywalnym skutkiem. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że moi czterej ludzie zebrali się w jednym miejscu, może 200 stóp pode mną. Dotarcie na szczyt zajęło mi jeszcze dwadzieścia minut. Zdzierałem sobie skórę z dłoni, wspinając się w górę, wypatrując wciąż niewidocznego Ahmeda, spoglądając w dół na malejącą grupę moich ludzi, którzy najwyraźniej nic nie robili. Odpoczywałem i posuwałem się w górę. Wspinałem się i czułem, jak pieką mnie dłonie. W końcu dotarłem na szczyt, nie znalazłem tam Ahmeda, więc popęzłem ścieżką. Ahmed, jak się okazało, był już w drodze na dół, żeby sprawdzić, co przykuło uwagę robotników, i zanim zszedłem na dno doliny, minęły co najmniej trzy



kwadransie.

Ale cały ten czas zdaje się niczym, jeśli zważyć na to, jak długo czekał na mnie pod ziemią mój przyjaciel! Co znaleźliśmy? Na Boga, raczej czegoś nie znaleźliśmy! Jeden z robotników — imię mi umknęło, zupełnie nie odróżniam dwóch z nich, być może braci — oskrobując ścianę urwiska, zauważył na poziomie oczu bardzo mały skrawek gładkiej, białawej skały, zagłębiony parę cali w kurz i kamień ściany urwiska, mniej niż 100 stóp od miejsca, gdzie Marlowe i ja odkryliśmy fragment C. To odstępstwo od normy miało, kiedy je odkryli, kształt i rozmiar kciuka, było podłużnym i idealnie gładkim kawałkiem, podczas gdy wszystko wokół składało się z nieregularnych, brązowych kamieni i ziemi, która kruszyła się tylko wtedy, gdy się w nią silnie uderzyło. Był to dokładnie taki kawałek jak te, które doprowadziły dotąd do dziesiątków fałszywych alarmów, więc zanim do nich dotarłem, postarali się sami potwierdzić to odkrycie, waląc w brązową ścianę, podważając biały kamień metalowym prętem, próbując drapać po jego powierzchni, przez co powiększyli trzykrotnie jego wielkość i rozwścieczyli mnie, gdyż pogwałcili moje instrukcje, żeby niczego nie dotykać podczas mojej nieobecności.

Powiedziałem Ahmedowi, żeby ponownie wyjaśnił robotnikom zasady, bo za uszkodzone znaleziska nie będzie żadnego bakszyszu. Zbadałem kamień przez szkło powiększające i znalazłem na nim coś, co wyglądało na regularny deseń, chociaż nie można było mieć pewności przy tych zadrapaniach od uderzeń lewarów. Biała skała miała bez wątpienia zupełnie inną powierzchnię niż kamień znajdujący się nawet stopę ponad nią, a więc jeśli była duża, to ciągnęła się tylko w dół, ale nie wykazywała

konsystencji charakterystycznej dla rezultatów erozji. Wysłałem robotników, żeby przynieśli znajdujące się w jukach osłów łopaty i szczotki, a sam zabrałem się skrupulatnie do pracy.

— A więc to jest to? Jesteśmy blisko? — pyta Ahmed, zdradzając po raz pierwszy oznaki prawdziwego entuzjazmu.

Mojej ostrożnej pracy nie spowolniły ani kolacja, ani zapadnięcie zmroku. I, co dobrze o nich świadczy, Ahmed i robotnicy nie mieli ochoty opuścić stanowiska, kiedy zaszło słońce, chociaż nie wiem tego na pewno, bo w minionym tygodniu ich język stawał się coraz bardziej niezrozumiały; prywatny żargon i mamrotanie zdają się zastępować prawidłową dykcję. Pracowałem miarowo, używając różnych, specjalnie wykonanych dłut, szczotek i pędzli, o rozmiarach od pół cala do stopy, niczym chirurg przeprowadzający najprecyzyjniejszą operację. Chociaż kusząca była możliwość użycia taranów i dynamitu (jak dziesiątki lat temu robili pierwsi badacze), naszym obowiązkiem jest nie tylko zachowanie wszystkiego w oryginalnym kontekście, ale także sporządzenie planu tego kontekstu i odtworzenie go dla potomności. Bo zauważ: nigdy nie znamy zakresu naszej niewiedzy. Nie wiemy, jakich ważnych rzeczy nie zobaczymy, jeśli pospiesznie rozbijemy mur, który wydaje się ślepy i nieistotny. Zachować każdy kamień, każdy fragment, zanotować położenie każdej cegły w stosunku do każdej innej — to troska, która odróżnia profesjonalistę od rabusia grobów. A więc jeśli zwlekam z dalszym opisem tego niezrównanego dnia, to tylko dlatego, by dać ci, żądny dalszych wrażeń czytelniku, poczucie zarówno rosnącego podniecenia, jak i dziwnego upływu Czasu.

Albowiem w chwili odkrycia Czas zaczyna wariować, płynie

jednocześnie we wszystkich kierunkach i z każdą wyobraźnią prędkością, dopóki słońce nie przesunie się na zachód, chociaż wydaje ci się, że dopiero zacząłeś; twoja praca nigdy się nie skończy; możesz policzyć każdy swój oddech; wyobrażasz sobie w najdrobniejszych szczegółach, co zobaczysz za tymi drzwiami (bo były to drzwi, o tak, tyle ujawnię); wyobrażasz sobie każdą złotą bransoletę, majestatyczny tron, wysadzany diamentami strój, alabastrowy sarkofag, kalcytową głowę na kanapie z organami króla. I nawet więcej: widzisz zmianę, która lada ckwila dokona się w twoim życiu, suknię, którą twoja ukochana będzie miała na sobie w dniu waszego ślubu, migotanie złota na wstędze, którą ma na szyi twój władca, kiedy prosi cię, byś powstał. Wiesz też, co będziesz czuł zaledwie stopę dalej, chociaż nie wiesz, ile czasu będzie trzeba, by przebić się o tę jedną stopę: która chwila będzie właśnie tą chwilą? Okruch wstrząsającego kryształowego czasu, który utkwi w wieczności, łącząc teraźniejszość, przeszłość, która wkrótce zostanie wyjaśniona, i ustaloną, nieuniknioną przyszłość. Czy chwila ta będzie o 10.14 w dniu 12 listopada? Czy odwlecze się do 16.16, a twoi przyjaciele będą wtedy krzyczeć z radości i miłości?

Kto po mnie zajrzy w ten roziskrzony blaskiem złota mrok? Jacy poeci, pisarze, turyści? Niechaj uczniowie ćwiczą się w rysowaniu ślicznego kartusza Atum-hadu w swoich blokach rysunkowych i zaczynają szkolny dzień od obowiązkowego recytowania inspirującej kwartyny 7 naszego króla (tylko we fragmencie C):

*W chwili triumfu nad lodem lub wrogami wzywamy dziewczyn pół*

*tuzina,*

*Które przychodzą do nas w pośpiechu, i szata Atum-hadu się rozpina.*

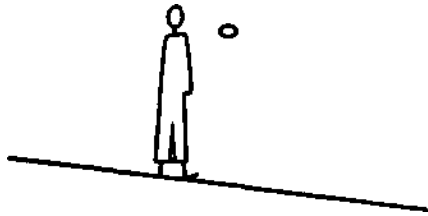
*A one tańczą i obnażają się przed nami, trzęsąc piersiami tak wysokimi,  
Że kobra Atum-hadu podskakuje, jakby chciała spocząć między nimi.*

Chociaż z radością świętowałbym dziś wieczorem z moim królem w jego ulubiony sposób, nie mogę tego zrobić, ponieważ moja przyszła królowa czeka na mnie w swej czystej piękności daleko stąd, a moja zazdrosna kochanka, Nauka, każe mi spocząć na tym łóżku polowym, w pościeli ozdobionej wizerunkiem kobry, sępa i sfinksa, i strzec mojego odkrycia przed bandytami i zawistnymi kolegami, którzy na pewno się pojawią, gdy tylko rozejdzie się wieść o tym, co znalazłem, a rozejdzie się na pewno albo nie znam naturalnego progu dyskrecji współczesnego egipskiego robotnika. Ale kiedy nadejdą, znajdą mnie z moim webleyem z wojska (dla bandytów) albo milczącym uśmiechem (dla Cartera). Ach, to byłoby smakowite. Styl Cartera nie jest jedynym stylem; moja dobra forma służyła mi dziesięć tysięcy razy lepiej niż jego *hauteur*.

Wybiegłem za bardzo naprzód. Czas, jak powiedziałem, płata figle.

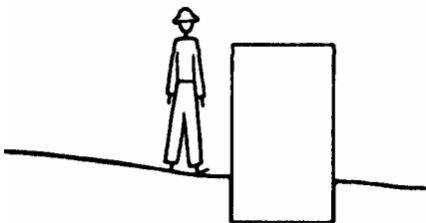
A zatem na początku wyglądało to tak:

(RYS. A: WIDOK DRZWI A DO GROBOWCA ATUM--HADU, W STANIE, W JAKIM ZOSTAŁY ZAUWAŻONE PRZEZ ANONIMOWEGO ROBOTNIKA, 11 LISTOPADA 1922 R., KIEDY NAGLE URWAŁY SIĘ PRZYŚPIEWKI PRZY PRACY I ZALEGŁA NIESAMOWITA, PIĘKNA CISZA)



Przykrywająca drzwi ziemia była miejscami gruba na stopę, często twarda jak skała. Ale po paru godzinach dłutowania, oczyszczania pędzlami i przesiewania mieliśmy przed sobą drzwi w całej okazałości, wysokie na jakieś pięć i pół stopy i szerokie na trzy (muszę wysłać Ahmeda, żeby kupił linijkę). Znajdowały się w około dwóch trzecich nad ścieżką biegnącą u podnóża urwiska i jednej trzeciej pod jej poziomem. Po wybraniu ziemi odsłoniłyśmy:

(RYS. B: RALPH M. TRILIPUSH OBOK DRZWI A DO GROBOWCA ATUM-HADU, 11 LISTOPADA 1922 R.)



Po wysłaniu telegramu muszę załatwić sprzęt fotograficzny.

Portal jest zupełnie nietknięty. Nie włamali się tu nigdy zadni rabusie i żadna późniejsza władza nie wymieniła ani cała drzwi. Nikt ich nie widział od 3500 lat. Poza tym, co ważne, nie były „zapieczętowane”. To znaczy nie było na kamiennych drzwiach żadnego odcisku królewskiego kartusza czy symboli, żadnych znaków wskazujących na obecność zawodowego strażnika grobowca. Byłoby to trochę dziwne w czasach

pokoju, ale wobec tego, co wiemy o ostatnich dniach Atum-hadu, nieskazitelna czystość drzwi jest kolejnym dowodem ich autentyczności.

Ktokolwiek je zamknął, został poinstruowany, żeby nie oznaczać ich na zewnątrz niczym, co mogłoby pozwolić zidentyfikować osobę spoczywającą w grobowcu (dzięki czemu rozpoznalibyśmy ją z bezbłędną jasnością).

Oczywiście jeśli (czego jestem absolutnie pewny) piszę dziś w nocy obok grobowca Atum-hadu, to został on pochowany pod koniec panowania XIII dynastii, pod koniec całej kultury, religii, życia, Egiptu, nadziei, czasu. Bo chociaż zaledwie sto lat później z popiołów XIII powstanie XVIII dynastia i odbuduje Egipt w nowej, lśniącej chwale (burżuazyjna odbudowa królestwa, kiczowate Nowe Państwo, wtórne, luksusowe, ale fałszywe, scena dla popisów androginów o tłustych brzuchach i pole badawcze dla równie zniewieściałych uczonych), w chwili śmierci Atum-hadu, kiedy hyksoscy najeźdźcy ogłosili się królami kraju, którego nigdy nie mogliby zrozumieć, ci barbarzyńcy bawiący się w przebieranki, profanujący świątynie próbami oddawania czci bogom, którzy nimi gardzili, nie było powodu, by umieszczać oficjalne pieczęcie na jego, ostatniego z królów Egiptu, grobowcu, nie było powodu, by chlubić się jego obecnością. Podczas gdy grobowiec, którego szuka Carter, będzie —jeśli go znajdzie— obficie opieczętowany hieroglificznymi odpowiednikami zdania „Spał Tu Tut”, drzwi do miejsca spoczynku Atum-hadu pozostawiono puste, pokryte szybko schnącym błotem, a król jak najszybciej pospieszył w zaświaty.

Zbadałem brzegi drzwi i stwierdziłem, że są one porządnie wklinowane

w skalną ścianę. Wydają się mieć co najmniej stopę grubości i zapewne zostały zrobione z jednego bloku, co potwierdzimy jutro czy po tak długim czasie, jaki okaże się konieczny, żeby zrobić to prawidłowo, tak jak zrobiłby Carter, bo trzeba staremu, pechowemu koledze oddać, co należy.

Tymczasem odesłałem Ahmeda i robotników do domu, by wykonali szereg ważnych zadań, kiedy będę spał pod gołym niebem na straży grobowca. Żałuję, że nie mogę wzorem starożytnych królów obciąć tym ludziom języków, a później liczyć na ich analfabetyzm, ale zadania muszą być wykonane, a ja sam nie jestem w stanie zrobić wszystkiego. Jutro wrócą z linami i uprzężami, metalowymi cylindrami do wytoczenia drzwi, miękko wyścielonym wozem i płótnem, bym mógł niepostrzeżenie przewieźć je do mojej wili.

Zgodnie z tradycyjnym protokołem powinienem się teraz skontaktować z Urzędem Zabytków, żeby przysłali tu swojego inspektora, który uczestniczyłby w otwarciu grobowca, jego przeszukaniu, oczyszczeniu i skatalogowaniu na terenie wymienionym w moim pozwoleniu oraz pilnował, żeby wszystko to zrobiono poprawnie. Jednak z powodu gawota, którego ciągle tańczę z Lacau, jestem trochę w rozterce i uważam, że mogę jedynie kontynuować na razie prace samemu, dopóki się nie zorientuję, jakiego rodzaju pomocy będę rzeczywiście potrzebował z ich strony. Kiedy nadejdzie ta chwila, wrócę do Kairu i oznajmię im osobiście, jakie skarby znalazłem. Wypełnię ich papiery, zapłacę łagodne kary, będę się bawił, kiedy będą chichotać i delikatnie dawać mi po łapach, będę się przyglądał, jak oblizują wargi, słysząc, gdzie znajduje się grobowiec, i uważnie słuchał odgłosów cięcia, kiedy będą okrawać pozwolenie Win-locka, by zrobić miejsce dla potrzeb transportowych i

laboratoryjnych ekspedycji Trilipusha. Jutro otwieramy grobowiec!

**TELEGRAM. LUKSOR DO CC. FINNERANA, BOSTON, 11  
LISTOPADA 1922, 17.58. PANIE SZCZODROŚCI. ZWYCIĘSTWO!  
ODKRYCIE OTACZA NAS BLASKIEM. ZAPEWNIJ KREDYT NA  
22. ZWŁOKA Z POWODU GROSZY- RYZYKO UTRATY GÓR  
ZŁOTA. RMT.**

Kupowałem prezenty dla twojej ciotki, to prawda. Zwykle drobiazgi. Oczywiście dostawałem zwrot kosztów, bo była kluczowym źródłem informacji. I, wiesz, przyjmowała wszystkie moje podarunki bez najmniejszego wahania; nie byłem durniem. I nadszedł dzień, kiedy postanowiłem jej wyjawić swoje zamiary, wyrazić uczucia, jakie do niej żywię. Tego samego ranka, zanim zdążyłem zastanowić się nad tym, w jaki sposób to zrobić, zostałem wezwany na dwór królewski, bo Finneran dostał wiadomość z Egiptu.

- Spójrz na to, Ferrell - mówi, popychając mnie na fotel. - Wygląda na to, że obaj myliliśmy się co do mojego chłopca, a to dobra wiadomość. - Pokazał mi telegram od Trilipusha: czort znalazł ten swój grobowiec, a przynajmniej tak twierdził, jego ekipa otwierała go, blask i góry złota. - Powinieneś być widzieć minę Maggie, kiedy jej to pokazałem - powiedział Finneran, machając telegramem, zbyt podniecony, żeby usiąść.

Chodził po gabinecie, zaproponował mi drinka spod biurka. Nigdy nie podzielił się swoimi obawami z Margaret - żadnej wzmianki o Ox-fordzie - i błagał mnie... Nie, kazał mi, i widać było, jakim naprawdę jest twardym starym sukinsynem, kiedy jest o czymś mocno przekonany, kazał mi iść za swoim przykładem, teraz, kiedy jego decyzja okazała się „słuszna”.



Finneran był taki zachwycony, że miał zamiar wznowić wysyłanie pieniędzy, które wstrzymał, kiedy nadeszły wiadomości z Oxfordu.

- Jest pan pewien, że to mądre posunięcie? - zapytałem. -Jeśli Trili-push jest kłamcą, a mamy pewne powody, by tak myśleć, to ten telegram niczego nie dowodzi.

Potępiasz mnie za to, Macy? Poprosił mnie przecież, żebym zatroszczył się o jego córkę. Aja naprawdę nie mówiłem tego z myślą o własnym interesie, ale tylko dlatego że była to uczciwa rada. To był błąd. Potwierdziła się moja pierwsza opinia o apetycie Finnerana - miał duży, ale nie na uczciwą radę. Przerwał zapalenie cygara i naskoczył na mnie. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba; Finneran pokazał charakterek, jakiego jeszcze u niego nie widziałem, choć powinienem się domyślić, że go ma, więc uciekłem z jego gabinetu i z tego domu, postanowiwszy, że nie chcę już nigdy widzieć ani jego, ani jego faszerującej się opium córki. Ten klient był już stracony. Od razu zdecydowałem, że wyruszam do Egiptu.

Takie są postanowienia zakochanych idiotów, Macy, nawet detektywów, którzy powinni wiedzieć, jak się sprawy mają. Kiedy tego samego wieczoru pojawiła się w moim hotelu, śmiejąc się, że udało się jej bez trudu uciec z domu i zmylić czujność pilnującego ją skandynawskiego psa, z ochotą wyszedłem z nią i chodziłem od jednego klubu jazzowego do drugiego w dzielnicach Bostonu, gdzie byliśmy jedynymi białymi twarzami w morzu czarnych, a potem poszliśmy do takiej, gdzie ulica za ulicą nie było nikogo oprócz Chińczyków, i w końcu wróciliśmy do JP, gdzie wznosiła toast za toastem za triumf swojego narzeczonego. O tak, była radosna tej nocy i nie tknęła opium, nie przestawała wyśpiewywać hymnów pochwalnych na cześć Trilipusha. Było jasne jak słońce, że mimo

wszystko nie zrobiłem na niej najmniejszego wrażenia. Ona piła, a ja płaciłem (a raczej, trzeba uczciwie przyznać, płacił nieśmiertelny majątek pana Daviesa). Naszyjnik leżał zwinięty w mojej kieszeni.

Tej nocy poznałem również tajemniczego J.P. O'Toole'a, jeśli sobie dobrze przypominam. Jestem pewien, Macy, że słyszałeś to nazwisko, okryte niesławą po wojnach gangów w końcu lat dwudziestych. Wtedy, wśród innych ciemnych interesów, prowadził ten klub, karmił twoją ciotkę opium i był jednym z inwestorów tej ekspedycji do Egiptu. Kiedy zszedł i zbliżył się do naszej kanapy (prawdopodobnie po to, żeby się dowiedzieć, dlaczego Margaret nie przychodzi po narkotyk), podał mi dwa palce i zachowywał się z udawaną wyniosłością członka francuskiej rodziny królewskiej wobec każdego, kto ośmielił się do niego przemówić, chociaż wziął Margaret na kolana i huśtał, nazywając ją swoją niegodziwą córką chrzestną, i aż krew we mnie zawrzała, że sobie tak swobodnie z nią poczyna. Mimo to nie powiem, że był to zły facet, ponieważ nieco dalej, Macy, pojawia się jako jeden z naszych klientów.

Pomogłem jej tego ranka, tuż przed świtem, wrócić do domu. Za-trzymaliśmy się w ogrodach publicznych koło jej domu i byłem gotów powiedzieć jej wszystko. Miałem zamiar powiedzieć jej, że Trilipush wykorzystał ją dla pieniędzy, że nigdy nie studiował w Oxfordzie, chociaż uczyło się tam wielu jego zboczonych przyjaciół, i że sfałszował swoje dyplomy. Zdecydowałem się właśnie, od czego mam zacząć tę całą opowieść: od tego, że jest zepsutym angielskim dżentelmenem, sodomitą, zabójcą swojego kochanka i niewinnego Australijczyka. Zamierzałem jej o tym opowiedzieć dla jej własnego dobra, rozumiesz. I miałem nadzieję - ba, wiedziałem - że kiedy powiem jej prawdę, będzie wdzięczna, podziękuje

mi, zobaczy mnie w końcu w nowym świetle, w świetle, którego do tej pory nie byłem w stanie włączyć, bo oślepiąca była kłamstwami Trilipusha. Powiedziała:

- Dobranoc, Harry. -Ja nie otworzyłem ust. Odwróciła się w stronę furtki, nie dbając o to, czy zostanie przyłapana czy nie. Potem obejrzała się, dodała: - Możesz w to uwierzyć? Mój bohater znalazł swój skarb! Czy to nie wspaniałe? - i odeszła. Zawołałem ją, ale zbyt cicho, a potem szczęknęła zamykana furtka. Wciąż to słyszę, ten dźwięk. Jest tutaj, w domu opieki, taka furtka, pomiędzy tak zwanym ogrodem i czymś w rodzaju szopy na zewnątrz, gdzie stoją kubły na śmieci, czekające na zabranie, i kiedy posługacze wynoszą tam odpadki i jest otwarte okno przy pewnej pogodzie i w powietrzu czuć pewien zapach, zamek tej furtki szczęka i przypominam sobie twoją ciotkę tak wyraźnie, że chce mi się płakać. Na pewno ci o tym powiedziała.

*Niedziela, 12 Listopada 1922 r.*

Notatki do książki: Wczoraj była rocznica zakończenia wojny, chwila, by wspomnieć naszych poległych braci i być wdzięcznym za błogosławieństwo pokoju, którym cieszy się teraz reszta nas, wiecznie, ma człowiek nadzieję. Włączyć tutaj coś o Marlowie i o mnie, jak żegnaliśmy się przed moim wyjazdem do Turcji, wspominaliśmy nasze szczęśliwe dni w Oxfordzie, jak Marlowe przyrzekał, że zatrzyma fragment C do mojego powrotu, jak błogosławił mnie przed bitwą, o moim optymizmie co do naszej wiecznej współpracy, kiedy wyjechałem, smutku po powrocie z Turcji i tak dalej.

Dziennik: Dzisiaj pojawia się nowy Ahmed, cały w uśmiechach i

ukłonach, a robotnicy idą za jego przykładem. To bardzo przyjemne. Przybyli o świcie — telegramy wysłane, koty nakarmione — z imponującym zestawem nowego sprzętu, chociaż zanim zakończy się ta przygoda, będę musiał sam pojechać do Kairu po pewne ważniejsze przybory naukowe. Muszę też wysłać Ahmeda dziś wieczorem po moskitierę, jeśli znowu mam spać pod gołym niebem — moje ręce przypominają jedną z map plastycznych Himalajów, którą miał mój ojciec.

Zaczęliśmy od razu, wbijając kliny pod drzwi, kopiąc i jednocześnie zajmując się ich górą i bokami. Jest to praca, którą trzeba wykonywać skrupulatnie, 'więc do obiadu wykopaliśmy wokół drzwi rowek głęboki na stopę, ale nadal ich nie poluzowaliśmy. Doszliśmy do wniosku, że nie mamy innego wyboru jak zarzucić liny za drzwi, obwiązać je, a następnie naszymi dwunastoma rękami kontrolować ich opuszczanie się zewnętrzną stroną na miękką wyściółkę, chroniącą przed zniszczeniem ewentualnych mikroskopijnych inskrypcji, niewidocznych przez szkło powiększające, i leżącą na rolkach, które możemy przywiązać do uprzęży osłów. Z powrotem do pracy.

5.00 — Dostrzegam teraz spojenie, „szew”, w miejscu, gdzie górna krawędź drzwi przylega do czegoś, prawdopodobnie do sufitu zamykającego przestrzeń za nimi. Udaje się umieścić w tym spojeniu pierwsze kliny, wbijamy łomy w powstałą dzięki temu wąską szczelinę i wypychamy łagodnie kamienny blok drzwi z ościeży, aż jeden z klinów znika nam z oczu, za spojeniem, i wszyscy wstrzymujemy oddech, słysząc, jak spada i uderza o kamień. Już tam prawie jesteśmy. Wprowadzam tam pręt, sondując przestrzeń, w którą wpadł klin (a w

której byśmy byli już, niech szlag trafi nowojorskie Metropolitan Museum, gdybyśmy mieli dosyć ludzi i nie byli zmuszeni czaić się w ciemnościach jak przestępcy). Przeprowadzam test świecy, by upewnić się, że ze szczeliny nie wydobywają się żadne trujące gazy. Otwór jest zbyt mały, by przez niego zajrzeć czy wsunąć latarkę, więc chociaż pragnę zobaczyć, co jest za drzwiami, zarządzam przerwę na odpoczynek. Moi ludzie żują jube, nic nie mówią i uśmiechają się do mnie szeroko, gdy tylko pochwycą moje spojrzenie.

7.30 — Dopiero po godzinie katorzniczej pracy udaje się nam poruszyć drzwi i mogę opuścić małą świeczkę do wnętrza grobowca. Przykładam oko do szczeliny. Początkowo mój wzrok nie może się przystosować do ciemności, do otoczonego aureolą stożka światła przebitego knotem niczym włócznią, nie poruszanego żadnym powiewem, nie widzę też jeszcze nic z tego, co mam nadzieję zobaczyć (cienie, lśnienie metalu), i przez długą dla nas wszystkich chwilę tylko czekamy z zapartym tchem.

- Co pan widzi, do licha? — mruczy Ahmed po angielsku.
- Nieśmiertelność! — mówię (zamienić w epigrafie Abdulla-ha na Ahmeda, chociaż ten łotr nie bardzo zasługuje na to, żeby w ogóle wymieniać jego imię).

W końcu widok się klaruje — ściany o barwie zakurzonej bieli, fragment podłogi w podobnym kolorze, ale niewiele więcej. Do zapadnięcia zmroku udało się nam wysunąć drzwi z ościeży zaledwie na tyle, byśmy mogli jutro, ze świeżymi siłami po przespanej nocy, opuścić je na rolki. Daję Ahmedowi upoważnienie do przyrowadzenia dodatkowych ludzi i odsyłam moją ekipę do domu.

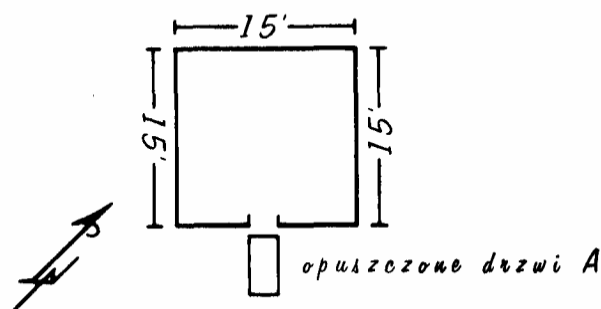
*Poniedziałek, 13 listopada 1922' r.*

11.00 — Ahmed, spóźniony, ale z sześcioma ludźmi, zjawił się o 8.30. Zapłaciłem dotąd za pięć dniówek, a tym dwóm nowym tylko za dzisiaj. Właśnie opuściliśmy drzwi na wyściełaną podkładkę, niemal od razu rozgniatając rolki. Zgodni jesteśmy co do tego, że muszą ważyć prawie 2000 funtów, i robotnicy wyczerpali wszystkie siły, by opuścić je bezpiecznie, a ci dwaj nowi odeszli zgięci wespół, trzymając się za plecy, ale robota została wykonana i natychmiast pokonałem jedyny stopień i wszedłem z elektryczną latarką do komory. Powietrze — gorące, duszne, nieruchome od 3500 lat — było pyszne. Drzwi znajdowały się pośrodku jednej ze ścian kwadratowej komory, o boku mierzącym około piętnastu stóp, wysokiej może na siedem. Każda powierzchnia była jednolitym, gładkim, żółtawobiałym kamieniem. Jeśli chodzi o przedmioty, dekoracje ścienne, rzeźby, odciski stóp, wizerunki bogów strażników, inskrypcje na ścianach, to być może późniejsza inwentaryzacja ukaże to, czego na razie z jedną latarką nie udało mi się dojrzeć. Ale powiedziałbym wstępnie, musiałbym powiedzieć, że prawdopodobnie, na razie, okazuje się, że tych rzeczy jest tam bardzo mało, a właściwie, tak naprawdę, nie ma w ogóle.

Stoję i piszę w pomieszczeniu, które zmuszony jestem roboczo nazwać „Pustą Komorą” grobowca Atum-hadu. Na planie wyglądałoby to tak:

(RYS. C: PUSTA KOMORA)

(RYS. C: PUSTA KOMORA)



Wbrew moim wyraźnym poleceniom do Pustej Komory wszedł Ahmed.

— Wynoś się! — krzyknąłem. — Ta przestrzeń nie znosi amatorów. Nie poruszył się ani nawet nie zwrócił na mnie uwagi, tylko omiótł latarką całe pomieszczenie i widziałem, że w jego kurzym mózdzku rodzi się błędna interpretacja. Westchnął

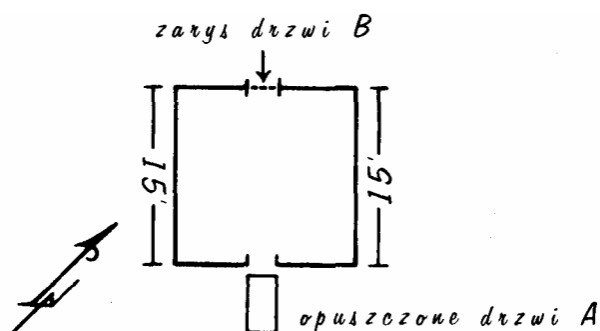
i wyszedł. A jaka to dla niego różnica? Płacę mu za jego czas, -więc z pewnością im wolniej idzie praca i dłużej trwa, tym lepiej dla niego.

— Na dzisiaj koniec, odeślij wszystkich do domu — krzyknąłem za nim. — Ty i czterech ludzi jutro o pierwszym brzasku. — Bo potrzebowałem reszty dnia, żeby to wszystko rozważyć i przeprowadzić dokładną analizę tego pomieszczenia.

Jest teraz zmierzch. Nie osądzam surowo reakcji Ahmeda. Ja też mógłbym rozpaczać i napisać tutaj raczej słowo „rozczarowanie” zamiast „sukces”, gdybym nie był lepiej zorientowany. Otóż zauważ: to właśnie niewiedza Ahmeda i dziecinnie łatwy do przewidzenia zawód, którego doznał, są tu kluczowymi sprawami, najlepszym środkiem obrony, jaki mógł wymyślić architekt grobowca Atum-hadu. Leżę na łóżku polowym w Pustej Komorze, przy migotliwym świetle lampy; dokładnie rozumiem, co

znaczy takie pomieszczenie. Wyobraź sobie rabusia grobowców w starożytności. Chociaż wiemy teraz, że w tym akurat grobowcu nie było nigdy rabusiów, ani jednego, architekci musieli ich uwzględniać w swoich planach. A zatem 'wyobraź sobie architekta uwzględniającego możliwość wtargnięcia złodzieja. Jeśli chodzi o tego ostatniego, wyobraźmy sobie człowieka, takiego jak Ahmed, który z paroma podobnymi sobie kompanami zdobył się na wielki wysiłek sforsowania drzwi, które odkryli przypadkiem albo dzięki swojej; przebiegłości. W końcu, skradając się w ciemnościach, by nie zauważyły ich, nieważne jakie, władze, które w owych czasach zainteresowały się grobowcami, wdzierają się do miejsca przejścia ostatniego Pana Nilu i znajdują w tym pustym pomieszczeniu coś w rodzaju wypowiedzianych z uśmiechem przeprosin: „Nie ma tu czego szukać, stary, idź sobie plądrować gdzie indziej”. Bo nikt oprócz bystrookiego pokrewnego ducha nie zauważy niewyraźnego zarysu na tylnej ścianie, ni mniej, ni więcej tylko drugich drzwi, prawie niewidocznych, co było wyraźnym zamiarem architekta, ale niewątpliwie tam się znajdujących. I nawet R. M. Trilipush, prawowity odkrywca króla, zauważył je dopiero prawie o ósmej wieczorem, kiedy jego ludzie odeszli, a on sam podupał trochę na duchu.

(RYS. D: PUSTA KOMORA, PLAN POPRAWIONY)





Trochę delikatnej pracy dłutem i pędzlem, parę wbitych młotkiem klinów i nie ma już żadnych wątpliwości. Jutro zapuścimy się głębiej w ten niezwykle labirynt zaprojektowany dla nas przez naszego pana Atum-hadu, w tę zagadkę, która jest z kolei rozwiązaniem innej zagadki, przedstawionej przez samego króla, najbliższym rozwiązaniem najstraszliwiej skomplikowanego paradoksu grobowca w historii tej niezwyklej krainy.

Weźmy kwartynę 78 (fragmenty A, B i C, za: *Pożądanie i pod-dstęp w dtaroczytnym Egipcie*, Harvard University Press, 1923):

*Nie wysłedzi nas żaden sokół, żaden bystrooki chart żwawy*

*Nie zobaczy, jak brutalnie biorę Izydę, w usta i od tyłu.*

*Kiedy z lewej strony będę miał wilgotne wargi Maat,*

*a piersi Sechmet z prawej,*

*Wrogowie, złodzieje, zdrajcy będą błakali się nad nami, oslepli od pustyni pyłu.*

Trudno byłoby znaleźć zwięźlejsze streszczenie zarówno paradoksu grobowca, jak i rozkoszy zaświatów. A dla każdego starożytnego rabusia, który miałby tyle szczęścia, by znaleźć wejście do grobowca Atum-hadu, jego wnętrze byłoby tylko zniechęcającym do dalszych poszukiwań pomieszczeniem, wyraźnie już splądrowanym. Sformułujmy hipotezę, jak można by tu dotrzymać wymogów paradoksu grobowca: otóż możemy sobie wyobrazić, że Atum-hadu postarał się o to, by człowiek, który zapieczętował drugie, wewnętrzne drzwi (drzwi B), został zamordowany przez człowieka, który później zapieczętował drzwi A, którego zabicie z kolei zostało zleczone trzeciemu, który w ogóle nic nie wiedział o położeniu grobowca ani o przyczynie zawarcia z nim kontraktu na to

zabójstwo. Po zgonie Atum--hadu następują dwa inne, nie mające z nim żadnego związku, niewytłumaczalne nawet dla ich sprawców i prawie niezauważone w mrokach, które pod koniec spowiły Egipt.

Jutro przebijemy się do grobowca naszego króla, przerwiemy jego namiętny stosunek z wiecznymi towarzyszками w łożu. Dziś w nocy, śpiąc w Pustej Komorze, niemal go słyszę, oddychającego równo, zaspokojonego, wiedzącego, że maskujących jego miejsce spoczynku zabójstw dokonano zgodnie z jego instrukcjami, że jego kobiety będą go wiecznie zaspokajały, że okazał się sprytniejszy od naszego urażonego ojca, samego Czasu.

*Wtorek, Listopada 1922r.*

Wraca Ahmed, skruszony, uradowany wiadomością o drzwiach B.

- Milordzie Trilipush, twój sokoli wzrok i nos psa gończego, i niezłomne serce są wzorem dla nas wszystkich i symbolem tych wszystkich darów, które Anglik przynosi Egiptowi.

Znowu zaczynamy taką samą katorżniczą pracę, ale teraz w migotliwym świetle latarek i duchocie, od której koszule lepią się do ciał, kiedy wyznaczamy zarys krawędzi drugich drzwi. Sprawdzamy podwójnie i potrójnie, czy nie ma tam jakichś pieczęci, napisów, jakichkolwiek innych znaków, i stwierdzam z zadowoleniem, że żadnych, co potwierdza niewątpliwie moją hipotezę co do funkcji, którą miała pełnić Pusta Komora. Daję każdemu z moich ludzi po kolei szkło powiększające i cała nasza szóstka jest zgodna: nie ma żadnych znaków.

Teraz dwóch stoi na straży na zewnątrz, dwóch donosi w miarę potrzeby wodę i narzędzia, podczas gdy ja precyzyjnie i ostrożnie dłutuję, a Ahmed

trzyma latarkę, co kazałem mu robić głównie dlatego, żeby przestał dreptać jak staruszka.

Zarys drzwi szybko się pogłębiał i stawał coraz wyraźniejszy, jakby białożółty mur był bardzo prowizorycznym kamuflażem, a my jakimiś cichymi współnikami w ciemnych interesach czekającego na nas króla. Jest dla mnie jasne, że będziemy potrzebowali paru łomów, a ponieważ podłoga Pustej Komory lekko opada — schodząc z poziomu ścieżki wzdłuż urwiska do drugich drzwi — będzie też prawdopodobnie potrzebna rama na kołach, i to mocna, żebyśmy mogli wydobyć te drugie drzwi z grobowca, a przy tym będą one musiały leżeć na tym wehikule bokiem, żeby przejść przez drzwi A, chyba że Urząd Zabytków postanowi, żeby zostawić drzwi B szeroko otwarte, in situ, dla najczystszej *fruun* w sezonie turystycznym.

Biorąc pod uwagę wszystkie te komplikacje oraz to, że niemożliwe było, by złodzieje posunęli się choćby o krok do przodu, natknąwszy się na taką przeszkodę, zostawiłem ludzi, by pilnowali grobowca, śpiąc w Pustej Komorze w pościeli ze wzorem w sępy, kobry, sfinksy i pożerającego Horusa, i -wróciłem do miasta. Zastanawiam się, jakie życie rodzinne prowadzą ci mężczyźni, skoro nie oczekuje się ich w domu i mogą bez uprzedzenia spędzić noc na pustyni.

Na poczcie jest list od mojej narzeczonej, z datą sprzed dwudziestu czterech dni (wieki temu, przed naszym odkryciem), i depesza od Pana Szczodrości, dowodząca, że dorównuje on każdemu, kto kiedykolwiek nosił ten tytuł: DOBRA ROBOTA! PRZYŚLIJ SZCZEGÓŁY. KREDYT W DRODZE. Kupuję łomy, jedzenie i tak dalej.

A teraz, z tej odległości, siedząc w zapadającym zmroku na tarasie w willi Trilipush z przeciwmalarycznym koktajlem w dłoni, Maggie mrużąc na moich kolanach, przy grającym gramofonie, wyobrażam sobie, co czeka na mnie za drzwiami B — cienie rzucane na białe ściany przez światło latarki, drzwi za nami, łomy upuszczone z wrażenia na ziemię. Jutro.

21 października *Cześć, Ralphie!*

*Podczas gdy ty uganiaasz się za czarnymi dziewczynami po kazbie (o lak, mój panie, poszłam któregoś wieczora do kina i teraz dokładnie wiem, co przyciągnęło cię do Egiptu i Arabii, mój niegodziwy Szejku), ja nie będę siedziała na tyłku, słuchając opowieści Inge o suroiuych zimach w Islandii.*

*Udało mi się spędzić parę bardzo miłych wieczorów w lokalu JP, czego, jak wiem, p o prostu nie pochwalasz. Zastanawiam się, czego konkretnie nie pochwalasz: lokalu JP czy tego, że spędzam miło wieczory. Naprawdę, ze sposobu, w jaki mnie tu traktują, można by pomyśleć, że jestem odsiadującą karę przestępczynią czy co.*

*Może cię zainteresuje, że JP przedstawił mnie swojemu przyjacielowi, zaraz, jak on się nazywa, mam to na końcu języka. O, już mam:*

*Corneliusowi Macy'emu. Powiedziałabym, że przypadłam mu do gustu. Całkiem niezły z niego tancerz. Od wtorku, kiedy się poznaliśmy, był tam przez cztery wieczory z rzędu. JP mówił, że ten Corny siedzi na forsie. Na pewno ubiera się jak magnat finansjery. Przydałaby mi się forsa, oj przydała, panie Trilipush!*

*Uspokój się, Angolu. On nic dla mnie nie znaczy, ty jesteś moim jedynym*

*prawdziwym, bohaterskim badaczem.*

*Ten szpicel też jest wobec mnie życzliwy. Nie wiem, co o tym myśleć. Jeśli chodzi o jego wygląd, to nie ma na czym oka zawiesić, mówię ci to za darmo. Parę dni po naszym pierwszym spotkaniu wybierałam się z paroma przyjaciółkami na małe przyjęcie, o którym się dowiedziałam, ale kiedy wyszłam z domu, czekał tam ten szpicel i powiedział: „Chodź, postawię ci drinka”. Dziewczynie nie trzeba tego dwa razy powtarzać.*

*Co przywieziesz swojej królowej? Wiem, wiem - grób będzie pełen biżuterii, która ma milion lal. No i prawda, że egipskie rzeczy są teraz bardzo modne, tak więc to będzie miłe. Ale czy te rzeczy nie będą zatęchłe i zużyte? Wiesz, Ralphie, dziewczyna nie lubi nosić na szyi muzealnych eksponatów.*

*Nie, naprawdę nie ma na czym oka zawiesić w tym szpiclu. Głowa jak marchewka, cały pulchny. Ale jest wobec mnie nieśmiały, nie potrafi mi patrzeć prosto w oczy. To pewien znak, że robią się miękcy w kolanach. Ty byłeś wyjątkiem od tej reguły, mój bohaterze, patrząc na mnie śmiało, recytując swoje świńskie wiersze. Ale jeśli chodzi o tego szpicla, to zabiera mnie do JP, kiedy mam na to ochotę, kiedy się nudzę i muszę gdzieś wyskoczyć wieczorem, i jest jak mały szczeniaczek. Ale mogę ci coś powiedzieć - on mówi, że szuka tego biednego australijskiego chłopaka, ale naprawdę interesujesz go ty. Myślę, że częściowo dlatego, że chce wiedzieć, czy jest w moim sercu miejsce dla nowego faceta. Och, nie martw się, Ralphie, tylko szybko wracaj! Strasznie się z tobą drażnię, prawda? Ale spójrz na to z mojego punktu widzenia.*

*Ty masz te przygody. Mnie traktują jak przestępczynię tylko dlatego, że jestem teraz trochę niezdrowa.*

*Ciekawi mnie, czy znalazłeś już ten skarb? Jak, twoim zdaniem, mogą*

*wyglądać ściany grobowca Atum-hadu? Kiedy pomyślę o jego poezji, o rany, to musisz przypuszczać, że jego grobowiec to będzie niezły ubaw. Tylko nic sobie nie pomyśl, mój panie, a przynajmniej nic, czego byś się trzymał, dopóki nie wrócisz. Czekam na ciebie, bohaterze, czysta jak śnieg, wiesz.*

*Oczywiście jesteś strasznie daleko, prawda? A ja nie mam od ciebie żadnej wiadomości, odkąd wskoczyłeś na ten statek, machając do mnie kapeluszem. Trzymam twoją książkę przy łóżku, i zdjęcie, to, na którym jesteś w tych swoich łachach badacza. Zasypiam, wyobrażając sobie, że czytasz mi te swoje świńskie, pełne żądz królewskie wiersze. Czasami, kiedy się budzę, widzę Inge czytającą twoją książkę. Nie dziwi mnie to.*

*Myślisz, że jak długo jeszcze wytrzymam? Tutaj jest nuda i to twoja wina. Z tobą nigdy się nie nudziłam, nawet kiedy robiliśmy nudne rzeczy, jak gapienie się w muzeum na stare, połamane krzesło jakiegoś faraona. Ale pospiesz się, Ralphie. Chcę wyjść za mąż. Zasluguję na coś lepszego niż to, co mam teraz, prawda? Zasluguję na to, co mi obiecałeś. Nie chcę tu już dłużej być, nie lubię Inge, a teraz nawet taty.*

*Do zobaczenia! m.*

*Środa, 15 listopada 1922 r., willa Trilipush*

Wstałem przed świtem.

Z powrotem na stanowisku tuż po wschodzie słońca, z wodą, jedzeniem, dwoma dodatkowymi latarkami elektrycznymi. Zbudziłem łagodnymi kopniakami moich ludzi zwiniętych w kłębki w Pustej Komorze.

1 znowu do tej szczeliny! Wkładanie klinów, używanie łomów, próby założenia haków, naprężanie grzbietów, podkła-

danie mocniejszych rolek, podczas gdy robotnicy coraz głośniejsz narzekają na pęcherze robiące się im na dłoniach od wyslizgujących się lin (zapomniałem kupić im rękawiczki), pchanie w lewo, ciągnięcie w prawo.

Obiad. Potrzebny ciężki sprzęt, na który mnie jeszcze nie stać ani którego nie mogę otwarcie sprowadzić na stanowisko. To problem pokonania tego trudnego kąta nachylenia podłogi, który sprawia, że drzwi wydają się jeszcze cięższe. Albo muszę podejść do mojego znaleziska mniej odpowiedzialnie i po prostu rozbić drzwi na kawałki. Tego nie zrobię, mimo podniecenia. Kopiemy po to, by zachować.

Robimy postępy straszliwym kosztem, a jednak, mimo bólu, sińców i palących bąbli na dłoniach, prawie tego nie widać. O zmierzchu odprawiam ludzi do domu i padam na łóżko w dziwnych powiewach i strefach ciepła w Pustej Komorze.

*Czwartek, 16 listopada 1922 r.*

Margaret: Jest wpół do czwartej rano i piszę przy lampie, bo sen przedwcześnie opuścił moje obolałe ciało. Nie mogę już spać dłużej niż cztery godziny na dobę, a do tego co i rusz się budzę. Myślę o tobie, będącej tak strasznie daleko, moja ty słodka i ufna, mimo wszystkich twoich kłopotów, tego dziwnego świata, który stworzyły wokół ciebie pieniądze ojca, mimo mgły, którą spowijają twój umysł leki, mimo dokuczliwych zmian nastroju, tego starego koczkodana Ferrella, usiłującego zabić twoje uczucia do mnie, mimo nudnego towarzystwa Inge, która — zgadzam się, że to możliwe — mogła się wśliznąć w objęcia twojego ojca.

Dziennik: Popołudnie. Po paru kolejnych godzinach pracy drzwi

przemieściły się nieco do nas, posuwając się o ziarenko piasku na raz, i wczesnym popołudniem udaje mi się zajrzeć przez szczelinę: złoto, bez -wątpienia, właściwie odbicie mojego spłoszonego oka. Daję ludziom czas na krótki odpoczynek przed ostatnim pociągnięciem.

— Dlaczego nie młotem? — pyta Ahmed po angielsku i jestem zdumiony, że mówi to poważnie. Jest dla mnie niewiarygodne, jak słabo ci ludzie rozumieją, co staramy się dla nich zrobić. Zaczynam wyjaśniać podstawy archeologii, ale muszę zachować siły, a widzę, że on nie jest strasznie zainteresowany.

*Czwartek, piątek, sobota, 16, 17, 18 listopada, zapisano w sobotę, 18 listopada 1922 r.*

Dziennik: Zwycięstwa i chwilowe, drobne, porażki. Potworny ból.

16 listopada kolejna godzina pracy z wykorzystaniem łomów i lin przyniosła nam pyrrusowe zwycięstwo — osiągnęliśmy opisaną wyżej pozycję, a Ahmed był surowym i pomocnym brygadziwą; widział w moim wyrazie twarzy pewność i uważał na moje słowa. Po przerwie zabraliśmy się z furią do pracy. Widzę teraz, że zmuszałem moich ludzi i siebie do zbyt dużego wysiłku, moja wina. Dwóch ludzi z każdej strony drzwi napierało z całej siły na łomy, a Ahmed i ja z przodu ciągnęliśmy za liny, aż nasze rękawiczki stały się gorące jak ogień — a potem, ku mojemu wstydowni, stało się to: najpierw rozległ się dźwięk, straszliwy dźwięk, a bieg wydarzeń wymknął się spod naukowej kontroli. Dla uszu zabobonnych ludzi (jakimi na pewno byli niektórzy obecni w komorze) zabrzmiało to jak grzmiący krzyk z przeszłości, któremu towarzyszył



powiew gorącego powietrza (może myśleli, że to gniewny oddech Atum-hadu), a potem moje okrzyki zawodu po angielsku i huk rozpadających się masywnych drzwi, kiedy się przechyliły i rozbiły o twardą

*rtrtrt*

podłogę, milion szarych odłamków śmigających we wszystkie strony jak rozry wający się szrapnel, potem wrzask — jednego z robotników, któremu lecący kamień rozciął lekko skórę nad okiem — a potem tylko ból, potworny ból, gdy zdałem sobie sprawę, że moja stopa znalazła się w zasięgu padających drzwi i eksplodowała. Utykając, krwawiąc, ze zmiażdżonymi palcami, pękniętym butem — a niech tam, trudno — znalazłem się momentalnie w następnej komorze, a moja elektryczna latarka kreśliła świetliste ścieżki to tu, to tam, przesuając się w górę i w dół po każdej ścianie, wdzierając się w każdy kąt, kiedy elektryzujący ból promieniujący z mojej stopy migotał mi za oczami.

Przekleństwa po arabsku były okropne, te, które rozumiałem, i początkowo myślałem, że musi je rzucać ów ranny, ale padały z ust Ahmeda, przeklinającego los, Zachód i Egipt (bo w swoim zaślepieniu zobaczył jedynie puste pomieszczenie). Jego irytacja i rozczarowanie biorą się z chciwości i żądzy złota; brakuje mu poszanowania dla nauki. To, co łączy Cartera, Marlowe'a i mnie, po prostu nie jest cechą Egipcjanina.

Kazałem Ahmedowi i dwóm innym zabrać rannego do miasta, by opatrzone tam jego ranę, i wrócić w ciągu dwudziestu czterech godzin, a jednego człowieka zatrzymałem, by pomógł mi w czekającej mnie żmudnej pracy i zajął się moimi obrażeniami.

Ściągnął mi but, a kiedy to robił, z bólu przygryzłem prawie do krwi wargę. Na obmycie i owinięciu mojej odrażającej, zakrwawionej stopy

poświęciliśmy część wody i jedno z hotelowych prześcieradeł. Późnym popołudniem szesnastego mogłem wreszcie kuśtykać i umieścić latarnie w nowej, drugiej komorze. Nieszczęsne drzwi B to szczególnie dotkliwa strata, jeśli zważyć na to, że znajdował się na nich, wykonany wspaniałymi hieroglifami, napis:

ATUM-HADU, PAN NILU, PLUJE NA SWOICH  
PRZEŚLADOWCÓW, KTÓRZY ZBYT PÓŹNO ZAKŁÓCAJĄ MU  
SPOKÓJ I KTÓRZY ZAPŁACĄ ZA TO STRASZLIWĄ CENĘ.

Inskrypcja ta byłaby znakomitym dowodem, gdyby pozostawał jeszcze ktoś, kto kwestionuje nasze założenia i osiągnięcia. Mam nadzieję, że uda się nam ją zrekonstruować ze szczątków rozbitych drzwi, ale obawiam się, że jest stracona. Obwiniam siebie i tych głupców z Urzędu Zabytków, którzy postawili mnie w tej sytuacji, a teraz wycięli z mojej stopy należny im funt ciała.

Szybko puchnąca stopa zmusiła mnie do odłożenia na później badania nowej komory i spędziłem ten wieczór, zmieniając wciąż nasiąkające krwią opatrunki — naprawdę brzydka rana, chociaż oczywiście jest to niska cena za nasze odkrycie. Odesłałem towarzyszącego mi człowieka, żeby też odpoczął, przyniósł więcej wody i laskę, ale sam nie mogłem z czystym sumieniem wrócić do mojej willi ani pójść do lekarza, zanim nie sporządzę mapy nowej komory grobowca. Sen był prawie niemożliwy.

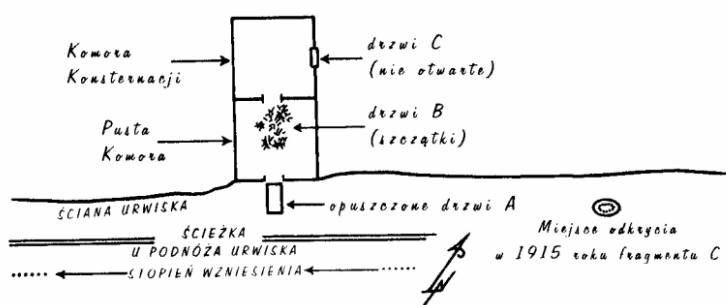
Nadszedł 17 listopada, promyk światła, a ponieważ mój człowiek jeszcze nie wrócił, znowu obmyłem sobie stopę resztką wody do picia i owinąłem kolejnym pasem oddartym z prześcieradła. W słabym świetle świtu zobaczyłem, że mam nie lada problem: dwa zewnętrzne palce były na pewno złamane, podobnie jak, sądząc z purpurowej opuchlizny, kość

bądź dwie, albo trzy w samej stopie. Rozcięcia były głównie powierzchniowe, ponieważ mój but spełnił funkcję zbroi, ale skóra była w paru miejscach rozdarta, a opatrunek brązowy. Zakończyłem czynności pielęgniarские i pokuśtykałem zbadać powierzchnie, które będziemy na razie nazywać „Komorą Konsternacji”.

Druga komora jest na pierwszy rzut oka tak samo pusta jak Pusta Komora. A zatem trzeba skonkludować, że Atum-hadu i anonimowy architekt jego grobowca doszli do wniosku, że jakiegokolwiek rabusia, który włamał się do Pustej Komory, odkrył złowieszczą klątwę wypisaną na drzwiach B, a mimo to był na tyle silny, by posuwać się dalej, może zniechęcić tylko całkowity zawód, skoro nie powstrzymały go dotąd ani strach, ani przeszkody, a więc król i budowniczy prawdopodobnie postanowili nie zawracać sobie głowy dalszymi klątwami ani utrudnieniami, ale po prostu spróbowali przekonać potencjalnego włamywacza, że tylko marnuje czas. A zatem kolejne puste pomieszczenie. Oczywiście żaden obserwator nie zaszedł nigdy tak daleko, więc chociaż podziwiam przebiegłość Atum-hadu, była ona, patrząc z perspektywy czasu, zupełnie zbyteczna. W każdym razie plan grobowca wygląda teraz tak:

(RYS. E: PLAN GROBOWCA ATUM-HADU  
WEDŁUG STANU Z 17 LISTOPADA 1922 R.)

(RYS. E: PLAN GROBOWCA ATUM-HADU  
WEDŁUG STANU Z 17 LISTOPADA 1922 R.)



Gdyby nie (stracona) inskrypcja na drzwiach B i uwodzicielska pieśń drzwi C, moja konsternacja i rozpacz mogłyby w tym momencie dorównywać podobnym uczuciom hipotetycznego starożytnego rabusia.

Był późny ranek siedemnastego, kiedy wrócił mój człowiek z bandażami, wodą, jedzeniem i laską, wygiętą u góry jak królewskie berło i zrobioną z mocnego, ciemnego drewna. „Wiesz, że zmiądzżyło mu stopę podczas wykopalisk i że wtedy, jak gdyby nigdy nic, posłał tylko po laskę, a sam kontynuował pracę? Tę laskę można teraz zobaczyć w Klubie Badaczy w Kairze”.

Laska była pomocna, ponieważ z każdym krokiem moja stopa powtarzała wiecznym echem odgłos padających drzwi. Zjadłem, popiłem i zakończyłem badanie Komory Konsternacji za pomocą szkła powiększającego, potwierdzając jej wprowadzający w błąd projekt, który byłby wspaniały, gdyby nie jedna drobnostka - niewyraźny, ale niewątpliwy zarys drzwi C, zupełnie pozbawionych jakichkolwiek znaków czy inskrypcji.

Z pomocą mojego jedyne go człowieka (Ahmed i pozostali trzej się spóźniali) rozpocząłem odkurzanie i dłutowanie drzwi C, tę samą powolną pracę dłutem, pędzlem, drewnianym młotkiem, klinem, dłutem, pędzlem, młotkiem, klinem. Czuję się strasznie źle, może nawet miałem lekką

gorączkę, bez wątpienia spowodowaną podnieceniem na myśl o tym, co znajduje się za tymi ostatnimi, niezwykłymi drzwiami. Dwa czy trzy razy wykuśtykałem na zewnątrz, gdzie także czułem się trochę chory. Co najmniej dwukrotnie poczułem się tak wyczerpany, że zasnąłem niespokojnym snem na jednym z łóżek polowych w Pustej Komorze, starając się nadrobić wiele straconych godzin. Zapadła noc, po tym jak przespałem większość dnia siedemnastego, i obudziłem się — co było moim nieszczęsnym zwyczajem, podobnie jak zwyczajem Atum-hadu — nad ranem, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno. 18 listopada. Słyszałem, ale nie widziałem mojego jedyne wiernego człowieka śpiącego w ciemnym kącie, ale pozostali wciąż nie wracali. Wyszedłem na dwór popatrzeć na gwiazdy nad Deir el-Bahan.

Nie powiem, że byłem pogodny podczas tej nocnej obserwacji.

Nadszedł w końcu świt osiemnastego i blade światło ukazało, że jestem sam; najwyraźniej wziąłem szelest własnego oddechu za oddech wiernego robotnika, którego tam nie było. Zauważyłem, że Ahmed i pozostali spóźniają się już osiemnaście godzin. Przyszło mi do głowy, że mogli mnie zdradzić, bo tchórzostwo i chciwość miejscowej siły roboczej były stałym zagrożeniem. Prawdopodobne było wyjaśnienie, że skoro ich oczom nie ukazał się natychmiast oszałamiający widok zaspokajający ich apetyt, porzucili mnie. Trudno. Postanowiłem, że mimo rany, głodu, pragnienia i usprawiedliwionej wściekłości będę sam kontynuował przygotowywanie drzwi C do otwarcia. Potem zakryję front grobowca kawałkami skał i błotem, wrócę do Luksoru, przedstawię moje odkrycie inspektorowi Urzędu Zabytków i przyjmę jego połajanki oraz ludzi i pomoc techniczną, której mi udzielą. W szczególności bardzo

przydałoby się doprowadzenie do grobowca elektryczności, bo oczyściłoby jego wnętrze z dymu pochodni i latarni oraz znacznie wydłużyło czas, przez jaki można by było prowadzić prace bez konieczności wychodzenia na zewnątrz dla zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Późnym popołudniem osiemnastego, dzisiaj wrócił Ahmed z trzema robotnikami. Przepraszali mnie wylewnie i ucieszyli się na widok zarysu drzwi C. Ranny wymagał opieki, Ahmed został w willi, dopóki nie przyszły koty i nie pożywiły się, a potem on i pozostali zdobyli z własnej inicjatywy narzędzia, które —jak myśleli— będą pomocne w „naszym wspólnym zadaniu”, a mianowicie dwa duże młoty dwuręczne. Ujęły mnie te starania, ale nie mogłem powstrzymać śmiechu na widok ich min, kiedy zadałem im podstawowe pytanie: co stałoby się ze skarbami tuż za drzwiami C, gdybyśmy zastosowali ich technikę polegającą na rozbiciu drzwi?

I tak zostawiłem Ahmeda i jednego robotnika, żeby trzymali straż w nocy, a sam zdałem się na pozostałych dwóch, że pomogą mi wrócić do willi Trilipush, żywiąc nadzieję, mimo że każdy krok okrutnego osła sprawiał mi przenikliwy, rozdzierający kości ból, że wkrótce będę jechał na moje stanowisko spokojnie w pełnym blasku dnia, z błogosławieństwem nadzorujących wykopaliska bufonów, współczesnych Hyksosów, którzy zmuszają ludzi do takich oszustw.

Przynajmniej willa Trilipush nie sprawiła mi zawodu: gorąca kąpiel, kieliszek czy dwa, nowe bandaże na stopie, która jest teraz o wiele za duża, by wszedł na nią but, i doprowadzam dziennik do obecnej daty.

Później tego samego dnia. Mój człowiek wrócił z poczty, gdzie czekały

na mnie list i depesza. Depesza: CCF gratuluje mi, powiadamia, że podpisał polecenie przelania kredytu na moje konto, i domaga się, bym natychmiast przysłał mu katalog znalezisk, „zwłaszcza przedmiotów prywatnego, osobistego zainteresowania”. List z banku luksorskiego, potwierdzający depeszę od CCF: dwa dni temu, 16 listopada, przelano w USA na mój rachunek pieniądze — zaledwie jedną ósmą, po katastrofalnym kursie plastra, oczekiwanej i skrupulatnie ustalonej we wstępnym budżecie sumy, do tego z dwudziestopięciodniowym opóźnieniem. Po moich ostatnich wydatkach i wielkich obietnicach okrojona wpłata CCF jest czymś niewiele więcej niż słabym zapachem funduszy.

To zdumiewająca zdrada. Chciałbym przypisać mu jakąś logikę, jakiś powód, ale oczywiście nie ma żadnego. Może ma zamiar wyrównać różnicę następnym przelewem, który według harmonogramu przypada na 22 listopada? Staram się z niepokojem przejrzeć jego myśli, które być może — trzeba to przynajmniej wziąć pod uwagę — zostały wypaczone przez złowrogiego Ferrella. CCF znajduje się wyraźnie pod złym wpływem. Oczywiście mam sposoby, żeby wymusić na nim współpracę, ale nie chciałbym, żeby tak wyglądała. Dlaczego on mi to robi? Szukam na próżno jakiegoś powodu, który by wyjaśniał, dlaczego mój paskudny, skąpy Pan Szczodrości nie spełnia moich ograniczonych wymagań, a zamiast tego wśliznął się zapewne do jakiegoś bostońskiego pałacu dzinu, by przepuścić niezbędne finanse Atum-hadu na przemywany alkohol i podfruwajki w towarzystwie tych żuli, swoich kumpli, i skandynawskiej konkubiny.

Mój wierny człowiek siedzi nadal pod willą, czekając na moje rozkazy. Posyłam go z powrotem na pocztę z przemyślaną odpowiedzią dla CCF:

MIMO ŻENUJĄCEJ NĘDZY OTWORZYŁEM

DRUGĄ WSPANIAŁĄ KOMORĘ. NIE CZAS NA MAŁOSTKOWOŚĆ -  
CHODZI O TWOJE SPECJALISTYCZNE ZBIORY. Bardzo potrzebny  
odpoczynek. Będę spał jak zabity, a jutro przystąpię z powrotem do bitwy  
z tą bronią, która mi pozostała. Nie dam się zniechęcić.

*Niedziela, 19 listopada 1922 r.*

3.55 — napisałem powyższe zbyt szybko. W ogóle nie spałem, ale stopa  
jest zupełnie zdrętwiała, co stanowi mile widziane błogosławieństwo.

Czarna noc. Rozwiązanie paradoksu grobowca zaproponowane przez  
Atum-hadu — rozwiązanie, przez które jak dotąd nałykałem się  
dławiącego kurzu i zraniłem stopę — jest takie subtelne, a mimo to nadal  
poza moim zasięgiem. Ukryte drzwi. Fałszywe ostatnie komory, które  
mają odstręczyć rabusiów. Jest coś więcej, coś, czego nie potrafię dojrzeć.  
Co postanowił pod tymi gwiazdami? Trzeba się postawić w jego  
położeniu.

Chodzi po oświetlonych, prawie opustoszałych salach swojego  
tebańskiego pałacu, wstaje w niespokojnym pobudzeniu ze złotego tronu i  
rzuca się na rzeźbioną sofę. Czy Wasza Wysokość życzy sobie obejrzeć  
akrobatów? Nie. Czy wcielenie  
Ozyrysa szuka towarzystwa? Nie. Czy niebiański kochanek Maat życzy  
sobie przejechać się na wielbłądzie, nakarmić tygrysa, obedrzeć więźnia ze  
skóry, pohuścić się na zawieszonych na linach drążkach, pograć na trąbie  
słonia, popieścić żyrafę? Nie. Moje królewskie zmartwienia przytłaczają  
mnie dzisiaj i odbierają mi sen. Dzisiejszej nocy, zaledwie parę minut po  
rozważeniu mojego trudnego położenia, Horus wymusza należną mu



daninę z większym okrucieństwem niż zwykle. To anagram w języku mojego przyszłego przyjaciela: *Horud demandd hourd*, Horus domaga się godzin, godzin spędzonych na trzymaniu się za bolący brzuch, płonięciu ze wstydu i w palącej samotności, niedostępnych, cennych godzin mojego kurczącego się żywota, za które jak mi zapłaci mój sokołogłowy obrońca? Jak można przygotować moją ostatnią podróż? Zbliża się ona bez wątpienia, a wyprawią mnie w nią albo strzały Hyksosów, albo zatrute ostrze jednego z coraz liczniejszych zdrajców na moim upadającym dworze, albo ten krokodyl, który codziennie rośnie w moim brzuchu i w końcu zje mój żołądek, jeśli w porę nie schowam go bezpiecznie w umieszczonym pod ziemią dzbanie.

Obudziłem się o zachodzie słońca; z powodu rany i wyczerpania straciłem cały dzień. Moja stopa waży sto funtów. Głowę ściskają ręce olbrzyma. Żołądek ryczy z furii i parę minut poświęconych na zadośćuczynienie jego żądaniom nie wystarczy, by uśmierzyć jego wściekłość.

Robi się ciemno, zanim jeden z moich wiernych idiotów wpada na pomysł, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje. Spędzili cały dzień -w Pustej Komorze, siedząc i plotkując. Minał dzień, dostali zapłatę i nie uznali, że to dziwne, iż mnie nie ma. Odesłałem tego człowieka z powrotem, by mieć pewność, że przez całą noc będą pilnować grobowca Atum-hadu i że rano będą gotowi do końcowego wdarcia się do ostatniej komnaty, gdzie czeka na nas zasłużona nagroda. Ma on też Ust dla mnie, który odebrał z poczty. Od mojej narzeczonej, z 2 listopada. Mijanie się listów jest szczególnie

okrutną grą.

2 listopada

*Drogi Ralphie,*

*Będę się streszczać. Musisz bardzo szybko do mnie napisać. Martwią mnie sprawy tutaj i muszę usłyszeć, jak mi mówisz, że wszystko będzie dobrze, i wyjaśniasz wszystko.*

*Ten szpicel wciąż tu jest. Przez pewien czas myślałam, że jest nieszkodliwy, a nawet trochę zabawny. Nieźle tańczy i dotrzymywał mi towarzystwa. / wiem, że mu się spodobałam, a to jest pewne ubarwienie tutejszej szarzyzny. Potrafię sobie poradzić z takimi facetami jak on. Ale jest pewien problem. Nagadał tacie różnych rzeczy, co słyszałam, i mnie też nagadał różnych rzeczy. Stara się, żeby to wyglądało tak, że tylko lak sobie gada, ale wiem, że próbuje powiedzieć mi coś o tobie. Pytał mnie o Oxford, a ja powiedziałam mu co najmniej ze sto razy, że byłeś tam z Marlowe'ern i wyjechałeś, żeby walczyć o demokrację po magisterce, ale przed doktorem, i Oxford powiedział, że to w porządku. Ferrell poprosił o zdjęcie, na którym jesteście razem z Marloweem, więc pokazałam mu to, które mi dałeś, gdzie jesteście w waszych łachach do kopania, ty obejmujesz go za ramiona i szeroko się uśmiechasz, a Marlowe udaje, że jest strasznie poważny i ponad tym wszystkim, ale ten Ferrell tylko mówi: „Oczywiście”. Jest trochę wkurzający, jeśli chcesz znać moje zdanie. Mam nadzieję, że nie gniewasz się o to zdjęcie.*

*Ostatnio nie czuję się zbyt dobrze, Ralphie. Nie chcę cię martwić, po prostu nie czuję się zbyt dobrze, jakby sprawy znowu brały górę nade*

*mną.*

*Zawsze myślę o tobie jako o tym, dzięki któremu czuję się zdrowa, i to prawda, tylko że od dawna cię tu nie ma i jest mi tak ciężko. Bardzo mi ciebie brakuje, ale w niektóre dni wydaje mi się, iż jesteś tak daleko, że nie możesz mi pomóc, więc równie dobrze mogę być chora. Więc się nie martw, to nic, tylko że mi ciebie brakuje, i to wszystko.*

*Ferrell poszedł raz czy dwa z tatą pogadać w taty gabinecie, a ja starałam się podsłuchać, o czym mówili, żeby ci donieść, ale kiepski ze mnie szpicel. A kiedy zapytałam tatę, o co chodzi, powiedział mi tylko: „Zobaczmy”. A kiedy idziemy do JP, Ferrell nie pije dużo, więc nie gada, a wtedy ja zaczynam się nudzić jako detektyw na twoich usługach, bo w końcu to nie jest w porządku, żeby mnie do tego nakłaniać, prawda? To nudne.*

*Możesz znowu powiedzieć tacie, że studiowałaś na Oxfordzie? A ten szpicel, Harry, cały czas patrzy na mnie wilczym okiem i mówi takie rzeczy jak „No, nigdy nie wiadomo”, „Nie zawsze jest lak, jak się wydaje, szczególnie jeśli chodzi o Angoli”. On jest zazdrosny. Nienawidzę go za to, że nie szanuje cię tak jak ja. Kocham cię, Ralph, bo wszystko w tobie jest prawdziwe, chociaż podniecające, a wszystko w nim jest kłamliwe, chociaż nudne, i właśnie dlatego on nienawidzi ciebie i udaje przed tatą, że coś jest w tobie nieprawdziwe.*

*Nie martw się. Inge wyleczy mnie z moich drobnych dolegliwości i z każdym dniem czuję się lepiej, i do ślubu będzie tak, jak obiecałam, wszystko będzie wyleczone. Ale teraz potrzebuję cię tutaj, żebyś mi pomógł, dobrze? Jesteś moim najlepszym lekarzem. Będę się czuła lepiej, kiedy tu będziesz, żebym była zajęta i szczęśliwa, więc wróć teraz, proszę. Nuda źle na mnie działa, naprawdę źle.*

*Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to będę słuchała, wiesz o tym. Wszystko, co byś mi powiedział, byłoby w porządku. Na przykład, że nadal mnie kochasz, bez względu na to, czego byś się o mnie dowiedział, zgoda? Nie chcę wiedzieć nic więcej o tym, tylko żeby by to znowu lak jak kiedyś. Tak szybko, jak możesz.*

*Będę zdrowa i dobra dla ciebie, tylko dla ciebie. Ale musisz teraz wrócić.*

*Twoja dziewczyna, m.*

*(Niedziela, 19 listopada 1922' r., ciąg dalszy)*

Co to wszystko ma znaczyć? Czy ja już wiedziałem o tym wszystkim? Czy mój telegram, w którym napisałem, że on jest kłamcą i obcym człowiekiem, cię uspokoił? Jeśli jest to tylko nieporozumienie, pogłębione przez krzyżujące się drogi listów, to kolejne listy jeszcze bardziej to wypaczą, obracając wszystko w nonsens, kiedy będą płynąć na oślep, mijając się na morzu. Co tam się dzieje teraz, w tej chwili? Czytam o wydarzeniach z odległej przeszłości, o zgasłych gwiazdach. Nie mogę zrozumieć, kim jest Ferrell ani jak wkradł się na łono mojej rodziny.

Będziesz zdrowa, będziesz zdrowa, będziesz zdrowa. Pragnę tego. Nigdy w to nie wątpiłem, nigdy się nie martwiłem. Tylko raz. Zaniepokoiłem się tamtego deszczowego, czerwcowego dnia w muzeum. Nigdy ci o tym nie mówiłem.

Towarzyszyłem ci podczas zwiedzania Muzeum Sztuk Pięknych, Inge stale podążała za nami jak milcząca walkiria, chociaż zauważyłem wtedy na jej twarzy wyraz nieuleczalnej rozpusty, szczególnie kiedy

przechodziliśmy obok wspaniałej przepaski biodrowej Maiherpri (a ja na próżno starałem się zainteresować cię tym, jak w 1902 roku natknął się na nią Carter).

Kiedy patrzyliśmy na posąg boga o baraniej głowie, Herisze-fa, powiedziałem ci, że jako chłopiec śniłem o otwieraniu grobowców, zanim dowiedziałem się, co te sny oznaczają, nim poznałem słowo „grobowiec” czy przeczytałem o wykopaliskach.

Jeszcze zanim poznałem słowa, za pomocą których można było to opisać, moja wyobraźnia tworzyła we śnie najcudowniejsze rzeczy: poprawiające samopoczucie jaskinie, pełne światła i ciepła, i ciała śpiących na miękkich łóżkach, zwierzęta i przyjaciele, jedzenie i szczęście, zawsze w bezpiecznym, zamkniętym miejscu, z dala od jakichkolwiek zagrożeń.

Miałem prawdopodobnie trzy, najwyżej cztery lata, wtedy zaczęła się moja klaustrofobia. Objaśniałem ci przedmioty, obok których przechodziliśmy, chociaż zauważyłem, że musisz coraz częściej odpoczywać. Opowiadałem o Harvardzie i jego konserwatywnej wierze w starych archeologów stosujących stare metody. Jeszcze w 1915 roku, mówiłem ci, Lyman Story chciał nadal używać trotylu podczas ekspedycji zorganizowanej przez to właśnie muzeum.

— Harvard nie jest gotowy na przyjęcie mnie czy Atum-hadu — powiedziałem — ale będzie.

Odwróciłem się do ciebie, a ty się trzęsłaś — ze współczucia dla moich prób czy pod wpływem piękna eksponatów?

— Nie ma powodu do zmartwienia— mówi rzeczowo Inge, prowadząc cię już do toalety dla pań.

Minęło dwadzieścia niemiłosiernie się wlokących minut, a potem

wyszłaś stamtąd, całkiem świeża, urocza, gotowa do całodziennych zakupów i posiłku. Nigdy nie wyglądałaś tak uroczo i świeżo, ale zdawałaś się nic nie pamiętać z ostatniej godziny, włącznie z opowieściami o moim dzieciństwie. Och, ukochana, twój ojciec zapewnił mnie, że będziesz zdrowa. Powiedzieli mu to lekarze. Wiem, że będziesz się dobrze czuła. Musisz w to wierzyć i pokładać wiarę we mnie. Wiem, że kiedy człowiek jest sam w nocy, trudno jest mu wierzyć. Ale musisz. Ferrell to nikt ważny.

I dokonam tego, co tak uroczo nazywasz moim „znaleziskiem”, bez względu na przeszkody, bez względu na nieporozumienia czy jawną zdradę, zasłonę dymną mijających się listów. Twój ojciec jest zdezorientowany co do mnie, albo był zdezorientowany, ale to minie, jeśli już nie minęło, i nie trzeba więcej o tym mówić. 19 listopada twój Ralph myślał o tobie z miłością, bez względu na przejściowe niepokoje twojego ojca, bez względu na przekleństwo obecności Ferrella, która ci ciąży z mojego powodu. Przeczytasz to, kiedy wrócę, porównamy zapiski i będziemy się śmiać ze zniekształceń będących dziełem czasu, odległości i poczty.

Od czasu odkrycia dokonanego przez Trilipusha Boston wydał mi się nagle chłodny. Nic było tam ani pieniędzy, ani miłości. Dostałem tylko to słowne lanie, które mi spuścił Finneran, i odświeżone zapewnienia Margaret, że Trilipush i tylko Trilipush jest dla niej wszystkim. Mijały dni, nie miałem żadnej wiadomości od Margaret i nie chodziłem już do nich. Byłem gotów umyć ręce i dać sobie spokój z tymi przekłętymi Finncrana-mi. Jeśli Trilipush znalazł to swoje brudne złoto, to albo wróci do domu, albo nic, a wiesz, o co się zakładałem. Nie robiło mi to żadnej różnicy, bo jeśli zabił

Paula Caldwell, to byłem gotów pojechać do Egiptu, żeby tego dowieść, wykrzyzczyć tak głośno, że usłyszą to nawet uparci Finneranowic po drugiej stronie świata.

Spędzałem powolne, puste dni, sprawdzając moje zapisy rozmów, przepisując notatki, wysyłając do Londynu raporty i rachunki, przeprowadzając wywiady z kolejnymi studentami Trilipusha albo wyjaśniając kwaterze głównej, dlaczego poszukiwanie Paula Daviesa wymaga, bym spędził tyle czasu w Bostonie. Myślę, że mało ich to obchodziło. Pisałem do moich pozostałych klientów, informując Tommy'ego Caldwell, Emmę Hoyt, Ronalda Barry'ego i Marlowe'ów o postępach.

Siedziałem w hotelu, odrabiając te prace domowe, czekając na dzień, kiedy udam się do Nowego Jorku, i mając nadzieję, że wpadnie Margaret, żeby się ze mną zobaczyć po raz ostatni, albo jeśli ogarnięty złością dostrzegalem w końcu, że to nieprawdopodobne, czekałem po prostu na jakąś wiadomość, na cokolwiek. Czułem, że zdarzy się coś, co wszystko wyjaśni, że nadejdzie chwila, kiedy będzie oczywiste, iż nadszedł dla mnie czas, żeby ruszać do Egiptu, albo - przeciwnie - zostać u boku Margaret, chronić ją, złapać podczas burzy, która na pewno się rozpęta. Byłem młodym człowiekiem, Macy. Mogło się coś zmienić w jej nastawieniu. Wiesz, życie mogło się różnie potoczyć. A więc, jeśli czasami stałem pod jej domem, wściekając się w ciemnościach, to wiem, że jako człowiek światowy zrozumiesz to. I spędziłem z nią jeszcze parę wieczorów - raz pojawiła się i przez cały wieczór ani razu nie wspomniała jego imienia, po prostu zasnęła na kanapie u JP, z głową na moich kolanach i dłonią w mojej dłoni, okrutnie mnie wykorzystując, a ja godzinami przyglądałem się, jak oddycha. Pojawiała się w te ostatnie wieczory w moim hotelu i za każdym razem miałem

przygotowaną mowę - może to będzie ta noc, kiedy padnie mi w ramiona, a ja ją ocale. Ale pora nigdy nie była odpowiednia. Margaret była złośliwa, nazywała mnie beksą albo nudziarzem, jeśli przestawałem ją rozśmieszać albo nie chciałem tańczyć. Po drodze do klubu opowiadała mi o najnowszych wiadomościach od Trilipusha (zawsze dobrych, zawsze ogólnikowych) i zaledwie weszliśmy do środka, już wchodziła na schody, szukając JP i swojego narkotyku. Siedziałem tam, gładząc ją po głowie, a potem, kiedy była już w stanie iść do domu, odprowadzałem ją, szukałem w szarym świetle świtu odpowiednich słów, choćby okazji do ich wypowiedzenia. Przystałem sobie z tym skończyć.

*Poniedziałek, 20 Listopada 1922 r.*

Pobrałem pieniądze na wypłatę dla robotników, chociaż rachunek słyszalnie trzeszczy od tych wydatków. Nieważne. Odmówię raczej sobie niż im; nigdy nie porzucę moich ludzi. I wyruszę na stanowisko.

Przybyłem akurat we właściwej chwili, by zapobiec katastrofie — zastałem tych ciemnych sukinsynów walących w drzwi C młotem. Byłem tak wstrząśnięty, jakby walili we mnie. Ahmed siedział, paląc jedno z cygar CCF, obserwując tę niszczycielską robotę. Krzyknąłem, żeby przestali, ale rozległo się co najmniej jeszcze jedno walnięcie, zanim odgłosy ucichły. Patrzyliśmy na siebie z wzajemnym niezrozumieniem.

Najwyraźniej zostawiłem ich zbyt długo samych, liczyłem chociażby na ich zdolność stosowania się do poleceń, jeśli nie na szacunek dla mojej pasji i precyzyjnej pracy. W końcu zrozumieli dyscyplinarne kary pieniężne. Wypłaciłem im odpowiednio zmniejszoną dniówkę.



Zauważyłem teraz, że ten, który odniósł ranę, w ogóle nie wrócił. Ahmed był milczącą, patrzącą spode łba bestią.

Dopiero wtedy pokuśtykałem do drzwi C i zbadałem szkody, które wyrządzili. To moja wina. Nigdy nie powinienem był zostawiać ich tak długo na straży obok hipnotyzującego bogactwa ukrytego za tą ostatnią grubą na stopę skałą. Utrata inskrypcji na drzwiach C to istna tragedia i Urząd Zabytków będzie miał rację, ganiąc mnie za to, że nie sprowadziłem wcześniej inspektora, ale teraz raczej nie mogę tego zrobić, skoro dowód na to, że jest to grobowiec Atum-hadu, leży rozbity w drobny mak u moich stóp. Powinienem był przepisać inskrypcję siedemnastego, ale wtedy przeszkodziła mi w tym moja rana. Skąd mogłem wiedzieć, że do tego dojdzie? Powinienem był wiedzieć. Teraz muszę odtworzyć inskrypcję z pamięci:

ATUM-HADU, OSTATNI KRÓL CZARNEJ KRAINY, AUTOR  
WSPANIAŁYCH NAUK, ODPLÝWA W ZAŚWIATY TYLKO W  
TOWARZYSTWIE BOGACTWA SWOJEJ ZBRUKANEJ ZIEMI.

Wyjaśniam robotnikom, że ich brutalność opóźniła, nie zaś przyspieszyła, nasze odkrycie i że góry złota po drugiej stronie muszą teraz poczekać, bo nie mogę ryzykować otworzenia drzwi C, nie naprawiwszy najpierw szczelin spowodowanych tym dzikim waleniem, gdyż w przeciwnym razie stracę dzieła sztuki, które na pewno tam znajdziemy. Oznacza to, że konieczne będzie ich zagipsowanie. (Da mi to też możliwość ponownego zapisania na odrestaurowanych drzwiach podobizn hieroglifów straconych przez te idiotyczne młoty, po prostu po to, by dać pewne pojęcie o wymiarach i umieszczeniu pierwotnej

inskrpcji.) Posyłam dwóch ludzi po gips, wodę i kielnie, Ahmeda na stanowisko Cartera, by zobaczył, czym wypełnia on swoje dni, a trzeciego człowieka na koniec Deir el-Bahan zajęty przez Winlocka. Doniesienia o tym, że nie ma tam żadnej aktywności, przydadzą się przy renegotjowaniu pozwolenia.

Raport z obozu Winlocka: nic ciekawego, kopanie na chybił trafił, oczyszczanie rzeczy, które wydobyli z ziemi od ubiegłego roku. W obozie Cartera oczyszczają rozpaczliwie teren po południowej i zachodniej stronie, kopiąc gorączkowo w poszukiwaniu swojej pogrzebanej reputacji, chociaż sam Carter uciekł do Kairu. Sześć godzin później: moi ludzie są kompletnymi idiotami, gips jest do niczego. Mimo że sporządzałem przez parę godzin mieszanki w różnych proporcjach, starając się poradzić sobie z tym, co mi przynieśli, opryskuję tylko drzwi C białą wodą. Wysyłam ich z powrotem do miasta po odpowiedni gips.

Jest wczesny wieczór, zanim ponawiam próbę. Wypełniam największe szczeliny i czekam, aż gips zaschnie, co robi. Powoli.

*Wtorek, 21 listopada 1922' r.*

Rano stwierdzam, że pierwsza warstwa gipsu dobrze wyschła w szczelinach, ale także w wiadrze. Kiedy moi ludzie raczyli wreszcie się zjawić, wysyłam ich z powrotem do miasta po więcej

*c|r| r*

gipsu i nowe wiadro. Jest wieczór, kiedy wracają, tym razem bez wody, którą jeden z nich przywozi -w końcu po zmierzchu, prawie o dziesiątej. Czas odpływa, prawdopodobnie również poparcie dla mnie w Bostonie.

Kusi mnie, zęby spać dzisiaj w nocy w willi Trilipush, ale stopa płonie, a poza tym nie ufam już tym małpoludom z młotami na tyle, by zostawić ich samych na straży.

Margaret: Zignorujesz Ferrella i zadbasz o to, by twój ojciec trzymał się ustaleń, prawda? Jestem pewien, że już to robisz. Kiedy patrzę na twoje zdjęcie w świetle lampy i gwiazd przed grobowcem Jego Wysokości, jesteś moją obrończynią i źródłem inspiracji. Widzę cię za pustynnym kontynentem i za morzem, jak przygotowujesz się do snu ponad skąpanym w księżycowej poświacie ogrodem.

Na tym zdjęciu światło było za tobą, rysując twoją sylwetkę na białym tle, prawie idealny profil, pochyloną i patrzącą na coś na stole (jeśli sobie przypominam, był to naszyjnik z kameą, który ci dałem), a twoja uroda widoczna jest w najdrobniejszych szczegółach: rzęsy ponad konturem nosa, niczym ptasie skrzydełko utworzone z czarnych, najcieńszych drobnych linii.

Pamiętam ten -wieczór, kiedy płakałaś cicho w moich ramionach, zmartwiona swoją chorobą i niespokojna z powodu mojego wyjazdu, a ja dotknąłem palcem kącika twojego oka, złapałem koniuszkiem zbiegłą łzę i podciągnąłem ją i makijaż twojego wypełnionego łzami oka ku skroni, żeby je osuszyć, ale mimo woli stworzyłem tym gestem idealną twarz królowej, zony faraona, malachitową obwódkę oka Horusa.

Dwudziestotrzyletnia córka faraona domu handlowego jest majestatyczna z profilu, pociągająca z trzech czwartych, onieśmielająca en face. Ten wąski nos z ekspresyjnymi nozdrzami, jakby kierowany za pomocą tuzina sznurków ręką tysiącpalcego lalkarza o niedoścignionej wrażliwości i wyniosłe) dumie. Naj-

lżejsze uniesienie brwi i my, ludzie z gminu, wiemy, jaka jest jej wola, i spełnimy ją. Pełna, ciężka dolna warga pod grzebieniastą falą górnej, wyrzeźbionej z najgładszego żółtego kamienia, jedno pełne miłości uderzenie dłuta, które rozdzieliło tę niebiańską dolinę pod jej nosem. Wygięta w łuk szyja, trochę jak u łabędzia, trochę jak wydęty wiatrem żagiel feluki na Nilu. Majestatyczna krzywizna jej wspaniałej figury, jej skarby, tajemnice linii i faktury, suknia rozcięta z tyłu dokładnie pośrodku, jakby rozcięcie to było po prostu dalszym etapem jej wspaniałego rowka, i obraca się ona na swym tronie, by przyjrzeć się niewolnikowi, który klęczy u jej stóp obutych w sandały ozdobione paciorkami, i podnosi rękę, by uderzyć obnażonym ostrzem tego łotra, który przyniósł jej niewłaściwy puchar, kiedy pojawia się za nią jej małżonek i powstrzymuje uniesioną rękę.

*Środa, 22 Listopada 1922 r.*

Robotnicy wracają wcześniej i mam w końcu odpowiednie narzędzia i materiał, by zagipsować uszkodzone drzwi, podczas gdy Ahmed siedzi, cichy jak kobra, paląc kolejne cygaro CCF i żując świeże daktyle. Ale późnym popołudniem gips na drzwiach jest jeszcze wilgotny. Czas mnie zabija. Nie mam -wyboru, jak zostawić ich na straży z uroczystym przyrzeczeniem Ahmeda, że będzie ich pilnował i wyegzekwuje moją wolę, bym mógł się udać do banku po wiadomość o przypadającej dzisiaj kolejnej racie kredytu, ponieważ przekaz telegraficzny z szesnastego opiewał na zbyt małą sumę, by potraktować go inaczej niż premię przyznaną osobiście przez CCF.

Urzędnik w banku wyraża współczucie z powodu mojej rany, ale

przykro mu jest poinformować mnie, że na razie i tak dalej. Wracam na stanowisko.

Dopiero wczesnym -wieczorem mogę ponownie wyryć w gipsie inskrypcję, po czym daję robotnikom zgodę na rozpoczęcie wkładania klinów. Zabrali się do pracy z całą skumulowaną energią chłopców, którzy doszli do zdrowia po długiej chorobie, a ich entuzjazm jest zaraźliwy. Do północy są już na swoich miejscach liny, kliny i rolki i wszyscy chętnie zgadzają się pracować przez noc, jeśli będzie to konieczne.

Ich dziecinne nastroje nie powinny mnie zdumiewać. Obwiniam się za wszystkie problemy, które przed nami wyrosły, bo tym ludziom nie zależy na zdobyciu tego, co ja chcę zdobyć, nie podzielają też mojej pasji. Potrzebują silnej ręki i głosu, który będzie nimi kierował. Wyjaśniam im, o co mi chodzi, i znowu się rozumiemy. Odnawiamy więzy braterstwa, które tworzą się w zaledwie kilku sytuacjach w życiu człowieka.

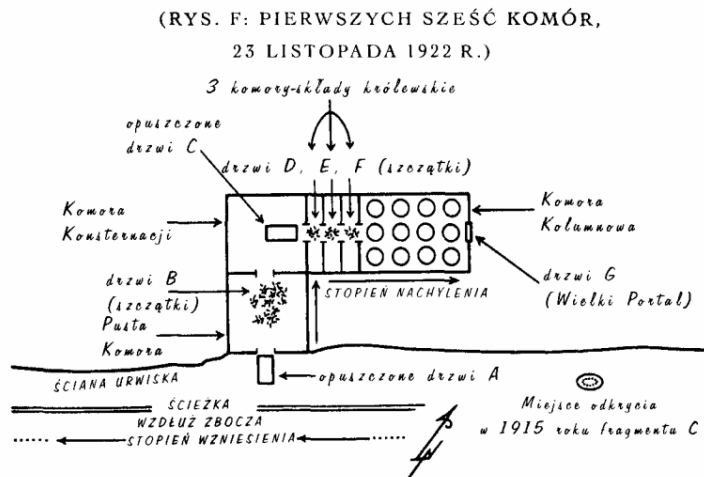
*Czwartek, 23 listopada 1922r.*

Najwcześniejsze godziny po północy. Piszę teraz przy świetle lampy, podczas gdy moi ludzie dzielą się posiłkiem i prostują nogi oraz obolałe grzbiety, zanim wrócimy do tych ostatnich drzwi, drzwi C. Za nimi znajduje się grób, skarbiec, historia, geniusz, szerniały teraz i rozsypujący się pod płóciennymi zwojami. Badacz musi zatrzymać się tu na chwilę, uznać swoją odpowiedzialność, szmat czasu, który ma przekroczyć.

Ludzie są gotowi. To już teraz...

Później. Wstaje świt nad Deir el-Bahari, ale promienie słońca są zbyt słabe, by oświetlić i wyjaśnić tajemnicę niepodobną do niczego innego na tej owianej tajemnicą ziemi. Do naszego planu grobowca dołącza Komora

Kolumnowa i niewątpliwie widać w tym poczucie humoru Atum-hadu.



Jak bardzo rozwinął się ten plan w usypiającym blasku słońca 23 listopada! Jutro przybędzie z Ahmedem nowa ekipa, a teraz mam czas dla siebie, żeby odpocząć na stanowisku, wykonać pomiary, zrobić notatki, oczyścić rumowisko i przygotować się do natarcia na drzwi G, „Wielki Portal”. Trudno mi sobie wyobrazić minę Cartera na widok tego odkrycia. Skrzyżuje ramiona na piersiach, zachowa milczenie, niczego po sobie nie pokaże.

Ale najpierw muszę zrelacjonować wydarzenia minionych ośmiu godzin, straszne i cudowne zarazem, zdrady i triumfy. Muszę pamiętać, żeby się dzisiaj przespać.

Drzwi C wymagały wysiłku naszych mięśni i serc, ale w końcu poddały się nam łatwiej niż agresywne drzwi B. Udało się nam ułożyć je, dopóki nie zdołam przetransportować ich z grobowca do laboratorium w celu starannego zabezpieczenia i zbadania przed ostatnią podróżą do miejsca stałego pobytu w głównej galerii Muzeum Kairskiego. W świetle naszych elektrycznych latarek wewnętrzna strona drzwi C (obecnie ich górna powierzchnia), wydawała się rozczarowująco pusta i musiałem

zasłonić własnym ciałem otwór i krzyknąć na ludzi, żeby przestali narzekać, że zmarnowałem tyle czasu, kiedy swoje zadanie spełniłyby młoty. Kazałem im wyjść na zewnątrz. Wszedłem do następnego pomieszczenia sam, z bijącym sercem i przyjemnie zdrętwiałą kostką i stopą. Muszę przyznać, że to, co znalazłem, zaskoczyło mnie: wąska nisza, na pierwszy rzut oka zupełnie pusta (pierwsze dokładne przeszukanie musi poczekać — najpierw muszę przelać na papier dokładne wspomnienia kolejności wydarzeń). I nie dalej niż trzy stopy przede mną kolejne doprowadzające do szafu drzwi Atum-hadu (drzwi D). Puste, wąskie pomieszczenie — być może spichlerz, pomyślałem, chociaż bez zboża. Komora dla posągów strzegących grobowca? Ale wobec tego gdzie są te posągi? Słyszałem, jak w Komorze Konsternacji moi ludzie dyskutują o czymś w swoim żargonie. Kontynuowałem badanie drzwi D i ścian niszy, starając się pojąć dziwaczne wyobrażenie Atum-hadu o zabezpieczeniu kostnicy, próbując rozwiązać paradoks grobowca tak jak on. Miejsce pochówku zon? Służących? Zwierząt? Magazyn broni? A może ubrań, które od tamtej pory obróciły się w pył? Żywności? Nie wiem, jak długo stałem nieruchomo, pogrążony w myślach. Poczułem szarpnięcie za rękaw.

— Lordzie Trilipush - powiedział Ahmed — proszę, niech pan wyjdzie. Przełammy się chlebem, zaczerpnijmy powietrza. Proszę pozwolić, że zajmę się stopą waszej lordowskiej mości, kiedy wasza lordowska mość będzie zastanawiać się nad naszym następnym krokiem.

Dobroć Ahmeda, tym bardziej robiąca wrażenie, że przejawiająca się tak rzadko, wzruszyła mnie. Wszedłem ślamazarnie z zagadkowego grobowca, podpierając się laską. Ahmed poprowadził mnie w purpurowej ciemności ścieżką u podnóża

urwiska i posadził na kamieniu, przyniósł mi jedzenie i gorącą kawę, zapytał, co znalazłem i co to znaczy. Zmienił mi bandaż z troskliwą ostrożnością pielęgniarki, chociaż nie musiał się starać robić tego aż tak delikatnie, ponieważ cuchnąca, niebie-skoczarna rana jest zupełnie pozbawiona czucia. Gawędziliśmy przez pół godziny, może dłużej, i na wschodzie pokazały się pierwsze perłowe smugi. Dla mego było to coś w rodzaju seminarium uniwersyteckiego, a dla mnie okazja do wyartykułowania kłębiących się w głowie myśli. Wypróbowałem kilka hipotez, wyjaśniłem mu złożoność paradoksu każdego grobowca i diabelskie komplikacje tego przypadku w szczególności. Zrozumiał i miło mi było dostrzec to w jego oczach. Po tej chwili wytchnienia paliłem się do pracy. Jednak Ahmed był głodny wiedzy, a jego pytania na temat wykopalisk i ich zabezpieczenia, moich prób odrestaurowania inskrypcji na drzwiach C dla celów muzealnych, na temat prawdopodobnych bogactw zgromadzonych w grobowcu ostatniego króla z dynastii były wnikliwe. Tak sobie gawędziliśmy.

Dopiero kiedy trzech pozostali pojawili się ponownie, uświadomiłem sobie, że przez jakiś czas ich nie widziałem. Podeszli do nas ścieżką, wyłaniając się z mroku, biali od pyłu, plując, i rzucili swoje paskudne młoty na ziemię.

- Nic! — krzyknęli do Ahmeda w nagle zrozumiałym dla mnie arabskim. — Kolumny i nic więcej. — Wsiedli na trzy osły i odjechali truchtem w stronę wschodzącego słońca, nie dbając o to, którą ścieżkę obierają zwierzęta.
- Co zrobiły te świnię? — krzyknąłem i pokuśtykałem z powrotem do grobowca.



Och, czego nie zrobiły? Kurz i gruz były wymownym świadectwem — moich ludzi opanowała chciwość. Zniszczyli drzwi D, ukazując drugie wąskie pomieszczenie i drzwi E, które też zniszczyli, odsłaniając trzecie wąskie pomieszczenie i drzwi F, które też zniszczyli, odkrywając niesamowitą Komorę Kolumnową.

Wściekłość, którą czułem, trudno jest tutaj opisać. Nie ma niczego w moim życiu, z czym mógłbym to porównać. Jeszcze teraz, parę godzin później, kiedy to piszę z oczami pełnymi łez, trzęsie mi się pióro w rękę. Mogę tylko zadać sobie pytanie, nie bez szyderstwa, dlaczego byłem zaskoczony. Kiedy ludzie, których spotkałem w moim życiu, nie okazali się właśnie tacy? Nikomu nie można ufać, oprócz tych wyjątkowych osób, które kochamy, żon i ojców.

Zdradzili mnie, naukę, ich własne dziedzictwo, Ahmeda, człowieka, który uhonorował ich tą pracą! Stał obok mnie, trzęsąc głową, jego gniew był oczywisty. Bo zauważ: nie potrafię powiedzieć, jakie informacje rozbito w pył. Nie potrafię powiedzieć, jakie małe skarby zostały podniesione z ziemi i ukryte w szatach i zawojach na głowach tych przestępców, zanim odjechali, zapewniając zbyt głośno w czystym języku arabskim, że „niczego” nie znaleźli. Widzę teraz, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będę musiał powiedzieć inspektorowi Urzędu Zabytków, że nie było tu drzwi D, E i F. Przez ich przestępczy czyn mam związane ręce.

Odesłałem Ahmeda, chociaż ów wierny człowiek chciał zostać u mojego boku, zbadać szkody i nowe pomieszczenia od razu ze mną. Ale wydałem mu jasne polecenia: zwolnić tych ludzi, wynająć uczciwych zastępców, którzy będą otrzymywali zapłatę nie co tydzień, ale co trzy

tygodnie. Odszedł, mrużąc z podzielaną przeze mnie konsternacją.

Wróciłem do grobowca, wyjąc z wściekłości z powodu jego zbezczeszczenia, które jednak jest zwycięstwem. Trzy „składy królewskie” — identyczne, symetryczne, wspaniałe w swej prostocie i solidności, eleganckich proporcjach i mistycznej czystości — zostały niewątpliwie zaprojektowane po to, by pomieścić akcesoria potrzebne królowi w podróży w zaświaty. I bez najmniejszych wątpliwości te trzy komory zawierały w następującej kolejności: żywność (która już dawno temu się rozłożyła), kadzidło (zapalone w momencie pochówku, które do tej pory już się ulotniło, chociaż w zapieczętowanym pomieszczeniu nadal unosił się lekko wyczuwalny, liczący sobie 3500 lat zapach, zadziwiająco podobny do zapachu perfum Margaret, tych, które trzyma w małym, wysadzonym paciorkami flakoniku w kształcie starożytnej amfory) oraz złote monety lub drobna biżuteria, coś błyszczącego, ale średniej wartości i wystarczająco małego, by zagarnęli to owi niewdzięcznicy, których nazwisk nawet nie znam.

Ale ha! Komora Kolumnowa! Tutaj Atum-hadu zostawił nam zagadkę, by trochę dłużej pobudzać naszą ciekawość, zanim wszystko ukaże się za drzwiami G (których ci wandale najwyraźniej nie zauważyli w obłokach kurzu, nazbyt paląc się do ucieczki ze skradzionymi błyskotkami i widowiskowymi objawami rozczarowania).

Spędziłem wiele godzin popołudnia i wieczoru, żarłocznie mierząc i badając cal po calu każdą powierzchnię w Komorze Kolumnowej. Ma ona około dwudziestu pięciu stóp długości i zawiera dwanaście identycznych, sięgających od posadzki do sufitu, kamiennych kolumn, okrągłych, cudownie białych i nie pokrytych żadnymi znakami, a ich doskonale

cylindryczne kształty są matematycznym osiągnięciem o takim wewnętrznym znaczeniu, że jakakolwiek dalsza ornamentacja tego pomieszczenia byłaby wulgarna, a być może nawet przyniosłaby skutek przeciwny do pobożnych intencji Atum-hadu. Kolumny rozmieszczone są regularnie, w czterech rzędach po trzy — kaz-

da ma około dwunastu stóp w obwodzie (nigdy nie byłem zbyt dobry w matematyce), a więc znaczy to, że około trzech stóp w przekroju — ich rozmieszczenie utrudnia sprawne przejście przez tę komorę, tak że każdemu starożytnemu rabusiowi byłoby trudno szybko wejść lub uciec... ich proporcje są prawie na pewno matematycznie precyzyjne i znaczące, i jeśli weźmie się proporcje całego pomieszczenia,  $25 \times 15$  stóp = 375 stóp kwadratowych, z czego 12 kolumn  $\times nr^2$ , gdzie  $r = 1,5$

1,5

75 150 2,25 5.14

900

2250 67500 7,0650

     **12**

141300 706500 84,7800

to kolumny zajmują 84,78 stopy kwadratowej, co oznacza proporcję jak 84,78 : 375, czyli dokładnie taką, jaką zastosowano w... Oczywiście przed dynastią Atum-hadu panowało dwanaście dynastii, a więc kolumny te przedstawiają bez wątpienia owych dwanaście dynastii, które władca chronił symbolicznie swoim pochówkiem... zodiakalne rozmieszczenie kolumn przedstawia astronomiczny układ konstelacji zwanej przez nas Syriu-

szem, którą Egipcjanie uważali za niebiańskie wcielenie Izydy, i zęby

podziękować jej za pomoc w prowadzeniu Atum-hadu do... musimy poważnie wziąć pod uwagę prawdopodobieństwo, że kolumny zawierają cenny materiał schowany w pustych wnętrzach, muszą więc zostać jakoś ustabilizowane i otworzone... starożytni rabusie, których Atum-hadu obawiał się jak nikogo innego, stwierdziliby, że drogę utrudniają im biegnące między wszystkimi dwunastoma kolumnami cienkie nitki, przemieniające Komorę Kolumnową w zabójczą sieć pajęczą, chwytającą tłuste muchy we włókna nasycone śmiertelnie trucizną, znaną tylko starożytnym magom z... Dwanaście plemion izra-ela dwanaście miesięcy w roku dwanaście prowincji kanady dwanaście dni świąt bożego narodzenia... co począłby Carter, znalazłszy się w takim pomieszczeniu? Oglądałby, mierzył i mało mówił, tylko kiwał głową, trzymał karty przy piersiach. „Za wcześnie, żeby coś powiedzieć” — stwierdziłby, ale jego zachowanie sugerowałoby, że wie dużo więcej, ta iskierka arogancji skryta w pokornym milczeniu.

*Piątek, 24 listopada 1922 r.*

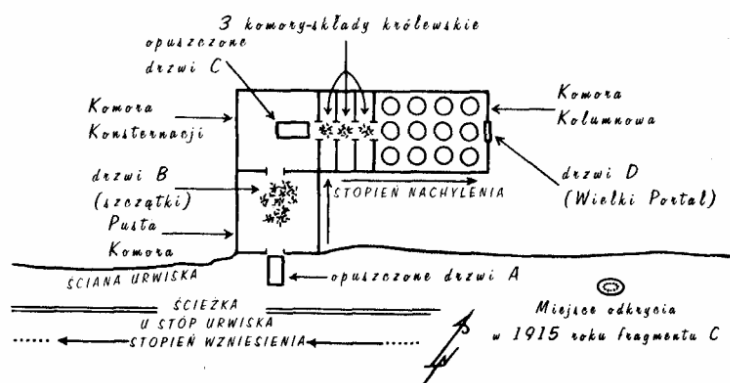
Południe. Ostatniej nocy pracowałem aż do zupełnego wyczerpania umysłowego. Napięcie spowodowane zdradą moich ludzi, podnieceniem z odkrycia nowych komór. A dzisiaj są moje urodziny, data, którą pierwotnie wyznaczyłem sobie jako dzień sukcesu. Rzeczywistość na pewno przerosła moje związane z tym dniem nadzieje.

Znaczenie Komory Kolumnowej jest w tym momencie nieuchwytnie, chociaż oczywiście ekspert łatwo może tworzyć niezliczone hipotezy, z których jedna może okazać się słuszna. Musimy po prostu zachować na razie nasze zdanie dla siebie

i czekać na dalsze dane. Możemy jednak zasadnie się spodziewać, że cokolwiek czeka nas za drzwiami G (grób, skarbiec), wyjaśni to też geometrię i funkcję Komory Kolumnowej, umieszczając ten majestatyczny przykład starożytnej egipskiej architektury grobowej i myśli mistyczne) we właściwym kontekście. [RMT — Drzwi G trzeba teraz przemianować na drzwi D. Cofnąć się, narysować na nowo zniekształcone plany i zamieścić adnotacje. Drzwi B wprawdzie zniszczone, drzwi C sprytnie naprawione gipsem, żadnych innych drzwi przed drzwiami D (poprzednio G).]

(RYS. F: PIERWSZYCH SZEŚĆ KOMÓR. 23 LISTOPADA 1922 R.)

(RYS. F: PIERWSZYCH SZEŚĆ KOMÓR. 23 LISTOPADA 1922 R.)



Żmudna praca i ani śladu nowej ekipy Ahmeda. Oczyszczam z gruzu Pustą Komorę i trzy składy królewskie, wsypując go do płóciennych toreb i wynosząc na ścieżkę biegnącą wzdłuż ściany urwiska. Stałem się utykającą sprzątaczką Atum-hadu. Zostawiam torby z gruzem tuż przy wejściu do grobowca, ponieważ podejrzewam, że będę musiał zakryć moje znalezisko przed powrotem do miasta.

Praca trwa do zmierzchu. Ahmeda nie ma. Skończyło się jedzenie. Przygotowuję się do snu w Komorze Kolumnowej, gdzie

padłem poprzedniej nocy. Czy możliwe, że zostało to zaprojektowane jako pewna gra? Imitacja jakiejś komnaty z tebańskiego pałacu Atum-hadu? Za wcześnie, żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę zachować swoje zdanie dla siebie, bezowocne spekulacje są niczym czas spowijający głowy niepewnych siebie dyletantów. Od kostki w górę czuję, jakby mi wbijano szpilki. Będę musiał wrócić do willi Tnhpush po bandażę, bo wydaje się, że znowu zaczyna mi cieknąć z rany.

Dziś wieczorem, czytając przy migotliwym świetle kopczącej lampy listy z domu i podniszczony egzemplarz *Pożądania i podstępu*, zdałem sobie sprawę, że więcej wiem o Atum-hadu, jego impulsach i celach niż o mojej narzeczonej czy mecenasie. I to mimo całowania się z tą pierwszą i równie intymnej korespondencji z tym drugim. W Atum-hadu, z którego po tysiącletniach została sama istota — sześćdziesiąt wersetów — jest więcej jasności. Każdy wers wydobywa na światło dzienne inny, krystalicznie czysty aspekt jego niezmiennej osobowości. A ta, którą kocham? Każdy ze zmiennych nastrojów narzuca całkowicie nowy jej obraz i nową przyszłość dla nas obojga. Powinienem współczuć chorej czy kochać uroczą? Obawiać się wściekłej, naprawiać zepsutą, ignorować drażniącą się? Ratować uciskaną? Łajać kapryśną? A co z moim Panem Szczodrości, brutalnym i tchórzliwym, kochającym i przewrotnym — co począć z taką dwuznaczną postacią? Patrzą na nich, ale ledwie ich widzę, jakby dym w tym pomieszczeniu był zbyt gęsty, jakby moje oczy zakrywała opaską z półprzezroczystego płótna.

*Sobota, 25 Listopada 1922 r.*

Dziwne sny, czego można się było spodziewać, śpiąc w takim

pomieszczeniu. Ranek spędziłem na zakrywaniu wejścia do grobowca deskami, a potem usypywaniu przed nim kamieni i rozprowadzaniu pozostałego gipsu, by utrzymać je na miejscu. Irytująca praca, ale kamuflaż jest konieczny. Do południa otwór, w którym kiedyś osadzone były drzwi A, zakrywa prowizoryczny ekran i chociaż nie powstrzyma on zawziętego intruza, to przynajmniej przyciąga mniejszą uwagę niż otwarte wejście do jaskini.

W tym momencie wraca Ahmed, błagając o wybaczenie za to, że wynajął takie niegodne zaufania psy i sukinsynów, mając nadzieję w imię Allaha i mojego Boga, że nie wyrządzili oni poważnych szkód mojemu wielkiemu dziełu, i pytając, czy w trakcie dalszych prac odkryłem jakieś skarby. Uchylam się od odpowiedzi i nie spieszę z przebaczeniem. Czy wasza lordowska mość ma nadzieję, że będzie coś w pozostałej części grobowca? Czy, zdaniem waszej lordowskiej mości, było częstą praktyką dawnych królów składanie całego złota w ostatnim pomieszczeniu i pozostawianie poprzednich pustych? Czy wierny Ahmed ma sprowadzić wielu, wielu więcej ludzi, którzy będą pracowali prawie za darmo, bo ma kuzynów, którzy są chętni do udziału w tych pracach, ludzi, którzy kochają Anglików?

Wyznam, że przez chwilę się wahałem. Dla nienaukowców grobowiec Atum-hadu jest prawdopodobnie do dnia dzisiejszego pozbawiony owego olśniewającego blasku, który przekonałby ich, że za drzwiami D nadal czeka na nas sukces, a entuzjazm Ahmeda (choć jego źródło jest oczywiste) nie jest zniechęcający; on też podejrzewa, że kryje się tam coś wspaniałego. Kiwam tylko głową, zachęcam go do cierpliwości i wiary w moją wiedzę.

- Wszyscy zostaniemy sprawiedliwie wynagrodzeni, jak obiecuje wasz Koran — mówię mu.

- Jest pan pewien? — pyta.

— Jestem pewien, Ahmedzie. — I rzeczywiście jestem.

Pomaga mi wsiąść na osła, którego przyprowadził, a ja polecam mu, żeby wynajął cieślę do zrobienia furtki zamykającej wejście do grobowca, kupił zamek do rzeczonej furtki, przyjął do pracy dwóch spośród jego najbardziej zaufanych kuzynów i spotkał się ponownie tutaj ze mną, mając ze sobą furtkę, cieślę i tych ludzi, za trzy dni. Potrzebna mi jest ta przerwa, żeby dać CCF szansę na przywrócenie mojej ekspedycji pełni sił.

Przeprawa promem przez Nil. Bank. Poczta — pilna depeza do CCF: SZEŚĆ POMIESZCZEŃ. MAJESTATYCZNE ZNALEZISKO. GDZIE JEST TWOJE WSPARCIE? POMYŚL O SWOICH ZBIORACH. Powolny i bolesny powrót do willi Trilipush. Zmiana opatrunków na stopie.

Mimo wszystko na tym świecie nadal istnieje wierność. Czekają na mnie Maggie i Ramzesy. Cieszą się z kolacji, ale bardziej z mojego towarzystwa.

*Niedziela, 26 listopada 1922 r.*

Budzi mnie Ahmed.

- Już wtorek? — pytam, półprzytomny.

- Nie — odpowiada.

- Jaki mamy dzień? On na to:

- Niech pan zamilknie. Nic pan nie znalazł, tak?



- Ależ skąd, we wtorek wrócimy założyć tę furtkę, którą zamówisz, i rozpoczniemy pracę nad następnymi drzwiami.
- Nie — mówi Ahmed.
- Nie?
- Nie.

Mówi, że wszyscy jego kuzyni poszli pracować dla Cartera, który teraz zatrudnia tylu ludzi, ilu może znaleźć, i dobrze płaci. Również Ahmed ma zamiar pracować u niego, a dzisiaj przyszedł tylko po to, by odebrać pieniądze, które należą się jemu i jego kuzynom.

— Nie rozumiem. Carter niczego nie znalazł, wrócił do Kairu — mówię.

Ahmed wyprowadza mnie z błędu, kiedy koty (sprytniejsze ode mnie i wcześniej wyczuwające niebezpieczeństwo) uciekają: Carter czekał tylko na przyjazd Carnarvona z Anglii, żeby dalej badać swoje stanowisko. Carnarvon właśnie przybył i ponownie otworzyli grobowiec. Znaleźli drzwi z pieczęciami Tutenchamona. Znaleźli skrzynie i dzbany, a bakszysz jest duży. Piszą o tym we wszystkich gazetach. Dobrze płacą. Znajdą bogactwo. Nie brakuje pieniędzy. I teraz Ahmed domaga się, bym natychmiast mu zapłacił.

- Jesteś kanalią i złodziejem — mówię, ale nadal leżę, praktycznie goły, ze zranioną stopą na poduszkach, moja pozycja jest kiepska.
- Ja jestem złodziejem? To ja kopię w ziemi, żeby ukraść złoto pogrzebanych starożytnych królów, i nie informuję władz? To ja ukrywam się na pustyni jak przestępca?
- Nie mam zamiaru cię oświecać i prostować twoich błędnych,

dziecinnych -wyobrażeń, Ahmedzie. Jesteś zwolniony. Zejdź mi z oczu.

Ahmed opróżnia mój portfel, liczy pieniądze, ale twierdzi, że należy mu się więcej.

- Jutro przyjdę po moje pieniądze. A pan zapłaci mnie i moim kuzynom. I oczekuję też zapłaty za to, że nie poinformuję inspektorów, że kopie pan bez pozwolenia.
- Jesteś straszną świnią — mówię, nie mając zamiaru wyjaśniać błędów, na których oparł swój beznadziejny szantaż. Ale

wtedy ściska ze zdumiewającą siłą moją obnażoną, zranioną stopę.

Przychodzi mi do głowy, że mogłem pomylić się co do Ah-meda, być może źle zrozumiałem niechlujny arabski głównego stewarda na statku i zaangażowałem człowieka, który wszczął tamtą awanturę, a zostawiłem bojownika o honor.

Jestem w opałach: potrzebuję ludzi do otworzenia drzwi D i muszę zapłacić Ahmedowi za ostatni tydzień, a jestem na razie w sytuacji, w której nie mogę powiadomić władz, chociaż pomszczę jego przestępstwa, kiedy będę silniejszy.

Nie mam czucia w stopie, natomiast pali mnie teraz łydka.

Czy Carter rzeczywiście mógł coś znaleźć? Zakopał na parę tygodni swoje znalezisko i cierpliwie oczekiwał powrotu swojego mecenasa? A teraz kaptuje moich ludzi. Oczywiście: moi ludzie są przeszkoleni, zahartowani. Carter naturalnie wyszukałby takich pracowników, nie przejmując się tym, że zostawia mnie na lodzie.

Ubieram się w tubylczy strój i kuśtykam do promu, potem wynajmuję osła, by pojechać do Doliny. Pytam po arabsku jednego z robotników, czy

to prawda, że przyjmują tutaj do pracy, a on odpowiada mi po angielsku — nie wiem dlaczego, być może taka jest polityka na stanowisku (cholernie dobra polityka, tak sobie teraz myślę). Pytam go o nowiny, a jego odpowiedź jest uspokajająca: owszem, u dołu schodów odkryli drzwi z pieczęciami Tutenchamona, ale kiedy je otworzyli, okazało się, że przejście jest zablokowane, całkowicie zawałone gruzem. Grobowiec został splądrowany parę tysięcy lat temu.

Trzeba po prostu współczuć Carterowi, mimo jego agresji i prowokacji. Cały świat patrzy, jego mecenas został specjalnie wezwany z Anglii, a on odkrył tunel zasypany kamieniami.

7in

*Poniedziałek, 27 Listopada 1922 r.*

Telegram od CCF: W GAZETACH TRĄBIĄ O ODKRYCIACH

W EGIPCIE! CUDOWNIE, NIGDY W CIEBIE NIE WĄTPIŁEM, SPÓLKA

WKRÓTCE PRZETELEGRAFUJE PIENIĄDZE. PRZYŚLIJ  
SZCZEGÓŁY.

Az trudno mi w to uwierzyć. Amerykańska prasa o mnie pisze? Przypuszczam, że Nordaquistowie, a może Margaret i J.P. O'Toole, mogli coś powiedzieć jakiemuś reporterowi. Bystra dziewczyna. Jest bardziej prawdopodobne, że to skutek pomyłki Cartera, który narobił tyle szumu, a prasa skorzystała z okazji, by napisać wszystko o obecnych odkryciach. Mam nadzieję, że nie sprowadzi to tutaj zbyt wielu niepożądanych obserwatorów, ale z drugiej strony rozgłos mnie chroni — Urząd Zabytków raczej nie powstrzyma ekspedycji, która przyciągnęła już

uwagę świata, bez względu na to, czy zrobiła to celowo czy niechcący.

Jestem na przemian ofiarą i beneficjentem odległości. Nie mogę wpływać na to, co słyszy czy myśli CCF, ale teraz, dzięki prasie, doszedł on do wniosku, że wszystko jest znowu dobrze. Wysłałam do mojego nerwowego Pana Szczodrości telegram z zapewnieniem, że może być dobrej myśli: CIESZĘ SIĘ, ŻE WRÓCIŁEŚ. NASZE ODKRYCIE PRZYĆMI CARTERA, WINLOCKA, INNYCH. PRZYŚLIJ NATYCHMIAST PIENIĄDZE.

Tak czy inaczej nawrót jego entuzjazmu odbudowuje moją pewność siebie; mogę nie przejmować się Ahmedem. Widzę, że mój prowizoryczny mur jest w dobrym stanie, nietknięty. Uzupełniam kilka kamieni, które odpadły, ale to frustrująca gra w bierki. Kusi mnie, by rozwalić cały mur, wejść do grobowca i kontynuować dzieło, ale bez nowej ekipy, bez lepszych narzędzi, przed nadejściem pieniędzy jest na to za wcześnie. Wygrywa cierpliwość.

Wieczorem powrót do willi. Dotarcie dzisiaj do schodów Cartera okazało się bardzo trudne. Jeden z jego ludzi powiedział: „Wszędzie tu instalują elektryczność”. Wszędzie? Tak, faktycznie: wczoraj Carter, lord Carnarvon, córka milorda, lady Jakaś Tam, i inspektor z Urzędu Zabytków dokopali się do końca zasypanego śmieciami tunelu i odkryli drugie drzwi, za którymi (niech szlag trafi ich pośpiech — muszą lekkomyślnie rozbijać to młotami) ukazał się niezwykle widok, chociaż tubylcy nie za bardzo chcą mi wyjawiać jaki, bo strasznie się cieszą tym, że coś wiedzą. Jeśli można ufać czarnym, to pojawił się zaginiony od 3200 lat mały król Tutenchamon, otoczony posągami, rydwanami, złotem, klejnotami, wazami, tronami, sofami, ubraniami, manekinami — niewyczerpanymi

skarbami, jak mówi jeden z rozmowniejszych robotników. Wyobraź sobie, mówię mu, biorąc go za ramiona, co może ukazać naprawdę ważny król z końca dynastii, który zabrał ze sobą wszystko do grobu! Robotnik jest, co zrozumiałe, oszołomiony tą perspektywą, tak jak oszołomiony będzie cały świat.

Oczywiście kiedy finansuje cię lord Carnarvon, a nie jakiś przygłupi książę amerykańskich sklepikarzy, wszystko idzie jak po maśle, ale, jak powtarzał *ad naiteeam* pewien nieszczęśliwiec, którego kiedyś znałem: „Bogacze zawsze ułatwią życie bogaczom; człowiek pracy, który chce to osiągnąć sam, musi walczyć”.

Kiedy odnalazłem Cartera pośród tego karnawału, zamykał drewnianą kratę u podnóża schodów i prowadził swoich gości — bogatych i łatwowiernych ojca i córkę — w górę po szesnastu świętych stopniach. Krawat i marynarka, starannie przystrzyżone wąsy — zawsze elegancki ten nasz Carter. Popatrz, jak się porusza w tej chwili, kiedy zamyka wejście do grobowca, który na razie — na razie — przyćmił mój. Popatrz na jego styl, kiedy odprowadza swoich tępych mecenasów od znaleziska, które ledwie pojmują. Pozwala im rzucić okiem na zdobycze, ale nie pozwala zbrukać ich dotknięciem. Popatrz na swobodę, z jaką panuje nad swoim uporządkowanym stanowiskiem, na jego ludzi, jego mecenasów, nawet na jego podniecenie. Na pewno odkrył więcej niż większość ludzi w całej swojej karierze, a przecież kiedy się ze mną wita, nie chełpi się ani niczego nie ukrywa, wydaje się w ogóle niczego nie sugerować.

- A, Trilipush — mówi, kiedy wchodzi na szczyt schodów. — Trilipush, tak, oczywiście.

- Carter! Co nowego, stary?

- Lordzie Carnarvon, lady Evelyn, pozwólcie, że przedstawię wam profesora Trilipusha. Jest tłumaczem domniemanego [sic!] króla Atum-hadu, jakby egiptologiem, i właśnie zwiedza ten kraj, zabytki tebańskie.

Potem następują dwa omdlałe uściski dłoni. Hrabia jest fircykiem z rodzaju tych tyczkowatych, dobrodusznym imbecylów, za dużym na pieska kanapowego, za głupim na ogrodową ozdobę. Utyka i sepleni, co jest skutkiem wypadku samochodowego.

— Wspaniale, wspaniale — mówi. — Muszę przeczytać pana dzieło. Te apokryficzne utwory są fascynujące.

— Niezbyt odpowiednie dla lady Evelyn — wtrąca Carter.

Carter nosi wytworny kapelusz, homburga, i laskę, zupełnie podobną do mojej. Pielęgnacja wąsów musi kosztować trochę trudu — przyszczywanie, woskowanie i Bóg wie, co jeszcze.

- A więc wielkie cuda pod ziemią? — pytam. — Można zerknąć okiem zawodowca?

- Och, jesteś kolegą po fachu. Możesz sobie wyobrazić, jak niestabilne są teraz te przedmioty pod ziemią.

- Pogłoski o klątwie — mruczy ni z tego, ni z owego Jego

Kulawość, kiedy Carter prowadzi nas na skraj stanowiska. — Wśród tubylców aż huczy od plotek o zaklęciach i klątwach. Wspaniałe rzeczy.

Wszyscy gadają z przejęciem, że Tuta chroni zła magia. To cudowne, nieprawdaż, żyć z takim silnym przekonaniem? Aż człowiek sobie myśli, że nam czegoś brakuje... — Ale w tym momencie ktoś zawołał Cartera i nie mógł sobie ze mną pogawędzić, co doskonale zrozumiałem — facet w

pierwszej chwili podniecenia, nie chcę mu przeszkadzać.

W banku nic jeszcze nie wiedzą o nowym kredycie.

W skrytce pocztowej aż kipi od listów. Termin spłaty czynszu za willę Trilipush mija 1 grudnia. Rachunki z Hotelu Sfinksa za apartament w listopadzie oraz za pościel, ręczniki i szlafroki, które mi pożyczili.

Wróciłem do willi -wykonać nudne, ale konieczne zadanie zbadania ksiąg rachunkowych i budżetu, może obcięta pewnych wydatków. To dziwne, ale guzdranie się przez Finnerana z prostym zadaniem (i niezdolność Margaret do wywarcia na niego presji) sprawiło, że zaczynam się do niego upodabniać, mam obsesję na punkcie pieniędzy, które oczywiście dżentelmen ignoruje jako drugoplanowy element życia, coś w rodzaju instalacji wodno-kanalizacyjnych. Ale, jak zwykł mawiać mój ojciec, tak nieodmiennie — przeciwdziałaniem — kończy się mieszanie dobrej krwi ze złą.

Czynsz, wypłata dla ludzi za ostatni tydzień, o którą tak wymownie dopominał się Ahmed. Muszę też wynająć nową ekipę. Pracuję do późna, planując, sprawdzając ponownie rachunki, wprowadzając zmiany w budżecie. Nie ma pieniędzy. To nadzwyczajne, że Carterowi dopisało szczęście akurat teraz, po wszystkich tych latach krążenia po omacku.

Odwiedza mnie przed pójściem spać. Przeprasza za najście, cały w uśmiechach i usprawiedliwieniach, -wydaje Się trochę zakłopotany, odmawia wypicia drinka.

— Po prostu przyszedłem, zęby ci powiedzieć, jak bardzo podziwiam twoją pracę — mówi. — Twoje świetne przekłady, analizę. Jestem dumny, że mogę cię nazwać moim kolegą. Ten mały grób, który odkryłem, jest po części hołdem dla ciebie, dla

twojej wytrwałości. To było łatwe znalezisko, naprawdę, można powiedzieć, że wszędzie trafiałem na znaki drogowe i grobowiec praktycznie sam się odkrył, ale, Ralph — mogę mówić do ciebie Ralph? — jestem na *terra* bardzo *incognito.*, bardzo *myjterio-* *M* i ważnej, i nie mogę powiedzieć, że udałoby mi się to zrobić samemu, nie wiedziałbym jak. A także, och, tak, chciałem ci powiedzieć, że kiedy rozstawaliśmy się dziś wieczorem, lady Evelyn pytała o ciebie w bardzo dziwny sposób. Powiedziała jej, że jesteś zaręczony z pewną amerykańską dziedziczką, i mina jej się wydłużyła, po prostu wydłużyła, aż przykro było patrzeć. Szkoda, bo ta dziewczyna warta jest tyle *co* cała herbata w Chinach, a jej ojciec, hmm, dobrze jest mieć go po swojej stronie, tego hrabiego, bo posiada około 36 000 akfów. Powinieneś zakochać się w lady Evelyn, jeśli chcesz znać moje zdanie.

— Gdyby miłość przychodziła tak łatwo — krzyczę za nim, kiedy znika w mroku nocy.

*Wtorek, 28 listopada 1922 r.*

Depesza od CCF: CARTER NIE W TWOIM ZESPOŁU? TRĄBIĄ  
O NIM W GAZETACH - NIE JEST OD CIEBIE? PRZYŚLIJ  
NATYCHMIAST KATALOG NASZEGO ZNALEZISKA. CZY  
CARTER PRZYJMUJE INWESTYCJE? DORADŹ.

Nadchodzi niepokojąca chwila, kiedy wręczasz urzędnikowi blankiet telegramu i instynktownie oczekujesz, że zaraz ci odpowie, podczas gdy jest on oczywiście tylko niemym pośrednikiem. Czujesz się, jakbyś krzyczał na głuchy i ogłuszający -wiatr. A mimo to



słyszysz odległe echo i wyczytujesz coś w pozbawionej wyrazu twarzy urzędnika: CCF skończył ze mną. Ufanie innym zawsze do tego prowadzi. Zawsze jednak zaskakują cię ludzie, którzy dbają tylko o własne interesy i poświęcą dla nich wszystko, poświęcą miłość i zostawią cię na lodzie, jeśli tylko oszczędzi im to na chwilę kłopotów.

O tym, jak trudno jest zaufać sponsorom: Pamiętam, jak po wyjściu pozostałych inwestorów z naszego czerwcowego spotkania powiedział:

— Profesorze Tnhpush, byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mógł mi poświęcić jeszcze chwilę. — Ta nagła uprzejmość trochę mnie zdziwiła, bo bez względu na to, co ktoś może sobie pomyśleć o Chesterze Crawfordzie Finneranie, *d z e n t e l m e n e r i a* nie jest cechą, która zwykle kojarzy się z jego osobą. — Zastanawiam się, czy mógłbyś mi przekazać opinię o moich prywatnych zbiorach. — Spojrzenie jego małych agatowych oczek błędziło nad moim ramieniem, a czubek jego cygara to się rozżarzał, to przygasał. — Wiem, że w grobie naszego faraona będzie kupa złota, mumie i tak dalej, co właśnie opisałeś tak elegancko tym chłopakom. Ale chciałbym pokazać ci inne aspekty, te sztuki piękne, sztuki plastyczne, rzeźby i grafiki, chociaż może, wskutek debaty co do ich interpretacji, jest mniej prawdopodobne, żeby znalazły się w zbiorach muzeum. Bardziej interesują prywatnego kolekcjonera, jak wiem, że wiesz. Są bardziej funkcjonalne. — Ciągnął tak w nieskończoność ten monolog, jakby był w rozterce, a ja niezobowiązująco kiwałem głową. — Ze -wszystkich ludzi, ze wszystkich uczonych, ty jeden na pewno zrozumiesz. — Finneran zdjął z marynarki niewidzialną nitkę.

Zaprowadził mnie do swojego gabinetu i stanął przy biblioteczce za biurkiem, z której wielokrotnie wysunął do połowy, a potem z

powrotem wsunął jeden tom, kołysząc nim, opartym na dolnej krawędzi grzbietu, jakby me mógł się zdecydować, czy ma go wyjąć czy nie. Zostawiwszy w końcu tę książkę w spokoju i wzdychając z coraz większego zakłopotania, odwrócił się do mnie i skrzyżował ramiona na piersi.

— To jest po prostu kwestia, widzisz, twojej, eee...

Podniósł rękę, by pogłodzić swoje gęste wąsy i bokobrody, ale istniały one już tylko na jego portrecie wiszącym na ścianie gabinetu. Podążył spojrzeniem za moim wzrokiem i spojrzął na obraz.

— Zawsze byłeś gładko ogolony? Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

Odłożył na popielniczkę tłące się cygaro, okopcone i przekrzywione jak rażony piorunem pień drzewa, i powrócił do wysuwania i wsuwania tego samego tomu na półkę. Wezwał Jezusa do przeprowadzenia specyficznego działania przeciw pewnemu bostońskiemu stolarzowi irlandzkiego pochodzenia. Wyciągał i wpychał tę książkę z gorączkową energią, miotając przekleństwa.

- Co to za książka, CCF?
  - Karmiąca matko Chrystusa, upiekę go żywcem — wymamrotał, kołysząc jak szalony książką w tył i w przód.
  - Cześć, tato. Skończyło się wasze zebranie? — Margaret pojawiła się za nami bezszelestnie. — Cześć, Ralphie. Jak ci poszło z bostońskimi plutokratami?
  - Moja śliczna ukochana — powiedziałem. — Przedstawiasz niewyobrażalnie piękny widok.
  - Jesteśmy zajęci. Zmywaj się — warknął jak zawsze ujmujący pan

domu, kucnąwszy teraz i wypiąwszy dla naszej przyjemności swój gorylowaty tyłek, bo kiedy się od niej odwróciłem, zobaczyłem CCF na kolanach, szperającego na niższej półce, znajdującej się dość daleko pod książką, którą masował, kiedy przerwała mu Margaret.

— Rózo najpiękniejszego koloru — ciągnąłem — chodząca woni wiosny. — I taka też była tamtego dnia, na przekór wszystkiemu, a przy tym zdrowa. Powinienem odwrócić się na pięcie, zignorować mojego potwornego sponsora i jego namiętności i po prostu porwać ją w ramiona. Mogłem ją zaraz zabrać stamtąd, zakończyć to wszystko w punkcie, który się najbardziej liczył, zapomnieć o całej reszcie i zdobyć ją jako żonę. Nie, nie, nie zechciałaby mnie wtedy, nie poszłaby ze mną, gdybym nie odniósł wcześniej zwycięstwa. Ale była tamtego dnia odświeżona i całkowicie przytomna. Nadal taka będzie, jeśli uda mi się jakoś zdobyć szansę ponownego połączenia się z mą.

— Przepraszam za tę przerwę, profesorze — mówi Finneran i wzywa Inge, żeby wyciągnęła Margaret z jego gabinetu i zabrała na spacer do parku, na świeże powietrze. Gdy tylko zatrzęsnęły się dębowe drzwi jego nory, wyprostował się i zaczął z powrotem przechylać gwałtownie tę pierwszą książkę w tę i z powrotem. Chwilę później rozległo się skrobanie do zamkniętych drzwi, co wywołało coś w rodzaju skurczu jego karku i policzka. — Na nerki i śledzionę Chrystusa! — wrzasnął, albo jakieś inne podobne celtycko-katolickie bzdury, i skoczył otworzyć drzwi, ale był to tylko jeden ze spanieli Margaret, który drogo zapłacił za to, że mu przeszkodził. — Nareszcie! — ryknął, wróciwszy do swojego hipnotycznego zajęcia, kiedy biblioteczka wydała słyszalne szczęknięcie i odsunęła się na ułamek cala,

poruszona przez jakiś mechanizm sprężynowy pod tą niemrawą książką. Finneran napał ramieniem na krawędź biblioteczki i obrócił całą tę sześciopółkową strukturę na umieszczonej centralnej osi, robiąc na tyle duży otwór, by udało mu się precyzyjnie przycisnąć brzuch, po czym skinął na mnie, bym ruszył za nim. Kiedy portal zamknął się za nami, zapalił (najwidoczniej polegając na owym niegodnym zachowania mechanizmie, że pewnego dnia nas wypuści) rząd żarówek. — Profesorze, oto Zbiory Sztuk Pięknych Finnerana — zaintonował, wskazując wielkopańskim gestem szklane szafki i rzędy teczek w ceglany pomieszczeniu, w którym staliśmy. — Profesorze, wielkie cywilizacje mają, czego na pewno jesteś świadomy... — I tak głądził i głądził monotonnym głosem usprawiedliwienia, których tu nie przytoczę, bo niewiele się różnią od paplaniny innych członków tego żalosnego towarzystwa. Łupy Finnerana były niezłe i dość różnorodne, ale popełnił żenującą pomyłkę, zakładając, że moja praca nad Atum-hadu ma jakiś związek z tą bezładną zbieraniną. Skierował światło małych elektrycznych lampek na sześć czy osiem szklanych gablotek, z których każda zawierała osiem czy dziesięć eksponatów: kamienne inkaskie krokodyle kładące się na gwatemalskich dziewicach, wazy z dynastii Ming, z niebieskimi rysunkami na białym tle, przedstawiającymi cesarza w rozpiętych szatach przykucniętego nad nałożnicami, ortolany oddające się niekulinarnym funkcjom wypychania; wielorękie hinduskie boginie, opite krwią, zaabsorbowane, splecione w uściskach; kawał czegoś, co wyglądało na kość słoniową albo wyblakłe drewno, pokryty mnóstwem wyrytych wizerunków psów husky, foczych płetw, obrzeżonych futrem twarzy, uśmiechających się szeroko w zachwycie. —

Innuit. Eskimoski lud Grenlandii — skomentował to szalony kurator. — Na kości wieloryba. — A potem przeglądaliśmy skórzane teczki, z wytłoczonym na każdej, niech go kule biją, napisem ZBIORY FINNERANA. — Prace na papierze — oznajmił, kiedy ostrożnie pokazywał mi swoje skarby: najpierw cykl georgiańskich rycin przedstawiających złośników w perukach, o twarzach koloru pieczonej wołowiny, badających, czy personel kuchni nie cierpi na dolegliwości intymne, potem: — Japońskie drzeworyty - i jego oczka czarne jak plamki tuszu obserwowały mnie bacznie, kiedy powoli przerzucił cykl ozdobnych grafik, układających się w opowieść o samuraju i wiejskich kobietach, które mu służyły, pełną wydobywania mieczy i chowania ich do pochew, chwytania za koki i tak dalej. — No i oczywiście współczesne dzieła sztuki — szepnął, nabierając szybkości i pewności siebie. — Nie jestem, wiesz, jakimś zatwardziałym konserwatystą, jakimś... jakimś... — Ale nie przychodziło mu na myśl nic, czym nie był, bo za bardzo się palił do rozwiązania teczek ze zdjęciami, na których nie było niczego bardzo zdumiewającego, niczego, czego nie można by zobaczyć w koszarach albo pod straganami na bazarach na całym świecie, nawet w Bostonie. Nic niezwykłego, oprócz tego, że na większości z nich figurowała jako modelka pielęgniarza jego córki. — Inge ma rzadkie zrozumienie sztuki ludzkiego ciała.

- Bardzo imponujące, Chester.
- Dziękuję, Ralph. Wiedziałem, że jako uczonego, zrozumiesz. Jednak, jak widzisz, brakuje mi, niestety, czegoś pochodzenia egipskiego. A z tego, co czytałem i słyszałem od innych kolekcjonerów, w podziemiach Luwru i waszego British Museum trzymają przedmioty,

które świadczą, że w tym twoim starożytnym Egipcie było bardzo dojrzałe towarzystwo artystyczne. — Finneran zerknął przez dziurkę do swojego gabinetu, potem pchnął drzwi i wyprowadził mnie szybko z powrotem przez biblioteczkę. Usiadł za biurkiem, wytarł chustką głowę, skrzyżował ramiona na piersi i przeszedł do punktu, którego się spodziewałem. — Wydaje mi się, Ralph, że... — I nagle zagrzmiała harmonijna kaskada dźwięków dzwonów kościelnych i kurantów, zaczynając od zegara stojącego na jego biurku, przez zegar na ścianie, po -wahadła w całym domu, a potem po południowe koncerty odgrywane na wszystkich wieżach w Bostonie. Musiało to być jakieś miejscowe święto, ponieważ minęły co najmniej dwie minuty, podczas których pijani dzwonnicy i garbaci erudyci w każdym zakątku miasta rywalizowali ze sobą o naszą uwagę, wygrywając ogłuszające kompozycje, z których każda kończyła się dwunastoma wystrzałami armatnimi, ale nieco opóźnionymi w stosunku do pozostałych (jakby każdy kościół znajdował się w swojej własnej, nieco różniącej się od innych strefie czasowej), tak że rozległo się co najmniej sześćdziesiąt następujących tuż po sobie wybuchów, zanim Finneran mógł wyszeptać, zebrawszy odwagę, swoją konkluzję. — ...przecinają się tutaj twoja konkretna specjalizacja i moje artystyczne i kulturalne gusta. — Jeszcze jeden z tych smutnych facetów, który nie potrafi dostrzec różnicy (ogromnej, elementarnej) pomiędzy tym, co badam i szanuję, a tym, co oni pożerają, czego pragną, co pożerają, czego pragną. — A więc gdybyś miał znaleźć, a na pewno znajdziesz, jakieś przykłady... — Zastanawiałem się, czy jego córka wie o jego sekrecie. — Oczywiście — przerwał sam sobie, by odpowiedzieć na moje nie wypowiedziane pytanie — jedno słowo o tej

ubocznej transakcji oznaczałoby natychmiastowe unieważnienie naszego porozumienia finansowego. Nie popełnij błędu.

Oto człowiek, który z tajemniczego powodu — bez żadnego powodu — opuścił mnie w połowie ekspedycji. Ze też mi to zrobił, zostawił mnie w tym trudnym położeniu, uległ wpływowi jakiegoś wędrownego łgarza. Nuworysz zafascynowany pornografią, który zrobiłby z narzeczonego własnej córki sprośnego stręczyciela. On i jego łajdaccy kumple. Milczący OToole, klep-tomaniak, który na zebraniu inwestorów schował do kieszeni pod nosem CCF jedną z jego srebrnych podkładek pod szklanki.

Kovacs ze swoimi stale wilgotnymi oczami, jakby miał sumienie tak obciążone przestępstwami, że płacze łzami swoich ofiar.

Całe miasto trąbi o odkryciu Cartera. Plotki o jego znalezisku były tak szaleńczo nieprawdopodobne, że chyba tylko wyobraźnia palącego cziczę Egipcjanina jest w stanie stworzyć takie bajki jak te, które słyszałem dzisiaj. W dodatku plotki te obiegają miasto lotem błyskawicy.

Wspomniałem na przykład mimochodem sprzedawcy owoców, że gdybym był na miejscu Carnarvona, sprowadziłbym po prostu do Doliny mały samolot i wywiózł moje łupy do British Museum, nie dając Egipcjanom nawet najmniejszego drobiazgu. No i oczywiście kiedy dotarłem do innej dzielnicy, gdzie w końcu znalazłem sklep z homburgiem w moim rozmiarze, inny klient, Egipcjanin ze świetną fryzurą i przystrzyżoną bródką, mówi, że lord Carnarvon sprowadził ubiegłej nocy do Doliny trzy samoloty, którymi co noc wywozi egipskie skarby do swojej posiadłości w Anglii, gdzie (jak poinformowałem tego brodatego osła) jego lordowska mość trzyma niewolników, co jest przywilejem angielskiej arystokracji.

Bez zdziwienia pokiwał głową.

W końcu znalazłem maszynkę do strzyżenia wąsów. Nabyłem ten ostatni przyrząd od fryzjera, mężczyzny tak muskularnego i silnego, że tylko z łaski Allaha nie zmiażdżył dotąd głowy żadnemu ze swoich klientów. Ze względu na jego siłę zapytałem, czy nie byłby zainteresowany pracą przy odkopywaniu grobowca jednego z najsłynniejszych starożytnych królów. Odrzucił ofertę:

— Bardzo mi przykro, panie Carter. — Śmieszna i niezupełnie pochlebna pomyłka. — Ale słyszałem o cudach, które pan odkrył — kontynuował — i może mógłbym przysłać do pana mojego krewnego? — Zgodziłem się, dałem adres i mogę zacząć w końcu odbudowywać moją ekipę.

Skierowałem się z powrotem na stanowisko Cartera, ponieważ byłem teraz przygotowany do wcielenia w życie wspaniałego planu zażegnania kryzysu finansowego mojej ekspedycji. Zostałem tam wśród piasku hrabiego Carnarvona i dwóch tubylców stojących nad lady E. velyn, która próbowała swoich sił w archeologii, posługując się pędzlem i małą, damską łopatką. Podniosła się, chichocząc ze zdumienia i trzymając w dłoni kawałek glinianego naczynia. Tak naprawdę wystarczyło tam się pochylić i zanurzyć łopatę w piasku, by coś znaleźć.

Zostawiłem ich przy tej zabawie. Ciekawy, choć jarmarczny widok przedstawiał namiot, z którego Carter kierował pracami i który niewątpliwie sprawiał miłe wrażenie, jeśli ktoś uważał się za cezara. Jego kalendarzem i dziennikiem ekspedycji wydaje się ładny diariusz Letta numer *AS*, a oficjalne otwarcie grobowca Tuta obędzie się chyba jutro. Imponująca lista gości, na której oczywiście ja też figuruję.



Wyszedłszy z powrotem na zewnątrz, wdałem się w rozmowę z jednym z wielu zdezorientowanych dziennikarzy kręcących się po stanowisku. Stałem z nim przy balustradzie bezpośrednio nad wykopem (co za próżność! bariery powstrzymujące turystów!) i pomagałem umieścić dla potrzeb jego artykułu odkrycie Cartera w kontekście historycznym — wykopalisk z przeszłości, które je przyćmiewały, tych, których się nadal spodziewany, małego znaczenia Tutenchamona w historii Egiptu i względnie skąpej wiedzy o nim. Jego udawana zawodowa uczciwość dziennikarska przejawiała się w traktowaniu wszystkiego, co mu mówiłem, jako kłamstwa. Pomagając temu nieukowi poprawnie zapisać nazwy, podsłuchałem rozmowę, którą toczył tuż przede mną Carter z Carnarvonem i jakimś innym Anglikiem. Carter mówił:

— Uważam, że w świetle tego odkrycia i jego skali oraz w świetle bezinteresownego i wieloletniego zaangażowania jego lordowskiej mości i jego rodziny, rząd powinien rozważyć wynagrodzenie jego lordowskiej mości za...

— Tut był pomniejszym królem? Wobec tego skąd to całe złoto i skarby? — dopytuje się natarczywie infantylny dziennikarz, odrywając moją uwagę od tej rozmowy.

Ale sedno rzeczy było oczywiste: wynagrodzony za sześćoletnie finansowanie ślimacze; pracy Cartera, jego lordowska mość będzie szukał okazji do zainwestowania w nową ekspedycję. Uzyskałem potwierdzenie założeń mojego planu. Wydobędę finanse mojej ekspedycji z oplakanego stanu i jednocześnie — nie chcąc palić za sobą mostów w stosunkach z moim przyszłym teściem — pokażę CCF, ile warte jest dzieło, któremu zagraża jego skąpstwo.

O konieczności uwzględniania ludzkich emocji w badaniach naukowych: To prosta historia i jeśli zdecyduję się umieścić ją w ukończonej książce, zrobię to niewątpliwie z łaskawą aprobatą lorda Carnarvona i ku zakłopotaniu i wyrażonemu poniewczasie zdumieniu CCF. Każdy będzie tu dobrze wyglądał, może z wyjątkiem Cartera, który od czasu, gdy uśmiechnęło się do niego szczęście, robi się coraz bardziej nieznośny.

Kiedy Carnarvon został sam, z filiżanką herbaty, starając się sprawiać wrażenie osoby zainteresowanej albo znającej się na rzeczy i z nieobecny wyrazem twarzy przyglądając się nadprożu u stóp schodów, przeprosiłem poplamionego atramentem żurnalistę i zawołałem jego lordowska mość po nazwisku. Utykając jak zwykle, wdrapał się na galerię dla widzów.

— Naprawdę nie powinienem udzielać wywiadów, to jest osiągnięcie Cartera, bez dwóch zdań — zaczął życzliwie, robiąc miny jak klaun w cyrku.

Przypomniałem Jego Głupkowatości, że wczoraj się pozna-  
liśmy. Jest naprawdę cudownym okazem angielskiego arystokraty.

- Oczywiście, oczywiście, pan jest tym gościem od sprośnego króla. Podoba mi się pański kapelusz — mówi. — Raczej swobodne nakrycie głowy za moich młodych lat, kiedy poświęcałem temu trochę uwagi. W dzisiejszych czasach wy wszyscy od wykopalisk ubieracie się jak spod igły.
- A tak, to stary homburg. Daje tubylcom wzór opanowania.
- Pan jest tym bankierem? — wtrąca, wskazując Carnarvona piórem, dziennikarz, z którym wcześniej rozmawiałem.

- Muszę powiedzieć, że to coś nowego — śmieje się wesoły lord i powtórzywszy zastrzeżenie, że to wszystko jest widowiskiem Cartera, udziela mimo to długiego wywiadu, podczas gdy ja cierpliwie czekam.

W końcu reporter, gnąc się w ukłonach i lansadach przed angielskim parem — nie odnosząc się z powątpiewaniem do słów Carnarvona, o nie — oddała się, by błędnie albo przesadnie opisać coś innego.

— Lordzie Carnarvon, jeśli mógłbym jeszcze słowo... Mam tutaj mały dowód mojego szacunku. — Wręczam mu w prezencie egzemplarz rzadkiego pierwszego wydania *Pożądania i podstępu* z 1920 roku z dedykacją: „Hrabiemu Carnarvonowi, Przyjacielowi Egiptu, prawdziwemu Panu Szczodrości, pełen podziwu kolega— R.M. Trilipush”.

- Śliczny prezent, bardzo miły — mówi gapowaty milioner.
- Wasza lordowska mość...
- Proszę, mów mi Porchy.
  - Dobrze. Otóż, Porchy, może o tym nie wiesz, ale jestem bliski...  
— Skąd jesteś, stary?
- Z Kentu, wasza lordowska mość. Z rodziny o tradycjach wojskowych i odkrywczych. Mam tam małą posiadłość rodzinną, skromny dwór.
- Naprawdę? Muszę się tam zatrzymać i zobaczyć to miejsce.  
Uwielbiam tamtą część kraju.
- Byłoby nam miło cię gościć. Otóż, jak może powiedział ci Carter, jestem bardzo, bardzo bliski oszałamiającego znaleziska, grobowca króla Atum-hadu, odkrycia, które, z całym należnym szacunkiem, może przyćmić to, co Howard odkurza teraz pod ziemią. Z twoją pomocą i moją reputacją... no, nie ma mowy, żeby trwało to sześć lat.

Mógłbym konkurować z naszym przyjacielem o jego pieniądze, to znaczy oczywiście o twoje pieniądze. Zajęłoby to może miesiąc od rozpoczęcia do zakończenia

i widzę, jak osiągamy...

- Mój Boże, człowieku, co ci się stało w nogę?
- Och, nic takiego. Prawie nie boli.
- W tym klimacie lepiej uważać na takie rzeczy. (Bardzo troskliwy ten lord, cierpi na niemal patologiczną niemożność skupienia uwagi.)
- Dzięki, ale, widzisz, Atum-hadu był prawdopodobnie ostatnim tebańskim królem z XIII dynastii, panował, kiedy Hyksosi pustoszyli...
- Był rzeczywistą postacią? Historyczną? Carter mówi, że to postać fantastyczna, apokryficzna, coś w rodzaju króla Artura w ujęciu de Sadea. Wytwór wyobraźni późniejszych poetów czy kogoś, egipskiej nostalgii, artystyczny psikus.
- Artur i de Sade? Bardzo zabawny jest ten nasz Carter.
- Naprawdę taki jestem?

No i oczywiście ten zazdrośnik podkradł się i wtrącił do naszej prywatnej rozmowy, nauczył się gdzieś cicho chodzić, jak zabójca. I zanim zdążyłem powiedzieć choćby jeszcze jedno słowo, odprowadził Carnarvona, by obejrzał jakiś tam przedmiot z grobowca Tutty'ego.

— Powinniśmy wkrótce znowu porozmawiać, Por-chy — krzyknąłem, zakładając, że uda się biedakowi uwolnić od kurczowo czepiające) się go niańki. W istocie Carter wydawał się potajemnie zdecydowany trzymać mnie z daleka od Lorda Sakiewki, nawet kiedy sunął z tą swoją zwykłą

carterowską wyniosłością, niewymuszenie elitarną, chociaż teraz ukazującą swoje prawdziwe oblicze: aktu skrywającego strach i zawiść. Stałem w piachu i upale, w kapeluszu, marynarce i krawacie, z przystrzyżonym wąsem i o lasce, a Carter oddalał się, ubrany jak ja, ale nadal kurczowo uczeplony mojego następnego sponsora, jakby sam nigdy nie prosił go o pieniądze, jakby po prostu skinął łaskawie głową, kiedy hrabia przyszedł do niego na kolanach i błagał o pozwolenie napchania jego kieszeni gotówką. Może tak właśnie było.

Interesujące jest też, jak wytrwale Carter starał się zdeprecjonować moją pracę za moimi plecami, ba, nie tylko moją pracę, ale samą historię. Jak szybko nałgał Porchyemu, że Atum-hadu nie istniał. Powściągliwy, milczący, złośliwy, a teraz jeszcze nieuczciwy.

Ludzie jego pokroju sprawiają, że czujesz się, jakbyś nie potrafił policzyć palców, które masz przed oczami, a nawet nie był pewien, czy to są palce. Jeszcze teraz, kiedy siedzę na skraju urwiska, zapisując wydarzenia tego dnia, mam wrażenie, jakbym nie trzymał w ręku pióra. Jakbym nie wydał dzieła z dziedziny egiptologii. Jakbym osiągnął to, co osiągnąłem, sam, w ciemnym pokoju. Jakby Carter, Carnarvon i ter Breuggen wiedzieli o czymś, o czym nie chcą głośno mówić, ale są pewni, że ja o tym nie wiem i nigdy się nie dowiem. Jakby to ich był cichy, pozbawiony wyrazu śmiech, przenoszący się nie zauważalnie od jednego do drugiego i trwający tylko chwilę, zanim się odwrócą, by skupić się na swoich niebiańskich zadaniach, które tylko wydaje mi się, że rozumiem. Jakby tylko wy d a w a l o mi się, że to jest pióro i że robię nim zapiski w diariuszu Letta numer 46. Jakby tylko wydawało mi się, że istnieję i wykonuję moją ważną pracę. Jakby tylko

wydawało mi się, że mogę osądzać, co dzieje się wokół mnie i we mnie. „Nie — uśmiechają się, nie poruszając ustami. — Nie możesz”. Tu, w moim portfelu, krytyczne słowa zadowolonego z siebie Larsa Phila Thiirma o *Pożądaniu i poddłęple*: „Trilipush kopie, ale nie nazwę go archeologiem. Pisze, ale nie nazwę tego nauką. Nie wiem, jak to nazwać, ale nie należy to do dziedziny, której służę”.

Czytelniku, czytelniku, z mojej dyskusji z Porchym płynie tylko taki morał: to wszystko jest koniecznym uwzględnieniem psychologii i ludzkich emocji przy rozwiązywaniu mojego problemu. Wiem, że CCF jest podatny na presję, bo sam ją stosuje w swoich codziennych kontaktach z innymi i rozumie, jako człowiek interesu, że wartość zaczyna jaśnieć pełnym blaskiem w ogniu rywalizacji. Powiem mu prawdę, nie dlatego, że pragnę go zastąpić Carnarvonem (z pewnością nie chcę niczego takiego; wolę finansistę w dalekim Bostonie od mecenasa, który łązi po stanowiskach), ale dlatego, że powinien wiedzieć, iż nie muszę zebrać o amerykańskie centy, skoro mógłbym szastać funtami milorda. Zwłaszcza teraz, kiedy wstrzymałem prace w celu reorganizacji ludzi i przesunięcia środków. Finneran zmusił mnie, bym przyjął jego pieniądze, co zrobiłem dla mojej narzeczonej, wyświadczę mu więc uprzejmość, przyjmując je nadal, nim zacznę czerpać fundusze od Carnarvona zamiast od niego. Są to, czytelniku, komplikacje spowodowane ludzkimi emocjami, które zawsze zakłócają to, co powinno być czystą nauką. Stosownie do tego depeszuję do CCF i wracam do willi Trilipush.

Właśnie przed chwilą wróciłem z poczty i — ponieważ mój fryzjer dotrzymał słowa — zastałem obok drzwi frontowych siedzącego w kucki jego kuzyna, Amra, moją nową prawą rękę. Amr, szesnastoletni chłopiec,

będzie świetnym szefem ekipy, chociaż musi się jeszcze dużo nauczyć.

- Lordzie Carter — mówi do mnie — mam nadzieję, że się nadam.

Zobaczymy, młody Amrze. [Zmienić w epigrane i dedykacji „Ahmed” na „Amr”.] Powiedziałem mu, żeby się tak do mnie nie zwracał, wyjaśniając, że starożytni Egipcjanie, podobnie jak ja, wysoko cenili dyskrecję, natomiast niedyskrecję tępili z niewysłowioną surowością. Umawiam się z nim na jutro, a jako wstępny, symboliczny bakszysz daję mu czarującą mumię wyskakującą jak diabełek z pudełka.

29 listopada, zanim wyruszyłem do Egiptu schwytać człowieka, który zamordował Paula Caldwell, przećwiczyłem moją najlepszą przemowę i poszedłem pożegnać się z kobietą, która dla zabawy łamała mi serce. Ale drzwi otworzył Finneran.

- Dobrze, że jesteś - powiedział ku mojemu wielkiemu zdumieniu. - Przydałoby mi się, żeby mnie ktoś wysłuchał.

Nie było nigdzie widać Margaret, kiedy jej ojciec prowadził mnie korytarzem. Wepchnął mnie do swojego gabinetu i szorstko przeprosił za swoje zachowanie podczas naszego poprzedniego spotkania, kiedy nawrzeszczał na mnie w zdenerwowaniu.

- Doradź mi, Ferrell. Zastanawiam się, czy nie widziałeś więcej niż ja - powiedział, wyłamując palce, co, jak przyznasz, było czymś w rodzaju uznania swego błędu, przeprosin i zaproszenia do wyjawienia wszystkiego.

Wyglądało na to, że cztery dni wcześniej Finneran otrzymał depezę od Trilipusha i znaleziska w grobowcu były nadzwyczajne, przekraczające najśmielsze marzenia, komory i komory, i Trilipush potrzebował pieniędzy-

dzy, by dokończyć prace i zapłacić swojej ekipie, ale zwycięstwo należało do nich. Do czasu otrzymania tej depeszy Finneran nadal wstrzymywał przekazywanie pieniędzy, oprócz, jak przyznał, małej sumki, którą wysłał w przypływie nadziei. Ale po tym telegramie z 25-ego gotów był ostatecznie i w pełni wznowić wpłaty. No i faktycznie, powiedział Finneran, 26-ego gazety krzyczały o niewiarygodnym znalezisku w Egipcie. Możesz sam to sprawdzić, Macy, prasa bez przerwy bębniła o królu Tutanchamunie i o Angliku nazwiskiem Howard Carter, który był kierownikiem tej ekspedycji. Nie miało to n i c wspólnego z Trilipusem, ale zbieg okoliczności był tak przekonujący (depesza od Trilipusa przyszła zaledwie dzień wcześniej), a Finneran (o czym dowiedziałem się później) był w tak dużym niebezpieczeństwie, że rozpaczliwie zakładał i miał nadzieję, że Tutanchamun ma jakiś związek z jego inwestycją, a Howard Carter jest jednym z ludzi Trilipusa, jakimś brygadziwą.

- Szczerze mówiąc - rzekł Finneran - nazwiska tych wszystkich faraonów brzmią podobnie, prawda?

26-cgo Finneran zadepeszował do Trilipusa z gratulacjami i informacją, że telegraficzne przekazy pieniędzy zostaną wkrótce wznowione. Poinformował również pozostałych inwestorów, że wszystko idzie dobrze, więc wnieśli spektakularny wkład w to przedsięwzięcie. Był zdecydowany: Trilipush odnosi coraz większe sukcesy, Oxford to nieporozumienie, Margaret jest zadowolona, więc planował uruchomienie comiesięcznych przekazów pieniędzy inwestorów, które trzymał dotąd na swoim koncie. Ale 27-ego Finneran uświadomił sobie swoją pomyłkę - Carter i Trilipush pracowali w ramach różnych projektów badawczych - i znowu się zawahał. 28-ego otrzymał kolejną depeszę od tego człowieka. Rzucił ją



mnie. Oto jej treść: NIE PRZYSYŁAJ MI JUZ PIENIĘDZY, ZNALAZŁEM NOWE, WIARYGODNE

WSPARCIE. SPONSORZY CARTERA POPROSILI MNIE, ŻEBYM PRZYJĄŁ ICH INWESTYCJE. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło - Trilipush wykorzystał Finnerana, żeby znaleźć na pustyni dziurę pełną złota, i teraz, kiedy ją znalazł, po co byli mu potrzebni Finneranowie? Skumał się z ludźmi

z wyższej klasy, odcinając się od bostońskiego motłochu. Powiedziałem to niedwuznacznie Finneranowi. Wybałuszył na mnie oczy.

- Myślisz, że nie wróci? Aleja potrzebuję tych pieniędzy - wyjąkał.

Ile wysłał Trilipushowi? Nie tak dużo, tylko jedną małą ratę kredytu, ponieważ zgodnie z umową z inwestorami Trilipush miał w pierwszych tygodniach wydawać własne pieniądze, żeby udowodnić, że jest godny zaufania.

- No to w czym problem? - zapytałem. - Nic straciłeś prawie nic.

Ale on nie martwił się o pieniądze, które wydał, Macy, naprawdę niepokoił się, jeśli dobrze go rozumiałem, o swoją część w podziale rzekomego skarbu, którą miał teraz stracić.

- I co ja powiem... - zaczął, ale przerwałem mu, mówiąc, żeby się uspokoił i nie martwił, bo ja powiem o tym Margaret. Spojrzał na mnie ze zdumieniem. - Ty idioto. O'Toole i Kovacs, O'Toole i Kovacs - co ja im powiem?

Spojrzałem na twarz Finnerana i teraz, Macy, zrozumiałem. Widywałem już taką minę wcześniej i widywałem potem, wykrzywione usta człowieka, który uświadamia sobie, że nie będzie w stanie spłacić swoich groźnych wierzycieli.

- Tego nie wiem, Finneran, ale coś ci poradzę. Wyślij Trilipushowi depeszę z podpisem Margaret zrywającą zaręczyny. Trilipush szybko przestaje się tobą przejmować, więc ratuj najpierw Margaret. Zrób to jak najszybciej, by ocalić jej dobre imię - ona musi z nim zerwać, zanim on zerwie z nią. Jesteś jej to winien. A jeśli on żywi do niej jakieś uczucie, w co wątpię, to ona jest dla ciebie jedyną nadzieją na to, że teraz, kiedy nie potrzebuje już twojej sakiewki, zachowasz nad nim jakąś kontrolę.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Wszedł Julius Padraig OToole i skinął mi chłodno głową. Zostałem odprawiony, podczas gdy Finneran zapraszał O'Toole'a do swojego gabinetu, dając pokaz wytrawnego wazeliniarstwa. Zaczekałem w salonie. Nie było żadnych krzyków, żadnych strzałów. Po kwadransie otworzyły się drzwi gabinetu, OToole przeszedł spokojnie przez hol i wyszedł. Finneran siedział za biurkiem, bębniąc palcami po pudełku z cygarami. Zapytałem go, czego chciał OToole. - Zamknij te cholerne drzwi - odparł.

Wyszedłem. Ani wtedy, ani w ogóle tej nocy nigdzie nie mogłem znaleźć Margaret.

Panie Trilish. Mnie są potrzebne pieniądze za czynsz za następne pół roku już w tej chwili, tak, na pewno dla pana mata potrzeba. Szybko szybko! I to jest sprawa kościstej niezgody. Bo jeśli jest inaczej, tak, niż się umówiliśmy przez agenta, to jest teraz konieczne podnieść pięć x czynsz za każdy miesiąc. I to jest oczywiste, tak, z powodu zainteresowania tymi rzeczami Tutaj. Tyle ludzi napływa! Szczęśliwe okoliczności! Dzięki, bohaterski panie Carter! I z takim pięknym domem jak ten! Oho! Więc przynajmniej dziesięć ludzi pytało agenta, czy mój dom jest do

wynajęcia, i jest, jeśli nie zapłaci pan zaraz czynsz za pół roku więcej, po tej nowej cenie. Pański bardzo poważnie, pan Gamil.

*Środa, 29 Listopada 1922 r.*

Dziennik: W nocy wsunięto mi pod drzwi wiadomość, która dodatkowo nadweręża finanse tej ekspedycji. Kluczowe jest teraz heroiczne skupianie się na bieżących sprawach. Karmię koty i wyruszam o świcie do pracy.

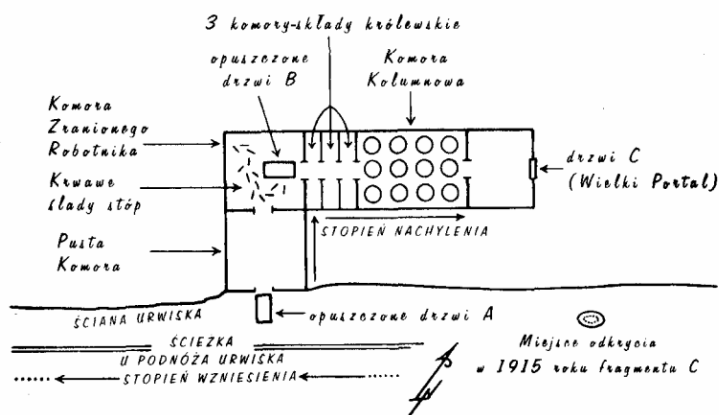
Na zachodnim brzegu Nilu spotyka się ze mną Amr z gipsem i — mając wschodzące słońce za plecami — pokazuję mu właściwą drogę na stanowisko. Ma on własnego osła, wspaniale. Podąża za mną do grobowca i nie odzywa się ani słowem. Każę mu usunąć prowizoryczną zasłonę z otworu i pozwalam wejść za mną. Jest pełen należnego podziwu. Winien jestem temu chłopcu edukację w zamian za jego mięśnie i zamierzam zrobić to dobrze.

- Archeologia, Amr, to nie tylko kopanie, ale także podejście do naszego otoczenia i robotników (na razie do ciebie), które wyraża nasze niesamolubne, nieskrępowane uznanie dla historycznego otoczenia, którego jesteśmy dziedzicami.

To dzielny chłopak, dumny przykład współczesnego Egipcjanina, który szybko pojmuje, co mu się mówi. Każę mu zacząć zbijać deski i pokrywać je warstwą gipsu dla uzyskania jednolitej bieli, by lepiej maskowały otwór wejściowy.

Tymczasem wchodzę ponownie do grobowca i znowu analizuję, co jeszcze zostało do zrobienia w tej ogromnej i nadzwyczajnej przestrzeni, której plan wygląda teraz tak

(RYS. F: PIERWSZYCH SZEŚĆ KOMÓR, 29 LISTOPADA 1922)



Najwyraźniej znalezione dotychczas skarby mają wartość nie tyle materialną, ile historyczną, są wskazówkami świadczącymi, że jesteśmy na właściwym tropie, wiodącymi nas szydlerczo ku bardziej namacalnym znaleziskom, które ukażą się wkrótce naszym oczom i przyćmią inne odkrycia tego sezonu. Przykładem owych zdobyczy o historycznej wartości, o których trzeba tu pokrótce wspomnieć, jako że są czymś zupełnie unikatowym w całej historii egiptologii, są wyraźne krwawe ślady stóp. Prawdopodobne wyjaśnienie — i trzeba przyznać, że na razie jest to tylko hipoteza — jest takie, że zranił się jakiś robotnik, być może podczas zamykania i opieczętowywania drzwi B.

Wbijam kliny i odkuwam dłutem zarys Wielkiego Portalu. Próbuje włożyć łom w powstałe szczeliny, ale myśl, że mogę sobie poradzić tylko z tym chłopcem, jest absurdalna. Mógłbym poczekać, aż lord Carnarvon postanowi otworzyć dla mnie te i wszelkie inne drzwi. Mógłbym żywić nadzieję, że Margaret zmusi się wreszcie do nakłonienia ojca i jego sługusów, by wrócili do naszych ustaleń. Mógłbym pójść do tego fryzjera i poprosić go, żeby użyczył nam siły swych mięśni. Carter przedzierał się przez swój grobowiec bardzo szybko i jeśli stosowaną tam metodą było rozbijanie drzwi młotem, to nikt nie będzie oczekiwał, że zachowam

każdy kamienny pozbawiony inskrypcji blok, który tkwi na mojej drodze. Wciąż zadaję sobie pytanie: C o może być za drzwiami C? Jeszcze bardziej niepodważalny dowód na istnienie Atum-hadu i — w końcu — skarb? Jak jestem tego bliski, jak opuszczony, jak zupełnie pozostawiony samemu sobie.

Mam dużo pracy na stanowisku, a czas ucieka, jeśli wola CCF osłabła tak, jak się obawiam. Ale stanowisko Cartera przyciąga jak magnes i nie chcę urazić weterana moją nieobecnością w tej wielkiej dla niego chwili, kiedy przybędą tłumy i prasa, -więc w południe każę Amrowi zakończyć prace stolarskie i trzymać straż do późnego popołudnia, sam natomiast jadę na jego ośle do doliny, by wziąć udział w uroczystości Cartera pośród piasków.

Margaret: Moja droga. Siedzę nad Doliną Królów i niebawem udaję się na uroczysty obiad i oficjalne otwarcie grobowca odkrytego przez jednego z moich kolegów. Jestem w kropce, bo upór twojego ojca skleił mi ręce. Uspokaja mnie tylko to, że wiem, iż nie ma silniejszego rozpuszczalnika niż twoja miłość. Jestem pewien, że kiedy to piszę, popychasz ojca z powrotem na właściwą drogę.

Moja ukochana, jest teraz trochę później i wróciłem w to samo odludne miejsce, by przed powrotem do Deir el-Bahari i mojej pilnej pracy — chociaż z powodu rany poruszam się wolno — zanotować, co myślę o tym, co przed chwilą widziałem. Wydarzenia te warte są odnotowania po prostu po to, by pewnego dnia, kiedy wszystko się wyjaśni, pokazać ci, jakiego pokroju ludzie tak zamęcili twojemu ojcu w głowie, że pomylił się w ocenie mojej osoby i zapomniał o lojalności. Nie! W tym znalezisku

Cartera nie ma nic, co by choć przez chwilę nappełniało człowieka zazdrością albo wprawiało w konsternację. Teraz, kiedy zobaczyłem „splendor” Tutenchamona, gładzenie twojego ojca jest po prostu komiczne.

Oprócz Mertona z „Timesa” i innych żurnalistów korzystających z okazji, by zjeść i napić się za darmo, byli tam Carter, hrabia z córką, duża grupa panów, lady Allenby, Engelbach z Urzędu Zabytków, komendant miejscowej policji, elendi inspektor luksorski Urzędu Zabytków, angielscy arystokraci ze swoimi kobietami — istny herbarz Burkea, z których jedna, niejaka lady Pleciuga, jeśli mnie słuch nie mylił, przysłała ze swoim yorkshire terrierem (słodkie, ale niesforne stworzenie z czarną, skórzaną obrozą), a potem ryczała jak cielęca się krowa, kiedy pies, jak było do przewidzenia, bryknął gdzieś, bez wątpienia szukając czegoś bardziej apetycznego od tego, co wystawiono dla nas na długich stołach u wejścia do doliny.

Trajkot przy obiedzie był nie do zniesienia, ponieważ wszystkie damy walczyły o palmę pierwszeństwa w turystycznych wożach. Skryte za diamentowymi i onyksowymi broszkami w kształcie skarabeuszy i pod słomkowymi kapeluszami, miotały w siebie nawzajem nazwami stanowisk archeologicznych, tocząc bitwę o supremację za pomocą opowieści o autentycznych widokach nieskażonego piękna, które mogą ujrzeć tylko najbardziej uprzywilejowani.

- Oczywiście widziała pani tę dziurę Ramzesa VI, całkiem niezłe miejsce, jeśli ktoś musi umrzeć w Egipcie — łaja jedna dama inną, która ośmieliła się wyznać, że grobowiec R6 wywarł na niej wielkie

wrażenie. — Ale posągi Ramzesa II w Abu Simbel znacznie go przewyższają, jeśli zada sobie pani trud pojechania tam, by zobaczyć prawdziwe dzieła sztuki.

- Niezłe, to prawda — wzdycha trzecia. — Rzuciłam na nie okiem. Był bezczelnym facetem, skoro kazał się zrobić w takich jarmarcznych wymiarach. A ten rzeźbiarz to prawdziwy Michał Anioł. Ale musi się pani zgodzić, że w oglądaniu tylko uznanych przez ekspertów arcydzieł jest coś, co pozbawia je smaku. Na pewno odkrycie nowego dzieła własnymi oczami i kierowanie się własnym gustem jest tak ważne jak bierne podziwianie, prawda? Na pewno właśnie dlatego jesteśmy tu dzisiaj, by jako zupełnie pierwsi zobaczyć tego Tuta, chociaż wątpię, czy możemy oczekiwać czegoś tak magicznego jak to uczucie, kiedy po raz pierwszy natknęłam się na te prace w Tunat al-Dżabal, te rzeźby w szkłe...
- Zrobione przez nadgorliwego ucznia. Ukryte arcydzieła znajdują się w Nuri i El-Kurru.
- Ja nazywam takie dzieła m a j s t e r s z t y k a m i . Musi się pani dostać do Sudanu, naprawdę, chociaż trzeba znać odpowiednich ludzi, żeby zostać tam 'wpuszczonym. Mogłabym napisać do nich, żeby dali pani pozwolenie...
- ..to stanowisko, gdzie ten król, jak on się nazywał, po prostu walnął swój kartusz na pomnikach swojego poprzednika? To nie fair play...
- ..trzeba podróżować sześć dni, żeby się tam dostać, ale nigdzie nie ma takich wschodów słońca jak tam...
- ..wschodów słońca? Astronomia nie jest sztuką, moja droga.
- Powinny panie zobaczyć, co odkrywają w grobowcu Atum-hadu —

dodał ktoś i wszyscy się zaciekawili, jak zawsze, kiedy wymienia się imię tego wielkiego króla.

W końcu Carter wymamrotał swoje uwagi, a potem poprowadzono nas wszystkich, po trzy osoby naraz, po szesnastu magicznych stopniach do dziury małego Tuta, byśmy przeszli, zgarbieni, korytarzem o gołych ścianach i by mignął nam przed oczami skarbiec z charakterystycznie porozrzucanymi we wszystkie strony przedmiotami. Słyszałem, jak porównywano go do rekwizytorni starożytnej opery, i w pewnej chwili przyszło mi nawet do głowy, że tyciutki Tut złupił istniejący wcześniej grobowiec, wymazał imię Atum-hadu i napisał własne w tym miejscu. Często tak robiono.

— Co to za okropny zapach? — pyta żona jakiegoś urzędnika i Carter próbuje jej wyjaśnić, że powietrze w grobowcu ma 3200 lat, aleja uświadamiam sobie, że muszę zmienić opatrunek, a poza tym mogę sobie darować ten pokaz. Wychodzę.

Margaret, biedaczysko Carter dokonał jak głupiec swoich odkryć na oczach publiczności i teraz musi za to płacić, pracując w otoczeniu trajkoczących cymbałów. Całymi dniami oprowadza amatorów po grobowcu, gdzie trzeba starannie zastanowić się nad każdym krokiem, gdzie każdy nasz wydech zwiększa zabójczą wilgoć w powietrzu, zanieczyszcza delikatne zdobienia malowanej skrzyni albo inskrypcję na ścianie, gdzie luźny rękaw sukni jakiejś wielkiej damy może musnąć przedmiot, który, dopóki nie zastosuje się środków zabezpieczających, może dosłownie rozpaść się pod dotknięciem, a jedna z obecnych tam dzisiaj dam miała nawet długi, kołyszący się naszyjnik ze srebra i szafirów, który mógł spaść albo stuknąć o coś,



gdy pochylała się, by spojrzeć na jakiś przedmiot w skarbcu. Wycieczki niezgrabnych, nie znających się na rzeczy, pełnych podziwu wielbicieli! Biedny Carter!

Ten skarbiec, ten grobowiec Tuta— męczy już człowieka słuchanie o tym. Jego widok, po całej tej gadaninie tubylców i szumie w gazetach, nie robił zbytniego wrażenia. Owszem, prasa mówiła prawdę rzeczownikami, ale nie przymiotnikami. Słyszałem, że „Times” określił koła rydwanów jako „niesamowite”, złoto jako „oślepiające blaskiem”, posągi jako „wspaniałe”, a sam grobowiec jako „niepodobny do niczego, co kiedykolwiek widziano w tym kraju”. To nieprawda, Margaret, po prostu nieprawda, jest to tylko pomieszczenie zapchane bez żadnej logiki i nie opowiadające żadnej historii, po prostu przyciągająca oko bezładna mieszanka, i oczywiście nie mająca pojęcia o starożytnym Egipcie turystka wydaje „ochy” i „achy” i o mało nie gubi własnej biżuterii na widok tych niezbyt cennych zabytków, ale, patrząc okiem eksperta, naprawdę trochę współczuję Carterowi, a jednocześnie czuję jakąś ogólną odrazę, jakby zmuszano mnie wciąż do jedzenia ogromnych ilości słodyczy w najbardziej parnym dniu. Uczucie to wywoływała zwłaszcza jedna rzecz, ogromne łożę z wyrzeźbionymi łbami lwów u wezłowania, i niemal słyszałem głos drogiego Hugona Marlowe'a, zanoszącego się śmiechem na widok jarmarcznego charakteru tego przedmiotu. Ten tron ze złotymi płaskorzeźbami na oparciu, te dzbany z rzeźbionego kalcytu i alabastru w groteskowym stylu XVIII dynastii, dekadencjonalne, obwisłe brzuchy, przestylizowana, neurotyczna androginia. Oczywiście byłem uprzejmy wobec biednego Cartera, chwalać go, ale widziałem w jego oczach pewne upokorzenie, coś, czego nigdy przedtem

nie przejawiał — mój przyjaciel wstydził się trochę tego całego przedstawienia, tego, że skupił na sobie uwagę ogółu, ale, niestety, z niewłaściwych powodów.

Wracam teraz na moje stanowisko, Margaret, do mojej pracy, do stojącej przede mną zagadki, do mojego wspaniałego odkrycia. Wszystko dla ciebie, moja miłości.

Dziennik: Osiągnąć coś wbrew, a nie d z i ę k i warunkom, oto prawdziwe dokonanie. Rozumiał to Atum-hadu i nadchodzi taka chwila, kiedy staje się to bardziej komiczne niż tragiczne, kiedy opierający się wszelkim próbom zmiany charakter człowieka, który sam się pnie ku wielkości i potędze, okazuje się silniejszy od wszystkich przeszkód i wyzwań. Los może rzucać mu kłody pod nogi tak długo, że w końcu ich pokonywanie staje się zarówno rozkoszne, jak i zabawne.

A mianowicie: kiedy wróciłem na stanowisko z widowiska, które urządził Carter, Amra tam nie było, chociaż chłopak spisał się na medal, robiąc tymczasowe drzwi. Zawołałem go, ale zamiast niego z grobowca wyłonił się wściekły Ahmed. Odesłał Amra do domu i powiedział mi, żebym nie oczekiwał jego powrotu, mogę więc sobie tylko wyobrazić, czym ten brutal groził biednemu chłopcu. Pozostawała sprawa zapłaty dla Ahmeda, do którego czuję trochę sympatii, poświęciłem więc mój cenny czas pracy na próby wyjaśnienia mu sytuacji, przypominając delikatnie, że on też nie zawsze postępował zgodnie z naszą umową, i tłumacząc, że trudno by mi było oddać dzisiaj wszystkie należne mu pieniądze.

Ahmed pysznił się swoją cierpliwością. Wściekał się. Groził. Ale nie miałem pieniędzy, -więc groźby na nic się nie zdały. Tak więc zaproponował inne rozwiązanie i wręczył mi młot. Zrobiłbym wszystko,

żeby tego uniknąć, zapłaciłbym mu, ile by zażądał, ale nie miałem wyboru. Na jego usilne nalegania otworzyłem drzwi C, a każde kłujące uderzenie wywoływało w moim ciele drgania, które przez pękające serce rozchodziły się bezlitośnie w dół, do nogi, i w górę, do głowy. Ahmed wbiegł przede mną — az trudno mi uwierzyć, że opisuję ten smutny fakt. Wynurzył się z komory, kręcąc głową. Nigdy tego nie zapomnę:

— Moje rozczarowanie jest 'wielkie, Angliku.

Niezadowolony, wyraził wściekłość w swój zwykły, prymitywny sposób. W większości były to kopniaki wymierzone w moją zranioną nogę, ale również ciosy w twarz i kopniaki w tył, kiedy byłem na nie wystawiony. Ale, dzięki Bogu, nie chciało mu się posunąć w dziele zniszczenia poza te jedne drzwi. Widzisz, chciwość zaślepiła, nie zauważył więc Wielkiego Portalu, który nadal czeka na moją opiekę i miłość i który wynagrodzi moje poświęcenie.

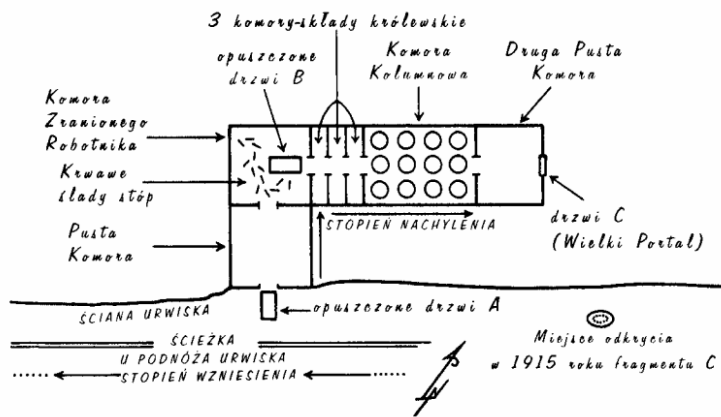
Trudno. Obmywam najlepiej jak potrafię ranę, bandażuję stopę, tam, gdzie to konieczne. Ta świnka ukradła na odchodnym osła Amra i jeden z moich gramofonów — columbia favorite.

Pomijając te okoliczności, otworzyłem dzisiaj siódmą komorę grobowca Atum-hadu.

(RYS. G: PIERWSZYCH SIEDEM KOMÓR, 29

LISTOPADA 1922 R.)

(RYS. G: PIERWSZYCH SIEDEM KOMÓR,  
29 LISTOPADA 1922 R.)



Reszta, opis tej nowej

komory, która jest pod wieloma względami niezwykła, musi poczekać do jutra.

W banku rozczarowanie. Poczta dostarcza niezrozumiałą depeszę, przypominającą dowcip. To żart, a przynajmniej jakaś głupia gra.

**TELEGRAM. BOSTON DO RALPHA TRILIPUSHA, LUKSOR  
11/29/22, 10.27. ZARĘCZYNY ZERWANE. WYDAŁY SIĘ  
TWOJE KŁAMSTWA. NIE KONTAKTUJ SIĘ ZE MNĄ. M.**

Mógłbym na to odpowiedzieć, ale komu, autorowi tej „depeszy od Margaret”? Krew się burzy na jego przestępstwa i zdradę. Człowiek ten zasługuje na karę godną wyobraźni tego wielkiego króla.

Koty lizą rany zadane mi zarówno przez Ahmeda, jak i Finnerana. Dlaczego Los uparcie obsadza nas w tak nieoryginalnych, przyziemnych rolach, kiedy możliwych jest tyle innych? Mogłem się sam obsadzić — nadal mogę — w dużo bardziej interesującej, ale nie, muszę być brany za dowolną postać, jaką zechce się odmalować w jarmarcznych barwach twardemu jak skała Finneranowi. Nie jest w stanie pokryć kosztów ekspedycji do Egiptu, która natychmiast nie dostarczy skarbów i beczek

sprośności dla jego potrzeb, musi więc mnie zdradzić i wymyślać o mnie niestworzone historie, by zatruć miłość swojej nieszczęsnej córki, trzymając ją w stanie półświadomości i ogłupienia, podczas gdy sam oddaje się uciechom z jej nordycką strażniczką. O sędziowie z Krainy Podziemnej, zważcie moje serce na waszej wadze, odczytajcie jego sekrety, zapisane w szkarłatnych włóknach i obrzmiałych szarych naczyniach, każdą moją ukrytą myśl. Czy nie czytacie tam, że ją kochałem, że ją Kocham, mimo pieniędzy jej ojca? Jestem pewien, że człowiek taki jak Finneran, który cynicznie wykorzystuje ludzi, powiedziałby, że Margaret nie dała mi tego, czego od niej oczekiwałem, nie przekazała do mojej dyspozycji niezmiernie fortuny. Przypuszczam, że tacy ludzie powiedzieliby, że powinienem ją teraz porzucić, pokazać, że moja miłość była udawana. I jest prawdą z mojego punktu widzenia, że Margaret ponosi częściową odpowiedzialność za moje trudne położenie. Nie oliwiła, jak się okazuje, finansowych kół tej wielkiej ekspedycji, nie ma też pewności, czy w czasie mojej nieobecności jej wierność pozostała niezłomna.

Czy było mi wszystko jedno, kim jest, kiedy się nią zachwyciłem? Nie zaprzeczę, że najpierw pomyślałem o jej bogactwie. Nie, muszę temu zaprzeczyć: nie mogłem najpierw o tym pomyśleć, ponieważ dopiero dużo później dowiedziałem się o fortunie, której ma zostać dziedziczką. A zatem najpierw pomyślałem o jej urodzie. Nie, to też nieprawda, bo według wielu kryteriów Inge jest ładniejsza. Znając siebie, przypuszczam, że przede wszystkim kierowała mną litość — oto młoda kobieta uginająca się pod ciężarem jakiejś fizycznej słabości, wstydząca się swojego stanu, na publicznym wykładzie na głośny temat, której nie udaje się ukryć

niemocy, podchodząca do podium, by się przedstawić, i komplementująca wykładowcę, twierdząca, że jest miłośniczką Egiptu i... Nie. Nie, nie mogę powiedzieć, że w ogóle zauważyłem jej osłabienie. Nie pożałem ani jej pieniędzy, ani urody, ani słabości. Śmieszyła mnie.

Popłynąłbym do niej jeszcze dzisiaj, dowiodł szczerości moich uczuć, ale nie mogę stąd wyjechać, dopóki nie zakończę mojej pracy, dopóki moje odkrycie nie będzie całkowite i nie zostanie ogólnie uznane. Ona z pewnością nie wróci do mnie, jeśli przybędę załamany i z pustymi rękami; jeśli nie będę jej angielskim odkrywcą, to będę dla niej nikim. Nic i nikt nie czeka

na mnie w Bostonie bez Atum-hadu, dostojnego i owiniętego złotym całunem w ostatnich komorach grobowca.

Koty, które odpłacają lojalnością i zrozumieniem, nie bez powodu były bogami. Maggie, pomarańczowa piękność, jest samą dobrocią, jak jej imienniczka, która na pewno nie myślała tego, co mówi depesza. Margaret nie napisała tej depeszy, nawet jej n i e widziała.

15 listopada

*Mój własny, słodki Ralphie,*

*Wczoraj dostałam twój list z 19 października. I zrobiło mi się tak smutno. Bardzo mi ciebie brakuje. I oczywiście cztery dni temu przyszła depesza ze wspaniałą wiadomością o twoim znalezisku, tata mija pokazał i był tak bardzo z ciebie dumny. Oczywiście oboje byliśmy.*

*Właśnie przed chwilą znowu przeczytałam twój list. Nie wiem, o czym pisać, laka jestem smutna. Płaczę, kiedy czytam twój uroczy list, pełen troski o mnie, na którą, obawiam się, nie zasługuję. To bardzo a b s u r-d*

a l n e z mojej strony, teraz, kiedy wszystko idzie dobrze, prawda?

Tata w końcu stracił panowanie nad sobą i parę dni temu pokazał drzwi temu szpicelowi. Nie słyszałam wszystkiego, a kiedy zapytałam tatę, co się stało, kazał mi odejść, i to w niezbyt miły sposób. Widzisz, tata jest pod straszną presją. Nigdy mi o tym nie mówi ani słowem, nie chce, żebym się martwiła, ale musisz mu wybaczyć, jeśli się czasami złości albo słucha kłamców, takich jak ten szpicel czy ten profesor, twój szef, ten Niemiec. Przyszedł do nas w ubiegłym miesiącu, żeby porozmawiać z tatą o dynastiach, fragmentach, lobie i Oxfordzie, i Bóg wie, o czym jeszcze. (A poza tym, czy mamy teraz ufać Niemcom? Nie ja, kochanie, nie po tym, co przeszedłeś w czasie wojny.) Wiesz, Ralph, że ja nigdy nie słucham tych ludzi. Wiem, kim jesteś, i kocham cię od czubka głowy do zakurzonych butów, i zawsze będę kochała. Wiesz o tym? Musisz mi po prostu wierzyć, musisz. Bez ciebie byłabym taka zagubiona. Trzymam pod poduszką twój telegram, w którym piszesz, że Ferrell to kłamca.

Ale prawdopodobnie już się dowiedziałeś, że firma taty ma pewne trudności. Widzę to, a tata często ma zmartwioną minę i J. P. OToole mówi to i owo. A więc twój cudowny sukces jest jeszcze ważniejszy dla wszystkich tutaj i są jeszcze bardziej z ciebie dumni, prawie tak dumni jak twoja królowa. Mam nadzieję, że ta wiadomość cię nie zaniepokoi i nie zmieni twojego zdania o tacie czy o nas. Ale wiem, że ty nie jesteś taki. I nie jest to aż tak poważna sprawa.

Jesteś taki dobry i miły, że się martwisz o Inge i o moje leki, i o to, żeby wiedzieć mnie zdrową w dniu naszego ślubu. Proszę, nie martw się.

Wszystko będzie dobrze. Sama świadomość tego, ile dla ciebie znaczę i jak ważne jest, żebym była dla ciebie zdrowa, wystarczy, żebym wyzdrowiała.

*Po prostu będę się dobrze czuła z miłości do ciebie, więc nie martw się już o mnie ani przez chwilę. Czuję, że już jest mi lepiej. Mogę to dla ciebie zrobić. Każdy mógłby dla takiego mężczyzny jak ty.*

*Wrócisz do domu i nie będę się już tak nudziła, a zwykle to właśnie z nudów myślę o tym, żeby wyskoczyć do miasta. Nie wyjdę już ani razu.*

*Myślę o tobie zawsze, kiedy nie śpię i jestem w formie. Zawsze mówiłeś, że kierujesz się rozumem i dedukcją, nie namiętnością. Pamiętasz, jak mi o tym mówiłeś, kiedy spacerowaliśmy nad rzeką? Ale wszystkie dowody pokazują, że nie powinienes mnie kochać, archeologu. Ale ty kochasz. Więc przysięgam, że będę dla ciebie lepsza i zasłużę na ciebie, i postaram się, żebyś czuł się wynagrodzony. Poprawię się od razu. Zrobione!*

*Napisz do mnie wkrótce o naszym ślubie, opowiedz mi o nim i o tych wszystkich złotych pierścieniach i koronach, które znajdujesz w piasku, opowiedz o domu w Kent i kiedy poznamy króla Anglii - wiesz, jeśli już o to chodzi, to żywy król jest lepszy niż zmumifikowany.*

*Jestem twoją wieczną królową m.*

*Czwartek, 30 listopada 1922 r.*

Margarct: Margaret, kochanie, któregoś dnia będziesz chciała dowiedzieć się wszystkiego o tym, o porządku wydarzeń, tak dokładnie, jak uda się nam go zrekonstruować. A więc pierwszą rzeczą, którą zrobiłem dziś rano, na drugi dzień po tym, jak „zerwałaś” ze mną, było pokiśtykanie na pocztę. No i oczywiście w dzisiejszej korespondencji jest list od ciebie, z datą 15 listopada, i ta słodka rzecz rozśmieszyła mnie. Od razu wysłałem do ciebie depeszę, moja droga, dziękujmy Bogu za to, że mamy telegraf, który natychmiast wyjaśnia nieporozumienia, i to przez



morze. Teraz wszystko jest jasne. Nasza miłość jest niewzruszona. Oczywiście: twój ojciec ma kłopoty finansowe i nie chce się przede mną do tego przyznać, biedak! Oczywiście! Zapewne w takiej sytuacji czuł wstyd i martwił się, czy osoby z jego otoczenia są uczciwe, i sprawdził mnie, wysyłając tę fałszywą depezę. I czego się dowiedzieliśmy? Kocham cię bez względu na wszystko.

To wyjaśnia nieporozumienia i dzisiaj nie czuję do twojego ojca nic oprócz współczucia. Najlepiej będzie, moja ukochana, jeśli moje stosunki z twoim ojcem zostaną oddzielone od sprawy finansowania tej ekspedycji, zwłaszcza teraz, kiedy żyje w dużym napięciu. Przedstawiono mi tutaj prawdopodobnego mecenasa, więc to będzie najlepsze wyjście. Wyświadczyłaś ojcu przysługę, kiedy nas sobie przedstawiłaś, a ja wyświadczę mu następną, zwalniając go ze zobowiązań wobec mnie. Dopóki będziemy razem, znajdziemy sposób rozwiązania tego wszystkiego. Tak mi ulżyło, kochanie. Ostatnia noc była nieznośna.

Jutro wrócę na stanowisko, ale dzisiaj muszę się zastanowić nad wszystkim, co odkryłem do tej pory. Carnarvon będzie musiał zrozumieć, na czym polega mój sukces, zanim będziemy mogli kontynuować pracę jako wspólnicy. Muszę skoncentrować moją mocno już zużytą energię na możliwie najjaśniejszym przedstawieniu mojemu potencjalnemu nowemu mecenasowi dotychczasowej pracy. Margaret, me mogę ci zaoferować mocniejszego dowodu mojej miłości niż ten oto: lord Carnarvon przyjmie na siebie obowiązek finansowania odkrycia grobowca Atum-hadu, a ty mimo to zostaniesz moją żoną. Teraz ani ty, ani CCF nie możecie już żywić żadnych wątpliwości. Jest 11.15 rano 30 listopada 1922 roku i moja miłość do ciebie jest niewzruszona jak

głaz.

Dziennik: Parę godzin rozważań i planowania, w cieniu, przy słodkiej herbacie. Po obiedzie jestem w stanie zastanowić się raz jeszcze nad zagadkową spuścizną Atum-hadu. Zaczął się występ, małomiasteczkowe naśladownictwo kabaretu, który tak dawno temu oglądałem w Kairze. Dziewczyny kiwają głowami, kiedy u ich stóp obutych w pantofelki sypią się monety, pulsują bębny i łkają dziwne skrzypce, a zasłony opadają niczym liście zdmuchnięte przez lekki, jesienny wietrzyk.

Lekcja historiografii: zrozumienie związku między (skomplikowanym) życiem a późniejszym (uproszczonym) opisem tego życia na przykładzie Atum-hadu: Można sobie wyobrazić, jak jakiś archeolog w przyszłości strasznie to wykoślawia. Starając się wyjaśnić twoją biografię, uzupełnia i dopowiada te fragmenty, które musi, i wszystkie niuanse i szczegóły twojej osobowości — czyli dokładnie to, co sprawia, że jesteś sobą — zostają zagubione, a zastępują je wytwory wyobraźni, czyli niuanse osobowości twojego biografy. Twoje prawe postępowanie, szczodrość, męstwo czy akty pokornej wdzięczności — jeśli nie zachowały się o nich żadne wzmianki — nie istniały. A jeśli zamiast tego są zapiski o czymś innym — wzmianka o chwilowym potknięciu, dobrze zapisane kłamstwa nieustępliwego rywala, obsesje rozgniewanej kochanki, nieczytelna korespondencja, błędna interpretacja zamazanego dossier przedstawiona przez jakiegoś detektywa, to co powie o tobie nieszczęsny archeolog, który cię odkopał?

I właśnie dlatego trzeba się starać pozostawić po sobie własną prawdę, uczciwą i jednoznaczną, bez pozostawiających pole domysłom niedokończonych wątków, na przykład *Nauki Atum-hadu* albo ten właśnie

notatnik, bez względu na to, jaki będzie rezultat mojej pracy.

Kiedy nasz archeolog, nasz biograf, przybędzie po nas — jak mamy wszyscy nadzieję — kiedy sporządzi kronikę naszego życia i uprości ją tak, że pojmie je i zapamięta na zawsze najbardziej tępy czytelnik, jak możemy mu w tym z wyprzedzeniem dopomóc? Jak możemy mu pomóc zorientować się, kiedy przerwać kopanie i zacząć pisanie? Gdzie znajduje się ośrodek naszego życia, rdzeń naszego charakteru, kiedy wszystkie nieistotne szczegóły ulegną erozji? Pod jedną warstwą jest następna, pod tą kolejna, pod każdym jedwabnym woalem inny, pod kurzem jeszcze więcej kurzu, za jednymi drzwiami następne, a potem komora grobowa i w zewnętrznym sarkofagu wewnętrzny sarkofag, a w nim kartusz i złota maska, i lniane bandaże, a potem... czarny szkielet w ciasno naciągniętej, kruchej skórze, nietknięty, ale bez mózgu, wątroby, płuc, jelit, żołądka. Czy to jest prawdą? Czy też może, spiesząc się, by dotrzeć do tej „odpowiedzi”, przeszliśmy obok skromnej prawdy, straciliśmy ją na ziemię, pokryliśmy kurzem i piachem wydobywanym przez nas podczas pospiesznego kopania?

Myszę, że przed dalszym odkopywaniem, które jest powolnym i drogim zajęciem, grobowiec w tym stanie, w jakim odkryłem go do tej pory, zasługuje na staranniejsze zbadanie, na szczegółowy opis moich pospiesznych dotychczasowych działań.

Źle oceniłem ilość atramentu, papieru i farby, której będę potrzebował dla skopiowania ogromnych malowideł znajdujących się we wnętrzu grobowca, wysokość drabiny, która będzie mi potrzebna do odczytania i skopiowania najwyższych rzędów hieroglificznych inskrypcji. A więc teraz marsz po zaopatrzenie przy kończących się funduszach, a potem do

łóżka z królewskimi kotami.

Jest to moja ostatnia na pewien czas noc w miękkim łóżku, ponieważ w końcowej fazie wykopalisk najbardziej sensowne jest, bym sypiał na stanowisku. Jutro wyprowadzam się z willi; teraz jest ona ciężarem. Muszę obmyślić jakiś plan karmienia kotów.

Następnego dnia, trzydziestego, sprawy nagle przybrałyjeszcze gorszy obrót. Twój cioteczny dziadek nie był w dobrym stanie, przerzucając się na zmianę od wrzaskliwych napadów wściekłości do okresów spokoju, które wcale nie były ciche. Przedtem rzadko widziałem go pijącego, a teraz chlał. Widać było, że nie spał w nocy. Już wcześniej widywałem ludzi w opałach, Macy, i ciekawe, jak podobnie wszyscy oni się zachowują. Napięcie działa na ludzi w przewidywalny sposób, oto, czego się nauczyłem. Tak naprawdę są tylko dwie, no, może trzy ludzkie reakcje na przytłaczające okoliczności. Widziałem je wszystkie.

Poprzedniego wieczoru Finneran zrobił, jak mu radziłem, i wysłał depeszę zrywającą zaręczyny Margaret z Trilipusem. Dzisiaj Trilipush na nią odpowiedział, i to z pewnym żarem. Muszę powiedzieć, że to mnie zaskoczyło, bo nie sądziłem, że w tym momencie będzie mu w ogóle na tym zależało, ponieważ dostał od tej rodziny, czego chciał, a zatem Margaret nie mogła go już interesować, a ja byłem przygotowany, żeby ją złapać, kiedy będzie się osuwała. Jednak plany Trilipusha najwyraźniej sięgały głębiej, niż potrafiłem dojrzeć, i wyglądało na to, że nie ma najmniejszego zamiaru stracić narzeczonej. O nie, nie oddepeszował do Finnerana ani do Margaret, ale do O'Toole'a, a Irlandczyk przesłał złowieszczą depeszę do Finnerana, żeby ten ją przeczytał i się spocił. Oto treść telegramu od Trilipusha: O'TOOLE. GRATULUJĘ WSPÓLNEGO SZCZĘŚCIA.

## PRZYPUSZCZAM, ZE FINNERAN PRZEKAZAŁ OCENĘ OSTATECZNYCH ZYSKÓW.

ŁADNY ZAROBEK DLA NAS WSZYSTKICH. O'Toole napisał u dołu telegramu ołówkiem: „Faktycznie dobra wiadomość, CC. Przyjdź z wyceną”. Trilipush wiedział, gdzie uderzyć.

- Chce mnie zabić -jęknął Finneran, pokazując mi złowieszczą depe szę. -Akurat wczoraj przekazałem O'Toole'owi wiadomość, że ekspedycja zakończyła się klapą. - Trilipush nie poprzestał na tym: godzinę przed moim przyjściem do drzwi Finnerana zadzwonił reporter z zajmującej się skandalami gazety. - Możesz sobie wyobrazić? - krzyczał Finneran, opowiadając mi o tym. - Przyszedł pismak z „Boston Mercury”, bo do stał anonimowy telegram, że jestem kolekcjonerem świńskich dzieł sztuki i chcę porozmawiać o tym z prasą. On sobie pogrywa z moją reputacją w moim mieście. Skręcę mu kark! - ryczał, rozlewając trunek na biurko. - I dzwonił z biura kardynała. Kardynała Bostonu. Mojego kardynała. Księcia Kościoła. Powiedzieli, że dostali kłopotliwą de peszę, pewnie złośliwy kawał, powiedzieli.

Grzecznie słuchałem; takie pokazy nie robią na mnie wrażenia, Macy. Jestem zawodowcem i wszystko to już widziałem. Ale w tym przypadku sprawa dotyczyła również mnie.

- Czy ktoś powiedział o tym Margaret? - zapytałem, wracając do ważnych kwestii. Gniew Finnerana stopniał, a on osunął się na fotel.
- Jest załamana. Powiedziałem jej, że ją wykorzystał, bawił się nią dla moich pieniędzy. Nie było jej całą noc. Teraz Inge wzięła ją na górę. Co ja zrobię? - wymamrotał, chwytając się za głowę, szarpiąc kołnierzyk koszuli.

Niezbyt było mi go żal, Macy. Dostyc go ostrzegałem, ale nic chciał słuchać. Chciał mieć pozycję towarzyską i łatwe złoto, żeby spłacić swoje długi u bardzo złych ludzi, a zamiast tego dał się naciągnąć oszustowi, stracił reputację i w dodatku zniszczył szczęście córki. Nie mogłem nic dla niego zrobić.

Spojrzał na zegarek, wziął pióro i papier i wyprosił mnie machnięciem ręki z pokoju. Zostawiłem go, jak przygryzał stalówkę i trząśł głową, nadal w stanie, w którym ludzie skazani na klęskę mają nadzieję, że może tylko im się to śni.

Po raz pierwszy poszedłem na piętro domu Finnerana. Rozmowa z Margaret była niemożliwa; Inge dała jej środki nasenne.

- Histeryzowała - powiedziała córka wikingów. - Przyzwyczajają się do nowych lekarstw. - Inge wpuściła mnie do pokoju Margaret, żebym ją zobaczył, ale ona ani drgnęła. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co dała jej Inge. Te diabły w Zachodzie Słońca nad Zatoką też dają coś silnego tym hałaśliwym, środek uspokajający dla koni, jak myślę, kiedy ci starzy dumnie zdadzą sobie sprawę, że zaparkowano ich tutaj, żeby umarli, albo kiedy ci wariaci zaczną wrzeszczeć, jakby znowu dokonywali inwazji na Turcję. W przypadku twojej ciotki to też musiało być coś silnego, bo jedyne, co mogła robić, to wypuszczać powietrze przez nos.

Siedziałem obok jej łóżka, czekając, aż się ocknie, a jej drrrrogi tybetańskie spaniele drzemały, zwinięte na małej biało-zielonej sofce naprzeciw łóżka. Minęły godziny i wczesnie zaszło listopadowe słońce. Zszedłem na dół, żeby sprawdzić, co robi pan domu, ale, o dziwo, nie było go, nawet nie pomyślał o tym, że zostawia mnie w buduarze córki, bo, widzisz, troszczył się o w ł a s n ą skórę. Tyle, jeśli chodzi o tę farsę z ojcem

uwielbiającym córkę. Zostawił na biurku listy i inne papiery, w tym list do Margaret, w którym przeproszał za wszystko, chociaż było niezbyt jasne, co ma na myśli, pisał, że ma zamiar wszystko wyprostować i że nie będzie go przez jakiś czas, ale wkrótce się z nią skontaktuje, niech się nie martwi i ufa we wszystkim Inge. Podejrzywałem, dokąd pojechał, i nie myliłem się - okazało się, że tego wieczoru był w wagonie sypialnym pociągu do Nowego Jorku. A następnego dnia, 1 grudnia, wypływał statek do Aleksandrii. Dobrze znałem rozkład rejsów - już parę razy podczas mojego z wahaniem przedłużanego pobytu w Bostonie rezerwowałem miejsce na tym statku. Połączyłem sobie po domu Finnerana, a godzinę albo trochę później wyszła Inge, być może zakładając, że zostaję na straży Śpiącej Królowej (albo, w zależności od punktu widzenia, pilnuję więźniarki).

Parę godzin później twoja ciotka usiadła, rozbudzona, jak gdyby zdrzemnęła się na chwilę, a nie spała, zmorzona farmakoceutycznym snem, jak nieżywa.

- O, to ty - powiedziała ponuro i odwróciła się w stronę okna. Poprosiła, żebym podał jej płaszcz, ale nawet nie spojrzała na mnie, kiedy jej go dałem. Przeszukiwała, na zmianę z wściekłością i ospale, kieszenie, zapadając co jakiś czas na parę sekund w sen.
- Mogę ci pomóc? Szukasz czegoś? - zapytałem.
- Zamknij się - odparła i w końcu znalazła to, czego szukała, a co było na tyle małe, że mogła zamknąć to w dłoni. - Niech cię Bóg błogosławi, JP - powiedziała.

Właśnie przeczytałem to, co napisałem, ten długi, długi list. Opisanie mojego pobytu w Bostonie zajęło mi cały cholerny dzień, co nu zresztą odpowiada, bo wolę snuć tę trudną opowieść, niż brać udział w tej wy-

muszonej bożonarodzeniowej radości, którą te bezwzględne sukinsyny starają się nam co roku narzucić. Zwłaszcza dlatego, że dziś wieczorem uczestniczą w tym nie tylko te łotry, które prowadzą ten przytułek, ale również rzadko spotykane potwory, którym sprawia przyjemność urządzenie Bożego Narodzenia, sprzątanie po starych, chorych i stukniętych i sprawianie nam dla zabawy lekkiego manta.

Zdaje mi się, że wspomniałem gdzieś o trzech nastrojach twojej ciotki. Hmm, jak nazwać ten trzeci? Może była to jej prawdziwa natura, może skutek zażywania opium, a może miało to jakiś związek ze mną, było czymś, co tylko ja w niej wyzwaliałem, w każdym razie było to nieprzyjemne.

- Nie zbliżaj się do mnie - krzyknęła, kiedy próbowałem podać jej szklankę wody. - Co ty zrobiłeś, Harry? Co ty zrobiłeś? Odejdź ode mnie, ty straszny... Zostaw mnie. Idę do JP. - Ale się nie poruszyła. Nie patrzyła na mnie.

- Są sprawy, których nie rozumiesz, o których muszę ci powiedzieć.

- Czyżby? Nic ważnego. Wykonałeś swoją brudną robotę.

- To niesprawiedliwe. - Rozpaczliwie starałem się nakłonić ją do słuchania, do tego, by przekonała się, że jestem wbrew mojej woli posłańcem przynoszącym złe wieści, a nie przyczyną jej kłopotów.

Powiedziałem

jej, że Trilipush zawiódł zaufanie jej rodziny, tylko udawał, że ją kocha, wykorzystał pieniądze jej ojca, żeby dostać fundusze od innych, a teraz ucieka z tym starożytnym złotem, które wykopał, w ogóle o niej nie myśląc. - Wykorzystał cię i nie wróci. Wiem, że tak naprawdę nie zależy ci na nim, że narzucił ci go ojciec, więc to nieważne.



Nie przyjęła tego tak, jak się spodziewałem. Zacząłem myśleć... Nie wiem, co zacząłem myśleć.

- Nic nie wiesz! Nic nie wiesz! Nienawidzę cię, chce mi się rzygać na twój widok!

A potem zaczęła wołać ojca i opiekunkę, ale wiedziałem, że jesteśmy sami w domu i nikt nam nie przeszkodzi. Uważała, że musi mnie upokorzyć. Obrzucała mnie okropnymi wyzwiskami, szarpiąc pościel, jakby ją dusiła, znieważała, czepiając się we mnie wszystkiego, co budziło jej złość. Chciałem ją tylko uspokoić, dla jej zdrowia, starałem się ją powstrzymać przed zrobieniem sobie krzywdy i rzucaniem we mnie różnymi przedmiotami, próbowałem powiedzieć, jak się czuję, że ją kocham i że ze mną będzie bezpieczna, że uniknęła wielkiego zagrożenia ze strony Trilipusha i że jestem uczciwym mężczyzną, który może zapewnić jej szczęście.

No cóż, Macy, niektórzy nie są stworzeni do miłości, jak wiem teraz, przeżywszy tyle lat, i ona - mimo że minęło od tamtej pory dużo czasu, to wyznanie nadal sprawia mi ból - nie spojrzała na mnie z podziwem i wdzięcznością ani rodzącym się uczuciem, nic z tych rzeczy. Nie, wyśmiała mnie, aż przykro było mi tego słuchać. Drwiła ze mnie, a ja uciekłem spojrzeniem w bok, popatrzyłem na te dwa małe pieski siedzące na białej kanapie z zielonymi scenami z francuskiej wsi i dójką w lesie trzymającą za rękę kochanka. Spoglądałem na te psy patrzące mi z zaciekawieniem w oczy, a ona nie przestawała: w porównaniu z Ralphem byłem nikim, nic nie wiedziałem, byłem głupcem, potworem i sukinsynem, pośmiewiskiem, jeśli mnie z nim zestawić, nie byłem godny wymieniać jego imienia, nic nie rozumiałem, byłem nawet gorszy niż pośmiewisko, żałosny i odrażający, i tak dalej, i tak dalej.

- Wiesz, kim jesteś, Harry? Głupim Australijczykiem, ty wstrętny ośle. Rozpowiadasz te kłamstwa. To ty nakłoniłeś do tego tatę. Ale twoje kłamstwa nie mogą nawet dotknąć takiego mężczyzny jak Ralph. -I tak bez końca, płacz i wrzaski, rzucanie we mnie poduszkami, lalkami i szklanymi przedmiotami, powtarzanie, jakim cudownym człowiekiem jest ten Anglik morderca, jakim wiernym, prawdziwym, angielskim i szlachetnym, podczas gdy ja jestem rudowłosym pigmejem z buszu, który zasługuje tylko na to, by wszyscy na niego pluli. - I ty mnie kochasz? Robi mi się niedobrze na twój widok, Harry.

Po pewnym czasie miałem dosyć i nigdy już nie zobaczyłem twojej rodziny, Macy. Psy nadal siedziały na tej kanapie z obiciem w drukowane sceny, nadal na mnie patrzyły, kiedy wychodziłem, ani na chwilę nie odwróciły ode mnie swoich oczu jak paciorki. Mówią, że każdy bohater ma piętę achillesową, no więc zobaczyłeś moją. Zrobiłem to, co zrobiłby każdy mężczyzna w mojej sytuacji, starając się zdobyć jej serce, rozumiesz, takiej dziewczyny. Byłem głupi, ale to nie jest żadna zbrodnia.

Wrzucę to teraz do skrzynki i mam nadzieję, że się trochę prześpię. Dostajesz je, tak? Myślę, że wyzionąłbym ducha, gdyby te listy zaginęły gdzieś po drodze albo leżały nic przeczytane na biurku. Rzuciłbym się z dachu tego budynku, gdybym myślał, że nie dostajesz albo nie czytasz wiadomości ode mnie.

Wesołych Świąt, Macy. HF

*Piątek, 1 grudnia 1922r.*

Dziennik: Ranek spędziłem na przenoszeniu mojej bazy z willi do

grobowca Atum-hadu, ponieważ czeka mnie intensywna praca. Agent z biura wynajmu pomaga mi umieścić pewne rzeczy w szopie. Nie mogę ścierpieć myśli, że muszę się rozstać z Maggie i kocurami, ale postaram się karmić je tak często, jak tylko uda mi się dogodnie przeprowić z powrotem przez rzekę. Kusi mnie, żeby zabrać je na zachodni brzeg, ale pewien jestem, że tutaj mają swoje tereny łowieckie, i nie chciałbym ich dezorientować.

Praca nad poprawieniem drzwi, które zrobił Amr. Używam środków klejących, by zakryć je od przodu kamieniami i piaskiem, i przycinam, aż wpasowują się wygodnie i niewidzialnie w otwór wejściowy grobowca. Skuteczne, niedrogie zabezpieczenie. Również drzwi A, leżące na pokruszonych rolkach, mogły niefortunnie przyciągnąć rabusi, turystów czy innych nieproszonych gości, musiałem je więc poświęcić, ale to niewielka strata.

Podsumowanie naszych odkryć w Komorze Historii: Ornamenty pokrywające od podłogi po sufit ściany i kolumny Komory Historii zachowały się w zdumiewającym stanie. Każdy wyobrażalny skrawek powierzchni pokrywają malow idła i tekst. Składa się on z najwyższej jakości hieroglifów, wszystkie zapisane — na moje wyćwiczone oko — tą samą ręką. Jeśli mogę pozwolić sobie na dalsze spekulacje, powiedziałbym, że była to ręka pisarza o wielkiej inteligencji, który jednak być może nie przeszedł cieszącego się w owych czasach uznaniem szkolenia akademickiego.

Hieroglify na ścianach obejmują ustępy z Nauk, gasząc wszelkie tłące się wątpliwości, że (a) Atum-hadu istniał i panował, (b) jest autorem

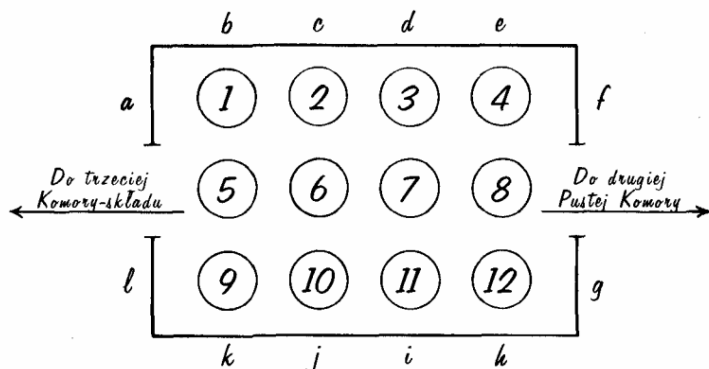
Nauk, (c) jest to, a przynajmniej miał być, jego grobowiec. Potrójna korona na pewno skłoni Carnarvona do szybkiego podjęcia decyzji o sfinansowaniu dalszych badań tego stanowiska albo innych prawdopodobnych stanowisk w pobliżu.

A jeśli towarzyszące napisom malowidła nie są najwyższej klasy artystycznym osiągnięciem, jeśli ich układ jest nieudolny, jeśli twarze nie są tak ikoniczne, jak można by oczekiwać od sta-roegipskich malowideł grobowych, jeśli zwierzęta niełatwo jest odróżnić od mebli, jeśli tu i ówdzie farba wydaje się rozmazana albo rozchlapana na bezwzględnych ścianach grobowca, jeśli artysta najwyraźniej nie był nawet kształcony w tym kierunku, to cóż, można tylko powiedzieć, że trudne ostatnie dni dynamicznej XIII dynastii nie były łagodnymi, spokojnymi czasami zwioczącej XVIII dynastii i być może dwór Atum-hadu cechował się bardziej witalnymi atrybutami niż wykwiwna malarska zręczność zauroczonych pokojem pseudofaraonich dynastii, które są epilogiem wielkiego dramatu mojego króla.

Spodziewam się, że skopiowanie i przetłumaczenie wszystkich hieroglifów oraz opisanie malowideł zajmie mi co najmniej kilka dni. Po całkowitym skatalogowaniu wyposażenia grobowca zaproszę lorda Carnarvona, by obejrzał nasze dotychczasowe odkrycia przed otwarciem drzwi C, tak zwanego Wielkiego Portalu, i wejściem do znajdującego się prawdopodobnie za nimi skarbcza, komory z sarkofagiem i innych komór. A może będę kontynuował z Carnarvonem wykopaliska w innym miejscu, jeśli okaże się w końcu, że grobowiec jest pusty, jedynie

(RYS. 11: KOMORA b, KOMORA HISTORII,

OTWORZONA 23.11.22. Z POKAZANYM  
ROZMIESZCZENIEM  
MALOWIDEŁ I TEKSTÓW)



z umożliwiającą jego

identyfikację Komorą Historii (jakby takie odkrycie nie było samo w sobie dostatecznie niezwykle).

Każda z dwunastu kolumn przedstawia jedno kluczowe wydarzenie z dwunastoletniego panowania Atum-hadu, okresu, który został teraz konkretnie ustalony dzięki owym kolumnom, obejmującego prawdopodobnie lata 16-42—1630 p.n.e. Każde z dwunastu paneau ściennych, z tekstem i obrazem, ukazuje bardziej wyczerpująco fragment życia Atum-hadu, od jego poczęcia do końca ziemskiej egzystencji.

PANNEAU A: „NARODZINY ATUM-HADU,  
OSTATNIEGO KRÓLA CZARNEJ KRAINY”.

Tekst zapisany hieroglifami: Został utworzony tytuł wielkiego króla, który na zawsze będzie Horusem — Synem Ozyrysa i Seta, Zrodzonym z Dwóch Pań — Przywracającym Utracone Królestwo; Złotym Horusem — Brutalnym Kochankiem Maat; Zrodzonym z Turzycy i Pszczoły — Ręką Pisarza, Zwycięskim Bykiem, Rybą Boga, Synem Ra — Atumem Pobudzonym. Ale urodził się z ukrytym imieniem.

Przychodzi na świat z dala od stolicy, blisko wód. [Jego] matka, przez wzgląd na szczególną grację, urodę i inteligencję, zostaje wybrana, by przyjąć nasienie Seta [boga chaosu i zniszczenia — RMT]. W środku lata Set przyjął postać rybaka i legł z nią. W chwili kiedy dał jej swoje nasienie, wyjawiał prawdę i kobieta zobaczyła jego oślą głowę i przeraziła się, Set oddalił się, a ona chciała zabić życie w swoim łonie. Set wstrzymał jej rękę. Sprawił, że jej palce stały się jak pazury zwierzęcia. Odebrał niewdzięcznej urodę, stała się głupia i wszędzie zapomniano jej imię.

Kobieta prała ubrania i piła piwo. Była w ciąży z tyloma mężczyznami, ile jest gwiazd na niebie. Jej pierwszy syn zapytał ją, kto jest jego ojcem. Wskazała rybaka, który przypominał Seta w odmienionym ciele. „Twoim ojcem jest ten syn sromu kurwy”.

Rybak powiedział, że to nieprawda, że kopulowała z osłem i jej wszystkie dzieci są osłętami.

Set widział, że chłopiec wyrasta na silnego mężczyznę, i odwiedził go. Wszystko mu wyjaśnił, a chłopiec zrozumiał. Został stworzony nie przez ludzi, lecz przez bogów i samego siebie. Sam się stworzył. Bogiem, do którego był najbardziej podobny, był nie Set, lecz Atum, wielki stwórca wszystkiego, w momencie, w którym trudził się w akcie tworzenia. Chłopiec nazwał się Atum Jest Pobudzony i przyszedł do niego Set, i pochwalił go. Oślepiającym blaskiem słonecznej tarczy Set sprawił, że chłopiec natychmiast i na zawsze zapomniał o fałszywym imieniu, które nadano mu po urodzeniu.

W tym czasie kapłan ze świątyni Amona stał się zazdrosny. Władaty nim żądze i często nadziewał chłopca na rożen jak rzeźne ciele, i chłopiec musiał jasno płonąć, i przysięgał, że kapłan zobaczy, jak jego własne serce

bije w żarze podsycanym wielbłądzim łajnem, podczas gdy Atum Jest Pobudzony będzie leżał z jego siostrami i siostrzenicami na jego krwawiących oczach.

Ilustracja: Nadzwyczajne malunki: tutaj widzimy Seta ko-pulującego z piękną kobietą w letnim słońcu, a jego głowa ulega przemianie — jest na poły łbem osła, na poły głową człowieka — to chwila zapłodnienia matki Atum-hadu. A tutaj widzimy ją ze złotym dzieckiem w przezroczystym brzuchu. Tu widzimy, jak kobieta próbuje bić się pięściami po łonie i karę, jaką wymierzył jej Set za tę zbrodnię, zmieniając ją w brzydką, pozbawioną wdzięku praczkę. Tutaj widzimy chłopca — złotoskórego i pięknego, otoczonego niezliczoną rzeszą innych dzieci — przysadzistych i ciemnych — podczas gdy jego matka leży pijana. Tutaj widzimy chłopca wziętego brutalnie („płonącego jasno”) przez kapłana ze świątyni. Tu widzimy, jak chłopca odwiedza Set. Tutaj widzimy, jak chłopiec sam się uczy czytać i pisać, polować i ło-wić ryby. Tutaj widzimy go stojącego obok -wioski rybackiej i jego rodziny — chłopiec patrzy w tarczę słoneczną, gdzie z kolei podziwiają go Horus i Ra.

Zgodnie z zachodnimi kryteriami oceniania sztuki malowidła te nie są imponująco dokładne, nie są też zupełnie typowe dla sztuki staroegipskiej, ale jakże poruszające!

Analiza: Mimo łatwego dzieciństwa najbardziej na świecie podziwiam ludzi, którzy wszystko zawdzięczają samym sobie, a ten król najwyraźniej do nich należał.

Za ludzi, którzy wszystko zawdzięczają sobie, nie uważam tych, którzy urodzili się bogaci, ale raczej tych, którzy jako zaniedbane czy

poniewierane dzieci pozbialali dzięki kipiącej, twórczej mocy swojego umysłu udostępnione im fragmenty i wykuli swoją jaźń, odznaczając się siłą i, co ważniejsze, stylem. Tacy ludzie tworzą sobie jaźń, która nie nosi absolutnie żadnych śladów ich ponurego dziedzictwa, żadnych śladów głupich rodziców, zakurzonych miast, w których upłynęło im dzieciństwo, ani przestępstw, których padli ofiarami, żadnych śladów niedostatku (pieniędzy, uczucia, jedzenia, przyjaźni), żadnych śladów materiałów źródłowych, ale jest estetycznym i praktycznym wytworem, boskim w swej prostocie i pełni. Prostota: wszystko zrodziło się w tej jednej głowie, nie ma w tym żadnego wpływu rodziców, żadnej wiejskiej tradycji, niczego, co nie wzięło się z tego samostwarzającego się umysłu. Pełnia: należy stworzyć wszystko, każdą postawę, każdy nawyk, każde przekonanie, wartość i stylowy gest. Nie można tolerować niczego z nieznośnej przeszłości.

A jednak, na naszym świecie, który jest jedną wielką ironią losu, takim ludziom nie oddaje się honorów, natomiast ludziom takim jak ja— urodzonym w kochającej rodzinie, mającym wsparcie, uprzywilejowanym — i owszem. Z jego wierszy najbardziej chyba podziwiam kwartynę 24 (we fragmentach B i C):

*Atum-hadu spogląda wstecz i zachwyca się osiągniętą wysokością. Alum-hadu patrzy na wszystkich, których przewyższył, z przyjemnością.*

*Alum-hadu nikomu nic nie zawdzięcza, nikomu nic nie Jest winny I dlatego będzie postępował, jak nie może i nie potrafi nikt inny.*

Można sobie łatwo wyobrazić, jak ów młody mężczyzna pisze ten wiersz niedługo po tym, gdy został królem Egiptu.



O imieniu Atum-hadu: W opowieści tej, pod typowo egipską warstwą mitologiczną, odkrywamy dwa niezwykle istotne szczegóły historyczne: Atum-hadu wziął się znikąd i sam się nazwał. Legenda ta nie daje absolutnie żadnych podstaw do innej interpretacji. Atum-hadu pochodził nie z królewskiego, lecz z chłopskiego rodu; w chaosie panującym u schyłku tej dynastii awans taki był możliwy. Jego pełen, pięcioczłonowy tytuł — który rozpoczyna tekst i kończy się imieniem „Syn Ra” Atum-hadu (Atum Jest Pobudzony) — pojawia się tutaj po raz pierwszy. Zazwyczaj człon „Syn Ra” był imieniem dawanym królowi przy narodzinach, mającym iście królewskie brzmienie. Ale okazuje się, że w tym przypadku ten niezwykle umysł, który zaczynał tak skromnie, a wzniósł się tak wysoko, miał przy narodzinach inne imię.

Oczywiście można się nad nim litować, skoro jako chłopiec zmyślał sobie różne historie, żeby zasnąć, tworzył to marzenie, sen, o rodzicu z niebios. Przy analizie postępowania Atum-hadu bardzo pomocne są, rzecz jasna, zdobycze współczesnej socjologii: jak ukazują badania, w tych strasznych współczesnych historiach, o których słyszymy, nadchodzi na ogół ów decydujący moment, wiek, w którym dziecko uświadamia sobie po raz pierwszy swoje trudne położenie, a w końcu zaczyna rozumieć na przykład swój stosunek do matki, a przez to do całego świata. Momentowi temu często nadaje się zbyt dramatyczny wyraz, jak sam to zrobiłem, ale prawdę mówiąc, nie trzeba się litować nad takimi dziećmi. Przeciwnie, zobaczmy piękne i heroiczne aspekty: ośmioletni chłopiec wbiega po raz ostatni do swojego rozpadającego się domu (bo musiał być ten o s t a t n i raz, bez względu na to, czy chłopiec ten zdawał sobie wówczas z tego sprawę czy nie) i

krzyczy z dumą o jakimś swoim osiągnięciu, wciąż oczekując (z resztkami dziecięcego pragnienia miłości), że uzyska pochwałę od pani tego domu. Krzyczy z dumą, że nauczył się robić to czy owo, coś z zakresu umiejętności umysłowych czy sportowych. I otrzymuje jako świadectwo jej całkowitej obojętności albo cios, albo soczyste przekleństwo zamarynowane w alkoholu, albo cieknącą z nosa, wymiotującą ciszę, podczas gdy jego nowe półrodzeństwo płacze i łązi na czworakach po całym pokoju. Jakby taki moment był w rozkwitającym umyśle tego dziecka czymś tragicznym! Nic podobnego: dlaczego mielibyśmy przypuszczać, że w takim momencie zamykają się drzwi, zamiast się z równie głośnym skrzypnięciem otwierać? Jak nie wyćwiczone ucho może rozpoznać tę różnicę? Zamknij oczy i jeśli po tym zgrzycie, od którego cierpną zęby, poczujesz powiew wyobraźni albo rysujących się możliwości, to będziesz wiedział. Jak najwyraźniej wiedział Atum-hadu. Otworzyło się przed nim coś, co postanowił 'wspomnieć jako nocne odwiedziny Seta.

Współczesna socjologia pokazuje, że najbystrzejsze dzieci pojmują doniosłość tej chwili, a ich dostosowanie się do niej można określić jedynie jako powtórne narodziny, narodziny w całkowitej niezależności, wyzwoleniu z wszelkich więzi z iluzjami, z wszelkich iluzji więzi. Narodziny, podczas których dziecko staje się swoimi własnymi rodzicami. Od tego dnia tylko on będzie siebie kształtował. Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, co przemykało przez umysł tego wielkiego króla, kiedy wybierał imię, pod którym później poznał go świat: teraz zacznie się największy akt stworzenia, stworzenia mnie samego.

I oczywiście tylko przez te pozornie zawile drugie narodziny można

dążyć ku trzecim narodzinom, które umykają wyobraźni większości ludzi, nawet tych, którzy sami siebie stworzyli (niechaj nie będzie żadnych wątpliwości co do tego, że ryzyko jest tutaj potworne). Te trzecie narodziny to nieśmiertelność, w której po owocnym życiu, zgodnym z autorodzicielskim instynktem człowieka, imię jego jest wiecznie pamiętane i uwielbiane, w zaświatach albo uroczystościach ku jego chwale. Ale jeśli nie potrafisz zdać sobie sprawy ze swoich dziecięcych urojeń, polegając na miłości matki, godnym zaufania zainteresowaniu kapłana, nauczyciela, pracodawcy, kochanki czy urzędnika, dobrotliwej trosce bogatych o biednych, wesołym towarzystwie i okazywanej w trudnych chwilach lojalności zaufanych kumpli, to jesteś skazany na życie dziecka. Nigdy nie osiągniesz prawdziwej dorosłości i nie masz żadnych nadziei na dokonanie czegoś, co warte będzie wiecznej pamięci.

To wszystko sprawia, że Atum-hadu jest wzorem wartym studiowania. Bo jeśli w kwartynie 80 (tylko we fragmencie C) coś jest oczywiste, to tylko to, jak dokładną ilustracją naszkicowanych przed chwilą przeze mnie zasad jest życie tego wielkiego króla:

*Serce matki przed jej dzieckiem się zamyka.*

*Najwspanialszy to dar od niej, chociaż ból go przenika,*

*Jak nas, gdy na łożu śmierci jak panna zgwałcona łkamy,*

*Ale dusza nasza zwycięży, gdy zamkną, się grobu bramy.*

Oślogłowy bóg Set — agresywny seksualnie, złośliwy, żądny władzy — ukazany jest na tych ścianach jako współczujący i troskliwy, niemal jak pies domowy, a nie osioł. Bezimienna matka, kapłan, sąsiedzi, oni wszyscy — chociaż przedstawieni z profilu, powściągliwie, zgodnie z formalnymi

wymogami sztuki staroegipskiej, jako niewyraźne, sztywne postaci — są bez wątpienia zdeprawowani i źli.

Dom Opieki Zachód Słońca nad Zatoką Sydney,

Australia 5 stycznia 1955 r.

Macy,

Znowu nie czuję się dobrze, ale nie chcę cię tym nudzić, starzy ludzie chorują i kogo to obchodzi. Miałem też nadzieję, że dostanę do tej pory jakąś wiadomość od ciebie, odpowiedź na mój pierwszy list, ale teraz patrzę w kalendarz, który tu przypięli, zdjęcia krwawego oceanu, i widzę, że jestem niecierpliwy. Przypuszczam, że nawet przy najszybciej działającej poczcie jeszcze przez kilka dni nie mógłbym się spodziewać wiadomości od ciebie. Mimo to parę słów od ciebie, że poszczęściło ci się z wydawnictwem albo ludźmi z branży filmowej, bardzo pomogłoby mi poczuć się znowu lepiej, kolego. Czuję się dużo bardziej zmęczony niż chory, niezbyt mnie bawi rozgrzebywanie tych wszystkich wspomnień z Bostonu, na wiele lat wyrzuciłem je zupełnie z pamięci, są teraz jak chlapnięcie zimnej wody na twarz i na serce. Kiedy myślę o twojej biednej ciotce, o tym, że znalazła szczęście po tej fatalnej przygodzie, to raduje mi się serce, i owszem. Ale to, że już odeszła, w tak młodym wieku, sprawia, że człowiek czuje się stary. Nie miałem w życiu wielu bliskich kumpli, to ryzyko zawodowe, rozumiesz, coś, przed czym powinienes mieć się na baczności, zanim oddasz się tej zabawie w detektywa, Macy, to taka drobna, darmowa rada ode mnie. To była świetna kobieta, ta twoja ciotka. Nadal mam nadzieję, że zobaczę egzemplarz historii twojej rodziny, kiedy zostanie

ukończona.

Zobaczmy. Zszedłem na dół. Miałem coś do zrobienia, zarówno dla niej, jak i dla innych osób. Na biurku Finnerana leżały listy do niej i do pielęgniarki, które, jak mi się zdaje, już opisałem, oraz sarta innej przychodzącej i wychodzącej korespondencji, jak również telegram do Margarety od Trilipusha, który nadal starał się naprawić sprawy, zyskać na czasie. Zostawiłem wszystko w takim samym porządku, jaki zastałem.

W liście do córki Finneran wspomniał, że nie będzie go przez pewien czas w mieście, i zajęło mi tylko pół dnia (1 grudnia) potwierdzenie, że jest na statku wypływającym tego właśnie dnia z Nowego Jorku, który przybywa czternastego do Aleksandrii. Teraz nic mnie już nie trzymało w Bostonie, więc resztę 1 grudnia spędziłem na załatwianiu formalności związanych z moim wyjazdem, po czym wróciłem do hotelu, żeby się spakować. Czuję się trochę kiepsko, podobnie jak teraz, lecz miałem nadzieję, że wrócę do formy, kiedy znajdę się daleko od nadciągającej bostońskiej zimy, prowadząc sprawę Paula Caldwell'a w przyjaźniejszym, bardziej australijskim cieple Egiptu. Byłem już blisko jej końca.

No i wtedy rozlega się pukanie do drzwi mojego pokoju i stoi tam J.P. OToole, patrząc na mnie z góry, a obok niego idealnie okrągły, mały facet, w którym rozpoznałem na podstawie zdjęć w gazetach Heinza Kovacs'a, chociaż OToole mi go nie przedstawił, a on sam prawie się nie odzywał podczas naszego spotkania. (Pamiętasz, co się przydarzyło Kovacsowi, zdaje się, pod koniec lat trzydziestych? Pisały o tym nawet australijskie gazety. Jezu, to było potworne.) Wchodzą jak do siebie, siadają w fotelach przy oknie i OToole zagaja z tym swoim irlandzkim akcentem:

- Jest pan detektywem, nie. No więc mamy dla pana drobną sprawę do

zbadania.

Mieliśmy nowych klientów, Macy, i na początku dowiedziałem się od nich, co skłoniło Finnerana, żeby zabawił się w Świętą Rodzinę i uciekł do Egiptu pod osłoną nocy. Mogę ci teraz powiedzieć, że w poprzednich osiemnastu miesiącach facet zbankrutował, chociaż ta wiadomość przychodzi o trzydzieści lat za późno, żeby powstrzymać twojego wuja przed poślubieniem mojej Margaret! Tak, Finneran był zupełnie bez pieniędzy, jego sklepy były zagrożone i jak wywnioskowałem, parę razy poszedł do O'Toole'a i spółki po duże pożyczki i dostał je na ciężkich warunkach. Ostatnim razem przekonał ich, że dzięki egipskim wykopaliskom Trilipusha, które nie mogą się nie udać, zdobędzie pieniądze na spłacenie długów. O'Toole i Kovacs poszli mu na rękę, nawet pożyczyci mu jeszcze więcej, żeby mógł wykupić udział w tym przedsięwzięciu, chociaż jego wiarygodność kredytowa powinna się była już dawno wyczerpać. Co więcej:

- Włożyliśmy nasze własne pieniądze w ten interes - powiedział O'Toole.

Ale teraz, ku ich „ogromnemu rozczarowaniu”, pan Finneran wyjechał w nieznanym kierunku, zostawiając tylko bardzo mgliste zapewnienie, że jak tylko wróci w bardzo mgliście podanym terminie, wszystko spłaci. Dotąd wszystko rozumiałem i oczekiwałem, że czeka nas bardzo proste zadanie, Macy: chcieli poprosić nas, żebyśmy znaleźli adres bardzo wystraszonego i nie mającego grosza przy duszy, ukrywającego się pana Finnerana. Wściekły dłużnik uciekł w rozpaczliwej nadziei odnalezienia swojego niegodziwego zięcia, wyciskającego w jakiś sposób pieniądze ze skal, a teraz udadzą się za nim rozdrażnieni wierzyciele w osobie przedstawiciela sydneyjskiego oddziału Ogólnoświatowej Agencji Śledczej Tailora. Nic nowego, sprawa z rodzaju

tych, jakimi zajmowałem się już setki razy, chociaż szczegóły tego akurat wydania były z pewnością intrygujące. Dostyć proste zadanie i niekłopotliwe, bo i tak miałem popłynąć do Egiptu, a człowiek lubił mieć wielu pokrywających wydatki klientów.

Wydedukowałem to wszystko poprawnie, ale jedna rzecz uszła mojej uwagi.

- Ten człowiek porzuca własny dom i córkę - zawodzi OToole - żeby uciec i przepuścić nieuczciwe zyski? To paskudna rzecz, sam pan przyzna.

- Nieuczciwe zyski? - Mój głos musiał być trochę ochryply.
- Tak. Większość z tego, co znalazł ten profesor, należy się nam, to uczciwa i zawarta zgodnie z prawem umowa, na piśmie. Nie ma w tym niczego tajemniczego.
- To cholernie zgodna z prawem, pisemna umowa! - ryczy Kovacs, rozpryskując wszędzie ślinę. Tylko te sześć słów wypowiedział podczas całego spotkania.
- Najpierw, panie Ferrell - ciągnie dalej niewzruszony tym wybuchem O'Toole - odkryje pan dokładnie, ile dostał już nasz przyjaciel, pan Finneran, tytułem dochodów z wykopalisk profesora, i dyskretnie pan mi o tym doniesie. Powiadomi mnie pan telegraficznie, gdzie jest pan Finneran, gdzie jest złoto, i będzie pan czekał na moje instrukcje, które będą jasne.

Tego nie przewidziałem, prawie zapomniałem o tej możliwości - telegramy Trilipusha o wspaniałych znaleziskach i o ich zyskach całkowicie przekonały OToole'a i Kovacsa. Byli pewni, że j e s t tam skarb i Finneran schował już do kieszeni dywidendy, którymi powinien spłacić swoje długi, że nie wspomnimy już o dywidendach należnych O'Toole'owi i Kovacso-wi.

Myśleli, że Finneran uciekł, żeby zagarnąć wszystko dla siebie. Aż do tej chwili nie mogłem się zdecydować, co mam myśleć w kwestii skarbu: albo Trilipush rzeczywiście go znalazł i planował uciec z nim, albo go nie znalazł i wziął pieniądze Finnerana, by poprawić swój wizerunek i znaleźć jakąś nową ofiarę, by ukraść jej więcej pieniędzy i podreperować swój majątek i posiadłość w Anglii. Sprawa rzeczywistego istnienia skarbu nie miała żadnego związku ze sprawą morderstwa, którą się zajmowałem, ale O'Toole i Kovacs wierzyli, że skarb istnieje. Czy myśleli, że Trilipush zmówił się z Finneranem i obaj kradli złoto?

- Niech pan nie będzie głupi - powiedział O'Toole. - Dlaczego Trilipush miałby przysyłać nam depezę o tym, jeśli chce nas oszukać? Nie, profesor prosperuje.

O'Toole i Kovacs obawiali się czegoś gorszego: że Finneran dostał już pieniądze, do których nie miał żadnego prawa, i teraz odpływał z nimi, żeby się już nigdy nie pokazać, albo popłynął do Egiptu, by ukraść jeszcze więcej należnych im zdobyczy, urządzając zasadzkę na Trilipusha i zabierając wszystko.

- Nie obchodzi nas, co się stanie z tym Anglikiem - przyznał O'Toole. - Gdyby jednak przytrafiło mu się coś przykrego, to liczba wspólników zmniejsza się o jednego i odpowiednio wzrasta nasz procent w ostatecznej zdobyczy. Ale, jeśli uwierzymy naszemu Chesterowi na słowo, może on tam płynąć po to, by zabezpieczyć cały tort w jakiś sposób, który nie powinien urażać nas, cichych wspólników. Mogę to na pewno zrozumieć w jego sytuacji, i oby tak było, bo to by znaczyło, że mógłby nas uwolnić od naszych obowiązków. I jeśli taki jest jego honorowy zamiar, to cieszymy się, nic do niego nie mamy i może spokojnie wracać do domu. Powiedz mu to



ode mnie, detektywie.

Mieliśmy osobliwe zadanie, Macy, a od rzeczy nie wypowiedzianych było aż gęsto w powietrzu.

3 grudnia wyjechałem do Nowego Jorku i dwunastego wsiadłem na parowiec płynący do Aleksandrii. Czułem się odświeżony i z każdym dniem silniejszy. Wyjazd z Ameryki był właśnie tym, czego mi było trzeba, i pamiętam, jak stałem na pokładzie, mimo śniegu wirującego w porcie nowojorskim, patrzyłem na morze i wiedziałem, że teraz zbliżamy się już do końca, końca niejasności, końca kłamstw i ukrytych prawd, bogactwa chroniącego zło.

Finneran włożył pieniądze wspólników na swoje konto, żeby przesłać je do Egiptu. Co się z nimi stało? Powiedział mi, że nigdy ich nie wysłał. Czy skłamał? Albo przesłał te pieniądze Trilipushowi, albo nie. Tymczasem albo Trilipush znalazł skarb, albo nie. Jeśli znalazł, to albo Finneran miał zamiar go ukraść, albo zrobił to już Trilipush i Finneran starał się go powstrzymać. Tak czy inaczej, Trilipushowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony samego Finnerana i, o ironio losu, ja byłem jego największą nadzieją na ochronę przed tym zagrożeniem. Miałem nadzieję, że nie przybędę za późno. Finneran chciał zemsty, skarbu albo i jednego, i drugiego - widziałem to wystarczająco jasno. Ale nie chciałem żadnych więcej zabójstw na pustyni, Macy, o nie. Twoja ciotka zasługiwała na coś lepszego, a poza tym nadal pozostawały nierozliczone zabójstwa, morderstwa Hugona Marlowe'a i Paula Caldwell'a, co do których nie miałem już żadnych wątpliwości. Sprawiedliwość i prawda w osobach australijskiego detektywa i jego młodego amerykańskiego pomocnika zacieśniały krąg wokół złooczyńcy. Czy zdążą, zanim małostkowa żądza zemsty i chciwość (w

osobie bostońskiego biznesmena) podniosą swe stare i nieśmiertelne łby?

*Sobota, 2 grudnia 1922 r.*

## PANNEAU B: „WSPANIAŁE DOJŚCIE DO WŁADZY ATUM-HADU, OSTATNIEGO PANA DWÓCH EGIPTÓW”

Tekst: Atum-hadu — oby żył przez milion lat w jednym ciele z bogiem i w towarzystwie Izydy — był silny i dzielny. Został żołnierzem w armii starego króla Dzedneferre Dudimose, który widział, jak nieprzyjaciele pożerają Dolny Egipt, tak jak młode żółwie pożera nawet niezwykle leniwy krokodyl. Obcy z północy i ze wschodu grabili państwo. Mali mężczyźni obok ujścia Nilu ubierali się jak królowie, tak jak robią to dzieci, ale zabijali tych, którzy nie chcieli się z nimi bawić. Nieliczne zwycięstwa w tych czasach brały się od ukąszeń strzał Atum-hadu. Wszyscy, którzy go widzieli, wiedzieli, że sprzyja mu Montu [bóg wojny — R MT].

Kiedy w końcu wydawało się, że wódz Atum-hadu powstrzymał milion nieprzyjaciół, stary król wezwał tego syna Seta. Atum-hadu przybył do Teb. Na dworze było pełno zwierząt i akrobatów, ale nie było jedzenia. Ludzie trzymali głowy na kolanach i nie mieli żadnych pragnień. Panował strach.

Atum-hadu [wszedł] do pałacu. Był piękny i silny, i uma-zany krwią po bitwie. Namaszczono go olejkami, dano mu jeść i pić, i wziął sobie młodą kobietę, której członki mu odpowiadały, i nikt nie wiedział, czy powinni mu powiedzieć, że jest najnowszą żoną króla. Za zasłoną pokazała Atum-hadu kolor swoich członków i był on zadowolony. Posłaniec zaprowadził Atum-hadu do króla.

Ilustracja: Trzeba przyznać, że te zwierzęta nie są złe i w pewnej mierze przewyższają stylistycznie panneau A. Wykonanie tych rozległych ilustracji musiało zająć wiele godzin, jeśli nie dni, a umiejętności artysty zwiększają się w miarę postępu prac; lepiej panuje nad materiałem, jest mniej zacieków. Skierowałbym oko turysty na przedstawienie młodego Atum-hadu, obejmującego kobietę z żądzą wojownika, a potem karmiącego daktylami żyrafę. Wskazałbym na czułość przejawiającą się w oczywistej miłości do zwierząt z menażerii umierającego króla. Dwór Dzedneferre Dudimose przedstawiony jest z wielką starannością, a bogactwo posągów, mebli, kolumn spowitych girlandami kwiatów zgrabnie oddane. Sola z nogami w kształcie lwich głów, na której Atum-hadu bierze panującą królową (z niezwyklej znamieniem), jest cudem sztuk zdobniczych, zarówno jako malowidło, jak też jako mebel (który może dalej spoczywać w pełnej krasie w jakiejś nie otwartej jeszcze komorze albo w znajdującym się gdzieś w pobliżu w Deir el-Baha-ri grobowym aneksie). Szerokie naszyjniki z lazurytu noszone przez damy dworu są mistrzowskim przedstawieniem biżuterii.

Analiza: Mamy potwierdzenie historycznego kontekstu Atum-hadu, ponieważ wstąpił on na tron po Dzedneferre Dudimose, uznawanym do tej pory za ostatniego króla z XIII dynastii.

Dziennik: Zmęczony tłumaczeniem i przepisywaniem. Wstawiam drzwi na miejsce i kuśtykam do promu. Żadnych listów na pocztę. Bank zamknięty — szkoda, bo mam nadzieję, że OToole i pozostali współnicy mogli przejąć obowiązki, które dotąd pełnił CCF. Karmię koty, chociaż teraz muszę podchodzić do willi tak samo dyskretnie jak do grobowca. Po smutnym i przedłużającym się

pożegnaniu z Maggie i Ramzesami wracam do pracy.

## PANNEAU C: „ATUM-HADU ZOSTAJE WYBRANY PRZEZ UMIERAJĄCEGO KRÓLA DŻEDNEFERRE DUDIMOSE”

Tekst: Stary król, Horus rezydujący w pałacu, nie mógł wstać.

Powiedział: „Wodzu Atum-hadu, przeżyłem sto dziesięć lat. Wszyscy wokół mnie pragną zostać królami, chociaż nie wiem dlaczego, bo w czarnej krainie nigdy już nie będ zie radości. Nie boję się śmierci, Atum-hadu, ale boję się, że zostanie stracone wszystko, co otrzymaliśmy. Trzeba zachować wskazówki dla tych, którzy pewnego dnia mogą odbudować nasz kraj. Modlę się, żeby pisarze mieli czas na opisanie naszej chwalebnej przeszłości i ukrycie tych tekstów. Można mieć tylko tyle nadziei, że uda się tego dokonać następnemu królowi, a i do tego potrzebna będzie siła. Nikt, kto jest mądry, nie chciałby być królem, ale powieść się może tylko człowiekowi, który jest mądry. Moi ministrowie nie są mądrzy, więc knują intrygi, by zasiąść na tronie. Atum-hadu, czy weźmiesz córkę mojej wnuczki? Weź tę dziewczynę i nasze dwa królestwa, i nasz pałac, i naszą ziemię, i wszystkich ludzi na tej ziemi”. A Atum-hadu odparł: „Wezmę to wszystko, królu, chociaż będziesz jeszcze długo panował w zdrowiu”. A Dzedneferre Du-dimose powiedział: „O tak, oczywiście, a krokodyle będą latać. Ale teraz poważnie — pokonasz kapłanów i ministrów, którzy chcieliby widzieć, jak ponosisz klęskę?” „Tak”. „I zachowasz, używając swojej siły, to, co można zachować z historii naszej ziemi, zanim zapadnie nad nią noc?” „Tak”. „I zaniechasz innych zadań i przyjemności, by zachować i ukryć naszą chwałę?” „Tak. Zrobię to -wszystko i zrobię nawet więcej. Wypędzę najeźdźców.

Pokonam buntowników w Delcie. Połączę obydwie królestwa w silną całość aż do morza. Dopilnuję, żeby czczono bogów właściwie, jak nie byli czczeni od wielu lat. Dam ci wielu potomków i zadbam o to, by twoje imię wyśpiewywali wszyscy". A Dzedneferre Dudimose rzekł: „Nie strać sił, zanim nie nauczysz moich małych strzelać z łuku. Teraz nic już nie mów. Od kiedy wszedłeś do mojej komnaty, jesteś otoczony przez wrogów. Z wyjątkiem twojej przyszłej żony i mojego Pana Szczodrości, który cię wesprze. Staraj się tylko zachować pamięć naszego wielkiego kraju". I króla pochwyliła śmierć.

Atum-hadu wezwał dwór. „Króla pochwyliła śmierć — powiedział. — I widzicie przed sobą Horusa rezydującego w pałacu". I zabił zdrajców ministrów. Kazał przynieść papirus i napisał wiersz, i powiedział pisarzom, że mają napisać wszystko o tym kraju, ale o Atum-hadu napisze tylko Atum-hadu. Potem Pan Szczodrości padł na kolana i złożył mu hołd. Potem Atum-hadu pojął za żonę córkę córki zmarłego króla i przycumował do niej, i zbadał jej grotę, i był zadowolony.

Minęło siedemdziesiąt dni i Strażnicy Tajemnic skończyli przygotowywanie mumii starego króla, wielkiego Dzedneferre Dudimose. Atum-hadu odesłał wszystkich i sam przeniósł mumię króla w sekretne miejsce, i pochował go z jego księgami, skarbami i jedzeniem, i sam zamknął grobowiec.

Ilustracja: Parę perełek. W odpowiedziach starego króla znajdujemy pierwszy chyba w zapisanej historii przykład sarkazmu i gdyby ta ściana łatwiej poddawała się staraniom artysty, byłoby jasne, że zamierzał on ukazać, jak król przewraca oczami, słuchając chełpliwych planów Atum-hadu, jakby chciał powiedzieć: „Zrób to, Atum-hadu. Opowiesz mi o tym

w za-

światach". Byłoby też widać panikę i irytację króla, myślącego, że ten młody byczek nie bierze poważnie zleconego mu zadania, ale przygotowuje się do przyjęcia władzy z konwencjonalnych powodów, ignorując historyczny obowiązek, z gatunku „ostatni gasi światło”. Niestety, artysta musiał malować na tym pełnym wgłębieniu i nierównym kamieniu, szczególnie chropowatym tutaj, gdzie znajduje się panneau C, wystarczająco trudno jest już pisać same hieroglify, a po tym całym malowaniu i komponowaniu układu sceny był bez wątpienia wyczerpany, głodny, brudny, spragniony, obolały i spowity obłokami dymu.

Analiza: Oczywiście nie wiem, jaki anonimowy skryba i malarz ozdabiał te ściany, a mrówcza praca polegająca na kopiowaniu hieroglifów i tłumaczeniu w moim notatniku długich napisów, przy starannym ich sprawdzaniu i porównywaniu z tekstami filologicznymi i słownikiem Budgea, zabiera mnóstwo czasu, nie potrafię więc powiedzieć, co będzie dalej. Mogę jednak powiedzieć jedno: niech mi wolno wyjaśnić tym, którzy nie są ekspertami, co odkryłem dotychczas w tej zapisanej na ścianach kronice: wyraźne określenie sukcesji władzy podczas niejasnego dotąd kresu panowania XIII dynastii, wyjaśnienie, dlaczego nie odkryto grobowca dyskusyjnego dotąd Dzedne-ferre Dudimose, dalsze szczegóły życia bezsprzecznie rzeczywistego Atum-hadu, kryształowo jasne wyjaśnienie, dlaczego jedynym znalezionym dotąd pisemnym dowodem istnienia Atum-hadu były spisane przez samego króla Nauki. Carnarvon będzie drugim od 3500 lat człowiekiem, który zostanie wpuszczony do tej komory, i będę się delectował jego rodzącym się podnieceniem na myśl o tym, co to wszystko może znaczyć!

*Niedziela, 3 grudnia 1922 r.*

PANNEAU D: „WCZESNE LATA PANOWANIA ATUM-HADU,  
OSTATNIEGO KRÓLA DWÓCH KRAJÓW”

Tekst: Po dziesięciu wylewach Nilu Atum-hadu urzeczywistnił swoje przechwałki. Hyksosi zostali powstrzymani.

Kiedy panował Atum-hadu, prowadzono interesy i zbierano plony, i oddawano cześć bogom, i pisarze spełniali polecenia starego króla, i powstrzymano wieczną noc, a pałac oświetlał nie ogień wojny, ale serce Atum-hadu, pana wszystkich rzeczy, wcielenie Horusa, ale też Atuma, i własną ręką stworzył on na nowo świat ku zadowoleniu swego ludu.

Atum-hadu sprowadził niegodziwych ludzi z czasów swojej młodości, by ujrzeli jego pałac. Pokazał im ogromną różnorodność żywności. Pragnęli wszystkiego, co widzieli, ale nie pozwolono im jeść, natomiast Atum-hadu ugryzł śliwkę owiniętą mapą nocnego nieba. Król dał swoim gościom szansę przeproszenia za niegodziwości, które wyrządzono mu, kiedy był chłopcem. W porze obiadu kapłana z czasów jego dzieciństwa wbito na rożen jak cielę i umieszczono nad płomieniem, a Atum-hadu przemówił spokojnie do tego wielkiego mężczyzny, który płakał z bólu jak mały chłopiec. „Jest ci przykro?” — zapytał cicho. „Tak, tak, panie”. „I myślisz, że twój żal wystarczy?” „Nie wiem, panie”. „Nie 'wystarczy. Ukradłeś mi coś i nie jesteś w stanie tego zwrócić”. „Powiedz mi, wielki królu i panie, jak mogę ci teraz służyć”. „Cierpisz?” „Cierpię”. „To jedyna usługa, jakiej od ciebie wymagam”. I Atum-hadu kazał przyprowadzić siostrzenice, siostry i matkę kapłana, i to tamtego zdumiało, i przed umierającym kapłanem król sprzęgał się w różnych

układach z kobietami z jego rodziny, czasami gwałtownie, przez co płakały. Później śmierć pochwyciła kapłana i kiedy Atum--hadu uznał, że jego ciało jest upieczone, sam zdjął go z rożna i pokroił na kawałki, którymi nakarmił zwierzęta na dworze. Jego serce dał swojemu ulubionemu psu, zęby na zawsze przepadło imię i ka tego człowieka.

Ilustracja: Ściana wydawała się w tym miejscu bardziej uległa artyście i tekstowi temu towarzyszy malowidło, które ponownie pokazuje stopniową poprawę techniki. W najbardziej poruszającej z dziesiątków scen kapłan — nagi, z rozłożonymi nogami, brutalnie przebity, tak że jego muskularne ciało nie może się już bronić przed dorosłym i dyszącym żądzą zemsty królem — płacze. Na twarzy Atum-hadu widać wyraz ulgi, jakby ta operacja trochę go uspokoiła.

Analiza: Jest to ustęp zadziwiający z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli wiernie oddaje prawdę historyczną, daje nam pewien wgląd w psychikę tego człowieka, człowieka, którego nawet u szczytu władzy męczy pragnienie pomszczenia upokorzeń doznanych w dzieciństwie. Wysyłano żołnierzy, by pozbierali jego wrogów, a sesje jego zemsty (najwyraźniej było ich więcej niż jedna) były tak wyreżyserowane, by sprawić mu maksimum przyjemności, a jego byłym prześladowcom maksimum wstydu i bólu. Po drugie, sama ta historia była tak ważna dla króla, że została włączona do jego ilustrowanej biografii, którą miał zabrać ze sobą w zaświaty.

Co do nieśmiertelności, to trzeba zauważyć, że zniszczenie serca kapłana oznaczało, iż nigdy nie zostanie on wpuszczony do podziemnego królestwa, gdzie bada się i wazy serce każdego, kładąc na drugiej szali pióro. Na dodatek Atum-hadu zadbał o to, by na tym świecie już nikt



nigdy nie wymówił imienia kapłana, co było kolejną gwarancją, że nieśmiertelność znajdzie się poza zasięgiem piekącego się na ogniu, zepsutego mężczyzny.

Dziennik: Kuśtykam do promu, poczta, bank, karmienie kotów.

Poczta.

Margaret, nie milcz teraz, błagam cię. Powinnaś depeszować, pisać, mówić mi w jakiś sposób, że wszystko jest znowu dobrze. Któregoś dnia powiem ci o niepokoju ściskającym mi żołądek każdego dnia, którego nie miałem od ciebie wieści, w każdej minucie grudnia, w której milcząco bawiłaś się ze mną, nie chcąc złagodzić najmniejszym słowem mojego bólu. Dlaczego mi to robisz?

PANNEAU E: „ATUM-HADU I CÓRKA PANA SZCZODROŚCI”

Tekst: Po dziesięciu wylewach Nilu [1632 r. p.n.e.? — RMT] Atum-hadu ujrzał najpiękniejszą ze wszystkich kobiet. Zauroczyła go i zobaczył w niej ducha Maat w kształtach Izydy, dobroć najśłodszej matki, spowitej w lśniące szaty Hathor [bogini księżyca i miłości — RMT]. Zapytał o jej imię i powiedziano mu, że jest córką Pana Szczodrości. Podeszła do niego. Nie prosiła o nic, ale swoją magią uspokoiła króla, uśmierzyła bóle jego brzucha, sprowadziła na niego sen, mimo Hyksosów i wspomnień o kapłanach.

Oczarowała jego wzrok, tak że nie mógł patrzeć na żadną inną, i wszystkie jego żony i damy dworu płakały z powodu jego nieobecności w ich komnatach i grotach. Kobiety te, których już nie potrzebował, znalazły innych mężczyzn na dworze i wspólnie z nimi, bo wszyscy kochali Atum-hadu, utworzyły grupę rywalizującą z oficjalnymi kapłanami i nazwały

Atum-hadu swoim jedynym bogiem, a przyjemność swoją jedyną praktyką religijną.

Atum-hadu pojął córkę Pana Szczodrości za pierwszą żonę. Tej samej nocy zobaczył kolor jej członków, a kiedy nadeszła jej chwila, wykrzyknęła jego imię tak głośno, że w całym pałacu zapadła cisza, i znowu wykrzyknęła jego imię, i znowu, i znowu, i wkrótce wszyscy ci, którzy umilkli, podjęli okrzyk królowej i sale pałacu odbijały echem głos setek gardeł wykrzykujących w rozkoszy jego imię, Atum-hadu, Atum-hadu, Atum-hadu, aż zatrzęśły się ściany pałacu i zawyły zgodnym chórem psy myśliwskie.

*Poniedziałek, 4grudnia 1922 r.*

PANNEAU F: „ATUM-HADU IGNORUJE OSTRZEŻENIE SETA”

Tekst: Kiedy Atum-hadu spał, mnożyły się kłopoty. Zbliżali się Hyksosi. Czas nie był nieskończony, podobnie jak królewskie złoto, i Pan Szczodrości nie miał nic do zaofiarowania. Ukazał się Set i powiedział do Atum-hadu: „Jej ojciec nie jest Panem Szczodrości, ale Panem Zdrady. Czyż nie ma innych kobiet, które mogłyby być twoimi żonami? Spójrz, roi się od nich, jest ich więcej niż much na odchodach hipopotama, na pewno inna jest gotowa zająć jej miejsce, jasnoskóra, z łabędzią szyją i ciężkimi pośladkami. Strapiony królu, czemu się opierasz? Atum-hadu rozplakał się na słowa Seta. Powinien zniszczyć miłość, która go pętała. Obrócił się na łóżku, przyłożył nóż do jej białej szyi, a ona spokojnie spała, i spojrział na jej twarz, i schował nóż do pochwy. Nie będzie wierzył złośliwemu Setowi.

Ilustracja: Najbardziej intrygujący w tej sekcji malowidła, pośród czule przedstawionych scen małżeńskiego życia, jest powtarzający się obraz Pana Szczodrości, świńskiej postaci czającej się tuż poza polem 'widzenia króla. Kiedy Atum-hadu ujmuje rękę swojej żony, jej ojciec kryje się za kotarą, oblizując wargi. Kiedy Atum-hadu bierze żonę do łóża i obejmuje ją, jej

ojciec kryje się pod tym łóżem o nogach w kształcie lwich głów, w rozchylonych szatach, i robi z siebie groteskową (i zdumiewająco miniaturową) parodię Atuma. Kiedy Atum-hadu szłocha u boku śpiącej żony, a u jego stóp, na podłodze, leży nóż, który wypadł mu z dłoni, jej ojciec spiskuje za jego plecami, mówiąc coś nie zidentyfikowanej, ale złowrogiej postaci. W oddali widać nieprzebrane zastępy Hyksosów.

Oczywiście nie zawsze tak było i kwartyna 45 (we fragmentach A i C) opisuje zaufanie, jakim wcześniej Atum-hadu darzył swojego doradcę, nawet kiedy nieubłaganie nadciągała wojna z Hyksosami:

*Kiedy dwa bliźniacze Egipty są rozerwane,  
Z ziębnącego łona konającej matki wyszarpane,  
Atum-hadu zwija się z bólu serca i płacze,  
Ale Pan Szczodro/ci pozostaje niezłomny w dniach rozpacz.*

Dziennik: Poczta, bank. Czyżby CCF upadł tak nisko, że nie dopuszcza do tego, by finansowali mnie pozostali współnicy? Koty, poczta. Nie mam już więcej opłaconych z góry formularzy depesz, mogę więc zdobyć się tylko na niezwykle krótki telegram do Margaret. Tymczasowe opuszczenie willi nie jest wielką stratą, z wyjątkiem takich dni jak dzisiejszy, kiedy mój żołądek buntuje się przeciw Losowi, a ja jestem niewinnym, biernym

świadkiem, który cierpi najbardziej.

**TELEGRAM. LUKSOR DO MARGARET FINNERAN, BOSTON, 4  
GRUDNIA 1922, 16.13. PROPRZYJMŁŚĆRMT.**

Margaret: Zabijasz mnie swoim zjadliwym milczeniem. Dzisiaj wysłałem do ciebie depeszę, prosząc cię po prostu, żebyś przyjęła moją miłość. Czy nadejdzie taki dzień, kiedy porównamy nasze prowadzone równocześnie dzienniki i przeczytam ci głośno, że 4 grudnia bałem się, iż straciłem cię na zawsze, a ty będziesz się śmiała z moje; głupoty, bo tego dnia po prostu spałaś? Albo jechałaś pociągiem w miejsce o cieplejszym klimacie? Albo nienawidzący miłości telegrafisci z Bostonu, podburzeni przez komunistycznych agitatorów, zmówili się i wspólnym wysiłkiem wprowadzili rozdzierający serce chaos, doręczając złośliwie moją depeszę jakiejś starszej damie, podczas gdy ty otrzymałaś zamówienie na milion funtów czekolady?

Ale jeśli na mnie nie czekasz, nie mam czego szukać w Bostonie.

(*NI EWYŚLAN Y LIST, ZNALEZIONY W PRYWATNYCH PAPIERACH MARGA-RET FINNERAN MACY PO JEJ ŚMIERCI*)

4 grudnia

*Drogi Ralphie,*

*Powinnam ci o czymś powiedzieć. Tata opowiedział mi różne rzeczy Ilobie i kazał mi napisać do ciebie, że zrywam zaręczyny, a ja lo zrobiłam. A potem zasnęłam. A potem wszedł do mojego pokoju Fcrrcll i*

*tak się cieszył, że zrobił to wszystko, że nas rozdzielił. I mówił o tobie najstraszniejsze rzeczy, powiedział, że zabiłeś tego chłopaka, Paula, i swojego przyjaciela, Marlowe'a, wszystkie te straszne bzdury, o których wiedziałam, że to nieprawda, i wtedy zorientowałam się, że nic z tego nie jest prawdą, ani że ukradłeś tacie pieniądze, ani że kłamałeś o Oxfordzie. Och, Ralph, Ferrell cały czas okłamywał tatę i mnie i doprowadził do tych wszystkich konfliktów między tobą, mną i tatą, I nie wiedziałam, jak to naprawić, te wszystkie szkody, które wyrządził, i narzeczczalam na niego, i powiedziałam mu, co o nim myślę. Widzisz, byłam nadal śpiąca po tym, co dała mi Inge, żeby mnie uspokoić, kiedy tata powiedział, że tylko udawałeś, że mnie kochasz, bo pragnąłeś jego pieniędzy. Powinnam była wyśmiać ich obu, ale początkowo im wierzyłam. Tak mi przykro.*

*Powinnam była powiedzieć ci, jaka jest przyczyna mojej choroby, ale nie zrobiłam tego. To nie ja, to jest teraz tylko silniejsze ode mnie, ale boję się, że gdybyś wiedział*

*Drogi Ralphie,*

*Czy kochałbyś mnie mniej, gdybyś wiedział, że są rzeczy silniejsze ode mnie?*

*Ferrell bardzo się w końcu na mnie rozzłościł, kiedy przyszedł do mojego pokoju i mnie rozbudził. Bardzo cię cieszyłam, że go złościsz, że pozwalałam sobie robić to, w czym jestem dobra, czyli złościsz ludzi, a potem sprawiam, że sami się z tego śmieją, potrafię to robić, kiedy zechcę. Wszyscy zawsze to mówią. Zawsze potrafiłam znowu wszystko odwrócić.*

*Ferrell wszystko zniszczył, prawda? I nie wiem, jak coś z tego naprawić, szczególnie teraz, kiedy zrobił mi to, co zrobił. Co on mi zrobił, Ralph. Co*

*sobie o tym pomyślisz? Staralam się go powstrzymać, przysięgam. Byliśmy sami w domu. Tata wyszedł, Inge też. On odesłał Inge, Ralph, a potem przyszedł na górę.*

*Nie mogę znaleźć wszystkich listów od ciebie. Myślę, że wziął parę.*

*To moja wina. Rozzłościłam go i nie mogłam powstrzymać. To moja wina. Teraz nie będziesz mnie chciał.*

*Mylłam się i jest mi tak przykro. Przepraszam, że kiedykolwiek wierzyłam w to, co mówili o lobie. Gdybym im ani trochę nie wierzyła, nie doszłoby do tego. Tak mi przykro. On mówił takie straszne rzeczy o tobie, a ja chciałam tylko powiedzieć, że się myli. Antoniusz i Kleopatra tylko siedziały tam przez cały czas, nie czekały ani nie starały się mi pomóc, tylko się przyglądały, a potem, kiedy wyszedł, tylko patrzyły na mnie, jakby wiedziały, że to moja wina.*

*Drogi Ralphie, piszę do ciebie, ponieważ Drogi Ralpie,  
proszę, wybacz mi za*

*Wtorek, 5 grudnia 1922 r.*

Na poczcie i w banku cisza. Koty czują się dobrze i podoba się im w nowym miejscu karmienia, niewidocznym z willi. Jestem pewien, że teraz, kiedy spotykam się tu z nimi, nie zadają sobie trudu, żeby odwiedzać willę.

Biorę herbatę miętową w *ahwa*, gdzie kelnerzy mnie nie rozpoznają, chociaż byłem tu już ze dwadzieścia razy. Z powrotem do pracy.

PANNEAU G: „ZWIASTOWANIU TRZECICH NARODZIN ATUM-IIADU”

Przypis: Niniejszy tekst wydaje się ściśle związany z kwartyną 56 (tylko we fragmentach A i B), być może jest celowym rozszerzeniem jej tematów:

*Uczta, tańce i mnóstwo przyjemności.*

*Czy mogą oderwać uwagę króla od spraw państwowych? Śmierci psa, męczarni z powodu dotegliwości,*

*Wojny, która chlupocze o brzeg i nigdy nie przycicha.*

Tekst: W jedenastym roku panowania Atum-hadu jego pałac rozgorzał blaskiem kolejnej nocnej uczty, piękna, które miał zabrać ze sobą w wieczność. Główna sala była od góry otwarta i przykryta wydymającym się płótnem. Wysokie pochodnie rzucały światło na brzegi płótna i dach wydawał się czerwony od ognia, który niczego nie trawi. Nad kolumnami wypełnionymi różnobarwnym żarem piekły się pawie. Ściany kolumn pokrywały zaklęcia mające chronić króla przed męczarniami jego brzucha, ale na nic się nie zdały. Zapach pieczonych ptaków zwabił do pałacu koty i psy. Była między nimi kotka, którą Atum-hadu kochał najbardziej, i wskoczyła mu na kolana.

Atum-hadu na wpół leżał na tronie i głaskał kotkę. W drugim ręku trzymał długą włócznię, cienką i lekką, używaną w bitwach tylko przez kobiety, które szły walczyć i ginąć, kiedy Atum-hadu znużył się nimi. Przebił nią pawia i wydobył z jego mięsa strumień soku. Przebił związanego jeńca hyksoskiego i wydobył z jego ciała plany dowódcy Hyksosów.

Spokojne słowa Atum-hadu skrywały jego wściekłość i wrzenie w jego brzuchu. Gniew jego wewnętrznych kobr był widoczny na powierzchni

brzucha króla i mapie przegrodzonego kataraktami Nilu na jego brązowej skroni. Mimo sowitych nagród, którymi obdzielał magów medycyny, wciąż cierpiał. Nie można było znaleźć przyczyny jego bólu, nie można było mu ulżyć.

Aż do tej nocy. Pojawiła się sama Maat, a bił od niej blask jak od słońca, tak że nikt z dworu nie mógł na nią patrzeć. Wszyscy przycisnęli twarze do posadzki, wszyscy oprócz Atum-hadu, gwałtownego kochanka Maat. Atum-hadu podniósł się z tronu, a jego brzuch go uwolnił. Maat objęła go łagodnie i przemówiła do niego łagodnym językiem kobry, kiedy wzniesli się w niebo i rozmawiali.

Maat powiedziała: „O Atum-hadu, ulubieńcu bogów i tego ludu, cierpisz, ponieważ w twoim brzuchu, gnijącym i bulgoczącym, znajduje się twoja śmiertelna przeszłość, twoje pierwsze dzieciństwo, o którym sama myśl pali twoje wnętrze. W twoim wnętrzu rośnie też przyszłość, która musi nadejść, jak przepowiedział stary król. Wielki synu Atuma, końcowi twojego drugiego życia będzie towarzyszył koniec tej ziemi. Zbliżają się twoje ostatnie narodziny. Musisz usunąć swoją przeszłość”.

Maat pocałowała króla i zniknęła. Atum-hadu opadł na swój tron, podniosły się tancerki, kucharze i kapłani. Powróciły dźwięki dworu: bliźniacy akrobaci wychwalający Atuma, kobiety kojące płacz swoich niemowląt, mali chłopcy domagający się, by bawili się z nimi ich ojcowie, starzec uspokajający trzęsącego się syna, żołnierze pijący piwo. Ciało więźnia przyciągnęło uwagę psów Atum-hadu, a kotka, ulubiona przyjaciółka króla, skoczyła w kałużę krwi Hyksosa, rozprzestrzeniając się na posadzce jak stale poprawiana mapa. Ten przejaw ekspansji



Hyksosów, widoczny nawet w chwili śmierci, nie uszedł uwagi króla.

Żołnierze wprowadzili innego hyksoskiego szpiega. „Atum-hadu chciałby, żeby zrozumieli” — oznajmił król i zawołał dozorcę królewskiej menażerii, zęby przyniósł młodego węża, takiego, który nie ma jadu.

Żołnierze przytrzymali chłopca, a Atum-hadu chwycił nóż i wyciął w jego boku małą dziurkę, otworzył jelito i włożył do niego węża, ogonem do przodu. Kazał kapłanom zaszyć ranę tak, by wystawała tylko głowa węża, a potem polecił żołnierzom, by odnieśli chłopca tam, gdzie mogą go znaleźć rodacy, i zostawili z dużą ilością jedzenia i picia. „Musi być znaleziony żywy ze znakiem Atum-hadu w sobie” — powiedział król.

Ilustracja: Na naszą natychmiastową pochwałę zasługują szczególnie pewne elementy tego wielkiego i wspaniałego malowidła, pokrywającego całą ścianę, od podłogi po sufit, na prawo od otworu prowadzącego do Drugiej Pustej Komory. Podobnie jak w innych miejscach, wspaniale oddane są zwierzęta (piekący się paw, mruczący kot) oraz meble i inne sprzęty z pewnością bogato, lecz nie bez smaku urządzonego dworu, gdzie akcent położono na rozkosze łoża i stołu. W tych dworskich scenach uwagę przyciągają jajowate dzbany, kubki w kształcie kwiatu lotosu, alabastrowe misy, lamparcie skóry, sofy i rydwany, zwiewne stroje króla, jego bogato zdobiona broń oraz wspaniały tron, na którego oparciu znajduje się płaskorzeźba w złocie, ukazująca króla w postaci Iwa depczącego swoich malutkich wrogów.

Dziennik: Poczta, bank, koty.

*Środa, 6 grudnia 1922 r.*

Dziennik: Poczta, bank, koty.

## PANNEAU H: „HYKSOSI WZNAWIAJĄ OFENSYWĘ”

Tekst: Pomimo odwiedzin Maat, wściekłe bestie nadal hulały w brzuchu króla. Wódz Hyksosów był cichym, ale aroganckim mężczyzną, odzianym w złoto. Dotarły do niego wieści, że wielki Atum-hadu jest osłabiony chorobą i że po dziesięciu latach śmiałego oporu większa część kraju jest znowu bezbronna. Hyksosi wtargnęli do [Górnego Egiptu]. Bitwy były zacięte, a Atum-hadu wiódł swe oddziały, kiedy mógł. Walczył jak lew, ale często ścinał go z nóg ból brzucha albo zmuszony był odwrócić się i przykucnąć.

Nawet teraz Atum-hadu mógł wciąż pokonać Hyksosów. Ale w tej chwili rozpaczliwej potrzeby nie mógł znaleźć swojego Pana Szczodrości, tego sromu kurwy. Wróg króla zniknął, porywając królową.

I niebawem zwycięstwo Hyksosów będzie pewne.

Ilustracje: Najbardziej wstrząsający jest dla widza widok Pana Szczodrości, ciągnącego królową za włosy, więżącego ją, kiedy Atum-hadu na próżno jej szuka.

Dziennik: Znowu pracowałem cały dzień nad tłumaczeniem i przerysowywaniem inskrypcji. Zadziwiające, czego nie zawiera nieporęczny słownik Budgea. I pomyśleć, że miał on czelność krytykować mój przekład *Pożądania i podstępu*. Poczta, bank, koty.

*Czwartek, 7grudnia 1922r.*

Dziennik: Koty, bank, poczta.

## PANNEAU I: „ZBLIŻAJĄCY SIĘ KONIEC CZARNEJ KRAINY\*’

Tekst: W stolicy panowała cisza. Ludzie trzymali głowy na kolanach. Żądze osłabły. Mimo to Atum-hadu nadal domagał się muzyki, radości, kobiet. Często powracał z pola bitwy w zbroi, z której kapąła krew na posadzki, wchodził wielkimi krokami do pałacu i brał dwie niewolnice, tak jak inni łyk wody, a później kazał przynieść sobie pędzelek, by tworzyć wiersze. Inspirował tych, którzy postanowili wiecznie korzystać z przyjemności, i znowu dwór rozbrzmiewał rozpaczliwą radością. Hyksoscy szpiedzy powracali do swojego króla i mówili mu, że nieprzyjaciel nigdy się nie podda. Gdyby wojsko walczyło tak, jak kochano się na jego dworze, być może tak by się stało.

„Nadchodzi koniec wszystkiego” — powiedział Atum-hadu i 'wieść ta rozeszła się po całym dworze, i był płacz i strach, ale także głosy akrobatów, kochanków i dźwięki muzyki. „Nadchodzi koniec wszystkiego”.

Ilustracja: Król w boju przedstawia wspaniały widok. Stoi na rydwanie. W sposób typowy dla sztuki egipskiej ukazany jest jako znacznie większy od swoich wrogów, którzy sięgają mu zaledwie do kolan, a w tle wytwornie odziany wódz Hyk-sosów trzęsie się ze strachu i konsternacji. Co również typowe dla sztuki egipskiej, Atum-hadu przedstawiony jest w rydwanie ze swoimi przodkami, poprzednimi królami Egiptu, z których wszyscy (choć mniejsi od niego) zagrzewają go do walki.

Dziennik: Koty. Bank, poczta: nic i nic.

Wszyscy przyjaciele mojego ojca byli wojskowymi, generałami i wyższymi oficerami, żołnierzami na emeryturze i w służbie czynnej. Jako chłopiec nie wiedziałem o tym oczywiście, ponieważ znałem ich jako wuja

Królika czy starego Lloyda i dopiero później dowiedziałem się, że wuj Królik zgniółł takiego to a takiego Khana podczas walk w Afganistanie. Ale kiedy go znałem, był miłym starszym panem w tweedowym stroju myśliwskim, który pozwalał, bym pomalował mu twarz na czarno, tak bym był faraonem, a on moim afrykańskim wrogiem. Biografie uwieczniają wszystkich tych starych wojowników jako ludzi łagodnych jak baranki (mimo tego, że byli zaprawieni w toczonych na całym świecie wiktoriańskich wojnach, służąc królowej jako surowi wicekrólowie, trzymając twardą angielską ręką krajowców na wodzy). Pamiętam niejednego bohatera imperium z opaską na oku, jak klęczał ze mną w błocie, bandażując łapę któremuś z psów zranionych podczas polowania. Zupełnie jakbym miał tuzin ojców w tamtych szczęśliwych latach.

*Piątek, 8grudnia 1922 r.*

Dziennik: Koty. Bank i poczta zamknięte.

PANNEAU J: „ATUM-HADU ZASTANAWIA SIĘ NAD  
ZBLIŻAJĄCĄ SIĘ NIEŚMIERTELNOŚCIĄ”

Tekst: Hyksosi stali się niczym wezbrana rzeka, której nie można powstrzymać przed wystąpieniem z brzegów. Podczas wypoczynku Atum-hadu wybrał się nocą na samotny spacer, na wysokie urwisko po drugiej stronie Nilu. Po nim nie będzie już żadnego króla; w pałacu nie będzie rezydował Horus. Jak zachować zwoje zapisywane przez jedenaście wylewów Nilu i dobra dla wyposażenia łodzi, którą odpłynie w zaświaty? Gdzie jest królowa, jego żona? Gdzie jest Pan Szczodrości? Ukazał się Set i dwanaście sępów przeniosło króla ze szczytu urwiska do jego podnóża.

Set rozciął skałę płomieniami ognia buchającymi z dziobów sępów.

„Przejdiesz bezpiecznie tym szlakiem, synu, a ludzie będą pamiętać o tej krainie przez miliony lat”.

Ilustracje: Ciąg obrazów ukazuje Atum-hadu stojącego na szczycie wzniesienia, które jest niewątpliwie skalną ścianą oddzielającą miejsce zwane obecnie Doliną Królów od Deir el-Bahari. Król jest sam, jest noc (za nim stoi bogini Nut, pokryta gwiazdami). Król rozmyśla. Tutaj spogląda na dolinę, tam na Deir el-Bahari, jakby zastanawia! się, gdzie zacząć budowę swojego grobowca i ukryć swoją nieśmiertelność. W oddali wrze bitwa. Ukazuje się mu Set, jego mityczny ojciec, którego głowa przypomina teraz głowę mrówkojada, i dwanaście sępów, które unoszą go na ścieżkę obok tego właśnie grobowca. A tutaj sępy, plując ogniem, wycinają otwór w skale samego Egiptu. Set prowadzi Atum-hadu do wejścia, bez wątpienia drzwi A, i Pustej Komory. Ostatni rysunek pokazuje Atum-hadu stojącego znowu na zewnątrz, przy jarzącym się magicznie na powierzchni skały planie grobu w rzucie poziomym. Jest to bez wątpienia, w takim stopniu, w jakim otworzyliśmy dotąd ten grobowiec, plan kompleksu, w którym w tej chwili stoję.

Analiza: Musimy zajrzeć za mityczną otoczkę i postarać się dostrzec historyczne fakty. Pewnego dnia stało się jasne, że ta wojna to przegrana sprawa. W owej chwili wyraźnego, ale wciąż niezmaterializowanego nieszczęścia król najprawdopodobniej uświadomił sobie, że potrzebny jest mu zbudowany w sekrecie grobowiec. Postawiłbym hipotezę, że — bez wątpienia podróżując samotnie i incognito — szukał miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie przejść w zaświaty z takim sprzętem i bagażem, który mógłby tam sam przetransportować. I

choć są to zwykłe spekulacje, wydaje się możliwe, że przedstawiona na tym malowidle ściennym historia powinna być odczytywana jako szczęśliwe, „cudowne” natknięcie się Atum-hadu na otwarty grobowiec, zbudowany ileś lat wcześniej; dla innej zapomnianej duszy i następnie porzucony, a może grobowiec, który został doszczętnie splądrowany, może magazyn wykorzystywany przez architektów lub robotników z czasów innej dynastii, może erem, którzy zajmowali tylko łatwi do zabicia pustelnicy. Są różne możliwości, ale wydaje się zupełnie prawdopodobne, że Atum-hadu znalazł, kiedy najbardziej tego potrzebował, odpowiednie miejsce, które można było szybko przystosować do jego potrzeb bez straty czasu, bez kłopotu i ryzyka [zobacz szkic o paradoksie grobowca] związanego z zatrudnieniem architektów, robotników i pracami przy świetle dziennym. Mogę sobie łatwo wyobrazić, że Atum-hadu uważał, iż takiego szczęśliwego odkrycia mógł dokonać tylko dzięki okazanej w samą porę pomocy swojego boskiego ojca.

Dziennik: Jak tylko przerysuję w tych notatkach i przetłumaczę do końca hieroglify z tej komory, wezmę na obchód hrabiego Carnarvona i zostanie z gracją, bez zamoczenia nóg, dokonana zmiana koni w połowie rzeki.

Również dwanaście kolumn w Komorze Historii ozdabiają wspaniałe ilustracje, które pokrywają każdą z nich niemal od podłogi po sufit jednym, ogromnym przedstawieniem konkretnego wydarzenia, z krótkim, wyjaśniającym tekstem. Teraz zauważ: jeśli malowidła na kolumnach wyszły spod ręki tego samego artysty, który namalował panneau, to stał się on wyraźnie pewniejszy swoich zdolności i materiałów, ponieważ odznaczają się one większymi rozmiarami i

mistrzostwem niz historie przedstawione na ścianach.

PIERWSZA KOLUMNA, TEKST: ATUM-IIADU JAKO CHŁOPIEC  
NASTAWIA SWOICH WROGÓW NAWZAJEM PRZECIW SOBIE I  
UCIEKA DO WOJSKA.

Ilustracja: Żołnierz atakuje mężczyznę i kobietę, a Atum--hadu (śmiejąc się? płacząc?) ucieka, by przyłączyć się do armii Dzedneferre Dudimose.

*Sobota, 9 grudnia 1922 r.*

Dz.: Koty. P: nic. B: zamknięty.

DRUGA KOLUMNA, TEKST: ATUM-IIADU PRZYBYWA NA DWÓR  
DŻEDNEFERRE DUDIMOSE I ZOSTAJE CIEPŁO PRZYJĘTY.

Ilustracja: Atum-hadu odbiera szczególną formę hołdu, składanego mu przez klęczącą żonę Dzedneferre Dudimose i inne klęczące członkinie dworu, czemu przygląda się długorzęsa żyrafa, medytująca nad tym widokiem. Sam Atum-hadu patrzy w niebo i przygląda się akrobatom, wyrzucającym się nawzajem w górę, wysoko nad podłogą pałacu.

TRZECIA KOLUMNA, TEKST: WOJOWNIK ATUMA NISZCZY  
WROGÓW KRÓLA.

Ilustracja: Atum-hadu, w postaci lwa z ludzką głową, depcze wrogów Egiptu, którzy padają pod gradem strzał. Z góry patrzą z wyraźną aprobatą Horus, Atum, Ra, Izyda, Ozyrys, Set, Mont u, Hathor i Maat.

CZWARTA KOLUMNA, TEKST: ATUM-HADU ZOSTAJE KRÓLEM I

POETA.

Ilustracja: Nadal stojąc na ciałach ministrów, którzy zdradzili Dzedneferre Dudimose, Atum-hadu poucza swój dwór. Łagodnie opiera jedną rękę na głowie zmarłego króla, a w drugiej trzyma arkusz papirusu. Można odcyfrować pismo hieroglificzne na tym papirusie dzięki niespotykanej w sztuce egipskiej dbałości o szczegóły i podobieństwu do innego tekstu. Jest to bowiem, ni mniej, ni więcej, kwartyna 1. Dokładne oddanie szczegółów drobnych czarnych hieroglifów na jasnobrązowym papirusie musiało zająć artyście wiele godzin. Przy warunkach, w jakich prawdopodobnie pracował (dym, duchota, głód, ubóstwo, nadciągający wrogowie), jego osiągnięcie jest wprost genialne.

Dz.: K. P: nadal nic.

*Niedziela, 10 grudnia 1922 r.*

Dz.: Koty, bank, poczta. Nic.

PIĄTA KOLUMNA, TEKST: CZASY POKOJU I PRZYJEMNOŚCI NA DWORZE ATUM-HADU.

Ilustracja: Warto poświęcić chwilę analizie malowidła na tej kolumnie. To prawdopodobnie zupełnie naturalne, że dwór Atum-hadu dręczyła nostalgia, szalone pragnienie zerknięcia przez ramię na złoty wiek. W dobie nadciągającej ciemności i wszechobecnego poczucia nieuchronnej klęski taki odruch był prawdopodobnie jeszcze silniejszy. Mimo to jest jasne, że Atum-hadu (kiedy jego pisarze zajęci byli urzeczywistnianiem obmyślonego przez



poprzedniego króla nostalgicznego planu zachowania spuścizny duchowej królestwa) wytrwale dążył do uczynienia ze swojej epoki złotego wieku samego w sobie, a ze swego dworu centrum odrodzonego Egiptu. Jego równocześnie realizowany plan był a n t y nostalgicznym projektem, Szczególnie trudnym w czasach klęski i rozpacz. Ale w tym właśnie celu kolumna ta pokazuje jego dwór w takiej postaci, jaką pragnął zapisać w ludzkiej pamięci — w pełni chwały. Grają muzycy w tunikach w różnokolorowe romby, a jakaś kobieta każe paru psom wykonywać sztuczki. Pełno jest wyznawców kultu Atuma, pokazanych w szerokim wachlarzu matematycznych kombinacji, od rzędów samotnych jego czcicieli po masowe układy piramidalne. Nagie kobiety chłuszczą mężczyzn związanych symbolicznymi łańcuchami piór, a pośrodku tego wszystkiego znajduje się sam król, nagi, otoczony adorującym go tłumem delikatnych, długopalcych piękności o sennych oczach.

## SZÓSTA KOLUMNA, TIKST: FAŁSZYWI OJCOWI Li.

Ilustracja: Zagadkowe malowidło o niemożliwym do wyjaśnienia tytule przedstawia ciąg egzekucji i tortur, wszystkich przeprowadzanych pod nadzorem Atum-hadu, którego wyraz twarzy pokazuje surową bezwzględność. Jakiegoś żołnierza rzuca się na pożarcie krokodyłowi. Kapłan zostaje wbity na rożen i żywcem upieczony (zobacz panneau D). Młody robotnik (zaatakowany na pierwszej kolumnie) jest tutaj ścigany przez tłum uzbrojonych dzieci, podczas gdy osioł pokrywa kobietę pokazaną z nim na pierwszej kolumnie.

Dz.: Poczta, bank — nic. Koty. Maggie jest taka zabawna! Wie, jaką obieram teraz drogę, by przynieść jej jedzenie, i prowadzi Ramzesów na

spotkanie ze mną, nie muszę więc w ogóle podchodzić do willi.

Dowiadujemy się dzisiaj, że lubi rybę, małego okonia nilowego, natomiast kocury pozostają wierne mleku i okrawkom mięsa. Bardzo bym chciał mieć całą tę trójkę przy sobie, po drugiej stronie rzeki, ale nie byłoby to uczciwe wobec nich ani w stosunku do delikatnych prac, które odkrywam.

Panie Trilipush,

Zainteresuje pana wiadomość, że ze względu na oczywistą rangę znaleziska pana Cartera i lorda Carnarvona w grobowcu Tutenchamona, które bez wątpienia jest jednym z największych odkryć w dziejach egiptologii, pan Carter będzie potrzebował ogromnych środków, by doprowadzić do końca stojące przed nim zadanie: skatalogowanie, konserwację i usunięcie zawartości tego w istocie „przepełnionego” grobowca. Ze względu na te zadania, które na pewno pochłoną panu Carterowi parę lat, kurator Metropolitan Museum oddał do dyspozycji pana Cartera wiele ze środków tej instytucji przeznaczonych obecnie na własne wykopaliska muzeum. A mianowicie pan Lythgoe zaproponował panu Carterowi usługi fotografów, artystów, wykwalifikowanych robotników, filologów, specjalistów z zakresu chemii i kryminologii oraz innych. Jak może pan sobie wyobrazić, znacznie ogranicza to prawdopodobną wydajność profesora Winlocka i obszar, który może on pożytecznie zbadać w rejonie Deir el-Bahari, przynajmniej w obecnym sezonie i być może przez dużą część następnego. Tak więc profesor Winlock był uprzejmy powiadomić mnie, że jeśli Urząd Zabytków chce udzielić czasowych pozwoleń na tereny, które znajdują się poza jego obecnym obszarem badań, to dla dobra nauki, byłby skłonny zgodzić się na tymczasowe okrojenie jego

pozwolenia. Wziąwszy pod uwagę okazane przez pana wcześniej zainteresowanie, chciałbym zaproponować panu ponowne przedłożenie podania. Chociaż Urząd Zabytków zastrzega sobie prawo niewydawania żadnych nowych pozwoleń, to z pewnością rozpatrzy każdy obiecujący i profesjonalnie zorganizowany projekt. Życzę wszystkiego najlepszego i proszę wierzyć, że jestem pana oddanym i wiernym sługą,

Pierre Lacau, dyrektor generalny Urzędu Zabytków

*Poniedziałek, 11 grudnia 1922 r.*

Dziennik: Koty, bank, poczta: a tam czeka na mnie nap<Mte reótanle opóźniona nagroda za cierpliwość, uhonorowanie czasu, który spędziłem na pustyni, kiedy nikt nie chciał mi pomóc! Lacau zaproponował mi w końcu pozwolenie.

Zwolnij i delektuj się tymi wydarzeniami! Popędziłem na stanowisko Cartera, nie oczyściwszy się nawet ze śladów dni i nocy spędzonych w terenie. Kiedy wyruszyłem, by odnaleźć lorda Carnarvona, ból w nodze był nieznośny. Los się w końcu odwrócił, ale cofnąłem się, wróciłem na chwilę do grobowca, by to odnotować, bo w pośpiechu omal nie zapomniałem zabrać egzemplarza *Pożądania i postępu wdtaróżytnym Egipcie*. Właśnie zadedykowałem go: „Lordowi Carnarvonowi, patronowi Egiptu, mecenasowi wiedzy, szermierzowi Atum-hadu, najbardziej twórczej prawej ręce Atuma, od wielbiciela i, ośmielę się powiedzieć, współnika— R. M. Trilipush, 11 grudnia 1922 r.” Zaczynamy od nowa!

Zastanawiam się, czy Lacau nie bierze udziału w rozgałęzionym spisku, który ma na celu złamanie mi serca. Przybyłem na stanowisko

Cartera, ale nie było tam ani śladu jego ani hrabiego, nie było tłumów turystów, panów domagających się możliwości niecnego zerknięcia na Tuta. Zamiast tego grobowiec był z powrotem zamknięty. Zapytałem jednego z licznych strażników, gdzie są jego panowie.

— Jego lordowska mość wrócił z lady Evelyn do Anglii. Pan Carter odwiózł ich do Kairu.

Odpłynęła moja lordowska mość, odpłynęła na wielkiej łodzi. Wydało mi się, że słyszę minoderyjne westchnienie ulgi z ust Cartera, odciągającego ode mnie Carnarvona akurat wtedy, kiedy moja szansa dojrzała, po czym szybko zgniła.

Bank. Pomimo rygorystycznego ograniczenia wydatków jestem prawie bez pieniędzy. Moi mecenasami opuścili mnie. Moi rywale chcą za wszelką cenę ujrzeć moją klęskę. Poczta: wysłałem *Pożądanie i podstęp* i szczegółową propozycję do posiadłości Carnarvona w Anglii, ale to będzie trwało o wiele za długo. Jestem pewien, że tylko to, co dotąd odkryłem, pozyskałoby mi nowego mecenasa. Wracać do domu? Ożenić się z Margaret, nie mając do pokazania nic, co znalazłem podczas mojego pobytu tutaj, nie mając tam pracy, kiedy przy tym ona nadal jest pod wpływem Ferrella? A nawet gdyby udało mi się odnowić jej uczucie, to z czego mielibyśmy żyć? Siedzieć i czekać na wiadomość od Carnarvona? Pokazać mu Komorę Historii w następnym sezonie?

Carter jest w Kairze.

Po raz pierwszy od jedenastu dni śpię w przytulnym pomieszczeniu. Niestety, zostawiłem victrolę 50 w grobowcu, a bardzo pomogłaby mi zasnąć, a tutaj nie ma żadnego gramofonu.

*Wtorek, 12 grudnia 1922 r.*

Dz.: Po porządnym śniadaniu wracam promem na wschodni brzeg, do kotów. PB: nic i nic. Prom i kuśtykanie do Deir el-Ba-hari. Częste odpoczynki. Skończę pracę, po powrocie przedstawię moje znaleziska Harvardowi, odzyskam stanowisko. Albo pójdę do jakiegoś muzeum. Albo na inny uniwersytet.

SIÓDMA KOLUMNA, TEKST: NA BAZIE KOLUMNY ZAPISANA JEST NOWO ODKRYTA KWARTYNA W KLASYCZNYM STYLU ATUM-HADU:

*Mój Pan Szczodrości wraca z pustymi rękami,  
Usprawiedliwia się chorobą, wojną, pechem; jego wygłupy niweczą  
wszystkie moje piany.  
Wezmę jego córkę na jego oczach, będę szydził z jego hańby z pożądaniem  
zmieszanej,  
A potem, skończywszy z nią, utnę mu język i rzucę w pył drogi  
zdeptanej.*

Ilustracja: Pan Szczodrości, korpulentny i o rozbieganych oczach, sprawia sobie sam przyjemność w ciemnym pomieszczeniu, przed figurkami świątynnymi, a w wolnej ręce ukrywa pieniądze króla. W drugiej scenie, bliżej sufitu, rozmawia z mężczyzną, który —jak możemy spokojnie założyć —jest wodzem najeźdźców, Hyksosów.

Oczywista wściekłość króla, w zestawieniu z przedstawieniem dobrze sobie radzącego Pana Szczodrości, który miesza mu szyki, ukazuje rozczarowanie Atum-hadu: zdradzony przez swojego protektora, nie może go znaleźć i zniszczyć. Król miota bezsilne groźby.

ÓSMA KOLUMNA, TEKST: DWIE NOWE KWARTYNY:

*Zadowalał się tą jedną, o innych nie marzył.*

*Jej zdrada dowiodła, że kurwę miłością obdarzył. Zastąpił ją  
w łóżu i sali tronowej*

*Nie jedną, lecz tuzinem kobiet.*

*Onajeót wdretnym krokodylem i opudzcza króla.*

*Kiedy dpotykają kara, on zaczyna hulać.*

*Ona zwida z dujitu i z daleka przychodzą zdradzeni mężczyźni,*

*By dic pociedzać, patrząc na jej płacz i blizny.*

Ilustracja: Niezwykłe. Portret jednej osoby, królowej, nadnaturalnej wielkości, w trzech czwartych. Nawet po kilku tysiącleciach nie można jej odmówić urody. Złości buchającej z kwartyn przeczy to swobodne przedstawienie jej gracji i piękna, jakby była już raczej bolesnym wspomnieniem, a nie żywą istotą. Jest to obraz zapamiętanej miłości albo pragnienia, by istniał jakiś inny świat, gdzie mogliby być razem bez nawału spraw państwowych czy presji czekającej bitwy. Druga kwarty-na wydaje się bardziej wytworem (antazji niż opisem rzeczywistości, ponieważ na ściennych panneau nie ma żadnej wzmianki o tym, że jego żona była torturowana i wystawiona na widok publiczny dla satysfakcji emocjonalnej odrzuconych mężczyzn w królestwie.

DZIEWIĄTA KOLUMNA, TEKST: ATUM-HADU SZPIEGUJE  
SWOICH  
WROGÓW.

Ilustracja: Podczas gdy wódz Hyksosów spiskuje z Panem

Szczodrości, sam Atum-hadu dostaje się, przez nikogo nie rozpoznany, do jego obozu, do jego namiotu i na koniec do jego domu, gdzie leży w jego łóżku, czytając jego najtajniejsze plany.

DZIESIĄTA KOLUMNA, BEZ TEKSTU.

Ilustracja: Prawdopodobnie szkice do malowidła na kolumnie ósmej. Królowa pokazana jest w trzydziestu różnych ujęciach. Czasami widać tylko jej głowę lub ręce. Sam uśmiech artysta próbował oddać tuzin razy. Przedstawiona jest we śnie i przebudzona, siedząca i idąca, w różnych ubiorach, z psami u stóp, piękna i ukochana.

Dz.: KPB. Nic. Z powrotem na zachód. Łóżko jest naprawdę mile widzianą odmianą. Zastanawiam się, czy mógłbym trzymać tutaj koty.

*środa, 13grudnia 1922 r.*

Dz.: KPB. Ktoś (Carter? Finneran? Ferrell?) nastawił kasjerów w banku przeciwko mnie i urządzają mały teatr, rozwodząc się nad moją raną i sprawami higieny, chwytając się wszelkich sposobów, by wypełnić bezprawne rozkazy jakiegoś niewidzialnego wroga, zabraniając mi dalszych codziennych wizyt.

KOLUMNA JEDENASTA, TEKST: ZBLIŻA SIĘ KONIEC.

Ilustracja: Atum-hadu cierpi, siedząc w samotności na tronie, zgięty w pół, trzymając się za brzuch. Po drugiej (północnej) stronie przedstawiony jest z krokodylem wgryzającym się w jego wnętrzności. Oddziały Hyksosów koncentrują się w stu

różnych kierunkach. Wytworny, zadowolony z siebie wódz Hyksosów stoi złowieszczo obok i łypie okiem na skręcającego się z bólu Atum-hadu, co jest być może sugestią, że to jego czary są przyczyną mąk króla.

KOLUMNA DWUNASTA, TEKST: KONIEC.

Ilustracja: Jest noc. Martwego Atum-hadu niesie na ramieniu jedyny, niemożliwy do zidentyfikowania przyjaciel. Niesie go w stronę cudownego, gorejącego grobowca, gdzie czeka Set z sępami. Tymczasem Hyksosi gwałcą, palą i defekują, szturmując pałac. Nie zauważają wymykającego się sprzymierzeńca króla, niosącego jego zwłoki.

Jest to warte paru słów analizy, ponieważ musimy jeszcze wyjaśnić, jak Atum-hadu rozwiązał paradoks grobowca. Z pewnością odkrył on te wykute w skale komory i postanowił zrobić w nich swój grobowiec. Prawdopodobnie sam go urządził i wyposażył w sekrecie przed wszystkimi, być może w ciągu roku albo w dłuższym okresie. Na koniec, opuszczony przez ministrów, armię, kapłanów, Pana Szczodrości, żonę, musiał nada! mieć jednego zaufanego przyjaciela. Przyjaciel ten jest człowiekiem anonimowym, może kimś znanym od dzieciństwa, może dopiero niedawno poznanym i dopuszczonym do królewskiej tajemnicy. Musiał być to ktoś o artystycznych umiejętnościach i bez żadnych ziemskich zobowiązań. Przyjmijmy hipotetycznie, że był to nadworny artysta, którego rodzinę wymordowali Hyksosi i który przyjął w swej niedoli dziwne zlecenie od swojego pana i władcy: w zamian za (a) umieszczenie malowideł na ścianach królewskiego grobowca (prawie na pewno jeszcze za życia króla, który dyktował mu, co ma malować) i (b) zadbanie o to, by natychmiast po śmierci króla przeniesiono tam sekret-



nie jego ciało, pokorny artysta otrzymał — co? Co miałyby dla niego wartość? Złoto? Chroniona przez żołnierzy trasa ucieczki przed Hyksosami? Jakaś magiczna opieka? Musimy o tym jeszcze pomyśleć.

Dz.: KP. Zaczynam się ponownie przyzwyczajać do łóżka, zapomnianego wytchnienia od dymu i stęchlizny grobowca.

*Czwartek, 14 grudnia 1922' r.*

Dz.: Jestem zmuszony wstać i wyjść w pośpiechu, na razie koniec z miękkimi łózkami. Mam to straszne wrażenie, że czegoś zapomniałem, ale zdarza się to dość powszechnie i nie zawsze jest uzasadnione. Uspokajam się nad herbatą miętową w mojej ulubionej *ahwa*.

Poczta — nic. A zatem do kotów.

Margaret, dzień dzisiejszy przynosi jeszcze jedno okrucieństwo którego nie mogę nawet zacząć nie potrafię zapanować nad moim smutkiem. Kwilę jak dziecko, nie mogę o tym pisać, nie mogę w to uwierzyć.

*Piątek, 11 grudnia 1922 r.*

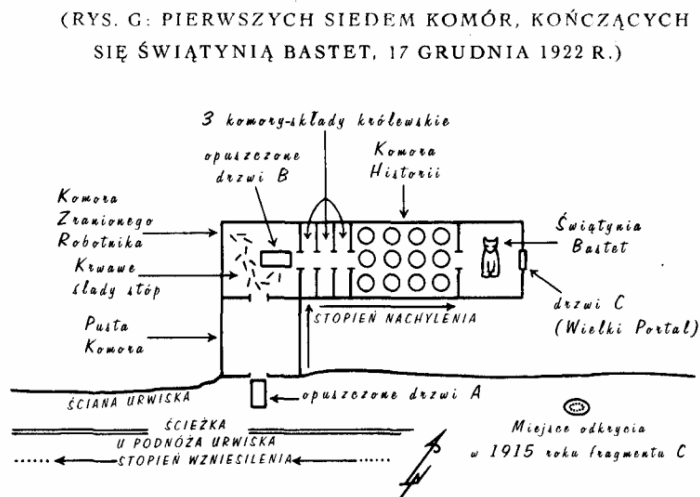
Jak rozpoznałby, kiedy nadszedł koniec? Czy po prostu walczył, dopóki nie padł w boju? A może wiedział o tym wcześniej, przeczuwał to, poniosłszy jakąś konkretną stratę, zobaczywszy, że zostało zniszczone coś, co stało się w tamtym momencie symbolem wszystkiego, co na pewno zostanie zniszczone później?

*Sobota, 16 grudnia 1922 r.*

Praca. Nieszczęsne kiszki.

Nudziela, 1'grudnia. 1922 r.

(RYS. G: PIERWSZYCH SIEDEM KOMÓR, KOŃCZĄCYCH SIĘ ŚWIĄTYNIĄ BASTET, 17 GRUDNIA 1922 R.)



Bastet była oczywiście

kociogłową boginią starożytnego Egiptu i chociaż nie ma o niej żadnej wzmianki w Naukach, jej kultowi poświęcona jest cała jedna komora grobowca Atum-ha-du. Pomieszczenie to, podobnie jak reszta grobowca, jest z historycznego punktu widzenia wspaniale ozdobione, chociaż pod względem artystycznym mniej imponuje. Pośrodku ukazane jest symboliczne zjednoczenie z Bastet w postaci zmumifikowanego kota. Kot wydaje się zakonserwowany w tradycyjny sposób, owinięty bandażami (ozdobionymi dekoracyjnymi motywami sfinksa, sępów i kobry, a także hieroglifami ostrzegającymi przed sercobójczym gniewem Horusa wszelkich rabusiów grobowców, którzy w swej niegodziwości odważyliby się zakłócić spokój tej świątyni), i położony bezpośrednio na gołej podłodze grobowca, co jest być może komentarzem na temat wprowadzonej przez Atum-hadu do tradycyjnych wierzeń religijnych dominacji pierwiastka kociego. A może wynika to z braku mebli

w gorączkowych ostatnich chwilach pochówku króla, kiedy to w pobliżu hasały hyksoskie mały?

Jedyną ozdobą mumii kota jest piękna obróżka w idealnym stanie, czarna skóra ze srebrno-szafirowym wisiorkiem, złożonym na obandażowanej klatce piersiowej biednego stworzenia. Hołd złożony bogini Bastet, owszem, ale być może także bardzo ludzkie, bardzo ziemskie pragnienie pokazania wiernemu zwierzęciu, że było kochane, że ceniono jego obecność, godność i przywiązanie, podziękowania jej za służbę na tym świecie i na drugim. Zęby wiedziały, że była ważna, że zegnano ją ze łzami.

Starożytni wierzyli, że kiedy zamknięto i zapieczętowano grobowiec, zaczynała się tam gorączkowa krzątanina. Posągi i figurki ożywały, malowidła na ścianach stawały się trójwymiarową rzeczywistością, symboliczne ilustracje ukazywały swoje znaczenie, a mumie (co najważniejsze, mumia króla) budziły się ze swojego tymczasowego snu, poczęte i narodzone na nowo, gotowe do podróży w nieśmiertelność. Posągi wojowników (takie jak te, na które natknął się przypadkiem Carter) powracały do życia, by chronić króla. Obrazy przedstawiające pieniądze, jedzenie, wojsko, służące, uroczystości, konkubiny — wszystko to miało służyć królowi. A skoro tak, to ofiara z ludzi czy zwierząt, aczkolwiek niekiedy je składano, była na ogół niepotrzebna w Egipcie. A zatem obecność tego, jak najbardziej realnego, kota oznacza prawdopodobnie, że zmarł jakiś kot z krwi i kości, najprawdopodobniej kot, którego Atumhadu znał i kochał. Prawdopodobnie jest to kot przedstawiony na malowidle w Komorze Historii. Wiedząc to, co wiemy, możemy snuć spekulacje, że król uparł się, by stworzenie to, które uwielbiał i które

uwielbiało jego, siedziało koniecznie na jego kolanach i mruczało przez całą wieczność. Dał jej nieśmiertelność, wyniósł z pozycji kotki do rangi kotki-bogini.

Jest późno. Jestem zmęczony.

*Poniedziałek, 18 grudnia 1922 r.*

PANNEAU K: „ATUM-HADU WYCOFUJE SIĘ Z PAŁACI”

Tekst: Porażka goniła porażkę. Atum-hadu się przygotował. Pod osłoną Nut przewiózł swoje dobra przez Nil, a pewien przyjaciel odmalował historię jego życia na tych ścianach. Powrócił do pałacu. Było tam rojno i gwarno, ludzie cudzołożyli i pili. „Uciekajcie!” — rozkazał Atum-hadu, ale powitali to śmiechem. „Wiecie, co nadciąga?” — zapytał. „Wiemy, i właśnie tak na to poczekamy” — odparli, a on ich pokochał. Złożył przed nim ukłon mistrz muzyków. „Tutaj wszystko jest magiczne”. Atum-hadu pokochał tego szlachetnego człowieka. Objął go w braterskim pożegnalnym geście.

Atum-hadu stwierdził, że jeden z jego kotów udławił się ością i zdechł. Króla ogarnęła taka rozpacz, jakby był staruszką. Król płakał z powodu nieustępliwego wroga, który wybrał go przy narodzinach, płakał jak dziecko, dopóki nie zmorzył go sen.

Dziennik: Kiedy Carnarvon zobaczy te dwadzieścia komór, czekających wciąż na odkrycie w tym ogromnym podziemnym kompleksie — nawet jeśli nie zawierają żadnych innych dzieł sztuki ani skarbów — to taki tajemniczy labirynt usprawiedliwi sam w sobie zorganizowanie drugiej, w pełni finansowanej ekspedycji do Deir el-Bahari. Marlowe i ja mieliśmy niewątpliwie rację — grobowiec jest tutaj albo gdzieś w pobliżu, bardzo

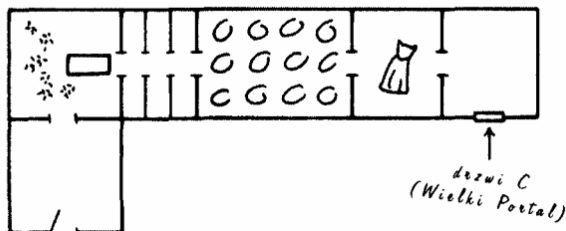
blisko, może zaledwie o wzgórze dalej od tej świątyni historii, a może za bardzo wąpię i pełny grobowiec jest tu t a j , za jeszcze jednymi drzwiami. Dość.

Zabieram się z młotem do drzwi C, chociaż ledwie mogę stać na nodze, którą przeszywa piekący ból, a mój brzuch wypełnia ją ogień i dym. Mam wątłe ręce. Dwie godziny walenia młotem, a rezultatem tego są kamyki rozrzucone po całej świątyni Ba-stet, kurz pokrywający kotkę-boginię. Zaraz idę spać. Ponownie spróbuję otworzyć te drzwi.

Wieczór, jak myślę, i oto, co teraz mam:

(RYS. I: PIKRWSZYCH OSIEM KOMÓR, 18 GRUDNIA 1922 R.)

(RYS. I: PIERWSZYCH OSIEM KOMÓR,  
18 GRUDNIA 1922 R.)



Nadzwyczajne znalezisko, przekraczające najśmielsze marzenia. Komora\_\_\_\_, Sala\_\_\_\_\_. Komora Tajemnic. Sala Magii. Komo

*Wtorek, 19 grudnia 1922 r.*

Dziennik: Ostatniej nocy zasnąłem na podłodze, wyczerpany pracą, i dziś rano mam zdrętwiałą nogę i kark. Dopiero po głośnych krzykach poznałem, że obudził mnie nic kto inny jak Carter. Udało mi się dotrzeć

do drzwi A, zanim wszedł nieproszony do grobowca. Nie powinien był tego robić, stary dureń. Wszedłem, kuśtykając, na zewnątrz, by powitać wielkiego pana, który zrobił sobie przerwę w badaniu swojego okrzyczanego wykopaliska, by złożyć wizytę człowiekowi pracy. Próbując się tutaj wkraść, postawił mnie w niekorzystnej sytuacji, bo mrugałem, niemalże oślepiiony blaskiem słońca.

— Trudno cię tu znaleźć. A więc to prawda, co mówił Carnarvon? Odkryłeś coś szybko-szybko? — zapytał. — Dobry Boże, człowieku, nic ci nie jest? — Carter miał, jak zwykle, chorobliwą obsesję na punkcie mojego zdrowia.

- Po prostu zbudziłeś mnie z głębokiego snu, stary.
- No cóż, gratulacje, Trilipush. Wydaje się, że w tym sezonie bogowie uśmiechają się do nas.
- Owszem.
- Zakładam, że powiadomiłeś Lacau, żeby przysłał tu inspektora. Jak myślisz, co tu masz?
- W stosownej porze, Carter.

Patrzył na otwór po drzwiach A w ten swój paskudny sposób, bez pochwał i uwag krytycznych, tylko spokojne i beztroskie oko, bezcielesne, osądzające.

- Wiesz, znalazłem w swojej karierze więcej pustych nor, niż mogę zliczyć.
- Zgadują nawet potężni, Carter! — Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, słysząc te jego nerwowe spekulacje. — Uzbrój się w cierpliwość, stary. Obejrzyj to razem z resztą.
- Oczywiście. Poproś tu inspektora, Trilipush. Cieszę się, że wiem, gdzie

cię znaleźć, jeśli będziemy cię potrzebowali. Daj mi znać, gdybyś potrzebował mojej pomocy. — Odwrócił się, a potem znowu do mnie podszedł, sięgając do kieszeni; podejrzewałem, że po broń, i przekląłem się w duchu, że zostawiłem w środku mojego webleya. — Omal zapomniałem, po co tu przyszedłem. Przynieśli to do mojego obozu, zaplątane w listach do mnie. — Wręczył mi list od mojej narzeczonej i odszedł, godnie i wyniośle jak zwykle, nie oglądając się, by sprawdzić, czy jego strzały dobrze trafiły. Bóg wie, od jak dawna przechwytywał moją pocztę, ile listów zatrzymał.

29 listopada

*A więc teraz wszystko jest dla mnie jasne. Tata właśnie mi to wyjaśnił i poprosił, żebym podpisała telegram i napisała do ciebie list. A więc proszę: zwracam ci wolność. Muszę być dla ciebie pośmiewiskiem, Ralph. Przypuszczam, że gardzisz mną, dziewczyną zbyt głupią, żeby mogła pojąć, co się dzieje. A więc teraz jesteś wolny. Szczerze mówiąc, muszę ci nawet podziękować, bo przez cały ten czas, kiedy myślałam, że mnie kochasz, byłam szczęśliwa. I chociaż tata mówi, że to nie była prawda, że chciałeś ode mnie tylko jego pieniędzy, to nie jest to takie straszne, bo przez pewien czas miałam wyjść za Angielskiego Lorda i badacza. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię i nie wiem, dlaczego wcześniej nie znienawidziłam. Ferrell, ty i tata, wszyscy jesteście okropni, wszystkich was nienawidzę. Mam nadzieję, że będziesz się cieszył naszymi pieniędzmi i twoim skarbem, i niech was wszystkich diabli wezmą.*

*Margaret Finneran*

*{Wtorek, 19 c) <rudnia 1922 r., ciąg daLzy)*

Drobny pocisk Cartera był niczym, po prostu rozszerzoną wersją twojego telegramu z 29 listopada i takim samym fałszerstwem, chociaż pismo wydaje się twoje. Musieli cię mocno nafaszerować lekami przed tą sztuczką. A najlepszą odtrutką na ten jad jest praca.

Równie dobrze mógłbym być walić młotem bezpośrednio w moją płaczącą stopę, Margaret. Przebiegłem przez dziewiątą komorę i waliłem w następne drzwi, dopóki nie pojawiła się w nich szczelina, a potem zajrzałem przez nią i się rozplakałem. Płakałem, jak myślę, przez wiele godzin. Nie płakałem tak, od kiedy byłem dzieckiem, odkąd przekonałem się, że łzy są najbardziej bezużytecznym, najmniej gaszącym pragnienie płynem.

Wystarczy kawałek księżycy, by cię wyczarować, wyznać ci wszystko.

Co mogę nadal osiągnąć, jeśli wrócę do domu. Do domu? Czy udałoby mi się przekonać cię, byś wróciła do mnie? Potrzebujesz sukcesu. Twój ojciec też. Bez tego nużyłbym cię. Kiedyś byłem, jak myślę, dla ciebie kimś. A po tym odkryciu? Po fakcie sfalszowany telegram stanie się rzeczywistością. Ładna sztuczka.

Co czułaby, gdybym był kimś innym? Jest we mnie mnóstwo możliwości. Czy przeszkadzałoby jej, gdybym był kimś innym? Oczywiście, że tak: szanujemy dobrze urodzonych, dobrze wychowanych zdobywców. Mnie.

Nieważne. Jestem, kim jestem, a ty kochasz tego mężczyznę, więc on wróci do domu, do ciebie. Zacznę od nowa, zabiorę cię ze sobą, od ojca i wszystkiego innego, co cię zatruwa. Spalę te wszystkie papiery i zaczniemy znowu, od zera, daleko od domu. Teraz się prześpię, a kiedy się



obudzę, wyrzucę to wszystko. Nieudana ekspedycja to jeszcze nie koniec świata i nie dowód na to, że się mylę. Prawdziwy grobowiec może być ukryty zaledwie parę jardów stąd. Mogę powrócić, z Carnarvonem albo innym bogaczem. Margaret, nie odtrącisz mnie tylko dlatego, że jestem takim samym człowiekiem, jakim byłem, kiedy wyjeżdżałem, i j e s z c z e nie stałem się kimś większym. Dość. Muszę tylko zarobić pieniądze na powrót do domu i zaczniemy od nowa. Jutro, dwudziestego, zaczynamy od nowa. Jestem zdecydowany. Zgoda? Jutro zostawię to wszystko i o pierwszym brzasku wyruszam na wędrowkę do ciebie, tak jak wędrowałem z Turcji do Egiptu. Zadepeszuję do ciebie, że wracam, proszę cię tylko, błagam, byś czekała, czekała i nie podejmowała pochopnych decyzji. Jesteś dzielna? Bądź dzielna dla mnie, moja słodka dziewczyno. Teraz położymy się spać, twój posążek, który ożył obok mnie. Zamknij oczy, jak za chwilę zamknę ja, mogę ledwie worzyć ocz utro

*Środa, 20grudnia 1922' r.*

Dzień dobry, ukochana! Jakież cudowne, niesamowite, szalone przygody spotykają nas tutaj! Moje odkrycie fantastycznego grobowca Atum-hadu stało się wspaniałą, komiczną farsą, zupełnie rozkoszną! Od czego mam zacząć tę ucieszną opowieść?

Wczoraj, po tym, jak napisałem do ciebie i od razu zacząłem o tobie śnić, dane mi było wszystkiego pół godziny snu. Chwilę potem zerknąłem na zegarek, zanim uświadomiłem sobie, co mnie obudziło —jakiś człowiek wykrzykujący moje nazwisko, coraz głośniejsze odgłosy kroków, kiedy deptał posadzkę bogatego i świętego grobowca Atum-hadu.

Zaledwie mogłem unieść ciężkie powieki, ale każdy, pełen złości zwrot dźgał mnie jak żądło i coraz bardziej rozbudzał:

— Na słone łzy słodkiego Jezusa! Gdzie są moje góry złota? Co to jest, do diabła? Czy to malowało dziecko? — (Muszę nauczyć twojego ojca, by pozbył się tych filistyńskich manier: nie winił artysty, kiedy sztuka mu się nie podoba!) Pokuśtykałem do Komory Historii, a tam był nasz CCF, zuł nie zapalone cygaro, omiatając wszystko wokół światłem elektrycznej latarki mieczem z żółtego pyłu, który opuścił na moją twarz. — Hej, ty tam — krzyknął. — Pan Carter powiedział, że znajdę tu Trilipusha. Gdzie jest Tnlipush, hę? Mówisz po angielsku? Odezwij się, chłopcze! — Bardzo zabawne, M., nie? Myślał, że jestem tubylcem; w ciemnym pomieszczeniu, z brodą i w szacie, w której pracowałem, wziął mnie za jednego z nich! Mogłem powstrzymać język, potrząsnąć głową, ale nie przyniosłoby to porozumienia, które jest tym, czego twój ojciec i ja potrzebow-

liśmy najbardziej, czym się teraz cieszymy, odnowieniem naszej współpracy, silniejszej teraz niż kiedykolwiek przedtem.

Kiedy kilka tygodni temu CCF wyjeżdżał z Bostonu, był prawdopodobnie — i teraz jest to dla nas obu, jego i mnie, zabawne, obaj się z tego śmiejemy, a on zagląda mi przez ramię, by upewnić się, czy przedstawiam w moim dzienniku to wszystko tak, jak było — był prawdopodobnie zły na mnie, a ty o tym wiedziałaś, prawda?

Oczywiście wolałbym (podobnie jak CCF) w ogóle nie wspominać o tym, ale trzeba (CCF się zgadza) wyjaśnić rzecz temu, kimkolwiek on jest, kto sprowadził tu CCF albo wiedział, że tu jedzie. Tak, zanim odnowiliśmy naszą przyjaźń, trzeba było odegrać tę groteskową, ale

oczyszczającą scenę, którą być może ktoś podsłuchał i źle zrozumiał, bo CCF dostał od Cartera wskazówki, żeby szukać mnie tutaj, więc postaram się jak najlepiej zrekonstruować to głupie nieporozumienie, zupełnie takie jak w tych filmowych komediach, które tak uwielbiasz!

- Finneran? Jak mnie znalazłeś?
- Święta matko płaczącego Jezusa! To ty? Co ci się stało?
- Same dobre wieści.
  - Boże, ten Carter. To w niego powinienem był zainwestować.
  - I byłby to straszny błąd, Chester. Nie osiągnął nawet części tego, co mnie się udało za dużo mniejsze pieniądze.
- Co to za piekielny smród?
  - To moja noga, nic wielkiego, taka drobna rana, rozumiesz, ale...
  - Święci Pańscy, co to, do diabła... — Światło latarki twojego ojca zsunęło się teraz z mojej twarzy i powędrowało za ramię. Przeszedł obok mnie, idąc za snopem światła do świątyni Ba-stet. — Co zrobiono temu kotu? — wrzasnął, wrażliwa dusza.
  - To skomplikowane sprawy, Chester. Widzisz, szacunek starożytnych dla kotów miał charakter religijny i...
  - Ty kanalio. Ty podstępny, goniący za złotem draniu. Twoje trujące telegramy...
  - Telegramy? — Byłem zdumiony. Wściekał się — a kiedy to piszę, on z zażenowaniem kiwa głową — wściekał się z powodu tarapatów, w które się wpakował. Margaret, on ma najwidoczniej jakieś kłopoty finansowe. Wiedziałaś o tym, ale może nie zdawałaś sobie sprawy z ich skali. I powinnaś była powiedzieć mi o tym wcześniej. W każdym razie takie kłopoty mogą sprawić, że człowiek gotów jest uwierzyć

we wszystko, czepiać się pozorów, widzieć spisek tam, gdzie działa czysty przypadek,

i tak też było z twoim ojcem: zaczął jakąś absurdalną opowieść o oszczerczych telegramach z Luksoru. Rzucał je nawet na ziemię, po jednym, z nadmiernym dramatyzmem, i kiedy badam je teraz z nim ponownie, jestem na pewno przerażony. Wspominam o tym tylko dlatego, że pewnie słyszałaś już o nich w Bostonie; są to straszne rzeczy, anonimowe donosy do policji, Kościoła, prasy i naszych współpracowników. CCF i ja spalimy teraz te obrzydlistwa, skończymy z tym, chociaż są zasadne powody, by sądzić — obaj zgadzamy się w tym względzie — że strzały te zostały oddane przez kogoś stąd, kto próbował przeszkodzić nam w osiągnięciu sukcesu, atakując jednocześnie CCF w Bostonie i mnie na miejscu. CCF i ja zgadzamy się całkowicie co do tego, że głównym podejrzanym jest Carter, którego tajnym agentem za granicą jest Ferrell.

Twój ojciec był zły, jak wiem, że wiesz, ale naprawdę przybył tu po to — chociaż być może jego dusza nie pozwalała mu się do tego przyznać — żeby zobaczyć nasze odkrycie in situ i przyłożyć bardzo potrzebne, obok finansowych, fizyczne mięśnie do tego, by wykopaliska te stały się rodzinnym triumfem.

- Jakiś geniusz! Ty angielska cioto, powinienem był trzymać się od ciebie z daleka, ale Margaret mówiła, że ciebie właśnie chce, a teraz mi to robisz, ty oszuście.
- To dlatego zmusiłaś ją, by zerwała ze mną?
- Zmusiłem? Chyba zdumiałeś do reszty. Nie trzeba było nic robić. Ma dziesiątki zalotników. Chryste, chce ją nawet ten detektywina, nie może opędzić się od chłopaków, i myślisz, że się poświęciła, rzucając

ciebie?

Oczywiście twój ojciec tylko starał się mnie rozzłościć, co było naturalną reakcją tego biedaka w tych tarapatach, w których się znalazł, tym bardziej że kłamstwa Ferrella i ter Brueggena mąciły mu w głowie. „O, do diabła, nie pisz tego, Pushy!” — powiedział mi właśnie, szelma, próbując sfalszować oficjalne zapiski! Przeprasza cię teraz, że powiedział to wszystko o tobie, i domaga się, żebym zaraz i to zapisał.

— Nie znalazłeś nic do mojej kolekcji? — zapytał. — Miałem nadzieję, że przynajmniej to uda ci się zrobić! A to tutaj — wrzasnął, omiatając światłem latarki przestrzeń za moimi plecami, znowu w Komorze Historii, przyciskając mnie do ściany i wyrażając nieobliczalne straty starożytnym arcydziełom — to malowała jakaś pijana małpa? To ma być orgia? — Przypuszczam, że mówił o piątej kolumnie. — Nie rozśmieszaj mnie — dla czego miałby pieścić żyrafę, skoro ma tutaj dwie dziewczyny? Matko Błogosławiona, te ściany są m o k r e? Mój Boże, skapuje z nich farba! Co zrobiłeś z moimi pieniędzmi? Malowałeś ściany piwnicy? Jesteś stuknięty? — Gdyby ktoś przyprowadził tu Finnerana i nadal czał się gdzieś na zewnątrz i usłyszał t o! Byłby co najmniej bardzo zdumiony. Ale to najprostsze sprawy i CCF uczył się w trudny sposób zasad konserwacji grobowca. Widzisz, te malowidła są oczywiście lśniące, bo zabezpieczyłem je specjalną, natryskowaną celuloidową warstwą, a ona sprawiła, że w świetle latarki CCF wydawały się w i l g o t n e, co jest uroczym, ale wprowadzającym w błąd efektem.

I CCF, zdezorientowany tym, co na pozór zobaczył, wyciągał rękę, by

dotknąć tych niesłychanie wrażliwych, kruchych i delikatnych starożytnych malowideł na powierzchni jednej z kolumn, a ja łagodnie, bardzo łagodnie, nie wkładając w to prawie żadnej siły, lekko, na tyle tylko, by nie dopuścić do tego, że dotknie tej powierzchni, która, całkowicie odwodniona i licząca 3500 lat, rozpadłaby się pod najłżejszym dotykiem, odsunąłem jego rękę laską, ponieważ, choć kopiowałem w moim notatniku wspaniałe arcydzieła malarstwa znajdujące się w tym grobowcu, nadal nie mam możliwości dopracowania naukowej metody konserwacji, która pozwalałaby choćby na jedno przypadkowe muśnięcie tych arcydzieł ciepłym oddechem, nie mówiąc już o przejechaniu po nich łapą olbrzyma, a to mi o czymś przypomina: CCF i ja powinniśmy dzisiaj pojechać po większą ilość środka do konserwacji.

Musiałem się trochę przespać, ale wtedy nie było to możliwe, ponieważ należało zrobić trochę porządku na podłodze, na ścianach i gdzie tam jeszcze, a sama rozmowa z twoim ojcem była wielką przyjemnością, bo od pewnego czasu harowałem pozbawiony jakiegokolwiek towarzystwa. Niektóre z malowideł zostały przez jego niezdarność lekko uszkodzone, więc zgodziliśmy się, że trzeba je odrestaurować, a następnie zająć się sprawami konserwacji. CCF pragnie zrozumieć ten grobowiec i pomóc mi ukończyć pracę. Muszę go dość dużo nauczyć, ale jest zdumiewająco zdolnym studentem archeologii.

W końcu zasnęliśmy po tych porządkach i rano wstaliśmy późno, bo on był wyczerpany po podróży, a ja po pracy, i obudziliśmy się, nadal się śmiejąc z naszego wczorajszego kłopotliwego spotkania i świętując wznowienie jego wsparcia (finansowego, moralnego i materialnego) dla naszej wielkiej ekspedycji. Z

pewnością pracowaliśmy ciężko do późna -w nocy.

— Masz rację, mój chłopcze, ale ciężka praca dobrze nam zrobi! —  
wykrzyknął mój Pan Szczodrości i wysłał mnie do miasta z drobną  
gotówką po żywność i wodę, a także po to, żebym sprawdził pocztę.

**TELEGRAM. BOSTON DO RALPHA TRILIPUSHA, LUKSOR,  
12/19/22, 9.02. DOWIEDZIAŁAM SIĘ OD JP, ŻE TATA JEDZIE  
ZOBACZYĆ SIĘ Z TOBĄ. MOŻE BYĆ ZŁY. PROSZĘ WYBACZ  
SWOJEJ MF.**

Tam czekał na mnie oczywiście telegram od ciebie. Zabawne! Och,  
moja droga, gdybyś wysłała go parę dni wcześniej, nie byłbym taki  
zaskoczony ostatniej nocy. Miałem rację — myślałaś, że nadal może być  
zły.

Możesz być spokojna. On i ja wrócimy razem do Bostonu po  
zakończeniu tej ekspedycji, chyba że postanowi popod różować jeszcze  
trochę samotnie albo zostać na jakiś czas w Egipcie w celach  
turystycznych, albo pozna jakąś damę, dowolną liczbę miejsc, które  
chciałby zobaczyć. Nie, oczywiście musimy wrócić razem, oczekujesz nas  
obu, teraz, kiedy tu jesteśmy. I prosisz mnie o -wybaczenie, moja  
ukochana.

**TELEGRAM. LUKSOR DO MARGARET FINNERAN,  
BOSTON, 20 GRUDNIA 1922, 11.17.  
OJCIEC PRZYBYŁ BEZPIECZNIE. MAMY SIĘ DOBRZE I  
PRZESYŁAMY  
CI WYRAZY MIŁOŚCI. ON JEST ZACHWYCONY NASZYM**

**ZNALEZISKIEM. ZOSTANIE TROCHE, ŻEBY MI POMÓC.  
PROSI,  
ŻEBYŚ SIĘ NIE MARTWIŁA. TWÓJ KOCHAJĄCY RALPH  
KOCHA CIĘ  
BEZMIERNIE.**

TELEGRAM. LUKSOR DO MARGARET FINNERAN.

BOSTON, 20 GRUDNIA 1922, 11.21.

ZNALAZŁEM TWOJEGO RALPHA. WSZYSTKIE  
NIEPOROZUMIENIA

WYJAŚNIONE. NIE MARTW SIĘ, TO FAJNY FACET. ZOSTANĘ  
TROCHE, ŻEBY POPRACOWAĆ POD JEGO WSPANIAŁYM  
KIEROWNICTWEM, TWÓJ OJCIEC, CCF.

PANNIAU K, CIĄG DALSZY: „ZDRADA ATUM-I I ADU”

Tekst: „Zdradziłeś mnie — powiedział król Atum-hadu, spokojny mimo złości i bólu, stanąwszy w końcu w pałacu twarzą w twarz z Panem Szczodrości. — Opuściłeś mnie, chociaż ci ufałem. Obróciłeś królową przeciw mnie, jej panu i władcy, odwróciłeś jej serce od prawości. Osłabiłeś moje siły i moje armie tak, że nie możemy już walczyć”. Król się zawahał. Litość, miłość i jego łagodna natura powstrzymywały go przed słuszną zemstą.

Ale Pan Szczodrości wściekał się, okazywał ambicję, pragnienie władzy i zawiść, którą odczuwał wobec Atum-hadu. Wykrzykiwał złościwość, kłamliwe oskarżenia. Okazał się nie drugim ojcem króla, ale podstępna żmiją w kołysce niewinnego dziecka.

I Pan Szczodrości, ogarnięty szaleństwem, rzucił się z pięściami na



króla i porwał płonąca pochodnię ze ściany, i zamierzył się nią, buchając ogniem i dymem, na ziemskie wcielenie Atuma. „Przestań, głupcze! — krzyknął Atum-hadu, wycofując się do spowitych mrokiem pustych pomieszczeń pałacowych. Nadal nie chciał używać przemocy przeciwko swojemu byłemu przyjacielowi i doradcy. — Nie pojmujesz, jakie szkody wyrządzasz. Nie masz pojęcia, co ryzykujesz. Jest jeszcze czas, by ocalić to wszystko” — krzyczał król z ciemności. Ale Pan Szczodrości nadal go szukał i atakował jak ranny lew, więc Atum-hadu, mimo ran odniesionych w walkach z Hyksosami, mimo gniazda kobr kłusujących jego wnętrzności, plujących za nim gorącym jadem, nie miał wyboru.

Nie miał wyboru. Ten największy ze wszystkich królów uniósł swój młot bojowy i Pan Szczodrości uderzył o kolumnę, a ogień jego pochodni przygasł; król opuścił tylko raz swoją broń na głowę wroga, z niedużą siłą, a Pan Szczodrości, wyższy i grubszy niż król, stanął zdumiony, gdy z jego tłustej, łysej skroni zaczął płynąć strumień gorącej, czerwonej krwi. Jeszcze teraz król proponował pokój, ale ten łotr skoczył na niego, więc Atum-hadu znowu opuścił swój młot bojowy i Pan Szczodrości wypuścił z ręki pochodnię, a Atum-hadu podniósł ją i zasypał łotra gradem ciosów, tłukąc go na zmianę młotem i pochodnią, a żar pochodni pokrywał skórę łotra bąblami, a potem spadał na nią młot i gorące bąble bulgotały krwią, a na mięknącą głowę zdrajcy spadały kolejne ciosy, cios za ciosem na sflaczałą głowę, rozciągnięte członki i przesiąknięte krwią ubranie. Atum-hadu siadł na brzuchu powalonego jak kobieta, która siada na swoim kochanku niczym kura. Atum-hadu zadawał ciosy przez wiele minut, aż osłabły jego ramiona, a oczy zamknęły się, sklezione krwią. A potem Atum-

hadu zobaczył, że jest bardzo samotny, a jego brzuch rozdziera ból, jakiego jeszcze nie zaznał.

I nagle Atum-hadu zrozumiał, że nadszedł koniec wszystkiego. Nie ocaleje nic, co kochał. Wszystko zostanie zapomniane albo źle zrozumiane.

Wybiegł na światło pałacowego dziedzińca, zobaczył krew na swoich szatach, na młocie i na pochodni i padł na ziemię, i płakał z powodu kierunku, jaki przyjął bieg wszystkich spraw.

Ilustracja: Zaczynający się pod sufitem długi tekst zostawia niewiele miejsca na ilustracje. Kopiowanie i tłumaczenie tego tekstu zajęło mi większą część dnia. Postęp prac spowalniało wyjaśnianie CCF systemu hieroglifów i gramatyki, ale trud ten się opłacał, ponieważ zaczyna on pojmuwać wielkość naszego odkrycia.

Później uprzątnęliśmy z Chesterem trochę tego bałaganu w grobowcu. Zająłem się panneau K i pospiesznie odrestaurowałem część uszkodzonych, rozmazanych i poplamionych malowideł i tekstu, które ucierpiały wczoraj z powodu głupoty Chestera. Poszedłem trochę w dół ścieżki, by przez beznadziejne pół godziny starać się ulżyć mojemu pulsującemu bólem brzuchowi. Błądziłem myślami, bo tyle zadań domaga się pierwszeństwa. Wróciłem do grobowca. Spaliłem parę rzeczy w pierwszej komorze, patrzyłem, jak przez otwór wejściowy wydobywa się dym na wieczorne niebo. CCF bardzo intryguje, jak się to wszystko robi. Służy mi pomocą. Jest bardzo ojcowski. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spałem najwyżej pół godziny. Naprawdę muszę się teraz przespać, chociaż dręczony zapominam zostawiam coś niezrobionego wymaga natychm uwg. CCF, o czymś zapominam? Nie, iść spać. Dobrze.

Kładę się, ale potem zaraz znowu podrywam, bo słyszę głosy w przedniej komorze, ale to ni

*Czwartek, 21 grudnia 1922 r.*

Dziennik: Czytelniku, ojciec mojej narzeczonej przyjechał do Egiptu, żeby na miejscu pomóc w tej ekspedycji, i dzisiejszego ranka daję mu kilka prostych zadań, które, jak ufam, wykona poprawnie w grobowcu Atum-hadu, podczas gdy ja mam coś do załatwienia gdzie indziej.

Widzę wiele zmian na stanowisku Cartera. Zgodnie z obietnicą, ekspedycja Metropolitan Museum oddała mu do dyspozycji wszystkich i wszystko, kogo i czego potrzebuje. Miał bandaż, perkalu i 'watoliny do owijania znalezisk, w miarę jak wyłaniają się spod ziemi. Samochód. Opływa we wszystko, ma pomoc, robotników, wielbicieli i przyjaciół (choć człowiek zastanawia się ze współczuciem, jak potrafi odróżnić osoby szczerze od pochlebców). No i znowu są tam tłumy turystów, nawet drodzy Len i Sonia Nordquistowie w pierwszym rzędzie, aż wstyd mi o tym pisać, przymilają się i robią sobie zdjęcia z tym wielkim człowiekiem. Spowija Cartera otoczka niewyobrażalnego sukcesu, ale on sam zupełnie się nie zmienił. Nadal nosi się w ten swój wyniosły sposób, promieniuje tą tajemną wiedzą, która przesłania ci oczy mgłą, kiedy starasz się patrzeć wprost na niego. Mówi po arabsku z miejscowym akcentem, nie ma na nim ani śladu pleśni czy stęchlizny zakurzonej akademii. A jego maniery nie zmieniają się, nawet kiedy mówi w obcym języku. Jak znosi ten sukces!

— Hej, ty tam. Pobiegnij zapytać pana Lucasa, czy ma wszystko, co jest mu potrzebne — poleca mi po arabsku w chwili

li, kiedy wtykam głowę do jego namiotu, by się przywitać.

Kłaniam się i robię, co polecił — co innego mogę zrobić? Lucasa łatwo jest znaleźć. Jest specjalistą z zakresu chemii. Wypożyczonym przez rząd egipski, jeszcze jednym ekspertem kłaniającym się nisko wielkiemu przywódcy, podsycającym nienasycony płomień ego Cartera.

— Tak, dziękuję, wszystko jest na miejscu — odpowiada Lucas.

Odnajduję go, jak organizuje laboratoria kilkaset jardów dalej, w grobowcu 15, opróżnionym dla wygody króla Howarda. A tam jeszcze większa przesada: parafina i środki konserwujące w opatrzonych etykietami i ponumerowanych czerwonych puszkach, kleje i rozpuszczalniki, nieskończone i wieloczłonowe nazwy chemikaliów, niezrozumiałe w różnych kombinacjach, trupie czaszki na etykietkach, jakby Lucas był magiem albo Strażnikiem Tajemnic, wosk, nadmiar, nadmiar wszystkiego: rząd za rządem najprostszych produktów, narzędzie za numerowanym takim samym narzędziem, wszędzie dodatkowe zapasy, wymiociny z obżarstwa, jakby Carter, przymknąwszy po prostu oczy i wyobraziwszy sobie swoje pragnienie, dostawał wszystko, co zechce, od jakiegoś pochlipującego dżinna.

— Uważaj, chłopcze, żebyś tego nie rozlał na skórę — krzyczy Lucas kiepską arabszczyzną, wręczając mi butle, które mam odnieść jego panu.

Widzisz, mają to nawet sługusy Cartera, tę wewnętrzną wiedzę, którą nie raczy się nawet z nikim podzielić, bo wie, że nigdy nie potrafiłbyś zrozumieć jej złożoności. Im wcześniej przestanie o tobie myśleć, tym lepiej, tym wcześniej wróci na tę wysokość, na której jego myśli toczą się

niepojętymi torami.

*Piątek, 22 grudnia 1922 r.*

Dzisiaj spałem na powietrzu, na wzniesieniu, a łóżko odstąpiłem CCF. Woląłem dać mu tam trochę prywatności. Za ciasna kwatery, żeby dzielić ją z drugą osobą.

Dzisiaj Carter otworzył tę swoją przeklętą dziurę dla prasy i nie wiem, dlaczego to sobie robię, widok tych gapiących się turystów, słuchanie tego gładzenia o pomniejszym królu, powinienem po prostu odejść, ale działa to na mnie jak zabójczy śpiew syren, znowu więc wszedłem do grobowca Cartera, żeby się rozejrzeć, w towarzystwie sarkastycznego amerykańskiego dziennikarza, który nazywał mnie Mohammedem. To jest naprawdę okropne: Tut odznacza się tą samą przesadą, co jego wytworny akolita. I zobaczyć tam Nordquistów, którzy wrócili, by znowu popatrzeć na tę cukierkową przesadę, robiąc z czystej uprzejmości wyrażające podziw miny; nie mogłem się zmusić, żeby z nimi porozmawiać, i to pomieszczenie, ten magazyn w grobowcu tego parweniusza, ten groteskowy pokaz, ta sterta śmieci, te szaty ze skóry lamparta, ubrania upstrzone złotymi cekinami, posągi, sandały z sitowia i papirusu, ta sofa na rzeźbionych nogach, bumerangi, pojemniki na posiłki w kształcie związanych kaczek, słoiczki z perfumami, toaletki, kosze nieużywanej bielizny, świeczniki w formie małych krzyżyków egipskich, to bogato zdobione, tamto w jajowatym kształcie, a tamto w kształcie lotosu, złote różności, cepy, laski i berła, meble przedstawiające króla w postaci lwa deptającego wrogów, powożącego rydwanem w towarzystwie swoich przodków, tysiące paciorków do nanizania, nawet tylko j e d e n z

tych przedmiotów byłby wystarczającą nagrodą za lata pracy Cartera, pieniądze Carnarvona, nie mówiąc już o pieniądzach twardego Finnerana. I to wszystko dla tego nic nie znaczącego królewiatka, aż robi się od tego niedobrze, te bogactwa upchane tam bez ładu i składu, człowiek aż czuje się przez nie przytłoczony, jakby potrafił sobie wyobrazić wszystkie te skarby i meble naciskające całym ciężarem na niego, spowitego bandażami mumii, miażdżącego niczym koła tego wojennego rydwanu grudkę gliny, przyprawiające o mdłości. Ten amerykański dziennikarz zgodził się ze mną.

*Sobota, 23grudnia 1922 r.*

Carter jest naprawdę megalomanem, zgadzamy się co do tego z CCF. O nie, nie będzie zadowolony, dopóki wszyscy nie będą go podziwiać i pracować dla niego, a przy tym ze wszystkiego robi dramat. Możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy dzisiejszego ranka odkryłem z mojego legowiska na szczycie urwiska, że w stronę mojego grobowca kroczy ścieżką posterunkowy. Przysłał go pan Carter, by „upewnić się, że wszystko jest tutaj w porządku”. Tak, dzięki, zupełnie jakbym potrzebował pomocy Cartera przy pilnowaniu mojego grobowca.

— U pana Cartera grasowali jacyś złodzieje i chciał się do wiedzieć, czy i pan nie poniósł strat?

Oczywiście! Carter jest niezdarny, gubi coś w swoim chaotycznym spisie i trzeba wezwać policję, zakładając, że jakiś sprytny włamywacz sprawia kłopoty również wszystkim rozsądnym archeologom w Egipcie. Roześmiałem się i odprawiłem policjanta ruchem ręki, ale chciał mi

opowiedzieć o włamywaczu w domu Cartera, o zniknięciu tego i tamtego i o plamach na pościeli Cartera.

- Czy tutaj wszystko w porządku?
- Och, na miłość boską, oczywiście, że tak, złotko.
  - Mógłbym rzucić okiem na pana wykopaliska? Ja sam jestem po trochu archeologiem-amatorem.

Mogę jedynie zagrozić drogę temu idiocie, wzbijającemu kurz swoimi krokami, do drzwi A.

— Jest pan ranny? Czy chce mi pan o czymś powiedzieć? —

I inne głupie pytania egipskiego posterunkowego — żółtodzioba, działającego jako szpieg Cartera.

Odprowadzam w końcu agenta mojego rywała i debatuję z CCF o niezliczonych czekających nas zadaniach; trzeba wykonać jeszcze dużo pracy, by zachować w niezmiennym stanie wnętrze grobowca, zrobić poprawny jego plan i znajdujących się w nim przedmiotów, pokryć środkami konserwującymi niezabezpieczone malowidła, dokończyć przepisywanie inskrypcji ściennych. CCF jest wspaniałym pomocnikiem.

Wylądowałem w Aleksandrii 24 grudnia, Macy, i następnego dnia, w Boże Narodzenie, chociaż w Egipcie trudno jest zauważyć, że to święto, pojechałem pociągiem do Kairu. Pracowałem szybko: nasz człowiek faktycznie był w Hotelu Sfinksa i opuścił go 26 października, zatrzymując apartament do swojego powrotu, a więc przynajmniej do tej daty raporty, które wysyłał do Bostonu, były prawdziwe. Recepcjonista powiedział też, że również Finneran był w tym hotelu, zatrzymał się tam dziewięć dni przede mną. Ja natomiast spędziłem wieczór 25-ego, wieczór bożonarodzeniowy, w gospodzie. Ale nie było tam mówiących ludzkim głosem osłów.

*Niedziela, 24 grudnia 1922 r.*

Praca. Nieszczęsne kiszki. Gramofon nie pomaga. Praca jest ciężka. Człowiek zaczyna przy niej myśleć o nieśmiertelności. Przypuszczam, że dla przeciętnego człowieka egipska koncepcja nieśmiertelności jest najgłępszym zabobonem. Ale jest tak tylko dlatego, że zmieniło się nasze pojęcie życia wiecznego, bez względu na to, czy jesteśmy chrześcijanami czy nie. Chociaż zgadzamy się z naszymi przodkami znad Nilu, że nieśmiertelność jest wciąż największym osiągnięciem ludzkości (ważniejszym niż miłość czy reputacja poczciwości, jaką cieszy się cnota, o wiele ważniejszym niż przyjaźń), to nie jesteśmy na tyle szaleni, by uważać, że nasze ciałą przenoszone są w życie pośmiertne. Używamy innych słów — „zbawienie duszy”, „wieczna chwała”. Nazwij to, jak chcesz, ale nadal wszyscy mamy nadzieję, że nasze imię będzie rozbrzmiewało jeszcze długo po tym, jak zostaną zapomniane imiona ludzi gorszych od nas i imiona naszych prześladowców. (A najwspanialej jest wtedy, kiedy stanie się to, zanim skończy się ich życie ziemskie, zęby mogli poczuć, jak znika ostatnie wspomnienie po ich imionach, kiedy oni jeszcze oddychają i wiedzą, wiedzą, ter Breuggen, że kiedy zostaną odkryte ich rozkładające się zwłoki, będą tylko anonimową skórą i włosami, które wkrótce staną się anonimowym prochem, podczas gdy inni staną się gwiazdami i słońcami.) Nie znam nikogo, kto nie marzy o tej wieczności, nawet jeśli utrzymuje, że nic go ona nie obchodzi. Świat pełen jest łuków tryumfalnych i ludzi niższych rangą, gadatliwych artystów, denerwujących się, czy ich dzieła przetrwają, poetów popełniających samobójstwo, by zapewnić sobie sławę, testamentów i aktów ostatniej woli, za których pomocą kieruje się poczynaniami spadkobierców,



nazwisk wyczytywanych co roku w kościołach i synagogach, ozdobnych grobowców i słów „kocham was” wypowiedzianych na łożu śmierci, zapisów na rzecz różnych instytucji, fundacji imienia darczyńców, pieniędzy pozostawianych partiom politycznym i organizacjom dobroczynnym. Nie podlega dyskusji, że nadal jesteśmy bardzo egipscy.

Nie jestem idiotą. Wiem, że kiedy przyjdzie na mnie czas, umrę. Nie będę brzdąkał na jakimś instrumencie strunowym w kształcie skrzydła ani nawet (o czym marzyłem, kiedy byłem chłopcem) delectował się gorącymi, cielesnymi rozkoszami wysadzanych palmami, strzeżonych przez Anubisa, wspieranych przez Izydę zaświatów. Mówię o czymś lżejszym, doskonalszym, intelektualnie i duchowo niepodważalnym i niewyczerpywalnym. Dla nas nieśmiertelność, chociaż bezcielesna, nie jest pozbawiona świadomości, świadomości dokładnie w momencie zgonu naszych ciał, która uniesie nasze imię.

CCF zgadza się ze mną.

*Poniedziałek, 25grudnia 1922 r.*

Dziennik: Brzuch protestuje, jakbym połknął ostre noże, ale kontynuujemy z CCF pracę do późnego popołudnia. Potem wynoszę śmieci, opróżniam kubły, palę to i tamto.

Margaret: Właśnie miałem gościa. Minęło trochę czasu, odkąd z kimś rozmawiałem. To znaczy oprócz tego gaduły, twojego ojca.

Przyszła się ze mną zobaczyć, miła staruszka. Akurat opróżniłem kubły. Pojawiła się, kiedy byłem bardzo zmęczony, goniłem resztką sił, siedziałem przed grobowcem i masowałem bolące udo.

— Drogi chłopcze, powiedziano mi, że cię *tu* zna/dę.

Myślałem, że majacę — nagle ukazanie się jednej z osób,

które najbardziej chciałbyś zobaczyć. Była dla mnie taka miła na tym statku. Osłoniła oczy przed blaskiem słońca i weszła na ostatnie stopnie, unosząc staromodną suknię, by z zadziwiającą łatwością przejść przez głąz.

— Drogi Ralphie, źle wyglądasz. Co ci się stało?

— Nic. Szukam. Pracuję pełną parą. Dokonałem niezwykle go odkrycia.

Usiadła na skale obok mnie, złapała oddech, wzięła mnie za rękę. Gdyby była tobą, padłbym jej w ramiona.

- Biedny chłopcze, spójrz na siebie. Bardzo schudłeś.
- Lepiej opowiedz mi o sobie, Soniu, co widziałaś na tej wyprawie życia. Grobowce Ramzesów? Ten cyrk tam w dole, w tej dziurze Cartera?
- O rany, jesteś trochę zazdrosny, prawda? Nie musisz, wierz mi. Widzę te rzeczy tak wyraźnie. To nieważne.

- Co jest nieważne?

- To wszystko. Zobaczyłam w tym kraju więcej, niż miałam ochotę zobaczyć. Zimno tu i ciężko. — I nagle to ona łkała w moich ramionach, drżała, a potem równie szybko miała dość i wyprostowała się, ocierając twarz. — Widzisz, straciłam Lena, zaledwie dwa dni temu. Wszystko tutaj dzieje się tak szybko. — Spojrzała na zachód, na urwiska przechodzące łagodnie w pustynię. — Na tych bezkresnych przestrzeniach, w zetknięciu z tysiącami lat historii, życie ludzkie wydaje się takie ulotne. Jutro zabieram go do domu. Wyglądasz, jakbyś czuł się tak jak ja. Lubił cię, wiesz? Bardzo. Powiedział to tej pierwszej nocy na statku. Mam nadzieję, że te duchy nie wysłały cię w złym kierunku. Nie

można brać ich zbyt poważnie. Bawią się naszym kosztem, wiesz. Kiedyś też były ludźmi, a śmierć nie czyni cię mądrzejszym. Albo uczciwym. Czy interesującym, jak myślę teraz, kiedy przypomnę sobie o tych wszystkich nudnych rozmowach, które Len i ja prowadziliśmy z nimi. Skończyłam z duchami.

- Biedny Len. Biedna Sonia.

- Wiesz, mógłbyś ze mną wrócić. Mogłabym skorzystać z twojej pomocy. Tyle trudnej pracy mnie czeka. Moje dzieci mieszkają za daleko, są zbyt zajęte.

- Z pomocy?

- Zęby odwieźć Lena do domu. Zobaczyłbyś nasz letni dom nad jeziorem. Tam jest tak spokojnie. Wiesz, zimą jest tyle śniegu do odgarniania sprzed domu. Robił to Len, a nie mogę prosić dzieci o pomoc. Och, drogi Ralphie, jedź ze mną i uchron mnie przed tym wszystkim. Doprowadzimy cię do porządku

w moim hotelu, sprawimy jakieś ubranie, sprowadzimy lekarza, żeby obejrzał tę nogę, a potem ocalisz tę staruszkę, która cię tak bardzo potrzebuje.

Margaret, jeszcze parę dni temu pojechałbym, jeszcze parę dni temu. I mógłbym do ciebie zadeszować, żebyś tam do nas dołączyła.

Zaopiekowałibyśmy się nią w jej pełnym zakamar-

ków domu, lato spędzilibyśmy nad jeziorem, uprawiając ogród.

Opiekunowie świeżo po ślubie w tym drugim domu, chodzą na rynek, gotują. Naprawiają to i owo. Mnóstwo czasu na czytanie, grę w tenisa, wycieczki łódką. To by wszystko rozwiązało.

- Jestem zbyt blisko końca, Soniu, zbyt blisko mojego odkrycia. Tak

strasznie blisko.

- Oczywiście. Oczywiście, drogi chłopcze.
- Mozę mógłbym przyjechać później, kiedy tutaj skończę.
- Byłoby znakomicie. Bardzo bym się ucieszyła. Chyba że się jeszcze raz nad tym zastanowisz i pojedziesz od razu, teraz, po prostu pójdziesz ze mną...

Ruszyła z powrotem skalną ścieżką. Siedziałem przed drzwiami grobowca, zbyt wyczerpany, żeby wstać. Odwróciła się i pomachała do mnie, schodząc krętą ścieżką. Kiedy skryły ją skały, mogłem sobie wyobrazić, że myśli, iż widziała mnie po raz ostatni, ale potem ścieżka skręciła i Sonia pokazała się znowu, mniejsza. I zaskoczona, że znowu ma mnie na widoku, znowu pomachała. Zatrzymała się jeszcze raz, zupełnie mała, drobna postać daleko w dole, i pomachała białą chusteczką.

Odgarnianie śniegu.

*Wtorek, 26 grudnia 1922 r.*

Spędziliśmy z CCF cały dzień na czyszczeniu, analizowaniu komory 8, odczytywaniu inskrypcji ściennych i ilustracji. Robiłem pomiary wyposażenia i tak dalej.

*Środa, 27 grudnia 1922 r.*

Dzisiaj Carter zaczął wydobywać na światło dzienne to, co tylko kilkoro wybranych widziało pod ziemią, ale wyciąga to przed czekające tłumy i kamery w makabryczny sposób, jakby stał się księciem śmierci. Nosze, bandaże — to wizja ostatniej wojny. Z kształtu

owiniętej postaci, wylaniającej się teraz pod komendą Cartera, wnioskuje, że jest to dzierzący włócznię posąg, który widziałem w grobowcu, ale obandażowany od stóp do głów', jakby płuca starożytnego wojownika pieniały się od gazu musztardowego, a jego oczy płakały brązowymi, zmieszany z piaskiem, łzami. Zbyt rozbudowany pokaz — najmniejsze skrzynki wynosi trzech mężczyzn, którzy zmierzają potem do jaskini Lucasa, gdzie każdy wyszywany paciorkami pantofel zostanie spryskany, sklejony i odrestaurowany w tej potężnej fabryce zabytków, pomniku próżności jednego człowieka, tym zbezczeszczeniu miejsca, gdzie biedny, młodociany król miał nadzieję zaznać spokoju.

Następnego dnia popłynęliśmy statkiem na południe i 27 grudnia przybiliśmy do nabrzeża w Luksorze. A propos, Macy, masz wolną rękę, jeśli chcesz dodać trochę miejscowego kolorytu: upał, wielbłądy, tubylcy, te rzeczy. Ja nie mam do tego talentu, ale myślę, że to przyciągnie pewną kategorię czytelników, a ludzie filmu z miejsca to podchwycą.

27-ego wybrałem się pod podmiejski adres, który Trilipush zostawił w swoim kairskim hotelu w celu przesyłania mu korespondencji. Zamiast Trilipusha willę wynajmowało dwóch amerykańskich dziennikarzy, którzy urządzili tam sobie kwaterę główną dla wysyłania depesz o królu Tucie. Wprowadzili się do niej 10 grudnia. A czy kiedykolwiek słyszeli o archeologu nazwiskiem Trilipush? Jeden z nich roześmiał się sarkastycznie:

- Popularny facet.

Tydzień przede mną pojawił się inny dżentelmen i zadał to samo pytanie. Co mu powiedzieli?

- Powiedzieliśmy, że jeśli jest archeologiem, to powinien go znać Howard Carter, aleja nigdy nie słyszałem o twoim chłopaku, szefie.

Wy tłumaczyli mi, jak znaleźć stanowisko Cartera, i z zadowoleniem przyjęli trochę grosza; gdyby znowu wyniuchali Trilipusha albo Finnera-na, mieli się natychmiast skontaktować ze mną w hotelu w Luksorze.

- Tak, szefie, na pewno się skontaktujemy!

Poszedłem na to wielkie widowisko: tłum robotników i turystów uświetniał odkopanie grobowca króla Tutenchamuna. Otóż, Macy, jednym z wielkich pożytków z mojej pracy jest ogromna różnorodność fascynujących ludzi, których miałem szczęście spotkać. Howard Carter był facetem koło pięćdziesiątki, kiedy go poznałem, godnym podziwu. Nie pochodził z wyższych sfer, z zamożnego i uprzywilejowanego rodu, jak Trilipush i Marlowe, nie był nawet bogaty. Był wnukiem strażnika łowieckiego, ciężko pracował, ciężko studiował, nauczył się tego, co mu było potrzebne, żeby wyróżniać się w swojej dziedzinie, i dzięki inteligencji, wytrwałości i szczęściu dokonał tego zwycięskiego odkrycia, o którym wie teraz wszystko cały świat, i słusznie. To całe wudu z mumiami, połamane meble, naszyjniki i cały ten majdan nie bardzo mnie interesuje, a odrobina tego, którą tamtego dnia pokazał mi Carter, była w porządku, ale odrobina wystarcza. Tak naprawdę interesował mnie sam Carter. Należał do tego samego rodzaju ludzi co ja - takich, którzy wszystko zawdzięczają sobie, uczciwych. I był Anglikiem, ale nie z tych, co nie mogą ci wybaczyć, że ty nim nie jesteś. Widziałem, jakim szacunkiem darzyli go Egipcjanie. Nie wspominając już o tych tłumach dziennikarzy, fotografów, turystów, potencjalnych pomocników i wielbicieli, chociaż zupełnie się nimi nie przejmowałem. Kiedy pytałem go o jego pracę i o Trilipusha, nie mogłem oprzeć się myśli: oto facet z ubogiego domu, przyzwoity, nie jakiś arystokratyczny przestępca, szkoda, że skandal, który tu niebawem wybuchnie,

odwróci uwagę świata od jego pracy i skupi na mojej.

Carter faktycznie spotkał parę razy Trilipusha i w istocie Trilipush pracował nad czymś pełną parą, ledwo wiążąc koniec z końcem, ale po drugiej stronie tych skał, powiedział Carter, wskazując na monstrualnie wielką ścianę tej diabelskiej doliny. A więc w opowieści Trilipusha było nawet więcej prawdy. A około tydzień temu, mówi Carter, szukał Trilipusha inny facet, Amerykanin. Jemu też powiedział, gdzie może go znaleźć, i gość poszedł z jednym z ludzi Cartera jako przewodnikiem. Kiedy Carter widział Trilipusha ostatni raz? Tego samego dnia, kiedy tamten Amerykanin go szukał, przed tygodniem. Tego ranka do poczty, którą przymosł jeden z chłopaków Cartera, został przez nieuwagę dołączony list do Trilipusha, a ponieważ Carter był ciekaw, co znalazł Trilipush, osobiście odniósł ten list do Deir el-Bahari. No i? No i Trilipush był brudny, utykał z powodu zranienia nogi, pewnie był niezupełnie zdrow, ale „szalenie podniecony swoim znaleziskiem”. Absolutnie nie chciał pozwolić Carterowi zajrzeć do grobowca i tyle. Carter wrócił do swojego obozu i parę godzin później odnalazł go ten Amerykanin, pan Finneran, który pytał o Trilipusha.

- Zacząłem się czuć jak osobisty sekretarz tego człowieka, a jestem w końcu dość zajęty swoją pracą.

Zrozumiałem, że chce się ze mną pożegnać, przyjąłem to z szacunkiem, uścisnąłem rękę tego wielkiego człowieka, podziękowałem mu serdecznie, że poświęcił mi swój cenny czas, i przeprosiłem, że mu zawracałem głowę. Wróciłem do miasta, żeby wynająć sobie przewodnika, który pomógłby mi znaleźć stanowisko Trilipusha.

No i co myśleliśmy w tej chwili, Macy? Myliłem się. Przyznaję to teraz i przyznałem wtedy: Trilipush powiedział szczerą prawdę - na pewno był tam

skarbu i Trilipush tydzień wcześniej był tak blisko niego, że nawet nie pozwolił wielkiemu Carterowi obejrzeć stanowiska. Tego samego dnia musiał go odnaleźć Finneran. Miałem do nich dokładnie tydzień straty i trochę nad tym bolałem, bo nie wiedziałem, gdzie przebywają. Nie dawałem wiary podejrzeniom OToole'a, że Finneran przybył tu, żeby zabić Trilipusha i ukraść złoto, chociaż nigdy nie można mieć całkowitej pewności, jak zachowa się człowiek pod presją. Bardziej prawdopodobne było to, że mając przed sobą błyszczące złoto, ci dwaj zmienili swoje nastawienie, pogodzili się, Finneran z ulgą zapomniał o wszystkim, co tak cierpliwie pomagałem mu dostrzec, i teraz ten morderca razem ze swoim naiwnym przyszłym teściem, dzięki tygodniowej przewadze nade mną, byli już w drodze powrotnej do Bostonu, gdzie Finneran spłaci egipskim złotem swoje długi, a Trilipush, przywiózłszy sławę i bogactwo, pojmie Margaret za żonę, chociaż będzie to smutny związek, bo on wykorzysta ją dla ukrycia swoich sprzecznych z naturą skłonności. I prawdopodobnie, dzięki swojemu odkryciu, dostanie ponownie pracę na Harvardzie. Prawdopodobnie spóźniłem się i teraz będę musiał płynąć z powrotem, pokonując tę samą drogę, którą niedawno przebyłem, i raz jeszcze zakłócić szczęście rodzinne, by zadać kłopotliwe pytania w imieniu biednego, zamordowanego Caldwell-Davies'a i Marlowe'a. Nie cieszyła mnie ta perspektywa, Macy. Nie przepadam za Bostonem i nie chciałem wracać. Spędziłem już dosyć czasu na przeprawie przez Ocean Atlantycki i przyznaję, że mógłbym się nawet poddać, zamknąć sprawę, gdyby ci dwaj byli już w drodze do Bostonu, a Trilipush umacniałby swoje kłamstwa. Zrobiłbym wszystko, żeby utrzymać dochodzenie blisko sceny zbrodni. Musiałem poczekać jeszcze jedną noc, żeby uzyskać odpowiedź, a moje



obawy wzrosły następnego ranka, kiedy w końcu udało mi się wynająć miejscowego chłopaka i dwa muły i pojechaliśmy kłusem po skałach, obok innego stanowiska archeologicznego, zajmowanego przez jakiegoś Amerykanina, obok olbrzymiej świątyni wykutej w zboczu urwiska, obok jałowej, brązowej nudy, niezbyt różniącej się od pewnych części Australii. A potem, po okresie milczenia, chłopak zatrzymał się bez żadnego, jak mi się wydawało, konkretnego powodu i powiedział:

- To tutaj.
- Tutaj? Jesteś pewien? - Ten kawałek biegnącej u podnóża urwiska ścieżki dla osłów nie różnił się absolutnie niczym od tego, co zobaczyliśmy przez minioną godzinę. Znajdowaliśmy się w zagłębieniu między niewysokimi wzgórzami, oddzieleni zakrętem od jakichkolwiek żywych istot, i zacząłem się zastanawiać, czy ten egipski chłopak nie wciągnął mnie w zasadzkę. - Tutaj? - zapytałem ponownie, a chłopak wzruszył ramionami. Przywiązałem osła, obszedłem teren dookoła i nie znalazłem niczego ciekawego, żadnego znaku życia. - Skąd wiesz, że nie jest to trochę dalej? - spytałem. Chłopak był stanowczy, znał te wzgórza i było to miejsce, o którym powiedział mi Carter. Czekaliśmy. Szukałem w upale przez dwie godziny, chodziłem tam i z powrotem, nie znajdując nic i nikogo. Ani błyszczącego złota, ani uciekającego Finnerana, ani podstępного Trilipusha, ani zwłok Caldwell'a, ani zamordowanego Marlowe'a.

Byłem zmartwiony, nie kłamię. Nie miałem innego adresu Trilipusha, a teraz wyglądało na to, że w ubiegłym tygodniu zakończył wykopaliska i zatarł po sobie ślady. Miałem jeszcze przynajmniej pocztę. Te telegramy i listy do Margaret musiały być skądś nadawane. Wróciłem do miasta i

chodząc od jednego urzędu pocztowego do drugiego, rozdając pieniądze O'Toole'a, dopóki nie usłyszałem właściwej odpowiedzi. Zapłaciłem Egipcjaninowi w okienku, żeby otworzyć mu usta.

- Tak, pan Trilipush przychodzi tu dosyć regularnie sprawdzać korespondencję na *poste restante* i wysyła stąd telegramy, a ostatni raz był tu pewnie dwie godziny temu.

Zapłaciłem mu z radości, żeby zamknął usta i dał znak mojemu siedzącemu w kącie chłopakowi, kiedy znowu pojawi się Trilipush, a wtedy dostanie następną zapłatę.

Zostawiłem tam mojego małego pomocnika (jednego ze zmieniającej się ósemki, którą zebrałem tamtego popołudnia i wprowadziłem w podstawy inwigilacji, licząc na ich znajomość ulic i zdolność wtopienia się w tłum). Późnym popołudniem 28 grudnia umieściłem chłopaka dyskretnie w tym urzędzie, żeby czekał na myszkę. Potem poszedłem do biura żeglugi rzecznej i wydatkowałem jeszcze pewną sumę na konto sprawy Daviesa, sprawy O'Toole'a, sprawy Marlowe'a, wszystkich tych spraw, ale w ich księgach nie było żadnej rezerwacji ani na nazwisko Trilipusha, ani na nazwisko Finnerana, i nikt pod żadnym z tych nazwisk nie popłynął tego dnia do Kairu. Zostawiłem moje nazwisko i jeszcze trochę pieniędzy: jeśli będzie jakaś rezerwacja na któreś z tych nazwisk, proszę się ze mną skontaktować w hotelu. Odwiedziłem tyle hoteli w Luksorze, ile udało mi się znaleźć, ale nigdzie nie było ani śladu Finnerana czy Trilipusha, więc rozdałem jeszcze trochę pieniędzy moich klientów - gdyby nazwiska te pojawiły się w księdze gości, recepcjoniści mieli się ze mną natychmiast skontaktować. Spędziłem ten dzień pracowicie, owszem, ale w dalszym ciągu niczego nie miałem: Trilipush i Finneran nie wyjechali, ale ich nie

było: czy sytuacja mogła być jaśniejsza?

- Cierpliwości, Macy - uspokajałem. - Teraz jest nam ona bardziej potrzebna niż kiedykolwiek wcześniej.

Zastawiłem jedyne pułapki, jakie miałem. Kontynuowałem mój obchód: willa, stanowisko archeologiczne, poczta, żeby sprawdzić moich chłopaków. 28-ego. 29-ego (poczta zamknięta). 30-ego.

*Czwartek, 28grudnia 1922 r.*

Dzisiejszego ranka wyszliśmy z CCF na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza, i jakieś 200 jardów dalej zobaczyłem mężczyznę na ścieżce. Obserwowałem go przez parę godzin zza skał. Pomarańczowowłosey, co było widać nawet z tej odległości, z jakimś leniwym miejscowym chłopakiem. Chodził i siadał, włączył się i siadał.

— Znasz go, CCF?

Och, oczywiście, Ralph, mój chłopcze, o tak. Jego jedynym pragnieniem jest przeszkadzać, niszczyć, mieszać szyki. Pożera to, co tworzą inni. To sęp, który żeruje na życiu innych i szuka dziury w całym.

Na pewno musimy pospieszyć się z pracą. CCF wysyła mnie do miasta, żebym kupił coś do jedzenia, sprawdził pocztę. Żadnej wiadomości od ciebie, M. Nie musisz już udawać, ukochana. Zupełnie zapomnieliśmy o tym, że się „rozstaliśmy”.

Popołudnie spędzamy na oczyszczaniu i analizowaniu komór 8 i 9, kopiując ilustracje i teksty.

*Piątek, 29grudnia 1922 r.*

We -wszystkich wysiłkach naukowych jest pewna doza przypuszczeń i pomysły krystalizują się tylko w fizycznym akcie pisania. Pierwsza wersja jest z definicji zarówno niedokładna, jak i potrzebna. Człowiek wykorzystuje pióro, by przebić się przez niemożliwości. Teraz mogę wyrzucić dużą część tego, co napisałem wcześniej, i przygotować tekst, opatrzony bardziej precyzyjnym komentarzem.

W tym celu mierzymy z CCF komorę 9, starając się zrozumieć poszczególne elementy w ich wzajemnych relacjach. Muszę szybko skopiować te ostatnie przekłady, z panneau L w Komorze Historii i ze ścian komór 8 i 9.

Najbardziej niezwykłym znaleziskiem jest oczywiście kompletny egzemplarz *Nauk Atum-hadu*. Spędziłem wiele godzin na lekturze.

Uświadamiam sobie też, że błędnie rozumiałem malowidło na kolumnie 12: nie przedstawia ono sojusznika niosącego martwego Atum-hadu, lecz Atum-hadu niosącego zwłoki Pana Szczodrości. Wykazał mi to CCF. To wnikliwe spostrzeżenie.

## PANNKAU L: OSTATNIE GODZINY EG1PTU

Wszyscy opuścili Atum-hadu. Odszedł z Teb, przeprowił się przez życiodajny Nil i kroczył dalej. Sam niósł swoje dobra, Nauki, farbę, trzcinowe pióro, tusz, pędzle, swojego kota. Niósł też Pana Szczodrości.

*Sobota, 30 grudnia 1922 r.*

Dziennik: Omawiamy z CCF kolejne kroki i podejmujemy decyzję.

Powrócimy do tego miejsca naszej chwały, ale później. Teraz nadeszła pora, by wracać do domu, zebrać siły, pieniądze i podreperować zdrowie, wnieść nowe podania do odpowiednich władz i tak dalej.

Muszę jeszcze przed naszym powrotem do domu, który planujemy na poniedziałek, zrobić parę zapisków w tym dzienniku. Wszystko jasne, najprostsza rzecz na świecie: prześlę re zapiski mojej narzeczonej, żeby mieć pewność, że zostaną opublikowane, gdyby CCF i mnie przydarzyło się coś podczas długiej podróży do Bostonu. Skądinąd wystawiam zapis mojej niezwykłej pracy na duże ryzyko, zdając się na łaskę i niełaskę żywiołów. Popłyniemy z Finneranem statkiem do Kairu, przenocujemy w Hotelu Sfinksa (gdzie CCF ze śmiechem pokryje moje rachunki od października), pojedziemy pociągiem do Aleksandrii i wejdziemy na pokład *Cruttoforo Coiombo*, którym udamy się w przyjemny rejs powrotny do domu. Ożenię się z Margaret. CCF znowu popiera ten projekt w 100 procentach, pomoże mi wyleczyć ją z jej przypadłości. Będziemy mieli dzieci. Będziemy szczęśliwi. Potem wrócę do Egiptu, by dokonać pełniejszego przeglądu mojego wspaniałego odkrycia. Moje dzieło będzie uważnie analizowane. *Pożądanie i podstęp w Starożytnym Egipcie. Kompletne Nauki króla Atum-hadu* (II wyd., poprawione i kompletne, Yale University Press, 1923). Ralph M. Trllipush, *Odkrycie grobowca Atum-hadu* (Yale University Press, 1923).

Finneran daje mi pieniądze na załatwienie tych ostatnich drobiazgów w Luksorze, natomiast sam woli zostać w pobliżu grobowca.

— Za bardzo podoba mi się to miejsce, żebym je już opuścił — mówi, układając się do drzemki na łóżku polowym w komorze 8.

Wyruszam do miasta, by załatwić bilety na statki, rezerwacje hoteli po

drodze.

Ale ten rudzielec znowu kręci się tu i węszy, i przyglądamy się z CCF, jak traci zainteresowanie, znowu jakieś 200 jardów od nas. Przedziwnego rodzaju prześladowca — nieudolny, podejmujący bezsensowne działania, ale wciąż niezdarnie zagrażający mojemu dziełu. Nie ma zupełnie związku z niczym ważniejszym, ale zawziął się, jak się wydaje, by stale wchodzić mi w drogę. W końcu oddala się i CCF wysyła mnie, bym załatwił nasze sprawy.

Po południu 30-ego nasza cierpliwość zostaje w końcu wynagrodzona, Macy! Wróciłem do hotelu po bezowocnej obserwacji stanowiska archeologicznego Trilipusha po drugiej stronie rzeki. I teraz Trilipush staje się nagle z niewidzialnego wszechobecnym. Dzwonią z biura żeglugi rzecznej: właśnie zrobiono rezerwację dla Trilipusha i Finnerana na statek odpływający w poniedziałek, 1 stycznia, na północ, do Kairu. Dostaję depeszę z Kairu: w Hotelu Sfinksa otrzymali wiadomość, że wieczorem 2 stycznia mają się spodziewać panów F. i T. A potem pukanie do drzwi: jeden z moich małych luksorskich bandytów z wyciągniętą ręką.

- Bok Szysz - mówi, miejscowe pozdrowienie.
- Bok Szysz - odpowiadam. -Jakie wiadomości?

Jego ręka pozostaje wyciągnięta. Oczywiście: jak tylko ta ręka została odpowiednio obciążona pieniędzmi i opadła na dół, system połączeń otworzył mu usta: przed godziną Trilipush przyszedł na pocztę, nic nie odebrał i nic nie wysłał, a teraz siedział niecałe trzydzieści stóp od mojego hotelu!

Zbiegłem za chłopakiem po schodach na oślepiające słońce i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Schowałem się za palmą. Serce mocno mi biło. Teraz

w każdej chwili mogę w końcu spotkać tego diabła, który zabił australijskiego chłopca i angielskiego oficera, świnię, która złamała serce tej cudownej dziewczynie, twojej ciotce. Przypomniałem sobie jego zdjęcie, które mi pokazała, stał na nim z Marlowe'em, z ręką na jego ramieniu. Wyglądał jak zwykły facet o rudawozłotych włosach, ale w jego ustach i oczach był wyraz jakiejś chciwości i niemoralności. Spojrzałem w stronę, którą pokazywał chłopak, ale nie dostrzegłem Trilipusha.

- Tam, jest tam. - Chłopak ponownie wskazał brodatego mężczyznę w miejscowym stroju, który spoglądał w szklankę stojącą na zacienionym kawiarnianym stoliku.
- Jesteś pewien?
  - Tak, pewien. Powiedział ten mężczyzna na pocztce. Idę za nim tutaj. On bierze napój, ja idę do pana.

I oto, Macy, po tak długim czasie, po przebyciu tylu tysięcy mil po całym świecie, po badaniu wydarzeń sprzed wielu lat, po ściganiu marzeń i koszmarów sennych tak wielu klientów, kiedy sam często nie wiedziałem, że ten człowiek tutaj był tym, którego szukałem, miałem przed sobą tego osobnika, którego zbrodnie, dzięki tobie i mnie, staną się teraz, po ponad trzydziestu latach, sławne.

- Pan Trilipush, jak sądzę? - Stałem przed nim, mając za plecami słońce, co jest wypróbowaną i skuteczną metodą zdezorientowania przez słuchiwane.

Podniósł głowę.

- A, zawzięty pan Ferrell. Jestem bardzo zapracowany. Mam tylko kilka minut, żeby się napić. Niech pan się przysiadzie, jeśli pan musi, ale streszczajmy się.

Wywarł na mnie piorunujące wrażenie, Macy, przyznaję. Nigdy nie można zapominać, że przestępcy bywają błyskotliwi, bo w przeciwnym razie duma wyjdzie detektywowi bokiem. A on był sprytny: poznał mnie, człowieka, którego nigdy wcześniej nic widział, od jednego rzutu okiem, Bóg wie jak, i nie okazał najmniejszego zaskoczenia tym, że stoję przed nim w środku Egiptu, że go rozpoznałem i przyglądam się mu badawczo.

Bo wyglądał strasznie. Bez względu na to, jaki był kiedyś - u zarania tego oszustwa, kiedy omamił Margaret dymem i lustrami - pewne jest, że nigdy nie zechciałaby tego brudnego obszarpańca. Był w podartej galabiji, uszarganej i poplamionej krwią, pozwiązywanej kawałkami sznurka, i miał tylko jeden, popękany, but, a jego druga stopa była owinięta zaskorupiałymi, żółknącymi bandażami. Brodę i włosy miał zmierzwione, jego twarz była nierówno opalona, a w innych miejscach po prostu pokryta brudem, jedno oko miał podbite, opuchnięte, policzek i czoło posiniaczone i porozcinane. Prawie zrobiło mi się go żal, Macy, ale wtedy przypomniałem sobie o brudnej norze, w której dorastał dobrze się zapowiadający australijski chłopak, ten sam, którego zamordował siedzący przede mną Angol. I litość znikła.

Mój Boże, jak on śmierdział. Śmierdział zgnilizną, grobem, własnym brudem, sam nie wiem czym. Pewnie od tej strasznej, obandażowanej nogi. Pod koniec naszej rozmowy, kiedy wstał i powlókł się, kuśtykając, był praktycznie facetem z jedną nogą. Ale pomimo tego oplakanego stanu, w jakim się znajdował, rozwścieczało mnie i tłumilo jakikolwiek przyływ współczucia to, że nadal mówił tak, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy ze swojego wyglądu, z tą lekceważącą zgryźliwością i niczym nieusprawiedliwionym, nienormalnym poczuciem wyższości wyższych klas



angielskich, z tym wstrętem do ludzi z krwi i kości, z zastygniętą od pokoleń w jego krwi nienawiścią, która sprawiała, że czuł się lepszy od całej reszty. Można było poznać, co myśli o nas, Australijczykach: po tym sukinyńskim tonie głosu, który sprawia, że my, w koloniach, zachowujemy się jak słudzy, a słudzy zachowują się jak czarni, a czarni biorą strzelby i się buntują. No i oczywiście w jego sposobie bycia było to coś absolutnie dodatkowego: ten szczególny zaśpicw zboczeńca, chociaż bardzo powściągany, bez wątpienia wynikający z dużej wprawy w skrywaniu swojej prawdziwej natury.

Kłębiły mi się w głowie pytania i musiałem trochę ochłonać, żeby uporządkować moje myśli, powiedziałem mu więc, żeby zamówił dla mnie piwo, co zrobił w miejscowym języku. A potem zacząłem, zadając mu pytania, które akurat przychodziły mi do głowy, mieszając interesy wszystkich moich klientów, a ten zbrodniarz odpowiadał na każde z nich tak szybko, że zorientowałem się, że był przygotowany na rozmowę ze mną. Bez wątpienia zdradził mnie przed tym brudnym wrakiem Finnc-ran. Było pewne, że muszą tam być stosy złota.

Weź pod uwagę moją pozycję, kiedy osaczałem Trilipusha - nie mogłem mieć nadziei, że się szybko przyzna do zabójstw, powie, gdzie ukrył zwłoki. Po czterech latach od tamtych wydarzeń tkwił po uszy w kłamstwach, liczył na upływ czasu, słabość fizycznych dowodów przestępstwa. Musiałem go sprowokować, jak byka, żeby w złości wypisał sobie swoje zbrodnie na twarzy. Trzeba było zastawić sidła i zobaczysz w moich słowach (zapisanych za ledwie parę godzin potem, więc nie wątpię ani przez chwilę w ich dokładność), jak te sidła zagęszczają się wokół naszego zajęcia. Zauważ, że nie waham się przedstawić jego zniewag i ataków słownych

pod moim adresem; musisz dojrzeć w nich, jak się rzucał, by zerwać się z haczyka, który coraz mocniej tkwił w jego wardze. Jego arogancja zdradza go, przytaczam więc każde słowo, bez względu na to, czym mnie obrzuca. Musisz zrozumieć, jako człowiek zajmujący się naukami śledczymi, że trzymałem moje uczucia na wodzy, pozwalałem mu strzelać do cieni. To dobra lekcja dla ciebie, Macy: detektyw wykorzystuje siebie samego jako przynętę, robi z siebie siatkę, na którą rzuca się przestępca i sam się usidla.

- Przedziwna sprawa, panie Trilipush. Staram się zrozumieć historię pańskiego życia, to, co usłyszałem od pana przyjaciół i wielbicieli, i nic mi z tego nie wychodzi. Dodaję dwa do dwóch i cały czas otrzymuję pięć. Jak pan to wyjaśni?
- Może pana nauczyciel matematyki za mocno pana pieprzył, złotko.
- Bardzo dobrze. Ciekawy dobór słów.
- Skończyliśmy, panie Ferrell?
- Czy pan Finneran znalazł pana w ubiegłym tygodniu?
- Owszem. Skąd pan wie, że tu był?
- A gdzie jest teraz?
  - Mamy się spotkać później. Załatwia sprawy związane z naszym wyjazdem w poniedziałek. Podzieliliśmy się zadaniami.
- Wyjazd z Egiptu? W nieznane miejsce?
- Jeśli uważa pan, że Boston jest nieznanym miejscem.
  - Wracacie do Bostonu? A co z niesamowitymi długami pana Finnerana?
  - Wszystko, co robi pan Finneran, jest niesamowite, a w tym przypadku zainwestował mądrze, podobnie jak jego wspólnicy.

- O, to należą się gratulacje. Dopisało panu szczęście przy wykopaliskach?
- Nadzwyczaj. Pewnego dnia przeczyta pan o tym w gazetach i będzie opowiadał swoim wnukom, że mnie poznał, a one będą płakały z zachwytu. Może nawet będą pana za to kochać.

- A gdzie jest teraz ten skarb?

- Skarb? To czarujące określenie, ty imbecylny z kolonii. A r t e f a k t y, obzhaydarr, sprzęty, manuskrypty i mumie sąwgro-bowcu i właśnie poddawane są konserwacji.

- Mógłbym zwiedzić ten grobowiec?

- Mógłby pan, owszem, jak tylko zostanie otwarty dla turystów.

By zmusić go do opuszczenia gardy, sprowokowałem go kłamstwem, chociaż bardzo bliskim prawdy:

- Beverly Quint mówi, że pan i Marlowe byliście kochankami.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem kontynuował jakby nigdy nic:

- Nie znam panny Quint, chociaż imię ma czarujące, nie jestem więc sobie w stanie wyobrazić, co skłoniło ją, żeby powiedzieć coś takiego. Zaczynam mieć wrażenie, że myli mnie pan z kimś innym, panie Ferrcll. Skończyliśmy?

Nie wytrąciło go to z równowagi, owszem, ale przyznasz, że jest to osobliwa odpowiedź: udaje, że nie zna swojego zboczonego przyjaciela, Quinta, kiedy nie ma żadnego powodu, żeby to ukrywać. Niech to tobą nie wstrząśnie, w rozmowach z zaprzysięgłymi łgarzami zdarza się to często. Tracą orientację, nie mogą sobie przypomnieć, co komu nakłamali, i jak dzieci, zaczynają mydlić wszystkim oczy. Najważniejsze w tym momencie jest, żeby detektyw trzymał się mocno tego, co wie, że jest prawdą. Skoro

kłamstwa Trilipusha goniły jedno drugie, przycisnąłem go mocniej:

- Dlaczego nie ma o panu żadnej wzmianki w Oxfordzie, profesorze?
- Nic mam pojęcia. Mogę tylko przypuszczać, że podobnie jak inni prymitywni i łatwo ulegający wpływowi ludzie węszy pan spisek w urzędniczych pomyłkach.
- Rozumiem. Oczywiście. Czy może pan wobec tego wyjaśnić temu prymitywowi, dlaczego rodzice kapitana Marlowe'a, rodzina pana najdroższego przyjaciela, mówią, że pana nie znają.

W końcu umilkł.

- Tak powiedzieli?
- Tak, panie Trilipush. Zna pan przynajmniej ich imiona?
- Oczywiście. Priap i Safona. Dobrze się staruszkowie trzymają?
- Tak. Nie. Ich imiona to Hector i Regina.
- Czyżby? Dziwne.
  - Dlaczego brytyjskie Ministerstwo Wojny nie ma danych o pana wojskowej karierze?
- Nie mają? Pewnie są roztargnieni.
  - Nic podobnego, Trilipush. Jestem przekonany, że władze wymazały informacje o panu w celu ukrycia jeszcze jednej zbrodni popełnionej przez Anglików podczas wojny.
- Zbrodni?

Nawet w tym opłakanym stanie, w jakim się znajdował, doprowadzał mnie do szału tym wszystkim, co jest godne pogardy u Anglików. Był tak wyraźnie wstrząśnięty moją obecnością jak ojciec Marlowe'a, drwił ze mnie tonem głosu i akcentem tak swobodnie jak Quint; nie wzruszały go, jak starego Barnabasa Daviesa, krzywdy, które wyrządził innym. Miałem ochotę

go zmiążyć, udusić. I to o n chciał wyrzeć wrażenie na mnie? Ten śmierzący żebrak o zmierzwionych włosach i w jednym bucie? To tylko ludzie, Macy: mordercy, Anglicy, bogacze: tylko ludzie.

Podszedłem go z innej strony.

- Kto to jest Paul Caldwell?
- Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.
  - Był australijskim żołnierzem, który zaginął z kapitanem Marlowe'em.
  - Nigdy nie mogłem jakoś pojąć, co skłania policjanta do zadawania pytań, na które za chwilę sam odpowie.

A potem, Macy, wyciągnąłem mojego asa. Pokazałem mu, traktując to jako bodziec do dalszej rozmowy, otrzymany z kwatery głównej Tailora wyciąg z brytyjskich kartotek wojskowych (zdaje mi się, że wysłałem ci już jego kopię, ale przytaczam go znowu dla naszych czytelników):

Kapitan Hugo St. John Marlowe opuścił obóz w Kairze 12 listopada 1918 roku, udając się na czterodniową przepustkę. Nie powrócił 16 listopada. Poszukiwania wszczęte 18 listopada nie dały rezultatów. Rozmowy z oficerami, szeregowcami nie ujawniły niczego istotnego. W marcu 1919 pojawili się tubylcy, prosząc o nagrodę za odnalezienie blaszek identyfikacyjnych kapitana Marlowe'a i kaprała P.B. Caldwell (ASI) oraz karabinu Lee-Enfielda kaliber 303, będącego na uzbrojeniu ASI. Tubylcy oświadczyli, że znaleźli te przedmioty koło Deir el-Bahari. Ponowne wywiady wykazały, że nikt nic nie wiedział o jakichkolwiek związkach między kapitanem Marlowe'em i kapralem Caldwellem, chociaż archiwa ASI pokazują, że kapitan Marlowe wykonał dwukrotnie niezwykle krok, zalecając kapitanowi T. J. Leahy'emu (ASI),

dowódcy kompanii Caldwell, awansowanie go.

Podniósł głowę, przesunął papier ku mnie.

- No i?
- Co stało się z tymi dwoma mężczyznami, profesorze?

No i teraz przyjrzyj się, Macy, jak Trilipush chwyta przynętę.

- Och, na miłość boską, Ferrell, posłuchaj mnie raz i na zawsze: wróciłem do Egiptu - na pewno wiesz o tym, ty spryciarzu - dopiero w grudniu 1918 roku. I chcesz, żebym wyjaśnił ci ten twój nabazgrany dokument? Jak? Ale dobrze. Utrzymujesz, że jesteś detektywem, więc zrób użytek ze swojej głowy, Ferrell. Mogę bez trudu wymyślić sto wyjaśnień czegoś tak mętnego.
- Sto? Naprawdę? Nie wierzę, profesorze. - Słyszałem w jego słowach dumę, dumę przestępcy, a to oznaczało - czułem to - jego klęskę.
- Najprostsza rzecz na świecie. Pierwsze wyjaśnienie: kapitan i kapral wyruszają na, jak to według ciebie wyglądało, romantyczny, czterodniowy weekend na pustyni, świętując zawieszenie broni upojnymi chwilami kochanków. Rekwirują motocykl z przyczepą i jadą na południe, gdzie robią sobie piknik, brzdąkają na gitarze, recytują Shelleya i skubią winogrona. Jednak zawieszenie broni trwa dopiero od paru godzin i ta szczęśliwa wieść nie dotarła do jakichś żołnierzy ze strony przeciwnej albo nie przejmują się tym jacyś bandyci. Kapitan i kapral, zamiast w miłosnych uściskach, znajdują się w kleszczach wrogów i kapitan wyciąga swojego webleya. Każe kochankowi uciekać. Kapral biegnie do motocykla, słyszy trzy następujące szybko po sobie strzały, odwraca się i widzi ciżbę zakrwawionych Arabów

rozrywających kapitana na strzępy. Ze strachu nie może uruchomić motocykla. Te diabły ściągają go z niego i wloką na tortury. Na miejscu zostają blaszki identyfikacyjne i rewolwer. Pasuje to do twoich faktów, co? Dobra. A oto druga wersja. Kapitan kocha się w arabskiej dziewczynie, postanawia rzucić dla niej wszystko - rodzinę, kraj, karierę, religię - żeby zostać jej arabskim mężem. Bierze sobie najdroższego przyjaciela, tego nowozelandzkiego szeregowca...

- Australijskiego kaprala.
- ...tego australijskiego kaprala na służącego. Pozorują swoje zniknięcie. I teraz wszyscy, mąż, żona, trójka dzieci i ten służący, żyją sobie nie dalej niż dwie mile stąd. Może ich pan tam znaleźć, jeśli jest pan na tyle bystry, by ich wytropić. Zostawili na widoku swoje blaszki, bo mieli nadzieję, że jakiś idiota uzna, że nie żyją. Pan jest tym idiotą. Jeszcze jedna wersja? Proszę bardzo, trzecia, która powinna przypaść panu do gustu: ten zubożały australijski kapral szantażuje tego angielskiego kapitana, który jest homoseksualistą. Kapitan postanawia położyć temu kres i zamordować swojego prześladowcę. Zaprasza kaprala na pustynię, by pokazać mu jakieś ustronne miejsce. „Wiem, że tu powinniśmy kopać” - mówi. Kiedy niczego nie podejrzewający Australijczyk odwraca się do niego tyłem i wyjmując z sakwy przytroczonej do motocykla jakieś narzędzie do kopania, kapitan wyciąga webleya. Kapral widzi jego odbicie w baku motocykla, który wypucował, żeby zrobić wrażenie na Angliku. Na tym zniekształconym odbiciu kapitan przypomina owada z potężnym tułowiem, małutkimi kończynami i rewolwerem. Kapral, nieszkodliwy, niedoszły archeolog, wyciąga sekretnie swój nóż bojowy i się odwraca. Kapitan mówi ze śmiechem biednemu chłopakowi, że ma

zamiar go zabić, żeby położyć kres szantażowi, a potem sam wykopać obiecany cenny przedmiot. Ma nawet czelność powiedzieć mu, żeby nie martwił się za bardzo tą wiadomością, bo wyświadczy chłopakowi uprzejmość i przedstawi jego śmierć jako bohaterską, dzięki czemu kapral otrzyma pośmiertnie odznaczenie, a jego zubożała rodzina na drugim końcu świata rentę. Za jego zasługi. W istocie, prawie przekonało to kaprała, ale w końcu nie dał wiary, że kapitan dotrzyma obietnicy, skoczył więc na niego w samoobronie. Podczas szamotaniny kapitan postrzelił kaprała w momencie, kiedy ten dźgnął kapitana, i obaj padli martwi. Ich mundury, motocykl i pozostałe rzeczy ukradli bandyci. Zapisuje pan sobie to wszystko? Czy mam mówić wolniej? Szakale zaciągnęły zwłoki do jakiejś jaskini i zjadły. Metalowe blaszki identyfikacyjne są niestrawne i nie przedstawiają żadnej wartości, zostały więc na pustyni. Chcesz więcej, Ferrell, ty rudowłosa koczokodanie? Wersja czwarta: kapitan w trakcie działań kontrwywiadowczych odkrył, że kapral przekazuje Turkom tajemnice wojskowe. Przedstawiwszy mu to szokujące odkrycie, miał go aresztować, kiedy nagle nad ich głowami pojawia się brytyjski samolot, którego pilot błędnie bierze tę sprzeczkę za...

I tak plótl i plótl, przedstawiając jeszcze co najmniej sześć fantastycznych historii. Próbowałem się wtrącić, ale nie dał sobie przerwać tego występu:

- Zaczekaj, detektywie. Dopiero zaczynam. Widzisz, wszystkie te możliwości, z których żadnej nie można potwierdzić ani wykluczyć, pasują do tego twojego dokumentu, a ja dopiero się rozgrzewam. Dowody w postaci tekstów mogą zawierać masę pęknięć i zniekształceń, jak pozostawiona na słońcu płyta gramofonowa. Nie ma żadnych zapisków o jakimkolwiek wydarzeniu z przeszłości, które mogą cokol



wiek wyjaśnić. Nic nie wiemy o przeszłości z jakiegoś pojedynczego dokumentu, ale ty, Ferrell, jeździsz po świecie, nie dowiadując się niczego, niszcząc moją reputację w pewnych miejscach i próbując odbić mi narzeczoną na podstawie tego świstka papieru?

Ale, Macy, popełnił fatalny błąd! Dostrzegłeś go? Jeśli naprawdę nic nie wiedział o tych zaginionych żołnierzach, jeśli rzeczywiście wrócił do obozu miesiąc po ich zniknięciu, to jak na to wpadł - w tym gąszczu zaciemniających prawdę hipotez - że młody Paul Caldwell był „niedoszłym archeologiem”? Nie wskazywało na to ani jedno słowo w raporcie wojskowym, który mu pokazałem; wiedziałem o tym dzięki śledztwu, jakie przeprowadziłem w Australii. O tak, pan Trilipush wpadł w nasze sidła. Naskoczyłem na niego, Macy, i mieliśmy tam, w tym słońcu, swoją chwilę, kiedy patrzyłem, jak po moim dramatycznym oświadczeniu sypie się w gruzy mur wzniesiony z jego kłamstw:

- Wiem z doświadczenia, Trilipush, że prawda jest bardzo prosta i często ukryta w dobrze widocznym miejscu, a prowadzą do niej zwykle drogowskazy ludzkiej motywacji: pożądanie, chciwość, nienawiść i zawiść. Radzę więc, żeby się pan teraz uciszył i posłuchał, co ja o tym wiem. Co wiem, profesorze, a nie, co mogę sobie wyobrazić. Na początku listopada 1918 roku, może wcześniej, kochanek kapitana Marlowe'a i jego wspólnik w poszukiwaniu skarbów, zubożały dżentelmen, kapitan Trilipush, wraca do Egiptu po walkach w Turcji, podczas których, jak przypuszczano, zginął. Nie melduje się u swoich przełożonych, ale czai w pobliżu, pozwalając dowództwu brytyjskiemu myśleć, że nie żyje. Kręcąc się koło obozu, odkrywa, że jego gach wziął sobie do pomocy w badaniach archeologicznych młodego australijskiego kaprala. A jak pan na to wpadł,

profesorze? Otóż, odrażony i zły, Trilipush błędnie przypuszcza, że Marlowe i Caldwell są również kochankami, i potajemnie podąża za nimi na południe, kiedy biorą czterodniową przepustkę, by kierując się zagadkowym fragmentem C, szukać archeologicznego skarbu. O tak, profesorze, wiem wszystko o twojej mapie, nie przerywaj mi. Tych dwóch niewinnych mężczyzn przybywa, nieświadomych niczego, w pobliże skarbu, którego szukają, ale zanim zaczynają kopać, pojawia się nikt inny jak ten upiorny Trilipush. „Co? Jesteś tutaj?” -bąka Marlowe na widok niespodziewanego gościa. „Milcz, ty niewierny łajdaku!” - krzyczy z płaczem Trilipush, wściekły z zazdrości, chciwości i miłosnego zawodu. Strzela ze swojego webleya i zabija ich obu, kapitana i kaprała, swego byłego kochanka i niewinnego australijskiego chłopaka. Zakopuje ciała, ale przypadkowo gubi blaszki identyfikacyjne i karabin Australijczyka, a potem odjeżdża po prostu ich motocyklem, kradnąc mapę ukrycia skarbu, ów fragment C, który pokaże mu, gdzie się kierować, kiedy sprawa przycichnie i będzie mógł bezpiecznie wrócić po łup. Parę miesięcy później pojawia się w USA, wylewając krokodyle łzy z powodu straty swojego wspaniałego przyjaciela, udając, że nic nie wie o Caldwellu, i wyrabia sobie nazwisko jako uczonego zajmującego się tym samym królem, którego wypełnionego skarbami grobowca poszukiwali Caldwell i Marlowe, kiedy zabił ich z zimną krwią. Tak więc, pewien swojego odrażającego zwycięstwa, pozwalasz sobie nawet na kpiny z rodziny jednej z ofiar, posyłając biednym, pogrążonym w żałobie rodzicom egzemplarz swojej pornograficznej książki, groteskowo dedykowanej zamordowanemu kochankowi, nadając im zboczone przyzwiska, które z ich synem pedalem wymyśliłeś dla nich. W Bostonie, zapewniwszy sobie pracę dzięki sfałszowanym dokumentom

uniwersyteckim i mecenasa dzięki udawanej miłości do jego córki...

- Chwileczkę - uważasz, że zabiłem Paula Caldwell'a? - zapytał, czym mnie rozwścieczył, bo nie nadążał za tokiem mojego wywodu.
- Nie przerywaj, Trilipush. Zapewniłeś sobie pracę na Harvardzie, twierdząc, że studiowałeś w Oxfordzie, chociaż to nieprawda. Och, wiem, bywałeś tam jako członek ciemnego oksfordzkiego podziemia dewiantów, wywierałeś skandaliczny wpływ na krąg młodych pedziów, którzy do dzisiaj śpiewają hymny na twoją cześć, żyłeś za pieniądze Marlowe'a, który opłacał cię jako swojego utrzymanka, ale nie studiowałeś, nie otrzymałeś żadnego tytułu naukowego i prawa do uzyskania stanowiska na Harvardzie. Po przyjeździe do Bostonu rozglądałeś się, szukając łatwego celu, znalazłeś Margaret Finneran i udawałeś, że ją kochasz, po to tylko, by zdobyć pieniądze jej ojca. Z tymi pieniędzmi wyruszyłeś do Egiptu, nie mając najmniejszego zamiaru wracać do Bostonu po znalezieniu skarbu, i zacząłeś kopać dokładnie w tym miejscu, gdzie zniknęli Paul Caldwell i Hugo Marlowe. Przyznasz, że to niezwykle zbieg okoliczności. Krótco potem twój potencjalny teść, zdawszy sobie sprawę z błędnej oceny twojej osoby, przychyła się do mądrej, niezależnej decyzji swojej córki o zerwaniu zaręczyn. Rozwścieczony tą zniewagą wyrządzoną twojej aroganckiej, przestępczej dumie, podejrzewając, że Finneran przejrzał twój plan, i zamierzając uniemożliwić mu dopadnięcie ciebie i złota, próbujesz zniszczyć jego reputację serią oszczerczych depeesz. Ale on śmiało rusza za tobą w pogoń, znajduje cię na wykopalisku, gdzie zawiera z tobą układ: dzielicie swoje nieuczciwie zdobyte łupy na dwie części. Finneran zamierza w drodze do domu na pokładzie *Cristojoro*

*Coiombo* złożyć potajemnie swoją część w banku maltańskim i przywieźć do Bostonu tylko tyle, żeby spłacić długi, ale nie tyle, żeby podzielić się prawdziwymi dywidendami ze znaleziska ze swoimi wystawionymi do wiatru współnikami. W zamian za to, że nie powiesz nikomu o jego zdradzie, ku twojej zboczonej uldze,

pozwole ci odpłynąć w nieznane z większą ilością złota, niż ci się należy, i powie Margaret, żeby o tobie zapomniała, bo zakochałeś się w egipskiej dziewczynie. W rzeczywistości pojedziesz najprawdopodobniej odnowić -za swój splamiony krwią egipski skarb, ukradzony po kolei Marlowebwi, Caldwellowi, a teraz J.P. OToole'owi - popadający w ruinę Trilipush Holi. O nie, ani przez chwilę nie uwierzę, że wracasz do Bostonu, Trilipush. Ani ty, ani Finneran nie moglibyście sobie na to pozwolić.

Macy, ta przemowa wywarła na nim nadzwyczajne wrażenie. Siedział bez ruchu, patrząc na mnie nieprzyjaźnie, jakbym zadał mu cios. Takie wrażenie robi na kłamcy prawda, Macy. W tej chwili zrozumiałem wszystko, wszystko, czego można się było dowiedzieć o naszym panu Trilipushu.

Ale mieliśmy jeden słaby punkt: bez ciała, jaki mieliśmy namacalny dowód jego zbrodni? Żaden. Tak więc szybko wykorzystałem fakt, że byłem górą, i wykonałem kolejne posunięcie: jeśli Trilipush nie zgodzi się pójść natychmiast ze mną i złożyć zeznania przed brytyjskim albo australijskim konsulem, nie będę miał wyboru, jak tylko zwrócić się do miejscowej policji, żeby z pomocą psów przeszukała cały ten obszar i znalazła ciała Caldwell'a i Marlowe'a. To go zatrwożyło i chociaż bełkotał o szkodach wyrządzonych starożytnym grobowcom i Bóg wie o czym jeszcze, było jasne, że nie kieruje nim niepokój uczonego. Miałem go.

Wiedziałem o tym i on tym wiedział. Gra zbliżała się do końca.

- Nic nie trwa wiecznie, Trilipush - zakończyłem, usiadłszy wygodniej. - Twój ruch, kolego.

Postanowił grać na zwłokę. Naubliżał mi, ponownie zapewnił o swojej niewinności, powiedział, że jest uzbrojony. W końcu zaczął negocjować i obiecał, że w poniedziałek będzie na statku do Kairu, więc mogę zaraz potwierdzić rezerwację. I że zmusi Finnerana, żeby odpowiedział razem z nim na wszystkie pytania, jakie będę chciał zadać, przed dowolnym sędzią pokoju, jak tylko znajdziemy się w Kairze. Jeśli będę chciał, mogę go nawet sprowadzić ze statku w kajdankach.

- Ale teraz, panie Ferrell, moja niezwykła nemezis, muszę się przygotować do tej wielkiej podróży. - Odszedł, kuśtykając i zostawiając mi rachunek za jego napitek. Nie zaniepokoiłem się tym, bo od razu dałem znak moim egipskim pomocnikom, żeby go śledzili i wkroczyli do dobrze zsynchronizowanej akcji, rozchodząc się, mieszając z tłumem, manewrując tak, jak ich nauczyłem. Natychmiast poszedłem i zarezerwowałem sobie miejsce na jego statku do Kairu, a stamtąd udałem się wprost na policję. Perspektywa policjantów i psów wyraźnie go przestraszyła i zamierzałem przypiec mu piętę. Nie miałem zamiaru pozwolić mu się wyślizgnąć w nadchodzących 48 godzinach.

*(Sobota, 30 grudnia 1922 r., ciąg dalszy)*

Wróciłem z miasta po załatwieniu spraw, Margaret, i za nic nie mogę zrozumieć, dlaczego Vy i CCF nie pokazaliście od razu drzwi temu szaleńcowi. Dzięki wywołanemu przez niego zamieszaniu przyszła pora na natychmiastowe wyjaśnienie.

A było to tak: pokuśtykałem na pocztę, gdzie nic na mnie nie czekało, ale kiedy wyszedłem, ruszyło za mną co najmniej pół tuzina małych chłopców i w miarę jak oddalałem się od poczty, ich liczba rosła. Niektórzy udawali, że się chowają i śledzą mnie z ukrycia, ale nie były to poważne starania. Kiedy patrzyłem na nich przez ramię, chichotali i spoglądali na ziemię albo w niebo. Przez pewien czas włóczyłem się bez celu i zawsze lazło za mną sześć albo osiem tych małych. (Dzisiaj wieczorem próbowali śledzić mnie aż do grobowca, ale dałem im trochę pieniędzy twojego ojca, żeby odeszli, *inuzi igari*, co z radością zrobili, machając mi na pożegnanie rękami, kiedy wszedłem na prom. Wynająłem jednak jednego z nich, by wrócił jutro wykonać dla mnie ostatnie zadanie przed moim i twojego ojca wyjazdem, by przesłał ci moje papiery na przechowanie, zabrał parę rzeczy, których nie będziemy już potrzebowali.)

Wreszcie wstąpiłem do *ahwa*, żeby odpocząć i napić się herbaty. Dzieci cofnęły się na drugą stronę ulicy, a parę minut później napadł na mnie ten wielki detektyw Ferrell. Ujrzenie tego cymbała we własnej osobie, położenie kresu tej unoszącej się nade mną zjawie, wydzielającej oślizłą ektoplazmę kłamstw, gdziekolwiek przepłynie, sprawiło mi ulgę. Znasz go: mały człowieczek o pomarańczowych włosach, osobliwie podniecony, nie mogący usiedzieć spokojnie na miejscu, gorączkowo zapisujący każde moje słowo, chociaż potrafię czytać do góry nogami. Często mówiłem wolno, kiedy nie nadążał z notowaniem. Prawdę mówiąc, starałem się mu pomóc w jego rozlicznych zadaniach. Jak wiesz, szuka zaginionego australijskiego żołnierza, tego archeologa amatora, o którym wspominałaś, ma też jakiś nieokreślony interes do twojego ojca. Starałem się, jak mogłem, uspokoić go i pomóc

mu. Powiedziałem, że CCF i ja spotkamy się z nim w poniedziałek na statku płynącym do Kairu. I powtarzałem mu w kółko, że nie znam tego chłopaka z Australii. Ale mimo to siedział tam, szturchając mnie, przygryzając swoje pełne, czerwone wargi i ogólnie zachowując się niemiło.

Ma obsesję na punkcie najdziwniejszych rzeczy, wydarzeń nie mających nic wspólnego z Atum-hadu ani nawet ze mną, jakby w tej wielkiej dla egiptologii chwili, kiedy jestem u progu pokazania mego dzieła światu, obarczono mnie nagle zajmowaniem się niepoczytalnym, paplającym bez przerwy dzieckiem, które zadaje nonsensowne pytania: „Gdzie jest Marlowe?” Zaginął, przypuszczalnie nie żyje. „Gdzie jest Paul Caldwell?” Tak samo, chociaż początkowo nie znałem tego nazwiska. „Gdzie pan był, kiedy zniknęli w Deir el-Bahari?” Wędrowałem z Turcji do Egiptu. I tak krążył wokół tych prostych faktów. To nudziarz, zupełnie bez wyobraźni, jak większość krytyków. Nie daj się bowiem wprowadzić w błąd, Margaret, on jest krytykiem mojego projektu i właśnie z tego powodu należy go ignorować. To niemal nakaz z niebios: ignoruj tego człowieka, Margaret, bo inaczej zamąci ci w głowie, zamąci w głowach nam wszystkim, odciągnie naszą uwagę od wielkiego osiągnięcia, które stało się naszym udziałem tutaj, na pustyni. Czy nie możemy po prostu wszyscy się zgodzić, jak racjonalni ludzie, że trzeba go ignorować?

Widzisz, Margaret, Ferrella wprowadziły w błąd trzy dokumenty: dwa zaginione i jeden niekompletny. Zdarza się to często ludziom, którzy są nowicjuszami w interpretowaniu tekstów. Traktują jakiś dokument zbyt poważnie, podczas gdy oczywiście z pojedynczego zapisu nie można

niczego zrozumieć. Jeśli chodzi o niekompletną historię, to trzeba okrążyć prawdę, a nie skakać na nią jak na kochliwego kangura. Ale z ludźmi podobnymi do Ferrella jest tak, że jeśli pierwsza rzecz, którą przeczytają, mówi JC, to już zawsze będą wierzyli w,x, a jeśli drugi dokument mówi coś przeciwnego, robi im się mętlik w głowie i zaczynają krzyczeć: „Spisek!” Kiedy nie mogą czegoś znaleźć, przypuszczają, że jest tak dlatego, iż ta rzecz nigdy nie istniała. Dlaczego nie ma żadnych dokumentów poświadczających moje studia w Oxfordzie? — zapytał, jakby odpowiedź nie była oczywista: dlatego, że ktoś włożył moje akta w niewłaściwe miejsce albo przekręcił moje nazwisko. I to z takiego powodu detektyw przepłynął pół świata, a ja straciłem posadę, pieniądze, a nawet być może ciebie? Nieważne, już nic — mam moje odkrycie.

Strzępek papieru z kilkoma słowami można zinterpretować na tyle sposobów, ilu jest interpretatorów. Próbowałem mu to wytłumaczyć. Pracuje w branży niewiele się różniącej od mojej, tyle że jest nieudolny. Ma strzęp „papierusu”, notatkę urzędowego skryby, którą w jego przypadku jest krótkie streszczenie akt armii brytyjskiej, historia zniknięcia Marlowea, pogryziony przez mole zbiór urywających się w połowie wątków i zdań, gdzie władze wojskowe otwarcie przyznają się do niewiedzy. Innymi słowy, *żyzna*, gleba dla przypuszczeń snutych przez osły, dla głoszenia bredni. Wyjaśniłem temu gnuśnemu detektywowi, ile obrazów przychodzi do głowy obdarzonemu wyobraźnią archeologowi, kiedy ma do czynienia z tekstem tak pełnym luk. Tuzin albo więcej. A jeśli pracuje nad tym tuzin głów, mamy tuzin tuzinów możliwych wyjaśnień, beczkę możliwości.

To dla nas wszystkich cenna lekcja na temat wiarygodności tekstów,



grzeczność, którą wyświadczył nam ten głupawy detektyw. Minęło zaledwie kilka lat od tragicznej śmierci mojego przyjaciela, a już jest piekielnie trudno ustalić, co się stało. A teraz sięgnijmy trzy i pół tysiąca lat wstecz i na podstawie kilku takich dokumentów ustalmy ze stuprocentową pewnością, co się działo w Tebach, wśród ludu, który zaledwie rozumiemy, którego język pozostaje taką tajemnicą, że nie wiemy nawet, jak go artykułować. (Gramofony! Gdyby starożytni mieli gramofony — te wspaniałe gwarancje nieśmiertelności dla niezliczonych piosenkarzy doby obecnej — moglibyśmy słyszeć, jak do nas mówią, i wiedzielibyśmy wszystko. Swoją drogą to skandal: gramofon zmienił naturę nieśmiertelności w naszych podupadłych czasach: może nigdy nie będziemy wiedzieli, jak wymawiać „Atum-hadu”, ale świat zawsze będzie pamiętał Da-lsy Montgomery, Victora Rdwardsa and His Tuxdoed Chums, Willa Wrenthama and the Wellington Warblers.)

Przerażony takimi niedoścignymi jak Ferrell, człowiek zaczyna się nieuchronnie zastanawiać nad poczynaniami przyszłych archeologów, których ciżbę niewątpliwie przyciągnie nasza pośmiertna sława. Co by się stało, gdyby to mnie szukał teraz albo za tysiąc lat taki słoń w składzie porcelany jak Ferrell? Co zostanie, świadomie albo niechcący, opacznie zrozumiane albo po prostu zagubione z zapisków, które po sobie zostawię? Niech nas bogowie chronią przed takimi archeologami jak Ferrell! Być może mój przyszły biograf stwierdzi, podobnie jak on, że to z n a m i e n n e, iż Ministerstwo Wojny z powodu swojej nieskończonej niezdarności zagubiło moje dossier, stawiając pieczętkę „wrócił” nad pieczętką „zaginiony?” Tak oto na rozpadających się fundamentach prawdziwego

życia układa się historię fałszywego.

A ty, moja droga? Gdzie byśmy byli, gdybym uwierzył we wszystko, co usłyszałem dzisiaj o tobie od pana Ferrella? Chcesz, żebym opisał całą tę żalospną scenę? Wyglądała tak oto — postaram się ją jak najwierniej odtworzyć, chociaż na jej wspomnienie chce mi się płakać albo śmiać, sam nie wiem co bardziej:

- Ty i Finneran wracacie do Bostonu? Naprawdę? — Demoniczny detektyw sprawiał wrażenie przygnębionego tą perspektywą. Nie mógł znieść myśli, że wracam do ciebie, i spróbował paru sztuczek, żeby mnie od tego odwieść.
- Oczywiście — odparłem. — A dlaczego nie?
- Ale ona cię zostawiła. Zerwała z tobą.
- Nie, nie, ależ skąd. Mylisz się.
- Powiedziała mi, żebym ci to rzucił w twarz. — Ferrell pokazał mi ostatni telegram, który do ciebie wysłałem, namawiając cię do zachowania spokoju, mówiąc, że nie wierzę, iż zerwałaś ze mną z własnej woli. Miał też parę listów, które do ciebie napisałem. Dlaczego mu je dałaś, Margaret?

**TELEGRAM. LUKSOR DO MARGARET FINNERAN, BOSTON,  
30 GRUDNIA 1922, 9.33. DOSTAŁEM TWÓJ LIST Z 15  
LISTOPADA. ZIGNORUJĘ FAŁSZYWĄ DEPESEZĘ Z 29  
LISTOPADA. FERRELL KŁAMCA. WSZYSTKO BĘDZIE  
DOBRZE. ZAWSZE ODDANY W KAŻDYCH  
OKOLICZNOŚCIACH. TWÓJ RMT.**

- To cudowna kobieta — powiedział z rozmarzeniem, łypiąc na mnie i

dając mi do zrozumienia, że zna cię prywatnie. — Ale ta jej choroba jest tragiczna.

- Uleczalna — odrzekłem, oburzony jego wtrącaniem się w nasze życie.
- Uleczalna? Nie wiem. Od opium trudno się uwolnić, a kiedy widziałem ją ostatni raz...
- Opium? — Muszę przyznać, że zaskoczył mnie potwornością niektórych swoich kłamstw, pozostał więc przy tym.
- Nie rozśmieszaj mnie, Trilipush. Znam takich jak ty. Jestem zdziwiony, słysząc, że wracasz, chcesz wziąć ślub. Dlaczego miałbyś sobie zawracać tym głowę? Masz swój skarb, nakłoniłeś Finnerana i jego przyjaciół, żeby zapłacili za twój przyjazd tutaj, jesteś urządzony. Dlaczego masz się teraz z nią żenić? Potrzebne ci to? Jestem pewien, że podoba ci się, kiedy jest oszołomiona opium, bo to łatwy kamuflaż dla twojego zepsucia. Szkoda. Ona jest piękną kobietą. Wiesz, kiedy ją zostawiłem w łóżku, wzdychała i szeptała moje imię, i muszę ci powiedzieć, że szkoda jej na przykrywkę dla ciebie i twoich chłopców. A niech to, Trilipush, wyglądasz, jakbyś był zazdrosny. Zastanawiam się dlaczego. Myślałeś, że zadowolą ją same narkotyki? Oczywiście mało wiesz o kobietach.

Margarct, opisał was jako kochanków, obejmujących się w twoim pokoju przy Commonwealth Avenue, opisał cię bardzo szczegółowo, twoje jęki i wzdychania, twoje kształty, karnację twoich członków. Wolę nie wierzyć w jego opowieść — jak mógłbym postąpić inaczej? Nie ma ona dla mnie sensu, nawet jeśli, jak się upierał, byłaś odurzona narkotykami. To też nie ma dla mnie sensu. Nie, dosyć wiem o

policjantach i ich sposobach. Jeśli myślą, że coś ukrywasz, będą cię zasypywać sprawiającymi ból kłamstwami, dopóki nie wyjawisz tego, czego

szukają. „Harry” — krzyczałaś, tak powiedział, rozpierając się na krześle, składając razem koniuszki palców, przewracając oczami i oblizując suche usta. „Harry, jesteś moim jedynym mężczyzną”.

Zachowałem godność, chociaż gdybym był zdrowszy, stłukłbym go za to. Myślę, że mógłbym go zabić, ale byliśmy w miejscu publicznym i od lat nie strzelałem ze swojego webleya. Mimo wszystko perspektywa mojego powrotu do Bostonu, do ciebie, obudziła w nim diabła:

— Mogę załatwić, że zginiesz, Tnhpush. Jeśli powiem OTooleowi, że ukradłeś jego pieniądze, pożegnaj się z życiem. Trzymaj się od niej z daleka, a pozwolę ci żyć. — Spróbował też przekupstwa: — Szkoda, Trilipush. Na Caldwellla czeka kupa pieniędzy. Jeśli powiesz mi, gdzie znaleźć jego szczątki, moglibyśmy się podzielić tą forszą.

Musimy zatem zostawić Ferrella za sobą. Grozi, że pojawi się na moim stanowisku z policją i z psami, z powodów, które nie mieszczą się w głowie. Nieważne. Przykro mi, że zawracał ci głowę, starał się zmaćcić przejrzystą prawdę naszego życia. Nie będę już ani przez chwilę myślał o tym, co o tobie powiedział. Błagam cię, odpędź wszelkie wspomnienia o nim machnięciem swojej ślicznej rączki.

Ale dlaczego miał łę depeszę? Czyżbyś naprawdę mu ją dała, odrzucając ją ze śmiechem, jak twierdzi? Dałaś mu moje listy? Teraz nie ma to już znaczenia. Kiedyś mogło mieć. Zapomnij o tym, ukochana. Zapomnij o brudnych śladach stóp Ferrella. Ten dziennik jest jedynym listem ode mnie, którego potrzebujesz.

Zauważ: po co ten brudny, grzebiący się w rozwodach archeolog, ten oszust ubezpieczeniowy, narobił tego całego zamieszania? Czego chciał ode mnie? Potwierdzenia bajeczek

O zamordowanych i o twoim ojcu uciekającym przed długami.

To szaleństwo, zmyślenia fantasty Ferrella. Trzeba go zignorować, najdroższa, bo inaczej wszystko — prawda, grobowiec, moje nieśmiertelne osiągnięcie — zostanie zatarte, zamazane.

Na koniec moje tete-a-tete z tym detektywem niemal mnie uradowało. Tak długie oczekiwanie z pewnym niepokojem na jego przybycie, a następnie stwierdzenie, że jest się ściganym z powodu czegoś, co nie ma z tobą absolutnie nic wspólnego, przynosi pewną ulgę. Człowiek martwił się, że sprawa może dotyczyć czegoś rzeczywistego, ale oczywiście tak nie było. „Chwileczkę — uważasz, że zabiłem Paula Caldwell? — zapytałem, z trudem powstrzymując się od śmiechu, kiedy dobrnął w swoich majaczeniach do ostatecznego, szalonego wniosku.

Ale, paradoksalnie, okazało się to jedyną przyjemnością z przebywania w odrażającym towarzystwie detektywa, jedynym ciekawym elementem w tej opowieści szaleńca: opowieści o zaginionym chłopaku. Usłyszałem od Ferrella dosyć dużo i cała ta sprawa, ta historia o wspaniałym chłopcu i ojcu Rowleyu, dziwnie mnie poruszyła. Powtarzam tylko, co usłyszałem od Ferrella, ale przy okazji chciałbym cię o coś zapytać. Wiem, że mnie kochasz. Wiem, że nasze nieporozumienia zostaną wyjaśnione. Wiem to wszystko. Ale co by było, gdybym nic był tym, o kim marzyłaś? Muszę ci coś wyznać: ta rola przypadła mi z tytułu urodzenia. Nie musiałem o nią walczyć.

I wyznaję, jest mi wstyd.

Z tego bowiem, co mi powiedziano (być może Ferrell powiedział ci to samo), wynika, że ten chłopak wy dobył się o własnych siłach z nędzy i poniewierki. Nie mógł liczyć na miłość, pieniądze, zwykłą życzliwość, słowa zachęty. Urodził się i nie miał nic, a jednak z tego niczego sam siebie stworzył. Co zrobiłby Hugo Marlowe, Ralph Trilipush czy inny bogaty, wykształcony, dobrze urodzony facet, gdyby znalazł się na miejscu Paula Caldwell? Rzuć ich w slumsy Sydney i odbierz im wszystkie pieniądze. Pozbaw ich dobrych manier. Od mów im wszystkiego, czego nie było w ich głowach i sercach w dniu, w którym się urodzili, a kim się staną? Obawiam się, że bez otrzymanych od innych darów nie poradzą sobie, ich siła wewnętrzna nie wystarczy. Ludzie tacy jak oni (jak ja, to żenujący fakt) nigdy nie będą wiedzieli na pewno, co naprawdę zawdzięczają tylko sobie. Są przez całe życie dezorientowani, błędzą we mgle tego, co odziedziczyli. Kiedy coś zdobędą (tytuł naukowy, pracę, żonę), nie wiedzą, czy rzeczywiście osiągnęli to sami, czy nie jest to wynikiem podążania za przykładem ojca, radą matki, skutkiem cennych nauk profesorów, wszystkich tych niestrawionych kawałków innych ludzi, które bogacz nazywa osobowością. Natomiast Paul Caldwell sam się wykształcił, nie miał żadnej rodziny, wykorzystał niewielkie szanse, niemal niewarte owej nazwy, których nikt inny nawet nie widział, wykorzystał je, jak rozumiem, w większym stopniu niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Jest to opowieść o autokreacji godnej Atum-hadu.

„Co się stało z Paulem Caldwellem?” — pytał w kółko Ferrell. Nie wiem, ale jeśli nie zginął na wojnie, kim mógł się stać? W bardziej sprzyjających okolicznościach taki człowiek mógłby zostać moim

asystentem. Czy świat pozwoliłby mu zajaśnieć blaskiem chwały, którą zawdzięczałby tylko sobie, i podziwiał go za to? Czy też zmusiłby go do ukrycia się, by gorszych od niego nie oślepił i nie poraził blask, jakim oni nigdy niemogliby zapłonąć?

Na pewno zrobiłby wszystko, by wzbudzić podziw pięknej i wytwornej kobiety. Czy podziwiałabyś go tak samo jak on ciebie? Czy mogłabyś pokochać kogoś takiego jak on, Marga-ret? Czy też również ty życzyłabyś sobie kogoś bardziej podobnego do mnie — wytwornego, sprawdzonego, zaaprobowanego? Pragnę to wiedzieć.

Ferrell powiedział mi, że ten chłopak odkrył Egipt w bibliotece. Czy czuliśmy to samo, on i ja, chłopcy zakochani w tym kraju? Pamiętam niecierpliwość, z jaką czekałem na nadejście do dworu nowych książek albo świeżego numeru „Chronicles of Egyptology”, „Annals of Modern Egyptology” czy „Ar-cheology”. Czasami, kiedy wyobrażałem sobie okładki tych książek, miałem nadzieję zobaczyć kolorowe ilustracje, poczuć pod palcami przezroczysty papier nad rycinami na frontyście, ogarniała mnie nieznośna ekscytacja.

Na podstawie suchych faktów Ferrella natchniony myśliciel może tchnąć w tę historię trochę ciepła: na początku 1917 roku Caldwell przybywa do Egiptu, kraju, który go wabił, odkąd skończył osiem lat. Jest niezmordowany w staraniach zobaczenia wszystkiego. Uczy się arabskiego, ogląda piramidy, zwiedza, kiedy tylko uda mu się uzyskać przepustkę. Po pewnym czasie zaczyna się wymykać z obozu nawet bez przepustki, bo Egipt ma dla niego zbyt silny urok, jest zbyt rzeczywisty w porównaniu z nierealnością służby w armii kolonialnej, i robi swoje

podczas wojny, która nie ma najmniejszego związku z nim. Wyobraź go sobie, Margaret, tak owładniętego miłością do tego kraju, że za nic ma potencjalne kary. Wie, co mu grozi za wielokrotne samowolne oddalanie się od obozu, ale ta wojna z każdym dniem wydaje mu się coraz mniej rzeczywista. Może w błotnistym okopie w Luksemburgu bardziej by uważał (albo został zabity), ale tuż obok jego ukochanej pustyni, kiedy słyszał ryk wielbłądów do wynajęcia, z których każdy wzywał go, by pocwałował w mrok i dotknął beznosego piękna Sfinksa, usiadł u stóp wspaniałej piramidy Cheopsa i rozmyślał o tym, gdzie na tej bezkresnej pustyni znajdzie swoje przeznaczenie, nie mógł bać się — byłoby to niemożliwe — jakiegoś wolno poruszającego się, wolno myślącego sierżanta (tracącego stopniowo cierpliwość podczas nocnej warty przy stożku światła lampy naftowej w wartowni).

A potem, pewnego dnia, kiedy ja zostaję ranny i uznany za zaginionego w Turcji, Paul Caldwell prawdopodobnie dowiaduje się, że oficer brytyjski wizytujący australijski obóz jest w cywilu obiecującym specjalistą z dziedziny egiptologn, który nawet i teraz, kiedy pozwalają na to obowiązki, prowadzi badania. Zbyt dobrze znam sposób postępowania Hugona Marlowea. Nie mam żadnych wątpliwości, że Caldwell stale go nachodził, na próżno się starając zwrócić na siebie jego uwagę. I mogę sobie wyobrazić, że skoro mu się to nie udało, zaczął po prostu z czystej fascynacji jego pracą, ale także dlatego, że Marlowe w s z y s t k o wiedział, łaźić za nim (a stacjonował on pełnych czterdzieści mil od australijskiego obozu). Musiał w końcu pozyskać jego zainteresowanie i zaufanie, nieważne jak. Wyobrażam sobie Marlowea, jak bierze tego chłopaka pod swoje skrzydła, i dreszczyk podniecenia, z jakim Caldwell słuchał o



szczegółach, metodach naukowych i badawczych, ostatnich odkryciach, a jaki temat mógł być bardziej porywający niż najnowsze zapatrywania na życie i twórczość Atum-hadu?

Ależ oczywiście. Oczywiście Marlowe dyskutowałby z Caldwellem o Atum-hadu. Trzymał w swoim namiocie fragment C, czekając na mój powrót. Powiedziała by Caldwellowi o Atum-hadu i wszystko w tej opowieści miałyby dla tego biednego chłopaka piękny sens: cywilizacja, w której genialny człowiek mógł codziennie stwarzać się na nowo, aż został królem. Być może w dzieciństwie Paul czytał Harrimana i ogień Atum-hadu, chociaż przygaszony w tej wersji, już go przypiekl. A teraz Marlowe poznał ich ze sobą.

Gdyby Caldwell przeżył wojnę, być może pozwolono by mu zostać bibliotekarzem, może nauczycielem w jakiejś prowincjonalnej szkole dla chłopców. Mógł być tak inteligentny jak ja, tak czarujący jak ja, tak dobrze zbudowany jak ja, ale bez listów polecających, bogactwa i całej reszty byłby osobliwością, cyrkowym dziwolągiem, ubogim chłopakiem, który z zagadkowych, znanych tylko jemu powodów, ma tak z a b a w n ą wiedzę o szczegółach starożytnego Egiptu. Czy kochałabyś mnie, gdybym był taki, gdybym to był ja? Nie, jakżebyś mogła. Nikt nie będzie, i nie powinien, pamiętać o Paulu Caldwellu.

Ostatnie dni Egiptu. Musiał być taki dzień, ostatni dzień. Ostatnia godzina. Ostatnia chwila. W każdym kataklizmie był właśnie taki ostatni moment, niewiarygodne, ale prawdziwe: ostatni zabity w Wielkiej Wojnie, ostatnia ofiara czarnej śmierci, ostatni neandertalczyk, który stał się rodzicem pierwszego homo sapiens. I musiał też być ostatni człowiek, który czcił Atuma i umierając, zabrał ze sobą do grobu wszystkie

tajemnice jego kultu. Był ostatni człowiek, który wiedział, jak wymawiać głoski starożytnego egipskiego; wraz z nim umarł cały język i teraz wszystko, co możemy zrobić, to wyęźać słuch, by pochylając się nisko nad księgami i żywiąc niezłomną nadzieję, usłyszeć jego echa.

I dla Atum-hadu nastał ten dzień, kiedy wszystko było nieodwołalnie stracone, kiedy nie było już żadnej możliwości ucieczki. Chodził po pustym pałacu, przeszedł nad ciałem człowieka, którego twarz przypominała bezkształtną miazgę. Jak czuł się król tego popołudnia? Był senny, tak strasznie zmęczony. Pragnął, znaleźć jakieś inne wyjście. Tęsknił za swoją żoną i spokojnym miejscem, gdzie mogliby razem odpocząć.

Nadszedł ten dzień, a potem się skończył, porywając ze sobą cały wszechświat. Nadszedł ostatni zachód słońca nad stojącymi u bram hordami ludzi o świńskich rysach pod dowództwem cudzoziemców, nad spalonymi świątyniami, nad spalonymi wszystkimi historiami, a słowa, opowieści, aspiracje i pewność nie mającej końca przyszłości, w której należą ci się zaszczyty i miłość — tylko dlatego, że żyjesz w czasach pokoju — przepadły. Zamiast tego był ten ostatni dzień i Atum-hadu stanął na chwilę nieruchomo, rozejrzał się wokół i wypowiedział słowa pożegnania, chociaż nikt ich nie usłyszał. Został usidlony przez okoliczności, nad którymi nie panował żaden człowiek, nawet wcielenie Atuma, wielkiego stwórcy. Nie miał służby, armii, tragarzy, kobiet, pieniędzy, czasu.

„Koniec wszystkiego". Oto, czego boją się dorośli, jedyny upiór, który trwa poza pokojem dziecięcym, by od czasu do czasu wstać i napełnić nas skręcającą wewnętrzną trwogą. To więcej niż strach przed śmiercią, bo w

chwili zagłady człowiek pociesza się myślą, że zostaje po nas coś, co nas reprezentuje albo liczy się dla nas, w jakiś sposób nas zachowując, choćby była to tylko wiedza, że rzeczy i ludzie, których kochamy, przetrwają.

„Życie naszych dzieci trwa, więc nasze tak naprawdę się nie kończy” — oto żaloszny strzęp egipskiej nieśmiertelności, który zachował człowiek współczesny. Niektórzy czepiają się oczywiście swojej nadwątlonej wiary w chrześcijańskie niebo czy orgiastyczny raj Allaha, ale dla większości za kulisami jest coś prostszego: dzieci, wnuki, rodzinny interes, dzieło życia albo tylko oznaki monottonnych spraw codziennych: istnieje nadal pub i główna ulica, klub piłkarski, rząd, konstytucja i stary pułk. Jeśli kogoś nie przygnębiają te bezduszne instytucje, niebiańsko nieporuszone jego śmiercią, to, odwrotnie, dodają mu otuchy i stają się czymś w rodzaju malowideł przedstawiających żywność na ścianach grobowców faraonów. O tak, przeciętny człowiek rzuca się ostatnim tchnieniem na nieśmiertelność i znajduje ją — w swoich spadkobiercach, pracy, mieście, kulturze.

Ale koniec wszystkiego! Jakich zniszczeń musi dokonać człowiek lub przyroda, by twoja śmierć stała się nieznośnie błaha, naprawdę śmiertelna? Czy potrzebujesz epoki lodowcowej albo powiększonego do monstualnych rozmiarów słońca palącego Ziemię? A może dla położenia kresu twoim fantazjom o wiecznym trwaniu wystarczy mniejsza katastrofa? Wyrznięcie w pień na twoich gasnących oczach twoich potomków? Bankructwo twojej firmy, spłónięcie twojego domu i dorobku? Powiedzmy, że zniszczony zostaje twój kościół, wszyscy jego kapłani i wszystkie pisemne i graficzne wzmianki o twoim bogu, że na tych ruinach i zgliszczach tańczą demony o ostrych szponach, które służą

jakiemuś innemu, młodszemu i okrutniejszemu bogu. Powiedzmy, że miasto, które przez tysiące lat opierało się wszelkim najeźdźcom, miasto, w którym twoja rodzina żyła od tak dawna, jak daleko jesteś w stanie spojrzeć wstecz, ta perła mórz czy piasków, ta zielona i miła Anglia, ten wieczny Rzym, ta różowa Jerozolima czy święta Mekka, ojczyzna twoja i twoich bliskich, zostanie zniszczona do ostatniego kamienia, ostatniej bomby obracającej w gruzy ostatni dom na chwilę przedtem, nim z twojego zamierającego serca zostaną wypompowane ostatnie, lepkie krople krwi. Wenecja zapada się w morze. Paryż płonie. Londyn wyje. Nowy Jork się rozpada, a z Aten zostaje kupa popiołu. Dla ciebie to nie jest jeszcze koniec wszystkiego? Pod baczny okiem nienasyconych piromanów-analfabetów płonie każdy egzemplarz każdego dzieła każdego autora literatury światowej. Ostatni egzemplarz ostatniej historii twojego czy jakiegokolwiek innego kraju zamienia się w czarny dym i wszystkim, na co możesz mieć nadzieję, wydając ostatnie tchnienie, jest najdrobniejszy okrucuch nieśmiertelności: może za parę pokoleń jakieś ustne wspomnienie przekazane przez długo pamiętanego genialnego aktora jego potomkowi, który przekaże to swojemu, a ten z kolei swojemu, doprowadzi do śmiałej próby przypomnienia *Hamleta* i ponownego jego napisania... ale czym się skończy ta sztuka? Hamlet się otruje? W ciemnym pokoju uderzy pałąk Poloniusza? Przebierze się za grabarza i wymknie tylnym wyjściem?

Któregoś dnia, i to niedługo, zostaną utracone następujące pozycje: dzieła Beethovena. Piwo, które lubisz. Wszystkie dane o twoim pochodzeniu. Miejsce, gdzie po raz pierwszy pocałowałeś dziewczynę.

Kawa. Krajobraz, który kojarzy ci się ze spokojem i swobodą. Wszelkie świadectwa twojej młodości, namacalne albo tylko miło wspomniane. Wrażenie, że wszystko, co stoi pomiędzy tobą a twoją ukochaną, jest ciągiem aspiracji, osiągnięć, niepowodzeń, posiłków, ceremonii, miłości, zawodów miłosnych, powrotów do normy, następnych aktów.

Będiesz mnie pamiętała, Margaret? Zobaczysz, co tutaj osiągnąłem, i wyjaśnisz to światu? Widzisz, nie mam nikogo innego, komu mógłbym zaufać. Jeśli mnie, czy tylko wyobrażenie o mnie, kiedy kolwiek kochałaś, pozbądź się, proszę, proszę, swoich dolegliwości i postaraj się, żeby moje dzieło nadal żyło.

CCF zasnął. Mam dużo do ukończenia, zwłaszcza jeśli przybędzie tu ten szalony Ferrell z policją i psami.

6 stycznia 1955 r.

Człowiek lubi mieć rację, Macy. Dobrze jest też mieć rację ze słusznych powodów. Dzisiaj rano, kiedy przeglądam to, co napisałem wczoraj, mam nieprzyjemne uczucie, jest mi niemal wstyd, że być może miałem czasami rację z niesłusznych powodów. Kiedy to dzisiaj czytam, nie jest dla mnie zupełnie jasne, gdzie i w jaki sposób przyłapałem Trilipusha na kłamstwie. A mimo to pamiętam to uczucie - uczucie, Macy, tak wyraźne i rzeczywiste jak smak czekolady albo muśnięcie wiatru na twarzy - że kłamię. I z pewnością napisałem wtedy w moich notatkach, że wiedziałem, iż kłamał. Ale kiedy teraz czytam to na nowo, wydaje mi się, że ta pewność trochę osłabła. Przypuszczam, że mogłem powiedzieć Margaret o zainteresowaniach Caldwell'a archeologią, a ona mogła napisać o tym Trilipushowi. Nieważne - jeśli to nie było to, to coś innego. Zbyt kusi człowieka, żeby powiedzieć, że z perspektywy czasu widać sprawę jaśniej.

Bardziej prawdopodobne jest to, że czas zamazuje prawdę. Nie kwestionuję mojej pewności wtedy, tylko moją zdolność wyrażenia jej teraz. Nie jestem literatem, Macy, to twoja rola w naszej spółce. Wyjaśnij więc, jak przyłapałem Trilipusha na kłamstwie.

Przypuszczam też, że mogę się teraz obwiniać za to, że nie udało mi się przekonać policji, żeby od razu to zbadała. Zniknięcie Anglika i Australijczyka cztery lata wcześniej, podczas wojny, wydawało się pełniącemu służbę posterunkowemu nie mieć nic wspólnego z jego pracą. Powiedział mi, żebym powiadomił o tym brytyjski konsulat, i jeśli nakażą przeprowadzenie śledztwa, zbada tę sprawę. Nie mogłem go skłonić do zmiany stanowiska i widziałem, że napawa go dumą to, że on, tubylec, mówi mi „nie”, jakbym był królem Anglii, a nie w rzeczywistości jeszcze jednym z wykorzystywanych przez Anglików mieszkańców kolonii. To była sobota, 30-ego.

Wróciłem do hotelu, żeby czekać na wiadomość od moich obserwatorów. Nie pojawili się. Nie kładłem się aż do północy. Nic. Zszedłem na ulicę, żeby ich poszukać. Wydawało mi się, że widzę jednego, ale kiedy do niego podszedłem, nic mówił po angielsku i nie miałem w końcu pewności, czy należy do mojego zespołu czy nie. Prawda jest taka, że egipscy chłopcy nie różnią się zbyt od siebie. Zacząłem się obawiać najgorszego - że Trilipush w desperacji zrobił moim chłopcom poważną krzywdę.

*Niedziela, 31 grudnia 1922 r.*

Śniło mi się, że siedzę za tobą, trzymając rękę na twojej ręce spoczywającej na udzie. Siedzieliśmy w bezpiecznym, zamkniętym miejscu. Szeptaliśmy ci do ucha. Trzymałem cię też za drugą rękę i

wskazywałem twoim palcem znaki na papirusie, sącząc do twojego miękkiego ucha tajemnice ukryte w tych obrazkach.

Słońce już weszło i po drugiej stronie skalnej ściany zaczął się ruch. Usiadłem najpierw na grzbiecie urwiska, a potem bliżej, na balkonie zbudowanym nad wejściem do skarbcza Tuta, i przyglądałem się, jak fotograf robi zdjęcia temu wielkiemu człowiekowi w różnych pozach. Jest tego za dużo, tego sprzętu, te mile perkalu i lnu, słoje z płynami konserwującymi, kadzie z utrwalaczami zdjęć, niezliczone sita, beczki, młotki, oskardy i wózki, linia kolejowa zbudowana specjalnie dla niego, szyna przy szynie, biegnąca z doliny, tuziny wielbicieli, dziennikarzy proszących choć o jedno słowo. To wszystko powinno wystarczyć. Ale nie, teraz musimy mieć te obłoczki dymu, jeden za drugim, srebrny błysk i niebieski błysk, kliknięcie za kliknięciem, i „Tutaj, panie Carter, proszę patrzeć w tę stronę”, spoglądające bez mrugnięcia oko świata, pożerające go, ale pozostawiające całego. Był niezmordowany — klik, klik, klik, paf, paf, paf — karmiąc świat swoim widokiem. Wielki człowiek w swoim namiocie. Przed wejściem do tej swojej dziury. Ze swoimi sługusami. Udający, że coś przeoczył. Podchodzący do jakiegoś skarbu i odchodzący w blask słońca wiedzy i sławy. Naradzający się to z tym, to z tamtym. Rozmyślający. Odkryty przez niego grobowiec jest grobowcem Odnowy, świadectwem tego, że nic nie znika na zawsze, bo wszystko powraca w końcu w pełni chwały. A dowodzą tego te cienkie, krótkotrwałe fotografie.

A kiedy wracam, 200 jardów dalej, na ścieżce stoi Ferrell, wstrętny jak gryzoń, i szturcha kijem ścianę urwiska.

Następnego dnia, w niedzielę, 31-ego, zdjęty paniką, odwiedziłem ponownie miejsca, które znałem: była willa Trilipusha, zatłoczone sta-

nowisko Cartera, gdzie zobaczyłem go, jak pozuje fotografom, i pas pustyni, gdzie było kiedyś stanowisko Trilipusha. Wszędzie nic. Wróciłem do hotelu, modląc się, żeby pojawiła się moja mała armia informatorów. Nic. Pocięczałem się, że może poszli dokądś za nim, on tam został, więc oni też. Ale sytuacja, w której się znalazłem, zaczęła budzić mój niepokój. Poszedłem do biura podróży, a tam potwierdzili, że Trilipush i Finneran są nadal na liście pasażerów, którzy odpływają następnego dnia, zapłacono nawet za bilety. Wynająłem nowego chłopaka, żeby obserwował stację kolejową, wypatrując osób, których wygląd wskazywałby na to, że mamy bez wątplenia do czynienia z Trilipusem albo Finneranem. Przynajmniej on złożył mi sprawozdanie po odjeździe ostatniego pociągu: nie wyjechali z Luksoru koleją. Przygotowałem następne posunięcie - przesłałem telegraficznie konsulowi brytyjskiemu w Kairze szczegóły naszego przybycia, poinformowałem go, że zamierzam dostarczyć mu w celu wspólnego przesłuchania mężczyznę podejrzanego o zamordowanie w 1918 roku kapitana Marlowe'a, więc żeby się na to przygotował. Widzisz, Macy, wykorzystywałem wszelkie możliwe środki, żeby rozwiązać zagadkę zbrodni, której nikt inny nie chciał zbadać.

Tego wieczoru, 31-ego, żeby upewnić się, że zrobiłem wszystko, co mogłem, przeprowiłem się po raz ostatni przez rzekę, by znowu przejść się po stanowisku Trilipusha, ale tym razem, kiedy schodziłem z promu na zachodnim brzegu Nilu, w tłumie czekającym na wejście na wracający na wschód prom znajdował się chłopak, który-przysięgłbym - należał do mojej zaginionej armii tropicieli. Niósł duży pakunek. Kiedy starałem się zwrócić jego uwagę, zignorował mnie, wszedł po prostu na prom, gdzie nie mogłem do niego dotrzeć. Straciłem go z oczu. Przepchnąłem się na przód przystani i



przyglądałem się promowi uważnie, kiedy odpływał, ale nie widziałem chłopaka, aż nagle dostrzegłem go, kiedy prom wypłynął na główny nurt rzeki, jak patrzy na mnie z pokładu, jakby był tam cały czas, i przysięgłbym, nawet z tej odległości, że się śmiał.

Oczywiście znowu nic nie znalazłem na stanowisku Trilipusha i wiem wystarczająco dużo o ludzkiej psychice w chwilach stresu, żeby nie brać zbyt poważnie tego uczucia niepokoju, które dopadło mnie w ostatnich promieniach słońca, podejrzania, że ktoś mnie obserwuje. Nawet śmiech tego małego chłopca był prawdopodobnie bardziej oznaką mojego nerwowego napięcia niż czegoś rzeczywistego.

*(Niedziela, 31 grudnia 1922 r., ciąg dalszy)*

Atum-hadu stanął wobec najbardziej zniechęcającego przypadku paradoksu grobowca w całej historii starożytnego Egiptu. Nawet przy dziesiątym spojrzeniu jest to zagadka, która nie ma rozwiązania. By zapewnić sobie nieśmiertelność, musiał postarać się o to, żeby jego imię przetrwało na ziemi, a ciało — zakonserwowane, zmumifikowane i zamknięte w minimalnie wyposażonym grobowcu — pod ziemią. I nie pozostał nikt, kto mógłby o tym opowiedzieć. Podczas gdy świat na górze rozpływa się w pustynnym słońcu — jego imienia nie ma na żadnej liście królów. XIII dynastia stawała się szybko zlepkiem faktów i legend, a tam, gdzie przechadzali się niegdyś królowie, wykwiwały dziury wypełnione lotnymi piaskami.

PANNHAU L: „OSTATNIE GODZINY HGIPTU”

Tekst: Wszyscy porzucili Atum-hadu. Opuścił Teby, przeprowił się przez życiodajny Nil i poszedł sam; niósł swoje dobra, swoje Nauki, farbę, trzciniowe pióra, tusz, pędzle, kota. Kobry w jego brzuchu umarły. Po drugiej stronie potężnego Nilu spalił małą łódkę, której był kapitanem, i przyglądał się srebrnym błyskom ognia na tle nieba. Na wschodzie najeźdźcy plądrowali jego pałac i słyszał krzyki swoich kobiet. Pozbawiono go tego świata. Niósł swoje dobra do grobowca, który dał mu Set.

Analiza: Ostatnie chwile jego panowania. Ostatnie chwile Egiptu. Niewyobrażalny smutek, żal, ale nie pozbawiony pewnego piękna, koniec dni. Otoczony krwią, szybko zbliża się zagrożenie. Zagrożenie nie życia doczesnego, ale pośmiertnego. Został przez wszystkich opuszczony. Ale wszystko jest teraz jasne, zagadka — która przez tysiące lat trapiła mniejsze umysły, udaremniła zamiary hyksoskich grabieżców, starożytnych rabusiów grobów, Harrimana i Vassala, i wszystkich tych, którzy wątpili w istnienie Atum-hadu — ukazuje nam rozwiązanie, czytelniku. Możemy teraz prześledzić, komora po komorze, dzieło, którego dokonał, zarówno tamtego ostatniego dnia, jak i w dniach i wydarzeniach, które do niego doprowadziły.

Zrozumiemy, dlaczego na drzwiach grobowca nie było żadnych pieczęci ani inskrypcji.

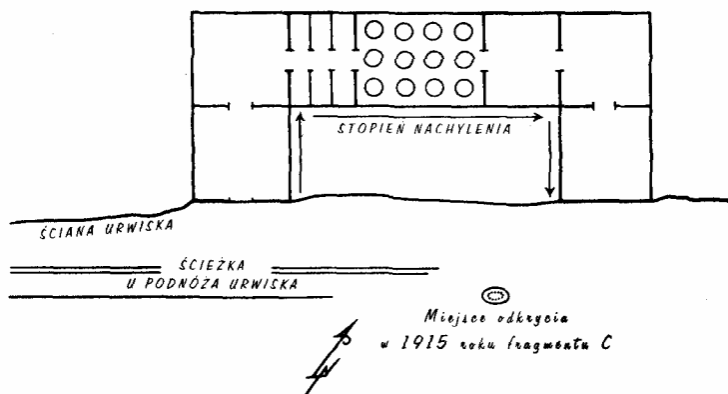
Zrozumiemy ciała i ich rozmieszczenie, krwawe ślady stóp.

Zrozumiemy amatorskie malowidła i fachowy tekst.

Zrozumiemy, jak pewien człowiek sam zapewnił sobie nieśmiertelność, wypełnił grobowiec i ukrył go przed wszystkimi.

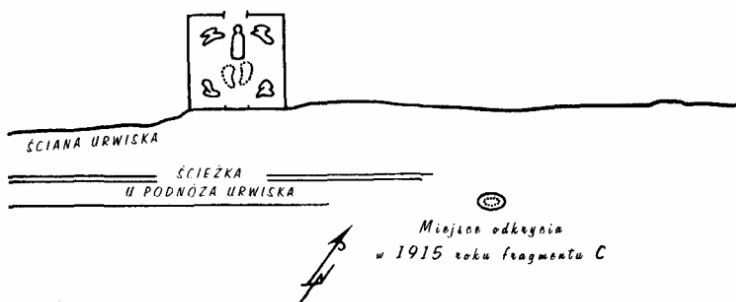
A zatem weźmy ponownie rysunek 1 — grobowiec Atum--hadu —

pomijając szczegóły:



Wyjaśnia się teraz przyczyna cienkości i lekkości zakamuflowanych drzwi A. Nawet od człowieka o takiej sprawności, jaką odznaczał się Atum-hadu, nie można oczekiwać, że sam podniesie ciężkie kamienne drzwi, wstawi je we właściwe miejsce i zapieczętuje. Pozwólmy więc sobie na przypuszczenie, że sam skonstruował tę prowizoryczną, ale wystarczającą zasłonę, upodobił drewno do kamienia, zagipsował je za sobą, kiedy miał już wewnątrz wszystko, co było mu potrzebne. Mając za sobą zamknięte drzwi, przystąpił do pracy w atmosferze, która musiała przypominać spokój.

## RYSUNEK 2 - KOMORA KOBIEC ATUM-HADU



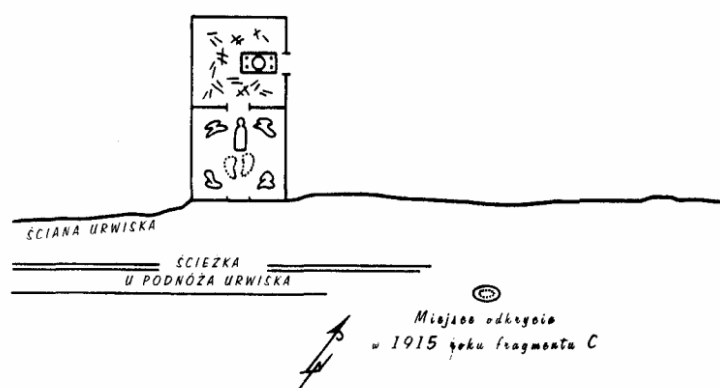
Aby odrodzić się w zaświatach, należało ponownie skonsumować małżeństwo, co z kolei wymagało pobudzenia mumii. Komora ta zawierała wszystko, co było symbolicznie niezbędne do tego aktu. Wyszywane paciorkami pantofle ukochanej nałożnicy, rozrzucone, cienkie jak pajęczyna, barwne szaty ulubionych tancerek i niezwykle malowidła pokrywające ściany: kobiety o wszelkich wyobrazalnych kształtach, ogromnej różnorodności, przedstawione podczas czynności i w pozycjach, które Nauki tak wymownie opisują jako preferencje Atum-hadu. W chwili jego śmierci stroje te wypełnią nagle śliczne towarzyszki, które król przez całe życie trzymał przy sobie. Malowidła na ścianach zaokrąglą się nagle w trzech wymiarach, a potem zeskoczą na podłogę, w wypełnionych nadprzyrodzonym blaskiem komnatach apartamentów podróżnych Atum-hadu zaś rozbrzmiewać będą chichoty i westchnienia.

Kto namalował te postaci? Ależ zauważ: ta sama ręka, która w poprzednich dniach ozdobiła Komorę Historii. Zamknięty w swoim grobowcu jeszcze za życia, Atum-hadu własną ręką stworzył towarzyszki podróży w zaświaty; ozdabiając odporne ściany, polegał na własnym, nie wyćwiczonym talencie, a farba plamiła mu palce, twarz i szaty. Będzie figlował w tej pierwszej komorze, jak tylko skończy pozbywać się życia, i dzięki dotknięciom tych dam, pomagającym mu stworzyć się na nowo, odrodzi się jako własne dziecko.

A kto bardziej niż jakakolwiek inna postać dominuje na ścianach? Przyjrzyj się uważnie małej, wspaniale zachowanej figurce, usytuowanej pomiędzy i za kruszejącymi pantoflami. Piękna kobieta, odziana w szatę, jej oczy błyszczą nawet wyrzeźbione, drwiący uśmiech jest zaproszeniem i

wyrazem buntu — przedstawiona jest w różnych miejscach komory, którą uświęca swoją obecnością, jej delikatna dłoń, każdy z długich, szczupłych palców wygięty w pełen gracji łuk nadrzecznego narcyza; w sennym rozleniwieniu wyleguje się ona w przeróżnych pozycjach: portrety całej postaci, namalowane z pamięci przez łkającego króla, profile, pospieszne szkice i szczegóły, o które się niepokoił, kiedy godzinami starał się uchwycić na ścianie wszystko, co kochał — jej wybuchy energii i fajerwerki dowcipu, napady smutku i zmęczenia, błysk złości w oku, kiedy odmawiano spełnienia jej kaprysów, zadowolenie, które na początku czerpała z samego towarzystwa króla i świadomości, że ją kocha. Bez względu na to, dokąd uciekła, by przeżyć pozostałe jej lata śmiertelniczki, wieczność spędzi u jego boku.

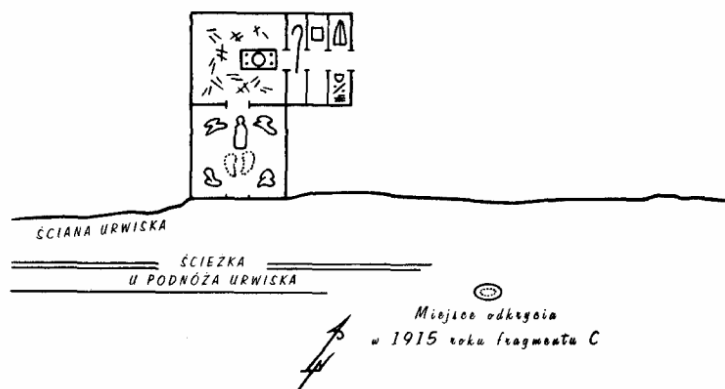
### RYSUNEK 3 - KOMORA ODPOWIEDZI



Najważniejszymi elementami Komory Odpowiedzi są krwawe ślady stóp i piękny, niewyszukany, prostokątny piedestał. Tutaj sprawował swoją funkcję *dżawabli*, czyli „odpowiadacz”. Ten mały posązek, zrobiony na podobieństwo Atum-hadu, z jego charakterystycznym szelmowskim uśmiechem, stoi dokładnie na środku długiego, ciężkiego kamiennego

pedestału. Odpowiadał on w imieniu króla na pytania zadawane mu podczas podróży w zaświaty, toczył za niego bitwy (z pomocą zakrwawionych żołnierzy stojących w szyku, przedstawionych symbolicznie za pomocą krwawych śladów stóp). *Dżawabh* otaczała cztery kule skamieniałych odchodów (przypuszczalnie wielbłąda albo słonia), na których umieszczone są skarabeusze, będące dla Egipcjan symbolami powtórnych narodzin.

RYSUNEK 4 – TRZY PRZEDPOKOJE PRZED KOMNATĄ KRÓLEWSKĄ



W tych trzech przedpokojach Atum-hadu umieścił symbole swojej ziemskiej władzy oraz narzędzia, za których pomocą zapewnił sobie nieśmiertelność. Ściany pokrywają sceny uczt, polowań, bitew, przedstawienia bogactw, skarbów, strojów. Powiedziałbym z niemal całkowitą pewnością, że malowidła te, najsłabsze ze wszystkich w grobowcu, zostały ukończone jako ostatnie, kiedy król był w stanie krańcowego wyczerpania. Wszystkie namalowane tu przedmioty miały po śmierci króla przybrać materialną postać. Poza tym są tu wspaniałe, rzeczywiste przedmioty, ułożone na podłodze:

- rzeźbione berło, drewniana laska z zakrzywioną rączką, z wypisanymi

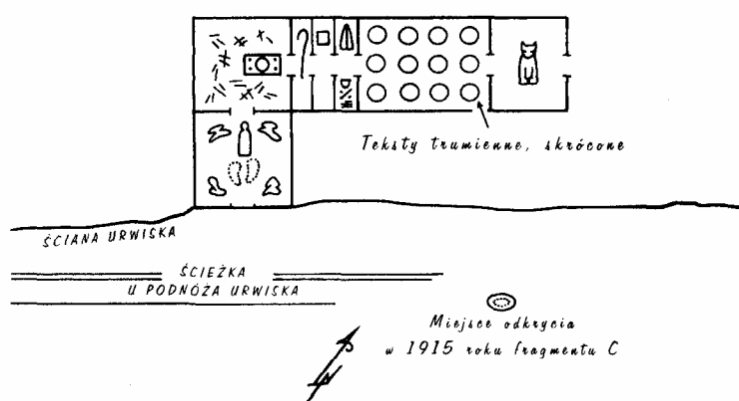
na niej pięcioma członami tytularnego imienia Atum-hadu, na której górnym końcu wystrugana jest twarz boga, być może samego Atum-hadu;

- piękna, intarsjowana hebanem szkatuła, zawierająca kompletny egzemplarz Nauk, wszystkie kwarty, ogółem osiemdziesiąt, na papirusie nie większym niż czterdzie-stośmioletni fragment C (który miałem ze sobą podczas ekspedycji i który zabiorę jutro, kiedy wrócę z CCF do Kairu), ale zapisany obustronnie, czterdzieści osiem kwartyn na awersie (te same co we fragmencie C), trzydzieści dwie na rewersie;
- poplamiona krwią i farbą szata, prawdopodobnie ta, którą miał na sobie król, kiedy przygotowywał grobowiec;
- trzciniowe pióra, pędzle, słoje farb i narzędzia do cięcia, których używał do przygotowania ścian i wyposażenia grobowca.

Szczególnie ważnym znaleziskiem jest kompletny tekst Nauk, który potwierdza słuszność moich wczesnych, pełnych poświęcenia studiów nad nim i nad panowaniem Atum-hadu. Jeśli w sześćdziesięciu poprzednio odkrytych utworach widzimy Atum-hadu jako silnego, kierującego się namiętnościami człowieka, to w pozostałych dwudziestu poznajemy jego drugą stronę. W tych końcowych kwartach bardziej zajmuje się on swoimi cierpieniami i złożonymi pytaniami, które stawia mu przyszłość. Píše z większym zainteresowaniem o swoich kłopotach z układem trawienia (na przykład w kwartach 38—41) i o cierpieniu zadanym mu przez kobiety, które nie odwzajemniły jego miłości (na przykład w kwartach 62 i 69). Chciałbym zwrócić uwagę czytelnika zwłaszcza na kwartę 68, która opisuje z intrygującą precyzją wyjątkowe znamiona na

ciele Atum-hadu; 3-4, w której król-poeta tęskni do „odkręca-cza”, który wyniesie wysoko jego imię w odnowionym świecie (według tradycyjnej interpretacji postacią tą jest Ozyrys, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest to komplement przesłany przez bratniego mi króla pod moim adresem); 63, która w prostych, nie rymowanych słowach wyjaśnia porządek panowania królów z XIII dynastii, kończącej się na Atum-hadu; 43, 64 i 67, które pojawiają się na kolumnach siódmej i ósmej, oraz 14, która widnieje na ścianie G Komory Historii.

## RYSUNEK 5 - KOMORA HISTORII I ŚWIĄTYNIA BASTET



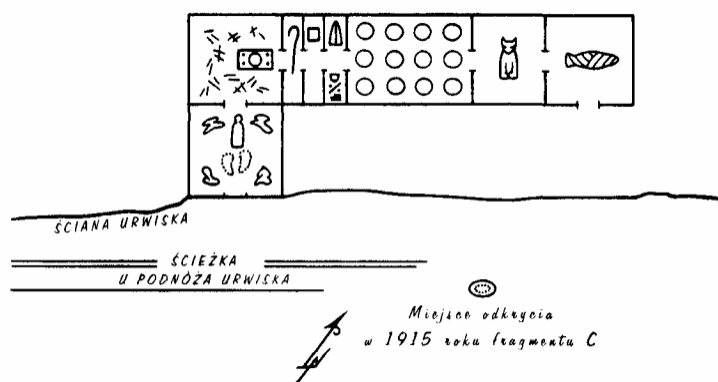
Po ozdobieniu Komory Historii kroniką swojego życia i panowania oraz skróconą wersją tekstów trumiennych (obowiązkowym przewodnikiem do Krainy Podziemnej; biedak musiał najwidoczniej odtwarzać je w ostatniej chwili z pamięci, przypomniawszy sobie, że musi je tu zamieścić, a nie miał na to dość miejsca) król zapewne był -wyczerpany i pobudzony larbą. Ale musiał dalej robić to, co do niego należało, niewątpliwie ze smutkiem, który łagodziła tylko świadomość, że żal ten wkrótce minie. Ale mimo to, w ciągu godzin, podczas których przygotowywał świątynię



Bastet, Atum-hadu musiał cierpieć. Nietrudno sobie wyobrazić, że ukochany kot, zakrztusiwszy się ością starożytnej ryby, wydał ostatnie tchnienie w jego ramionach, podczas gdy on płakał i błagał o litość jakieś głucho na jego prośby bóstwo.

Ale teraz czekało go jeszcze bardziej makabryczne zadanie. Prawdopodobnie zaczął je parę dni wcześniej, przypuszczalnie zmuszony był rozważyć swoje możliwości w chwili, gdy doszedł do siebie, siedząc okrakiem na papkowatych szczątkach Pana Szczodrości.

### RYSUNEK 6 - KOMORA PANA SZCZODROŚCI



Widzę teraz, że należą się tu dalsze wyjaśnienia, a tekst zapisany na ścianach Komory Pana Szczodrości przekazuje tę oto opowieść:

Na dwanaście dni przed końcem, kiedy Atum-hadu tak niechętnie zniszczył swojego Pana Szczodrości, kiedy zaczął palić jego ubranie, co było pierwszym krokiem ku zapobieżeniu, by dostał on nieśmiertelności, król przerwał to [by się zastanowić] .

Wielki król postanowił wykorzystywać Pana Szczodrości przez całą wieczność. Pan Szczodrości będzie przez milion lat kajał się przed Atum-hadu.

Atum-hadu widział Strażników Tajemnic przy pracy. Chociaż znał ich magię, nie miał czasu, wymaganych siedemdziesięciu dni. Ścigali go Hyksosi, którzy wiedzieli, że im uszedł. Ścigali go przeróżni wrogowie. Nie miał czasu. Działał w pośpiechu, ale zgodnie z prawami i regułami.

Bardzo cierpiał.

Kiedy dzieło zostało ukończone, narysował na płótnie twarz człowieka skruszzonego, służalczego i powściągliwego.

Analiza: Przerazające (choć amatorskie) malowidła towarzyszące temu tekstowi są zdumiewające, gdyż pokazują, jaką odrazą napełniało króla to zadanie. Warto wyjaśnić, co znaczyły jego zagadkowe słowa.

Zabiwszy Pana Szczodrości w obronie przed przedstawioną i opisaną na panneau K jego wściekłą napaścią, król najwyraźniej doszedł do kilku, szybko zmienianych wniosków. W tym momencie musiał się zdecydować na wszystkie działania, które podjął w następnych kilkunastu dniach. Zamiast zatrzeć wszystkie po nim ślady i zniszczyć jego ciało („ku zapobieżeniu, by dostąpił on nieśmiertelności”), król uświadomił sobie, że podstępny Pan Szczodrości może zapewnić mu towarzystwo i sfinansować jego podróż, bo sama jego milcząca obecność wystarczy dla przedstawienia ogromnych bogactw.

Strażnikami Tajemnic byli kapłani biegli w mumifikowaniu ciał, co znaczy, że Atum-hadu wiedział (albo myślał, że wie) o mumifikacji wystarczająco dużo, by sam mógł dokonać tego rytuału. Proces ten, jak rozumiemy, nie był przyjemny i trzeba ze współczuciem odnieść się do człowieka— nawet zahartowanego i znieczulonego przez wojny i cierpienia — który poddaje tej osobiście przeprowadzanej procedurze członka własnej rodziny, choćby znienawidzonego.

Tułów rozcina się wzdłuż lewego boku i opróżnia z wnętrzości. Cztery narządy konserwuje się w związku chemicznym, którego dokładna natura jest nam nadal nie znana. Następnie owija się je w płótno i umieszcza w kanopach ozdobionych misternie rzeźbionymi głowami czterech synów Horusa: jelita w naczyniu z pokrywą w kształcie sokologłowego Kebehsenufa, żołądek w naczyniu z pokrywą przedstawiającą szakala głowę Duamutefa, płuca w naczyniu strzeżonym przez Hapię o głowie pawiana i wątrobę w naczyniu ozdobionym ludzką głową Amseta. Skoro tak, to warto odnotować, że w Komorze Pana Szczodrości nie było żadnych kanop. Ten ciekawy fakt zostanie wyjaśniony później w tym wstępnym podsumowaniu naszych odkryć.

Mózg— nieistotny w egipskiej anatomii i religii — usuwano z czaszki haczykiem lub patykiem i pozbywano się go. W przypadku Pana Szczodrości malowidła ścienne nasuwają przypuszczenie, że jego czaszka została zmiażdżona, więc szybszym, chociaż mniej starannym zabiegiem była cefalektomia.

Ciało myto i wypełniano jakimś chemicznym środkiem konserwującym. Grobowiec Atum-hadu nie wyjaśnia składu tej tajemniczej, nadal stanowiącej dla nas zagadkę substancji. Po siedemdziesięciu dniach uznawano, że ciało jest gotowe do obandażowania. A teraz zauważ: jeśli mumia Pana Szczodrości nie jest w dokładnie takim samym stanie jak inne odkrywane pod piaskami, to wyjaśnijmy, że Atum-hadu nie miał dość czasu, by ją właściwie przygotować, i nigdy wcześniej, jeśli nie liczyć mumifikacji swojego kota, nie dokonywał tego skomplikowanego i tajemniczego rytuału. Poza tym nie miał nikogo do pomocy przy tym

zadaniu, a był chory, ranny, zrozpaczony i ścigany. Miał ograniczony zestaw narzędzi i być może, jako amator, domyślał się tylko, jakie związki chemiczne są potrzebne do tego okropnego przedsięwzięcia. A zatem jeśli mumia Pana Szczodrości wygląda nieco niekonwencjonalnie albo uległa rozkładowi, to jest to tylko kolejny dowód wyjątkowego charakteru tego odkrycia.

Dziurę w ciele zaszywano. To dziwne, wobec tego, co ów tragiczny król już przeszedł podczas tego procesu, ale na podstawie malowideł ściennych wydaje się, że to zadanie najbardziej poruszyło jego delikatny żołądek. Te straszne godziny

przedstawia pewna seria obrazów: twarz króla wykrzywia się ze zgrozy, kiedy zaczyna on zszywać zwłoki. Upuszcza igłę i nić, wybiega z grobowca, staje przed nim, rozmawia z kobietą, która wydaje się przyjazną chłopką i oferuje mu schronienie w swojej chacie, co bardzo kusi króla, ale wie on, że to niemożliwe. Pali go gardło, więc milczeniem odrzuca uprzejmość kobiety. Kiedy chłopka odchodzi, król pada na ziemię i płacze. Potem wraca, zboląły, do swojego zadania.

Podczas tradycyjnej mumifikacji na szew nakłada się pieczęć z okiem Horusa. Na ciele kładzie się złoto, klejnoty, amulety. Na palce rąk i nóg wkłada złote nasadki. Chociaż nie mam pewności, przypuszczam, że możemy bezpiecznie założyć, iż ta mumia pozbawiona jest takiego jarmarcznego wyposażenia.

Normalnie każdy palec owija się oddzielnie płótnem. Potem ręce i nogi. Następnie tułów i głowę, dwudziestoma warstwami. Później używa się jakiegoś żywicznego kleju do szczelnego zapieczętowania całej tej okazałych rozmiarów płóciennej konstrukcji, a na twarz nakłada maskę.

Jest to zadanie dla kilku ludzi, nie dla jednego człowieka. Możemy sobie tylko wyobrazić jego wysiłki, zawłościci procedury pominięte przez spieszącego się monarchę. Król został strasznie zraniony w nogę podczas jednej z ostatnich bitew z Hyksosami, więc owinięcie ciała tylko pięcioma warstwami płótna i przesunięcie mumii niegdysiejszego sojusznika na środek jego komory grobowej wymagało od niego wszystkich gasnących sił.

Ukończywszy bandażowanie ciała, król za pomocą jakichś starożytnych zabiegów chemicznych albo specjalnie spreparowanego płótna, którego tajemnicy nie mogę pojąć, ozdabia pierś mumii symbolami panowania Atum-hadu — sępem, sfinksem i kobrą, którym towarzyszy inskrypcja HORUS POŻLIIRA SERCA NIEGODZIWYCH.

Nie mając maski dla mumii, król namalował twarz bezpośrednio na owiniętej płótnem głowie, odtwarzając Pana Szczodrości jako człowieka, który przyjmował jego rozkazy bez szemrania i zdrady. Pasy płótna nie są bynajmniej powierzchnią łatwą do dekorowania, nie mówiąc już o trudności oddania wyrazu skruchy, służalczości i powściągliwości. Ale król, prostymi, sprawiającymi wstrząsające wrażenie pociągnięciami pędzla, dokonał aktu nadludzkiego, graniczącego z boskim, przebaczenia, przemieniając swojego chciwego i niewiarygodnego dworzanina w zupełnie innego człowieka, tworząc zeń towarzysza i ojca, któremu mógł ufać.

Tekst na ścianie Komory Pana Szczodrości kończy się słowami: „Jesteś znowu młody, znowu żyjesz. Jesteś znowu młody, znowu żyjesz". Król powtórzył te rytualne słowa, szepcząc je do ucha swojego przyjaciela i ziemskiego ojca, który kochał go jak syna, dopóki stąpał po tym świecie.

Bez względu na stan moich nerwów spowodowany widokiem tego chłopca na promie przepływającym przez Nil, jest niezaprzeczalnym faktem, że gdzieś uczyniono coś złego, ponieważ rankiem następnego dnia, 1-ego stycznia, kiedy przybyłem z bagażem do portu i czekałem, by wejść na pokład parowca do Kairu, Trilipush i Finneran się nie pojawili. Stałem na nabrzeżu i przypatrywałem się każdemu pasażerowi wchodzącemu na trzęsących się nogach po trapie. Czekałem, dopóki nie rozległ się głos głównego stewarda oznajmiającego po raz ostatni, że statek odbija od brzegu. Poprosiłem go, żeby sprawdził listę pasażerów. - Tak, proszę pana, Finneran i Trilipush zarezerwowali miejsca i zapłacili, ale nie ma ich na pokładzie. - Nie potrafię sobie przypomnieć, czy byłem podekscytowany czy zmartwiony. Opis tego pozostawiam tobie, Macy. Ale pozwoliłem, by statek odплыnął beze mnie, zostawiłem bagaż pod opieką tragarza i z niepokojem wróciłem do pracy.

Wynająłem chłopca, by obserwował port, innego posłałem na stację kolejową, a potem pospieszyłem na policję, gdzie udało mi się teraz pobudzić inspektora do działania niepodważalnym faktem zniknięcia dwóch osób, nie w 1918 roku, ale tego dnia, Amerykanina i Anglika, archeologów, gości Egiptu, obecnie oficjalnie zaginionych. (Czasami wystarczy napięcie spowodowane lekkim naciągnięciem prawdy, by wprawić w ruch niemobilne skądinąd przedmioty.)

Załączam krótki wycinek z „Luxor Timesa” z 11 lutego 1923 roku, z artykułem zatytułowanym *Australijski detektyw pomaga policji w Kenie*. Ta gazeta, poważna i mająca dobrą reputację, wychodziła, jak mi się wydaje, w tamtych latach co trzy dni. To krótki artykuł, ale przedstawia dość jasno zakończenie tamtych wydarzeń, a mały rysunek ukazuje wiernie Harolda

Ferrella w 1923 roku.

Zaprowadziłem tego gliniarza do willi Trilipusha (rezydujący tam dziennikarze powitali nas, ale nie widzieli niczego, co by nam pomogło), a potem przeprawiliśmy się na drugi brzeg rzeki i dalej pojechaliśmy policyjnym motocyklem. Tym razem jakieś ćwierć mili albo coś koło tego za stanowiskiem archeologicznym Trilipusha znaleźliśmy gramofon z wyrytym na wieku jego nazwiskiem. Dziwny widok: urządzenie to po prostu leżało na ścieżce, samotny gramofon na środku pustyni. Na talerzu nadal leżała płyta, zapisałem *tytuł: Jestem na huśtawce, usiądź ukochana*. Kilkaset stóp dalej znajdowały się ślady ogniska z resztkami spalonego ubrania. Coś wisiało w powietrzu, coś naprawdę bardzo złego. Poprowadziłem inspektora z powrotem wokół ściany urwiska do Doliny Królów, na stanowisko Cartera, gdzie zapytałem słynnego archeologa, czy od czasu naszej rozmowy widział Trilipusha albo Finnerana. Nie widział. Poprosiłem inspektora, by zapytał, czy któryś z ludzi Cartera wie cokolwiek o Trilipushu. Pytanie to rozeszło się między nimi i niebawem jeden z nich - tubylec - przyznał, że faktycznie pracował u tego Anglika przez miesiąc, w listopadzie, i co z tego? Wzięliśmy go na stronę. Ten podejrzanie zaczepny Egipcjanin - wyglądający na silnego, łysy facet w wieku około trzydziestu czy trzydziestu pięciu lat - opisał, jak pod koniec listopada porzucił pracę w ekspedycji Trilipusha, ponieważ najwyraźniej zakończyła się fiaskiem, i twierdził, że od 25 listopada, to znaczy od dnia, w którym zaczął pracować u Cartera, nie widział tego Anglika. Zaprzeczył, że wie cokolwiek o Finneranie, powiedział, że nie zna nawet tego nazwiska. Spisaliśmy jego dane i patrzyliśmy, jak wraca do kopania.

Teraz bieg wydarzeń przyspiesza, skup więc uwagę, Macy. Miałem dwie

hipotezy, które musiałem sprawdzać równocześnie, bo czas naprawdę naglił: (a) moje odkrycia wystraszyły Trilipusha i Finnerana, więc w tajemnicy uciekli, Finneran ze swoim złotem do Bostonu, Trilipush jak najdalej od mojego śledztwa w sprawie zamordowania Marlowe'a i Caldwell, ALBO (b) zostali napadnięci przez kogoś, kto wiedział, że odkryli złoto, i zanosilo się na nieczystą grę. Musiałem wziąć pod uwagę obie możliwości, ale, jak się okazało, niepotrzebnie zawracałem sobie głowę hipotezą A. Niemniej jednak wynająłem już kogoś do obserwowania stacji kolejowej i zadepeszowałem do hotelu w Kairze, by mnie powiadomili, gdyby pojawili się tam moi podejrzani. Co więcej, po naszym powrocie na komisariat inspektor polecił swoim ludziom, by mieli oczy otwarte na wszystkich, którzy odpowiadają rysopisom Trilipusha i Finnerana i poruszają się z dużym bagażem, którego nie będą chcieli otworzyć na prośbę policjanta. Gdyby ich zauważono, należało ich uznać za bardzo niebezpiecznych.

Ale, jak powiedziałem, kroki te były zupełnie niepotrzebne, bo inspektor odkrył potem w kartotekach, że ten czarnuch ze stanowiska Cartera, który wcześniej pracował u Trilipusha, w swoim poprzednim miejscu pracy, na parowcu kursującym na linii Kair-Luksor, wdał się w bójkę! Został za tę awanturę aresztowany, a następnie wypuszczony, a także zwolniony z pracy na tymże statku. Było to pod koniec października, po czym musiał wziąć robotę u Trilipusha, który najwyraźniej ucieszył się, że może nająć znanego oprycha, co jest interesujące. Natychmiast poszedłem z gliniarzem z komisariatu sprawdzić dom tego tubylca. No i proszę! Przybyliśmy tam zaledwie parę minut przed nim; opuścił stanowisko Cartera w połowie dnia roboczego, zaraz po naszej rozmowie. Bardzo podejrzane. Zjawiliśmy się w samą porę, bo w zgiełku spowodowanym argumentowaniem i bezładnymi



wyjaśnieniami tego tubylca, zawodzeniem jego żony i płaczem dzieci znalazłem pod łóżkiem jeszcze jeden gramofon z nazwiskiem Trilipusha, a na stole stojący zupełnie na widoku talerz z co najmniej tuzinem cygar z czarno-srebrnymi opaskami z monogramem CCF. To rozstrzygało sprawę. W poniedziałek, 1 stycznia 1923 roku, po południu, mieliśmy naszego podejrzanego w areszcie. Morderstwa zostały popełnione w czasie między wyjściem Trilipusha z kawiarni, gdzie go przesłuchiwałem, a tym rankiem. Nie będziesz zdziwiony, słysząc, że alibi naszego tubylca było bardzo, bardzo słabe.

Obwinałem się wtedy częściowo o to, co się stało, i nadal się obwiniam. Gdybym dwa dni wcześniej nie pozwolił Trilipushowi odejść, nadal by żył i stanął przed obliczem stosowniejszej sprawiedliwości niż śmierć z ręki byłego pracownika. Gdybym mógł być polegać na mojej armii obserwatorów, gdyby udało mi się znaleźć Finnerana na stanowisku archeologicznym, to mógłbym... Właściwie nie wiem, co mógłbym zrobić. W końcu Trilipush był mordercą i wiedział, że został już prawie złapany, nie widział więc we mnie obrońcy, chociaż powinien. Sprawiedliwość nie tylko nas karze, ale i broni, Macy. Trilipush mógł się uratować i uniknąć gwałtownego i niepotrzebnego końca, gdyby się oddał w moje ręce, ale ludzie dumni nigdy tego nie robią i często wolą zginąć, niż zostać złapani.

Policyjne przesłuchania tego Egipcjanina (nie mogę znaleźć w notatkach jego nazwiska, co jest dla mnie jako historyka irytujące i przyznaję, że było z mojej strony, jako detektywa, żenującym potknięciem) były tak surowe, jak pozwalało na to prawo, a ja uczestniczyłem w nich w takim stopniu, w jakim moja znajomość tej sprawy i biegłość w psychologii przestępców mogły być pomocne. Podejrzany zaprzeczył, że cokolwiek wie o tych

morderstwach, co nie było dla nas zaskoczeniem, twierdził, że Trilipush podarował mu cygara i gramofon jeszcze w listopadzie. Nie jest to niemożliwe, powiedział jeden z inspektorów, ale w miarę postępów przesłuchania opowieść tego Araba się zmieniała, a w pewnym momencie przyznał się, że napadł na Trilipusha (więcej niż raz, dodał później) i ukradł gramofon, jak gdyby te półprawdy mogły mu pomóc wydobyć się z tarapatów. Tyle dzięki nim osiągnął, że stracił poparcie tych kilku słuchaczy, którzy nadal wspaniałomyślnie żywili nadzieję, że może nie popełnił tych zbrodni. Później wycofał nawet to ograniczone przyznanie się do przemocy, tak że jego opowieści, zebrane razem, stały się stekiem nie pasujących do siebie bzdur. Chociaż prawie przyznał się do zabójstw (jeśli wiedziało się, jak słuchać, wyznanie było oczywiste), nigdy nie ujawnił, gdzie ukrył ciała. Również w innej kwestii trwał niewzruszenie w nieustępliwym uporze i bez względu na to, jak ostro go przesłuchiowano, utrzymywał, że nie było żadnego skarbu, że Trilipush nie znalazł nawet jednej rzeczy. Twierdzenie to tak rozmijało się z faktami, że kazało traktować jako niewiarygodne każde słowo tego zdesperowanego człowieka. Ale tak obłąkańczo trwał przy tym jednym kłamstwie, że stało się jasne, iż po prostu nigdy nie wyjawi, u jakiego kuzyna czy w jakiej skrytce umieścił skarb.

Policja chciała odzyskać znalezisko, więc możesz być pewien, że w tej kwestii mocno na niego naciskali. Ale Egipcjanin cały czas powtarzał mi: - Był pan tam? No to wie pan, że jest pusty. - Oczywiście, Abdul, że jest pusty, ty go opróżniłeś. - W końcu odmówił podpisania się pod jakąkolwiek częścią zeznań, co -jestem pewien - doprowadziło do tego, że dostał surowszy wyrok, niż gdyby uznano, że starał się współpracować z policją.

Nie musiałem specjalnie przekonywać miejscowych władz. Morderstwa dokonane przez tubylca na dwóch ludziach z Zachodu w okresie ogromnego zainteresowania turystów Egiptem (dzięki dobrej robocie Cartera) - niezdecydowanie nie byłoby tolerowane, więc rząd egipski, podobnie jak konsulowie amerykański i angielski, zostali usatysfakcjonowani szybkim i sprawiedliwym procesem i odpowiednim wyrokiem.

Jeśli o mnie chodzi, to skoro nie udało mi się odpowiedzieć z niewzruszoną pewnością na wszystkie pytania moich klientów, skoro nie znalazłem żadnego z czterech ciał, które miałem odszukać, to przynajmniej w tym jednym przypadku pomogłem zidentyfikować, zatrzymać i doprowadzić złoczyńcę przed sąd. Konsulowie angielski i australijski byli mi też wdzięczni za wyjaśnienie wydarzeń z 1918 roku.

Jak byłoby zgrabnie, gdybyśmy odnaleźli szczątki Caldwell'a i Marlowe'a, gdybyśmy mieli ciała Trilipusha i Finnerana i mogli być świadkami, jak ten Egipcjanin odchodzi od nich z zakrwawionymi rękami! Bajki, Macy. O nie, mój kolego, rzadko zdarza się przestępca, który nie wymaga od detektywa pewnego wysiłku umysłowego w celu dokończenia historii przestępstwa. Ale nie mogło być żadnych wątpliwości co do tego, co się stało, historia ta została szczegółowo wyjaśniona na procesie i w załączonym wycinku z prasy: znany z agresywności i mściwości (i niezamożny, trzeba to sprawiedliwie dodać) tubylec, wyrzucony przez pracodawcę, przedsiębiorstwo żeglugi rzecznej, za burdy, przyczepił się do archeologa z Zachodu w nadziei, że będzie obecny przy odkryciu czegoś, co warto ukraść. Kiedy ekspedycja utknęła w martwym punkcie, przyłączył się do innej. Gdy później się dowiedział, być może z plotek krążących w obozie po wizycie Cartera na stanowisku Trilipusha, że nieudana ekspedycja, którą

porzucił, odniosła nagle oszałamiający sukces, morderca powrócił i wyspiegował łupy strzeżone przez dwóch mężczyzn, z których jeden był ranny. W jakimś momencie pomiędzy moją rozmową z Trilipusem 30-ego i rankiem 1-ego, kiedy mieli wsiąść na statek płynący na północ, zasadził się na Finnerana i Trilipusha, zamordował ich, spalił ubrania, pozbył się ciał i ukrył skarb. Gdyby nie był tak głupi, żeby zatrzymać gramofon i cygara, zwykłe bibeloty w porównaniu z właściwym łupem, mógłby uniknąć sprawiedliwości. Bez wątplenia potrzebował współników, szczególnie przy transporcie i ukryciu ogromnych skarbów. Ale zaprzeczał temu.

Jednak dlaczego to robił do samego końca, nawet kiedy czekał go długi pobyt w więzieniu? Cóż, historia egiptologii, jak dowiedziałem się od faceta w pewnym klubie w Kairze, jest pełna takich opowieści: współczesnego Egipcjanina tak naprawdę w ogóle nie interesuje historyczny aspekt schowanego pod ziemią złota, dba on tylko o jego wartość pieniężną. Miejscowe rodziny często wykopywały potajemnie i powoli (czasami przez parę pokoleń) i sprzedawały archeologiczne skarby, które traktowały (biorąc pod uwagę to, co postrzegały jako manię ludzi Zachodu na ich punkcie) jak podziemne konta bankowe, z których można czerpać w miarę potrzeb. Zabójca Trilipusha poszedł chętnie do więzienia, by chronić przyjaciół i rodzinę, która zamierzała się utrzymywać przez wiele lat, upłynniając za pośrednictwem zaufanych paserów ogromne skarby grobowe króla Atum-hadu.

W pociągu z Kairu do Aleksandrii dyskutowałem z moim pomocnikiem Macym nad innym pytaniem: kto powinien mieć skarb Atum-hadu? Czy należał on do Trilipusha, który zabił dla niego Paula Caldwell'a i Hugona Marlowe'a? Czy do Chestera Crawforda Finnerana, który zapłacił za jego

odkrycie? Czy może do Juliusa Padraiga O'Toole'a, który pożyczył Finneranowi pieniądze? A może do najbliższych krewnych Paula Daviesa-Caldwella i Hugona Marlowe'a? Do Hectora Marlowea i Emmy Hoyt? Przypuszczam, że spadkobiercy egipskiego zabójcy mieli takie samo prawo do skarbu jak wszyscy inni w tej brudnej sprawie, i nie za bardzo mi zależało na poduszczaniu władz do śledzenia ich, na próbach potrząsania drzewem aż spadną na ziemię wspólnicy mordercy. Raz jeszcze, jak zawsze, pieniądze doprowadziły ludzi do szaleństwa, a na ostateczne koszty złożyły się cztery trupy, jedna porzucona młoda kobieta, mężczyzna w więzieniu i złamane serca, których łańcuch ciągnął się od Sydney, przez Luksor i Londyn, do Bostonu. Pieniądze, Macy, są potężnym bodźcem i kiedy zaczną kierować ludźmi, mogą tak ich otumanić, że zniesie ich z urwiska w przepaść.

Oczywiście pobrałem honoraria i zwrot wydatków od moich klientów - spadkobierców Daviesa, Tommy'ego Caldwell, Ronalda Barry'ego, Emmy Hoyt, Marlowe'ów, O'Toole'a - doniosłem im, ile mogłem o tym, co musieli wiedzieć, i pod koniec lipca 1923 roku, nieco ponad rok od chwili wyjazdu, znalazłem się z powrotem w Sydney. Ostatecznie nic było o tej sprawie wiele relacji w prasie, zajęła się nią tylko gazeta „Luxor Times”. Nie mogę powiedzieć, żebym nie był rozczarowany tą dziwną obojętnością światowej prasy.

Jednak sprawiedliwości stało się zadość, ukazana została naga prawda, ci, którzy zgrzeszyli, zostali ukarani. Dla mnie była to oczywiście przygoda mego życia, jedna z najbardziej niezwykłych spraw w karierze, owoc wszystkich moich zdolności dedukcji i wykrywania w pełni rozkwitu. Przemierzyłem świat, wchodziłem do domów bogaczy i biedaków, widziałem

mężczyzn i kobiety ze wszystkich środowisk, motywowanych tymi samymi powszechnymi impulsami, które kierują każdym z nas, i kiedy zastanawiałem się nad tym, co widziałem, nigdy nie byłem naprawdę zaskoczony. Widzisz, kiedy zrozumiesz ludzi, nie są oni w stanie niczym cię zaskoczyć. Ich motywy są czasami ukryte, ale nie są liczne. Kiedy nauczysz się, jak ich odczytywać, ludzie staną się otwartymi księgami. To zarówno przyjemność, jak i przekleństwo, ale nieunikniony rezultat gorliwego studiowania ludzkiej natury, co na pewno robi każdy dobry detektyw.

Mam nadzieję, że przedstawiłem zarys i logikę tej sprawy wystarczająco rzetelnie, byś mógł dokończyć „historię swojej rodziny” i rozbudować ją dla naszych czytelników.

Patrzę jednak teraz na to i trochę martwi mnie, że przedstawienie tej historii zajęło mi tyle czasu. Widzisz, przyjacielu, wybrałem już z mojej kartoteki naszą następną sprawę i gdybym był wyposażony w magnetofon i mikrofon, mógłbym po prostu podyktować tę opowieść. Nie sądzę, żeby był to zbyt duży wydatek. Zostałby on oczywiście uwzględniony w naszej umowie o spółce, jeśli możesz mi wypłacić tę sumę jako zadatek. Napisz, co o tym myślisz. Czekam na wiadomość. Gotów jestem zacząć, jak tylko dasz mi znać. Nasi czytelnicy czekają. Liczy się czas.

Twój, w stanie zawieszenia, Ferrell

**Panna Margaret Finneran Commonwealth**

**Avenue 2 Boaton**

**25 stycznia 1923 r.**

**Szanowna panno Finneran,**

**Ponieważ zatrudnienie pana Trilipusha w Harvardzie ustało z końcem semestru jesiennego, pozwalam sobie przesłać na pani adres korespondencję, która nagromadziła się w gabinecie profesora podczas jego trwającej nadal podróży po Egipcie, a mianowicie-, sześć czasopism z dziedziny egiptologii i archeologii; przesyłka do rąk własnych z Anglii; dwa listy z muzeów i parę liścików od studentów (nie zaklejonych). Gdyby pani uprzejma przekazała to panu Trilipushowi, kiedy wróci z Egiptu, oszczędziłoby to nam wszystkim mnóstwo kłopotów i skrępowania.**

**Życzę pani wszystkiego dobrego z okazji zbliżających się zaślubin z tym wielkim człowiekiem,**

**C. ter Breuggen Katedra Egiptologii**

**DO RĄK WŁASNYCH profesora R. M. Trilipusha  
Na adres wydziału egiptologii Uniwersytetu Harvarda  
Cambridge, Stany Zjednoczone Ameryki**

**29 września 1922 r.**

**Najdroższy Ralphie,**

**Właśnie spędziłem absolutnie ponure popołudnie (i to jednego z tych rzadkich słonecznych dni, które ostatnio ofiarowuje nam nasz kapryśny, by nie rzec złośliwy, Ojciec Niebieski). Zmuszony byłem znieść przez dość wyczerpującą godzinę czy dwie towarzystwo tego małego faceta z Australii, całego w pryszczach i pomarańczowego,**

z głową porośniętą zupełnie groteskowym futrem. W tej samej chwili, w której wyszedł, sięgnąłem po pióro, by napisać do ciebie, ponieważ byt uprzejmy dać mi twój adres na drogim, uroczym Harvardzie. Harvard! Jakaż to świetność! Oczywiście dla ludzi z Balliol, takich jak ty i ja, może trochę prowincjonalna, nie? Czyż nie pamiętam, jak Marlowe nadawał mu zabawne nazwy? „Ostatnia ucieczka nie mających szans na zatrudnienie”?

Widzę, że plotę koszałki-opatki: nie, nie sięgnąłem po pióro w tej samej

chwili, w której wyszedł, mój drogi. Poczekalem, aż na dobre i naprawdę opuści budynek i ruszy w swoją drogę, i wtedy najpierw trochę popłakałem. Nie jestem już skłonny do dramatyzowania, Ralph, od dawna już nie, ale ten żalosny, maty pan Ferrell, detektyw najbardziej tępego rodzaju, dostarczył mi potwierdzenia pewnej bardzo złej wieści. Nie było to coś, czego nie podejrzewałbym już od lat, ale co innego wiedzieć o czymś, a co innego w i e d z i e ć o tym, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Kiedy zobaczyłem twoją drogą książkę z dedykacją dla rodziców Hugona, wtedy wiedziałem już o tym, o czym ty oczywiście wiesz od lat, o tym, czego się codziennie obawiałem, ale w co na próżno starałem się nie wierzyć.

Uspokój się, złotko. Wyobrażam sobie, jak się miotasz w gorączce. Czuję żal i smutek, ale sprawiedliwie rozważywszy wydarzenia, nie mogę mieć do ciebie żadnych pretensji. Na pewno nie pociąga mnie rozdzieranie szat i wyjawianie wszystkiego policji i nudnej rodzinie Hugona. Jeśli o mnie chodzi, jesteś wolny. Dopóki



się z tobą nie spotkam, wyobrażam sobie ciebie z jego twarzą i wmawiam sobie, że on żyje w tobie, ale jest parę rzeczy, o których powinieneś się dowiedzieć, zanim popełnisz jeszcze jakieś fatalne błędy. Nie ścierpiałbym, gdyby dzieło Hugona spotkało się zbyt szybko ze swoim boskim stwórcą. Zacznijmy od tego, że pomimo uporczywych twierdzeń Hugona, iż jest inaczej, jego rodzice noszą imiona Hector i Regina. Usiądź, mój aniele, ta opowieść staje się coraz bardziej zdumiewająca.

Trochę przesadziłem wobec Ferrella, ale sam się o to prosił. Normalnie zapewniam moim gościom o bardziej konserwatywnych zapatrywaniach łagodną i niegroźną atmosferę, ale ten, ten niegodziwy australijski kmiotek, prawie od razu po przyjsciu zaczął robić aluzje do Wilde'a, nieznośnie szydzić i manifestować swoje upodobanie do pań. Gdybym nie był ciekaw, co wie o naszym Hugonie i o tobie, przyłożyłbym mu tak, że straciłby przytomność, przebrałbym go w sukienkę i zostawił na ulicy. Jednak w tej sytuacji odegrałem dla niego małe przedstawienie. Mina tego człowieczka, kiedy - przygotowując się do pociągnięcia za aksamitny sznur, który niby należał do dzwonka na służbę, a w rzeczywistości do zasłony - zapytałem go, czy nie chciałby „razem z kawą podelektować się arabskim chłopcem”, była jedyną rozrywką, jaką miałem od tygodni.

Jestem też nieco *triste*, ponieważ mimo dociekań rodziny Hugona i naszego nieokrzesanego szpicla z antypodów trzymałem od lat załączone tu strony. Ale na co mi one teraz? To ty zostałeś wyprowadzony z Egiptu, nie on.

W ostatnich latach stałem się niemożliwym nudziarzem.

Powinienem być bohaterem dla londyńskiej młodzieży, a tymczasem siedzę tylko w moich pokojach, starzejąc się z każdym dniem. Kiedyś odwiedził mnie stary kumpel z Balliol i zupełnie słusznie zbeształ, że staję się starą babą, jakąś postacią z Balzaka. Czytałeś Balzaka? Hugo opisał cię jako niezłego maniaka w twojej dziedzinie, który jednak nie bardzo interesuje się innymi rzeczami. W życiu jest więcej spraw niż... Och, dobre sobie, jakbym miał jakiegokolwiek prawo nakłaniać cię do poszerzania horyzontów, podczas gdy moje skurczyły się do paru listów od martwego żołnierza.

Załączam pięć. Wyjaśniają wszystko, co musisz wiedzieć, oprócz, jak przypuszczam, tego, jak się to wszystko zaczęło. Pierwotnie w Oxfordzie był on, rozumiesz, czymś w rodzaju żartu, po prostu łatwym kamuflażem, potwierdzanym przez nas nazwiskiem, facetem, na którego mógł się powoływać każdy z nas, korespondując z *maten pater*. Widzisz, w naszych kręgach stało się dogmatem twierdzenie, że jesteśmy nieuleczalni, chociaż nadal byli wśród nas ponurzy faceci, którzy próbowali się opierać albo przeklinać swoją naturę, czy robić to, czego domagali się od nas zgrzybiali rodzice, i rozmawiali z jakimś wstrętnym specjalistą przy Harley Street w Londynie, który przepisywał psychoanalizę, prysznic, podróże, boks. („A co z zapasami, kochanie?” - zapytałem go.) Skąd wszyscy rodzice wiedzieli o tym samym szarlatanie, przekracza moje pojęcie. W każdym razie najśmielszy z nas - oczywiście Hugo - powiedział pewnego dnia, kiedy członkowie naszego małego klubu jedli kolację w naszych apartamentach: „Co z wami, dziewczyny? Poddajecie się temu? Ja odmawiam leczenia.

Dlaczego o n i nie szukają lekarza?" Wyborne: myśl o naszych skrępowanych ojcach szukających u jakiegoś delikatnego, wybranego przez nas doktora wyleczenia z uporczywej ginofilii. Wiesz, wszyscy kochaliśmy Hugona. Nigdy nie mogłem go mieć niepodzielnie dla siebie, nawet wtedy. Ale byt taki, jaki sam bardzo pragnąłem być. Oczywiście kobiety nigdy nie obdarzały go nawet jednym spojrzeniem; nie byt stworzony dla nich, a te bestie potrafiły wyczuć to na milę, podczas gdy mój wyg ład zawsze wprawiał je w zakłopotanie i upuszczają obok mnie ze znaczącym spojrzeniem swoje egzemplarze powieści Jane Austen.

„Ja odmawiam” - powiedział nasz Hugo. Ale niektórzy z młodszych nie byli tacy odważni, więc Hugo zaproponował, byśmy wszyscy powiedzieli naszym rodzinom, że jesteśmy już wyleczeni, mamy się dużo lepiej, dzięki, i poważnie myślimy, by oświadczyć się pewnej młodej kobiecie z dobrej rodziny, którą poznaliśmy ostatnio na przyjęciu. Jak miała mieć na imię? Dziwne, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć nic poza Gwendolyn, ale nie o to chodzi. A najlepsze, matko i ojciec, jest to, że poznaliśmy wspaniałego faceta, najlepszego przyjaciela, akurat takiego, jakiego człowiek ma nadzieję poznać, idąc na Oxford, i on prawdopodobnie będzie moim drużbą, jeśli zdobędę się na odwagę i powiem tej ślicznej dziewczynie, jaka, moim zdaniem jest wspaniała, i byt on, hmm, elastyczny, na tym polegał jego urok; byt taki, jak myślałeś, że twoi rodzice chcą, żeby byt. Jeśli oni albo ta pijawka z Harley Street mają czelność zniechęcać cię do kręgu twoich obecnych przyjaciół,

po prostu zapewnij ich, że teraz spędzasz wolne chwile w towarzystwie świetnego faceta, niezwykle godnego zaufania, dobrze wychowanego gościa, który w tym sezonie wiosłował jak Odyseusz, biegał jak Hermes, miał na pewno ukończyć z bardzo dobrą oceną egiptologię (w tym względzie Hugo nalegał na zachowanie jednolitości), który był zaręczony z lady Jakąś Tam, który miał zamiar udać się do Kentu, przywrócić rodzinny dwór do pierwotnej świetności i objąć posiadłość, pokazać okolicznym drobnym właścicielom ziemskim, jak wygląda dwudziestowieczny ziemianin-dżentelmen, i tak dalej, i tak dalej, stosownie do własnego lub rodziców gustu. Jestem pewien, że słyszałeś o tym wszystkim, drogi chłopcze. Tym facetom, którzy nie byli zbyt twórczy, Hugo dostarcza) obszernych biografii, załatwił nawet paru chłopakom ich zdjęcia w sportowych strojach z jakimś miejscowym facetem, który pasował do opisu. Chodziliśmy do Hugona po sugestie: „Matka chce go poznać w przyszłym miesiącu. Co mam zrobić?” Hugo zajmował się wszystkim, kołł nasze nerwy, pisał takie opowieści, jakie były nam potrzebne, i nasi rodzice oddychali z ulgą. Nasza kłopotliwa skaza, której nabawiliśmy się w szkole, zupełnie znikła na uniwersytecie.

Wciąż nie mogę dokładnie rozgryźć, co się stało tamtego listopadowego

dnia na pustyni. Wiem, ile znaczył dla ciebie Hugo, drogi Ralphie. Mam nadzieję, że wybaczyłeś mu to, stary. Czy naprawdę możesz go winić? Nie, nie bardziej niż ja ciebie za rezultat. (Albo siebie: Hugo całkowicie opacznie zrozumiał moją radę.) Ale czy mógłbyś

do mnie napisać i wspominać te wydarzenia? Myślę, że jesteś mi winien tę gałązkę pokoju.

Czy go kochałeś chociaż trochę? Muszę myśleć, że tak. Czy mogłoby być inaczej? Czyż mógł on nie budzić miłości? Zwłaszcza w kimś, kto ma odrobinę otwarte serce, w tobie, który nie śmiesz wymówić własnego nazwiska. Ty ostatni go znałeś. Mógłbyś napisać mi o Hugonie podczas wojny, opisać jego dni.

A zatem teraz, mając ten pakiet listów, zostałeś nagle oświecony. Ale nie przestawaj być sobą! To byłby bez wątpienia zły morał tej opowieści! Nie, nie mam zamiaru cię zniechęcać, Ralph, tak jak nie mam zamiaru cię tropić ani prosić policję, żeby grzebała w naszym życiu. Daję ci po prostu wiedzę, którą musisz zachować, ponieważ jesteś w końcu, drogi chłopcze, owocem naszej miłości i nie wolno nam cię stracić - twoje dalsze powodzenie przynosi nam zaszczyt. Jesteś chodzącym dziełem Hugona, jego Adamem, który go przeżył, ale nadal postępuje zgodnie z tym, jak został stworzony. Och, zaklinam cię, stary Ralphie, trwaj w tym, twój stwórca był z ciebie dumny, nawet jeśli w chwili słabości próbował cię zniszczyć. Bogowie potrafią tacy być. A kiedy usłyszę o twoich triumfach (takich jak ta twoja bardzo zabawna i świętująca książeczka, którą Hugo podziwiałby całym sercem), będę sobie śpiewał, że Hugo chodzi w tobie nadal po ziemi, tak żywy jak wtedy, kiedy go ostatni raz obejmowałem.

Zrobił cię ze szmatek wypchanych końskim włosiem, żeby mnie rozśmieszyć, wiesz. Bez względu na to, kim dla niego byłeś, bez względu na to, co zaniedbał mi powiedzieć, jest to niczym w

porównaniu z tym, kim byliśmy, i z tym, jaki zrobił mi prezent w postaci ciebie, swojego Guignola, którego scena jest wszędzie i którego sznurki sięgają do jakiegoś gustownie *louche* raj. Mogę na pewno wyobrazić sobie ciebie dzisiaj, bezimiennego chłopca, starającego się mówić tak jak Hugo. Czy uczynisz i przeciągasz „dzień dobry” w „dźń dobrrry”? Czy nazywasz ludzi „Sven”, kiedy nie możesz sobie przypomnieć ich nazwisk? Czy drażnisz się z ginofilami i mówisz do nich „złotko”? Oczywiście, że tak, złotko.

Tylko w ramach przysługi dla tego akolity pomyśl od czasu do czasu o tym, czemu pozwoliłeś umrzeć na dalekiej pustyni. Mam nadzieję, że nie zrobiłeś tego w okrutny sposób.

Twój wielbiciel, B. Quint

16 stycznia 1918 r.

Najdroższy Bewy,

Jeśli tęsknisz za czymś wesołym, co ożywi twoje monotonne dni w starej, szarej Anglii, mam dla ciebie opowieść, która z pewnością cię ubawi. Jestem — ale zaraz, zaraz — czy nie masz tam przypadkiem cenzora zagląającego ci przez ramię, albo i dwóch? Mniejsza z tym. Jestem oficerem i wykorzystam jakąś okazję, żeby ci to wysłać. Znam jednego rannego gościa, który wybiera się do domu i będzie mógł zabrać list. Zaufaj swojemu Go-go.

Zatem do rzeczy: jestem szantażowany i to jest doprawdy pyszne, mówię ci. Rozświetliło to moją nudną, zakurzoną egzystencję w tym kraju. Myślałem już, że oszaleję, jeśli będę musiał przesłuchiwać jeszcze

jedną z tych starych tubylczych kobiet podejrzewanych o taki czy inny kontakt z Wrogiem, jakby wszyscy ci Egipcjanie co do jednego, od brązowego niemowlaka po starego, pokrytego zmarszczkami robotnika, nie byli po prostu zachwyceni tym, że mogą być naszymi sojusznikami i najlepszymi kumplami. Dość jednak tego narzekania. Dzięki pracy mój arabski stał się całkiem dobry, acz specyficzny, ponieważ kiedy jestem jedynym przesłuchującym w pokoju, sprawdzam na drżących, knujących zdradę młodzikach te zwroty z mojego słownika, które są bardziej *recherche*.

Wróćmy jednak do mojej opowieści.

Nie możesz tego wiedzieć, ale z naszego małego i mało higienicznego domku jest zaledwie czterdzieści mil do Tel el-Kabir, obozu naszych prostackich pobratymców z antypodów, radosnego rojowiska włóczęgów i pastuchów, których nie wysłano jak innych nad Bosfor, by dali tam sobie wypruć bebechy w ramach błyskotliwego, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości, strategicznego zamysłu. Na ogół staramy się ich unikać, oczywiście, ale niektórzy ich oficerowie nie są skończonymi owcolubami, a my musimy się z nimi konsultować od czasu do czasu podczas burzliwych narad wojennych, kiedy to rodzą się diabelnie sprytne plany namieszania w ukrytych pod fezami łbach naszych nikczemnych wrogów. Raz byłem nawet zmuszony spędzić tydzień wśród tych dziwacznych torbaczy, nawiązując kontakt, jak to mówimy, choć używamy tego słowa w najmniej zabawnym sensie, jaki udało się armii wymyślić. Wracając do rzeczy: jeden z tych drogich, chodzących do góry nogami facetów nakrył mnie w okolicznościach, które wymagają wyjaśnienia.

Po upływie kilku tygodni od mojego powrotu z obozu Australijczyków niemal zupełnie o nich zapomniałem. I wtedy, pewnego wieczoru - jednego z tych, które czynią cały ten bal przebierańców wartym zachodu i niemal sprawiają, że chciałbyś podziękować królowi za to, iż wygospodarował trochę czasu w swoim napiętym planie zajęć i zaangażował się w tę sprzeczkę ze swoim kuzynem - opuściłem bazę i udałem się na rendez-vous, na które umówiłem się między moimi ukochanymi piramidami w Gizie, co jest może dosyć długą podróżą, ale przyjemną, jeśli odbywa się ją nocą na motocyklu.

Co za sceneria, Bev: szczyt piramidy Cheopsa wbijał się w srebrną tarczę księżyca, który wyglądał czarująco, niczym głowa na pice. Smukłe czarne cienie trzech piramid padały na pustynię, zmieniając ją w planszę do tryktraka. Wyłączyłem silnik motocykla i ruszyłem w stronę trzech strzelistych budowli, które wyglądały w tę srebrno-czarną noc tak zmysłowo, jakby mnie do siebie wabiły na schadzkę. Z wyjątkiem oczekiwanego przeze mnie gościa byłem, jak myślałem, jedynym człowiekiem na tej prastarej pustyni i te trzy dumne piękności, wraz ze swoim beznosym alfonsem, wzywały mnie na piasek, gdzie przez nikogo nie niepokojeni moglibyśmy być razem. Wkrótce potem przybył mój gość, syn tej ziemi, którego tego dnia przesłuchiwałem, zupełnie niewinny chłopiec, zatrzymany z Bogu tylko znanych powodów. Ponieważ podczas tego badania byłem jedynym białym, który znał arabski, wykorzystałem tę sprzyjającą okoliczność i powiedziałem mu, że jedynym dla niego sposobem uniknięcia w przyszłości kłopotów z władczymi angielskimi panami będzie wybranie się ze mną na nocne zwiedzanie piramid. „To dla mnie zbyt wielki



zaszczyt, Wasza Ekscelencjo" — odpowiedział *coquette*. „No i co on mówi?" - zapytał sierżant. „Mówi, że jest posłusznym poddanym". „Już mu wierzę, temu małemu, czarnemu bękartowi" - gdera stary sierżant, a ja zapewniam go, że umieszczę nazwisko chłopca w aktach i każę go nieustannie śledzić mojej legendarnej siatce szpiegów.

Mój podejrzany i ja znaleźliśmy sobie zatem miejsce w cieniu wielkiej piramidy i zaczęliśmy właśnie budować naszą własną wielką piramidę, kiedy usłyszałem warkot silnika jeszcze jednego motocykla, zmierzającego jednak, takie odniosłem wrażenie, w innym kierunku (przekłęte echo). Kilka minut później popatrzyłem w dół i zobaczyłem, że nie stoję już w cieniu (przekłęty, przemieszczający się księżyc), ale na oświetlonym jego blaskiem piasku, i już po chwili usłyszałem wyraźne chrząknięcie, po czym z ciemności wyszedł ten mały szeregowiec (podczas gdy mój mały pozostawał dobrze ukryty).

Jedna rada, Bev, na wypadek, gdybyś kiedykolwiek znalazł się w takiej właśnie sytuacji: to nie jest czas na panikę lub okazywanie słabości. Moje biodra kontynuowały swoje nocne podróże, chociaż mój tubylczy tragarz wybałuszył oczy i głośno pojękiwał, opuściwszy jednocześnie ręce, którymi powinien się opierać o ścianę piramidy.

- Nazwisko, ty przekłęty świniogadzie — wrzasnąłem po arabsku do intruza w nadziei, że ten czmychnie, myśląc, iż przeszkodził uzbrojonemu po zęby, egipskiemu dżentelmenowi w jego zwyczajnym wieczornym zajęciu.
- Generał Allenby - odpowiedział po angielsku z australijskim akcentem.
- A więc to tak - mówi na to po angielsku pieprzący Marlo-we. -Lepiej,

żebyś miał przepustkę zezwalającą na opuszczenie bazy o tej porze i podpisane pokwitowanie na ten motocykl, który słyszałem. — Byłbyś dumny z mojego kaprańskiego zachowania i z tego, że wciąż nie wypadłem z bojowego rytmu. - Nazwisko. - Zasalutował energicznie i podał mi je. - To jeszcze nie koniec, żołnierzu. Rozkazuję ci natychmiast wrócić do bazy.

- Tak jest, kapitanie Marlowe, już wracam, sir.

To, że znał moje nazwisko, nieco mnie zmartwiło, jak możesz sobie wyobrazić, i gdybym miał więcej rozumu lub choćby pewność, że zdołam w cokolwiek trafić z tej cholernej zabawki, sięgnąłbym po mojego webleya, zastrzelił gościa, dokończył w spokoju moją sprawę i później znalazł jakieś wytłumaczenie. Tymczasem potoczyło się to tak, że usłyszawszy jego odjeżdżający motocykl, zapędziłem mojego wierzchowca z powrotem w cień i starałem się o tym nie myśleć.

Jednak przyznaję, że następnego dnia byłem nieco zaniepokojony reperkusjami, jakie mogło mieć to wydarzenie, ale mój dręczyciel nie pozwolił mi cierpieć zbyt długo. Jeszcze nim mój służący skończył mówić, że na zewnątrz czeka żołnierz Korpusu Wojskowego Australii i Nowej Zelandii, który przybył na moje wezwanie, do namiotu zamaszystym krokiem wszedł ten pastuch z poprzedniego wieczoru.

- Na moje wezwanie? - powtórzyłem z naciskiem, odprawiłem służącego i sam zacząłem nakładać owijacze.
- Odniosłem wrażenie, że był pan ze mnie niezadowolony ostatniej nocy, sir.
- Wcale nie. Wcale. Wy wszyscy, Australijczycy, okazaliście się

znakomitymi żołnierzami. Żadnego niezadowolenia. Coś jeszcze?

- Jeśli wolno, sir, chciałbym zapytać, jaką cechę australijskich wojaków najbardziej pan podziwia?

Skończyłem zakładać owijacze, usiadłem wygodnie na łóżku i przyglądałem się przez chwilę temu małemu gówniarzowi, który z żołnierską miną patrzył gdzieś w dal, gdzie, jestem tego pewny, widział otwierający się przed nim cały wszechświat nowych perspektyw.

- Przypuszczam, że będzie to wrodzona dyskrecja Australijczyków, prawda?
- To nasza dewiza, sir.
- W istocie.
- Sir, jeśli wolno mi powiedzieć, interesujące jest to, że starożytni Egipcjanie tak wysoko cenili tę szczególną cechę, dyskrecję, że podawali do awansu tych, którzy się nią odznaczyli.
- Zabawne, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek o tym czytał.
- Nie, sir? Cóż, państwowy system edukacji na antypodach jest tak kiepski, że skłoniło mnie to do dodatkowych studiów.
- Rozumiem. Tak, może masz rację, ostatecznie możliwe są różne interpretacje starożytnych kultur, czyż nie? Przeanalizuję tę kwestię, może nawet skontaktuję się z moim starym nauczycielem akademickim. Coś jeszcze, szeregowy?
- Czy mam panu zapisać moje nazwisko, sir?
- Nie sądzę, żeby to było konieczne.
- Bardzo dobrze, sir, do usług, sir.

Miał mnie, Bev. Przełknąłem dumę i kilka dni później wybrałem się w jakiejś sprawie do bazy Australijczyków w Tel el-Kabir. Wspomniałem

tam właściwemu dowódcy kompanii, że jeden z jego ludzi, znający trochę arabski, był szczególnie użyteczny podczas serii przesłuchań kontrwywiadowczych, które prowadziłem, i choć sugerowanie tego z pewnością nie do mnie należy, to gość zasługuje na awans na młodszego kaprała, jeśli mają wolne miejsca wśród tych wysokich szarż. Cena? Musiałem wysłuchać kilku koszmarnych opowieści o narzeczonej, którą kapitan zostawił w Melbourne, i zachwycać się fotografią najokropniejszej kobiety w historii tej płci, jeśli nie była to w rzeczywistości ogolona walabia w spódnicy.

Tak oto skończyła się moja burzliwa przygoda, B. Wydaje się, że jestem już bezpieczny i że po raz ostatni widziałem mojego wstrętnego Svena z dołu Ziemi. Oczywiście nie będę zaskoczony, jeśli znowu się u mnie pokaże, oczekując kilku piastrów za swoje dalsze milczenie, ale on także powinien wiedzieć, że mogę mu tutaj poważnie obrzydzić życie, przydzielić jakieś okropnie nieprzyjemne, jeśli nie wręcz fatalne w skutkach zadanie.

Przechodząc do innych ekscytujących wiadomości ze sceny tego wielkiego przedsięwzięcia ludzkości na rzecz zapewnienia światowego pokoju, chcę cię powiadomić, że w zeszłym tygodniu znalazłem na bazarze dosyć niezwykły papirus, choć trudno mi uwierzyć, iż nie jest to falsyfikat. Kupiłem go z uwagi na jego przekonujący wygląd, o wiele bardziej wiarygodny od tych zwykłych, absurdalnych podróbek. Jeszcze nie skończyłem go odczytywać, ale wydaje się, że jest to potencjalnie interesujący dokument, który odnosi się do dość tajemniczej kwestii z zakresu egiptologii. Oczywiście pomimo krążeń po bazarze nie mogę odnaleźć faceta, który

mi go sprzedał, więc wszystkie moje pytania dotyczące jego pochodzenia i autentyczności pozostają praktycznie bez odpowiedzi, ale zastanawiam się, czy nie mógłbyś wyświadczyć mi drobnej przysługi, Bev? Mógłbyś zapytać drogiego, zramolałego Clema Wexlera, jak najlepiej zabezpieczyć i przesłać mu szczególny „wiekowy dokument”? Bądź miły i odpisz mi natychmiast po uzyskaniu od niego odpowiedzi, to sprawa bezwzględnie najważniejsza. Aha, Bev, chociaż sądzę, że moje listy przychodzą do ciebie nie czytane przez osoby postronne, to nie powinienem się łudzić, że twoje do mnie będą traktowane z takim samym szacunkiem. Układaj zdania mądrze, najdroższy przyjacielu.

Twój pozbawiony kręgosłupa Go-go

**23 kwietnia 1918 r.**

Bev, ty kretyński człokolubie,

Postaraj się nie być głupiutką dziewczynką i nie pleć bzdur o tym, o czym piszę, a o czym nie piszę w listach do ciebie. Nie praw mi kazań o żadnej z twoich najnowszych cnót, z których żadna ani trochę mnie nie przekonuje. Będę nadal pisał o tym, co mnie bawi i co, jak wierzę, rozbawi ciebie, najdroższy przyjacielu. Moja metoda prowadzenia operacji kontrwywiadowczych jest tak samo rozsądna jak każda inna, którą widziałem.

Żaden z moich młodych tubylczych agentów nie konspirował z wrogiem, to pewne; staram się, żeby byli zaspokojeni, co jest techniką prewencyjną, którą powinna stosować każda służba bezpieczeństwa. Nie będę się więc sam cenzurował dla ciebie ani chronił tego, co tak nieprzekonująco

nazywasz swoimi „u c z u c i a m i”. Myślisz, że piszę o tych samych historiach małemu Theo Grahame'owi czy innemu z naszych starych towarzyszy biesiad? Oczywiście, że nie. Jesteś jedyną osobą, z którą prowadzę prawdziwą korespondencję. Nigdy nie prosiłem, żebyś żył z mojego powodu jak franciszkanin (a nawet oni, jak sądzę, starają się zabawiać bardziej niż ty, relaksując się z mniszkami, młodymi wiejskimi półgłówkami i innymi takimi, grożąc im ogniem piekielnym, jeśli się wygadają).

Ale co z Wexlerem, niech cię szlag? Tak ci się spieszyło, żeby ponarzekać (i to zupełnie niedyskretnie), że zaniedbałeś moją bardzo prostą prośbę, ty zgniłku. Biegnij tam zaraz, zanim Wexler wyzionie ducha i się rozsypie, a sprzątaczką zmiecie szary proch, w który się obróci. Przekaż mu te słowa: „Hugo znalazł jakiś p., który zdaje się potwierdzać Harrimana i Vassala, i chce go panu bezpiecznie przesłać. Jak?” Postaraj się wymówić znak zapytania, bo weźmie cię za azjatyckiego chłopca i wyrzuci z domu.

Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, to przybrała dziwaczny obrót i stała się nadzwyczaj śmieszna. Jak sobie przypominam, wyjechałem, załatwiwszy awans mojej przyzwoitce, a potem czekałem na nieuniknioną prośbę o fundusze. Nigdy do tego nie doszło. Zacząłem już mieć nadzieję, że zadowoliliśmy się naszym awansem, że jesteśmy dumni, iż możemy pokazać nasze paski modszego kaprała i wymierzyć trochę kaprałskich kar tym, którzy zdają się na to zasługiwać albo przynajmniej to lubić, ale nie, pewnego ranka dostałem zaskakującą wiadomość od australijskiego sierżanta, wesołego faceta odpowiadającego za pilnowanie głównej bramy ich obozu. Pytał uprzejmie, czy skoro tak

regularnie wysyłam ich świeżo upieczonego kaprala z misjami kontrwywiadowczymi o różnych porach dnia i nocy, nie mając czasu, co zrozumiałe, żeby za każdym razem wydawać mu indywidualną przepustkę, mógłbym przynajmniej wypisać jakiś stały rozkaz dla zmieniających się strażników. No i mieliśmy zagadkę. Posłałem ordynansa, żeby sprowadził mojego australijskiego pupilka, i tego samego wieczoru wbiega truchtem ten torbacznik. Od naszego ostatniego spotkania, wyjaśnia, szczerząc zęby, młody Sven, nabrał zwyczaju opuszczania obozu, kiedy tylko poczuje na to ochotę, i podawania mojego nazwiska jako przepustki: „Misja wywiadowcza dla kapitana Marlowe'a" — mówi wartownikom, wyjeżdżając i wracając na motorze rekwizowanym z tymi samymi słowami. „Skontaktujcie się z kapitanem Marlowe'em w sprawie potwierdzenia". Wyjątkowy popis bezczelności, zgodzisz się ze mną. I co porabiał podczas tych misji? Hurysy? Awantury? Nic z tych rzeczy: pojechał, wykorzystując moje dobre imię, z pół tuzina razy... uważaj, Bev... badać zabytki! Bywał na stanowiskach archeologicznych, starając się spotkać tych nielicznych archeologów, którzy nadal pracują pomimo wojny. „Mogę mówić otwarcie, sir?" ryczy. Oczywiście, złotko, ale trochę ciszej. Przygotuj się, Bev - zdaje się, że nasz mały Australijczyk po prostu kocha Egipt i egiptologię, oszalał na ich punkcie. Nie chce ode mnie niczego innego, naprawdę, na duszę jego ulubionego koali, tylko żebyśmy porozmawiali z nim o starożytnym Egipcie. „A skąd mam coś o tym wiedzieć?" - pytam. Ach, on wie o mnie wszystko. Byłbyś równie przestraszony jak ja, słysząc to. Wie nie tylko, że studiowałam dzieje Egiptu w Oxfordzie, ale również że mam „wrócić, skończyć studia i zostać profesorem

na tej uczelni" — mówi z błyskiem w oku. Nieśmiało wyznaje, że dowiedziawszy się o tym jakiś czas temu, zagadnął mnie jeszcze przed naszym pierwszym spotkaniem na pustyni, kiedy spędziłem ten tydzień w Tel el-Kebir, chociaż zupełnie sobie go nie przypominam. Skoro, co zrozumiałe, nie zwróciłem tam na niego uwagi, zaczął łązić za mną, kiedy tylko mógł, a nawet owej pamiętnej nocy wykradł się z obozu i przyjechał do naszej bazy tylko po to, żeby znowu mi się przedstawić. Ale zobaczył, że wychodzę, i założył, że „udaję się na wędrowkę, by popatrzeć na niezrównane piękno piramid w Gizie", więc ruszył, by mnie dogonić. Mówi mi to wszystko tak, jakby mi było miło tego słuchać.

Opowieść przesłodzona aż do mdłości, ale czego ten czort chce teraz ode mnie? Ależ tego, czego chce każdy zwykły szantażysta - lekcji średnioegipskiego. Aż się trzęsąc, by ukazać mi swoje ukryte głębie, bierze z mojego stolika papier i pióro, by mi udowodnić, że potrafi pisać hieroglify, zna pismo hieratyczne i demotyczne. Twierdzi, że sam się tego nauczył (na pewno usiądziesz z wrażenia, Bev) z książek w australijskiej bibliotece publicznej kierowanej przez jego pierwszą miłość, kobietę, która zmarła tragicznie, wydając ostatnie tchnienie w jego ramionach. A teraz chce po prostu przedyskutować ze mną dzieje królów. Krótko mówiąc, Bev, jestem szantażowany w celu udzielania prywatnych lekcji owdowiałemu samoukowi z antypodów, potencjalnemu egiptologowi o przestępczych skłonnościach. Na pewno znasz ten typ ludzi, to stara historia. Powiedz mi, kiedy zacznę cię nudzić, kochany.

Mój uczeń jest kompletnym *naif*, ale są w nim dziwne, nie powiązane ze sobą pokłady wiedzy, bezdenne jeziora fachowej wiedzy egiptologicznej, pooddzielane ogromnymi łałkami ignorancji. Jest tego świadom i chce, by



ta ziemia została równomiernie zalana. Skoro już przy tym jesteśmy, chce się też nauczyć arabskiego, który zaczął już zarzynać na własną rękę.

Od tamtej pory przyszedł do mojego namiotu trzykrotnie — pokonując czterdzieści mil, Bev! Co za poświęcenie! Traktuje mnie z absolutnym podziwem. Opowieści o Oxfordzie hipnotyzują go jak zezowatą kobrę, omdlewającą na piskliwy dźwięk fletu czarnucha. Szepnę bardzo cicho „Balliol” i zaczyna wiot-czeć, chociaż nie na tyle, żebym mógł zacząć nauczanie metodą pedagogiczną, która, jak sędzę, byłaby przyjemniejsza. Spróbowałem tego raz czy dwa (człowiek traci rachubę), myśląc, że byłoby to zabawne, a przy tym uwolniło mnie z nieprzyjemnego uścisku, w jakim trzyma mnie ten młody uczeń. Ale - jestem pewien, że przyjmiesz tę wiadomość z ulgą, Bev - próbowałem posiać moje nasienie na pustyni: „To bardzo uprzejme z pana strony, kapitanie, ale nie chcę marnować pańskiego czasu, powinniśmy postarać się rozmawiać tylko o poważnych sprawach”. Bestia. Oczywiście, gdybym wyglądał jak ty, zrobilibyśmy już do tej pory ładne postępy.

Napisz mi, co tracę, będąc poza domem. Napisz mi o sezonie towarzyskim. Powiedz mi, czy moje nazwisko pojawia się jeszcze kiedykolwiek w rozmowach. Powiedz mi, czy nadal jest tam dla mnie miejsce. I na miłość boską, powiedz mi, co mówi Wexler.

Twój smagły książę Egiptu,

Go-go

29 lipca 1918 r.

Drogi Bewy,

Serce się kraje, mówię szczerze. Dziękuję za twoje starania i za przekazanie tej wiadomości. Nie żeby mnie kiedykolwiek bardzo ceniła, ale powiedz biednej wdowie, że przesyłam jej moje najszczerze kondolencje i że jej mąż wiele dla mnie znaczył. Zresztą powiedz, co uważasz; zrobisz to lepiej. Nie żartuję - naprawdę był dla mnie kimś ważnym, pomijając jego opilstwo i starcze otępienie. Był pedantem, oczywiście, a w nauczaniu przyświecał mu cel, by wyprodukować, zanim jego dusza ujdzie z ciała, jak najwięcej uczonych, którzy będą myśleli i mówili dokładnie tak jak on. Myślę, że chyba mu się udało: zanim wyjechałem z Oxfordu, zauważyłem, że z pół tuzina młodych ludzi nabrało zwyczaju pociągania się za płatek ucha i mówienia: „Może, może, ale wątpię w to”, kiedy chcieli zamknąć komuś usta. Biedny, stary Ciem. Naprawdę chciałem jego rady w sprawie tego papirusa, niech cię szlag. Niech go szlag.

Ale, Bev, czytaj dalej! Właśnie przeczytałem twój list, kiedy przyszedł na lekcję mój mały sierota. (O tak, on jest również sierotą; ta historia jest nadzwyczajna i nie pozbawiona przeskoków od rzeczy wzniosłych do przyziemnych - ty, jestem pewien, popłakałbyś się, gdybyś ją usłyszała.) Zorientował się od razu, że otrzymałem jakąś smutną wiadomość, a ja, poruszony powiewem nostalgii, zacząłem mu opowiadać o Wexle-rze, o sposobie, w jaki uczył, o jego wymyślonych przeze mnie przezwiskach („Ibid Ibis”, „Wątpię w to”), o pewnych metodach i dyskusjach, które prowadziliśmy, włącznie z fascynującymi pytaniami dotyczącymi pewnej kwestii historycznej związanej z tym dokumentem, który mogłem przecież znaleźć. Oczywiście chłopak siedział bez ruchu, z otwartą gębą, i serce mu się wyrywało

do pokoju studentów i podobnych rzeczy. Po paru minutach wziąłem się w garść i szykowałem się, by zacząć mówić na wybrany na ten dzień temat (religijne kulty królów tebaskich), ale przerwał mi i zapytał prosto z mostu, co ma zrobić, żeby przyjęto go do Balliol. Z niego jest naprawdę lepszy numer, pełen niespodzianek. „Zobaczmy — odparłem, zupełnie poważnie - ukończyłeś jakąś szkołę w Australii czy uczyłeś się tylko w bibliotece?” Milczał. „No, w tej sytuacji to raczej trudne, nieprawdaż, złotko?” Nie wspominając już o tym zapachu mokrej owczej wełny, który oni wszyscy wydzielają.

Zaczęliśmy nasze korepetycje (które sprowadzają się przeważnie do tego, że streszczam mu pewne tematy i daję listy książek do przeczytania, jeśli kiedykolwiek wróci do cywilizacji, z których, o dziwo, pewne już przeczytał, ale większości nie, i je również staram się mu streścić). Dzisiaj jednak, zaledwie po paru minutach, rozmowa zesła z powrotem na splendory Oxfordu. Wynikło to całkowicie z jego inicjatywy i chociaż początkowo dogadzałem i jemu, i sobie, stawało się to dość irytujące, powiedziałem więc, że rozmowa o Oxfordzie jest dla mnie zbyt bolesna, ponieważ zawsze przywołuje wspomnienia o (wyciąganie jego nazwiska jest teraz u mnie niemal nawykiem, kiedy trzeba kłamać) biednym Trilipushu, moim najwspanialszym przyjacielem stamtąd, sierocie tak jak ty, złotko, ale teraz od wielu miesięcy zaginionym w kampanii bosforskiej. (Przepraszam, Bev, że tak zniechęca bombarduję cię tą wiadomością. Nie wspomniałem o tym wcześniej? Och, Ralph zgłosił się na ochotnika, by poprowadzić oddział opalonych na brąz, barczystych marynarzy na Konstantynopol, który mieli zaatakować od strony wody, w rzeczywistości płynąc wplaw, ponieważ Ralph, aby uniknąć zbyt ostentacji, odmówił

przyjęcia

okrętu. Od miesiący nie ma od niego żadnych wieści. Módl się za naszego kumpla.)

Nasz chłopak z kolonii, żądny wszelkich świętych relikwii mojej egzystencji w ziemi obiecanej Oxfordu, błaga o szczegóły.

- Trilipush był moim najdroższym przyjacielem w Balliol, rzecz można nieodłącznym towarzyszem, złotym chłopakiem, nadzieją egiptologii, osieroconym synem szlachcica z Kentu, sławnym sportowcem, uczonym, a wkrótce miał zostać ziemia-ninem-dżentelmenem. On i ja, chluba egiptologów z Balliol, razem wstąpiliśmy do wojska, na początku służyliśmy tutaj ramię w ramię, ale on, nasz śliczny, zaginiony chłopiec, oczywiście uparł się, że musi wziąć udział w walkach, i odszedł pomagać twoim ziomkom przy szturmowaniu imperium fezów

I tak plotłem, co mi ślina na język przyniosła, zupełnie pewien, że mój uczeń chwyta żart, wspomniałem nasze triumfy i wygłupy z czasów uniwersyteckich, Ralph i ja to i tamto, o cudownie barwnym dzieciństwie i karierze Ralpha, naprawdę wszystko, co mi przyszło do głowy, by uniknąć tych bezbarwnych korepetycji, ale kiedy tak konfabulowałem, spostrzegłem, że ten głupek bierze wszystko na serio. Oczywiście zaciekało mnie, jak daleko mogę się posunąć, ciągnąłem więc dalej, wyolbrzymiając to i owo, wzbogacałem rzeczywistość o pewne elementy, które podobałyby się tobie, Bev, i mnie, przekształcałem Oxford na nasze podobieństwo. Przy niektórych z tych dodatków myślałem tylko o tobie, zwłaszcza mówiąc o posługujących nam karłach, wybranych w zacieklej rywalizacji dzięki ich służalczości, dyskrecji, biegłej znajomości języków obcych i filigranowości doskonałych proporcji.

Ten nasz sierota-szantażysta cierpi na nienasycony głód szczegółów, a ja byłem niezmordowany. Co tam jadalіśmy? Jakie to było uczucie wiedzieć, że należymy do „szczęśliwej wybranej arystokracji”? Bóg mi świadkiem, Bev, że mnie o to zapytał. Jacy byli moi rodzice, co im sprawiało radość, kiedy byłem chłopcem, i jakich używałem metod, by się zorientować, kiedy mieli mi przylać”? Muszę powiedzieć, że to było trudne pytanie. Znasz mojego starego; możesz sobie wyobrazić, jak malutki, cichy Priap „przylewa” komuś? Mimo całej tej wiedzy o Egipcie, którą sam zdobył i wzbogacił, on naprawdę nie ma zielonego pojęcia, jak funkcjonuje świat w dwudziestym wieku ani kto w nim żyje. Zapytałem go, dlaczego prowadzimy wojnę, dlaczego walczymy z Niemcami i Turkami. Co prawda ja sam nie potrafię tego powiedzieć, ale on naprawdę nie miał bladego pojęcia, mamrotał coś o międzynarodowych bankierach i kapitalistach, ale bez przekonania. Czy wie, jak wybiera się parlament albo jakim językiem mówią mieszkańcy Austro-Węgier? Czy zna nazwisko amerykańskiego prezydenta albo zasady krykieta? Nie.

Doszedłem do wniosku, że podoba mi się ten szantaż. To przyjemna rozrywka z tym przymilnym głupkiem. Myślę, że tobie też by się to dosyć podobało, Bev. „No to do następnego razu, sir” - mówi z wesołym machnięciem dłoni, zbierając swoje notatki i hipotetyczne listy lektur, rzucając ostatnie, pełne uwielbienia spojrzenie na swojego prywatnego oksfordzkiego nauczyciela. „Nauczę się tego wszystkiego na następny raz, bez gadania”. Doskonale, złotko. Przyda ci się to, kiedy wrócisz do domu hodować kangury.

Gratulacje, Bev, z okazji ukończenia studiów. Zastanawiam się, czy

choć raz pomyślałeś o naszym powojennym życiu, które pewnego dnia musi się stać rzeczywistością. Dżentelmenom z dowództwa zabraknie w końcu nadających się na rzeź młodych ludzi i wojujące strony będą musiały zrobić przerwę, żeby wyhodować następnych. A w tej przerwie wrócę oczywi-

ście na studia, mając na oku zagranie pewnego dnia miejsca po Ciemie Wexlerze. Będę potrzebował gospodarza i kompana, a upieram się przy kimś z tytułem naukowym z literatury żabojadów, jeśli znasz kogoś, kto mógłby być zainteresowany tą posadą, pamiętając oczywiście o moim dzikim temperamentcie i bizantyńskich wymaganiach.

Edukujący masy Go-go

15 sierpnia 1918 r. Umiłowany BQ,

Lekki obciach. Jeśli zechcesz udzielić mi jakiejś mądrej rady, zostanie gorąco przyjęta.

Przypuszczam, że słyszałeś te pogrzipiające serce opowieści z Luksemburga czy innego podobnego miejsca, jak to w wigilię Bożego Narodzenia zawiera się na linii frontu drobne zawieszania broni i nasi ludzie i Szwaby przestają na tę noc strzelać, a zamiast tego dzielą się trunkami, wymieniają prezenty i trochę tańczą, nim powrócą rankiem do codziennej pracy, polegającej na wbijaniu sobie nawzajem bagnetów w brzuchy? W porządku, nie ma w tym nic złego. I podobnie tutaj, na pewnym, skądinąd nie wyróżniającym się niczym przedmieściu Kairu, znajduje się przybytek dla dżentelmenów o wyrafinowanych gustach, którą to wysuniętą placówkę cywilizacji odwiedzałem od czasu do czasu, kiedy osobami przyprowadzanymi na przesłuchanie były przez zbyt długi

czas stare kobiety i starszyzna wioskowa. Kierownictwo tego przybytku, zainspirowane bez wątplenia podziwu godnym humanizmem, przejawianym w tych bożonarodzeniowych chwilach wytchnienia, nie dyskryminuje klientów, żadnych klientów, bez względu na ich narodowość czy przekonania polityczne. Nikt nie uważa tej postawy za niewłaściwą, zważywszy na straszne warunki wojenne, którym wszyscy się podporządkowujemy. No i oczywiście, teraz sobie to uzmysłowiłem, jakież to wspaniałe miejsce dla prowadzenia działalności kontrwywiadowczej, któremu to celowi podporządkowuję na pewno ten zakład i prawdopodobnie, teraz sobie to uzmysłowiłem, już go podporządkowałem podczas poprzednich w nim wizyt.

- Nie mam już ochoty na te korepetycje przedmaturalne — powiedziałem mojemu staremu podopiecznemu w przyływie szczerości i złości na to, że jestem na każde jego skiniecie, kiedy pojawił się wczoraj, świergocząc pytania o Echnatona i moją sypialnię w dzieciństwie.
- Nie sprawiają panu przyjemności? - pyta i wygląda, jakbym rozerwał mu serce na strzępy.
- Nie, moja droga Matyldo.
- Rozumiem. Nie sędzę, żeby miał pan wybór - odpowiada cierpko.
- Naprawdę? - mówię. - Myślisz, że masz aż tak mocną pozycję?

A na to wyrecytował po prostu ze spokojnym uśmiechem adres owego przybytku, który wyżej opisałem, nieznośny brutal. Widząc moją minę, napomknął, ile czasu minęło, odkąd został awansowany, mimo jego dzielnych i niezmordowanych starań na rzecz kontrwywiadu aliantów. A co więcej, odchrząknawszy i zawahawszy się chwilę, co się rzadko zdarza

tej wspaniale pewnej siebie świni, zażądał — przygotuj się na to, Bev - by nasze lekcje wyszły poza formalność tego namiotu-gabinetu i bym zabrał go w celu zbadania monumentów in situ, przedstawił archeologom jako mojego kolegę z Oxfordu, świeżo upieczonego absolwenta, i zarekomendował, żeby zatrudnili go po wojnie. Wyobraź to sobie, Bev.

- Nie zrobię niczego takiego - odparłem, niestety. -I nikt by mi nie uwierzył, gdybym to zrobił, ty śmieszny synu skazańca z kolonii.
- Rozumiem. — W jednej chwili jest spokojny, uśmiechnięty i bezczelny. W następnej ma dokładnie taką samą minę, jaką czasami mają młodzi ludzie w Londynie, kiedy wyjaśniasz im, że chociaż wczoraj spędziliście razem dość przyjemny wieczór, nie mogą z tobą zamieszkać na zawsze. Ta mina jest groźnym ostrzeżeniem, tyle wiem. Przeprosiłem więc za wybuch złości, mrużąc coś o przygnębieniu z powodu biednego Trilipusha, od którego nadal nie ma żadnych wieści, przez tych przeklętych Turków. Powiedziałem, że nie chciałem go urazić i że poprawi mi się nastrój, jeśli da mi trochę czasu, żebym mógł porozpaczać w samotności i się pozbierać.
- Oczywiście - mówi, znowu z rozjaśnionym spojrzeniem. -Ciężko pracowaliśmy, a pan stracił kumpla. Każdy musi się wyładować od czasu do czasu. Spotkajmy się za parę dni. Nie miałem zamiaru za bardzo na pana naciskać. Po prostu myślę, że powinniśmy zacząć myśleć o naszej sytuacji bardziej jak o partnerstwie. - Tak, Bev, już słyszę, jak dręczysz mnie, żebym dbał o szczegóły i ścisłość, ale on użył dokładnie tego słowa; staram się przedstawiać ci te spotkania bez przesady. - O partnerstwie, do którego mnie pan przygotowuje, byśmy



mogli po wojnie pracować razem, stworzyć zespół.

Właśnie. Odzyskał humor i wyniósł się. Tak więc, Bev, mógłbym się zastosować do jakiejś twojej spokojnej rady, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

HM

11 listopada 1918r.

Bev, Bev, Bev!

Cóż za dzień mamy dzisiaj, bez dwóch zdań. Niewątpliwie do tej pory dotarła już do ciebie ta wiadomość. Znowu otwiera się przed nami przyszłość! Stracimy trochę czasu przed demobilizacją, ale zgaduję, że powinienem być w domu przed latem. A potem z powrotem na studia, a potem z powrotem tutaj, do drogiego Egiptu, w szczęśliwszych okolicznościach, by zająć się, jak dżentelmenowi przystało, poszukiwaniem zbezczeszczonych grobów i ekshumacją zmarłych. A gdzie będzie Bev, zastanawiam się, nie mogąc zmrużyć oka.

Jeśli chodzi o mój mały kłopot, to uważam, że znalazłeś eleganckie rozwiązanie; twoja rada była subtelnie sformułowana, ale mądrze pomyślana: „Kiedy skończy się wojna, sprawy same się rozwiążą. Bądź cierpliwy i postaraj się przynajmniej udawać, że jesteś miły dla tego chłopca”. To było pewne, że Bev dostrzeże sedno problemu!

Tak więc wczoraj prowadziłem moje lekcje w stanie niezupełnie udawanego podniecenia. Powiedziałem mu, że mam mu coś do pokazania, coś oszałamiającego. Wymogłem, żeby przysiągł, że zachowa to w tajemnicy, co zrobił z australijską, wilgotnooką szczerością, a potem pozwoliłem mu rzucić okiem na ten papyrus, o który nie udało ci się

zapytać Wexlera, który to dokument, jak sobie przypominasz, znalazłem na bazarze, ale jemu powiedziałem, że wykopałem, zanim miałem przyjemność go poznać, i który trzymam przy sobie, czekając na słodki Pokój, kiedy będę mógł go zabrać do Anglii w celu przeanalizowania. A niech go, bystrego skazańca: trzeba go (i mnie jako nauczyciela) docenić, bo przeczytał zabytek z uwagą i natychmiast doszedł do tego samego wniosku co ja.

- Czy to jest to, co myślę? - zapytał wniebowzięty.
- Nie ma żadnych wątpliwości - oświadczyłem, chociaż prawda nie jest wcale taka oczywista; ta rzecz może absolutnie być falsyfikatem, a nawet jeśli jest autentyczna, to też nie rozstrzyga jeszcze bynajmniej o... Mniejsza z tym, przecież to cię zupełnie nie obchodzi, a puenta mojej opowieści jest gdzie indziej, akurat tutaj, w tym naszym kochanym, spokojnym *Anno Domini* 1918. Tak czy inaczej, reszta mojej intrygi rozwijała się zgodnie z jej nienaganną logiką.
- Gdzie pan to znalazł?

Aż się ślinił z przejęcia. Powiedziałem mu, że razem ze starym, droгим Trilipushem (oczywiście) odkryliśmy to podczas jednej z naszych wielu wólczeń na początku 1915 roku, zanim biedny Ralph wyruszył do Turcji, gdzie czekał go tragiczny koniec. Trochę się upoiłem moimi zdolnościami twórczymi: powiedziałem mu, że wykopaliśmy papirus pod ogniem nieprzyjaciela.

- Wrócił pan później na to stanowisko? - zapytał, płonąąc z podniecenia.  
- Jeśli to tam było, to może jest tam więcej podobnych rzeczy! Czy... czyjgrobowiec nie może się znajdować obok miejsca, gdzie to zostało zakopane? — bełkotał.

- Tak sędzę, drogi chłopcze. Jestem absolutnie przekonany, że czeka tam na nas grobowiec, i myślę, że wiem gdzie. A teraz posłuchaj: wojna prawie się skończyła.
- Tak? Skąd pan wie? - pyta mój kompletny idiota-prześla-dowca na jakieś dwadzieścia cztery godziny przed podpisaniem zawieszenia broni.
- Na miłość boską, słuchaj. Będę musiał wrócić do Oxfordu, żeby skończyć studia, zanim będę mógł znowu przyjechać tutaj, by prowadzić jakiegokolwiek wykopaliska na pełną skalę, ale
  - zamierzam skorzystać z okazji, jaką będziemy mieli pomiędzy dniem dzisiejszym a przewiezieniem nas do domu, i spróbować z tobą szczęścia w terenie na ekspedycji wstępnej.

Mówię szczerze, Bev, myślałem, że się rozplacze. Uściskał mnie, jak mały chłopiec ze lśniącą nową kolejką w bożonarodzeniowy ranek. Kusilo mnie, żeby zewrzeć się z nim w bardziej męskim uścisku, ale nie odważyłem się zepsuć tworzącej się uroczej sceny.

— Przewiezieniem nas do domu? — powiedział nagle, ogarnięty niepokojem. — Mogą nas zmusić do powrotu do domu? Nie można tutaj zostać? — Najwyraźniej Australia ma dla niego nie większy urok niż dla mnie czy dla ciebie. Przynajmniej tyle się nauczył pod moim kierunkiem.

Powinieneś już dostrzegać, jakie rezultaty przynosi zastosowanie się do twojej zadziwiająco mądrej rady, Bev. Jutro wyruszam z nim na czterodniową przepustkę. Pokazałem mu papiery, już wypełnione, a on patrzył na drogiego tatę z dziecięcym podziwem. Kierujemy się jutro na południe, w samo jądro archeologii w tym zwariowanym, pięknym kraju. Carter i Carnarvon prowadzą interesujące prace w Dolinie Królów i sędzę,

że ewentualne spotkanie teraz takich facetów byłoby dobre dla mojej kariery. Mój sierota prawie sika w majtki, chcąc też ich poznać, ale oczywiście nic z tego nie będzie.

Tam bowiem, daleko stąd, w magicznym świetle pustynnego zmierzchu, oddzielone wieloma wzgórzami od wszystkich i od wszystkiego skomplikowane sprawy rozwiążą się same, jak przewidywałeś, a ja powrócę do normalnego życia, uwolniony od wszelkich niepotrzebnych ciężarów.

Zakochałeś się bez reszty w życiu w Londynie, Bev? Oczywiście słucham z radością opowieści o twoich apartamentach, nie mogę się po prostu doczekać, żeby je zobaczyć, ale mam nadzieję, że nie uważasz ich za zbyt wygodne, za coś stałego. Proszę, nie odrzucaj mojej propozycji, mówię zupełnie szczerze, dobrze się zastanów: wiesz, że Oxford jest miejscem, gdzie po prostu muszę być, a potem wrócę tu i wrócę tam, tam i tu z powrotem, będę uczył, kopał i pisał, uczył, kopał i pisał. Czy to życie cię nie nęci, choćby trochę? Połowa czasu w mieszkaniu profesora przy Longwall Street, a połowa w namiocie w Egipcie, dojrzałym przecież i tolerancyjnym kraju. Czy człowiek, prowadząc takie życie, nie może mieć przy sobie przyjaciół, których najbardziej kocha?

Napiszę znowu szesnastego, wolny i lekki.

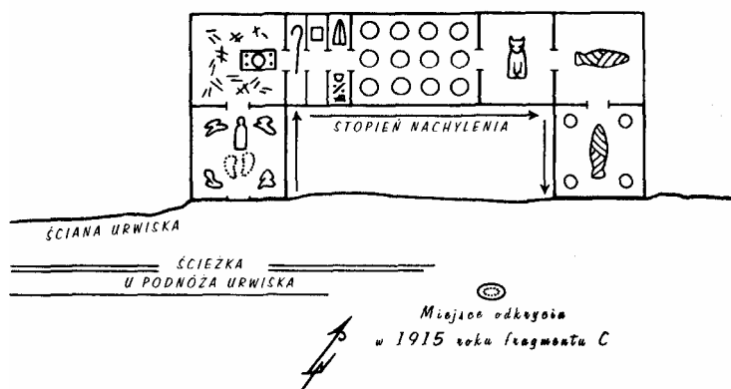
Wiecznie twój,

H.

*(Niedziela, 31 grudnia 1922r., ciąg daUzy)*

Nie ma żadnego tekstu ani ilustracji, które objaśniałyby dziewiątą,

ostatnią komorę grobowca, ale nie powinno nas to dziwić. Teraz wszystko jest już jasne. Mieć nadzieję na lepsze wytłumaczenie to żądać za dużo.



Atum-hadu przygotował własną komorę grobową, umieścił ofiarowane narzędzia Pana Szczodrości w prostych z konieczności glinianych garnkach w rogach własnej komory. Nie był rzeźbiarzem: na wieku każdego naczynia wypisał imię odpowiedniego boga i zdobył się na wysiłek narysowania ich trudnych kształtów: pawiana, sokoła, szakala, człowieka. Dokończył przepisywanie swoich Nauk i by zachować swoje imię na Ziemi, wybiegł na zewnątrz, zakopał jedną kopię w cylindrycznym dzbanie (fragment C, odkryty w 1915), drugą w kawałku tkaniny parę jardów dalej (fragment A, 1856). Trzecią kopię, wyrytą w wapieniu (fragment B, 1898), pewien posłaniec miał przewieźć do odległych krajów, ale ukrył w ziemi niewiele dalej. Pierwotny i kompletny tekst Nauk umieścił Atum-hadu we wspaniałej szkatule w drugim przedpokoju jako dodatkową gwarancję nieśmiertelności, jak wszyscy pisarze, którzy zasłużyli na trwające milion lat życie pośmiertne.

A potem, resztką sił, które mu pozostały, odwrócił twarz w stronę migocącej pochodni, przeszedł się ostatni raz po pomieszczeniach, w

których oczekiwać miał przyjęcia do nieśmiertelności. Co będę czuł w tych ostatnich chwilach, zastanawia się król, kiedy przystępuje do jedyne go zadania, które mu pozostało. Czym będzie przesiąknięty jego ostatni oddech i pierwszy po nim?

Jego ręce trzęsą się z głupiego strachu i z pragnienia. Niektóre palce są zmiażdżone, opuchnięte, złamane w bitwie albo podczas pracy nad Panem Szczodrości. Jego palce poplamione są farbą i nadal cuchną środkami konserwującymi i wnętrznościami jego teścia.

Traktowanie chemikaliami jego stóp i nóg będzie bardzo bolesne, ale odrętwienie wywołane wolno działającą trucizną, którą już zażył, i pocieszająca wiedza o tym, że zbliża się nieśmiertelność i że na zawsze pokrzyżował szyki swoim wrogom, sprawi, że będzie w stanie ciasno je owinąć. Będzie myślał o tym, jak daleko zaszedł w tym życiu, z jakich nizin na jakie wyżyny, i jak wysoko wzniesie się w następnym, gdzie jego imię będzie wiecznie rozbrzmiewać. Nasączenie środkami konserwującymi łądźwi i tułowia będzie sprawiało ból niemal nie do zniesienia. Ale zniesie go i owinie się do pasa. Płyny balsamujące na policzkach są niczym lodowaty ogień, a ich przenikające do nosa opary palą mu mózg. Duszą go krople, które padają na jego wyschnięte wargi i język. Jego oczy zasnuwają się mgłą i pieką, ale on nie ustaje. Nie ma czasu na przerwę, bo trucizna niebawem dokończy swego dzieła, a on musi przed odejściem dokończyć swoje. Ciasno owija twarz i głowę.

Wypróbował już wcześniej rozwiązanie swojego ostatniego, trudnego do obejścia problemu, wielokrotnie przećwiczył je w samotności i chociaż żadne rozwiązanie nie jest bezbłędne, to jest najlepsze, na jakie pozwolił mu Los: długie, odmierzone pasy płótna położone na podłodze. Chociaż

środek konserwujący szczypie coraz okrutniej, chwytając dłonią płótno. Turla się na podłodze grobowca, okręcając najlepiej jak może bandaż wokół swoich ramion i tułowia, kończąc to zadanie, ma nadzieję, dokładnie pośrodku komory, dokładnie w chwili swojego odejścia.

Ciemność. Ustępują ostatnie bóle. Oddech króla zatrzymuje się na niemierzalny już przeciąg czasu. Król odpływa w ciszy. A potem budzi go muzyka. Pierwszą twarzą, którą widzi, jest twarz jego ojca, który już powstał i teraz stoi przed nim, skruszony, służalczy, powściągliwy, kochający. Z taką wielką miłością otworzył własnymi, delikatnymi palcami powieki swojego syna. A teraz do pomieszczenia wchodzi kobieta, ich migdałowe oczy obwiedzione są malachitowym proszkiem, ich

miedziane ciała prześwitują przez cienkie, przylegające do nich koszule. Zbliżają się do niego i słodko pieczą. Tak go kochają. Odwijają go i namaszczają oliwą. A kiedy go przygotowały, wprowadzają w końcu ją: wpływa królowa, jej długopalce ręce wyciągają się do niego. Jest zdrowa, świeża i tylko dla niego. Ze ścian spływa jedzenie i wypełnia długie stoły. Nowa, niewyobrażalna muzyka staje się głośniejsza, a jego zona odprowadza go z dala od bólu życia i samotności. Daleko pod nim zwykli ludzie będą codziennie mówili o nim z podziwem, a peany na jego cześć utworzą obłoki, które uniosą go wysoko ponad tłumy rywali i pedantów, ponad biedę i szyderstwa, ponad snobów i łotrów, tam, gdzie będzie bezpieczny przed wrogami, wątpliwościami i zdradą. Jego tajemnice i zagadki pozostaną nie rozwiązane przez miliony lat, aż znajdzie go ktoś inny, obejmie go, złączy się z nim w jedno, zniknie w nim i zdobędzie, zarówno dla odkrywcy, jak i króla, wieczną miłość godną nieśmiertelnego

nazwiska, Atum-hadu i Trilipush, Trilipush i Atum-hadu, Trilipush, Trilipush, Trilinush.

**ARTHUR PHILLIPS SERDECZNIE DZIĘKUJE ZA  
UPRZEJMĄ POMOC:**

Działowi Starożytnego Egiptu i Sudanu w British Museum (szczególnie Marcelowi Maree), Jimowi Forte, Normanowi Frumanowi, Danielowi Goldnerowi, Hennepin County Public Library, Catherine Keenan, Peterowi Larsonowi, Jaromirowi Maikowi i GriHith Institute, Rossowi Mallettowi, paryskiemu Cyrkowi Moreno-Bormann, Anthony'emu Palliserowi, Stephenowi Quirke'owi, Michaelowi Rice'owi, Kelleyowi Rossowi, Chrisowi Tyrerowi, Kristen Vagliardo, Kentowi Weeksowi i Theban Mapping Project oraz nieocenionemu przykładowi panny Vivian Darkbloom;

**I JEST GŁĘBOKO WDZIĘCZNY:**

wielkiemu redaktorowi Lee Boudreaux, Julii Buchnall, Tony'emu Denningerowi, Peterowi Magyarowi, Mikeowi Mat-tisonowi, ASP, DSP, FMP, MMP, niezrównanej agentce Marły Rusoff, Toby'emu Tompkinsowi, Danielowi Zelmanowi oraz oczywiście Jan.